

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



EMIL ZOLA

WSZYSTKO DLA PAŃ

Rougon – Macquartowie
Historia naturalna i społeczna rodziny
za Drugiego Cesarstwa

I

Denise szła piechotą z dworca Saint-Lazare, dokąd rankiem, po nocy spędzonej na twardej ławce trzeciej klasy, dowiózł ją wraz z braćmi pociąg z Cherbourga. Mały Pepi trzymał się jej ręki, Janek szedł nieco w tyle. Wszyscy troje byli bardzo zmęczeni, oszołomieni i zagubieni w rozległym Paryżu. Szli wolno, przyglądając się budynkom i pytając na każdym kroku o ulicę Michodière, przy której mieszkał ich stryj Baudu. Na placu Gaillon młoda dziewczyna zatrzymała się nagle, zdumiona.

– Spójrz. Janku! – zawołała.

Stanęli jak wryci, zbici w gromadkę; byli w czerni, ponieważ dodzierali żałobnych ubrań, które im uszyto po śmierci ojca. Denise, biednie wyglądająca, zbyt drobna jak na swoje dwadzieścia lat, niosła małą paczkę. Pięcioletni malec uwiesił się jej z drugiej strony, a starszy brat, wspaniale rozwinięty szesnastoletni młodzieniec, stał tuż za nią, z niedbale opuszczonymi rękami.

– To się dopiero nazywa magazyn! – odezwała się po chwili.

U zbiegu ulic Michodière i Neuve-Saint-Augustin wystawy wielkiego magazynu nowości grały żywymi barwami na tle bladego i cichego dnia październikowego. Na wieży Św. Rocha biła ósma. O tak wczesnej porze na ulicy spotkać można było jedynie urzędników spieszących do biur lub gospodynie biegające po sklepikach. Przed drzwiami magazynu dwaj subiektci, stojąc na podwójnej drabince, kończyli rozwieszać wełny: w oknie wystawowym od strony ulicy Neuve-Saint-Augustin inny sprzedawca, klęcząc, zwrócony tyłem do szyby, delikatnie układał w fałdy sztukę niebieskiego jedwabiu. W magazynie nie było jeszcze kupujących. Personel schodził się dopiero, a mimo to wewnątrz wrzało już jak w ulu.

– Do licha! – odezwał się Janek. – Co za porównanie z Valognes! Twój magazyn ani się do tego nie umywa!

Denise skinęła głową. Dwa lata pracowała u Cornaille'a, właściciela pierwszorzędnego magazynu artykułów galanteryjnych w Valognes. Ale ten magazyn paryski, napotkany tak niespodziewanie, wydał jej się ogromny, przykuwał wzrok, porywał, zaciekawiał i sprawił, że zapomniała o wszystkim. Wysokie drzwi wejściowe od strony placu Gaillon, całe oszklone, zdobne w wymyślne ornamenty i złoceń, sięgały aż do półpiętra. Alegoryczne postaci, dwie śmiejące się i przegięte do tyłu kobiety z obnażonymi piersiami, rozwijały szeroką wstęgę z napisem: „Wszystko dla Pań”. Dalej okna wystawowe ciągnęły się wzdłuż ulic Michodière i Neuve-Saint-Augustin, gdzie oprócz narożnego zajmowały jeszcze cztery inne, niedawno zakupione i przebudowane domy – dwa z lewej i dwa z prawej strony ulicy. Dziewczyźnie wydawało się, że ta perspektywa wystaw parterowych i lustrzanych szyb na piętrze, za którymi widać było całe wnętrza i życie magazynu, ciągnie się bez końca. W górnym oknie ekspedientka w jedwabnej sukni temperowała ołówek, podczas gdy dwie inne zajęte były układaniem aksamitnych okryć.

– „Wszystko dla Pań” – przeczytał Janek z uśmiechem przystojnego chłopca, który w Valognes zdążył już zakosztować miłosnej przygody. – Nazwa niczego sobie! Jak to musi przyciągać ludzi!

Denise pochłonięta była wystawą przy głównym wejściu. Na ulicy, wprost na chodniku, umieszczono towary o rewelacyjnie niskich cenach, stanowiące wyjątkową okazję i nie lada pokusę dla przechodzących kobiet. Całe lawiny materiałów spływały z góry. Były to wełny i sukna, merynosy, szewioty, multony spadające z półpiętra i łopocące jak sztandary na wietrze. Białe kartki z cenami odcinały się wyraźnie na tle spokojnych kolorów: granatowych, szaroniebieskich lub oliwkowych. Jako obramowanie drzwi wejściowych wisiały wąskie pasy futra, służące do ozdoby sukien, delikatne srebrne popielice, śnieżny puch łabędzi i skórki królicze imitujące gronostaje i sobole. Niżej, na półkach i na stołach, wśród stosów resztek widać było pudła wypełnione po brzegi trykotażami. Sprzedawano je za grosze. Były tam rękawiczki i wełniane szaliki, kapturki i kamizelki – słowem, cały ekwipunek zimowy o pstrokatych barwach, w prążki, w kropki i w ciemnokrwiste plamy. Denise zwróciła uwagę na szkockie szaliki po czterdzieści pięć centymów, na lamówki z amerykańskiego nurka po franku i wreszcie na mitenki po dwadzieścia pięć centymów. Cała ta zewnętrzna wystawa magazynu robiła wrażenie jakiegoś jarmarcznego straganu olbrzymich rozmiarów. Wydawało się, że magazyn pękł na dwoje, wyrzucając nadmiar towarów wprost na ulicę.

Zapomnieli o stryju. Nawet mały Pepi, trzymając się wciąż ręki siostry, otwierał szeroko oczy ze zdziwienia. Jakiś pojazd zmusił wreszcie całą trójkę do wycofania się ze środka placu. Weszli machinalnie w ulicę Neuve-Saint-Augustin i idąc wzdłuż wystaw sklepowych

zatrzymywali się przed każdą szybą. Zaraz na wstępie oczarowała ich oryginalna dekoracja jednej z witryn: w górze parasole, ustawione ukośnie, tworzyły jakby dach wiejskiej chaty; poniżej jedwabne pończochy, zawieszane na metalowych prętach, ukazywały zaokrąglone profile łydek; jedne z deseniami w kształcie bukietów róż, inne bez deseni, ale we wszystkich możliwych kolorach. Były więc czarne ażurowe, czerwone z haftowanymi klinami i cieliste, gładkie jak skóra jasnowłosej kobiety. Wreszcie na samym dole wystawy, na podkładzie z sukna, ułożono symetrycznie rękawiczki, których wydłużone palce i wąskie dłonie przypominały ręce bizantyjskich dziewic. Miało to wiośniany nieco sztywny wdzięk kobiecych drobiazgów, niepokalanie jeszcze świeżych. Najdłużej jednak zatrzymała ich ostatnia z wystaw. Rozkwitały tam całą gamą kolorów o najsubtelniejszych odcieniach różne gatunki jedwabiu. U szczytu udrapowano aksamity o głębokiej czerni lub bieli zsiadłego mleka, niżej atłasy – różowe, niebieskie, błyszczące w załamaniach, wszystkie w tonach pastelowych coraz to bledszych i delikatniejszych; jeszcze niżej ułożono fantazyjne węzły jedwabi, zharmonizowane według kolorów tęczy, jakby zaplissowane wokół wciętej talii i ożywione, rzec by można, bieglymi palcami subiekta. Każdemu z motywów, każdej barwnej frazie wystawy towarzyszył dyskretny akompaniament w postaci pofałdowanych pasm kremowego fularu. Po obu zaś krańcach wystawy piętrzyły się w olbrzymich stosach dwa gatunki jedwabiu stanowiące monopol firmy „Paris-Bonheur” i „Cuir d’Or” – towar wyjątkowy, mający wywołać rewolucję na rynku tekstylnym.

– Ach, ten błyszczący jedwab po pięć sześćdziesiąt! – szepnęła Denise patrząc z podziwem na „Paris-Bonheur”.

Janek zaczynał się nudzić. Zatrzymał jakiegoś przechodnia i zapytał:

– Proszę pana, gdzie jest ulica Michodière?

Zapytany wskazał mu pierwszą ulicę na prawo, zawrócili więc wszyscy troje, okrążając magazyn. Gdy mijali róg, Denise zatrzymała się znowu, zaciekawiona wystawą konfekcji damskiej. W tym właśnie dziale pracowała w Valognes, ale nigdy jeszcze nie widziała tak pięknej wystawy. Znieruchomiała z podziwu, niezdolna zrobić ani kroku dalej. W głębi ogromny kosztowny szal z koronki *bruges* rozpościerał rdzawo-białe skrzydła niby zasłonę nad ołtarzem: otaczały go girlandą falbany i koronki *alençon*. Nieco dalej pienią się śnieżną białością fale innych gatunków koronek flandryjskich, walansjenek, aplikacji brukselskich i weneckich. Po obu stronach wystawy spiętrzone w kolumny sztuki ciemnego sukna podkreślały jeszcze tę tajemniczą głąb przypominającą wnętrze tabernakulum. W tej kaplicy, wzniesionej na cześć wdzięków kobiecych, umieszczono artykuły konfekcyjne. Wyjątkowej piękności aksamitny płaszcz przybrany srebrnymi lisami, zajmował środek wystawy. W

bocznych jej skrzydłach wisiała jedwabna rotunda na popielicach oraz płaszcz wełniany obsyty kogucimi piórami. Białe narzutki balowe, ozdobione łąbędzim puchem lub sznelką, uzupełniały kolekcję. Bogactwo wyboru mogło zaspokoić każdy kaprys: poczynając od okrycia wieczorowego za dwadzieścia dziewięć franków aż do aksamitnego płaszcza za tysiąc osiemset. Wzdęte gorsy manekinów podnosiły tkaninę, szerokie biodra przesadnie podkreślały smukłość talii, a wielkie kartony przypięte do obicia z czerwonego multonu odgrywały rolę głów. Szeregi lusterek, umiejętnie ustawionych po obu stronach witryny, po wielokroć odbijały wystawione modele. Wydawało się, że cała ulica zaludnia się tymi pięknymi, przeznaczonymi na sprzedaż kobietami, z których każda zamiast głowy miała bilecik z wypisaną wielkimi cyframi ceną.

– Co za wspaniałe kobiety – szepnął Janek nie znajdując innych słów dla wyrażenia swego podziwu. Stał nieruchomo, z otwartymi ustami zarumieniony z wrażenia. Oglądanie zbytkownych ubrań kobiecych sprawiało mu wyraźną przyjemność. Jego uroda, jakby ukradziona siostrze, była raczej urodą dziewczyny. Miał olśniewającą cerę, włosy rude i kręcone, usta i oczy o tkliwym wyrazie. Stojąca obok niego Denise wydawała się w tej chwili jeszcze szczuplejsza, niż była w istocie. Cera miała zmęczoną, twarz pociągłą, usta zbyt duże, włosy jakby spłowiałe. Mały Pepi, jasnowłosy podobnie jak ona, ogarnięty niewytłumaczoną potrzebą pieśczości, jeszcze silniej tulił się do niej. zmieszany i zachwycony widokiem tylu pięknych pań na wystawie. Tych troje blondynów, biednie ubranych na czarno, smutna dziewczyna stojąca między uroczym dzieckiem i dorodnym młodzieńcem, stanowiło obrazek tak osobliwy i tak miły dla oka, że przechodnie z uśmiechem oglądali się za nimi.

Od kilku minut otyły, siwowłosy mężczyzna, o wielkiej, żółtej twarzy, przypatrywał się im stojąc na progu sklepu po przeciwnej stronie ulicy. Wystawy magazynu „Wszystko dla Pań” wyprowadzały go widocznie z równowagi, gdyż oczy nabiegły mu krwią, a usta wykrzywił grymas.

Widok młodej dziewczyny i jej braci ostatecznie go rozdrażnił. Po co tych troje głuptasów gapi się na te szarlatańskie sztuczki?

– A stryj Baudu?– przypomniała sobie nagle Denise, jakby gwałtownie obudzona ze snu.

– Jesteśmy na ulicy Michodière– powiedział Janek. – Stryj musi mieszkać gdzieś blisko.

Odwrócili się od wystawy i na wprost siebie, ponad głową otyłego człowieka, zauważyli zielony szyld z wypłowiałym od deszczu, żółtym napisem: „Manufaktury z Elbeuf”. sukna i flanele. C. Baudu (dawniej Hauchecorne)”.
C. Baudu (dawniej Hauchecorne)

Dom powleczoney starym, zrudziałym już tynkiem, zupełnie prosty w konstrukcji w porównaniu z otaczającymi go wielkimi pałacami w stylu Ludwika XIV. miał zaledwie trzy

kwadratowe okna frontowe bez żaluzji, zabezpieczone jedynie dwiema skrzyżowanymi sztabami z żelaza. Uwagę Denise, której oczy były jeszcze olśnione wystawami wspaniałego magazynu, zwrócił przede wszystkim mieszczący się na parterze, jakby przytłoczony sufitem sklep, nad którym wznosiło się bardzo niskie piętro o półkolistych, więziennych okienkach. Wypełzła ze starości boazeria takiej samej jak szyld butelkowitzelonej barwy, otaczała z obu stron dwa głębokie, czarne i zakurzone okna wystawowe, gdzie niewyraźnie rysowały się nagromadzone sztuki materiałów. Otwarte drzwi prowadziły jakby do wilgotnych ciemności piwnicznych.

– To tutaj – powiedział Janek.

– No. to trzeba wejść – oświadczyła Denise. – Idziemy. Chodź. Pepi.

Wszyscy troje byli zmieszani, nagle onieśmieleni. Gdy epidemia zabrała im kolejno, w odstępnie miesiąca, matkę i ojca, stryj Baudu. wzruszony tą podwójną żalobą, napisał do Denise obiecując jej pracę u siebie w sklepie, gdyby zechciała szukać szczęścia w Paryżu. List ten jednak pisany był przed rokiem i młoda dziewczyna zaczęła teraz żałować, że tak nierozważnie opuściła Valognes nie uprzedzając o tym stryja. Stryj nic nie wiedział, ani razu nie odwiedziwszy rodzinnego miasta, odkąd wyjechał za młodu do Paryża, gdzie został najpierw młodszym subiektem w sklepie Hauchecorne'a, a wreszcie po kilku latach jego zięciem.

– Czy zastałam pana Baudu? – zapytała Denise decydując się wreszcie zagadnąć otyłego mężczyznę, który ciągle im się przyglądał zdziwiony ich zachowaniem.

– To ja – odrzekł.

Wówczas Denise zaczerwieniła się i wyjąkała:

– Jak, o, jak to dobrze! Jestem Denise, a to Janek i Pepi. Przyjechaliśmy, stryju.

Pan Baudu osłupiał. Otwierał i zamykał na przemian swe wielkie, zaczerwienione oczy, słowa plątały mu się w ustach. Był najwyraźniej daleki o tysiące mil od tej rodziny, która spadała mu na barki.

– Jak to, jak to, to wy? – powtórzył kilkakrotnie. – Ale przecież byliście w Valognes!... Dlaczego nie jesteście w Valognes?

Łagodnym, nieco drżącym głosem Denise tłumaczyła mu: po śmierci ojca, który do ostatniego grosza stracił wszystko na swej farbiarni, musiała zastąpić matkę młodszemu rodzeństwu. Zarobki u Cornaille'a nie wystarczały na utrzymanie trzech osób. Wprawdzie Janek pracował u stolarza naprawiając stylowe meble, ale nic nie zarabiał. Okazywał natomiast coraz większe zamiłowanie do antyków, wyrzynał też figurki w drzewie. Pewnego dnia wygrzebawszy gdzieś kawałek kości słoniowej, wyrzeźbił nawet dla zabawy głowę,

którą zobaczył jakiś przejezdny pan. Ten właśnie pan nakłonił ich do opuszczenia Valognes i znalazł dla Janka w Paryżu miejsce w pracowni rzeźb z kości słoniowej.

– Od jutra więc, stryju, Janek zacznie praktykę u swego nowego pryncypała. Nie żąda ode mnie zapłaty, da chłopcu mieszkanie i wikt. Co do mnie i małego Pepi, to myślę, że jakoś damy sobie radę. Nie będziemy chyba bardziej nieszczęśliwi niż w Valognes.

Nie chciała wspominać o przygodach miłosnych Janka, o listach pisanych do pewnej panienki z dobrego domu, o pocałunkach wymienianych ukradkiem ponad murem, o tym całym skandalu, który ją ostatecznie skłonił do wyjazdu. Postanowiła pojechać do Paryża z bratem, aby móc czuć nad nim, zdjęta macierzyńskim niepokojem o los tego pięknego i wesołego chłopca, który bardzo podobał się kobietom.

Stryj Baudu długo nie mógł otrząsnąć się z wrażenia. Wciąż na nowo rozpoczynał indagację. Słyszając jednak, jak Denise opowiada o swoich braciach, zaczął do niej mówić „ty”.

– Więc twój ojciec nic wam nie pozostawił? A ja myślałem, że miał jeszcze trochę grosza. Ileż to razy radziłem mu w listach, żeby nie zaczynał z tą farbiarnią! Serce miał złote, ale ani krzty rozumu!... A więc zostałaś sama z tymi chłopakami i musiałaś ich żywić!

Zgryźliwa twarz kupca, na której widać było ślady żółtaczki, rozjaśniła się; nie patrzył już na magazyn „Wszystko dla Pań” i jego spojrzenie stało się łagodniejsze. Spozrzegł nagle, że zagradza sobą drzwi wejściowe.

– Chodźcie w takim razie, skoroście już przyjechali... – mruknął.

– Wejdźcie, lepiej siedzieć tu niż zbijać baki tam naprzeciwko. – Po czym, raz jeszcze rzuciwszy gniewnym okiem na wystawę po drugiej stronie ulicy, odsunął się od drzwi i wszedł pierwszy do sklepu wołając żonę i córkę: – Elżbieta! Genowefa! Chodźcie tutaj! Macie gości.

Zarówno Denise, jak i chłopcy zawahali się widząc ciemne wnętrze sklepu. Oślepieni blaskiem ulicy, mrugali powiekami jak u wejścia do jakiejś nory i szli ostrożnie, obawiając się instynktownie zdradzieckiego schodka. Zbliżeni tą niejasną obawą, tym bardziej garnęli się do siebie. Malec czepiał się sukni dziewczyny, starszy kroczył tuż za jej plecami – i tak weszli do sklepu z pełnym wdzięku onieśmieleniem. Na tle jasnego poranka odcinały się wyraźnie czarne sylwetki żałobnych ubrań, ukośny promień słońca złocił jasne włosy.

– Wejdźcie, wejdźcie – powtarzał Baudu.

W kilku krótkich zdaniach wyjaśnił sytuację żonie i córce. Pani Baudu, drobna, anemiczna kobieta, uderzała białością: miała białe włosy, białe oczy i białe wargi. Genowefa, u której degeneracja matki zaznaczyła się jeszcze silniej, przypominała swą wątłością i bezbarwnością roślinę wyhodowaną w cieniu. Jedynie wspaniałe czarne włosy, gęste i ciężkie – niemal cud

na tak nędznym ciełe – dodawały jej postaci jakiegoś smutnego uroku.

– Wejździe – powiedziały z kolei obie kobiety. – Witamy was serdecznie.

Posadziły zaraz Denise za kontuarem. Mały Pepi wdrapał się natychmiast na kolana siostry, Janek zaś, opierając się plecami o boazerię, stanął tuż obok. Uspokajali się powoli i rozglądali po sklepie. W miarę jak ich oczy przyzwyczajały się do półmroku, dostrzegali niski, zakopcony sufit, wytarte już od zużycia dębowe lady i stuletnie chyba półki o mocnych okuciach. Sztuki ciemnego materiału piętrzyły się aż po belki sufitu. Bijąca od podłogi wilgoć potęgowała jeszcze silny i ostry zapach sukna i farby. W głębi dwaj subiekci i panna sklepowa układali sztuki białej flaneli.

– A może młody człowiek chciałby co zjeść? – zapytała pani Baudu uśmiechając się do małego Pepi.

– Nie, dziękuję – powiedziała Denise. – Piliśmy mleko w kawiarni naprzeciwko dworca. – Widząc zaś, że Genowefa spogląda na małą paczkę, którą położyła na ziemi, dodała: – Zostawiłam tam także walizkę.

Zaczerwieniła się, doskonale teraz rozumiejąc niewłaściwość tego najazdu na dom stryja. Już w wagonie, zaledwie pociąg wyjechał z dworca w Valognes, zaczęła gorzko żałować swego kroku. Dlatego zaraz po przyjeździe do Paryża zostawiła walizkę w przechowalni i zaprowadziła dzieci na śniadanie.

– Otóż, moja droga – rzekł nagle Baudu – powiem ci krótko i wyraźnie... Pisałem do ciebie, to prawda, ale było to rok temu. Teraz interesy idą nam znacznie gorzej... – Zamilkł nie chcąc okazywać dławiącego go wzruszenia. Jego żona i córka spuściły oczy z rezygnacją.

– Nie wątpię – podjął znowu Baudu – że jest to kryzys przejściowy... Jednakże zmniejszyłem personel, pozostały tylko trzy osoby i angażowanie czwartej jest w tej chwili niemożliwe. To znaczy, że – mimo danej obietnicy – przyjąć cię nie mogę.

Denise słuchała, przerażona i blada. Baudu dodał jeszcze z naciskiem:

– Nie zdałoby się to na nic ani tobie, ani nam.

– Dobrze, stryju – wykrztusiła wreszcie z trudem. – Postaram się, mimo wszystko, dać sobie jakoś radę.

Baudu nie byli złymi ludźmi. Narzekali tylko na brak szczęścia. Gdy interes szedł im dobrze, musieli wychowywać pięciu synów, z których trzech zmarło w wieku lat dwudziestu, czwarty zeszedł na złą drogę, a piąty niedawno właśnie wyjechał w randze kapitana do Meksyku. Pozostała im tylko córka. Utrzymanie tak licznej rodziny kosztowało dużo pieniędzy, a Baudu zrujnował się ostatecznie kupując posiadłość w Rambouillet, rodzinnej miejscowości swego teścia. Toteż w duszy starego, aż do przesady uczciwego kupca,

wzrastało rozgoryczenie.

– Trzeba było się ze mną porozumieć – ciągnął coraz bardziej niezadowolony z własnej surowości. – Mogłaś przecież napisać do mnie, byłbym ci poradził, żebyś tam została... Kiedy dowiedziałem się o śmierci twego ojca, dalibóg, napisałem ci to, co się zwykle pisze w takich wypadkach. A ty przyjeżdżasz tutaj nagle, bez uprzedzenia... Nie wiadomo, co z tym począć.

Podniósł głos wyładowując w ten sposób gniew. Żona i córka patrzyły w ziemię, jak przystało na istoty uległe, które nigdy nie ośmieliłyby się mu sprzeciwić. Janek pobladł, a Denise przyciskała do piersi przerażonego Pepi. Dwie wielkie łzy spłynęły jej po policzkach.

– Dobrze, stryju – powtórzyła. – Zaraz stąd pójdziemy.

Baudu opanował się natychmiast. Zaległo kłopotliwe milczenie. Po chwili zaczął znowu mówić szorstkim tonem:

– Nie wyrzucam was przecie za drzwi... Skoro już jesteście tutaj, możecie przemocować dzisiaj na górze, a potem zobaczymy.

Pani Baudu i Genowefa zrozumiały, że teraz już mogą zająć się urządzeniem przybyszów. Omówiono wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów. Co do Janka, to nie było potrzeby troszczyć się o jego los. Małego Pepi można oddać do pani Gras, starszej osoby zajmującej obszerny lokal na parterze przy ulicy des Orties. Pani ta prowadziła coś w rodzaju pensjonatu dla małych dzieci i brała za to czterdzieści franków miesięcznie. Małemu będzie tam doskonale. Denise oświadczyła, że może zapłacić za pierwszy miesiąc. Pozostawała jedynie sprawa jej samej. Ale z pewnością i dla niej znajdzie się jakaś praca w pobliżu.

– Czy Vinçard nie szuka czasem ekspedientki? – zapytała Genowefa.

– Ach tak, rzeczywiście! – zawołał Baudu. – Pójdziemy do niego zaraz po obiedzie. Trzeba kuć żelazo, póki gorące.

Ani jeden klient nie przeszkodził tej rodzinnej scenie. Sklep pozostawał pusty i mroczny. W głębi dwaj subiekci i panna sklepowa pracowali w dalszym ciągu, rozmawiając świszczącym szeptem. Gdy weszły wreszcie jakieś trzy panie, Denise została przez chwilę sama. Pocałowała Pepi, myśląc ze ściśniętym sercem o bliskim rozstaniu. Dziecko, pieszczotliwe jak mały kot chowało głowę nie mówiąc ani słowa. Kiedy pani Baudu i Genowefa powróciły, zastały małego siedzącego grzecznie i cicho: Denise zapewniła je, że Pepi nigdy nie hałasuje, lecz po całych dniach milczy i potrzebuje tylko trochę czułości. Wszystkie trzy zaczęły rozmawiać o dzieciach, o gospodarstwie, o życiu w Paryżu i na prowincji. Rozmowa rwała się co chwila i nie wychodziła poza ogólniki, jak to zwykle bywa, gdy spotkają się krewni, nieco zakłopotani tym, że się nie znają. Janek odszedł na próg sklepu i stał tam długo, zaciekawiony ruchem na ulicy, uśmiechając się do przechodzących

dziewcząt.

O dziesiątej zjawiała się służąca. Zazwyczaj o tej porze podawano do stołu dla pana domu, Genowefy i starszego subiekta. O jedenastej była druga zmiana – dla pani, drugiego subiekta i ekspedientki.

– Proszę do stołu! – zawołał kupiec zwracając się do bratanicy.

Wszyscy zasiedli w małej jadalni za sklepem. Baudu zawołał wówczas starszego subiekta, który marudził jeszcze przy kontuarze:

– Colomban!

Młody człowiek przeprosił tłumacząc, że chce skończyć porządkowanie flaneli. Był to tęgi młodzieniec lat dwudziestu pięciu, nieruchawy, lecz sprytny. W jego uczciwej twarzy o wielkich, pełnych wargach świeciły chytre oczy.

– Co, u licha! Na wszystko jest odpowiednia pora – mówił Baudu, który rozsiadłszy się wygodnie kroił kawałek zimnej cielęciny. Czynił to z rozwagą i zręcznością pryncypała, ważąc na oko skromne porcje z dokładnością do jednego grama. Nałożył po kawałku każdemu, pokroił nawet chleb. Denise posadziła małego Pepi tuż koło siebie, aby pilnować go przy jedzeniu. Niepokoiła ją ciemna jadalnia. Przywykła do obszernych i jasnych pokoi w swym rodzinnym mieście, ze ściśniętym sercem przyglądała się tej mrocznej salce. Jedyne okno wychodziło na małe i ciemne podwórko, które łączyło się z ulicą wąskim tunelem bramy. To wilgotne i cuchnące podwórze, dokąd docierał tylko nikły krąg bladego światła, przypominało dno studni. W zimie trzeba było palić w pokoju gaz od rana aż do wieczora. A kiedy pora roku pozwalała na obchodzenie się bez sztucznego światła, było w nim jeszcze smutniej. Denise musiała najpierw oswoić się z ciemnością, zanim zdołała rozróżnić kawałki mięsa na talerzu.

– To zuch z tego Janka! Ma apetyt! – oświadczył stryj Baudu widząc, że chłopiec pochłonął już swoją porcję cielęciny. – Jeżeli pracuje z takim samym zapalem, będzie z niego tęgi mężczyzna... A ty, moja panno, dlaczego nic nie jesz?... Opowiedz mi teraz, skoro mamy czas na rozmowę, dlaczego nie wyszłaś za mąż w Valognes?

Denise opuściła szklanę, którą niosła do ust.

– Ach, stryju! Wyjść za mąż! Chyba stryj żartuje!... A dzieci?

Sam pomysł małżeństwa wydał jej się tak zabawny, że zaczęła się śmiać. Zresztą, czy znalazłby się ktoś, kto chciałby ożenić się z takim jak ona chuchrem, brzydkim i bez posagu? Ale skądże, nigdy nie wyjdzie za mąż, ma dość tych dwojga dzieci.

– Nie masz racji – powtórzył Baudu. – Kobieta potrzebuje opieki mężczyzny. Gdybyś była sobie poszukała dzielnego chłopca, to nie znaleźlibyście się teraz, ty i twoi bracia, na bruku

paryskim, jak jacyś Cyganie.

Przerwał znowu, aby podzielić w sposób sprawiedliwy i oszczędny przyniesione przez służącą kartofle ze słoniną. Potem wskazując łyżką na Genowefę i Colombana, powiedział:

– Widzisz, oni pobiorą się na wiosnę, jeżeli sezon zimowy będzie pomyślny.

Była to stara tradycja tej rodziny. Założyciel firmy, Arystydes Finet, wydał swą córkę Dezyderię za starszego subiekta nazwiskiem Hauchecorne. Baudu – wylądowawszy w Paryżu z siedmioma frankami w kieszeni – poślubił córkę papy Hauchecorne’a Elżbietę. Teraz z kolei on miał zamiar oddać Colombanowi swą córkę Genowefę wraz z firmą, w chwili gdy interesy znowu ruszą. Jeśli to małżeństwo projektowane już od trzech lat, nie zostało jeszcze zawarte, to stało się to z powodu skrupułów i uporu wynikających z nadmiernej uczciwości starego kupca. Chciał on mianowicie oddać zięciowi firmę w równie kwitnącym stanie, w jakim sam przejął ją z rąk teścia.

Baudu przedstawił Denise swego przyszłego zięcia. Młody człowiek rodem z Rambouillet, podobnie jak ojciec pani Baudu, był nawet ich dalekim kuzynem. Baudu chwalił go jako dzielnego pracownika, który od dziesięciu lat harował w sklepie i w pełni zasłużył na czekający go awans. Pochodził zresztą z dobrej rodziny. Ojciec jego był znanym na cały powiat weterynarzem, artystą w swoim fachu, lecz takim żarłokiem i smakoszem, że przejadał wszystkie zarobki.

– Ojciec pije i ugania się za spódniczkami – powiedział kupiec na zakończenie – ale syn, dzięki Bogu, nauczył się u mnie cenić wartość pieniądza.

Denise, słuchając wywodów stryja, obserwowała jednocześnie Colombana i Genowefę. Młodzi siedzieli przy stole obok siebie, lecz zachowywali całkowity spokój, nie czerwienili się ani nie uśmiechali. Młody człowiek liczył na to małżeństwo od pierwszego dnia pracy w sklepie. Przeszedł wszystkie stopnie hierarchii kupieckiej: był chłopcem na posyłki, później subiektem, w końcu został dopuszczony do życia rodzinnego swego pryncypała. Zawdzięczał to zarówno cierpliwości, jak niezwykle regularnemu trybowi życia, a małżeństwo z Genowefą uważał za doskonały i uczciwy interes. Całkowita pewność, że i tak ją zdobędzie, nie pozwoliła mu pożądać jej. Młoda dziewczyna przyzwyczała się także do myśli, że go kocha, lecz – z natury poważna i skryta – nie zdawała sobie sprawy, do jakiego stopnia jej uczucie było głębokie, a także, czym ono było dla niej w szarym i monotonnym życiu.

– Naturalnie, jeżeli dwoje młodych ma się ku sobie i jeżeli nie ma przeszkód, dlaczego nie mieliby się pobrać – powiedziała z uśmiechem Denise chcąc okazać uprzejmość.

– Tak. zawsze się na tym kończy – oświadczył Colomban, który żuł powoli jedzenie i do tej pory nie wyrzekł jeszcze ani słowa. Genowefa, spojrzawszy na niego przeciągle, odezwała

się z kolei:

– Trzeba tylko dojść do porozumienia, potem wszystko samo się ułoży.

Uczucie ich wzrosło jak kwiat piwniczny w tym starym sklepie paryskim. Od dziesięciu lat Genowefa знаła tylko jego jednego, spędzała z nim całe dnie w mrocznej głębi sklepu za stosami sukna. Każdego ranka i każdego wieczora siadali obok siebie w ciasnej i chłodnej jak studnia jadalni. Nigdzie na świecie, nawet na najbardziej zapadłej wsi w cieniu najgęstszych liści, nie znaleźliby pewniejszego ukrycia. Dopiero później, gdy zaznała zwątpienia i męki zazdrości, odkryła, że w tym zaciszu, sprzyjającym budzeniu się uczuć, z nudy i samotności na zawsze rozporządziła swym sercem.

Denise pochwyciła w spojrzeniu rzuconym przez Genowefę na Colombana jakiś błysk niepokoju, toteż odpowiedziała uprzejmie:

– Ba! Zawsze można dojść do porozumienia, kiedy się kocha. Baudu z powagą czuwał nad stołem. Rozdzielił plasterki sera, a z okazji przyjazdu krewnych zażądał drugiego deseru – słoika konfitur porzeczkowych. Ta niezwykła hojność zdziwiła Colombana. Pepi, który dotąd bardzo grzecznie siedział przy stole, na widok konfitur zachował się mniej przykładowie. Janek, zaciekawiony rozmową o małżeństwie, przypatrywał się kuzynce, zbyt słabej i bladej jak na jego gust; porównywał ją w myśli do małego, białego królika o czerwonych oczach i czarnych uszach.

– No, dosyć tego gadania, trzeba zrobić miejsce dla innych – zakończył rozmowę kupiec, dając jednocześnie znak do powstania od stołu. – Co za dużo, to niezdrowo.

Pani Baudu, drugi subiekt i panna sklepowa zasiedli z kolei do stołu. Denise, która znów została sama, usiadła w sklepie przy drzwiach wejściowych czekając, aż stryj będzie mógł zaprowadzić ją do pana Vinçard. Pepi bawił się na ziemi u jej stóp, a Janek stanął znowu na progu obserwując ulicę. Denise blisko godzinę przypatrywała się temu, co działo się wokół niej. Od czasu do czasu zjawiały się klientki, najpierw weszła jedna, potem dwie inne. W stęchłym, mrocznym sklepie zdawał się opłakiwać swój los dawny, poczciwy handel, chyłący się ku upadkowi. Po drugiej stronie ulicy przykuwał oczy dziewczyny magazyn „Wszystko dla Pań”, którego okna wystawowe dostrzegła przez otwarte drzwi. Było pochmurno, lecz mimo jesiennej pory ociepliło się po deszczu. Opromieniony słonecznym pyłem, wielki magazyn tętnił życiem w białym świetle dnia.

Denise wydało się, że widzi pracującą pod wysokim ciśnieniem maszynę parową, której drżenie udzielało się nawet wystawom. Nie były to już te same zimne witryny, które oglądała dziś rano. Poruszały się teraz, rozdygotane i dyszące ciepłem. Chciwy i brutalny tłum kobiet tłoczył się przed szybami wystaw. W zetknięciu z tą pożądlivością ulicy tkaniny nabierały

życia: koronkami wstrząsał dreszcz, zdawało się, że opadają i tajemniczo zakrywają wnętrze magazynu. Nawet grube i solidne sukna przyzywały kusicielsko. Okrycia układały się jeszcze zgrabniej na manekinach, które jakby ożyły. Wielki aksamitny płaszcz, miękki i ciepły, otulał, rzekłbyś, żywe ramiona; piersi manekina poruszał oddech, a biodra kołysały się lekko. Lecz źródłem żaru, od którego płonął cały dom, były miejsca sprzedaży, kontuary z nagromadzoną przy nich publicznością. Nawet poprzez mury wyczuwało się szalony ruch panujący wewnątrz. Przypominało to ustawiczny warkot pracującej maszyny... zagarniającej stłoczone i ogłuszone klientki, aby odrzucić je następnie do kasy. Tłum kobiet z mechaniczną regularnością poddawał się przemocy stalowych trybów.

Od samego rana Denise walczyła z pokusą: ten ogromny magazyn, dokąd w ciągu jednej godziny wchodziło więcej ludzi niż w ciągu sześciu miesięcy do sklepu Cornaille'a, oszołamiał ją i pociągał. Nieprzeparta chęć wejścia do środka, połączona z niejasną obawą przed tym krokiem, nie dawała jej spokoju. Jednocześnie czuła się nieswojo u stryjostwa. Ogarniała ją niewytłumaczona pogarda i instynktowny wstręt do tej ciemnej nory, gdzie gnieździł się staroświecki handel. Wszystkie wrażenia, jakich doznała od chwili wejścia do sklepu, uczucie lęku, oziębłe przyjęcie, smutny posiłek w więziennym półmroku, wreszcie oczekiwanie w tej sennej ciszy zamierającego starego domu wywoływały w niej głuchy protest, pragnienie życia i światła. Mimo współczucia dla stryja oczy jej powracały wciąż do magazynu „Wszystko dla Pań”, jak gdyby jej natura ekspedientki czuła potrzebę ogrzania się w promieniach wspaniale prosperującego przedsiębiorstwa.

– Ale tam tłok! – wyrwał się jej okrzyk.

Pożałowała jednak tych słów widząc, że oboje Baudu stoją tuż przy niej. Pani Baudu przysłała do sklepu po skończonym posiłku i wpatrywała się teraz swoimi białymi oczami w magazyn naprzeciwko. Choć zrezygnowana, nie mogła patrzeć nań bez przyływu niemej rozpaczki i łez.

Genowefa z wzrastającym niepokojem obserwowała Colombana, który nie wiedząc, że jest śledzony, zachwyconym wzrokiem wpatrywał się w ekspedientki z działu konfekcji, snujące się za szybami na piętrze. Baudu, z twarzą gniewnie wykrzywioną, powiedział tylko:

– Nie wszystko złoto, co się świeci. Cierpliwości!

Najwidoczniej cała rodzina starała się przełknąć gorycz, która dławiała ich wszystkich. Miłość własna nie pozwalała im zbyt szybko ujawnić swoich najskrytszych uczuć przed przybyłymi dopiero tego ranka krewnymi. Kupiec z wysiłkiem oderwał oczy od magazynu po drugiej stronie ulicy.

– Chodźmy – rzekł – chodźmy do Vinçarda. Dużo jest amatorów na posady ekspedientów,

jutro już może być za późno.

Zanim jednak wyszli, kazał jeszcze młodszemu subiektowi przynieść z dworca walizkę Denise. Pani Baudu ze swojej strony nie tylko obiecała zająć się małym Pepi, ale podjęła się w wolnej chwili zaprowadzić go na ulicę des Orties do pani Gras i omówić z nią warunki. Janek przyrzekł siostrze, że nie ruszy się ze sklepu.

– Załatwimy wszystko w dwie minuty – tłumaczył Baudu idąc z bratanicą ulicą Gaillon. – Vinçard założył sklep z jedwabiami i nieźle mu się jeszcze powodzi. Ma oczywiście kłopoty jak każdy z nas, ale to spryciarz i jakoś wiąże koniec z końcem dzięki wielkiemu sknerstwu... Zdaje mi się jednak, że chce się wycofać z interesu, bo męczy go reumatyzm.

Magazyn znajdował się przy ulicy Neuve-des-Petits-Champs, obok pasażu Choiseul. Był czysty i jasny, urządzone dosyć elegancko i nowocześnie, ale mały i niezbyt zasobny w towary. Baudu i Denise zastali Vinçarda rozmawiającego z dwoma panami.

– Niech pan sobie nie przeszkadza – zawołał sukiennik. – Mamy czas, poczekamy. – Cofnął się przez dyskrecję ku drzwiom i nachylając się do ucha dziewczyny dodał: – Ten chudy to zastępca kierownika działu jedwabi w magazynie „Wszystko dla Pań”, a ten gruby to fabrykant z Lyonu.

Denise zrozumiała, że Vinçard chce namówić Robineau, subiekta z „Wszystko dla Pań”, do przejęcia swego sklepu. Wyglądał dobrodusznie i dawał słowo honoru z łatwością człowieka, dla którego przysięgi są chlebem powszednim. Według jego słów, sklep ów to złoty interes. Mimo kwitnącego wyglądu przerywał często rozmowę, aby stękać i skarżyć się na te przekłete bóle, które uniemożliwiają mu dorobienie się majątku. Ale Robineau, nerwowy i niespokojny, przerywał mu niecierpliwie. Mówił, że doskonale zdaje sobie sprawę z kryzysu, jaki dotknął „handel nowościami”, wymienił nawet pewien sklep branży jedwabniczej, który sąsiedztwo magazynu „Wszystko dla Pań” doprowadziło do bankructwa. Vinçard zapalił się i mówił podniesionym głosem:

– Do diaska! Ruina tego głupca Vabre była nieunikniona. Jego żona przejechała wszystko... A zresztą my tutaj jesteśmy oddaleni o przeszło pięćset metrów, podczas gdy sklep Vabre'a znajdował się tuż koło tamtego magazynu.

Wówczas do rozmowy wtrącił się fabrykant jedwabiu Gaujean. Głosy znowu przycichły. Gaujean oskarżał wielkie magazyny o rujnowanie przemysłu francuskiego. Trzy czy cztery wielkie domy handlowe dyktowały warunki i panowały niepodzielnie na rynku. Dawał też do zrozumienia, że jedynym sposobem zwalczania tych dyktatorów było popieranie drobnego kupiectwa, zwłaszcza kupców branż specjalnych, gdyż do nich właśnie należała przyszłość. Zapropował też subiektowi bardzo duże kredyty.

– Widzi pan, jak magazyn „Wszystko dla Pań” obszedł się z panem! – powtarzał. – Żadnej nagrody za oddane przez pana usługi. To są maszyny do eksploatacji ludzi!... Już dawno obiecali panu stanowisko kierownika działu, a tymczasem dostał je Bouthemont, pracownik nowy i bez żadnych zasług.

Robineau czuł jeszcze głęboką urazę z powodu tej niesprawiedliwości. Mimo to wahał się, czy kupić sklep, tłumacząc, że pieniądze na ten cel przeznaczone należą właściwie do jego żony. Pani Robineau odziedziczyła sześćdziesiąt tysięcy franków, a jej mąż obawiał się lekkomyślnie nimi rozporządzić i wolałby, jak się wyraził, kazać sobie uciąć obydwie ręce niż zaangażować te pieniądze w niepewne interesy.

– Nie – kończył – nie mogę się zdecydować. Dajcie mi czas do namysłu, panowie. Jeszcze o tym pogadamy.

– Jak pan sobie życzy – powiedział Vinçard pokrywając swój zawód dobroduszną miną. – Sprzedaż sklepu nie leży w moim interesie. Gdyby nie moje bóle... – Wyszedł na środek sklepu i powiedział: – Czym mogę panu służyć, panie Baudu?

Kupiec, który słuchał rozmowy jednym uchem, przedstawił Denise i w kilku słowach opowiedział o niej to, co uważał za stosowne, dodając, że pracowała dwa lata na prowincji.

– Słyszałem, że pan szuka dobrej ekspedientki...

Vinçard udał wielki żal.

– Doprawdy, co za pech! Przez cały tydzień szukałem panny sklepowej, ale właśnie przed dwiema godzinami przyjąłem kogoś...

Zapanowało milczenie. Denise wydawała się przerażona. Wówczas Robineau, przyglądający się młodej dziewczynie z zainteresowaniem i pełen współczucia dla jej ubożego wyglądu, pozwolił sobie na uwagę:

– Wiem, że u nas w dziale konfekcji potrzebna jest pracownica. Baudu nie mógł się powstrzymać od szczerego okrzyku:

– U was! Nie. to niemożliwe!

Powiedziawszy to, zmieszał się. Denise poczerwieniała. Nigdy nie miałyby odwagi prosić o pracę w takim wielkim magazynie. Jednocześnie sama myślała, że mogłaby się tam dostać, napelniała ją dumą.

– Dlaczego? – zapytał Robineau zdziwiony. – Przeciwnie, byłoby to bardzo korzystne dla pani. Radzę zgłosić się jutro rano do pani Aurelii, która jest kierowniczką działu. Nic pani nie ryzykuje. Najwyżej nie zostanie pani przyjęta.

Aby ukryć wzburzenie, stary kupiec zaczął się rozwódzić nad panią Aurelią, a raczej nad jej mężem, grubym kasjerem Lhomme, któremu omnibus zmiażdżył prawą rękę. Później,

wracając do sprawy Denise, rzekł szorstko:

– Zresztą, to jest jej sprawa, a nie moja... Może zrobić, jak zechce. Po czym, ukłoniwszy się, wyszedł. Vinçard odprowadził go do drzwi, raz jeszcze wyrażając swój żal. Dziewczyna stała onieśmielona na środku sklepu, pragnąc otrzymać od subiekta jakieś bliższe informacje. Nie śmiała go jednak pytać, więc również ukłoniła się i powiedziała tylko:

– Dziękuję panu.

Na ulicy Baudu nie odezwał się do niej ani słowem. Szedł szybko, jakby gnały go własne myśli. Denise z trudem dotrzymywała mu kroku. Na ulicy Michodière Baudu już miał wejść do siebie, gdy sąsiad stojący na progu swego sklepu przywołał go skinieniem ręki. Denise zatrzymała się czekając na stryja.

– O co chodzi, ojcie Bourras? – zapytał kupiec.

Bourras był wysokim, brodatym starcem o głowie proroka i przenikliwych oczach pod nastroszonymi brwiami. Miał sklep z laskami i parasolami; przyjmował stare do naprawy, a nawet sam rzeźbił rączki, co w całej dzielnicy zyskało mu sławę artysty. Denise rzuciła okiem na wystawę sklepową, gdzie parasole i laski ustawione, były w równych rzędach. Podniosła oczy: zadziwił ją dom:, rudera wciśnięta pomiędzy „Wszystko dla Pań” i wielki pałac w stylu Ludwika XIV. Dom ten wyrósł nie wiadomo jak w tej ciasnej szparze, a jego dwa niskie piętra dusiły się zgniecione między dwoma budynkami. Runąłby z pewnością, gdyby nie podpory z prawej i lewej strony. Dachówki były powykrzywiane i przegniłe, a dwuokienna fasada zarysowana i pokryta wielkimi plamami wilgoci, spływającej aż na szyld z na wpół zbutwiałej deski.

– Czy pan wie, że on zwrócił się do właściciela z propozycją kupna domu? – powiedział starzec wpatrując się roziskrzonymi oczami w twarz sąsiada.

Baudu zbladł jeszcze bardziej i przygarbił się. Nastąpiła chwila ciszy. Dwaj mężczyźni stali naprzeciwko siebie, poważnie zamyśleni.

– Należy być przygotowanym na wszystko – szepnął w końcu Baudu. Starzec uniósł się gniewem. Potrząsnął czupryną i obfitą brodą.

– Jeżeli kupi dom, zapłaci za niego czterokrotną wartość!... Ale przysięgam, że póki ja żyję, nie dostanie ani jednego kamienia. Mój kontrakt najmu wygasa dopiero za dwanaście lat... Zobaczmy!

Było to wypowiedzenie wojny. Bourras odwrócił się twarzą w stronę magazynu „Wszystko dla Pań”, którego nazwa nie padła ani razu w ich rozmowie. Baudu przez chwilę kiwał w milczeniu głową, po czym, zupełnie załamany, przeszedł przez jezdnię, aby wrócić do swego sklepu.

– Mój Boże, mój Boże! – powtórzył kilkakrotnie.

Denise, która słyszała całą rozmowę, szła teraz za stryjem. Pani Baudu powróciła już także z Pepim do domu. Oznajmiła, że pani Gras przyjmie małego w każdej chwili. Tylko Janka nie było w sklepie, co bardzo zaniepokoiło jego siostrę. Gdy wrócił wreszcie, ożywiony, opowiadając z przejęciem o tym, co widział na bulwarach, Denise popatrzyła nań z takim smutkiem, że zaczerwienił się ze wstydu. Przyniesiono już ich walizkę. Spać mieli na poddaszu.

– A jak tam u Vinçarda? – zapytała pani Baudu.

Kupiec opowiedział o bezowocnych staraniach, a następnie dodał, że bratanicy wskazano miejsce, gdzie mogłaby pracować. I wyciągając pogardliwym ruchem rękę w stronę magazynu „Wszystko dla Pań” rzucił:

– Tam!

Cała rodzina poczuła się dotknięta. Wieczorem pierwsza tura posiłku rozpoczynała się o godzinie piątej. Denise i chłopcy znowu zajęli miejsce przy stole razem ze stryjem, Genowefą i Colombanem. Mała jadalnia, przesycona zapachem kuchni, oświetlona była gazem. Posiłek upłynął w milczeniu. Przy deserze jednak pani Baudu, która nie mogła wytrzymać sama w sklepie, przysłała do jadalni i usiadła koło Denise. I wówczas wstrzymywany od rana potok żalu przerwał tamy. Obgadywanie potwora sprawiło wszystkim ulgę.

– To jest twoja rzecz, postąpisz, jak zechcesz – powtórzył zrazu Baudu. – Nie chcemy na ciebie wpływać... Ale żebyś ty wiedziała, co to za firma!

W urywanych zdaniach opowiedział historię Oktawa Mouret. Był to szczęściarz, jakich mało! Na bruk paryski spadł z południa Francji z pełną wdzięku zuchwałością awanturnika. Od razu też rozpoczęły się przygody miłosne, jakiś skandal z mężatką, o którym dotąd mówiła cała dzielnica. Potem nagły i niewytłumaczony podbój pani Hédouin, który przyniósł mu magazyn „Wszystko dla Pań”.

– Biedna Karolina! – przerwała pani Baudu. – Łączyło mnie z nią nawet dalekie pokrewieństwo. Gdyby żyła, wszystko przedstawiałoby się inaczej. Nie pozwoliłaby nas zamordować... I to on ją zabił. Tak, przez te swoje budowy. Pewnego ranka, zwiedzając teren robót, wpadła do jakiejś dziury. W trzy dni potem umarła. A zawsze była taka zdrowa, taka ładna i nigdy nie chorowała... Krew jest na fundamentach tego domu.

Błądą i drżącą dłonią wskazywała poprzez ściany wielki magazyn. Denise, słuchając tego opowiadania jak bajki, wzdygnęła się lekko. Strach, który tkwił od początku na dnie nurtującej ją pokusy, zrodził się może z krwi tej kobiety; zdawało jej się teraz, że widać krew na czerwonym tynku sutereny.

– Widocznie to mu przynosi szczęście – dodała pani Baudu, nie wymieniając nazwiska Moureta.

Baudu wzruszył ramionami, gardząc tymi babskimi bajkami, i na nowo wyjaśniał sytuację po kupiecku. Magazyn „Wszystko dla Pań” został założony w roku 1822 przez braci Deleuze. Po śmierci starszego brata jego córka Karolina poślubiła syna fabrykanta płócien, Karola Hédouin. Zostawszy wdową, po kilku latach wyszła powtórnie za mąż za Moureta. Przyniosła mu więc w wianie połowę magazynu. W trzy miesiące po ich ślubie stryj Deleuze zmarł nie pozostawiając dzieci. Gdy Karolina uległa wypadkowi na budowie, Mouret pozostał jedynym spadkobiercą i właścicielem magazynu. To się nazywa mieć szczęście!

– Mouret to człowiek pełen niebezpiecznych pomysłów, niespokojny duch gotów wyrzucić do góry nogami całą dzielnicę, jeśli zostawi mu się swobodę działania! – ciągnął dalej Baudu. – Myślę, że umiał pozyskać dla swoich szalonych projektów także i Karolinę, która zawsze była romantyczką. Namówił ją na kupno domu po lewej stronie, a później drugiego po prawej. Gdy pozostał sam, kupił jeszcze dwa inne. W ten sposób magazyn rozrósł się do tego stopnia, że teraz nam wszystkim grozi ruina.

Zwracał się do Denise, ale właściwie mówił do siebie, trawiony gorączkową potrzebą rozważenia raz jeszcze całej tej historii, która mu nie dawała spokoju. Był największym pasjonatem w rodzinie, zawsze gotowym do wybuchu. Pani Baudu nie wtrącała się już do rozmowy, siedząc nieruchomo na krześle. Genowefa i Colomban, spuściwszy oczy, machinalnie zbierali ze stołu i zjadali okruszyny chleba. W małym pokoju było tak duszno, że Pepi zasnął oparty o stół, a Jankowi zamykały się oczy.

– Cierpliwości! – zaczął znów Baudu, w którym wezbrała nagła fala gniewu. – Intryganci połamią sobie karki. Wiem, że Mouret przechodzi teraz kryzys. Włożył cały zysk w te szaleństwa inwestycyjne i reklamowe. Ponadto w celu powiększenia kapitału skłonił większość pracowników, aby powierzyli mu swoje oszczędności. Jest teraz bez grosza i jeżeli nie stanie się jakiś cud, jeżeli nie zdoła, jak się tego spodziewa, potroić dochodów, zobaczycie, co to będzie za krach!... Nie jestem złym człowiekiem, ale gdy do tego dojdzie, słowo daję, że będę się cieszył.

Mówił dalej mściwym głosem, jak gdyby bankructwo magazynu miało przywrócić zachwianą godność kupiectwa. Czy widział kto coś podobnego? Magazyn nowości, w którym sprzedaje się wszystko. To raczej bazar! Toteż ładny mają personel: stado firecyków manewrujących towarem jak wagonami na dworcu, traktujących towar i klientów jak paczki, porzucających pracodawcę lub oddalanych za byle głupstwo. Żadnego u nich nie ma uczucia, żadnych tradycji, żadnego kunsztu. Nagle Baudu zwrócił się do Colombana biorąc go za

świadka. On, Colomban, który wychował się w dobrej szkole, wie przecież doskonale, w jak powolny, ale niezawodny sposób dochodzi się do tej bystrości, do tej przebiegłości, koniecznych w ich fachu. Cała sztuka polega przecież nie na tym, aby sprzedawać dużo, ale na tym, aby sprzedawać drogo. Colomban może też powiedzieć, jak go traktowano, jak stał się członkiem rodziny, jak go pielęgnowano, gdy zachorował. Prano i reperowano jego bieliznę, opiekowano się nim po ojcowsku, otoczono go miłością.

– Naturalnie – przytakiwał Colomban za każdym okrzykiem pryncypała.

– Jesteś ostatnim, mój drogi – zakończył wzruszony pan Baudu. – Na tobie kończy się stara tradycja... Ty jeden jesteś moją pociechą, bo jeśli podobny bałagan nazywa się dzisiaj handlem, to nic z tego nie rozumiem i wolę odejść.

Genowefa, z głową spuszczoną na ramię jakby ciążyły jej czarne i gęste włosy, obserwowała z uśmiechem subiekta. W spojrzeniu jej tkwiło podejrzenie i ciekawość, czy Colomban nie zaczerwienił się z powodu tych niezasłużonych pochwał. Lecz jak przystało na młodzieńca otrząskanego z różnego rodzaju sztuczkami starego kupiectwa, zachował on spokojną postawę i dobroduszną minę, z właściwym sobie wyrazem chytrych w kąciку ust.

Tymczasem Baudu krzyczał jeszcze głośniejszym głosem, ciskając oskarżenia na ten wędrowny kram z przeciwka, na tych dzikusów, którzy mordują się nawzajem w ciągłej walce o byt, rozbijając nawet życie rodzinne. Wymienił przy tym sąsiadów ze wsi, Lhomme'ów. Cała rodzina – ojciec, matka i syn – pracowała w tej budzie. Nie mieli ogniska domowego, wiecznie przebywali w mieście, jadali u siebie jedynie w niedzielę, słowem, traktowali dom jak hotel. Zapewne, jadalnia za starym sklepem jest niewielka, można by jej zarzucić niedostatek światła i powietrza, ale tu przynajmniej skupiało się ich życie rodzinne, tutaj on, Baudu, przeżył lata otoczony miłością swych najbliższych. Mówiąc o tym kupiec wodził oczyma po ciasnej izbie; nie chciał dopuścić tej myśli, ale drżał, że te dzikusy mogłyby pewnego dnia doprowadzić jego sklep do bankructwa. wyrzucić go z tej dziury, z tego małego ciemnego pokoju, gdzie czuł się tak dobrze między żoną i córką. Mimo pewności siebie, z jaką przepowiadał niechybną ruinę wielkiego magazynu, był w głębi duszy przerażony, gdyż pojmował doskonale, że prędzej czy później wielki magazyn pochłonie całą dzielnicę.

– Nie mówię tego w tym celu, żeby cię zniechęcić – zaczął znowu starając się zachować spokój. – Jeżeli w twoim interesie jest przyjąć tam posadę, wierz mi, że ja pierwszy powiem ci: idź.

– Tak właśnie myślę, stryju – szepnęła oszołomiona Denise.

Im więcej słyszała złego o magazynie „Wszystko dla Pań”, tym goręcej pragnęła tam pracować.

Baudu oparł się łokciami o stół i zaczął się w nią wpatrywać.

– Powiedz mi, moja droga, przecież znasz się na tym, czy jest rzeczą rozsądną, aby magazyn nowości zabierał się do sprzedawania byle czego? Za dawnych uczciwych czasów handel nowości obejmował wyłącznie tkaniny. Dzisiaj chciałby pochłonąć wszystkie inne specjalności. Skarży się na to cała dzielnica, ponieważ małe sklepy zaczynają z tego powodu dotkliwie cierpieć... Ten Mouret rujnuje je... Posłuchaj tylko! Firma Bedore, ten sklep z trykotażami przy ulicy Gaillon, straciła już połowę klienteli. Panna Tatin, bieliźniarka z pasażu Choiseul, musiała obniżyć ceny, aby walczyć z konkurencją. Skutki tej zarazy, tej klęski żywiołowej, odczuwa się aż na ulicy Neuve-des-Petits-Champs, gdzie, jak słyszałem, bracia Vanpouille, kuśnierze, zwijają interes nie mogąc już dłużej walczyć... Jak ci się to podoba? W sklepie galanteryjnym sprzedają futra! Przecież to śmieszne! To jeszcze jeden z pomysłów Moureta.

– A rękawiczki?– wtrąciła pani Baudu. – Czy to nie jest potworne? On ośmielił się wprowadzić dział rękawiczek! Wczoraj, kiedy przechodziłam ulicą Neuve-Saint-Augustin, pan Quinette stał w progu swego sklepu z miną tak smutną, że nie odważyłam się zapytać, jak mu się powodzi.

– A parasole? – podjął Baudu. – To już jest szczyt wszystkiego. Bourras jest przekonany, że Mouret chce go po prostu zrujnować. Bo, rzeczywiście, cóż mają ze sobą wspólnego tkaniny i parasole?... Ale Bourras trzyma się mocno i nie pozwoli zrobić sobie krzywdy. Zdaje się, że uśmiejemy się w najbliższych dniach.

Baudu mówił kolejno o innych kupcach w całej dzielnicy. Chwilami wymykały mu się smętne refleksje: jeśli Vinçard chce sprzedać swój sklep, to właściwie wszyscy mogą pakować manatki, bo Vinçard jest jak szczur uciekający z zagrożonego katastrofą domu. Ale zaraz przeczył swoim słowom, marzył o jakimś związku czy wspólnej akcji drobnych detalistów, aby stawić czoło kolosowi. Przez chwilę wahał się, czy ma mówić o sobie. Ręce mu drżały, usta wykrzywił nerwowy grymas. Wreszcie zdecydował się.

– Jeśli o mnie chodzi, to dotąd nie mam powodu zbytnio się skarżyć. Zrobił mi krzywdę ten łajdak, to prawda. Ale trzyma u siebie tylko lekkie damskie sukna i grubsze na płaszcze. Do mnie natomiast przychodzą ludzie kupować materiały na ubrania męskie, welwety sportowe, różne gatunki materiału na liberie, nie mówiąc już o flanelach i multonach, których mamy bez wątpienia większy wybór niż on... Widzę tylko, że robi mi na złość; myśli, że wyprowadzi mnie z równowagi umieszczając swoje sukna właśnie naprzeciwko mojego sklepu. Oglądałaś dzisiaj wystawę. Pakuje tam bez przerwy swoje najpiękniejsze artykuły konfekcyjne w obramowaniu sztuk sukna, jakby to były popisy linoskoczków w celu

zwabienia kobiet... Słowo daje, że wstydziłbym się używać podobnych sposobów. Moja firma znana jest blisko od stu lat i nie potrzebuje pułapek, aby pozyskać sobie klientów. Póki żyję, sklep pozostanie taki, jakim go zastałem z czterema sztukami materii po prawej i po lewej stronie wystawy, nic więcej.

Wszystkich ogarnęło wzruszenie. Genowefa odezwała się po chwili milczenia:

– Nasza klientela lubi nas, ojciec. Nie trzeba tracić nadziei... Właśnie dzisiaj przyszły dwie klientki, pani Desforges i pani de Boves. Należy spodziewać się w tych dniach wizyty pani Marty w sprawie zakupu flaneli.

– Dostałem wczoraj zamówienie od pani Bourdelais – oświadczył Colombar. – Co prawda, mówiła mi o jakimś angielskim szewiocie, wystawionym naprzeciwko o pół franka taniej niż u nas i podobno w takim samym gatunku.

– Kto by to powiedział – szepnęła zmęczonym głosem pani Baudu – że widzieliśmy niedawno tę firmę nie większą od chustki do nosa. Wierz mi, Denise: kiedy bracia Deleuze założyli ją, miała tylko jedno okno wystawowe wychodzące na ulicę Neuve-Saint-Augustin. Wyglądało to jak szafa w murze, w której leżały stłoczone dwie sztuki kretonu i trzy sztuki perkalu. W sklepie nie można było się obrócić – taki był mały... W tym czasie nasza firma, istniejąca od przeszło sześćdziesięciu lat, wyglądała tak samo, jak ją widzisz dzisiaj... Jak się to wszystko zmienia!

Potrząsała głową, a powoli i z trudem wymawiane słowa zdradzały dramat jej życia. Urodziła się tutaj i pokochała te wilgotne mury. Żyła tylko dla sklepu. Z niego czerpała życie. Kiedyś stanowił on jej dumę, był największy, najlepiej zaopatrzony w całej dzielnicy. Toteż z bólem patrzyła, jak konkurencyjny magazyn rozrasta się stopniowo, lecz stale. Z początku gardziła nim, potem uważała za równy, aż w końcu zorientowała się, że staje się groźnym konkurentem. Myśli takie były nigdy nie zasklepioną raną, świadomość upadku „Manufaktur z Elbeuf” – udrekną tak dotkliwą, że żyła tylko, podobnie jak jej stara firma, siłą rozpędu, nie wątpiąc, iż agonia sklepu będzie zarazem jej agonią i że umrze w dniu jego zamknięcia.

Zapanowało milczenie. Baudu bębnił palcami po ceracie. Czuł wielkie zmęczenie i prawie żałował, że dał upust swoim uczuciom. Cała rodzina, równie zresztą zgnębiona, rozpamiętywała ze łzami w oczach swoją gorzką dolę. Szczęście zawsze omijało ich dom. Gdy dzieci podrosły i firma prosperowała, natychmiast znalazł się nowy powód do zmartwienia – pojawiał się nagle konkurencyjny magazyn, a z nim groźba ruiny. Baudu mieli jeszcze co prawda dom w Rambouillet, kupiony wyjątkowo tanio, jak zwykł mawiać ojciec rodziny, który od dziesięciu lat marzył, aby tam zamieszkać na starość. Była to jednak stara rudera, wymagająca ciągłych wkładów i zamieszkała przez lokatorów nigdy nie płacących

komornego. Dom ten, pochłaniający wszystkie dochody, stanowił jedyną słabość starego kupca, znanego powszechnie ze swej drobiazgowej uczciwości i uporu w pielęgnowaniu starych obyczajów.

– Dostyc tego gadania – oświadczył nagle Baudu. – Trzeba ustąpić miejsca innym... Po co było niepotrzebnie strześć sobie język!

Wszyscy jakby ocknęli się. Płomień gazowej lampy syczał w dusznym i gorącym powietrzu ciasnego pomieszczenia. Porwano się z miejsc przerywając smutną ciszę. Mały Pepi spał tak mocno, że ułożono go w sklepie na sztukach multonu. Janek, ziewając, stanął znowu przy drzwiach wejściowych.

– Żeby już nie wracać do tej sprawy, powtarzam ci, że zrobisz, jak zechcesz – powiedział znów Baudu zwracając się do bratanicy. – Opowiadamy ci tylko o pewnych rzeczach po to, żebyś wiedziała... Ale o swoich sprawach decyduj sama.

Mówiąc to stary człowiek zapytywał wzrokiem Denise oczekując ostatecznej odpowiedzi. Dziewczyna, którą usłyszane historie zamiast odstręczyć jeszcze bardziej pociągały do wielkiego magazynu, zachowała całkowity spokój i z łagodnym wyrazem twarzy, nacechowanym jednak normandzkim uporem, odpowiedziała krótko:

– Zobaczymy, stryju.

Zacząła też zaraz mówić o tym, że należałoby iść wcześniej spać, bo wszyscy troje są bardzo zmęczeni. Ponieważ jednak była zaledwie szósta, zgodziła się zostać jeszcze przez chwilę w sklepie. Noc już zapadała, ulica była czarna, mokra od drobnego i gęstego deszczu, który padał od zachodu słońca. Była to dla dziewczyny niespodzianka: w ciągu kilku chwil jezdnia pokryta się kałużami, rynsztoki napelniły się brudną wodą, a gęste, rozdeptane błoto oblepiło chodniki. W strugach deszczu widać było tylko maszerujące i popychające się parasole, tak wydęte, że przypominały w mroku wielkie, ciemne skrzydła. Denise cofnęła się zrazu, drżąc z zimna, lecz serce jej ścisnęło się jeszcze bardziej pod wrażeniem źle oświetlonego sklepu, który o tej porze stał się jeszcze bardziej ponury niż za dnia. Z ulicy szedł wilgotny podmuch, oddech starej części miasta. Wydawało się, że woda ściekająca z parasoli dosięga lady sklepowej, że błoto i kałuże z ulicy dostają się do środka, osiadając pleśnią na białych od saletry ścianach starego sklepu. Dziewczyna drżała patrząc na ociekającą deszczem starą dzielnicę Paryża, zdziwiona i zmartwiona odkryciem, że to wielkie miasto może być tak lodowato chłodne i takie brzydkie.

Po przeciwnej stronie ulicy w magazynie „Wszystko dla Pań” zapalały się długie szeregi lamp gazowych. Denise podeszła znowu do drzwi. To gorejące ognisko światła pociągało ją i jakby rozgrzewało. Warkocząca maszyna wciąż jeszcze była w ruchu, lecz bieg jej stawał się

powolniejszy, ostatnim kłębowi pary towarzyszyły ostatnie pomruki; sprzedawcy układali materiały, kasjerzy obliczali pieniądze. Przez zamglone od deszczu lustrzane szyby widać było migotliwe błyski, jakby niewyraźne wnętrza fabryki. Poza zasłoną padającego deszczu ten odległy i zamazany obraz robił wrażenie olbrzymiej kotłowni, w której snuły się czarne cienie palaczy na tle czerwonego ognia pieców. Okna wystawowe naprzeciwko tonęły w półmroku. Jasną plamę stanowiły jedynie koronki, których śnieżną biel ożywiało światło płynące z matowych kloszy kinkietów gazowych. Na tle tego kaplicznego wnętrza artykuły konfekcyjne nabierały wyrazistości. Można było rozpoznać wygięty profil manekina bez głowy, odzianego w wielki aksamitny płaszcz przybrany srebrnymi lisami. Manekin zdawał się biec wśród ulewy w nieznane mroki Paryża, na zabawę.

Denise, ulegając pokusie, podeszła do samych drzwi nie zważając na pryskające krople deszczu. O tej wieczornej porze magazyn jarzący się potężnym blaskiem ostatecznie pozyskał jej serce. Na tle wielkiego, ciemnego i milczącego w tę dżdżystą noc, nie znanego jej Paryża magazyn płonął jak latarnia i wydawał się jedynym źródłem światła i życia w całym mieście. Denise w marzeniach łączyła już z nim całą swoją przyszłość, wytężoną pracę, żeby zapewnić braciom wychowanie, pracę i jeszcze coś więcej, coś czego nie umiała nazwać, przed czym drżała z pragnienia i lęku. Przypomniała sobie tamtą kobietę, która poniosła śmierć w fundamentach gmachu. Zdjął ją strach, wydało jej się, że światła ociekają krwią; ale po chwili biel koronek uspokoiła ją; nabrała otuchy, wręcz pewności przyszłego szczęścia. Tymczasem drobne kropelki deszczu chłodziły jej ręce i łagodziły gorączkę wyczekiwania.

– To Bourras – usłyszała za plecami czyjś głos.

Wychyliła się i spostrzegła na rogu ulicy wysokiego starca, stojącego nieruchomo przed witryną, w której rano zauważyła pomysłową konstrukcję ułożoną z lasek i parasoli. Bourras schował się w cieniu i sycił oczy wspaniałą wystawą. Twarz miał zboląłą, nie czuł nawet deszczu padającego mu na odkrytą głowę i ściekającego kroplami z siwych włosów.

– A to wariat, przecież on się zaziębi.

Wówczas odwróciwszy się Denise zobaczyła, że oboje Baudu stali znów za nią. Mimo woli, podobnie jak Bourras, którego nazywali wariatem, powracali wciąż do tego widoku rozdzierającego im serce. Była w tym jakaś zaciekle potrzebą cierpienia. Genowefa, bardzo blada, stwierdziła, że Colomban przygląda się rysującym się na szybach ceniom sprzedawczyń. Baudu dusił się od hamowanej wściekłości, oczy jego żony napęły się łzami.

– Zgłosisz się do nich jutro, prawda? – zapytał wreszcie kupiec dręczony niepewnością, czując, że podobnie jak inni bratanica uległa urokowi magazynu.

Denise zawahała się przez chwilę, a potem odrzekła łagodnie:

– Tak, jeżeli to nie sprawi stryjowi zbyt wielkiej przykrości.

II

Nazajutrz o pół do ósmej Denise znajdowała się już przed magazynem „Wszystko dla Pań”. Chciała załatwić swoją sprawę, zanim zaprowadzi Janka do jego pracodawcy, który mieszkał daleko, w górnej części przedmieścia Tempie. Przyzwyczajona do wczesnego wstawania, pośpieszyła się zanadto: sprzedawcy dopiero się schodzili. Onieśmielona, lękając się śmieszności, dreptała czas jakiś w miejscu na placu Gaillon.

Zimny wiatr osuszył już chodniki. Z wylotów wszystkich ulic, oświetlonych bladym, porannym światłem sączącym się z nieba barwy popiołu, wypadali pośpiesznie subiekci, z podniesionymi kołnierzami u palt, z rękami w kieszeniach, zaskoczeni pierwszym dreszczem zimy. Szli przeważnie pojedynczo i znikali w drzwiach magazynu bez jednego słowa, bez jednego spojrzenia nawet w stronę kolegów biegnących tuż obok; inni nadchodzili po dwóch lub po trzech, rozmawiając z ożywieniem i zajmując całą szerokość chodnika. Wszyscy przed wejściem jednakowym gestem rzucali do rynsztoka niedopałki papierosów lub cygar.

Denise spostrzegła, że wielu z nich przygląda się jej uważnie. Wzmogło to jeszcze jej nieśmiałość. Zabrakło jej sił, aby iść za nimi, i postanowiła zaczekać, aż wszyscy wejdą. Rumieniec oblewał ją na samą myśl, że mogłaby znaleźć się w drzwiach razem z tym tłumem mężczyzn. Lecz fala subiektów wciąż płynęła w kierunku sklepu i Denise, chcąc uniknąć krępujących ją spojrzeń, okrążyła wolno cały plac. Gdy wróciła na dawne miejsce, zastała stojącego przed drzwiami magazynu wysokiego bladego młodzieńca o niezdarnych ruchach. Czekał już tutaj, podobnie jak ona, od kwadransa.

– Przepraszam panią, czy pani nie jest przypadkiem ekspedientką w tym magazynie? – zapytał jąkając się.

Zagadnięta przez nieznanego, Denise zmieszana się do tego stopnia, iż nie mogła zdobyć się na odpowiedź.

– Widzi pani – mówił dalej, gmatwając się jeszcze bardziej – chcę się dowiedzieć, czy nie mogliby mnie tutaj przyjąć, i chciałem zasięgnąć u pani informacji.

Młodzieniec był równie onieśmielony jak Denise, lecz widząc, że jest podobnie jak i on zmieszana, odważył się jednak zaczepić ją.

– Udzieliłabym panu informacji z przyjemnością – rzekła wreszcie – ale jestem w takim samym położeniu jak pan. Przyszłam tutaj szukać pracy.

– Ach, tak – powiedział, zupełnie zbity z tropu.

Zaczerwienili się oboje, wzruszeni podobieństwem sytuacji, nie ośmielając się jednak wyrazić wzajemnych życzeń pomyślności. Nie mieli sobie już nic więcej do powiedzenia i skrepowanie ich wzrastało, rozstali się więc niezręcznie i stanąwszy o kilka kroków jedno od drugiego czekali znów – każde z osobna.

Subiekci schodzili się ciągle. Denise słyszała, jak żartowali rzucając spojrzenia w jej stronę. Wstydząc się coraz bardziej, że robi z siebie widowisko, postanowiła przejść się po sąsiednich ulicach. Nagle zauważyła jakiegoś młodego człowieka spieszenie idącego ulicą Port-Mahon. Zatrzymała się więc jeszcze na chwilę. Musiał być chyba kierownikiem działu, bo wszyscy subiekci kłaniali mu się uprzejmie. Wysoki pan miał jasną cerę i starannie utrzymaną brodę. Gdy Denise przechodziła przez plac, oczy jego, koloru starego złota, miękkie jak aksamit, zatrzymały się przez sekundę na niej. Wszedł do magazynu myśląc już o czymś innym, a ona, wstrząśnięta tym spojrzeniem, stała nieruchomo, ulegając dziwnemu wzruszeniu, w którym więcej było niepokoju niż zachwyty. Znów ogarniał ją strach. Aby nabrać odwagi, przeszła wolno wzdłuż ulicy Gaillon, a następnie skręciła w ulicę Świętego Rocha.

Nieznajomy był czymś więcej niż kierownikiem działu, był to Oktaw Mouret we własnej osobie. Nie spał tej nocy ani chwili. Wieczór spędził u maklera, a potem poszedł na kolację w towarzystwie przyjaciela i dwu aktorek z jakiegoś małego teatryku paryskiego. Wysoko zapięte palto zakrywało frak i biały krawat. Wbiegł po schodach do swego mieszkania, umył się i przebrał. Gdy usiadł przed biurkiem w swoim gabinecie na pierwszym piętrze, miał zdrowy wygląd, bystre spojrzenie i świeżą cerę. Zatopił się w pracy tak żywo, jakby spędził dziesięć godzin w łóżku. Jediną ozdobę obszernego gabinetu z meblami ze starego dębu, obitymi zielonym rypsem, stanowił portret pani Hédouin, tej pani Hédouin, na której temat ciągle jeszcze krążyły plotki. Gdy umarła. Oktaw wspominał ją z rozrzewnieniem, zachowując ją we wdzięcznej pamięci za majątek, którym go obdarzyła. Teraz również, gdy zabierał się do podpisywania weksli leżących przed nim, spojrzał na portret z uśmiechem człowieka szczęśliwego. Po każdej eskapadzie, po każdej z miłosnych przygód, do których

popychała go nieprzeparta chęć używania życia, młody wdowiec powracał do tego gabinetu i pracował przed portretem zmarłej żony.

Ktoś zapukał i wszedł nie czekając na zaproszenie. Był to wysoki i chudy mężczyzna, młody jeszcze, o wąskich wargach i spiczastym nosie; gładko przyczesane siwiejące włosy nadawały mu wygląd bardzo dystyngowany. Mouret podniósł na wchodzącego oczy i nie przerywając roboty zapytał:

– Jak się spało, Bourdoncle?

– Dziękuję, bardzo dobrze – odpowiedział młody człowiek przechadzając się po pokoju, jakby był u siebie.

Bourdoncle był synem ubogiego gospodarza z okolic Limoges. Rozpoczął pracę w magazynie „Wszystko dla Pań” równocześnie z Mouretem, w okresie gdy magazyn zajmował tylko róg placu Gaillon. Inteligentny, bardzo energiczny, Bourdoncle mógł z łatwością prześcignąć kolegę, który był z natury mniej poważny, skłonny do wykrętów, bardzo roztargniony i stale zaplątany w niepokojące historyjki z kobietami. Bourdoncle nie miał jednak genialnych pomysłów, właściwych temu namiętnemu Prowansalczykowi, ani też jego odwagi i zwycięskiego wdzięku. Toteż wiedziony instynktem człowieka rozumnego, od razu bez walki uznał jego wyższość nad sobą i okazywał mu całkowitą uległość. Gdy Mouret poradził swym pracownikom ulokowanie pieniędzy w firmie, Bourdoncle uczynił to jako jeden z pierwszych, powierzając przyjacielowi nawet odziedziczony niespodzianie spadek po ciotce. Przechodząc powoli wszystkie stopnie hierarchii kupieckiej, Bourdoncle został w końcu jednym z zastępców pryncypała, najbardziej lubianym i najchętniej słuchanym, jednym, z sześciu najbliższych pracowników, którzy pomagali Mouretowi w zarządzaniu magazynem i stanowili coś w rodzaju rady ministrów w rządzie absolutnego władcy. Każdy z nich czuwał nad jedną prowincją, Bourdoncle sprawował urząd generalnego nadzorcy.

– A ty – zapytał poufale – spałeś dobrze? Kiedy Mouret odpowiedział, że nie kładł się wcale tej nocy, Bourdoncle pokiwał głową szepcząc:

– Rujnujesz zdrowie.

– Cóż znowu! – odpowiedział tamten wesoło. – Jestem mniej zmęczony niż ty, mój drogi. Masz oczy zapuchnięte od snu, a zbytek rozsądku czyni cię ociężałym. Baw się, to pobudza wyobraźnię.

Była to ich zwykła przyjacielska sprzeczka. Początkowo Bourdoncle bił swoje kochanki, gdyż – jak mówił – nie dawały mu spać. Teraz chwalił się tym, że nienawidzi kobiet, choć miewał z pewnością romanse na mieście. Zajmowały one jednak tak mało miejsca w jego życiu, że nigdy nawet o nich nie wspominał. W magazynie naciągał klientki, a jednocześnie

pogardzał nimi za to, że tak bezmyślnie trwoniły pieniądze na głupie fatalaszki. Mouret – przeciwnie – był w stosunku do kobiet miły. a nawet czarujący, udawał, że się każdą zachwyca. Stale miał jakieś miłostki. Jego szaleństwa stanowiły doskonałą reklamę dla magazynu. Można by powiedzieć, że otacza tkliwością całą pleć piękną jedynie po to, aby tym łatwiej oszołamiać i ujarzmić wszystkie kobiety.

– Widziałem tej nocy panią Desforges – podjął znowu. – Ślicznie wyglądała na balu.

– To z nią jadłeś potem kolację? – zapytał Bourdoncle. Mouret zaprzeczył gwałtownie:

– Ale skądże. To bardzo porządna kobieta, mój drogi. Jadłem kolację z Heloizą, tą małą z teatryku „Folies”. Jest głupia jak gęś, ale bardzo zabawna.

Wziął drugą paczkę weksli i podpisywał dalej; Bourdoncle wciąż spacerował drobnymi krokami. Podszedł do wielkich lustrzanych szyb okiennych i przez chwilę obserwował ulicę Neuve-Saint-Augustin. Następnie wrócił do biurka i powiedział:

– A wiesz, że one się zemszczą.

– Kto? – spytał Mouret zapominając już o poprzedniej rozmowie.

– Kobiety.

Wówczas Mouret poweselał jeszcze bardziej; zdradził tym, ile brutalności kryło się pod pozorem zmysłowego uwielbienia. Wzruszył ramionami, jakby oświadczając, że kiedy z pomocą kobiet zdobędzie majątek – odrzuci je wszystkie, tak jak się wyrzuca puste worki. Bourdoncle upierał się przy swoim i rzekł chłodno:

– One się zemszczą z pewnością... Znajdzie się jedna kobieta, która pomści wszystkie inne. To jest nieuniknione.

– Nie bój się! – zawołał Mouret przesadnie prowansalskim akcentem. – Jeszcze się taka nie urodziła, mój stary. A jeśli przyjdzie, to wiesz, co się stanie...

Podniósł pióro, potrząsnął nim i uderzył niby sztyletem w pustkę, jakby chciał przeszyść jakieś niewidzialne serce. Bourdoncle znowu zaczął chodzić po pokoju ulegając jak zwykle wyższości pryncypała, stropiony jednak ułomnościami charakteru tego genialnego człowieka. Własna prostolinijność, logika, brak namiętności, rozsądek wreszcie, wykluczający wprost jakiegokolwiek potknięcie, utrudniały mu zrozumienie tego zależnego od kobiet powodzenia, którego symbolem był Paryż, oddający się w pocałunku najodważniejszemu.

Zapanowało milczenie. Słyszeć było tylko skrzywienie pióra Moureta. Po chwili, w odpowiedzi na krótkie pytania pryncypała, Bourdoncle udzielił mu wyjaśnień w związku z mającą się rozpocząć w najbliższy poniedziałek wielką akcją sprzedaży zimowych artykułów konfekcyjnych. Było to przedsięwzięcie bardzo poważne, ponieważ firma stawiała tu na kartę cały swój majątek. W plotkach obiegających dzielnicę było dużo prawdy. Mouret uprawiał

spekulację z fantazją, z taką rozrzutnością, z takim kolosalnym rozmachem, że wydawało się, iż skończy bankructwem. Motywem jego postępowania było zupełnie nowe pojęcie handlu, na pozór czysta fantazja, która niegdyś tak niepokoiła panią Hédouin i która dziś jeszcze, pomimo pierwszych odniesionych sukcesów, wciąż przerażała udziałowców. Po cichu zarzucali oni Mouretowi zbyt pośpieszne tempo. Oskarżali go, że w sposób ryzykowny powiększył magazyn, nie zapewniwszy sobie uprzednio dostatecznie licznej klienteli; drżeli zwłaszcza widząc, że cały dochód stawiał na jedną kartę, gromadził wielkie ilości towarów w sklepie, nie zachowując ani grosza rezerw. Po znacznych wydatkach na roboty murarskie przygotowania do wyprzedaży pochłonęły resztę kapitału. Raz jeszcze wszystko składano w ręce losu. Wynik mógł być tylko jeden: zwycięstwo albo śmierć. W przeciwieństwie do niepokoju najbliższych współpracowników, sam Mouret – jak przystało na człowieka uwielbianego przez kobiety i wykluczającego jakąkolwiek możliwość niepowodzenia – zachował dobry humor i pewność, że dorobi się milionowego majątku. Gdy Bourdoncle pozwolił sobie na wyrażenie obaw z powodu nadmiernej rozbudowy działów, których dochodowość była wątpliwa, Mouret zaśmiał się pełen ufności i wykrzyknął:

– Co znowu, mój drogi, przeciwnie, magazyn jest za mały!

Bourdoncle zdębiał i nie potrafił ukryć lęku. Co takiego? Magazyn jest za mały? Dom towarowy obejmujący dziewiętnaście działów i zatrudniający czterystu trzech pracowników?

– Ależ tak, z pewnością – mówił Mouret. – Zobaczysz, że jeszcze przed upływem półtora roku będziemy musieli powiększyć lokal... Myślę już o tym poważnie. Właśnie wczoraj wieczór pani Desforges obiecała mi, że jutro spotkam u niej kogoś... Zresztą pogadamy jeszcze o tym, gdy sprawa dojrzeje.

Skończywszy podpisywanie weksli Mouret podniósł się z fotela i przyjacielsko poklepał po ramieniu kolegę, który nie mógł ochłonąć ze zdumienia. Bawiło go to przerażenie rozsądnych ludzi, z którym spotykał się na każdym kroku. W przystępie nagłej szczerości, jaką obdarzał czasem najbliższych pracowników, przyznał się przyjacielowi, że w gruncie rzeczy jest człowiekiem niezwykle wyrachowanym i chciwym. Odziedziczył tę cechę po ojcu, tęgim zuchem, znającym doskonale wartość pieniądza. A Mouret – zarówno fizycznie, jak moralnie – był do ojca bardzo podobny. Matka natomiast dała mu to, co uważał za najistotniejszą tajemnicę swojego powodzenia – odrobinę chorobliwej fantazji. Tej właśnie fantazji zawdzięczał nieprzewyciężoną siłę, dzięki której ważył się na wszystko.

– Wiesz doskonale, że zawsze z tobą trzymamy – powiedział w końcu Bourdoncle.

Zanim jednak zeszli do magazynu na codzienną inspekcję, omówili jeszcze kilka drobnych spraw. Obejrzeliby wzór małego bloczka, rodzaj kwitariusza, który Mouret wymyślił do

notowania sprzedaży. Zauważył bowiem, że towary, które już wyszły z mody, rozchwytywano tym szybciej, im premia sprzedawców była wyższa. Na tej właśnie obserwacji oparł nową zasadę handlu. Odtąd dopuszczał swoich pracowników do udziału w zyskach ze sprzedaży każdego towaru; dawał im pewien procent od najmniejszego nawet skrawka materiału, od każdego sprzedanego przez nich przedmiotu. Tego rodzaju taktyka powodowała przewrót w handlu i stwarzała wśród sprzedawców rywalizację, na czym korzystali właściciele. Walka ta stawała się ulubioną metodą Moureta, zasadą, którą stale stosował. Wyzwalał w ten sposób namiętności, pobudzał do wysiłku, dopuszczał wreszcie, aby silni zjadali słabych, a sam tuczył się przy tym najbardziej. Wzór bloczka został przyjęty. U góry na grzbiecie i na kartce przeznaczony do oderwania powtarzała się nazwa działu i numer sprzedawcy, a ponadto kolumny wskazujące metraż, nazwę przedmiotu i cenę. Sprzedawca podpisywał tylko rachunek przed oddaniem go kasjerowi. W ten sposób kontrola sprzedanych towarów była znacznie łatwiejsza, wystarczyło bowiem porównać rachunki oddane przez kasę do buchalterii z grzbietem bloczka, który pozostawał w rękach subiekta. Co tydzień pracownicy mieli podejmować w ten sposób procent i premię bez żadnych trudności.

– Mniej nas będą okradać – zauważył Bourdoncle z zadowoleniem. – Miałeś doskonały pomysł!

– Myślałem tej nocy nad inną jeszcze sprawą – powiedział Mouret. – Tak, mój drogi, tej właśnie nocy podczas kolacji... Mam ochotę dać naszym urzędnikom z buchalterii małą premię za każdy błąd, który odkryją przy porównywaniu kwitów sprzedaży. Zyskamy wówczas pewność, że nie będą robić tego niedbale, raczej okażą nadmiar gorliwości.

Zaczął się śmiać. Bourdoncle patrzył na niego z nie ukrywanym podziwem. To nowe zastosowanie walki o byt odpowiadało Oktawowi, miał bowiem wycucie mechanizmu administracji i marzył o takim zorganizowaniu swego domu towarowego, aby – wykorzystując chciwość innych – nasycić własną. Mawiał często, że gdy chce się z ludzi wydobyć największy wysiłek, na jaki ich stać, i wykrzesać z nich odrobinę uczciwości, należy przede wszystkim zagrać na ich apetytach.

– Zejdźmy na dół – powiedział Mouret. – Trzeba się zająć naszą wielką sprzedażą... Jedwabie nadeszły, zdaje się, wczoraj i Bouthemont powinien być już w składach.

Bourdoncle towarzyszył mu. Składy znajdowały się w podziemiu od strony ulicy Neuve-Saint-Augustin. Na równym poziomie z chodnikiem otwierała się tam oszklona klatka, do której z platform wyladowywano towary. Towary te ważono, a następnie zrzucano na stromy ześlizg. Dębowe drzewo i okucia pochylni błyszczały od nieustannego tarcia o bele i paki

materiału. Przez to szeroko otwarte okno spustowe przepływały wszystkie nabyte towary; spychane tkaniny spadały jak fale grzmiącego potoku. Zwłaszcza w okresie wielkich wyprzedaży spływał tędy niekończący się strumień materiałów – lyońskich jedwabii, angielskich welen, flandryjskich płócien, alzackich perkali i normandzkich kretonów. Bywało tak, że platformy stały szeregiem czekając na swoją kolej. Spadające sztuki materiału wydawały odgłos podobny do odgłosu kamienia wrzucanego do głębokiej wody.

Mouret zatrzymał się na chwilę przed będącym właśnie w ruchu ześlizgiem. Skrzynki jedna za drugą spadały jakby same, nie było bowiem widać rąk robotników, którzy je spychali. Wydawało się, że lecą bez żadnego impulsu z zewnątrz, płyną jak woda z góry, nie wiadomo skąd. Później ukazywały się bele materiału. Toczyły się, koziółkując, jak kamienie. Mouret przypatrywał się w milczeniu. Ten potop towarów, zalewający jego magazyn i niosący ze sobą tysiące franków na minutę, zapalał błyski w jego jasnych oczach. Nigdy jeszcze nie uświadamiał sobie tak wyraźnie rozmiarów walki, jaką podejmował. Tę lawinę towarów należało rzucić na cały Paryż. Mouret milczał i patrzył.

W szarawym świetle, które wpadało przez szerokie okna sutereny, jedna grupa ludzi przyjmowała towar, inna wyjmowała gwoździe z paczek i rozpakowywała bele materiału. Praca odbywała się pod nadzorem kierowników działów. Wśród żelaznych filarów podtrzymujących sklepienie i nagich, cementowanych murów podziemie tętniło pracowitym gwarem.

– Czy otrzymał pan już wszystko, Bouthemont? – zapytał Mouret zbliżając się do młodego, barczystego człowieka, który właśnie sprawdzał zawartość jednej ze skrzynek.

– Tak, wszystko powinno być w porządku – odpowiedział zapytany. – Będę miał z tym robotę aż do południa.

Stojąc przed wielką ladą, na której jeden z jego pracowników układał kolejno sztuki jedwabnego materiału wyjęte ze skrzynki, kierownik działu rzutem oka sprawdzał rachunek. W głębi znajdowały się inne lada, również zawałone towarem. Cały tłum subiektów pochylał się nad nimi. Był to generalny wyładunek, pełen pozornego nieładu, nagromadzenie materiałów, które kolejno oglądano, przewracano, znaczone. Całej tej pracy towarzyszył nieustający gwar głosów.

Bouthemont, który zdobył już pewną sławę na rynku, miał okrągłą twarz wesołego kumotra, czarną jak atrament brodę i piękne, orzechowego koloru oczy. Pochodził z Montpellier. Był hulaką, krzykaczem i jako sprzedawca okazał się raczej mierny. Natomiast nikt nie mógł dorównać mu w dziedzinie zakupów. Wysłany do Paryża przez ojca, właściciela magazynu nowości w Montpellier, kategorycznie odmówił powrotu do rodzinnego miasta,

gdy Bouthemont-senior uznał, że jego syn dosyć już nauczył się w stolicy i może objąć po nim kierownictwo sklepu. Odtąd powstała rywalizacja między ojcem a synem. Stary kupiec, całkowicie zatopiony w swym drobnym prowincjonalnym handlu, oburzał się, że syn, zwyczajny subiekt, zarabia trzy razy więcej od niego. Młody natomiast pokpiwał sobie z zacofania ojca, pobrzękiwał pieniędzmi w kieszeni i za każdym pobytem w domu wprowadzał niepokój i zamieszanie. Jak każdy z kierowników działu, Bouthemont oprócz stałej pensji, wynoszącej trzy tysiące franków, otrzymywał jeszcze procent od sprzedaży. Całe Montpellier powtarzało, że syn starego Bouthemonta zarobił ubiegłego roku około piętnastu tysięcy franków. Wzbudzało to podziw i szacunek. Ludzie przepowiadali zirytowanemu ojcu, że w roku bieżącym suma ta jeszcze wzrośnie.

Bourdoncle wziął do ręki jedną ze sztuk materiału i badał jego gatunek z miną znawcy. Była to pewna odmiana połyskliwego jedwabiu o wąskim brzeżku w kolorze niebieskim i srebrnym, słynny jedwab zwany „Paris-Bonheur”, za pomocą którego Mouret chciał odnieść ostateczne zwycięstwo nad konkurencją.

– Ależ to doprawdy dobry gatunek! – szepnął.

– Robi wrażenie lepszego, niż jest w rzeczywistości – odparł Bouthemont. – Tylko Dumonteil mógł dla nas zrobić coś podobnego... Podczas mojej ostatniej podróży Gaujean, z którym się w końcu pokłóciłem, gotów był oddać sto warsztatów dla produkcji tego gatunku, ale chciał o dwadzieścia pięć centymów więcej na metrze.

Prawie każdego miesiąca Bouthemont jeździł do fabryk lyońskich, zatrzymując się w pierwszorzędnym hotelach i mając polecenie nieskapienia pieniędzy na przyjęcia dla fabrykantów. Korzystał zresztą z nieograniczonej swobody i kupował towary według własnego uznania, skrepowany jedynie warunkiem, aby każdego roku zwiększać w pewnej określonej z góry proporcji obrót swojego działu. Od tej właśnie nadwyżki pobierał procent. Bouthemont, jak zresztą każdy z kierowników, zajmował właściwie stanowisko niezależnego, wyspecjalizowanego kupca, pracującego w zespole różnych branż, jakby w wielkim handlowym mieście.

– Więc to już zdecydowane – podjął znów Bouthemont. – Ustalamy cenę tego jedwabiu na pięć franków sześćdziesiąt. Czy pan wie, że to jest zaledwie cena kosztu?

– Tak, tak, pięć franków sześćdziesiąt – powiedział żywo Mouret – i gdyby to tylko ode mnie zależało, oddałbym go nawet ze stratą. Kierownik działu zaśmiał się beztrąsko.

– Jeśli chodzi o mnie, to nie mam nic przeciwko temu... Popyt będzie trzy razy większy, a w moim interesie leży osiągnięcie jak największych obrotów...

Bourdoncle za to nie śmiał się wcale. Wargi miał zaciśnięte. Pobierał procent od ogólnego

dochodu, więc obniżanie ceny bynajmniej nie było dla niego korzystne. Do jego funkcji należało właśnie kontrolowanie wyznaczonej ceny, tak aby Bouthemont, ulegając wyłącznie chęci podniesienia obrotu, nie sprzedawał zbyt tanio. Wobec tych chwytów reklamowych, których nie był w stanie zrozumieć, opadły go znowu dawne wątpliwości. Ośmielił się więc wyrazić swoje zastrzeżenia.

– Jeżeli oddamy ten jedwab po pięć franków sześćdziesiąt, to znaczy, że oddamy go ze stratą, ponieważ suma ta nie pokryje naszych kosztów, które są znaczne... W każdym innym sklepie wyznaczono by cenę siedmiu franków.

Mouret rozgniewał się nagle. Uderzył otwartą dłonią w sztukę jedwabiu i zaczął krzyżeć:

– Wiem o tym doskonale i właśnie dlatego chcę zrobić prezent naszym klientkom. Doprawdy, mój drogi, ty nigdy nie zdołasz pojąć psychiki kobiecej. Zrozumże wreszcie, że one będą sobie wydzierać ten jedwab!

– Bez wątpienia – przerwał Bourdoncle nie dając za wygraną – ale im więcej będą go sobie wydzierać, tym większa będzie nasza strata.

– No więc stracimy kilka groszy na tym gatunku! I co z tego? Wielkie mi nieszczęście, jeżeli za tę cenę zwabimy kobiety z całego Paryża i uzależnimy je od naszego widzimisie. Będą stały oczarowane, rozgorączkowane przed stosami towarów i wydadzą wszystkie posiadane pieniądze, nie licząc się z niczym! Cała sztuka polega na tym, żeby zachęcić klientki, ale do tego musimy mieć artykuł, który ze względu na swój gatunek i cenę stanie się epokowym wydarzeniem. Potem możecie już sprzedawać inne gatunki po takiej samej cenie jak gdzie indziej – i tak będą przekonane, że u nas płacą taniej. Na przykład ten drugi gatunek, „Cuir d’Or”, ta tafta po siedem franków pięćdziesiąt. Wszędzie sprzedają ją po tej samej cenie, a zobaczycie, że będzie uchodziła za nadzwyczajną okazję! Dochód z jej sprzedaży pokryje nam straty poniesione na „Paris-Bonheur”... Zobaczycie, że tak właśnie będzie! – Mouret stawał się coraz bardziej wymowny. – Czy rozumiecie, że ja chcę, aby „Paris-Bonheur” zrewolucjonizował w ciągu tygodnia cały rynek? Ta okazja spadła nam jak z nieba, i to właśnie nas ratuje i robi nam reklamę. Tylko o nim będą mówić wokoło, a niebieski i srebrny brzezek zasłynie we wszystkich zakątkach Francji... Zobaczycie, jak nasi konkurenci będą się skarżyć i wściekać. Drobnny handel poniesie w walce jeszcze jedną porażkę. Na pewno pogrążymy tych wszystkich handlarzy starzyzną, co zdychają na reumatyzm w swoich piwnicznych norach!

Subiekci sprawdzający nadesłany towar słuchali słów pryncypała z uśmiechem. Mouret lubił mówić i lubił mieć rację. I znowu Bourdoncle ustąpił. W czasie tej rozmowy skrzynka została opróżniona, a dwóch ludzi odbijało wieko następnej.

– Fabrykanci nie są z nas zadowoleni – powiedział Bouthemont. – W Lyonie są na nas wściekli, twierdzą, że przez naszą manię niskich cen oni wszyscy pójną wkrótce z torbami... Wie pan, że Gaujean wypowiedział mi formalnie wojnę. Postanowił otworzyć raczej długoterminowy kredyt dla małych przedsiębiorstw, niż zgodzić się na nasze warunki.

Mouret wzruszył ramionami.

– Jeśli panu Gaujean brak zdrowego rozsądku – odpowiedział – to pan Gaujean zostanie na bruku... Na co oni się skarżą? Płacimy im natychmiast gotówką, bierzemy od nich wszystko, co tylko wypuszczą z fabryki, a że mniej zarabiają... Zyskają za to klienci.

Subiekt opróżniał drugą skrzynkę. Bouthemont zaś powrócił do stemplowania sztuk materiału według sprawdzanej jednocześnie faktury. Opodał inny subiekt zajęty był wypisywaniem sygnatur. W ten sposób, po dokonaniu wszelkich formalności, fakturę podpisaną przez kierownika działu oddawano do kasy głównej. Przez chwilę jeszcze Mouret przypatrywał się tej gorączkowej pracy wyładunku, grożącego zatopieniem suterenu, po czym oddalił się bez słowa jak wódz zadowolony z przeglądu swoich oddziałów. Bourdoncle szedł za nim.

Nie spiesząc się przeszli obaj całe sutereny. Miejscami małe okienka wpuszczały nieco bladego światła, w ciemnych kątach i wzdłuż wąskich korytarzy paliły się stale lampy gazowe. W korytarzach tych mieściły się, rozdzielone drewnianymi przegrodami, magazyny-piwnice, gdzie różne działy przechowywały nadmiar towarów. Przechodząc pryncypał rzucił okiem na kaloryfery, które po raz pierwszy miały być czynne w poniedziałek, oraz na mały posterunek straży pożarnej, pilnującej ogromnego licznika otoczonego żelazną kratą. Kuchnia i jadalnia – małe salki przerobione z dawnych piwnic – znajdowały się na lewo, od strony placu Gaillon. Na drugim końcu suterenu mieściło się biuro ekspedycji miejskiej. Paczki pozostawione przez klientki do odesłania znoszono tutaj, segregowano na stołach i układano w specjalnych przegrodach, z których każda odpowiadała jednej z dzielnic Paryża; wnoszono je następnie szerokimi schodami, których wylot znajdował się na wprost sklepu starego kupca Baudu, i ładowano na czekające tuż obok chodnika platformy. Magazyn „Wszystko dla Pań” pracował jak mechanizm. Schody prowadzące na ulicę Michodière bez przerwy wyrzucały na miasto te same towary, które magazyn przedtem wchłoniął przez ześlizg otwarty od ulicy Neuve-Saint-Augustin i przepuścił przez tryby sprzedaży na wyższych kondygnacjach gmachu.

– Champion – zwrócił się Mouret do mizernego mężczyzny, kierownika ekspedycji, byłego sierżanta – dlaczego tuzin prześcieradeł kupionych wczoraj przez pewną panią około godziny drugiej po południu nie został jej wieczorem odniesiony?

– Gdzie mieszka ta pani? – zapytał urzędnik.

– Przy ulicy Rivoli, na rogu ulicy Algierskiej... Nazywa się pani Desforges.

O tak wczesnej godzinie stoły do segregowania paczek były puste. Zaledwie kilka pakunków leżało w przegrodach. Były to zakupy pozostałe z poprzedniego dnia. Campion zaczął zaraz szukać pośród nich, sprawdziwszy najpierw w swojej księdze. Bourdoncle patrzył tymczasem na Moureta myśląc o tym, że ten człowiek z piekła rodem wszystko wiedział i wszystkim się zajmował, nawet przy stoliku w restauracji czy w alkwie kochanki. Kierownik ekspedycji znalazł wreszcie błąd:, kasa podała fałszywy numer domu i paczka wróciła z powrotem.

– Która to kasa? – zapytał Mouret. – Jak? Kasa numer 10? – I zwracając się do kolegi powiedział: – Kasa numer 10 to Albert, prawda?... Musimy powiedzieć mu parę słów.

Przed rozpoczęciem obchodu magazynu chciał jeszcze zajść do biura ekspedycji zamiejscowej, które mieściło się w kilku salach na drugim piętrze. Tam właśnie przychodziły wszystkie zamówienia z prowincji i z zagranicy. Mouret zaglądał tam co rano, aby przejrzeć korespondencję. Od dwu lat jej rozmiary wzrastały z dnia na dzień. Biuro zatrudniające początkowo dziesięciu urzędników miało ich teraz przeszło trzydziestu. Jedni otwierali listy i podawali je siedzącym naprzeciw kolegom do przeczytania, a inni segregowali je i oznaczali numerem porządkowym. Następnie, gdy rozesłano listy do poszczególnych działów i gdy działy te dostarczyły żądanych towarów, umieszczano je w miarę napływu w przegrodach według numerów porządkowych. Pozostawało tylko sprawdzić zgodność towaru z zamówieniem i zapakować go. Odbywało się to w sąsiednim pokoju, gdzie od rana do nocy robotnicy zawijali i wiązali paczki. Mouret spytał, jak to czynił codziennie:

– Ile jest dzisiaj listów, Levasseur?

– Pięćset trzydzieści cztery, proszę pana – odpowiedział kierownik biura. – Boję się, że po wielkiej sprzedaży w poniedziałek zabraknie mi ludzi. Wczoraj z wielkim trudem podołaliśmy robocie.

Bourdoncle kręcił głową z zadowoleniem. Nie liczył na to, że zastanie aż pięćset trzydzieści cztery listy, i to we wtorek. Wokół stołu urzędnicy wciąż otwierali je i czytali szeleszcząc papierem. Przy przegrodach rozpoczynał się już zwykły ruch. Biuro ekspedycji zamiejscowej było jednym z najbardziej skomplikowanych i najważniejszych działów firmy. Panował tam stale gorączkowy pośpiech, gdyż stosownie do przepisów zamówione rano towary musiały być wysłane tego samego dnia wieczorem.

– Dostarczę panu tylu ludzi, ilu będzie potrzeba, Levasseur – powiedział na zakończenie rozmowy Mouret, stwierdziwszy jednym rzutem oka, że stan pracy działu był zadowalający. –

Wie pan dobrze, że nie odmawiam nigdy zwiększenia personelu, jeżeli widzę istotną tego potrzebę.

Na najwyższym piętrze, na poddaszu, znajdowały się pokoje, gdzie nocowały ekspedientki. Mouret zszedł na pierwsze piętro i udał się do głównej kasy, sąsiadującej z jego gabinetem. W oszklonych drzwiach tego pokoju otwierało się oprawne w mosiądz okienko. Wewnątrz widać było olbrzymią kasę pancerną wmurowaną w ścianę. Dwóch kasjerów przejmowało wpływy pochodzące ze sprzedaży w poszczególnych działach. Pieniądze te każdego wieczora przynosił do kasy centralnej pan Lhomme, pełniący obowiązki głównego kasjera. Z sum tych pokrywano następnie wydatki, regulowano rachunki fabrykantów, wypłacano należność personelowi, całej gromadzie ludzi, których byt zależał od wielkiego magazynu. Z kasą sąsiadował inny pokój, o ścianach pokrytych szeregami kartotek zielonego koloru – miejsce pracy dziesięciu urzędników sprawdzających rachunki. Za tym pokojem znajdował się jeszcze jeden lokal, w którym mieściło się biuro rozliczeń. Sześciu młodych ludzi pochylało się tam nad czarnymi pulpitemi, obliczając procenty należne sprzedawcom i sprawdzając kwity sprzedaży. Za nimi, na stołach, leżały stosy ksiąg handlowych. Ten niedawno powstały wydział funkcjonował jeszcze niezbyt sprawnie.

Mouret w towarzystwie Bourdoncle'a przeszedł przez kasę i biuro rachunkowe. Kiedy weszli do działu rozliczeń, młodzi ludzie, którzy śmieli się wesoło i nie myśleli wcale o pracy, byli wyraźnie zaskoczeni wizytą pryncypała. Wówczas Mouret, bez słowa wymówki, zaczął wyjaśniać im nowy system premii za każdy błąd znaleziony w kwitach sprzedaży. Kiedy wyszedł, urzędnicy przestali się śmiać i, jakby podcięci biczem, zabrali się ochoczo do pracy szukając ewentualnych błędów.

Znalazszy się na parterze Mouret poszedł wprost do kasy numer 10, gdzie Albert Lhomme polerował sobie paznokcie czekając na klientów. Mówiono o „dynastii Lhomme'ów”, odkąd pani Aurelia Lhomme, kierowniczka działu konfekcji, zdołała wyrobić dla swojego męża stanowisko głównego kasjera, a następnie dla syna, bladego i zdeprawowanego młodzieńca, który nigdzie nie mógł zagrzać miejsca i przyczyniał jej niemało kłopotu, miejsce kasjera w kasie detalicznej. Podszedłszy do kasy Mouret nie zwrócił się bezpośrednio do młodego człowieka. Nie miał ochoty narażać swej opinii uroczego zwierzchnika, występując w roli żandarma. Z wrodzonego upodobania i ze względów taktycznych wolał pozować na łaskawe bóstwo. Toteż trącił lekko łokciem Bourdoncle'a, człowieka-cyfrę, któremu zwykle powierzał wszelkie dochodzenia i wykonanie wyroku.

– Panie Albercie – odezwał się ów ostrym tonem – znowu nie uważał pan przy zapisywaniu adresu klientki i paczkę zwrócono do ekspedycji... Takie rzeczy są

niedopuszczalne.

Kasjer, chcąc się bronić, zawołał na świadka posługacza, który pakował paczkę. Posługacz ten, imieniem Józef, również należał do dynastii Lhomme'ów, był bowiem mlecznym bratem Alberta i posadę zawdzięczał pani Aurelii. Gdy młody kasjer usiłował mu podsunąć myśl, że to klientka podała zły adres, Józef, w rozterce między swym sumieniem byłego żołnierza a poczuciem wdzięczności dla dobroczyńców, zaczął się jąkać i szarpać bródkę, wydłużającą jego pokrytą bliznami twarz.

– Zostaw pan Józefa w spokoju – krzyknął Bourdoncle – i przestań pan kręcić!... Masz pan szczęście, że pamiętamy o zasługach twojej matki.

W tym momencie nadbiegł stary Lhomme. Ze swej kasy, znajdującej się koło drzwi wejściowych, widział kasę syna sąsiadującą z działem rękawiczek. Lhomme był zupełnie siwy i ocieżały od siedzącego trybu życia. Twarz miał nalaną, bezbarwną, jakby wyblakłą od blasku srebra, które bezustannie liczył. Brak prawej ręki nie przeszkadzał mu wcale przy pracy. Przypatrywano mu się z zaciekawieniem, gdy liczył pieniądze. Banknoty i bilon ślizgały się szybko w lewej ręce, tej, jaka mu została. Był synem poborcy podatkowego z Chablis. Po przybyciu do Paryża dostał posadę księgowego u pewnego kupca na jednym z przedmieść. Mieszkając przy ulicy Cuvier ożenił się z córką swego dozorca, który trudnił się krawiectwem. Odtąd był stale pod pantoflem żony, a jej zdolności kupieckie napełniały go szacunkiem. Pani Lhomme bowiem na swym stanowisku kierowniczki działu konfekcji zarabiała rocznie przeszło dwanaście tysięcy franków, podczas gdy jej mąż pobierał tylko pięć tysięcy franków stałej gaży. Szacunek dla żony, wnoszącej tak poważną sumę do domowego budżetu, rozciągał również na syna, którym go obdarzyła.

– Co się stało? – zapytał cichym głosem. – Czy Albert popełnił jakiś błąd?

Wówczas Mouret, zgodnie ze swą taktyką, wystąpił w roli dobrotliwego władcy. Utrzymywanie koniecznego rygoru było jednym z obowiązków Bourdoncle'a. Mouret zaś dbał raczej o popularność wśród pracowników.

– To głupstwo – szepnął. – Drogi panie, ten wasz Albert jest chłopcem strasznie roztrzepanym. Szkoda, że nie bierze przykładu z pana. – Po czym zmieniając temat zwrócił się do kasjera jeszcze uprzejmiej: – Jak się panu podobał przedwczorajszy koncert?... Miał pan dobre miejsce?

Na blade policzki starego kasjera wystąpił rumieniec. Jedyłą jego namiętnością, której się wstydił, a której po kryjomu ulegał, była muzyka. W tajemnicy przed wszystkimi biegał na koncerty i chodził do teatru. Mimo amputowanej ręki, grywał też sam na rogu posługując się w tym celu bardzo pomysłowym systemem kleszczy. Pani Lhomme nie znosiła hałasu –

wobec tego mąż jej, grywając wieczorami, owijał instrument kawałkiem sukna. Głuche dźwięki wydobywające się z rogu wystarczały, aby wywołać w nim zachwyty. Rozprężenie i nieład panujące w domu zmuszały pana Lhomme do szukania ucieczki i pociechy w muzyce. Oprócz muzyki i pracy w kasie nie obchodziło go nic, chyba jedynie żona, którą uwielbiał.

– Miałem doskonałe miejsce – odpowiedział z błyskiem w oczach. – Dziękuję panu serdecznie.

Mouretowi sprawiało przyjemność zaspokajanie cudzych namiętności, dawał więc od czasu do czasu panu Lhomme bilety, których kupno wymuszały na nim damy zajmujące się dobroczynnością. Ostatecznie dopełnił miary zachwyty starego kasjera mówiąc:

– Beethoven, Mozart. Cóż to za muzyka!...

I nie czekając na odpowiedź oddalił się, by dogonić Bourdoncle'a, który rozpoczął już inspekcję poszczególnych działów. W środkowej hali, przerobionej z dawnego podwórza i oszklonej, znajdował się dział jedwabi. Lecz obydwaj panowie rozpoczęli swój codzienny obchód od galerii biegnącej wzdłuż ulicy Neuve-Saint-Augustin i wypełnionej po brzegi artykułami bieliźnianymi. Nie uderzyło ich nic niezwykłego. Przeszli wolno pośród pochylonych z szacunkiem subiektów. Skręcili następnie do działu barwnych kretonów i trykotaży, gdzie również panował porządek. Dopiero w dziale materiałów wełnianych, ciągnącym się prostopadle do ulicy Michodiére, Bourdoncle wrócił do roli egzekutora widząc siedzącego na ladzie młodzieńca, którego zmięta twarz świadczyła o całonocnej hulance. Młody człowiek nazwiskiem Liénard, syn bogatego kupca branży galanteryjnej z Angers, przyjął naganę bez szemrania. Prowadząc próżniaczy, beztroski i wesoły tryb życia obawiał się tylko jednego: aby ojciec nie kazał mu powrócić do domu. Od tego momentu wymówki jak grad zaczęły sypać się na stoiska od strony ulicy Michodiére. W dziale sukna jakiś niedawno przyjęty praktykant, sypiający w magazynie, wrócił z miasta po jedenastej wieczorem. Zastępca kierownika działu towarów norymberskich został przyłapany na gorącym uczynku palenia papierosa w kącie suterenu. W dziale rękawiczek rozpętała się piekielna burza nad głową jednego z niewielu subiektów pochodzących z Paryża, „Pięknego Mignot” – jak go nazywano – nieślubnego syna pewnej nauczycielki gry na harfie. Przystępstwo jego polegało na tym, że skarżąc się na zły wikt wywołał awanturę w stołówce. Pracownicy jadali na trzy zmiany: pierwsza siadała do stołu o wpół do dziesiątej, następna o wpół do jedenastej, ostatnia – dopiero o wpół do dwunastej. Mignot tłumaczył się, że należąc do trzeciej zmiany dostaje resztki i zmniejszone porcje.

– Jak to, nie smakuje wam jedzenie? – zapytał z naiwną miną Mouret zabierając wreszcie głos.

Mouret dawał kucharzowi na utrzymanie każdego pracownika tylko półtora franka dziennie. Kucharz chciwy Owernijczyk, potrafił jeszcze przy tej sposobności nabijać sobie kabzę. Wyżywienie było więc rzeczywiście okropne. W odpowiedzi na skargi małego Mignot pan Bourdoncle wzruszył ramionami: przecież to jasne, że kucharz, który musi wydać czterysta obiadów i tyleż kolacji, nie może zbytnio dbać o jakość przyrządzanych posiłków.

– Mimo wszystko – powiedział dobrodusznie pryncypał – życzę sobie, aby wszyscy nasi pracownicy jadali zdrowo i obficie... Pomówię z kierownikiem kuchni.

W ten sposób reklamacja Mignota została definitywnie pogrzebana. Po okrążeniu całego magazynu obaj panowie znaleźli się znowu w punkcie wyjściowym, koło wystawy parasoli i krawatów. Zatrzymawszy się na chwilę, wysłuchali raportu jednego z czterech inspektorów sprawujących nadzór nad magazynem. Papa Jouve, stary wiarus, odznaczony w bitwie pod Constantine, dobrze się jeszcze prezentował ze swym wielkim nosem i imponującą łysiną. Złożył właśnie zażalenie na jednego z subiektów, który w odpowiedzi na zwróconą sobie uwagę nazwał go „starym ramołem”. Subiekt został natychmiast zwolniony z pracy.

W magazynie wciąż jeszcze nie było kupujących. Jedynie kilka kumoszek z pobliskich ulic snuło się po pustych galeriach. W drzwiach wejściowych inspektor, sprawdzający listę subiektów w miarę ich napływu, zamknął swą księgę i oddzielnie zapisywał spóźnionych. Sprzedawcy przygotowywali się do rozpoczęcia pracy w swoich działach, sprzątniętych już i odkurzonych wczesnym rankiem przez posługaczy. Każdy z subiektów, na wpół senny, umieszczał w szafie kapelusz i płaszcz, tłumiąc ziewanie. Jedni rozmawiali ze sobą leniwie lub patrzyli w sufit, jakby chcieli nabrać sił do czekającej ich całodzienniej pracy; inni, nie spiesząc się zdejmowali zielone pokrowce, którymi poprzedniego wieczora przykryli pozwijane sztuki materiału. Pośród czystego, wesołego w świetle porannym wnętrza ukazywały się stosy ułożonych symetrycznie tkanin. Magazyn zdawał się oczekiwać na to, aby zamęt wielkiej wyprzedaży raz jeszcze zatarasował szerokie przejścia między poszczególnymi działami i jakby zmniejszył jego rozmiary zalewem płócien, wełen, jedwabi i koronek.

W ostrym świetle środkowej hali, przy stoisku z jedwabiami, dwóch młodych ludzi rozmawiało półgłosem. Jeden z nich, niski, dość barczysty, o miłej powierzchowności i rumianej twarzy, usiłował zestawić kolory kilku sztuk jedwabiu przeznaczonych na dekorację wewnętrznej wystawy. Młodzieniec nazywał się Hutin i był synem właściciela kawiarni w Yvetot. W ciągu półtora roku potrafił się wyróżnić spośród subiektów dzięki giętkości grzbietu, miłemu obejściu i pochlebstwom; pod tą maską taił trawiącą go chciwość, gotów był wszystko pochłonać, nie z rzeczywistej potrzeby, lecz dla zadowolenia ambicji.

– Słuchaj, Favier, na twoim miejscu nie wytrzymałbym i dałbym mu w twarz, słowo ci daję! – mówił Hutin do kolegi, wysokiego, chudego chłopca o żółtej cerze, pochodzącego z Besancon, z rodziny tkaczy, który w antypatyczny sposób, pod obojętną miną skrywał niepokojącą siłę woli.

– Bicie do niczego nie prowadzi – wymamrotał tamten flegmatycznie. – Lepiej poczekać.

Rozmawiali o Robineau, sprawującym w zastępstwie zajętego w magazynie kierownika działu nadzór nad subiektami. Hutin, który chciał zdobyć stanowisko zastępcy kierownika, kopał pod nim dołki. Aby go zrazić i skłonić do opuszczenia magazynu, Hutin zorganizował cały spisek. Gdy na obiecane Robineau stanowisko kierownika działu otworzył się wakans, Hutin dołożył wszelkich starań, aby dyrekcji podsunąć na jego miejsce kandydata z zewnątrz, Bouthemonta. Robineau umiał się jednak bronić. Nastąpił okres codziennej, głuchej walki. Hutin marzył o tym, aby zbuntować przeciw zastępcy kierownika cały personel działu, chcąc wygryźć go drobnymi szykanami. Robił to wszystko z miną niewiniątka i starał się przede wszystkim podburzyć kolegę, Faviera, który jako subiekt zajmował w hierarchii stanowisko zaraz po nim. Favier zdawał się uległy, ale czasem zaczynał się niespodzianie i wtedy można było wyczuć, że w skrytości snuje własne plany.

– Ts, ts, siedemnaście! – szepnął nagle koledze, aby go uprzedzić tym umówionym hasłem o zbliżaniu się Moureta i Bourdoncle’a.

Panowie ci, mijając hale, dalej prowadzili inspekcję. Zatrzymali się, poprosili Robineau o wyjaśnienie w sprawie zapasu aksamitu, którego całe kartony leżały na ladzie. Gdy zapytany odpowiedział, że na pomieszczenie materiału brak mu miejsca, Mouret wykrzyknął ze śmiechem:

– Czy nie mówiłem, Bourdoncle, że magazyn jest już za mały?! Trzeba będzie kiedyś pomyśleć o rozwaleniu muru aż do pasażu Choiseul... Zobacz pan, jaki będzie tłok w przyszły poniedziałek!

W związku z wielką sprzedażą, do której przygotowywano się we wszystkich działach, Mouret zapytał o coś Robineau i wydał mu jakieś polecenia. Lecz od kilku już minut, nie przestając mówić, śledził wzrokiem pracę małego Hutin, który biegał się nad doborem kolorów jedwabiu, próbując zharmonizować niebieski z szarym i żółtym. Ułożywszy je na próbę, odsunął się na kilka kroków, aby ocenić lepiej efekt dokonanego skojarzenia tonów. Mouret nagle zdecydował się interweniować.

– Dlaczego stara się pan uniknąć jaskrawych zestawień?– powiedział. – Śmiało, niech się pan nie boi oślepić klientek... Patrz pan! Trzeba tak: czerwony, zielony, żółty!

Chwytał sztuki materiału, gniótł je i rzucał wywołując jak najbardziej jaskrawe efekty.

Zdaniem wszystkich, pryncypał był najlepszym dekoratorem wystaw w Paryżu, dekoratorem o naprawdę rewolucyjnym zacięciu, który stworzył szkołę brutalności i rozmachu w dziedzinie wystaw sklepowych. Lubował się w spadających lawinach materii, jakby przypadkiem wysypanych z półek, i miał upodobanie do jaskrawych i ognistych kolorów, które wzajemnie przydawały sobie blasku. „Klientki wychodzące ze sklepu powinny skarżyć się na ból w oczach” – mówił. W przeciwieństwie do niego, Hutin należał do szkoły klasycznej, propagującej symetrię i doszukującej się harmonii w zestawieniu poszczególnych barw. Przypatrywał się też pryncypałowi, zapalającemu ten pożar kolorów na ladzie sklepowej, nie pozwalając sobie na żadne, najmniejsze bodaj słowo krytyki, lecz zaciskając wargi z miną artysty, którego smak razi takie rozpasanie.

– Skończone! – krzyknął Mouret. – I proszę to tak zostawić... Powiecie mi w poniedziałek, jakie wrażenie robi to na kobietach!

Gdy wracał do Bourdoncle'a i Robineau, nadchodziła właśnie jakaś dziewczyna. Zatrzymała się na chwilę przed świeżo ułożoną wystawą, jakby zabrakło jej tchu. Była to Denise. Po blisko godzinnym wahaniu i walce z nieśmiałością, zdecydowała się nareszcie wejść do magazynu. Do tego stopnia jednak straciła głowę, że nie była zdolna zrozumieć najbardziej jasnych wskazówek. Na próżno subiekci, których pytała, gdzie by mogła znaleźć panią Aurelię, wskazywali jej schody prowadzące na pierwsze piętro. Dziękowała im za wyjaśnienie, a potem – zamiast na prawo – skręcała na lewo. W ten sposób od dziesięciu minut błądziła po parterze chodząc od jednego działu do drugiego wśród złośliwych i ciekawych uśmiezków lub chmurnej obojętności sprzedawców. Miała szaloną ochotę uciec, ale jednocześnie zachwyty przykuwał ją do tego miejsca. Czuła się zabłąkana i mała w jaskini potwora i bała się, że nie czynna jeszcze maszyna chwyci ją lada chwila w swoje tryby, których tętno wprawiało już w drżenie cały dom. W porównaniu z ciemnym i ciasnym sklepem stryja rozległy magazyn wydawał się jej jeszcze większy w złotym świetle promieni słonecznych. Podobny był do miasta, wśród którego placów, pomników i ulic nie mogła odnaleźć właściwej drogi.

Długo nie śmiała zapuścić się do hali jedwabiu, której wysoki oszklony strop, luksusowe kontuary i kościelny nastrój napępniały ją bojaźnią. Weszła tam jednak w końcu, aby uciec od spojrzeń subiektów z działu bieliznianego i natknęła się nagle na wystawę Moureta. Mimo zmieszania i lęku obudziła się w niej kobieta, policzki jej zarumieniły się i bez pamięci zapatrzyła się w płonącą pożogę jedwabnych tkanin.

– Popatrz tylko – powiedział Hutin koledze do ucha – przecież to to samo ziółko, które widzieliśmy na placu Gaillon.

Mouret niby słuchał rozmowy Bourdoncle'a i Robineau, ale zauważył Denise – i podziw biednej dziewczyny pochlebił mu, tak jak błysk pożądania we wzroku przechodzącego prostaka pochlebia wielkiej damie. Denise podniosła oczy i zmieszała się jeszcze bardziej, poznając w stojącym przed nią panu młodego człowieka, którego brała za kierownika działu. Wydawało jej się, że patrzy na nią surowo. Nie wiedząc, w jaki sposób wycofać się, do reszty zdezorientowana, zwróciła się raz jeszcze do pierwszego z brzegu subiekta.

– Proszę pana, gdzie mogę znaleźć panią Aurelię?

Mało z natury uprzejmy Favier zbył ją krótko:

– Na pierwszym piętrze..

Denise, której jedynym pragnieniem było teraz zejść z oczu tym wszystkim mężczyznom przypatrującym się jej natrętnie, podziękowała i zawróciła w kierunku przeciwnym do schodów prowadzących na piętro. Wówczas Hutin, powodowany wrodzoną galanterią pięknego chłopca, zatrzymał ją mówiąc z miłym uśmiechem:

– Nie tędy, proszę pani... Zechce pani pofatygować się w tę stronę... Wyprzedził ją o kilka kroków i zaprowadził aż do schodów znajdujących się po lewej stronie hali. Ukłonił się wówczas i uśmiechnął tak, jak zwykle uśmiechał się do wszystkich kobiet.

– Na górze niech pani skręci w lewo... Dział konfekcji znajduje się na wprost.

Ta uprzedzająca uprzejmość wzruszyła bardzo Denise. Odczuła ją jak braterską opiekę. Podniosła oczy i popatrzyła chwilę na młodego człowieka. Podobała jej się jego ładna twarz, łagodny głos i uśmiechnięte oczy, które rozpraszały jej obawy. W sercu wezbrała fala wdzięczności i przyjaźni. Dała im wyraz w paru słowach mówiąc rwącym się ze wzruszenia głosem.

– Jest pan bardzo dobry... Proszę, się już nie trudzić... Dziękuję stokrotnie.

Hutin wrócił na swoje miejsce i szepnął do Faviera rubasznym tonem:

– Co za nedorajda z tej dziewczyny!

Na piętrze Denise natknęła się od razu na dział konfekcji. Był to obszerny pokój; wzdłuż jego ścian ciągnęły się wysokie szafy z rzeźbionego dębu, a lustrzane szyby wychodziły na ulicę Michodiére. Pięć czy sześć kobiet w jedwabnych sukniach z turniurami, o zalotnym wyglądzie i starannych fryzurach, kręciło się po salonie rozmawiając. Jedna z nich, wysoka i szczupła, o zbyt wydłużonej głowie, przypominająca wypuszczonego na swobodę konia, oparła się plecami o szafę, jakby już upadała ze zmęczenia.

– Czy zastałam panią Aurelię? – zapytała Denise.

Panna sklepową pogardliwie otaksowała ją wzrokiem, a następnie z niewinną i kapryśną miną zwróciła się do jednej z koleżanek, drobnej kobiety o białej, niezdrowej cerze:

– Panno Vadon, czy nie wie pani, gdzie jest kierowniczką?

Zapytana ekspedientka, zajęta układaniem rotund według rozmiarów, nie podniosła nawet głowy.

– Nie wiem, panno Prunaire – zbyła ją niedbale.

Zapadło milczenie. Denise stała bez ruchu; nikt się nią nie zajmował. Po chwili jednak ośmieliła się zadać nowe pytanie:

– Czy można się spodziewać, że pani Aurelia nadejdzie niebawem?

Wówczas zastępczyni kierowniczką, chuda i brzydka wdowa o wystającej szczęce i gładkich włosach, której Denise z początku nie zauważyła, zawołała z głębi szafy, gdzie sprawdzała etykiety:

– Jeżeli pani chce mówić z samą panią Aurelia, to proszę poczekać. – I zwracając się do innej jeszcze ekspedientki dodała: – Czy nie jest zajęta przy odbiorze towaru?

– Nie sędzę, proszę pani – odpowiedziała zagadnięta. – Nic nie mówiła wychodząc, wróci więc pewno za chwilę.

Po otrzymaniu tej wiadomości Denise czekała stojąc. W salonie było kilka krzeseł dla klientek, ale ponieważ nie proszono jej, aby usiadła, nie śmiała tego zrobić, pomimo że nogi uginały się pod nią z emocji. Panny sklepowe domyślały się prawdopodobnie, że jest ekspedientką szukającą pracy, i przypatrywały jej się uważnie kątem oka, jak by ją chciały rozebrać. We wzroku ich nie było ani cienia życzliwości, raczej niechęć ludzi siedzących przy stole i nie mających ochoty ruszyć się, aby zrobić miejsce innym. Zakłopotanie Denise wzmogło się jeszcze. Drobnym krokiem przeszła przez pokój i stanęła pod oknem. Chciała w ten sposób dodać sobie kontenansu. Na wprost niej sklep stryja o fasadzie pełnej rdzawych plam i zamarłych witrynach wydawał jej się tak żałosny i brzydki, gdy spojrzała nań z komfortowego wnętrza, w jakim się znajdowała, że serce jej się ścisnęło i poczuła jak gdyby wyrzuty sumienia.

– Czy widziała pani jej buciki? – powiedziała szeptem wysoka panna Prunaire do małej Vadon.

– I co za suknia! – odparła cicho tamta.

Denise, z oczami utkwionymi w ulicę, czuła, że stojące w głębi salonu panny nie zostawiają na niej suchej nitki. Ona jednak nie miała o to do nich żalu. Żadna z ekspedientek nie wydawała jej się ładna: ani ta wysoka z opadającym na końską szyję węzłem rudych włosów, ani ta niska o cerze sinawej jak zwarzone mleko, przez co jej płaska twarz wyglądała jak nalana i pozbawiona kości. Klara Prunaire, córka biednego rzemieślnika wyrabiającego saboty w okolicach lasu Vivet, została zbałamucona przez lokajów z pałacu Mareuil, w czasie

kiedy zatrudniona była u hrabiny jako szwaczka. Przybyła potem do Paryża odbywszy wprawdzie praktykę w magazynie w Langres. W stolicy mściła się na mężczyznach za cięgi, jakich przy lada okazji nie szczędził jej w domu ojciec. Małgorzata Vadon pochodziła z Grenoble, gdzie jej rodzice mieli sklep z płótnem. Aby ukryć istnienie nieślubnego dziecka, którego dorobiła się zupełnie przypadkowo, musiała wyjechać do Paryża, gdzie przyjęta posadę w magazynie „Wszystko dla Pań”. Prowadziła się teraz bardzo dobrze i miała powrócić wkrótce do Grenoble, aby objąć po rodzicach sklep i poślubić kuzyna, który na nią czekał.

– Ta nie zagrzeje tutaj miejsca! – powiedziała cicho Klara.

Ale zamilkła zaraz, gdyż do salonu weszła kobieta lat około czterdziestu. Była to pani Aurelia. Bardzo tęga, miała na sobie suknię z czarnego jedwabiu, której stanik ciasno opinał jej obfity biust i świecił się jak zbroja. Pod gładko uczesаныmi ciemnymi włosami oczy jej wydawały się nieruchome, usta były surowo zaciśnięte, policzki zaś szeroko zarysowane i nieco obwisłe. Malująca się na jej obliczu powaga kierowniczkki działu upodobniła jej twarz do nabrzmiałej i rozlanej maski Cezara.

– Panno Vadon – powiedziała gniewnym głosem – czyżby pani nie oddała wczoraj do pracowni modelu wciętego płaszcza?

– Była tam poprawka do zrobienia, proszę pani – odpowiedziała ekspedientka – i pani Frederic zatrzymała go.

Wówczas zastępczyni kierowniczkki wyjęła model z szafy i zaczęła się tłumaczyć. W dziale konfekcji wszyscy musieli się podporządkować woli pani Aurelii, która dbała usilnie o zachowanie autorytetu. Była do tego stopnia próżna, że nie chciała, aby nazywano ją nazwiskiem męża, Lhomme, ponieważ ją to drażniło. Przeczyła także temu, jakoby ojciec jej był dozorcą, i mówiła zawsze o nim jako o krawcu posiadającym sklep. Darzyła względami tylko te panny, które ulegały jej i schlebiali, rozplywając się w uwielbieniu. Za dawnych lat miała pracownię sukien, lecz szczęście jej nie sprzyjało, zgorzkniała więc na skutek ciągłych niepowodzeń, czując jednocześnie, że ramiona jej dość są silne, aby nie tylko nie ugiąć się pod ciężarem katastrof, ale też dźwigać brzemień pomyślności. Dziś jeszcze, w pełni powodzenia w magazynie „Wszystko dla Pań”, gdzie zarabiała dwanaście tysięcy franków rocznie, czuła ciągle żal do świata i była niezwykle surowa dla początkujących ekspedientek, jakby na nich chciała się zemścić za własną ciężką młodość.

– Dosyć tego gadania – powiedziała sucho – jest pani tak samo nierozsądna jak inne panny, pani Frederic... Poprawka ma być natychmiast zrobiona.

Denise nie patrzyła już na ulicę. Domyślała się, że ma przed sobą panią Aurelię. Stropiona

jej podniesionym głosem, stała czekając. Ekspedientki, zachwycone kłótnią między kierowniczką a jej zastępczynią, powróciły do pracy udając całkowitą obojętność. Upłynęło kilka minut i nikt nie zlitował się, aby wybawić z kłopotu młodą dziewczynę. W końcu sama pani Aurelia zauważyła Denise i widząc jej nieruchomą postawę zagadnęła, czego sobie życzy.

– Czy pani jest panią Aurelią? – zapytała Denise.

– Tak jest.

Dziewczynie zaschło w gardle, ręce miała jak lód. Opanowała ją trwoga podobna do tej, jaką odczuwała w dzieciństwie, gdy bała się, że ją będą bić. Z trudem wybełkotała swoją prośbę, tak niewyraźnie, że musiała ją powtórzyć. Pani Aurelia patrzyła na nią wielkimi nieruchomymi oczami – żadna fałdka na jej twarzy nie zdradzała współczucia.

– Ile pani ma lat?

– Dwadzieścia, proszę pani.

– Dwadzieścia? Wygląda pani najwyżej na szesnaście!

Panny sklepowe nadstawiły uszu. Denise dorzuciła spieszenie:

– Jestem bardzo silna, proszę pani.

Pani Aurelia wzruszyła tęgimi ramionami, po czym oświadczyła:

– Zapiszę panią. Zapisujemy każdego, kto się zgłasza... Poproszę o rejestr, panno Prunaire.

– Lecz rejestru nie można było znaleźć. Zabrał go prawdopodobnie inspektor Jouve i Klara poszła go szukać. W tej właśnie chwili Mouret i Bourdoncle, zakończywszy inspekcję działów pierwszego piętra: koronek, szali, futer, mebli i bielizny, weszli z kolei do działu konfekcji. Pani Aurelia rozmawiała z nimi chwilę na boku o nowym zamówieniu płaszczy, które chciała powierzyć jednej z wielkich pracowni paryskich. Zazwyczaj robiła tego rodzaju zamówienia samodzielnie i na własną odpowiedzialność, ale jeśli chodziło o ważne zakupy, wolała poradzić się dyrekcji. Bourdoncle, korzystając z okazji, opowiedział jej o nowym niedbalstwie Alberta. Zmartwiło ją to bardzo. Zaczęła narzekać, że syn wpędzi ją z pewnością do grobu, i dodała, że jedyną pociechą w tym zmartwieniu jest postępowanie jej męża, który, chociaż słabego zdrowia, zachowuje się zawsze bez zarzutu. Dynastia Lhomme'ów, której była głową, sprawiała jej często kłopoty.

Mouret zdziwił się, że znowu spotyka tę samą nieznaną dziewczynę. Pochylił się więc do ucha pani Aurelii pytając, co ona tu robi. Kierowniczka odparła, że Denise zgłosiła się jako kandydatka na ekspedientkę. Słyszac to Bourdoncle, jak zwykle pogardliwie ustosunkowany do kobiet, oburzył się mówiąc:

– Wolne żarty! Przecież ona jest strasznie brzydka.

– Istotnie trzeba przyznać, że ładna nie jest – zgodził się Mouret nie śmiejąc stanąć w obronie Denise, mimo że ujęła go, kiedy, oczarowana, stanęła jak wryta na widok ułożonej przez niego wystawy.

Tymczasem przyniesiono rejestr i pani Aurelia zwróciła się w stronę Denise. Dziewczyna rzeczywiście nie robiła dobrego wrażenia. Wyglądała wprawdzie bardzo schludnie w czarnej wełnianej sukience: zresztą dyrekcja nie zwracała uwagi na skromność ubrania kandydatek, gdyż ekspedientkom dawano przewidziany regulaminem uniform: jedwabną suknię. Ale Denise wydawała się zbyt wątpa i miała zbyt smutną twarz. Niewymagając od ekspedientek urody, starano się jednak dobierać dziewczęta o miłej powierzchowności. Denise straciła resztę pewności siebie widząc, że przyglądają się jej krytycznie, jakby była kłaczą wyprowadzoną na targowisko.

– Pani nazwisko? – zapytała kierowniczką z piórem w ręku.

– Denise Baudu, proszę pani.

– Pani wiek?

– Dwadzieścia lat i cztery miesiące. – Powiedziawszy to Denise ośmieliła się podnieść oczy na pana Mouret, na tego rzekomego kierownika działu, którego wciąż spotykała na swojej drodze i którego obecność wprawiała ją w zakłopotanie. – Wiem, że nie wyglądam na silną, ale, doprawdy, jestem bardzo wytrzymała.

Powiedzenie jej wywołało uśmiech na twarzach zebranych. Tylko Bourdoncle patrzył z niecierpliwością na swoje paznokcie. Słowa Denise padły wśród przygniatającego milczenia.

– W jakiej firmie pracowała pani w Paryżu? – zaczęła znowu pytać pani Aurelia.

– W żadnej, proszę pani. Pracowałam w Valognes.

Była to nowa porażka. Zazwyczaj magazyn „Wszystko dla Pań” wymagał, aby nowo przyjmowane ekspedientki miały za sobą przynajmniej roczną praktykę w jednej z mniejszych firm paryskich. Denise straciła nadzieję. Gdyby nie myśl o dzieciach, byłaby sama przerwała tę bezcelową indagację.

– Gdzie pani pracowała w Valognes?

– U Cornaille’a.

– Znam go, to solidna firma – powiedział jakby od niechcenia Mouret.

Zazwyczaj nigdy nie wtrącał się do spraw angażowania personelu; zajmowali się tym wyłącznie kierownicy działów. Lecz w tym wypadku nieomylny instynkt znawcy kobiet podszeptał mu, że w tej dziewczynie kryje się jakiś utajony czar, jakieś zasoby i siły, i wdzięku, nie znane nawet jej samej. Dobra opinia firmy, w której zgłaszający się pracował poprzednio, odgrywała dużą rolę i często przeważała szalę na korzyść kandydata, toteż głos

pani Aurelii zabrzmiał nieco łagodniej, gdy zapytała:

– Dlaczego opuściła pani poprzednią posadę?

– Stało się to z przyczyn rodzinnych – odpowiedziała czerwieniąc się Denise. – Straciliśmy rodziców i musiałam zająć się braćmi... Mam zresztą świadectwo.

Świadectwo było doskonałe i Denise nabrała otuchy. Ostatnie jednak pytanie znowu ją stropiło.

– Czy może pani powołać się na kogoś w Paryżu?... Gdzie pani mieszka?

– U stryja – powiedziała cicho, wahając się, czy wymienić jego nazwisko, w obawie, że nie będą chcieli przyjąć bratanicy konkurenta. – Mieszkam u stryja Baudu, naprzeciwno.

Słyszając to Mouret znowu zabrał głos.

– Jak to, więc pani jest bratanicą pana Baudu?... Czy to on panią przysyła?

– Ach nie, skądże znowu, proszę pana!

Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, do tego stopnia sam pomysł wydawał się jej niemożliwy. Uśmiech przemienił ją całkowicie. Okryła się rumieńcem, jej trochę zbyt duże usta rozchyliły się, a cała twarz jakby nagle rozkwitła. Szare oczy nabrały pieszczotliwego wyrazu, na policzkach pojawiły się urocze dołeczki, nawet jasne włosy stały się bardziej puszyste dzięki tej szczerej wesołości, jaka ją ogarnęła.

– Ależ ona jest ładna! – powiedział zupełnie cicho Mouret do przyjaciela.

Bourdoncle nie podzielał jednak tego zdania i z niechęcią machnął ręką. Klara zacisnęła usta, Małgorzata zaś odwróciła się plecami. Jedną tylko pani Aurelia potakująco skinęła głową w stronę Moureta, który podjął:

– Szkoda, że stryj pani nie pofatygował się sam, żeby panią przedstawić... Jego rekomendacja całkowicie by nam wystarczyła... Mówią, że ma do nas pretensję. Jesteśmy bardzo liberalni i jeśli pan Baudu nie może zatrudnić bratanicy w swoim sklepie, to pokażemy mu, że u nas zawsze znajdzie się dla niej miejsce. Niech pani mu powtórzy, że zawsze go bardzo ceniliśmy i że przyczyną jego niepowodzeń jestem nie ja, ale nowe warunki handlu. Proszę powiedzieć mu także, że dojdzie do ostatecznej ruiny, jeżeli będzie się nadal upierał przy swoich śmiesznych przesądach.

Denise znów pobladła jak chusta. Więc to był Mouret. Nikt nie wymienił jego nazwiska, ale on sam się zdradził. Domyślała się teraz i zaczynała rozumieć, dlaczego ten młody człowiek zrobił na niej takie wrażenie na ulicy, potem w dziale jedwabi na dole, a teraz znowu tutaj. Wzruszenie, którego przyczyny nie mogła odgadnąć, coraz cięższym brzemieniem uciskało jej serce. Wszystkie zasłyszane od stryja historie przychodziły jej teraz na myśl, wywyższając tego człowieka, otaczając go nimbem legendy, ukazując w nim pana

tej strasznej maszyny, która od samego rana trzymała ją w kleszczach swoich trybów. Za nim, za jego piękną głową, oczami koloru starego złota i starannie pielęgnowaną brodą, widziała zmarłą panią Hédouin, której krew scementowała kamienie tego domu. Przejął ją taki sam jak poprzedniego dnia dreszcz chłodu. Pomyślała, że to pewnie lęk przed tym człowiekiem.

Pani Aurelia zamknęła rejestr. Potrzeba było tylko jednej ekspedientki, a kandydatek miała już dziesięć. Za bardzo jednak chciała przypodobać się pryncypałowi, aby się teraz wahać. Mimo to zgłoszenie musi iść normalnym trybem. Inspektor Jouve zbierze potrzebne informacje, potem złoży raport, a wówczas kierowniczka poweźmie decyzję.

– Zawiadomimy panią listownie – powiedziała nieco wyniośle, aby podkreślić swój autorytet.

Denise była tak zmieszana, że stała jeszcze chwilę nieruchomo. Nie wiedziała, jak ma wyjść. Wreszcie podziękowała pani Aurelii, przechodząc zaś obok panów ukłoniła się. Nie zauważyli tego nawet i nie oddali jej ukłonu, zajęci oglądaniem przedstawionego przez panią Frederic modelu płaszcza. Klara patrząc na Małgorzatę machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć, że ta nowa nie będzie się cieszyła zbyt wielką sympatią w ich dziale. Denise niezawodnie odczuła tę obojętność i niechęć, gdyż schodziła po schodach z takim samym uczuciem zakłopotania, jakiego doznała wchodząc. Ze ściśniętym sercem zadawała sobie pytanie, czy powinna żałować swojego kroku, czy też z niego się cieszyć. Czy mogła mieć nadzieję, że oferta jej zostanie przyjęta? Znowu ogarniało ją zwątpienie. W zamięcie uczuć traciła orientację. Ze wszystkich przeżyć tego przedpołudnia dwa wysuwały się na pierwszy plan: graniczące ze strachem wrażenie, jakie wywarł na niej Mouret, oraz uprzejmość małego Hutin – jedyna radość tych kilku godzin, wspomnienie o niezrównanej słodczy napęlniającej jej serce wdzięcznością. Kiedy znalazła się na parterze, poszukała oczami młodego człowieka chcąc mu jeszcze raz podziękować. Posmutniała nie widząc go nigdzie.

– No i jak, proszę pani, czy wszystko poszło dobrze? – zapytał ją ktoś wzruszonym głosem, kiedy znalazła się na ulicy.

Odwróciła się i poznała wysokiego, bladego, chłopca, z którym rozmawiała rano. I on także wychodził z magazynu „Wszystko dla Pań”; zdawał się jeszcze bardziej od niej wystraszony i oszołomiony przesłuchaniem, jakiemu się musiał poddać.

– Mój Boże, nic jeszcze nie wiem – odpowiedziała.

– To tak jak ja. Oni mają dziwny sposób patrzenia i mówienia w tym magazynie!... Zgłosiłem się do działu koronek, ponieważ byłem subiektem u pana Crevecoeur przy ulicy du Mail.

Stali naprzeciwko siebie i nie wiedzieli, jak się mają rozstać. Oboje zacerwienili się,

zmieszani. Po chwili młody człowiek nie wiedząc w swej nieśmiałości, jak przerwać milczenie, odważył się dobrodusznie, acz niezręcznie, zapytać:

– Jak się pani nazywa?

– Denise Baudu.

– A ja Henryk Deloche.

Uśmiechnęli się teraz do siebie. Zbliżeni podobieństwem sytuacji, w jakiej się znajdowali, wyciągnęli do siebie dłonie.

– Życzę powodzenia!

– Nawzajem, powodzenia!

III

Każdej soboty między czwartą a szóstą pani Desforges podejmowała najbliższych znajomych filiżanką herbaty i ciastkami. Mieszkanie jej znajdowało się na trzecim piętrze na rogu ulicy Rivoli i Algierskiej. Okna wielkiego salonu wychodziły na ogród Tuileryjski.

Tej właśnie soboty Mouret, idąc za lokajem do wielkiego salonu, zobaczył przez otwarte drzwi małego saloniku panią Desforges. Na widok gościa pani domu zatrzymała się, Mouret podszedł więc do niej i złożył jej ceremonialny ukłon; ale gdy lokaj zamknął za nim drzwi od przedpokoju, schwycił rękę młodej kobiety i gorąco ją ucałował.

– Uważaj, mam gości! – szepnęła wskazując głową na drzwi wielkiego salonu. – Wysłałam na chwilę, aby poszukać wachlarza, który mam im pokazać.

Końcem wachlarza trzepnęła go lekko po twarzy. Pani Desforges była dość tęgą brunetką o wielkich, zazdrosnych oczach. Mouret jednak, nie puszczać jej ręki, zapytał:

– Czy przyjdzie?

– Tak, z pewnością – odpowiedziała. – Obiecał mi, że przyjdzie.

Mówili o baronie Hartmannie, dyrektorze Banku Hipotecznego. Pani Desforges, córka radcy stanu, była wdową po znanym giełdźiarzu, który pozostawił jej majątek, bagatelizowany przez jednych, a wyolbrzymiany przez innych. Jeszcze za życia męża, jak opowiadano, okazywała wdzięczność wielkiemu finansistcie, którego fachowe rady przyczyniały zysków państwu Desforges. Po śmierci męża przyjaźń barona i pięknej wdowy trwała dalej, pełna dyskrecji, rozważna i unikająca rozgłosu. Pani Desforges nie kompromitowała się nigdy, toteż salony bogatego mieszczaństwa, z którego się sama wywodziła, stały dla niej otworem. Dzisiaj, gdy namiętność bankiera, człowieka sceptycznego i przebiegłego, przekształciła się raczej w uczucie ojcowskiej tkliwości, gdy, korzystając z tolerancji przyjaciela, pani Desforges pozwalała sobie na kochanków – umiała

w tych porywach serca zachować tyle umiaru, tyle subtelnego taktu, tak zręcznie zużytkowała swą znajomość świata, że nigdy nie uchybiła pozorom i nikt nie ośmieliłby się jawnie podać jej cnoty w wątpliwość. Pani Desforges spotkała kiedyś Moureta u wspólnych znajomych i z początku nienawidziła go. Gdy uległa później jego gorącej miłości i gdy Mouret zaczął posługiwać się nią dla zaskarżenia sobie względów barona, przywiązała się do swego kochanka naprawdę, a uczucie jej nabrało szczerzej głębi i niespodziewanej gwałtowności. Liczyła już lat trzydzieści pięć, chociaż przyznawała się tylko do dwudziestu dziewięciu, i była zrozpaczona, że Mouret jest od niej młodszy. Drżała, aby go nie utracić.

– Czy on wie, o co chodzi? – zapytał.

– Nie, sam pan opowie mu o całej sprawie – odpowiedziała przestając mówić do niego po imieniu.

Przyglądała mu się, przekonana, że Mouret prosząc ją o poparcie barona z pewnością nie domyśla się, jakie stosunki łączyły ją z nim kiedyś, i że uważa ich za parę starych przyjaciół. On jednak nie puszczał jej ręki i czule powtarzał jej imię... Serce topniało w niej z tklivości. W milczeniu podała mu usta i przycisnęła je mocno do jego warg, a później szepnęła:

– Muszę już iść... Czekaają na mnie. Wejdz zaraz za mną.

Z wielkiego salonu dochodził stłumiony szmer głosów. Pani Desforges pchnęła drzwi zostawiając je szeroko otwarte. Podała wachlarz jednej z czterech pań siedzących pośrodku salonu.

– Znalazłam go nareszcie – powiedziała. – Sama nie wiedziałam, gdzie go położyłam, i pokojówka nie mogła go odszukać. – Następnie odwróciwszy się zawołała wesoło: – Niech pan będzie łaskaw wejść przez mały salonik, to będzie mniej ceremonialne.

Mouret przywitał się z paniami; znał je wszystkie. Salon umeblowany był w stylu Ludwika XVI. Obite kwiecistym brokatem meble, złożone brązy i zielone rośliny w doniczkach mimo wysokiego sufitu nadawały temu wnętrzu przytulność buduaru. Przez okna widać było kasztany w Tuileriach, z których październikowy wiatr zmiatał liście.

– Ta koronka *chantilly* jest wcale niebrzydka – zawołała pani Bourdelais trzymając w rękę wachlarz.

Pani Bourdelais była niską trzydziestoletnią blondynką o cienkim nosku i żywych oczach. Była koleżanką szkolną Henrietty Desforges i żoną zastępcy naczelnika wydziału w Ministerstwie Skarbu. Pochodziła ze starej mieszczańskiej rodziny i posiadała niezwykle dar prowadzenia domu i wychowywania trojga dzieci w sposób energiczny, sprawny i zarazem praktyczny.

– Czy to możliwe, że zapłaciłaś za nią tylko dwadzieścia pięć franków? – ciągnęła dalej,

uważnie oglądając każde oczko koronki z osobna. – Gdzieś ty to kupiła? Mówisz, że u koronczarki w Luc?... Tak, to doprawdy niedrogo... Ale musiałaś dać zrobić ten wachlarz.

– Naturalnie – odpowiedziała pani Desforges. – Oprawa kosztuje mnie dwieście franków.

Słyszając to pani Bourdelais zaczęła się śmiać. I to się nazywa okazja. Dwieście franków za zwykłą oprawę z kości słoniowej z monogramem. I taki wydatek dla kawałka koronki, na której kupnie zaoszczędziło się parę groszy. Takie same wachlarze można kupić już oprowione po sto dwadzieścia franków. Wymieniła nawet nazwę firmy na ulicy Poissonniere.

Wachlarz przechodził z rąk do rąk. Pani Guibal ledwo na niego spojrzała. Była to wysoka i szczupła kobieta o rudych włosach i zawsze jednakowo obojętnym wyrazie twarzy. W jej szarych oczach czaiły się pod maską sztucznego chłodu błyski zachłannego egoizmu. Nigdy nie widywano jej w towarzystwie męża, znanego w Paryżu adwokata, który – jak mówiono – wiódł, podobnie jak żona, nader swobodny żywot, pochłonięty pracą zawodową i rozrywkami.

– Nie kupiłam chyba w życiu więcej niż dwa wachlarze – powiedziała stłumionym głosem, oddając koronkę pani de Boves. – Otrzymuje się je przecież w prezencie przy każdej okazji.

Hrabina odpowiedziała jej w sposób subtelnie ironiczny:

– Szczęśliwa jesteś, moja droga, że posiadasz tak szarmanckiego męża. – I pochylając się do swojej córki, wysokiej dwudziestoletniej panny, rzekła:

– Spójrz na ten monogram. Blanko... Jaka śliczna robota!... To dlatego oprawa kosztowała tak drogo.

Pani de Boves przekroczyła już czterdziestkę, lecz mimo to zachowała wspaniałą postawę bogini. Miała regularne rysy i duże, senne oczy. Mąż jej, generalny inspektor stadniny, poślubił ją dla jej urody. Zainteresowała się bardzo delikatnym wykonaniem monogramu, a w jej spojrzeniu błysnęła pożądlivość. Niespodziewanie zwróciła się do Moureta:

– Niechże nam pan powie swoje zdanie. Czy cena dwustu franków za oprawę jest doprawdy zbyt wygórowana?

Mouret stał pośrodku pięciu kobiet, udając zaciekawienie tym, co je interesowało. Wziął do ręki wachlarz i zaczął go oglądać. Miał właśnie zamiar powiedzieć coś na ten temat, gdy służący otwierając drzwi zaanonsował:

– Pani Marty.

Weszła chuda i brzydka kobieta o twarzy zeszpeconej ospą. Ubrana była z wyszukaną elegancją. Na pierwszy rzut oka trudno było określić jej wiek. Chwilami, gdy ogarniało ją podniecenie, wyglądała na lat trzydzieści, a chwilami znów na czterdzieści; naprawdę miała trzydzieści pięć. W prawej ręce trzymała czerwoną skórzaną torebkę.

– Droga pani Henrietto – powiedziała witając się z gospodynią – niech mi pani wybaczy, że wchodzę z tą torbą... Proszę sobie wyobrazić, że idąc do pani wstąpiłam do magazynu „Wszystko dla Pań” i znów popełniłam szaleństwo. Nie chciałam zostawiać tego w powozie, żeby mi nie skradziono. – W tej chwili spostrzegła Moureta i śmiejąc się powiedziała: – Zupełnie niechcący zrobiłam panu reklamę, nie wiedząc, że pan tutaj jest... Ma pan teraz w swoim magazynie naprawdę niezwykły wybór koronek.

Przyjście pani Marty odwróciło uwagę obecnych od wachlarza. Mouret odłożył go na stoliczek. Zebrane kobiety paliła teraz ciekawość i chęć obejrzenia zakupów pani Marty. Znano dobrze jej niepohamowaną pasję wydawania pieniędzy i bezsilność wobec nastęrczających się ciągle pokus. Wiedziano, że jest kobietą bezwzględnie uczciwą, niezdolną do żadnych romansów ani miłostek, całkowicie jednak nieodpowiedzialną i zupełnie bezwolną wobec najmniejszego skrawka materiału. Ta córka drobnego urzędnika rujnowała dzisiaj męża, profesora liceum, który aby zaspokoić wciąż wzrastające wydatki domowe, musiał udzielać prywatnych lekcji podwajając w ten sposób otrzymywaną w szkole sumę sześciu tysięcy franków. Pani Marty nie otwierała jednak torby, którą trzymała na kolanach. Mówiła o swojej córce Walentynie. Ta czternastoletnia dziewczynka była jej oczkiem w głowie; ubierała ją równie modnie jak siebie samą, sprawiała całe stosy fatalaszków, których urokowi nie umiała się oprzeć.

– Wiecie panie – tłumaczyła przyjaciółkom – że tej zimy modne są dla młodych panienek sukienki obszyte wąską koroneczką... Więc gdy zobaczyłam ładną walansjenkę...

Wreszcie zdecydowała się otworzyć torbę. Wszystkie panie pochyliły się ku niej, gdy wtem pośród ciszy, jaka zapanowała w salonie, rozległ się dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych.

– To z pewnością mój mąż – wybąkała pani Marty, bardzo zmieszana. – Miał przyjść po mnie, gdy skończy lekcje w liceum.

Prędko zamknęła torbę i machinalnie schowała ją pod fotel. Wszystkie panie zaczęły się śmiać. Wówczas, zawstydzona swym odruchem, położyła znów torbę na kolana tłumacząc, że mężczyźni nigdy nie rozumieją kobiet i zresztą nie powinni o wielu rzeczach wiedzieć.

– Pan de Boves, pan de Vallagnosc – zaanonsował lokaj. Nazwiska przybyłych panów wywołały zdziwienie. Nawet pani de Boves nie spodziewała się swego męża. Był to bardzo przystojny mężczyzna, nosił wąsy i napoleońską bródkę, trzymał się nieco sztywno, na sposób wojskowy, modny w kołach dworskich. Ucałował rękę pani Desforges, którą znał jeszcze za jej młodych lat, gdy była panną, po czym usunął się na bok, aby drugi z przybyłych panów, młody człowiek o bladej i anemicznej cerze, mógł przywitać się z panią domu.

Ledwie jednak nawiązano z powrotem rozmowę, rozległy się dwa lekkie okrzyki:

– To ty, Pawle?

– Jak się masz, Oktawie!

Panowie Mouret i Vallagnosc uścisnęli sobie dłonie. Pani Desforges wyraziła zdziwienie. Więc ci panowie się znają? Naturalnie, obaj byli przecież wychowankami gimnazjum w Plassans. Tylko przypadek sprawił, że nie spotkali się wcześniej u pani Desforges.

Trzymając się za ręce przeszli, żartując, do sąsiedniego saloniku, w chwili gdy lokaj wnosił na srebrnej tacy zastawę do herbaty z chińskiej porcelany i stawiał ją koło pani Desforges na małym stoliku z marmurowym blatem i mosiężną galeryjką. Panie przysunęły się bliżej i zaczęły rozmawiać głośniejszym, zajęte jakimś tematem, który je pasjonował. Pan de Boves stał za krzesłami pań pochylając się chwilami ku nim i rzucając jakieś pełne galanterii słówko. Obszerny salon, miły i wesoły, nabierał jeszcze żywszych akcentów dzięki beztrudnej pogawędce przerywanej śmiechem.

– Co za spotkanie, drogi Pawle! – powtórzył Mouret. Usiadł na kanapie koło pana Vallagnosc. Znajdowali się w niewielkim, zalotnie urządzonym buduarze, którego ściany wybite były jedwabiem złotego koloru. Przez otwarte drzwi widzieli siedzące w salonie panie, lecz byli sami i mogli rozmawiać swobodnie. Toteż patrząc sobie w oczy śmiali się do siebie i poklepywali po kolanie. Cała młodość stawała im teraz przed oczami: stara szkoła w Plassans, jej dwa podwórza, wilgotne sale wykładowe, refektarz, gdzie karmiono ich niemal wyłącznie dorszem, i sypialnia, w której, poduszki fruwały z łóżka do łóżka, gdy zasnął pilnujący ich wychowawca. Paweł, pochodzący ze szlacheckiej, zrujnowanej i trzymającej się na uboczu rodziny, celował w zadaniach szkolnych, był prymusem stawianym innym za przykład; profesor przepowiadał mu jak najświetniejszą przyszłość. Oktaw zaś, ospały i pozbawiony ambicji, kisał w klasie pośród najgorszych nieuków, za to wyładowywał temperament w najdziwniejszych eskapadach. Mimo różnic charakteru zaprzyjaźnili się ze sobą serdecznie i nie rozstawali aż do matury, z której jeden wyszedł zwycięsko i chlubnie, drugi zaś z wielkim trudem, potknąwszy się na dwóch egzaminach pisemnych. Potem życie ich rozłączyło. Spotkali się teraz po dziesięciu latach, postarziali i odmienieni.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał Mouret. – Co robisz?

– Nic nie robię.

Pan Vallagnosc, mimo radości z powodu spotkania kolegi, miał w dalszym ciągu minę zmęczoną i zgorzkniałą. Oktaw, zdziwiony, nalegał dalej, mówiąc:

– Coś przecież musisz robić. Powiedz, co?

– Nic nie robię – powtórzył zapytany.

Oktaw zaśmiał się. Odpowiedź przyjaciela nie zadowalała go. Po trochu wyciągnął od niego całą historię, zwykłą historię niezamożnego chłopca, który uważa, że ze względu na pochodzenie nie wypada mu zostać czymś innym jak lekarzem lub adwokatem. Z takich ludzi wyrastają zadowolone z siebie miernoty, szczęśliwe, jeśli mają szuflady biurka napchane dyplomami i nie umierają przy tym z głodu. Vallagnosc, zgodnie z tradycją rodzinną, ukończył prawo. Potem powrócił do domu i stał się ciężarem dla matki, wdowy, która i tak dosyć miała kłopotu z wydaniem za męża dwóch córek. Wreszcie przejęty wstydem, pozostawił trzem kobietom skromne resztki dawnej fortuny i wyjechał do Paryża, gdzie, przyjmawszy nędzną posadkę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, wegetował kryjąc się jak kret w swojej norze.

– Powiedz mi, ile zarabiasz? – zapytał przyjaciela Mouret.

– Trzy tysiące franków rocznie.

– Ależ to nędza! Żal mi cię, bardzo, mój stary... Taki zdolny chłopiec! Dają ci więc tylko te marne kilka tysięcy, i to po pięciu latach ogłupiania cię na wyższej uczelni! To doprawdy nie ma sensu! – Tu przerwał i zaczął mówić o sobie: – Co do mnie, to pokłoniłem im się pięknie... Wiesz zapewne, czym teraz jestem?

– Tak – powiedział Vallagnosc. – Opowiadano mi, że zajmujesz się handlem. Masz tu wielki magazyn na rogu placu Gaillon, nieprawdaż?

– Tak jest... Jestem kupczykiem, mój stary! – Mouret podniósł głowę i znów poklepał kolegę po kolanie, powtarzając z roześmianą i zuchowatą miną człowieka nie wstydzącego się fachu, dzięki któremu się wzbogacił:

– Tak, tak, jestem kupczykiem!... Przypominasz sobie, że nigdy nie umiałem rozgryźć tych mądrości, którymi nas karmiono, chociaż w gruncie rzeczy nie uważałem siebie za głupszego od reszty kolegów. Zdobyłem maturę, aby sprawić radość mojej rodzinie, i mógłbym zostać adwokatem lub aptekarzem jak inni koledzy. Ale te zawody odstraszyły mnie, gdy zobaczyłem, jak wielu ludzi z dyplomami klepie biedę... Gwizdnąłem więc na dyplomy i bez najmniejszego żalu rzuciłem się w wir interesów.

Vallagnosc uśmiechał się z zażenowaniem. W końcu wyszeptał:

– To prawda, twoje świadectwo maturalne na nic się nie przyda przy sprzedaży płótna.

– Daję ci słowo honoru – odpowiedział wesoło Mouret – że pragnę jedynie, aby mi nie zawadzało. Wiem dobrze, że jak się raz wsiąknie w tego rodzaju naukowe historie, to nie tak łatwo jest się z nich potem wyplątać. Wlecze się człowiek przez życie jak żółw, gdy inni, mając swobodę ruchów, pędzą jak wariaci. – Widząc, że jego słowa sprawiają przykrość przyjacielowi, ujął go za rękę i mówił dalej: – Słuchaj, nie chcę cię martwić, ale przyznaj sam,

że twoje dyplomy na nic ci się w życiu nie przydały... Czy wiesz, że kierownik działu jedwabii w moim magazynie zarabia przeszło dwanaście tysięcy franków rocznie? Jest to człowiek niewątpliwie bardzo sprytny, ale jeśli chodzi o wykształcenie, to wystarcza mu znajomość czterech działań i głównych zasad ortografii... Zwykli subiekci zarabiają u mnie rocznie trzy do czterech tysięcy franków, to znaczy więcej niż ty... A przecież wykształcenie ich, w porównaniu z twoim, nie kosztowało prawie nic i nie wchodzili w świat z taką jak ty pewnością zrobienia kariery...

Zapewne, pieniądze to jeszcze nie wszystko. Ale widzisz, mój drogi, mając do wyboru: pozostać golcem z pretensjami do wyższego wykształcenia i przymierać z głodu razem z całym legionem biedaków w wolnym zawodzie albo żyć na wzór ludzi praktycznych, przystosowanych do walki o byt i znających wszystkie tajniki swojego fachu – nie mogłem się wahać. Stałem po stronie tych, którzy zrozumieli ducha czasu! – Głos Moureta nabrął gorących akcentów i zwrócił uwagę Henrietty podającej gościom herbatę. Widząc jej uśmiech i zauważywszy, że dwie inne panie również nadstawiły uszu, właściciel wielkiego magazynu pierwszy roześmiał się ze swoich słów.

– Ostatecznie, mój drogi, jeżeli kiedyś byłem tylko początkującym kupczykiem, to dzisiaj jestem milionerem.

Vallagnosc opadł miękko na oparcie kanapy. Przymknął oczy, a na jego twarzy pojawił się wyraz pogardy i zmęczenia, w którym było nieco pozy, właściwej rodem zdegenerowanym.

– Wszystko to głupstwo – szepnął. – Życie funta kłaków nie jest warte! – A widząc, że Mouret patrzy na niego z oburzeniem i zdziwieniem w oczach, dodał: – Wszystko mija. Czy nie lepiej siedzieć z założonymi rękami?

Zwierzył się teraz przyjacielowi ze swego pesymizmu, mówił o miernocie życia i niepowodzeniach, jakie go spotkały. Kiedyś marzył o tym, aby zostać pisarzem. Z tego okresu obcowania z poetami wyniósł uczucie zupełnej beznadziejności. Zawsze natrafiał w życiu na bezużyteczność wysiłku, na nudę niezmiennie pustych godzin, na ostateczną głupotę świata. Wszystkie próby używania rozkoszy życia spaliły na panewce. Nawet popelnianie różnych wybryków nie przynosiło mu radości.

– Powiedz mi, czy ty umiesz się bawić? – zapytał w końcu przyjaciel. Mouret osłupiał w pierwszej chwili, a potem zaczął krzyczeć:

– Jak to? Czy ja umiem się bawić?... Co ty wygadujesz? Toś ty do tego doszedł?... Ależ naturalnie, bawię się doskonale nawet wówczas, kiedy wszystko koło mnie wali się i gdy wściekam się z tego powodu. Jestem człowiekiem namiętym i nie umiem brać życia spokojnie. Życie to zdaje się jedyna rzecz, która mnie interesuje naprawdę. – Rzucił okiem w

kierunku salonu i zniżył głos: – Przyznam ci się, że kobiety nudzą mnie czasem. Ale gdy zdobędę którąś z nich – a, do licha! udaje mi się to przeważnie – to wówczas, zapewniam cię, nie dzielę się z nikim moją zdobyczą... Zresztą, w gruncie rzeczy, kobiety mało mnie obchodzą. Widzisz, co innego jest dla mnie ważne. Lubię wysiłek woli i czyn, bo to jest twórcze... Co to za satysfakcja powziąć jakąś myśl, walczyć o jej realizację, wbijać ją ludzom łopatą do głowy, wreszcie patrzeć, jak się rozwija, jak rośnie i zwycięża... Tak, mój stary przyjacielu, ja umiem się bawić.

W jego słowach dźwięczała radość czynu i zadowolenie z życia. Powtórzył jeszcze, że jest dzieckiem swojej epoki. Doprawdy, trzeba być niespełna rozumu, aby nie chwytać się pracy oburącz, gdy świat stoi otworem, robota czeka i wszyscy patrzą ufnie w pełną nadziei przyszłość. Pokpiwał sobie z tych wszystkich zniechęconych, zgorzkniałych pesymistów, z tych okaleczających nowoczesną nauką, płaczkliwych poetów i wiecznie urażonych sceptyków, którzy nie mogą znaleźć miejsca we współczesnym ogromnym warsztacie pracy. Doprawdy, piękna mi rola ziewać z nudów przypatrując się cudzej robocie! To dopiero mądrze i uczciwie!

– To jest właśnie moja jedyna przyjemność: ziewać komuś w nos – powiedział Vallagnosc zimno.

Zapał Moureta zgasł nagle. Zwrócił się serdecznie do przyjaciela.

– Ach, drogi Pawle, zawsze jesteś ten sam, zawsze operujesz paradoksami... Przecież nie po to spotkaliśmy się, aby się kłócić. Na szczęście, każdy może mieć swoje zdanie. Muszę ci pokazać moją maszynę w ruchu, sam zobaczysz, że to nie jest takie głupie... Powiedz mi teraz, co u ciebie słysząc? Mam nadzieję, że twoja matka i siostry są zdrowe... Czy mi się zdaje, czy też słyszałem, że pół roku temu miałaś zamiar ożenić się w Plassans?

Gwałtowny gest kolegi przerwał mu w pół zdania. Vallagnosc spojrział niespokojnie w stronę salonu. Mouret obejrzał się także i zauważył, że panna de Boves nie spuszcza z nich oczu. Wysoka i tęga. Blanka podobna była do matki. Tylko owal twarzy miała mniej czysty, a rysy grubsze, jakby nalane. Na dyskretne pytanie przyjaciela. Paweł odpowiedział, że to jeszcze nic pewnego i być może, że nic z tego nie wyjdzie. Blankę poznał u pani Desforges, u której bywał często ubiegłej zimy. Obecnie rzadko tu się zjawiał i tym się tłumaczył fakt, że dotąd nie spotkał się z Oktawem. Paweł bywał również u państwa de Boves. Lubił bardzo pana domu, starego hulakę, który porzucił właśnie służbę w administracji i przechodził na emeryturę. Państwo de Boves nie posiadali zresztą dużego majątku. Hrabina poza urodą Junony nie wniosła mężowi posagu i cała rodzina żyła z dochodów jedyne, obdłużonego już folwarku. Na szczęście, pan de Boves pobierał dotąd dziewięć tysięcy franków jako

generalny inspektor stadniny. Obydwie panie, matka i córka, musiały bardzo liczyć się z pieniędzmi, gdyż stary hrabia niewiele dawał gotówki na utrzymanie domu. dużo wydając na własne, bardzo kosztowne eskapady. Panie de Boves musiały nawet często same zajmować się przeróbką sukien.

– Więc po co się żenisz? – zapytał po prostu Mouret.

– Mój Boże, trzeba raz z tym skończyć! – odpowiedział Vallagnosc mrugając zmęczonymi powiekami. – A poza tym są pewne widoki na przyszłość: oczekujemy rychłej śmierci jednej z ciotek.

Tymczasem Mouret nie spuszczał oczu z pana de Boves, siedzącego koło pani Guibal i wyraźnie nadskakującego jej z czułym uśmiechem mężczyzny, który atakuje. Uśmiechnął się więc do przyjaciela i mrugnął do niego znacząco, ale Paweł powiedział:

– Nie, to nie ta... Przynajmniej jeszcze nie ta... Cała rzecz w tym, że jego zawód wymaga ciągłych rozjazdów, na przykład odwiedzania stacji ogierów, i że w ten sposób ma całą masę pretekstów do znikania z domu. Zeszłego miesiąca, gdy żona była pewna, że jest w Perpignan, okazało się, iż mieszka w hotelu w jakiejś zapadłej dzielnicy Paryża z pewną nauczycielką muzyki. – Zapanowało milczenie. Młody człowiek, przypatrując się panu de Boves i jego zabiegom koło pani Guibal, podjął po chwili ściszym głosem: – Zdaje się, że masz jednak rację... Zresztą, ta pani nie wydaje się zbyt trudna do zdobycia, tak przynajmniej mówią. Opowiadają o niej bardzo śmieszną historyjkę w związku z pewnym oficerem... Ale spójrz tylko na niego, jak pociesznie magnetyzuje ją kącikiem oka! To się nazywa stara szkoła, mój drogi!... Bardzo lubię tego człowieka i można by powiedzieć, że przez miłość do niego żenię się z córką!

Mouret śmiał się, serdecznie ubawiony. Zaczął wypytywać przyjaciela o pewne szczegóły i kiedy dowiedział się, że projekt małżeństwa wyszedł od pani Desforges, cała ta historia wydała mu się jeszcze bardziej zabawna. Henrietta, jak wiele wdów, lubiła swaty i manię kojarzenia małżeństw posuwała tak daleko, że gdy znalazła już mężów dla córek, to zdarzało się, iż pozwalała ojcom na znalezienie kochanki w swoim salonie. Robiła to wszystko w sposób tak naturalny, że nikt nie gorszył się z tego powodu. Czynny i wiecznie śpieszący się Mouret, który zwykł swe pieszczoty przeliczać na pieniądze, kochał ją zapominając o wszelkich uwodzicielskich wyrachowaniach i okazując jej koleżeńską przyjaźń.

Pani Desforges ukazała się właśnie na progu salonu w towarzystwie sześćdziesięcioletniego starca. Dwóch przyjaciół nie spostrzegło w pierwszej chwili ich wejścia. Głosy zebranych w salonie pań stawały się chwilami piskliwe, a lekki brzęk łyżeczek o filiżanki z chińskiej porcelany dołączał się do tego rozgwaru. Od czasu do czasu, gdy

rozmowa urywała się, słychać było dźwięk spodeczka zbyt żywo postawionego na marmurowym blacie stolika. Niespodziewany promień zachodzącego słońca, które wyrzało ukradkiem zza rąbka wielkiej chmury, złocił wierzchołki kasztanów w pobliskim ogrodzie, wpadał przez okna smugą rdzawego pyłu, jak pożar zapalał hafty brokatu i odbijał się w mosiężnych okuciach mebli.

– Chodźmy tędy, drogi baronie – mówiła pani Desforges. – Chcę panu przedstawić pana Oktawa Mouret, który pragnie gorąco wyrazić panu swój głęboki podziw. – Zwracając się zaś do Oktawa dodała: – Baron Hartmann.

Subtelny uśmiezek malował się na ustach starszego pana. Był to człowiek niskiego wzrostu, silnie zbudowany, o wielkiej głowie Alzacyjnyka. Grubo ciosane rysy jego twarzy rozjaśniał za lada skrzywieniem ust czy mrugnięciem powiek błysk żywej inteligencji. Od dwóch tygodni baron odkładał z dnia na dzień spotkanie, na którym Henriecie tak zależało. Czynił to nie z powodu jakiejś przesadnej zazdrości, gdyż – jak przystało na człowieka rozsądnego – zadowalał się obecnie czysto ojcowskim sentymentem. Chodziło mu o to, że Henrietta w krótkim stosunkowo przeciągu czasu przedstawiła mu już trzeciego przyjaciela, obawiał się więc śmieszności. Toteż witając się z Oktawem przywołał na wargi dyskretny uśmiezek możnego protektora, który chce okazać się łaskawy, ale nigdy się nie zgodzi, aby go wystrychnięto na dudka.

– Panie baronie – mówił Mouret z właściwym Prowansalczykom przesadnym zapalem – ostatnie pana posunięcia w Banku Hipotecznym były mistrzowskie! Nie umiem panu powiedzieć, do jakiego stopnia czuję się szczęśliwy i dumny, że mam zaszczyt uściskać pańską dłoń.

– Doprawdy pan jest zbyt uprzejmy – odpowiedział uśmiechając się baron.

Henrietta przypatrywała się im jasnymi oczyma, bez śladu zmieszania. Stała między nimi uniósłszy nieco swą piękną głowę i przenosiła spojrzenie z jednego na drugiego. Miała na sobie koronkową suknię odsłaniającą ręce i delikatną szyję; była zachwycona, że rozmawiają ze sobą tak przyjaźnie.

– A teraz zostawiam panów samych – powiedziała po chwili. I zwracając się do Pawła, który podniósł się z kanapy, dodała: – Czy można panu podać filiżankę herbaty?

– Bardzo chętnie, dziękuję pani. Po czym oboje przeszli do dużego salonu.

Mouret usiadłszy na kanapie obok barona Hartmanna zaczął znów rozplęwać się w pochwałach na temat prowadzonych przez Bank Hipoteczny operacji finansowych. Następnie przeszedł do sprawy, która mu leżała na sercu. Zaczął mianowicie mówić o przebicciu nowej arterii przedłużającej ulicę Reaumura. Nowy odcinek miał nosić nazwę ulicy Dziesiątego

Grudnia i miał mieścić się między placem Giełdy a placem Opery. Minęło już półtora roku, odkąd postanowiono przebić tę ulicę jako niezwykle ważną dla użyteczności publicznej, naznaczono także komisję, która miała zdecydować o przejęciu przez miasto pewnych nieruchomości. Cała dzielnica interesowała się niezwykle żywo nową arterią, dopytując się o datę rozpoczęcia robót i o domy przeznaczone do rozbiórki. Od trzech lat blisko Mouret oczekiwał realizacji tego przedsięwzięcia, licząc z początku na ożywienie handlu w tej dzielnicy. Następnie jednak powstały w jego głowie plany powiększenia magazynu, i to do tak dużych rozmiarów, że nie śmiał mówić o tym głośno. Ponieważ ulica Dziesiątego Grudnia miała przeciąć ulicę de Choiseul i ulicę Michodiére, widział już w swej wyobraźni magazyn „Wszystko dla Pań” ogarniający cały kompleks budynków między tymi ulicami a ulicą Neuve-Saint-Augustin. Wyobrażał sobie pałacową fasadę od stron nowej arterii, swój magazyn zwycięski, panujący nad podbitym miastem. W związku z tymi planami zapragnął gorąco poznać barona Hartmanna, gdy dowiedział się, że Bank Hipoteczny na zasadzie umowy z zarządem miejskim podejmuje się finansowania robót pod warunkiem, że tereny przylegające do ulicy Dziesiątego Grudnia przejdą na jego własność.

– Czyż to możliwe – mówił Mouret rozmyślnie naiwnym tonem – że panowie oddadzą zupełnie wykończoną ulicę, skanalizowaną, z chodnikami i latarniami gazowymi? I czy rzeczywiście tereny przylegające do ulicy pokryją wydatki panów? To jest bardzo ciekawe!

Mouret zbliżał się powoli do sedna sprawy. Dowiedział się, że Bank Hipoteczny wykupuje potajemnie te domy z kompleksu budynków, w skład których wchodził magazyn „Wszystko dla Pań”, i to nie tylko nieruchomości przeznaczone do rozbiórki, ale również i te, które miały pozostać nietknięte. Wietrzył w tym plany jakiejś przyszłej instytucji, niepokoiły go losy rozbudowy, o której marzył, bał się, że jakieś potężne przedsiębiorstwo, będąc w posiadaniu nieruchomości, których niewątpliwie nie zechce się wyzbyć, stanie mu w poprzek. Ta właśnie obawa skłoniła go ostatecznie do nawiązania znajomości z baronem, i to za pośrednictwem pięknej kobiety. Tego rodzaju związek między mężczyznami, z natury wrażliwymi na wdzięki kobiece, bywa nieraz bardzo ścisły. Mouret mógłby przecież odwiedzić barona w jego biurze i swobodnie przedstawić mu projekt wielkiego przedsięwzięcia, jakie zamierzał mu zaproponować. Lecz u Henrietty czuł się pewniejszy siebie, wiedział bowiem, do jakiego stopnia posiadanie wspólnej kochanki zbliża i wiąże dwóch mężczyzn. Jej dom, zapach jej ulubionych perfum, wreszcie jej zachęcający uśmiech dawały mu pewność zwycięstwa.

– Czy to pan kupił pałac Duvillard, tę starą rudere, która sąsiaduje z moim magazynem? – zapytał nagle barona.

Zagadnięty po krótkiej chwili wahania zaprzeczył. Ale Mouret śmiał się patrząc mu prosto

w oczy. Począł teraz odgrywać rolę dobrodusznego młodego człowieka, który ma serce na dłoni i jest gładki w interesach.

– Pozwoli pan, panie baronie, że skoro spotkał mnie niespodziewany zaszczyt poznania pana, to pomówię z panem zupełnie otwarcie... Nie chcę bynajmniej, żeby zwierzał mi się pan ze swoich sekretów. To raczej ja wyznam panu moje tajemnice w przekonaniu, że nie mógłbym ich powierzyć w pewniejsze ręce. Zresztą, zależy mi na pana radach. Już dawno chciałem się do pana zwrócić, ale brakowało mi śmiałości...

I rzeczywiście opowiedział baronowi o swoim życiu, o początkach swojej kariery, nie ukrywał nawet kryzysu finansowego, jaki wisiał nad nim obecnie mimo pozorów powodzenia. Mówił o wszystkim: o stopniowym powiększaniu magazynu, o dochodach, które topił wciąż na nowo w swym przedsiębiorstwie, o wkładach pracowników, o tym, jak firma przy każdej większej sprzedaży stawia wszystko na jedną kartę, angażując cały kapitał dyspozycyjny. Nie zwracał się jednak do barona o pożyczkę. Miał nieograniczone zaufanie do swojej klienteli. Ambicje jego sięgały wyżej. Zaproponował mianowicie baronowi spółkę, do której Bank Hipoteczny wniósłby ogromny gmach (Mouret widział go już w swych marzeniach), on zaś ze swej strony – zdolności handlowe i kapitał istniejącego już magazynu. Ze względu na wielką wartość obustronnych wkładów realizacja projektu wydawała mu się łatwa do urzeczywistnienia.

– Co panowie zamierzają robić z zakupionymi terenami i nieruchomościami? – pytał natarczywie Mouret. – Mają panowie z pewnością jakieś plany. Ale jestem pewien, że mój projekt jest lepszy od waszego... Niech pan to rozważy. Zbudowalibyśmy na tych terenach rozległą galerię, zburzylibyśmy lub przebudowali budynki i w ten sposób powstałyby największe w Paryżu magazyny, coś w rodzaju bazaru przynoszącego miliony. – I z głębi serca wyrwał mu się okrzyk: – Ach, gdybym mógł się obyć bez pana pomocy, baronie!... Lecz w pana ręku spoczywa teraz wszystko... A zresztą nigdy nie zdołałbym uruchomić potrzebnych kapitałów... Koniecznie trzeba, żebyśmy doszli do porozumienia. Poniechanie tego projektu byłoby zbrodnią.

– Jaki z pana zapaleniec, drogi panie! – odpowiedział baron Hartmann. – Co za wyobraźnia!

Kręcił głową i uśmiechał się nie mając jednak ochoty zdradzać swoich tajemnic. Bank Hipoteczny zamierzał zbudować przy ulicy Dziesiątego Grudnia wielki luksusowy budynek, który swym doskonałym położeniem zwabiłby cudzoziemców i stanowiłby konkurencję dla „Grand-Hôtelu”. Zresztą, ponieważ hotel miał zająć tereny przylegające do nowej ulicy, baron mógł zgodzić się na propozycję Moureta, pozostawało bowiem jeszcze dość wolnego

miejsca. Wahał się jednak, gdyż dostarczył już kapitałów firmom dwóch przyjaciół Henrietty i nudziła go ta rola uprzejmego protektora. Jako człowiek czynu chętnie otwierał kiesę dla ludzi inteligentnych i odważnych, ale geniusz handlowy Moureta raczej dziwił go, niż porywał. Ten olbrzymich rozmiarów magazyn był przedsięwzięciem fantastycznym i nierozważnym. Czy rozszerzenie handlu nowościami do takich kolosalnych rozmiarów nie groziło niechybną ruiną? Nie wierzył w powodzenie tej imprezy i odmawiał pomocy.

– Zapewne, sam pomysł jest porywający – powiedział. – Ale to jest pomysł poety... Skądże pan weźmie klientelę, aby zaludnić podobnego kolosa?

Mouret przez chwilę patrzył na niego w milczeniu, jakby zaskoczony odmową. Czyż to było możliwe? Człowiek obdarzony takim zmysłem handlowym, wyczuwający niezawodną intuicją najgłębiej ukryte zyski Uczynił nagle wymowny gest, wskazując na panie zebrane w salonie, wykrzyknął:

– Pyta pan, skąd wezmę klientów? Stamtąd!

Słońce bladło, czerwony pył. teraz zaledwie jasnożocisty, zamierał na jedwabiu obić i oparciach mebli. W zapadającym zmierzchu miły swobodny nastrój ogarnął salon. Pan de Boves i pan de Vallagnosc rozmawiali przy jednym z okien, błędząc oczami po ogrodzie. Panie zbliżyły się do siebie jeszcze bardziej, suknie ich dotykały się tworząc niewielki krąg. Rozlegały się tam wybuchy śmiechu, chwilami rozmów; przechodziła w szept, padały namiętne pytania i odpowiedzi kobiet opętanych żądzą zbytku i strojów. Pani de Boves opisywała jakąś balową toaletę.

– Proszę sobie wyobrazić spód z jedwabiu lila, a na nim upięte falbany ze starej koronki, szerokiej na trzydzieści centymetrów...

– Co za wspaniałości! – przerwała jej pani Marty. – Są na świecie szczęśliwe kobiety!

Baron Hartmann, kierując wzrok za gestem Moureta, przypatrywał się paniom poprzez szeroko otwarte drzwi salonu. Słuchał ich rozmowy tylko jednym uchem, ponieważ Mouret, gorąco pragnąc go przekonać, nie przestawał mówić i rozwodził się szeroko, tłumacząc baronowi nowy mechanizm handlu nowościami. Był on oparty na ciągłym i szybkim obrocie kapitału. Kupiec zapalał się, sypał przykładami. Oto w ciągu bieżącego roku jego kapitał, wynoszący zaledwie pół miliona franków, był cztery razy całkowicie zaangażowany i przyniósł dwa miliony obrotu. Oczywiście, nie dało to zbyt dużych zysków. Mogłyby one być dziesięciokrotnie zwiększone, gdyby udało się – a uda się na pewno – obrócić kapitałem piętnaście lub dwadzieścia razy, zwłaszcza w pewnych działach.

– Rozumie pan, panie baronie, cały mechanizm na tym polega. Jest to bardzo proste, ale należało wpaść na ten pomysł. Nie potrzeba tu wielkich kapitałów. Dążymy do tego, aby jak

najprędzej pozbyć się towaru nabytego i kupić następną partię. Dzięki temu kapitał procentuje tyle razy, ile razy nim się obróci. Możemy wobec tego zadowolić się niewielkim zyskiem. Nasze koszty własne są olbrzymie, wynoszą do szesnastu procent, a ponieważ nie wyciągamy z towaru więcej niż dwadzieścia procent zysku, więc zarabiamy na czysto tylko cztery procent, i to w najlepszym razie. Ale ten skromny zarobek wzrośnie w końcu do milionowych sum, gdy będziemy operowali wielkimi ilościami towaru, i to ciągle nowymi... Rozumie pan? Przecież to jasne.

Baron pokręcił znowu głową. Projekty Moureta niepokoiły go i skłaniały raczej do oporu, chociaż zazwyczaj dawał się bardzo łatwo namówić na najryzykowniejsze kombinacje. Dotąd jeszcze mówiono w Paryżu o jego odważnych posunięciach, gdy chodziło o pierwsze próby z oświetleniem gazowym.

– Rozumiem pana dobrze – odpowiedział. – Sprzedaje pan tanio, aby sprzedawać dużo, a sprzedaje pan dużo, dlatego że sprzedaje pan tanio... Cała trudność polega na tym, aby sprzedać, i dlatego powracam do mojego pytania: komu pan będzie sprzedawał? W jaki sposób ma pan nadzieję osiągnąć tak kolosalny zbył?

Z salonu buchnął nagle gwar głosów i zagłuszył zupełnie odpowiedź Moureta. Pani Guibal dowodziła, że stanowczo bardziej podobają się jej falbany na przedzie sukni, w formie fartuszka.

– Ależ, moja droga – mówiła pani de Boves – w sukni, o której mówię, także i cały przód ozdobiony jest koronką. Nie widziałam nigdy czegoś tak bogatego.

– Zaraz, zaraz. To mi nasuwa świetny pomysł – wpadła w tok rozmowy pani Desforges. – Mam kilka metrów koronki *alenyon*... Muszę tylko poszukać w sklepach podobnej i będę miała już cały komplet.

Głosy znowu przycichły i zniżyły się do szeptu. Padały cyfry, a cały ten targ podsycił pożądania. Wszystkie panie kupowały już w wyobraźni dziesiątki metrów koronki.

– Widzi pan – powiedział wreszcie Mouret – sprzedać można, co się chce, trzeba tylko umieć sprzedawać! Od tego zależy sukces.

Ze swą prowansalską werwą, w malowniczych zdaniach zobrazował Mouret nową metodę handlu. Dowodził, że akumulacja w jednym punkcie różnorodnej masy towarowej daje potęgę, ponieważ różnorodne działy wzajemnie się uzupełniają i wspierają; dzięki temu nigdy nie ma zastoju, w każdym sezonie któryś z artykułów jest właśnie aktualny. Przechodząc od jednego działu do drugiego klientka powinna stracić głowę i kupować tutaj materiał, dalej – nicy, gdzie indziej jeszcze płaszcz, by wpaść następnie na coś, czego nie miała zamiaru kupić, ale co, choć niepotrzebne, oczarowało ją swym wdziękiem. Następnie Mouret zaczął

wychwalać system oznaczania cen każdego artykułu w sposób widoczny dla klientów. Od tego pomysłu datowała się wielka rewolucyjna era handlu nowościami. Stary, drobny handel zamierał powoli, ponieważ nie mógł wytrzymać konkurencji w walce o niskie ceny. Walka ta rozpoczęła się właśnie od czasu wystawiania cen stałych. Obecnie walka z konkurencją odbywała się wprost na oczach klientów: zwykła przechadzka wzdłuż wystaw ustalała ceny, każdy z magazynów starał się skalkulować towar jak najtaniej i zadowalał się minimalnym zyskiem. Zbędne jest teraz jakiegokolwiek oszustwo, niemożliwe wszelkie wzbogacania się na sprzedaży jakiegoś materiału po cenie w dwójnasób wyższej, jak to się dawniej zdarzało. Sprawa przedstawia się teraz jasno: ustala się pewien procent, zawsze jednakowy, pobierany od każdego artykułu. Powodzenie zależy jedynie od dobrej organizacji sprzedaży, cała kalkulacja dokonywa się bowiem jawnie. Czy to nie jest cudowna koncepcja? Wprowadzała ona przełom w handlu, przeobrażała cały Paryż, gdyż powstała z ciała i krwi kobiety.

– Mam w ręku kobiety, i to mi wystarczy! – powiedział brutalnie Mouret w namiętnym uniesieniu.

Ten okrzyk wstrząsnął baronem. Jego uśmiech stracił ironiczny odcień. Spojrzenie, jakim ogarniał młodego człowieka, który potrafił natchnąć go swoją wiarą, zaczęło nabierać jakby akcentów tkliwości.

– Ciszej! – wyszeptał po ojcowsku – usłyszają pana.

Lecz panie mówiły teraz wszystkie naraz, tak podniecone, że nie mogły się nawzajem zrozumieć. Pani de Boves kończyła opis wieczorowej toalety; na tunice z jedwabiu lila upięte fantazyjne koronki, mocno wycięty stanik i znowu kokardy z koronek na ramionach.

– Zobaczycie – powiedziała – każę sobie zrobić coś podobnego z atlasu...

– A ja – przerwała pani Bourdelais – chciałam kupić aksamitu... Trafiła mi się doskonała okazja! Pani Marty pytała:

– Jaka jest cena jedwabiu?

Głosy pomieszały się. Pani Guibal, Henrietta, Blanka – mierzyły. krajały, trwoniły materiał. Kobiety psuły w wyobraźni całe jego metry i gotowały się do obrabowania magazynów, pałały żądzą zbytku opisując wymarzone, ale zazdrośnie w szczegółach tajone toalety, pławiły się w szczęściu mówienia o fataląszkach. Stroje, w których tonęły po uszy, były im w równej mierze niezbędne do życia jak ogrzane powietrze salonów, gdzie spędzały całe dni.

Mouret rzucił okiem w kierunku salonu. W kilku zdaniach wyszeptanych baronowi do ucha takim tonem, jakby mu się zwierzał z sekretów miłosnych, jak się to praktykuje między mężczyznami, kończył wyjaśniać mu mechanizm handlu nowoczesnego. Wyjawiał mu teraz

naczelną zasadę, wieńczącą wszystkie wytoczone przedtem argumenty, zasadę wyzyskania kobiety. Stały obrót kapitałem, system nagromadzenia towarów, zachęcająco niskie ceny, wreszcie ceny stałe mające dobry wpływ na klientelę – wszystko to zmierzało do tego jednego tylko celu. To kobiety wydzierały sobie nawzajem magazyny walcząc z pomocą konkurencji, ją to zwabiały w sidła wyjątkowych okazji oszołomiwszy uprzednio pięknie skomponowaną wystawą. Rozbudzały w niej żądzę wciąż nowych fatataszków, Stawiały przed nią pokusę trudną do przewyciężenia. Kobieta ulegała tu bezwolnie, rezygnując najpierw ze zdrowego rozsądku w imię korzystnych jakoby zakupów, potem powodowana kokieterią, a wreszcie całkowicie zwyciężona przez niepohamowaną chęć zbytku. Pomnażając dziesięciokrotnie sprzedaż, popularyzując luksus, magazyny stawały się kusicielem i demonem wydatków rujnującym budżet domowy i popychającym do szaleństw, zgodnie z wymaganiami mody. Kobieta była królową, którą czczono, której schlebiano i którą otaczano względami; ona też rządziła magazynem jak zakochana królowa, władczyni ludzi zajmujących się handlem. Ale za każdy kaprys płaciła im kroplą swojej krwi. Rzekomą galanterią maskował Mouret brutalność handlarza kupczącego kobiecym ciałem: wznosił dla kobiety świątynię, otaczał ją dymem kadzidel, w które spowijali ją wierni mu subiekci, stwarzał zupełnie nowy rytuał kultu. Myśl jego pracowała nad wynalezieniem coraz to nowych pokus, ale gdy udało mu się opróżnić kieszenie kobiety i zrujnować jej nerwy, pełen był wówczas tajonej pogardy, jaką odczuwa mężczyzna do tej, która nieopatrznie uległa jego gorącym zakłębom.

– Cały sekret polega na zdobyciu kobiety – rzekł cicho do barona śmiejąc się zuchwale – gdy to się uda, cały świat będzie można sprzedać!

Teraz baron zrozumiał. Wystarczyło kilka zdań, reszty domyślił się już łatwo, a ten wyzysk kobiety na wielką skalę, przeprowadzony zresztą w sposób tak elegancki, rozgrzewał go, poruszał w nim wspomnienia starego hulaki. Mrugnął oczyma na znak, że rozumie: zaczął szczerze podziwiać wynalazcę tego mechanizmu pożerającego kobiety. Sam pomysł wydawał mu się bardzo śmiały. Powtórzył też słowa Bourdoncle'a, które podyktowało mu długoletnie doświadczenie.

– Czy pan wie, że one zemszczą się na panu?

Lecz Mouret wzruszył ramionami, pełen pogardy. Wszystkie kobiety należały do niego, były jego własnością, ale on nie należał do żadnej. Gdy wyciągnie z nich pieniądze i zadowolony swoje żądze, wówczas wyrzuci je za burtę, zostawiając tym, którzy zechcą się jeszcze nimi zajmować. W słowach jego brzmiała wyrozumowana pogarda, charakterystyczna dla południowca i spekulanta.

– A więc, drogi panie – zapytał w końcu Mouret – czy zgadza się pan na moje propozycje? Czy sprawę terenów uda się przeprowadzić pomyślnie?

Baron był już właściwie w połowie przekonany, lecz nie chciał jeszcze zaciągać żadnych zobowiązań. Gdzieś na dnie zniewalającego uroku, który powoli go ogarniał, kryła się jakaś wątpliwość. Miał już właśnie odpowiedzieć w sposób wymijający, gdy nagłące wezwanie pań z salonu zaoszczędziło mu tego trudu. Roześmiane głosy powtarzały uparcie:

– Prosimy do salonu pana Mouret. Pan Mouret...

A gdy młody człowiek, niezadowolony, udał, że nie słyszy, pani de Boves podeszła do drzwi wiodących do saloniku mówiąc:

– Wołają pana... To bardzo nieładnie z pana strony chować się po kątach i rozmawiać o interesach.

Wówczas Mouret z takim wdziękiem udał, iż jest zachwycony, że oczarował barona. Obaj panowie podnieśli się z kanapy i przeszli do salonu.

– Jestem do dyspozycji pań – powiedział Mouret wchodząc i uśmiechając się przy tym czarująco.

Wejście jego powitano owacyjnie. Musiał podejść bliżej i panie zrobiły mu miejsce w swoim kółku. Słońce skryło się za drzewami ogrodu, zapadał mrok, delikatne cienie ogarniały powoli obszerny pokój. Nadchodziła pora zmierzchu, chwila rozkosznego i dyskretnego półmroku, gdy w mieszkaniach paryskich światło dzienne zamiera powoli, a lamp jeszcze nie zapalono. Pan de Boves i pan de Vallagnosc stali ciągle przy oknie, a postacie ich rzucały na dywan wielkie plamy cienia. Na tle drugiego okna rysował się w ostatnich blaskach zamierającego dnia niepozorny profil pana Marty, który wszedł dyskretnie do salonu przed kilku minutami;

Profesor odziany był w wytarty, lecz czysty surdut. Jego wybladła twarz, naznaczona jakby piętnem pracy zawodowej, wyrażała jeszcze ponadto zaniepokojenie z powodu rozmowy pań o strojach.

– Czy sprzedaż rozpocznie się naprawdę w przyszły poniedziałek? zapytała właśnie pani Marty.

– Na pewno, łaskawa pani – odpowiedział Mouret melodyjnym głosem głosem aktorskim, którym posługiwał się zwykle zwracając się do kobiet.

Do rozmowy wtrąciła się Henrietta.

– Wie pan, że wybieramy się tam wszystkie... Podobno pokaże nam pan cudowne rzeczy.

– Och, panie są zbyt łaskawe! – wyszeptał Mouret ze skromną miną. – Staram się jedynie zasłużyć na uznanie.

One tymczasem zasypały go pytaniami. I pani Guibal, i pani Bourdelais, i nawet Blanka umierały z ciekawości.

– Niech pan nam poda jakieś szczegóły – powtarzała pani de Boves natarczywie. – Takie jesteśmy ciekawe!

Otoczyły go kołem, a Henrietta zauważyła, że nie pił jeszcze wcale herbaty. Wszystkie panie okazały wielki żal z tego powodu i cztery z nich zakrzętnęły się, aby mu podać herbatę, pod warunkiem jednak, że potem udzieli im żądanych informacji. Henrietta wzięła do ręki czajnik, pani Marty trzymała filiżankę, zaś dwie inne: pani de Boves i pani Bourdelais spierały się o zaszczyt wrzucenia kostki cukru. Następnie, gdy Mouret odmówił zajęcia miejsca w fotelu i zaczął pić herbatę stojąc pośrodku siedzących kobiet, panie zbiły się w ciasną gromadkę, otaczając młodego człowieka zwartym kręgiem sukien. Podnosząc w górę głowy, ze świecącymi oczyma, uśmiechały się do niego.

– Niech pan nam coś powie o tym jedwabiu „Paris-Bonheur”, o którym piszą wszystkie dzienniki – zaczęła znów niecierpliwie pani Marty.

– Och, ten jedwab – odpowiedział – to jest coś zupełnie wyjątkowego. Proszę sobie wyobrazić ziarnistą taftę układającą się cudownie i bardzo mocną... Zresztą, zobaczą panie same... Można go kupić tylko u nas, gdyż zastrzeżliśmy sobie wyłączne prawo sprzedaży.

– To nie do wiary, żeby dobry jedwab mógł kosztować tylko pięć franków sześćdziesiąt! – zawołała zachwycona pani Bourdelais.

Ten właśnie jedwab, odkąd zaczęto go reklamować, odgrywał w życiu codziennym pań niemałą rolę. Mówiły o nim ciągle, obiecywały sobie po nim wiele, w ustawicznej rozterce między pożądlivością a zwątpieniem. Pod pokrywką zainteresowania i powodzi pytań, jakimi zasypywały młodego człowieka, można było zauważyć swoiste cechy charakteru każdej z nich: pani Marty, na przykład, opanowana manią trwonienia pieniędzy, kupowała w magazynie „Wszystko dla Pań”, co tylko zobaczyła na wystawie bez żadnego wyboru; pani Guibal spacerowała po sklepie całymi godzinami, znajdując przyjemność w samym przyglądaniu się pięknym rzeczom; pani de Boves bardzo skrupowana w wydatkach, ustawicznie dręczona przez zbyt kosztowne zachcianki, miała urazę do towarów, których nie była w stanie, kupić; pani Bourdelais miała nieomylny mieszczański zmysł praktyczny, który wskazywał jej prawdziwe okazje i pozwalał z umiejętnością dobrej gospodyni, bez gorączkowania się, korzystać z wielkich magazynów, przysparzając rzeczywistych oszczędności; Henrietta wreszcie była wielką elegantką i kupowała w wielkich magazynach jedynie takie artykuły, jak rękawiczki, trykotaże lub bieliznę pościelową.

– Mamy także inne piękne i tanie materiały – mówił dalej Mouret śpiewnym głosem. –

Polecam na przykład paniom nasz gatunek „Cuir-d’ Or”, taftę o nieporównanym połysku... W dziale jedwabi fantazyjnych mamy prześliczne, spośród tysięcy wybrane desenie. Jeśli chodzi o aksamity, to znajdą panie u nas największy wybór odcieni... Uprzedzam zresztą, że tej zimy noszone będą sukna. Zobaczą panie w naszym sklepie bogaty asortyment welen, szewiotów...

Zebrane wokół Moureta kobiety nie przerywały mu już, przysuwając się do siebie coraz bardziej i zacieśniając w ten sposób otaczające go koło. Usta ich rozchyłał ledwo dostrzegalny uśmiech, twarz wyrażała skupienie i uwagę: całą swoją istotą zwracały się ku temu nieporównanemu kusicielowi. Oczy ich rozszerzały się, po karkach przebiegał lekki dreszcz. Mouret wśród niepokojących zapachów, unoszących się z kobiecych włosów, zachował spokój zdobywcy. Pił w dalszym ciągu herbatę małymi łykami, nie przestając mówić, a aromat tego napoju łagodził rozchodzącą się wokół, ostrą, zwierzęcą jakby woń fryzur. Wobec mistrzostwa tego uwodziciela, tak pewnego swej sztuki i siły, że posługiwał się kobietą dla własnych celów, nie ulegając jej niebezpiecznym urokom – baron Hartmann, który nie spuszczał z oczu Moureta, podziwiał go coraz bardziej.

– Więc pan mówi, że w tym roku modne będą sukna? – zagadnęła pani Marty, której zniszczona twarz piękniała, gdy stroiła zalotne minki. – Muszę je koniecznie obejrzeć.

Pani Bourdelais, która mimo wszystko nie traciła głowy, odezwała się rzeczowo:

– O ile pamiętam, sprzedaż resztek odbywa się w czwartki... Poczekam do tego dnia. Mam całą gromadkę, którą trzeba odziać. – A następnie, zwracając jasnowłosą głowę w stronę pani domu, dodała: – Czy ubierasz się jak dawniej u pani Sauveur?

– Wiesz, że tak... – odpowiedziała Henrietta. – Co prawda jest tam bardzo drogo, ale w całym Paryżu tylko jedna pani Sauveur umie przyzwoicie zrobić stanik... Wbrew temu, co mówi pan Mouret. właśnie tam są najpiękniejsze desenie jedwabi, takie, jakich nie spotyka się nigdzie. Nie mogę znieść tego, aby wszystkie kobiety nosiły te same modele co ja.

Mouret uśmiechnął się dyskretnie, a potem dał do zrozumienia, że pani Sauveur u niego kupowała materiały. Brała także oczywiście i wprost od fabrykantów pewne gatunki jedwabi deseniowych zastrzegając sobie do nich wyłączne prawo, jeśli jednak chodzi o czarny jedwab na przykład, to korzystała z okazji w magazynie „Wszystko dla Pań”, robiąc wielkie zapasy i sprzedając je następnie po trzykrotnie wyższej cenie.

– Jestem zupełnie pewny, że jej ludzie będą rozchwytywać nasz „Paris-Bonheur”. W jakim celu miałyby płacić za ten jedwab w fabryce drożej, niż zapłaciłyby u nas?... Daję paniom słowo honoru, że oddajemy go ze stratą.

Był to najcelniejszy cios zadany tego wieczora zebranym w salonie kobietom. Myśl, że będzie można kupić materiał, który sklep oddaje ze stratą, podniecała ich chciwość.

Przyjemność kupna jest stokroć większa, jeśli klientce wydaje się, że oszukuje kupca. Mouret doskonale zdawał sobie z tego sprawę, że kobiety nie są zdolne oprzeć się pokusie niskich cen.

– Ale my przecież wszystko sprzedajemy za grosze! – zawołał wesoło, biorąc jednocześnie do ręki wachlarz pani Desforges, który leżał na stolniczku. – Chociażby ten wachlarz... Ile on kosztował, proszę pani?

– Koronka dwadzieścia pięć franków, a oprawa dwieście – odpowiedziała Henrietta.

– Więc powiem paniom coś ciekawego. Koronka rzeczywiście nie wypadła drogo. Jednakże w moim sklepie metr takiej samej kosztuje osiemnaście franków... Jeśli zaś chodzi o oprawę, droga pani, okradziono panią haniebnie. Nie śmiałbym tego sprzedać drożej niż za dziewięćdziesiąt franków.

– Czy nie mówiłam? – zawołała pani Bourdelais.

– Dziewięćdziesiąt franków! – wyszeptała pani de Boves. – Rzeczywiście trzeba być ostatnią nędzarką, żeby odmówić sobie takiego wachlarza.

Wzięła go znów do ręki i zaczęła mu się przyglądać razem z Blanką. Na jej wielkiej twarzy o regularnych rysach, w jej sennych oczach malowała się ukryta i rozpaczliwa chęć zaspokojenia zbyt kosztownego jak na jej kieszeń kaprysu. Po raz drugi podawano sobie wachlarz z rąk do rąk wśród uwag i wykrzykników. Pan de Boves i pan de Vallagnosc opuścili tymczasem swoje miejsce pod oknem. Pierwszy z nich stanął za krzesłem pani Guibal, zerkając chciwym okiem na jej stanik, ale zachowując przy tym minę poprawną i wyniosłą. Młody człowiek zaś nachylił się w stronę Blanki szukając w myśli jakiegoś miłego słowa.

– Czy nie uważa pani, że ta biała oprawa w połączeniu z czarną koronką robi nieco smutne wrażenie?

– Widziałam niedawno – odpowiedziała Blanka poważnie i bez cienia rumieńca na nalanej twarzy – widziałam niedawno wachlarz z masy perłowej i strusich piór. Robił wrażenie czegoś tak dziewiczego...

Pan de Boves, który spostrzegł, jak żalonym wzrokiem żona spogląda na wachlarz, wtrącił nareszcie pierwsze słówko do ogólnej rozmowy:

– Te drobiazgi łamią się bardzo szybko.

– Niech mi pan nawet o tym nie wspomina! – poprosiła pani Guibal robiąc wymowny grymas i udając obojętność. – Nie mam już doprawdy sił, aby dawać do naprawy moje wachlarze.

Od kilku minut pani Marty, bardzo podniecona rozmową, majstrowała coś przy worku z

czerwonej skóry, który trzymała na kolanach. Nie miała jeszcze okazji pokazać swoich zakupów, o czym marzyła. Nagle, zapominając o obecności męża, otworzyła torbę i wyjęła z niej kilka metrów wąskiej koronki nawiniętej na kartonik.

– To jest walansjenka, którą kupiłam dla mojej córki – powiedziała. – Ma trzy centymetry szerokości i jest śliczna. Co panie o tym sądzą?... Kosztuje frank dziewięćdziesiąt za metr.

Koronka przechodziła z rąk do rąk. Podobała się bardzo. Mouret pośpieszył wyjaśnić, że sprzedawał te koronki po cenie kosztu. Pani Marty zamknęła torbę, jakby kryła w jej wnętrzu rzeczy, których pokazać nie chciała. Lecz widząc powodzenie walansjenki, nie mogła oprzeć się pokusie i wyjęła jeszcze chusteczkę do nosa.

– Wzięłam także tę chusteczkę... Patrz, moja droga, to przecież jest aplikacja brukselska... Szalona okazja! Dwadzieścia franków!

Czerwona torba okazała się niewyczerpaną skarbnicą. Pani Marty z radości oblała się rumieńcem i – niczym kobieta w negliżu, siedziała zażenowana, gdy kolejno wyciągała z torby różne przedmioty, co czyniła z dużym wdziękiem. Tak więc przyjaciółki ujrzały żabot z hiszpańskiej blondyny za trzydzieści franków, którego podobno pani Marty nie chciała kupić, ale subiekt przysięgał na wszystkie świętości, że to jest ostatnia sztuka, a następne będą znacznie droższe. Potem ukazała się woalka z koronki *chantilly* dość droga, bo kosztowała pięćdziesiąt franków; jeżeli nie nada się do żadnego kapelusza, zrobi się z niej coś dla córeczki.

– Mój Boże! Ja tak lubię koronki – powtarzała z nerwowym uśmiechem. – Jak już raz wejść do tego działu, to wykupiłabym wszystkie.

– Co to jest? – zapytała pani de Boves oglądając duży karton z nawiniętą gipiurą.

– To jest wstawka – odpowiedziała pani Marty. – Jest jej dwadzieścia sześć metrów. Metr kosztuje tylko jednego franka, rozumie pani?

– I co pani z tego zrobi? – zapytała zdziwiona pani Bourdelais.

– Doprawdy nie wiem... Ale to taki śmieszny deseń! Pani Marty podniósłszy oczy w górę spostrzegła przerażoną twarz męża. Był jeszcze bledszy niż poprzednio. Cała jego postać wyrażała pełną rezygnacji udrękę człowieka biednego, który patrzy, jak jego z trudem zarobione pieniądze zostają roztrwonione. Każdy kawałek koronki był dla niego klęską, oznaczał bowiem wiele dni ciężkiej pracy, gonitwy za lekcjami, ciągły i daremny wysiłek, aby wydzwignąć rodzinę ze wstydliwie ukrywanego niedostatku, który zamienił pożycie małżeńskie w piekło. Pod wpływem pełnego przerażenia wzroku męża pani Marty chciała schować czym prędzej kupione przedmioty, sięgnęła więc po nie rozgorączkowanymi rękami powtarzając z wymuszonym śmiechem:

– Prędeż, muszę to wszystko schować, mąż będzie się na mnie gniewał... Bądź spokojny mój drogi, byłam bardzo rozsądna i nie dałam się namówić na przodzik do sukni za pięćset franków. Był prześliczny!

– Czemu go pani nie kupiła? – powiedziała spokojnie pani Guibal. – Przecież pan Marty jest szarmanckim człowiekiem.

Profesor skłonił się mówiąc, że nie krępuje w niczym żony, chociaż na myśl o niebezpieczeństwie tego koronkowego przodu lodowaty dreszcz przeszedł mu po plecach. W tej chwili właśnie Mouret dowodził, że nowe magazyny przyczyniają się do dobrobytu domów średniozamożnego mieszczaństwa, i pan Marty rzucił mu straszne spojrzenie, w którym odbijała się cała nienawiść człowieka tchórzliwego, nie umiejącego się zdobyć na morderstwo.

Panie ani myślały o wypuszczeniu z rąk koronek. Upajały się nimi. Rozwijając je na całą długość i podając z rąk do rąk, zbliżały się jeszcze bardziej do siebie, jakby powiązane jakimiś cienutkimi nićmi. Trzymały na kolanach cudownie delikatną tkaninę i pieszczotliwie zanurzały w niej pełne pożądania ręce. Otaczały Moureta coraz ciaśniejszym kołem, zasypując go wciąż nowymi pytaniami. Ponieważ się ściemniało, Mouret zmuszony był chwilami nachylać się, aby przypatrzeć się gatunkowi koronki lub zwrócić uwagę na deseń. Przy tym ruchu muskał brodą włosy pań. I teraz jednak pozostał, pod maską udanego zachwyty, ich władcą, mimo upajającej atmosfery zmierzchu i odurzającego zapachu kobiecych ramion. Mouret umiał wczuć się w naturę kobiety. A one, choć świadome tego, że je omotywał, wyczulony na to, co stanowiło ich istotę, ulegały jego czarowi i dawały sobą owoładnąć. On tymczasem, pewien już teraz, że ma je w ręku, górował nad nimi brutalnie jak despotyczny król gałganków.

– Ach, panie Mouret! Panie Mouret! – bełkotały przyciszone i omdlewające głosy w głębi ciemnego salonu.

Zamierająca jasność dnia gasła na mosiężnych okuciaczach mebli. Jedyne koronki lśniły śnieżną białością na tle ciemnych sukien tych pań. Niewyraźne zarysy postaci przywodziły na myśl klęczące figury dewotek. Ostatni blask dziennego światła padł na lśniącą powierzchnię czajnika i był jak ostatni, krótki i gwałtowny błysk lampki nocnej płonącej w alkowie, którą wypełniał zapach herbaty. Pani Marty wkładała koronki z powrotem do torebki, pani de Boves jadła śmietankową babkę, a Henrietta, podniósłszy się z miejsca, stanęła w obramowaniu okna i rozmawiała półgłosem z baronem.

– Ależ to jest czarujący człowiek! – powiedział baron.

– Czy nie miałam racji? – wyrwał się pani Desforges mimowolny okrzyk kobiety

zakochanej.

Baron uśmiechnął się i popatrzył na nią z ojcowską wyrozumiałością. Po raz pierwszy widział ją tak kimś zajęta: był zbyt rozumny, aby cierpieć z tego powodu, odczuwał tylko litość, widząc ją opanowaną przez człowieka tak tkliwego na pozór, a w rzeczywistości tak wyrachowanego. Wówczas pomyślał, że należałoby ją ostrzec, powiedział więc tonem żartobliwym:

– Uważaj, moja droga, on was wszystkie pożre.

Płomień zazdrości zapalił się w pięknych oczach Henrietty. Zdawała sobie sprawę, że Mouret posługuje się nią, aby zbliżyć się do barona. Przyrzekła sobie jednak, że do szaleństwa rozkocha w sobie tego wiecznie zaaferowanego człowieka, którego miłość miała łatwy urok zanuconej w przelocie piosenki.

– To nie jest takie proste – odpowiedziała siląc się również na ton żartobliwy. – Zawsze tak bywa, że właśnie jagnię zjada wilka, a nie odwrotnie.

Zaciekawiony baron przytaknął skinieniem głowy. Kto wie, może to właśnie ona jest tą kobietą, która ma pomścić wszystkie inne.

Kiedy Mouret, powtórzywszy jeszcze raz przyjacielowi z lat szkolnych, że chce mu pokazać swoją maszynę w ruchu, zbliżył się, aby pożegnać panią domu i barona, Hartmann odciągnął go we wnękę okna wychodzącego na pogrążony teraz w mrokach ogród. Uległ wreszcie urokowi młodego człowieka, nabrał wiary w jego zdolności widząc go otoczonego rojem kobiet. Rozmawiali przez chwilę przyciszonymi głosami, po czym bankier oświadczył:

– Więc dobrze, zastanowię się nad tą sprawą... Będzie załatwiona pozytywnie, jeśli pańska poniedziałkowa sprzedaż przybierze takie rozmiary, jakich pan się spodziewa.

Uścisnęli sobie ręce i Mouret z rozradowaną miną opuścił salon pani Desforges. Udał się do swego magazynu, aby rzucić okiem na obrót dzienny. Gdyby tego nie zrobił, nie smakowałaby mu kolacja.

IV

Nadszedł poniedziałek dziesiątego października. Promienie słoneczne przedarły się triumfalnie przez szare chmury, które od tygodnia przytłaczały Paryż. Przez całą noc mżył jeszcze drobny deszcz pokrywając wilgocią chodniki, ale już o świcie ten sam powiew wiatru, który rozpędził chmury, osuszył także i ulice. Pogodne niebo miało radosną przejrzystość wiosenną.

Toteż o ósmej rano magazyn „Wszystko dla Pań” błyszczał w promieniach jasnego słońca przeżywając swój ważny dzień wielkiej sprzedaży nowości zimowych. Chorągwie powiewały u drzwi wejściowych, a sztuki wełny łopotały w świeżym powietrzu ranka, napełniając plac Gaillon jarmarcznym hałasem. Wzdłuż dwu ulic wystawy sklepowe rozbrzmiewały symfonią barw, którą wzmagała jeszcze nieskalana czystość świeżo wymytych szyb lustrzanych. Była to orgia kolorów, eksplodująca radość ulicy, szeroko dla wszystkich otwarty punkt zaopatrzeniowy, gdzie każdy mógł zaspokoić swe potrzeby i uradować oczy.

O tej wczesnej porze mało osób wchodziło do magazynu. Wpadały nieliczne, spieszące się klientki, kumoszki z sąsiedztwa lub kobiety pragnące uniknąć popołudniowego tłoku. Za przystrojonymi flagami frontonem wyczuwało się pustkę gotowego do wielkiej rozprawy i oczekującego na klientów magazynu. Posadzki były świeżo zaciągnięte, a kontuary przepełnione towarami. Spiesznie idący poranni przechodnie ledwie rzucali okiem na wystawy, nie zwalniając kroku. Na ulicy Neuve-Saint-Augustin oraz na placu Gaillon, gdzie miały zatrzymywać się pojazdy, o godzinie dziewiątej stały dopiero dwie dorożki. Jedyne mieszkańcy okoliczni, a zwłaszcza drobni kupcy, poruszeni takim przepychem flag i innych dekoracyjnych akcesoriów, tworzyli przed drzwiami sklepów i na rogach ulic małe grupki, zadzierając głowy ku magazynowi „Wszystko dla Pań” i wymieniając między sobą cierpkie uwagi. Najbardziej oburzała ich platforma, jedna z czterech zakupionych niedawno przez

Moureta, stojąca na ulicy Michodiére, przed biurem ekspedycji: był to pojazd malowany na zielono, z żółtymi i czerwonymi ozdobami, a jego grubo lakierowane boczne deski nabierały w świetle słonecznym złotych i purpurowych blasków. Błyszczący świeżością, miał na każdym z czterech boków wypisaną nazwę magazynu, a oprócz tego umieszczono na nim wielki plakat ogłaszający datę rozpoczęcia sprzedaży. Wóz ruszył właśnie ciągnięty przez wspaniałego konia i naładowany paczkami, które pozostały z dnia poprzedniego. Baudu stojąc na progu swojego sklepu, z pozieleniałą twarzą, patrzył na oddalający się pojazd, dopóki ten nie zniknął na zakręcie bulwaru, obwożąc po Paryżu lśniąca jak gwiazda, znieawidzoną nazwę magazynu „Wszystko dla Pań”.

Tymczasem nadjechało kilka dorożek i ustawiło się rzędem. Za każdym razem gdy pojawiała się jakaś klientka, robił się ruch wśród ustawionych w szeregu za głównymi drzwiami wejściowymi chłopców sklepowych, ubranych w liberię składającą się z jasnozielonego fraczka i takichże spodni oraz z kamizelki w żółte i czerwone pasy. Inspektor Jouve, emerytowany kapitan, stał przy wejściu, w białym krawacie, z orderami w klapie surduta, jak żywy szyld dawnej ucziwości. Witął on z powagą przybywające panie i nachylając się ku nim, ruchem ręki wskazywał poszczególne działy. Następnie klientki wchodziły do przedsionka, który na tę uroczystość zamieniony został w jakiś wschodni salon.

Tak więc już od drzwi wejściowych oczekiwała klientki niespodzianka, która oszołamiła je i zachwycała wszystkie bez wyjątku. Niespodzianka ta była pomysłem Moureta. Dokonał on mianowicie na Wschodzie ogromnych zakupów na bardzo dogodnych warunkach. Nabył całą kolekcję starych i nowoczesnych dywanów, rzadkich okazów, jakie dotychczas sprzedawano jedynie w sklepach antykwarycznych po bardzo wygórowanych cenach. Chciał zalać nimi rynek sprzedając je niemal po cenie kosztu, zadowolając się jako jedynym zyskiem wspaniałą dekoracją, w nadziei, że pozyska mu ona wytworną klientelę ze świata artystycznego. Już ze środka placu Gaillon widać było doskonale to przepyszne, usłane dywanami i portierami wnętrze, którego urządzeniem kierował sam pryncypał przy pomocy całej armii chłopców sklepowych. Sufit zakrywały dywany smyrneńskie, których skomplikowane desenie rysowały się wyraźnie na czerwonym tle. Na ścianach wisiały portiery z Karmanii i z Syrii, w zielone, żółte i szkarłatne pasy, a także i bardziej pospolite tkaniny z Diarbekiru, szorstkie w dotknięciu jak pasterskie kaftany. Widziało się również dywany stosowane na obicia: długie dywany z Ispahanu, Teheranu i Kermancy oraz szersze z Szumaki i Madrasu, przedziwnie kwieciste, w desenie z piwonii i palmowych liści, cudownie fantastyczne, jakby wyczarowane z ogrodu marzeń. Na ziemi rozciągały się całe posłania grubych i mięsistych tkanin; środek posadzki zajmował wyjątkowej piękności okaz,

dywan z Agry – biały, z szerokim jasnoniebieskim brzegiem, zdobnym w liliowe ornamenty niezwykle pomysłowej kompozycji. Dalej zaścieniały podłogę przepiękne dywany z Mekki o aksamitnym połysku, modlitewniki z Dagestanu, oznaczone symbolicznym spiczastym końcem, lub dywany z Kurdystanu, usiane kwiatami o rozwiniętych pąkach. Wreszcie w kącie zgromadzono cały stos tanich gatunków: dywany z Gerdesu, Kuli i Kirczeru. Było ich mnóstwo, w cenie od piętnastu franków. W tym salonie, imitującym namiot jakiegoś wspaniałego paszy, stały fotele i sofy zrobione z juków wielbłądzych, z których jedne ozdobione były wielobarwnym wzorem geometrycznym, inne zaś haftowane w prymitywne róże. Na tej niewielkiej stosunkowo przestrzeni zgromadzono cały przepych Arabii, Persji i Indii, opróżniono w tym celu pałace, ograbiono meczety i bazyliki. Na pierwszy plan wybijało się tutaj płowe złoto, dominujące w przygasłych barwach starych dywanów, których nieco wyblakłe kolory zachowały jednak ciepły odcień stygnącego żuźla hutniczego, podobnego w kolorze do wypalanej cegły, tonacji charakterystycznej dla dawnych mistrzów. Unosiła się tutaj, w tym przepychu barbarzyńskiej sztuki, wizja Wschodu; wrażenie to wzmagali jeszcze silny zapach starej wełny, przywiezionej z tego kraju nędzy i słońca.

O godzinie ósmej rano Denise, która dziś właśnie miała rozpocząć pracę w magazynie, stanęła na progu wschodniego salonu, nie mogąc poznać wejścia do sklepu, zdziwiona i zmieszana tą haremową dekoracją. Chłopiec zaprowadził ją na poddasze i oddał w ręce pani Cabin, która zajmowała się sprzątnięciem i dozorem pokoi mieszkalnych. Wskazała ona Denise pokój numer siedem, dokąd już poprzednio wniesiono jej walizkę. Pokój był wąską celką o pochyłym suficie, z okienkiem w dachu i bardzo prostym umeblowaniem: małe łóżko, orzechowa szafa, umywalnia i dwa krzesła. Dwadzieścia podobnych pokoi znajdowało się wzdłuż klasztornej jakby, malowanego na żółto korytarza. Na trzydzieści pięć panien zatrudnionych w firmie, dwadzieścia, nie mając rodzin w Paryżu, mieszkało tutaj. Pozostałe piętnaście znalazło pomieszczenie na mieście, u ciotek lub przybranych kuzynek. Denise zdjęła natychmiast wełnianą wytartą sukienkę, zniszczoną od ciągłego czyszczenia i połataną na łokciach, jedyną, jaką przywiozła z Valognes. Potem włożyła czekający już na łóżku przepisowy mundur swojego działu, suknię z czarnego jedwabiu, którą przerobiono na jej miarę. Mimo to suknia była jeszcze za luźna i za szeroka w ramionach. Lecz Denise spieszyła się bardzo i zbyt była wzruszona, aby zwracać uwagę na te szczegóły. Nigdy jeszcze nie miała na sobie jedwabnej sukni. Schodząc w tym świątecznym stroju po schodach, czuła się skrepowana i zażenowana zarówno głośnym szelestem sukni, jak i jej połyskiem.

Kiedy stanęła w progu swego działu, usłyszała kłótnię. Klara mówiła krzykliwym głosem:

– Proszę pani, ja przyszedłam pierwsza.

– To nieprawda – przeczyła Małgorzata. – Ona popchnęła mnie przy drzwiach, gdy byłam już jedną nogą w salonie.

Chodziło o zapisanie się na tablicy w celu ustalenia kolejności sprzedaży. Ekspedientki zapisywały swoje nazwisko na tabliczce łupkowej w takim porządku, w jakim nadchodziły; z chwilą gdy któraś z nich załatwiła klientkę, przenosiła swoje nazwisko na koniec listy. Pani Aurelia przyznała w końcu rację Małgorzacie.

– Zawsze ta niesprawiedliwość! – zamruczała z wściekłością Klara. Wejście Denise pogodziło jednak zwaśnione koleżanki. Popatrzyły na nią, potem uśmiechnęły się porozumiewawczo. Jak można było zrobić z siebie takiego stracha na wróble! Dziewczyna podeszła nieśmiało do tablicy, aby tam wpisać swoje nazwisko. Była ostatnia. Pani Aurelia przypatrywała jej się z niezadowoloną miną. Wreszcie nie wytrzymała i powiedziała:

– Moja droga, w tej sukni zmieściłyby się dwie takie jak ty. Trzeba ją koniecznie przerobić... A poza tym nie masz pojęcia, jak się trzeba ubierać. Podejdz no bliżej, to ci poprawię...

Zaprowadziła Denise przed jedno z wielkich luster, które przedzielały drzwi szaf przepelnionych artykułami konfekcyjnymi. Obszerny pokój, którego ściany pokrywały lustra i boazerie z rzeźbionego dębu, z podłogą wysłaną czerwonym mokietem w wielkie kwiaty, przypominał banalny hotelowy salon, przez który przewija się ciągle tłum przechodniów.

Jedwabne suknie panien sklepowych, obnoszących na sprzedaż swe wdzięki i nie siadających nigdy na żadnym z tuzina krzeseł, które były przeznaczone wyłącznie dla klientek – wzmagały jeszcze to podobieństwo. Wszystkie panny miały zatknięty między dwiema dziurkami od guzików stanika, jakby wbity w piersi, wielki, sterczący ostrzem do góry ołówek, a z bocznej kieszeni sukni wyzierał kwitariusz, białą plamą odcinając się od czarnego tła. Niektóre dziewczęta starały się rozjaśnić monotonię munduru za pomocą biżuterii: pierścionków, broszek czy łańcuszków. Istotną kokieterią jednak, luksusowym szczegółem, o który nie przestawały walczyć dla przewyciężenia narzuconej jednostajności stroju, były różnego rodzaju uczesania, bujne koafiury, sztucznie powiększane przez warkocze i podkładki, jeśli własne włosy nie pozwalały na modną fryzurę.

– Pociągnijże pasek do przodu – mówiła do Denise pani Aurelia. – O tak, przynajmniej nie masz teraz tego garbu na plecach... A te twoje włosy! Jakże można je tak maltretować! Gdybyś tylko chciała, miałabyś przepiękne uczesanie.

Rzeczywiście, włosy Denise stanowiły jedyną jej ozdobę. Były jasne z odcieniem popielatym i tak długie, że spadały jej do kostek; trudno je było uczesać i upiąć porządnie. Denise zwijała je po prostu w węzeł i przytrzymywała mocnym rogowym grzebieniem.

Klara, powodowana zazdrością, nie chcąc się jednak zdradzić, zaczęła żartować z tych włosów źle upiętych, a mimo to nie pozbawionych uroku. Skinęła na ekspedientkę z działu bieliznianego, dziewczynę o szerokiej twarzy i sympatycznym wyglądzie. Dwa sąsiadujące działy odnosiły się do siebie wrogo, ale czasami dochodziło do porozumienia, gdy nadarzyła się okazja wykpiwania koleżanek lub klientek.

– Panno Cugnot, spójrz pani tylko na to czupiradło – mówiła Klara, którą Małgorzata trąciła łokciem udając, że pęka ze śmiechu.

Ale panna z działu bielizny nie miała ochoty się śmiać. Od kilku minut przypatrywała się Denise i przypominała sobie swoje własne przeżycia w pierwszych miesiącach pracy.

– Więc cóż z tego? – powiedziała. – Nie każda może się pochwalić podobną czupryną!

Powiedziawszy to wróciła do pracy, pozostawiając dwie koleżanki skonsternowane. Denise, która słyszała całą rozmowę, spojrzała na nią z wdzięcznością. Pani Aurelia wręczyła tymczasem nowej ekspedientce bloczek sprzedaży z wypisanym nazwiskiem, mówiąc:

– Postaraj się jutro lepiej wyglądać... A teraz trzeba, żebyś się włożyła do pracy i przywykła do naszych zwyczajów. Co do obsługi klientek, to poczekasz, aż na ciebie przyjdzie kolej. Dzień dzisiejszy będzie ciężki, okaże się dopiero, co potrafisz.

Dział konfekcji był wciąż pusty. O tak wczesnej porze rzadko kto tu zachodził. Panny sklepowe oszczędzały sił stojąc w miejscu lub poruszając się powoli, w przewidywaniu trudów, jakie je czekały w godzinach popołudniowych. Denise, onieśmielona myślą, że koleżanki czyhają tylko, aby przypatrzeć się, jak to ona będzie obsługiwać pierwszą klientkę, dla dodania sobie kontenansu wzięła się do temperowania ołówka, a potem naśladując inne zatknęła go sobie w rozcięcie stanika, pomiędzy dwie dziurki od guzików. Zbierała odwagę rozumiejąc dobrze, że musi koniecznie utrzymać się na tej posadzie. Poprzedniego dnia powiedziano jej, że nie będzie otrzymywać stałej pensji, lecz że przyjęto ją na razie za wikt i mieszkanie; dostawać będzie jedynie procenty i tantiemę od sprzedanych przez siebie towarów. Miała jednak nadzieję, że dociągnie jakoś do tysiąca franków rocznie, ponieważ wiedziała, że dobre ekspedientki dochodzą do dwóch tysięcy, jeśli się o to bardzo starają. Budżet Denise nie był skomplikowany: sto franków miesięcznie powinno być jej wystarczyc na opłacenie pensjonatu małego Pepi i na kieszonkowe dla Janka, który nie dostawał ani grosza od swego majstra; zostałyby jej jeszcze parę franków na własne potrzeby, odzież i bieliznę. Aby jednak zarobić tak dużą sumę, trzeba było okazać pracowitość i siłę, nie martwić się z powodu złej woli koleżanek, a przeciwnie, walczyć z nimi, wydrzeć im należną sobie część, jeśli tego zajdzie potrzeba. Gdy tak zagrzewała się do walki, jakiś wysoki młodzieniec, przechodząc obok działu, uśmiechnął się do niej; odwzajemniła ten uśmiech

poznając Henryka Deloche, który dopiero onegdaj został przyjęty do działu koronek. Ucieszyła się jego widokiem, jakby pozdrowienie subiekta miało być dla niej dobrą wróżbą.

O wpół do dziesiątej dzwonek oznajmił śniadanie dla pierwszej zmiany. Następnie odezwał się raz jeszcze, zwołując drugą zmianę. Klientki wciąż nie nadchodziły. Zastępczyni kierowniczkii, pani Frederic, zasuszone, ponura wdowa, rozkoszowała się myślą o możliwej klęsce i prorokowała, że dzień ten nie przyniesie sukcesu firmie: nie przyjdzie pies z kulawą nogą, można już śmiało zamykać szafy i iść do domu. Przepowiednia ta zasnęła cieniem płaską twarz Małgorzaty, niezwykle chciwej na zarobek; Klara natomiast marzyła już o wycieczce do lasu Verrieres, gdyby firma naprawdę zbankrutowała. Pani Aurelia była milcząca i poważna, wodziła wzrokiem po pustym dziale z miną generała, odpowiedzialnego zarówno za zwycięstwa, jak i za klęskę.

Koło jedenastej zjawiło się kilka pań. Nadchodziła kolej Denise. Właśnie sygnalizowano nową klientkę.

– To ta gruba z prowincji – powiedziała cicho Małgorzata. Była to czterdziestopięcioletnia kobieta, rzadko przyjeżdżająca do Paryża z jakiejś zapadłej dziury. Przez całe miesiące odkładała w domu grosz do grosza, pewnego zaś dnia wybierała się do stolicy i wprost z dworca dążyła do magazynu „Wszystko dla Pań”, aby wydać wszystkie zaoszczędzone pieniądze. Bardzo rzadko robiła zamówienia listownie, lubiła bowiem patrzeć na towary, lubiła ich dotykać; kupowała w magazynie wszystko, nawet igły na zapas, które, jak mówiła, kosztują szalone pieniądze w małym miasteczku, gdzie mieszkała. Znał ją cały magazyn. Wiadomo było, że nazywa się Boutarel i że mieszka w Albi. Innymi szczegółami nie interesowano się. Nikogo nie obchodziła ani jej pozycja społeczna, ani życie prywatne.

– Jak się pani miewa? – zapytała uprzejmie pani Aurelia wychodząc na spotkanie klientki.
– Czego pani sobie życzy? Jesteśmy do usług. – Po czym zwracając się do pań zapytała: – Na kogo kolej?

Denise podeszła, lecz wyprzedziła ją Klara. Zazwyczaj nie okazywała zbytniego zapału do sprzedaży, lekceważąc niewielki zysk, ponieważ więcej przynosił jej lekki zarobek poza magazynem. Ale dziś dodała jej bodźca myśl, aby tej nowo przybyłej świsnąć sprzed nosa dobrą klientkę.

– Przepraszam, teraz kolej na mnie – odezwała się oburzona Denise. Pani Aurelia surowym wzrokiem powstrzymała ją mówiąc szeptem:

– Nie ma żadnej kolejności, ja tu rządę... Najpierw trzeba się nauczyć, a potem dopiero będzie można zabrać się do załatwiania stałych klientek.

Dziewczyna cofnęła się, a ponieważ chciała ukryć nabiegające do oczu łzy, odwróciła się i

stała przed wielkimi szybami udając, że wygląda na ulicę. Czy zabronią jej sprzedawać? Czy wszystkie zmówiły się przeciwko niej, aby odebrać jej poważniejsze klientki? Chwytał ją strach przed przyszłością, czuła się przytłoczona ogromem rozpętanej wokoło chciwości. Rozgoryczona, dotkliwie czując swoje opuszczenie i samotność, przycisnęła czoło do zimnej szyby i patrzyła na sklep stryja po przeciwnej stronie ulicy. Myślała przy tym, że może źle zrobiła nie starając się ubłagać go, aby zatrzymał ją u siebie. Może udałoby się jej to dziś rano – Baudu wydawał się wzruszony przy pożegnaniu. Teraz zaś znalazła się samotna i zagubiona w tym wielkim domu, gdzie nikt nie okazywał jej sympatii i gdzie wszyscy jej dokuczali. Pepi i Janek odeszli do obcych, a nigdy przedtem nie opuszczali jej ani na chwilę; boleśnie czuła tę rozłąkę i wielkie łzy, siłą powstrzymywane pod powiekami, zatarły jej obraz ulicy.

Z tyłu dobiegał ją tymczasem gwar rozmów.

– Wyglądam w tym płaszczu jak garbata – mówiła pani Boutarel.

– Ale skądże znowu, proszę pani! – powtarzała Klara. – Ramiona leżą doskonale... A może wolałaby pani pelisę?

Nagle Denise wzdrygnęła się. Jakaś ręka dotknęła jej ramienia. Pani Aurelia napomniała ją surowo:

– Co to za dasy? Nic nie robisz i przypatrujesz się spacerującym po ulicy ludziom?... Tak dalej być nie może!

– Co mam robić, proszę pani, jeśli nie wolno mi sprzedawać?

– Czeka na ciebie inna robota, moja panno. Trzeba zacząć od początku... Zabierz się do układania okryć.

Obsługując nieliczne klientki, które dotąd odwiedziły dział konfekcji, powyjmowano już prawie wszystko z szaf. Na długich dębowych stołach, z prawej i z lewej strony salonu, piętrzyły się stosy płaszczy, pelis, rotund, okryć różnych wielkości i różnych gatunków. Bez słowa Denise zabrała się do segregowania okryć, starannego ich składania i umieszczania w szafach. Było to pośledniejsze zajęcie początkujących ekspedientek. Denise nie protestowała, wiedziała bowiem, że musi zdobyć się na bierne posłuszeństwo aż do chwili, gdy pani Aurelia pozwoli jej brać udział w sprzedaży, jak to początkowo obiecała. Chowiała więc posłusznie wyjęte ubiory i w trakcie tej roboty zobaczyła wchodzącego Moureta. Był to dla niej niespodziewany wstrząs: zaczerwieniła się, dziwny strach ogarnął ją znowu na myśl, że może pracodawca ją zagadnie. Ale on nie zauważył nawet młodej dziewczyny, której prośbę popart pod wpływem chwilowego wrażenia.

– Pani Aurelio! – zawołał krótko.

Był trochę blady, lecz wzrok miał jasny i stanowczy. Obchodząc poszczególne działy

stwierdził pustki, stanęło przed nim widmo klęski, mimo upartej wiary w powodzenie wielkiej sprzedaży. Była co prawda dopiero jedenasta; z doświadczenia wiedział, że największy ruch zacznie się po południu. Niepokoiły go jednak niektóre objawy: w czasie ubiegłych sprzedaży ruch rozpoczynał się od samego rana; poza tym nie widział teraz kobiet bez kapeluszy – klientek z tej samej dzielnicy, które odwiedzały sklep po sąsiedzku. Każdy wódz rozpoczynając walkę przeżywa chwilę zabobonnej słabości; podobnie Mouret, mimo właściwej mu postawy człowieka czynu, zląkł się klęski. Zdawał sobie doskonale sprawę, że jeśli ta sprzedaż nie uda się, będzie zgubiony; wydawało mu się, że czyta swą porażkę na twarzach przechodzących kobiet.

Dziwnym trafem pani Boutarel, która zawsze kupowała wszystko, opuściła dział mówiąc:

– Nie macie nic, co by mi się podobało... Namyślę się jeszcze... Mouret popatrzył za wychodzącą, po czym odciągnął na bok panią Aurelię, która pośpieszyła na jego wezwanie: wymienili między sobą kilka słów. Kierowniczką zrobiła gest wyrażający zwątpienie; odpowiadała widocznie na zapytanie pryncypała, że sprzedaż idzie opornie. Przez chwilę stali twarzą w twarz, ogarnięci zwątpieniem, jakie generałowie ukrywają zwykle przed żołnierzami. Potem Mouret powiedział głośno i z brawurą:

– Jeśli będzie potrzebna pomoc, niech pani weźmie jakąś dziewczynę z pracowni... Na coś się zawsze przyda.

Wyszedł, chciał obejść jeszcze inne działy. Ogarniała go rozpacz. Od samego rana starał się uniknąć spotkania z Bourdoncle'em, który drażnił go pełnymi niepokojem refleksjami. Wychodząc z działu bielizny, gdzie sprzedaż szła jeszcze gorzej niż gdzie indziej, wpadł na niego i musiał wysłuchać jego narzekań. Wówczas wysłał go bez ogródek do wszystkich diabłów, z brutalnością, której nie szczędził nawet swoim najwyższym pracownikom w chwilach złego humoru.

– Przestańże, u diabła! Wszystko idzie dobrze... Skończy się na tym, że powyrzucam za drzwi wszystkich strachajłów...

Mouret stanął sam jeden przy balustradzie otaczającej centralną halę. Z tego miejsca obejmował wzrokiem cały magazyn, mając wokoło siebie działy pierwszego piętra i mogąc swobodnie obserwować stoiska parterowe. Martwiły go panujące na górze pustki: w dziale koronek jakaś starsza pani przewracała zawartość wszystkich pudeł, nic nie kupując; w dziale bielizny jakieś trzy smarkule długo wybierały kołnierzyki po osiemnaście su. Na dole, w krytych galeriach, zauważył w świetle płynącym z ulicy, że klientek jest więcej. Robiło to wrażenie raczej przechadzki przed kontuarami – klientki szły gęsiego, w dużych odstępach; w dziale artykułów norymberskich i w trykotażach tłoczyły się kobiety w kaftanikach, a w

dziale materiałów białych i wełnianych nie było prawie nikogo. Chłopcy sklepowi, w zielonych liberiach ze świecącymi mosiężnymi guzikami, czekali na klientelę stojąc beczynnie. Chwilami pojawiał się któryś z inspektorów z ceremonialną miną, wyprostowany i w białym krawacie. Serce Moureta ścisnęło się zwłaszcza na widok martwej pustki w hali: światło padało tam z góry poprzez szyby z matowego szkła, które przesączały jasność dnia jak biały pył, rozpraszając go i jakby zawieszając w próżni. W oświetleniu tym dział jedwabi zdawał się drzemać pośród drżącej, kaplicznej ciszy. Kroki sprzedawcy, cicho wymawiane słowa, szelest kobiecej sukni, oto jedyne odgłosy, jakie dochodziły stamtąd do uszu właściciela. Co prawda zajeżdżały jakieś pojazdy, słychać było zatrzymujące się gwałtownie konie, zamykające się hałaśliwie drzwiczki; daleki rozgwar ulicy, gapie pchający się do wystaw, dorożki stojące na placu Gaillon, wszystko to było zapowiedzią napływu klientów. Na razie jednak widząc beczynnych kasjerów rozpartych nonszalancko w okienkach kas, stwierdzając, że stoły w paczkarni świecą pustkami, że nie ma na nich nic prócz pudeł ze sznurkiem i librami niebieskiego papieru pakowego, Mouret, chociaż buntował się w duchu przeciw nurtującej go obawie, czuł jednocześnie, że wielka maszyna magazynu zatrzymuje się i stygnie.

– Spójrz no na pryncypała, tam w górze... – powiedział cicho Hutin do kolegi Faviera. – Minę ma niewesołą.

– Podła buda – odparł Favier. – Przecież od rana nic jeszcze nie sprzedałem.

Obaj młodzi ludzie oczekiwali na klientki i nie patrząc na siebie wymieniali krótkie zdania. Inni sprzedawcy zajęci byli układaniem w jeden stos sztuk jedwabiu „Paris-Bonheur” według wskazówek Robineau. Bouthemont odbywał jakąś naradę z młodą, szczupłą kobietą i wydawało się, że przyjmuje ważne zamówienie. Naokoło, na lekkich eleganckich półkach mieściły się materiały jedwabne, zawinięte w obwoluty z kremowego papieru. W takim opakowaniu sztuki tkanin podobne były do stosu broszur o niezwykłym formacie. Kontuury zarzucone fantazyjnymi jedwabiami, morą, atłasem, aksamitem, wyglądały jak rabaty ściętych kwiatów, cały żniwny plon delikatnych i cennych tkanin. Dział jedwabi był działem eleganckim, prawdziwym salonem, w którym towary ważące tak niewiele dopełniały jakby luksusowego umeblowania.

– Muszę mieć sto franków na niedzielę – zaczął znowu Hutin. – Jeśli mi się nie uda zarobić przeciętnie dwunastu franków dziennie, jestem zgubiony... Liczyłem na tę sprzedaż.

– O, do diabła! Sto franków to ładna sumka – powiedział Favier. – Ja nie mam takich ambicji, wystarczy mi pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt... Więc ty sobie fundujesz eleganckie kobietki?

– Skądże znowu, mój drogi! Wyobraź sobie, zdarzyła mi się głupia historia, założyłem się i przegrałem... Muszę zrobić fundę dla pięciu osób, dwóch mężczyzn i trzech kobiet... Psiakość! Pierwszą klientkę, która się nawinie, naciągnę na dwadzieścia metrów „Paris-Bonheur”!

Rozmawiali jeszcze chwilę, opowiedzieli sobie, co robili poprzedniego dnia i jakie mieli projekty na następną niedzielę. Favier grał na wyścigach, Hutin zaś uprawiał sport wioślarski i bawił się w towarzystwie śpiewaczek kabaretowych. Obydwaj koledzy jednakowo odczuwali głód pieniędzy, myśleli o pieniądzach, walczyli o pieniądze od poniedziałku do soboty, a potem przepuszczali je w niedzielę. Pogoń za pieniądzem była ich stałym zajęciem, narzucającym się wbrew ich woli, walką bez chwili wytchnienia i bez litości. A ten spryciarz Bouthemont zagarnął dla siebie przyslaną przez panią Sauveur szczupłą kobietę, z którą właśnie rozmawiał! Zrobi dobry interes, sprzeda dwa lub trzy tuziny sztuk jedwabiu, bo ta krawcowa pochłaniała od razu wielkie kęsy. W tej właśnie chwili Robineau, podobnie jak kierownik działu, ośmielił się sprzątnąć klientkę sprzed nosa Favierowi.

– Ach, z tym trzeba będzie nareszcie skończyć! – zaczął znowu Hutin, aby podjudzać subiektów przeciwko człowiekowi, którego miejsce chciał zająć. – Czy kierownicy i ich zastępcy powinni brać udział w sprzedaży?! Jeżeli zostanę kiedykolwiek zastępcą kierownika, to zobaczysz, jaki będę dla was dobry, daję słowo!

Cała jego normandzka figurka, ujmująca i tłuściutka, promieniała dobroduszością. Favier spojrzał na niego z ukosa, lecz zachował zwykłą flegmę i odpowiedział tylko:

– Tak wiem... Co do mnie, to bardzo bym sobie tego życzył. – A widząc zbliżającą się jakąś klientkę dodał ciszej: – Uwaga! To coś dla ciebie.

Klientka miała twarz pokrytą pryszczami. Ubrana była w żółty kapelusz i czerwoną suknię. Hutin natychmiast odgadł, że ta pani nic nie kupi. Schylił się więc szybko za ladę udając, że zawiązuje sznurowadło u buta. Tak schowany szepnął:

– Ani mi się śni! Niech ktoś inny weźmie ją sobie na kark... Dziękuję bardzo, nie mam zamiaru stracić mojej kolejki. Robineau tymczasem wołał:

– Na kogo kolej, panowie? Na pana Hutin?... Gdzie pan Hutin?

Ponieważ Hutin nie odezwał się, więc panią z pryszczami obsłużył inny sprzedawca. Pani ta rzeczywiście żądała tylko próbek wraz z cenami, ale przez dziesięć minut zatrzymywała sprzedawcę zasypując go pytaniami. Zastępca kierownika spostrzegł jednak, jak Hutin podnosił się zza lady. Toteż gdy zjawiała się nowa klientka, zainterweniował surowo, powstrzymując nadbiegającego młodzieńca.

– Opuścił pan swoją kolejkę... Wołałem pana, ale pan ukrył się pod ladą.

– Ależ, proszę pana, nie słyszałem...

– Dosyć tego!... Proszę się zapisać na końcu listy... Panie Favier, teraz pana kolej.

Favier, w gruncie rzeczy ubawiony tą sceną, przeprosił wzrokiem kolegę. Hutin, z pobladłymi z wściekłości wargami, odwrócił głowę. Złość jego była tym większa, że znał dobrze klientkę, uroczą młodą blondynkę, która była częstym gościem działu jedwabów i którą subiekci nazywali „piękną panią”, nie wiedząc o niej zresztą nic bliższego, nie znając nawet jej nazwiska. „Piękna pani” kupowała wiele, kazała sobie odnosić zakupione przedmioty do powozu i znikać. Była wysoka, elegancka, ubrana zawsze w sposób gustowny, prawdopodobnie bardzo zamożna i z najlepszego towarzystwa.

– No i jak tam twoja kokotka? – zapytał Hutin, gdy Favier wrócił od kasy, dokąd towarzyszył kupującej pani.

– Co znowu za kokotka? – oburzył się zagadnięty. – To niemożliwe, jej wygląd świadczy o tym, że to porządna kobieta... Musi być pewno żoną spekulanta giełdowego albo lekarza, nie wiem zresztą, ale coś w tym guście.

– Co też ty wygadujesz! To z pewnością kokota... Zresztą one mają takie wytworne maniere, że trudno coś powiedzieć na pewno! Favier oglądał swój bloczek sprzedaży.

– Wszystko jedno! – ciągnął dalej. – Wpakowałem jej towaru za dwieście dziewięćdziesiąt trzy franki... Mam już prawie trzy franki procentu.

Hutin zagryzł wargi i wyładował swą złość na bloczku: co za głupi wynalazek, który tylko zawadza w kieszeni! Między kolegami toczyła się głucha walka. Favier udawał zazwyczaj, że ulega, że uznaje wyższość przyjaciela, i zadowalał się kopaniem pod nim dołków po kryjomu. Hutin cierpiał teraz z powodu tych trzech franków zarobionych w tak łatwy sposób przez sprzedawcę, którego uważał za mniej wartościowego od siebie. Doprawdy, pięknie się ten dzień zaczyna! Jeśli tak dalej pójdzie, to nie zarobi nawet na wodę sodową dla swoich gości. Zaczął przechadzać się wzdłuż kontuarów i wobec tej przybierającej na sile walki tym goręcej pożałował swojej części łupu, zazdrościł nawet przełożonemu, który odprowadzał właśnie szczupłą kobietę powtarzając:

– Dobrze, to sprawa załatwiona. Niech jej pani powie, że zrobię wszystko, co leży w mojej mocy, aby uzyskać zgodę pana Mouret.

Już od dłuższej chwili Mouret zniknął ze swego punktu obserwacyjnego koło balustrady na półpiętrze. Nagle ukazał się znów u szczytu schodów. Obejmował wzrokiem magazyn. Na widok napływającej fali ludzkiej twarz jego pokryła się rumieńcem, otucha wstąpiła na nowo w serce; nabierał pewności siebie. Nadszedł nareszcie moment oczekiwanego natłoku, popołudniowego ścisku, którego na skutek zdenerwowania przestał się już spodziewać.

Wszyscy subiekci znajdowali się na swoich stanowiskach, dzwonek oznajmił już bowiem koniec trzeciej tury posiłku. Poranne pustki w magazynie spowodowane były prawdopodobnie ulewą, która spadła koło godziny dziewiętej, lecz teraz, kiedy niebo zajaśniało znowu promienną radością, katastrofa mogła być jeszcze zażegnana.

Pierwsze piętro zaczęło się ożywiać. Mouret musiał usunąć się na bok, aby przepuścić klientki, które grupkami wchodziły po schodach kierując się do działów konfekcji i bielizny. Za nim, w dziale koronek i szali, również robiło się rojno. Mouret słyszał wysokie cyfry, wywoływane przez sprzedawców przy kasie. Lecz najbardziej uspokoił go widok galerii na parterze; przy norymberszczyźnie panował tłok, oblegano nawet towary białe i wełniane, defilada kupujących była teraz bardziej zwarta, przeważały panie w kapeluszach, tylko gdzieś tam widziało się czepeczki zapóźnionych gospodyń. W hali materiałów jedwabnych, bardzo jasnej, widać było rozmawiające półgłosem panie, które zdejmowały rękawiczki, aby dotykać palcami sztuk jedwabiu „Paris-Bonheur”. Mouret nie mylił się już co do charakteru zgiełku dochodzącego z zewnątrz, turkotu dorożek, trzasku zamykanych drzwiczek, rosnącego wciąż gwaru ciekawego tłumu. Czuł, jak pod jego nogami maszyna zaczyna pracować, rozgrzewa się i tętni życiem, począwszy od kas, z których dochodził brzęk złota, od stołów, przy których chłopcy sklepowi pospiesznie owijali w papier i wiązali paczki, aż do głębi suterren, do ekspedycji miejskiej, która napełniała się odesłanymi na dół towarami i skąd dochodził głuchy szum wprawiający w drżenie cały budynek. Pośród tłumu przechadzał się poważnie inspektor Jouve wypatrując złodziejek.

– Ach, to ty! – powiedział nagle Mouret poznając Pawła de Vallagnosc, którego prowadził chłopiec sklepowy. – Ale skądże, co znowu, nie przeszkadzasz mi wcale... Jeżeli chcesz wszystko zobaczyć, to chodź ze mną, dziś jestem na posterunku.

Mimo wszystko dręczył go niepokój. Frekwencja wzrastała, to prawda, ale czy wielka sprzedaż przyniesie mu triumf, jak tego się spodziewał? Wbrew natrętnym myślom Mouret żartował z Pawłem i wesoło pociągnął go za sobą.

– Wydaje mi się, jakby handel ruszył trochę – powiedział Hutin do Faviera – tylko ja nie mam dziś szczęścia, bywają dni pechowe, słowo daję!... Miałem przed chwilą jakąś starą piłę z prowincji i straciłem przez nią na próżno masę czasu. Nic nie kupiła...

Ruchem brody wskazał odchodzącą panią, która patrzyła z niesmakiem na wszystkie materiały. „Tysiąc franków stałych poborów – myślał Hutin – na pewno mnie nie wzbogaci, jeśli nie będę brał udziału w sprzedaży”. Zazwyczaj procentami i tantiemą zarabiał siedem do ośmiu franków, co łącznie ze stałymi poborami wynosiło przeciętnie do dziesięciu franków dziennie. Zarobki Faviera nie przekraczały nigdy ośmiu franków; i oto ten niezdara sprzątnął

mu sprzed nosa tłusty kasek. Właśnie przed chwilą sprzedał materiał na suknię. Taki ślamazara, co nigdy nie umiał zabawić klientek! Może człowieka szlag trafić!

– Trykociarze i szpulkarze robią, zdaje się, majątek – powiedział półgłosem Favier, mając na myśli subiektów z działu trykotarskiego i nicianego.

Lecz Hutin, który rozglądał się bacznie po całym magazynie, powiedział nagle:

– Czy znasz panią Desforges, przyjaciółkę szefa?... Patrz, to ta brunetka, której Mignot przymierza rękawiczki. – Zamilkł na chwilę, a potem dodał szeptem, jakby się zwracał do Mignota, z którego nie spuszczał wzroku: – Tak, tak, baw się dalej, mój pocziwcz, głaszcz ją po paluszkach, myślisz, że ci co z tego przyjdzie! Wiem doskonale, jakie są twoje konkiety!

Między subiektem z działu jedwabi i rękawicznikiem panowała od dawna „rywalizacja”, obaj piękni chłopcy przechwalali się, że flirtują z klientkami. W rzeczywistości ani jeden, ani drugi nie mógł pochwalić się żadnym nadzwyczajnym sukcesem. O małym Mignot opowiadano, że zakochała się w nim żona komisarza policji; jego rywal Hutin dokonał podobno na terenie swego działu podboju jakiejś szmuglerki, znudzonej włóczęgostwem po podejrzanych hotelach dzielnicy, W gruncie rzeczy obaj kłamali wymyślając jakieś tajemnicze przygody, schadzki proponowane przez hrabiny przy kontuarze sklepowym i tym podobne brednie.

– Właściwie powinieneś się nią zająć – powiedział do kolegi Favier z miną niewiniątka.

– Wiesz, to jest dobra myśl! – krzyknął Hutin. – Jeżeli przyjdzie tutaj, postaram się ją omotać. Potrzeba mi pięciu franków.

W dziale rękawiczek panie siedziały rzędem przed wąskim kontuarem o rogach z niklowanego metalu. Kontuar pokryty był zielonym aksamitem. Uśmiechnięci sprzedawcy gromadzili na nim płaskie czerwone pudełka, które wyjmowali spod lady. Pudełka te przypominały opatrzone etykietkami szufladki kartoteki. Mignot pochylał ku klientkom swoją ładną lalkowatą twarz i pieściwie modulował głos o silnym paryskim akcencie. Sprzedał już pani Desforges dwanaście par rękawiczek z kozłowej skóry, zwanych „Bonheur” i będących specjalnością firmy. Pani Deslorges zażądała następnie trzech par rękawiczek duńskich. Teraz znów przymierzała rękawiczki saskie chcąc sprawdzić ich wymiar.

– Pasują doskonale, proszę szanownej pani! – powtarzał Mignot. – Sześć i trzy czwarte to byłaby miara zbyt duża na pani rączkę.

Na wpół leżąc na ladzie subiekt trzymał rękę klientki i wciągał rękawiczkę na każdy palec po kolei pieścizotliwym, wielokrotnie powtarzanym ruchem. Patrzył przy tym na nią, jakby w oczekiwaniu, że wyczyta na jej twarzy przebliski jakiegoś zmysłowego doznania. Ale pani

Desforges trzymając łokieć oparty na aksamitnej poduszce, z dłonią podniesioną do góry. powierzała subiektowi swoje palce z miną tak samo obojętną, z jaką podawała nogę swej pokojówce, aby ta zapięła guziki u jej bucików. Ten subiekt nie był dla niej mężczyzną, pozwalala mu obsługiwać się nie patrząc nawet na niego z poufałą pogardą, z jaką zwykle traktowała podległych sobie ludzi.

– Czy nie sprawiam pani bólu?

Potrząsnęła przecząco głową. Zapach saskich rękawiczek, woń dzikiego zwierzęcia zmieszana ze słodyczą piżma, niepokoił ją zazwyczaj; śmiała się nawet z siebie czasami, przyznając, że ma słabość do tego dziwnego zapachu, który, jak twierdziła, miał coś ze zwierzęcia w okresie rui i zalaływał tanim pudrem ulicznych dziewcząt. Tu jednak, przy tej banalnej ladzie, przymierzenie rękawiczek nie drażniło jej powonienia, nie wzbudzało żadnego zmysłowego kontaktu między nią a sprzedawcą, który wykonywał jedynie swój zawód.

– Czym jeszcze można pani służyć?

– Dziękuję, to wszystko... Proszę to zanieść do kasy numer 10 dla Pani Desforges.

Jako stała klientka pani Desforges podawała jedynie swoje nazwisko w kasie i posyłała do niej wszystkie zakupy, rezygnując z pomocy subiekta. Kiedy odeszła, Mignot zwracając się do sąsiada mrugnął znacząco, jakby dawał mu do zrozumienia, że między nim a klientką zaszło coś nadzwyczajnego.

– Tak, tak, postaram się obsłużyć ją do końca! – powiedział trywialnie.

Tymczasem pani Desforges dalej robiła zakupy. Skierowała się na lewo i zatrzymała przy płótnach, aby kupić ścierki; następnie okrążyła magazyn i dotarła aż do wełen w głębi galerii. Chciała nabyć materiał na suknię dla swojej kucharki, z której była wyjątkowo zadowolona. Dział materiałów wełnianych był dosłownie zapchany kupującymi. Wszystkie drobnomieszczanki zmierzały tam, dotykały kuponów i pogrążały się w niemych obliczeniach. Wobec tego pani Desforges usiadła na boku, aby poczekać. Na półkach piętrzyły się ogromne sztuki towaru, które sprzedawcy zdejmowali z wielkim wysiłkiem. Lady były tak zavalone materiałami, że subiektci przestali się już w nich orientować. Tkaniny mieszały się ze sobą i spadały na ziemię. Było to jakby wzbierające morze dyskretnych barw, matowych tonów wełen, szarych jak żelazo, popielatych z odcieniem żółtawym, szaroniebieskich, wśród których błyskała gdzieś barwna krata szkocka lub krwistoczerwona flanela. Białe etykiety z cenami robiły wrażenie rzadko rozsianych płatków śniegu, pokrywających czarną ziemię grudniową.

Poprzez stopy popeliny Liénard żartował z wysoką dziewczyną bez kapelusza, robotnicą z

tej samej dzielnicy, wysłaną przez szefową w celu zakupu kamlotu. Liénard nienawidził dni wielkiej sprzedaży, po których bolały go zwykle ręce, i starał się wykręcić od pracy nie dbając o nią zupełnie, bo ojciec przysyłał mu sporo pieniędzy. Pracował więc tylko tyle, ile było koniecznie potrzeba, aby nie wylecieć.

– Niech mnie pani posłucha, panno Fanny – mówił do dziewczyny. – Zawsze się pani spieszy... Czy wełna wigoniowa, którą pani brała któregoś dnia, była dobrze dobrana? Przyjdę do pani po należną mi tantiemę!

Ale robotnica śmiejąc się uciekła. Liénard spotkał się oko w oko z panią Desforges, nie pozostawiało mu nic innego, jak grzecznie zapytać:

– Czym można pani służyć?

Chciała niedrogiego, lecz mocnego materiału na suknię. Liénard chcąc oszczędzić sobie wysiłku manewrował w ten sposób, aby skłonić klientkę do wybrania jednego z materiałów już rozłożonych na ladzie. Piętrzyły się tam kaszmiry, szarsze, wigonie, a sprzedawca przysięgał, że nie istnieje nic lepszego. Żaden z tych materiałów nie odpowiadał jednak wymaganiom kupującej. W oko wpadła jej leżąca na półce niebieskawa krepa i Liénard, chcąc nie chcąc, musiał ściągnąć żadaną sztukę materiału, który w rezultacie okazał się zbyt szorstki. Potem posypały się z. półki szewioty, diagonale, szare wytłaczane tkaniny, wszystkie odmiany wełny. Dotykanie ich sprawiało pani Desforges przyjemność, w głębi duszy jednak zdecydowana była wziąć byle co. Młody człowiek musiał zdejmować sztuki z najwyższych półek; w ramionach czuł nieznośny ból, a tymczasem kontuar zniknął zupełnie pod nawałem jedwabistego kaszmiru i popelin, pod szorstkim włosem szewiotów, pod włochatym puchem wigonii. Przewijały się w ten sposób wszystkie możliwe odcienie i wszelkie rodzaje tkanin. Pani Desforges kazała sobie pokazać również grenadynę i gazę z Chambéry nie mając najmniejszego zamiaru ich kupować. Wreszcie, gdy ją to już znudziło, rzekła:

– Mój Boże! Pierwszy materiał, który oglądałam, był jeszcze najlepszy. To dla mojej kucharki... Tak, ta szarsza w drobny rzucik, po dwa franki.

A gdy Liénard, błądzący z hamowanej wściekłości, odmierzał materiał, dodała:

– Proszę to odnieść do kasy numer 10... Dla Pani Desforges.

6Odchodząc od kontuaru dostrzegła stojącą opodal panią Marty z córką Walentyną, wysoką, czternastoletnią pannicą, szczupłą i pewną siebie. Dziewczynka obrzucała towary zachłannym wzrokiem już dojrzałej kobiety.

– A. to pani, moja droga!

– Dzień dobry!... Co za ścisk!

– Tak. można się udusić. Co za sukces!... Czy pani widziała salon w stylu orientalnym?

– Wspaniały! Coś niesłychanego!

Stojąc w strasznym tłoku i narażając się na popychanie przez wzrastającą wciąż falę kobiet, które rzucały się na tanie wełny, obie panie rozpląwały się w pochwałach nad wystawą dywanów. Wreszcie pani Marty powiedziała, że szuka materiału na płaszcz, nie mogła się jednak zdecydować, chciała właśnie, żeby jej pokazano wełnianą tkaninę na okrycie.

– Ależ, mamusiu – odezwała się Walentyna – to takie pospolite...

– Niech pani obejrzy coś w dziale jedwabi – poradziła pani Desforges. – Trzeba zobaczyć ten sławny „Paris-Bonheur”.

Pani Marty wahała się przez chwilę. To wypadnie z pewnością drogo. Obiecała solennie mężowi, że będzie rozsądna! Od godziny już czyniła zakupy. Niesiono za nią mufkę i riuszki dla niej oraz pończochy dla córki. Na koniec, zwracając się do sprzedawcy, który pokazywał jej materiał na płaszcz, powiedziała:

– Nic mi się z tego nie podoba. Idę do działu jedwabi... Sprzedawca wziął kupione przez nią rzeczy i poszedł przodem. Przez dział jedwabi przewijały się tłumy klientów. Ciśnięto się zwłaszcza przed wewnętrzną wystawę, ułożoną przez Hutina, tę samą, którą w sposób mistrzowski poprawił Mouret. W głębi hali, wokoło jednej z odlewanych stalowych kolumn podtrzymujących oszklony dach, z góry aż do podłogi spływały falami udrapowane pasma tkaniny. Na pierwszym planie rozbłyskiwały jasne atłasy i delikatne jedwabie: atłasy królewskie, atłasy renesansowe o perłowych odcieniach źródlanej wody; lekkie jedwabie o przezroczystości kryształu, zielone jak woda Nilu, błękitne jak egzotyczne niebo, różowe jak majowe kwiaty, modre jak fale Dunaju. Potem większymi falami spływały tkaniny solidniejsze: cudowne atłasy, mięsiste jedwabie o gorących tonach. Na dole, jakby na dnie fontanny, układały się ciężkie niby pancerze materie: adamaszki, brokaty, wypukłe perłście, supełkowane jedwabie, lamy złote lub srebrne, wszystkie na tle aksamitów czarnych, białych, kolorowych, wytłaczanych w desenie na atłasie lub jedwabiu. Mieniające się plamy tych ciężkich materiałów tworzyły nieruchome jezioro, na którym zdawały się tańczyć refleksy nieba i krajobrazu. Blade z pożądania kobiety pochylały się nad tym jeziorem, jakby się chciały w nim przejrzeć. Wobec tej otwartej tamy wodospadu stały w niemym strachu, aby nie pochłonął ich nadmierny przepych, a jednocześnie ogarnięte nieprzewyciężonym pragnieniem rzucenia się i pogrążenia w tym odmęcie.

– A, i ty także tu jesteś! – powiedziała pani Desforges spostrzegając siedzącą przed ladą panią Bourdelais.

– Dzień dobry! – odpowiedziała zagadnięta ściskając dłonie wszystkich trzech pań. – Właśnie przyszedłam popatrzeć na te cuda. – Prawda, jaka śliczna jest ta wystawa? Jak marzenie!... A salon wschodni widziałaś?

– Tak. naturalnie. Nadzwyczajny!

Mimo tego entuzjazmu, który udzielił się już wszystkim eleganckim kobietom, pani Bourdelais zachowała zimną krew praktycznej gospodyni. Oglądała starannie sztukę „Paris-Bonheur”, ponieważ przyszła specjalnie po to, aby skorzystać z wyjątkowo niskiej ceny tego jedwabiu. Po dokładnym zbadaniu tkaniny cena rzeczywiście wydała jej się bardzo przystępna. Gatunek podobał jej się również. Zażądała więc dwudziestu pięciu metrów obliczając, że ta ilość wystarczy na suknię dla niej i na płaszczyk dla córeczki.

– Jak to, już wychodzisz? – zapytała pani Desforges. – Chodź przejść się po magazynie.

– Nie mogę, dzieci czekają na mnie... Zostawiłam je w domu bojąc się, że je tutaj zgniotą.

Po czym odeszła poprzedzana przez subiekta, który niósł kupiony jedwab i prowadził ją do kasy numer 10, gdzie młody Albert tracił głowę pośród głośnych okrzyków wywołujących faktury sprzedawców. Kiedy subiekt, eskortujący panią Bourdelais, mógł się wreszcie zbliżyć do kasy, wywołał zaznaczony uprzednio w swym bloczku sprzedany artykuł, a kasjer zapisał sumę w wielkiej księdze. Następowo teraz tak zwane powtórne wywoływanie i wówczas wyrwana z bloczka kartka wędrowała na żelazny szpikulec, obok stempla do kwitów.

– Sto czterdzieści franków – powiedział Albert.

Pani Bourdelais zapłaciła i podała swój adres, nie mając bowiem powozu nie chciała obciążać się paczką. Z tyłu za kasą Józef trzymał już w ręku jedwab i owijał go w papier; paczka, rzucona do ruchomego, zmontowanego na kółkach koszyka, zjeżdżała do biura ekspedycji miejskiej, dokąd wszystkie towary z magazynu spadały teraz z hałasem otwartej tamy rzecznej.

Przy jedwabiach zrobił się tak wielki tłok, że pani Desforges i pani Marty nie mogły znaleźć wolnego subiekta. Stały więc wśród tłumu kobiet, które oglądały materiały, brały je w rękę i wyczekiwały godzinami nie decydując się na kupno. Wielki sukces osiągnął zwłaszcza „Paris-Bonheur”, wokoło którego wciąż rosła fala zachwyconych kobiet. Taka właśnie nagła gorączka dyktuje czasem modę w ciągu jednego dnia. Wszyscy subiektci odmierzali tylko ten gatunek jedwabiu. Ponad kapeluszami pań widać było delikatny połysk rozwijanych zwojów, któremu towarzyszył miarowy ruch palców sprzedawców wzdłuż dębowych metrów, przymocowanych do miedzianych prętów. Słychać było chrzęst nożyc krojących materiał w miarę rozwijania wciąż nowych jego sztuk. Wydawało się, że brakuje dostatecznej ilości rąk dla zaspokojenia żarłocznie wyciągniętych ramion klientek.

– Rzeczywiście, jak na pięć franków sześćdziesiąt ten jedwab nie jest wcale taki brzydki – powiedziała pani Desforges, której udało się zawładnąć jedną sztuką jedwabiu na samym brzegu lady. Pani Marty i jej córka Walentyna były rozczarowane. Gazety tyle pisały o tym jedwabiu, że oczekiwały czegoś solidniejszego i bardziej świecącego. Bouthemont, dostrzegłszy panią Desforges i pragnąc przypodobać się pięknej kobiecie, o której wpływie na pryncypała mówiono powszechnie, zbliżył się z przesadną uprzejmością. Jak to? Nikt się nią nie zajmuje! To nie do darowania! Pani Desforges musi wybaczyć, bo rzeczywiście nie wiadomo, gdzie się obrócić, co wprawdzie robić. Szukał krzeseł między sukniami siedzących w pobliżu pań. Śmiał się przy tym dobrodusznie, ale w śmiechu tym można było wyczuć brutalną zmysłowość samca, co zdawało się podobać Henriecie.

– Słuchaj no – szepnął Favier zbliżając się do Hutina, aby wziąć z półki stojące za kolegą pudło z aksamitem. – Widzisz, jak Bouthemont obrabia twoją znajomą?

Hutin zapomniał już o pani Desforges. wyprowadzony z równowagi przez jakąś starszą osobę, która zająwszy mu cały kwadrans kupiła tylko metr czarnego atlasu na gorset. W chwilach dużego natłoku nie zwracano uwagi na zapisy na tablicy i subiekci obsługiwali klientki w kolejności przypadkowej. Hutin odpowiadał właśnie pani Boutarel, która przyszła na całe popołudnie do magazynu, spędziwszy tu już uprzednio trzy godziny rano. Uwaga Faviera zrobiła na nim wrażenie. Czy rzeczywiście ominie go sposobność obsłużenia przyjaciółki szefa, na której obiecywał sobie zarobić przynajmniej pięć franków? Byłby to już szczyt wszystkiego, ostateczny pech! Do tej pory nie zdołał zarobić więcej niż trzy franki na tych wszystkich spacerujących babach.

Bouthemont zawołał głośno:

– Czy któryś z panów może podejść tutaj?

Wówczas Hutin przekazał panią Boutarel beczynnemu stojącemu Robineau, mówiąc:

– Proszę się zwrócić do zastępcy kierownika... Objaśni panią lepiej ode mnie.

Skoczył następnie w kierunku pani Desforges i kazał sprzedawcy z działu wełen oddać nabyte przez panią Marty przedmioty, które ten niósł za obydwoma paniami. Był tego dnia zdenerwowany i wskutek tego zawiódł go delikatny węch, jakim odznaczał się zazwyczaj. Zwykle wystarczało mu jedno spojrzenie, aby wiedzieć, czy dana kobieta kupi cokolwiek, a nawet, ile kupi. Następnie, oładnąwszy klientkę, starał się załatwić ją jak najprędzej, aby przejść do innej, narzucając swój wybór i tłumacząc, że wie lepiej, czego jej potrzeba.

– Jaki rodzaj jedwabiu pani sobie życzy? – zapytał najuprzejmiejszym tonem. Pani Desforges zaledwie otworzyła usta, gdy Hutin przerwał: – Ja wiem czego pani potrzeba.

Na brzegu lady, wśród stosu innych materiałów, rozwinął sztukę „Paris-Bonheur”.

Zbliżyła się pani Marty z córką. Hutin, nieco zaniepokojony, zrozumiał wówczas, że chodzi najpierw o zakupy dla matki i córki. Wymieniano półgłosem uwagi; pani Desforges dawała rady przyjaciółce.

– Bez wątpienia jedwab po pięć franków sześćdziesiąt nigdy nie dorówna materii po piętnaście ani nawet po dziesięć franków.

– Ten jedwab się gniece – powtarzała pani Marty. – Boję się, że na płaszcz nie jest dość mięsisty.

Ta uwaga skłoniła sprzedawcę do interwencji. W głosie jego czuło się przesadną uprzejmość człowieka, który nie może popełnić omyłki.

– Ależ proszę pani, zaletą tego jedwabiu jest właśnie jego elastyczność. Nie gniece się zupełnie... Będzie pani na pewno zadowolona.

Zapewnienie subiekta zrobiło wrażenie na pani Marty. Zamilkła i wzięła materiał do ręki, aby ponownie mu się przypatrzeć, kiedy ktoś dotknął jej ramienia. Była to pani Guibal, która od godziny błądziła po sklepie krokiem spacerowym, sycąc oczy nagromadzonymi bogactwami, ale nie kupując nawet metra perkalu. Spotkanie wywołało nową rozmowę.

– Ach, to pani!

– We własnej, tylko trochę zgniecionej osobie.

– Rzeczywiście, jest wielki tłok i trudno przejść... Jakże się pani podobał salon wschodni?

– Zachwycający!

– Mój Boże, co za powodzenie!... Niechże pani zaczeka, pójdziemy razem na górę.

– Nie, dziękuję, właśnie stamtąd wracam.

Hutin czekał pokrywając żywe zniecierpliwienie zdawkowym uśmiechem. Czy jeszcze długo będą go tak trzymać? Doprawdy, kobiety nie liczą się z niczym: przecież to tak, jakby mu kradziono z kieszeni pieniądze. W końcu pani Guibal oddaliła się wolnym krokiem, z wyrazem zachwyty obchodząc wokoło wielką wewnętrzną wystawę jedwabiu.

– Ja na twoim miejscu kupiłabym gotowy płaszcz – powiedziała pani Desforges biorąc znów do ręki „Paris-Bonheur” – wyniesie to z pewnością taniej.

– Rzeczywiście. Gdybym kupiła materiał, trzeba by jeszcze zapłacić za dodatki i robotę – szepnęła pani Marty – A poza tym ma się wybór gotowych fasonów.

Wszystkie trzy podniosły się z krzeseł. Pani Desforges zwróciła się do Hutina:

– Niech nas pan zaprowadzi do działu konfekcji.

Hutin był zaskoczony. Nie przywykł do podobnych porażek. Jak to! Ta brunetka nic nie kupuje? Jego węch zawiódł go dzisiaj. Nie zajmując się więcej panią Marty zwrócił się do pani Desforges, na niej wypróbując swój kunszt dobrego sprzedawcy.

– A czy pani nie zechciałaby obejrzeć naszych aksamitów albo atlasów?... Mamy nadzwyczajne okazje.

– To już innym razem – odpowiedziała spokojnie, nie patrząc nawet na niego.

Hutin musiał wziąć zakupy pani Marty i iść przed paniami, aby je zaprowadzić do działu konfekcji. Przed odejściem zauważył z niezmiernym bólem, że Robineau sprzedaje właśnie pani Boutarel pokaźną ilość metrów jedwabiu. Nie ma dzisiaj nosa i nie zarobi nawet paru groszy. Pod maską układnych manier wrzał wściekłością człowieka okradanego, wyzyskiwanego przez innych.

– Na pierwsze piętro, proszę pań – powiedział nie przestając się uśmiechać.

Przedostanie się do schodów nie było rzeczą łatwą. Galeriami przewalał się zwarty tłum ludzki rozlewając się szeroko w głównej hali. Rozgorzała istna bitwa handlowa: sprzedawcy panowali nad zastępami kobiet i na wyścigi podawali sobie klientki z rąk do rąk. Nadeszła godzina największego nasilenia sprzedaży, gdy rozpedzona maszyna kierowała zawrotnym tańcem klientek i wyciągała im spod serca pieniądze. Szał ogarniał zwłaszcza dział jedwabi. „Paris-Bonheur” ściągał takie tłumy, że przez kilka minut Hutin nie mógł postąpić ani kroku. Na w pół zduszona Henrietta zauważyła u góry schodów Moureta, który wciąż powracał na to miejsce, skąd najlepiej mógł obserwować swój triumf. Uśmiechnęła się do niego mając nadzieję, że zejdzie, aby jej pomóc wydostać się z tłoku. Lecz on nie zauważył jej nawet w tłumie. Stał w towarzystwie pana de Vallagnosc. pokazując mu coś z twarzą promieniejącą zadowoleniem. Rozgwar wewnątrz magazynu zagłuszał zgiełk uliczny: nie słychać było już teraz ani turkotu dorożek, ani trzaskania drzwiczek powozów. Wyczuwało się jedynie, że poza tym rozgwarem wokół sprzedaży istnieje gdzieś rozległy Paryż, którego bezmierne przestrzenie dostarczać będą zawsze nieskończonej ilości kupujących kobiet. W nieruchomym powietrzu, wśród dusznego ciepła kaloryferów, które łagodziło zapach tkanin, wznosił się szum będący syntezą wszystkich odgłosów: nieprzeliczonych ludzkich kroków, wciąż tych samych sto razy powtarzanych przy kontuarach słów, złota dźwięczącego na metalowych blatach kas, obleganych przez popychających się i trzymających w pogotowiu pieniądze ludzi, koszy, które tocząc się na kółkach bez ustanku wysypywały towary w rozwartą przepaść ekspedycji. W unoszącym się w powietrzu delikatnym pyłe wszystko mieszało się razem, trudno było poznać, gdzie kończy się jeden dział, a rozpoczyna drugi. Dział artykułów norymberskich wyglądał jak zalany powodzią; dalej w dziale materiałów bieliznianych ukośny promień słońca, wpadający przez okno od strony ulicy Neuve-Saint-Augustin, wydawał się złotą strzałą na tle śnieżnej bieli; w dziale rękawiczek i wełny zwarta masa kapeluszy i włosów upiętych w koki zagradzała przejście do dalszych działów. Nie

widać nawet było poszczególnych damskich toalet, jedynie głowy zdobne w pióra i wstążki. Nieliczne męskie kapelusze odcinały się ciemną plamą, natomiast pobladłe od gorąca i zmęczenia twarze kobiet nabierały kameliowej przezroczystości. Dzięki sile swoich łokci Hutin utorował drogę idącym za nim paniom. Ale Henrietta wszedłszy na schody nie zastała już Moureta, który sam ulegając fizycznej potrzebie pograżenia się w tej kąpieli otaczającego go sukcesu, wciągnął przyjaciela w najbardziej zwarty tłum, by go do reszty oszołomić. Trudność złapania oddechu sprawiała mu niezwykłą rozkosz, czuł na całym ciele jakby uścisk swojej klienteli.

– Skręcamy na lewo, proszę pań – powiedział Hutin grzecznym tonem mimo wzbierającej w nim pasji.

Na górze panował taki sam tłok. Nawet zazwyczaj spokojny dział mebli był przepelniony. Dział szali, futer i bielizny roił się od ludzi. Kiedy pani Desforges z przyjaciółką przechodziły obok koronek, nastąpiło nowe spotkanie. Pani de Boves i jej córka Blanka tonęły w powodzi towaru, który pokazywał im Deloche. Hutin musiał się znowu zatrzymać piastując wciąż paczkę.

– Dzień dobry! Myślałam o pani.

– A ja pani, szukałam. Ale czy można się odnaleźć wśród takiego tłoku?

– Wszystko tu jest cudowne, prawda?

– Oszałamiające, moja droga. Nie możemy już ustać na nogach.

– Czy kupujecie coś?

– Ach nie, oglądamy tylko. Usiadłyśmy, żeby trochę odpocząć.

Istotnie, pani de Boves, mając w portmonetce jedynie drobną sumkę na dorożkę, kazała sobie pokazywać wszelkiego rodzaju koronki dla samej przyjemności oglądania ich i dotykania. Instynktownie wyczuta, że Deloche, niezręczny i powolny, jest początkującym sprzedawcą, który nie ośmieliłby się sprzeciwić kaprysom kobiet: nadużywała też jego uprzejmej usłużności i trzymała go od pół godziny, żądając coraz to innych gatunków. Kontuar był przepelniony, a pani de Boves zanurzała ręce w rosnące fale gipiur, koronek flandryjskich i *chuntilly* oraz walansjenek. Ręce jej drżały z pożądania, twarz płonęła zmysłową rozkoszą. Siedząca koło niej Blanka, miotana taką samą namiętnością, była blada, cerę miała zmiętą i niezdrową.

Tymczasem panie rozmawiały dalej. Hutin zależny od ich kaprysu miał ochotę je spoliczkować.

– Jeśli się nie mylę – powiedziała pani Marty – to ogląda pani żaboty i woalki takie same, jakie ja kupiłam.

– Istotnie, pani de Boves. którą koronki pani Marty dręczyły już od soboty, nie potrafiła oprzeć się pokusie, aby chociaż dotknąć tych cudów. skoro nie mogła ich nabyć, ograniczona przez męża w swych wydatkach. Zaczerwieniła się więc lekko, tłumacząc, że Blanka chciała zobaczyć żaboty z hiszpańskiej blondyny. Później dodała:

– Panie idą do działu konfekcji?... A więc na razie do widzenia. Spotkamy się we wschodnim salonie, dobrze?

– Doskonale, we wschodnim salonie... Prawda, że jest zachwycający? Rozstały się wreszcie, rozpluwając się w zachwycie wśród tłoku spowodowanego sprzedażą wstawek i innych drobiazgów po niskich cenach. Deloche. szczęśliwy, że coś zarobi, na nowo rozpoczął opróżniać pudła przed hrabiną i jej córką. Wśród cisnących się do kontuarów klientek przechadzał się wolno inspektor Jouve i prężąc po wojskowemu udekorowaną pierś baczenie zwracał uwagę na towary cenne, a jednocześnie tak cieniutkie, że łatwo je było ukryć chociażby w głębi rękawa. Przechodząc za plecami pani de Boves, zaskoczony chciwością, z jaką zanurzała ręce w pianie koronek, rzucił bystre spojrzenie na jej zgorączkowane palce.

– Panie będą łaskawe na prawo – powiedział Hutin ruszając naprzód.

Zaczynał tracić panowanie nad sobą. Czy to nie dosyć, że z ich powodu ominęła go okazja korzystnej sprzedaży? Teraz zatrzymywały go znowu na każdym zakręcie magazynu! Irytację jego powiększała zawiść, jaka istniała między działem tkanin a działem artykułów konfekcyjnych. Działy te były w ustawicznej walce wydzierając sobie klientki, kradnąc sobie nawzajem tantiemę i procenty. Jedwabie wściekały się jeszcze bardziej niż wełny, gdy wypadło zaprowadzić do konfekcji klientkę, która po obejrzeniu tafty lub innego materiału decydowała się na kupno gotowego płaszcza. Panno Vadon! – zawołał Hutin zirytowanym głosem, gdy nareszcie dotarł do konfekcji.

Ale wezwana przeszła nie zatrzymując się, całkowicie pochłonięta transakcją, którą właśnie doprowadzała do końca. Salon był wypełniony klientkami. Nieprzerwany sznur kobiet defilował tamtędy, wchodząc i wychodząc przez drzwi, które wiodły do przeciwnych sobie działów z koronkami i bielizną. W głębi salonu klientki przymierzały okrycia krygując się przed lustrem. Czerwony plusz tłumił odgłos kroków, rozgwar parteru nie dochodził tutaj. Rozmowy prowadzono półgłosem. Rozgrzana atmosfera salonu stawała się duszna na skutek obecności tylu kobiet naraz.

– Panno Prunaire! – zawołał Hutin. I ta nie zatrzymała się także. Dodał więc przez zaciśnięte zęby, tak aby nikt nie mógł go usłyszeć: – Co za małpiszony!

Nie lubił tych panien. Nogi uginały się pod nim ze zmęczenia od ciągłego chodzenia po schodach, aby przyprowadzić im klientki. Wściekał się, gdyż miał do nich urazę o zarobek,

który kradły mu w ten sposób. Toczyła się między nimi głucha walka, równie zacięta z obu stron; zarówno panny z działu konfekcji, jak i subiekci z działu tkanin byli zawsze zmęczeni, zawsze na nogach. W walce tej znikła różnica płci, pozostawały tylko przeciwieństwa interesów podsycane gorączką sprzedaży.

– Więc nie ma nikogo? – zapytał Hutin.

Nagle zauważył Denise. Zatrudniono ją od rana przy układaniu płaszczy zaledwie pozwalając wziąć udział w kilku wątpliwych sprzedażach, które jej się zresztą nie udały. Gdy Hutin spostrzegł ją, zajęta opróżnianiem stołu z nagromadzonych na nim okryć, podbiegł i rzekł:

– Proszę obsłużyć te panie.

Włożył jej czym prędzej w ręce zakupy pani Marty, których miał już dosyć. Uśmiechał się znowu, lecz w tym uśmiechu tkwiła złośliwość doświadczonego subiekta, który doskonale sobie zdaje sprawę z kłopotu, jaki spadnie na głowę młodej dziewczyny. Ta nieoczekiwana okazja sprzedaży wzruszyła jednak Denise. Już po raz drugi Hutin zjawił się przed nią jako nieznany przyjaciel, po bratersku czuły, gotów wyrwać ją z opałów. Toteż oczy młodej dziewczyny zabłyśły wdzięcznością i odprowadziła go wzrokiem, kiedy rozpychając się łokciami odszedł spiesznie w kierunku swojego działu.

– Chciałabym obejrzeć płaszcze – powiedziała pani Marty.

Wówczas Denise zadała jej szereg pytań. O jaki rodzaj płaszcza chodzi? Ale klientka nie umiała dać odpowiedzi, nie była zdecydowana i chciała zobaczyć fasony, jakie znajdują się w magazynie. Denise, bardzo zmęczona, oszołomiona tłokiem, straciła głowę; dotąd miała do czynienia jedynie z nielicznymi klientkami u Cornaille'a w Valognes, poza tym nie знаła jeszcze wszystkich modeli ani ich miejsca w szafach, toteż bez końca wypytywała obie panie, nadużywając ich cierpliwości, aż w końcu pani Aurelia zauważyła panią Desforges. której stosunki z Mouretem nie były dla nikogo z personelu sklepu tajemnicą, i pośpieszyła z zapytaniem:

– Czy ktoś się paniami zajmuje?

– Tak, ta panienka, która tam szuka – odpowiedziała Henrietta. – Ale zdaje mi się, że nie jest bardzo wprawna i nie może nic znaleźć.

Kierowniczka działu dobiła Denise mówiąc do niej półgłosem:

– Widzisz, że nic nie umiesz. Siedź przynajmniej spokojnie i nie mieszaj się do sprzedaży.

– Po czym zawołała: – Panno Małgorzato, proszę podać palto!

Pani Aurelia pozostała przy paniach, podczas gdy Małgorzata pokazywała modele. Ekspedientka mówiła do klientek tonem grzecznym, lecz oschłym, i przybierała w stosunku

do nich nieprzychylną postawę odzianego w jedwab dziewczęcia, otraskanego z elegancją klientek budzących w niej podświadomą zazdrość i niechęć. Gdy usłyszała od pani Marty, że ta nie ma zamiaru przekroczyć sumy dwustu franków, zrobiła pogardliwą minę. Och, to niemożliwe, pani musi coś do tej sumy dołożyć, za dwieście franków nie można dostać nic przyzwoitego. Rzuciła też na ladę płaszcz gestem, który oznaczał: „Proszę popatrzeć, jaka to nędza!”

Pani Marty nie śmiała zaprzeczyć. Nachyliła się tylko do pani Desforges szepcząc:

– Stanowczo obsługa męska jest sympatyczniejsza... Człowiek czuje się mniej skrępowany.

W końcu Małgorzata przyniosła z ważną miną jedwabny płaszcz przybrany dżetem. Wówczas pani Aurelia zawołała Denise.

– Włóż to na siebie. Może chociaż do tego się przydasz.

Denise, śmiertelnie urażona, pełna wątpliwości, czy kiedykolwiek znajdzie uznanie w magazynie, stała nieruchomo z opuszczonymi rękami. Z pewnością wymówią jej miejsce i nie stanie na chleb dla dzieci. Od zgiełku huczało jej w głowie, słaniała się na nogach, bolały ją wszystkie mięśnie od dźwigania naręczy okryć, pracy fizycznej, której nigdy nie wykonywała. Trzeba było jednakże być posłuszną pani Aurelii, więc Denise pozwoliła Małgorzacie włożyć na siebie płaszcz i ud rapować go jak na manekinie.

– Trzymaj się prosto – powiedziała pani Aurelia.

Wkrótce zapomniano o Denise. Wszedł Mouret w towarzystwie Pawła de Vallagnosc i Bourdoncle'a. Przywitał się z paniami, które gratulowały mu świetnej kolekcji nowości zimowych. Zachwycano się wschodnim salonem. Vallagnosc, który zwiedził już prawie cały magazyn, okazywał więcej zdziwienia niż podziwu; we właściwy sobie nonszalancko-pesymistyczny sposób konstatawał, że w gruncie rzeczy było to tylko nagromadzenie wielkiej ilości perkalu naraz. Bourdoncle natomiast zapomniał, że należy do personelu sklepowego, i składał Mouretowi powinszowania. Robił to zapewne w tym celu, aby zatrzeć wrażenie niepokoju i wątpliwości, jakie okazywał w godzinach rannych.

– Idzie wcale nieźle, jestem zadowolony – powtarzał rozpromieniony Mouret odpowiadając uśmiechem na czułe spojrzenia Henrietty. – Ale nie chcę paniom przeszkadzać.

Wówczas wszystkie oczy skierowały się znów na Denise. Posłuszna wskazówkom Małgorzaty wolno obracała się w miejscu.

– Co pani o tym myśli? – zapytała pani Marty przyjaciółki.

Pani Desforges jako bezapelacyjny arbiter mody miała głos decydujący.

– Jest niebrzydki i ma oryginalny krój... Tylko wydaje mi się, że źle leży w talii.

– Ależ proszę pani – wtrąciła pani Aurelia – trzeba zobaczyć ten płaszcz na odpowiedniej

figurze... Rozumie się, że na tej pannie model traci cały efekt... Proszę się wyprostować i stanąć tak, aby pokazać wszystkie zalety płaszcza.

Wszyscy się uśmiechnęli. Denise zbladła. Ogarniał ją wstyd, że zamieniono ją w manekin, który się ogląda i z którego można swobodnie żartować. Pani Desforges. ulegając instynktownej antypatii do tego tak odmiennego charakteru, podrażniona łagodnym wyrazem twarzy młodej dziewczyny, dodała złośliwie:

– To racja, że gdyby suknia tej panny była mniej luźna, płaszcz leżałby lepiej.

Rzuciła w stronę Moureta drwiące spojrzenie paryżanki, którą bawi śmieszny strój prowincjuszki. Oktaw odczuł pieśczętę tego spojrzenia. wyrażającego triumf kobiety zadowolonej ze swej urody. Przez wdzięczność za jej uwielbienie uznał, że sam musi też dodać coś złośliwego. chociaż odczuwał dla Denise raczej przychyłność i ulegał tajemniczemu czarowi dziewczyny.

– A poza tym trzeba być uczesany – mruknął.

To już był szczyt wszystkiego. Ponieważ dyrektor raczył zażartować, więc wszystkie panny uważały za stosowne pękać ze śmiechu. Małgorzata zagdakała jak kura wstrzymując się jako osoba dobrze wychowana, od głośnego wybuchu; Klara porzuciła na chwilę swoją klientkę, aby wyśmiać się do woli; nawet ekspedientki z działu bielizny stanęły na progu. zwabione hałasem. Kupujące damy okazywały wesołość w sposób bardziej dyskretny, uśmiechając się do siebie porozumiewawczo: jedynie cesarski profil pani Aurelii zachował powagę, jak gdyby piękne, niesforne włosy i dziewczęce ramiona debutantki przynosiły ujmę dobrej opinii jej działu. Denise zbladła jeszcze bardziej stojąc pośród kpiących z niej ludzi. Czowała się zgwałcona, obdzierana do naga. całkowicie bezbronna. Cóż im zawiniła, że przyczepili się do jej zbyt szczupłej figury, do zbyt ciężkiego węzła włosów? Największą przykrość sprawiał jej śmiech Moureta i pani Desforges. gdyż instynktownie domyślała się ich wzajemnego stosunku. Wywołało to nie znany dotąd ból w jej sercu. Ta pani musi być chyba złą kobietą, jeżeli dokucza biednej dziewczynie, która nie odzywa się przecież wcale. Co do niego, to budził w Denise takie przerażenie, że wszystkie inne uczucia pierzchały, zanim mogła je zanalizować. Potraktowana wzgardliwie jak parias, zraniona głęboko w swych kobiecych uczuciach, zbuntowana przeciw doznanej krzywdzie – przemocą zduśiła w sobie szloch. który chwycił ją za gardło.

– Tak, tak – niech się jutro uczesze.. bo to jest wprost nieprzyzwoite! – powtarzał zwracając się do pani Aurelii straszliwy Bourdoncle, który od pierwszego spotkania nie lubił Denise, pełen pogardy dla jej drobnej figurki.

Kierowniczka zdjęła wreszcie płaszcz z jej ramion mówiąc szeptem:

– Piękny był twój debiut, nie ma co mówić! Pokazałaś rzeczywiście, co potrafisz... Nie mogłaś się już zachować w sposób bardziej idiotyczny.

Denise bojąc się, by łzy nie trysnęły jej z oczu, pośpieszyła z powrotem do stosu okryć, które segregowała na kontuarze. Tam przynajmniej czuła się zgubiona w tłumie, a zmęczenie nie pozwalało jej myśleć. Nagle zobaczyła koło siebie ekspedientkę z działu bielizny, tę samą, która tego rana wzięła ją w obronę. Dziewczyna była świadkiem całej sceny. Szepnęła jej na ucho:

– Moje biedactwo, nie bądźże taka wrażliwa. Musisz stłumić łzy, bo inaczej będą ci robić ciągle przykrości...Ja pochodzę z Chartres i nazywam się Paulina Cugnot. Moi rodzice mają młyn... Byliby mnie zjedli ci tutaj w pierwszych dniach, gdybym nie stanęła okoniem... Bądź odważna! Daj mi rękę... Pogadamy kiedyś, jak będziesz chciała.

Ta wyciągnięta dłoń spotęgowała jeszcze niepokój Denise. Uścisnęła ją po kryjomu i czym prędzej powróciła do płaszczy bojąc się, że znów ją wyłają i wezmą jej za złe, iż ma tutaj przyjaciółkę.

Pani Aurelia zarzuciła tymczasem sama płaszcz na ramiona pani Marty wywołując tym okrzyki: „Świetnie! Wspaniale! Od razu inaczej wygląda”. Pani Desforges orzekła, że trudno o lepszy! Zaczęto się żegnać. Mouret odchodził, a pan de Vallagnosc, spostrzegłszy w dziale koronek panią de Boves z córką, pośpieszył ofiarować ramię matce. Małgorzata zeszła na parter, aby przy jednej z kas wyszczególnić zakupy pani Marty. Klientka zapłaciła i kazała odnieść wszystko do czekającej na nią dorożki. Pani Desforges odnalazła swoje sprawunki w kasie nr 10. Następnie panie spotkały się ponownie w salonie wschodnim. Zbierały się do odejścia, ale nie przestawały wyrażać swego zachwyty w nagłym wybuchu gadulstwa. Nawet pani Guibal była poruszona.

– Jakież to prześliczne!...Wydaje mi się, że jestem na Wschodzie.

– Nieprawdaż? Prawdziwy harem. I jakie to wszystko niedrogie!

– Dywany smyrneńskie! Ach, dywany smyrneńskie? Co za przepiękne odcienie, co za delikatność wyrobu!

– A ten dywan z Kurdystanu! Przypatrzcie się tytko. Zupełnie jak z obrazu Delacroix! Tłum odpływał powoli. Dźwięki dzwonu dwukrotnie już oznajmiły dwie pierwsze zmiany wieczornego posiłku: za chwilę miała się rozpocząć trzecia. Poszczególne działy pustoszały, widziało się w nich już tylko zapóźnione klientki, którym szał zakupów kazał zapomnieć o godzinie. Z zewnątrz dochodził jedynie turkot oddalających się ostatnich dorożek oraz przygłuszony rozgwar Paryża, chrapanie nasyconego potwora trawiącego płótna i wełny, jedwabie i koronki, którymi karmiono go od samego rana. W blasku gazowych lamp, które

pały się w zapadającym zmroku oświetlając ostatnie drgania kończącego się dnia sprzedaży, wewnątrz magazynu było, rzekłbyś, pobojowiskiem dyszącym jeszcze ogniem walki. Upadający ze zmęczenia sprzedawcy obozowali wśród tego pogromu swych działów, które wydawały się wymiecione przez wściekły podmuch huraganu. Z trudem tylko można było precyzyjnie się przez parter zatarasowany porostawianymi krzesłami. W dziale rękawiczek trzeba było przeskakiwać barykadę z pudełek nagromadzonych koło Mignota: w dziale wełny przejście było zupełnie zablokowane. Liénard drzemał, otoczony morzem materiałów, których na wpół zburzone stosy podobne były do domów uniesionych przez fale wezbranej rzeki. Nieco dalej zaścielały podłogę płótna podobne do śniegu, potykano się o lodowe ławice ręczników, stąpano po lekkich płatkach chusteczek. Takie samo spustoszenie panowało na górze, w działach półpiętra: futra poniewierały się na podłodze, artykuły konfekcyjne leżały w stosach jak mundury żołnierzy wycofanych z walki: w dziale koronek i bielizny towar zmięty, rzucony byle jak, nasuwał myśl o tłumie kobiet, które musiały się tutaj rozbierać ogarnięte gorączkowym pośpiechem. Na samym dole biuro ekspedycji miejskiej, w pełnym ruchu, pękało od paczek i wyrzucało bez przerwy całe ich stosy. Następnie wozy ciężarowe zabierały te paczki i rozwoziły po mieście. Były to ostatnie wstrząsy rozpedzonej maszyny. W dziale jedwabi, na które klientki rzucały się najtłumniej, pozostał pusty plac boju; hala ogołocona, cały olbrzymi zapas „Paris-Bonheur” doszczętnie rozchwytyany. wymieciony, rzekłbyś, objedzony przez chmurę szarańczy, Pośród tej pustki Hutin i Favier, zdyszani po walce, przerzucali kartki kwitariusza obliczając procent. Favier zarobił piętnaście franków, Hutin doszedł zaledwie do trzynastu i kipiał gniewem z powodu prześladowającego go pecha. Oczy ich pały pożądliwością: cały zresztą magazyn wokół nich tak samo obliczał zyski i płał taką samą gorączką, dziką wesołością zwycięzców po dokonanej rzezi.

– Jak tam, Bourdoncle? – zawołał Mouret. – Czy jeszcze się boisz? Powrócił na swój ulubiony punkt obserwacyjny na półpiętrze i oparł się o balustradę. Widząc opustoszenie wśród materiałów na parterze, zaśmiał się zwycięsko. Jego poranne obawy, ten nie do przebaczenia moment słabości, o którym nikt nigdy się nie dowie, przeobraziły się w potrzebę hałaśliwego triumfu. Bitwa była definitywnie wygrana, drobne kupiectwo dzielnicy rozgromione, baron Hartmann pokonany wraz ze swoimi milionami i terenami. Mouret patrzył na kasjerów, jak pochyleni nad rejestrami dodawali długie kolumny cyfr, słuchał dźwięku złota spadającego przy liczeniu do miedzianych miseczek – i już widział oczyma wyobraźni magazyn „Wszystko dla Pań” powiększony, ze znacznie rozszerzoną halą i galerią przedłużoną aż do ulicy Dziesiątego Grudnia.

– Czy nie przekonałeś się dzisiaj na własne oczy – zaczął znowu – że magazyn jest za

mały?... Gdyby był większy, można by sprzedać dwa razy tyle.

Bourdoncle przytakiwał pokornie, rad zresztą z tego, że nie miał racji. Ale miny im spoważniały na widok Lhomme'a. Główny kasjer magazynu, tak jak każdego wieczora, skończywszy dzienny obchód kas detalicznych, sumował dochód ogólny, zatykając na żelazny szpikulec kartkę z końcową sumą. Następnie znosił do kasy centralnej wszystkie pieniądze w teczce oraz w workach, zależnie od rodzaju gotówki. Tego dnia przeważało złoto i srebro. Kasjer szedł wolno po schodach niosąc trzy wielkie worki.! Ponieważ prawą rękę miał uciętą u łokcia, więc przyciskał do siebie worki lewą i przytrzymywał jeszcze brodą, aby mu się nie wysunęły. Sapał przy tym ciężko i głośno, uginając się pod ciężarem, pełen godności i otoczony szacunkiem subiektów.

– Ile, panie Lhomme? – zapytał Mouret.

Kasjer odpowiedział:

– Osiemdziesiąt tysięcy siedemset czterdzieści dwa franki, dziesięć centymów!

Po magazynie rozszedł się radosny szmer. Powtarzano z ust do ust kwotę. Był to najwyższy obrót osiągnięty w ciągu jednego dnia przez jakikolwiek magazyn nowości.

Wieczorem, kiedy Denise poszła się położyć, musiała idąc opierać się o ściany wąskiego korytarza pokrytego cynkowym dachem. Zamknawszy drzwi swego pokoju rzuciła się w ubraniu na łóżko, tak bardzo bolały ją nogi. Przez długą chwilę patrzyła osłupiałym wzrokiem na umywalnię, szafę i całe to nędzne urządzenie. Odtąd miała żyć w takim otoczeniu. Ten pierwszy dzień pracy wydał jej się wstrętny i nieskończenie długi. Czuła, że nigdy nie zdobędzie się na odwagę, aby rozpocząć podobny dzień na nowo. Potem spostrzegła, że wciąż ma na sobie jedwabną suknię. Ten mundur przytłaczał ją. Chwyliła ją dziecinna ochota, aby przed rozpakowaniem walizki przebrać się w starą wełnianą sukienkę wiszącą na poręczy krzesła. Gdy jednak włożyła to własne nędzne odzienie, wzruszenie chwyciło ją za gardło i łzy, które wstrzymywała od rana, trysnęły w gwałtownym szlochu. Upadła znów na łóżko i płakała myśląc o braciach, nie mając nawet siły zdjąć obuwia, nieprzytomna ze zmęczenia i smutku.

V

Nazajutrz rano, zaledwie w pół godziny po zejściu Denise do działu konfekcji, pani Aurelia oświadczyła jej krótko:

– Proszę się zgłosić do dyrekcji.

Dziewczyna zastała Moureta samego w gabinecie obitym zielonym rypsem. Rano przypomniał sobie właśnie to czupiradło, jak Bourdoncle nazwał Denise, i mimo że zazwyczaj wzdragał się przed rolą zandarma, postanowił osobiście wyłajać ją, jeśli będzie znów wyglądała jak prowincjonalna gaska. Poprzedniego wieczora Mouret pokrył żartami uczucie urażonej ambicji, gdy w obecności pani Desforges odmawiano elegancji jednej z jego panien sklepowych. Teraz odczuwał jakąś mieszaninę sympatii i gniewu.

– Przyjęliśmy panią – zaczął – ze względu na pani stryja; i nie powinna pani stawiać nas wobec smutnej konieczności...

Urwał w pół zdania. Przed nim, po drugiej stronie biurka stała Denise, wyprostowana, poważna i blada. Jedwabna suknia nie była już zbyt luźna i obciskała ciasno krągłą talię. Uwydatniając szlachetne zarysy dziewczęcych ramion, włosy splecione w grube warkocze wyglądały wprawdzie wciąż niesforne, widać było jednak, że dziewczyna usiłowała je ujarzmić. Zasnęła wieczorem w ubraniu, wyczerpana długim płaczem, i obudziła się około czwartej rano z uczuciem wstydu z powodu swego przeczulenia. Wzięła się natychmiast do dopasowania zbyt obszernej sukienki i spędziła dobrą godzinę przed małym lusterkiem starając się ułożyć możliwie porządnie włosy, co zresztą udało jej się tylko częściowo.

– Dzięki Bogu! – szepnął Mouret. – Dużo lepiej się pani dzisiaj prezentuje... Tylko te niesforne kosmyki! – Podniósł się z fotela i podszedł, aby poprawić jej uczesanie takim samym poufałym gestem, jakim poprzedniego dnia pani Aurelia próbowała to zrobić. – Niech pani założy to pasemko za ucho... Węzeł jest upięty za wysoko.

Denise nie odzywała się wcale i pozwalała poprawiać sobie włosy. Mimo mocnego postanowienia, że zachowa zimną krew, weszła do gabinetu pryncypała skostniała ze strachu, przekonana, że czeka ją natychmiastowe wydalenie. Wyrażna życzliwość Moureta nie zdołała

jej uspokoić, bała go się w dalszym ciągu i czuła w jego obecności dziwny niepokój, co tłumaczyła sobie naturalnym zmieszaniem wobec wszechwładnego człowieka, od którego zależał jej los. Mouret spostrzegł, że Denise zadrżała, gdy dotykał rękami jej karku, pożałował więc swego odruchu życzliwości, bojąc się nade wszystko narazić na szwank swój autorytet.

– Pozostaje mi tylko przypomnieć pani – przemówił do niej znowu, cofnąwszy się za biurko – że należy dbać o swój wygląd. Nie jest pani w Valognes, proszę naśladować paryżanki... Nazwisko pani stryja wystarczyło, aby wprowadzić panią do naszej firmy, chcę wierzyć, że nie zawiedzie pani nadziei, jakie w pani pokładam. Niestety, nie wszyscy podzielają tutaj moje zdanie... Proszę pamiętać, że uprzedziłem panią o tym. Niech pani swoim postępowaniem nie każe mi żałować tego, co zrobiłem.

Traktował ją jak dziecko. W słowach jego litość górowała nad dobrocią, ale ta niepokojąca kobiecość, której zadatki intuicyjnie wyczuwał w tym biednym i niezgrabnym dziewczęciu, zainteresowała go. Denise słuchając uwag pryncypała zauważyła portret pani Hédouin, której piękne, regularne rysy uśmiechały się poważnie ze złotych ram obrazu, i mimo pokrępowanych słów, jakie słyszała, wstrząsnął nią znów dreszcz lęku. Więc to była właśnie ta nieżyjąca już pani, której śmierci on był winien. Mówiono w całej dzielnicy, że zabił ją, aby zbudować dom z krwi wytoczonej z jej ciała.

Tymczasem Mouret nie przestawał mówić.

– Niech pani już idzie – powiedział wreszcie, siadając do pisania.

Wyszła z gabinetu, a na korytarzu odetchnęła z ulgą.

Odtąd Denise okazywała wielki hart ducha. W jej charakterze rozsądek, męstwo istoty słabej i samotnej, spełniającej z uśmiechem swoje obowiązki górowały zawsze nad dużą wrażliwością. Szła wprost do celu, zwalczała przeszkody – nie robiąc żadnego zamieszania wokół siebie – zawsze w sposób prosty, naturalny, bo mimo wrodzonej łagodności miała naturę nieugiętą.

Początkowo praca w dziale konfekcji męczyła ją straszliwie. Stosy okryć do tego stopnia nadwreżwały mięśnie jej rąk, że przez pierwsze sześć tygodni, po nocach, gdy przewracała się z boku na bok, krzyczała z bólu – zupełnie połamana. Jeszcze bardziej cierpiała z powodu grubych i ciężkich butów, które przywiozła z sobą z Valognes, a których nie mogła zastąpić lżejszymi pantoflami, ponieważ nie miała pieniędzy. Zawsze na nogach, drepcząc od rana do wieczora, łajana, jeśli zastano ją opartą przez małą choćby chwilę o drewniane ściany salonu. Stopy miała obrzmiałe. Jej małe dziewczęce nóżki były jakby wciśnięte w kleszcze średniowiecznych tortur. Pięty pulsowały gorączką, skóra na podszwie pokryła się bąblami,

pękała i przylepiała się do pończoch. Odczuwała też ogólne osłabienie, cierpienie nóg wpływało ujemnie na funkcjonowanie całego organizmu i organów kobiecych, o czym świadczyła bladość cery. Ale, choć szczupła i wątła, Denise wytrzymała to, mimo że wiele ekspedientek musiało porzucić pracę w dziale konfekcji z powodu szczególnych dolegliwości wywołanych rodzajem pracy. Pogoda, z jaką znosiła cierpienia, wytrwałość i dzielność sprawiały, że stała prosto, z uśmiechem na ustach, wówczas gdy upadała ze zmęczenia, gdy była u kresu sił, doszczętnie wyczerpana pracą, pod której ciężarem ugiąłby się nawet mężczyzna.

Wiele zmartwienia przysparzała jej wyraźna wrogość, z jaką odnosił się do niej cały dział konfekcji. Do cierpień fizycznych przyłączyły się prześladowania ze strony koleżanek. Po dwóch miesiącach cierpliwości i łagodności nie zdołała jeszcze przełamać niechęci otoczenia. Obsypywano ją raniącymi słowami, dręczono okrutnymi docinkami, odsuwano się od niej wówczas, gdy potrzebowała odrobiny serdeczności. Przez długi czas żartowano z jej niepomysłnego debiutu. Nazywano ją powszechnie „niezdarą” lub „głuptasem”: ekspedientki, którym nie powiodła się sprzedaż, odsyłano złośliwie do Valognes. Denise stała się kozłem ofiarnym całego działu. Gdy okazało się później, skoro poznała już cały mechanizm magazynu, że jest zdolną pracownicą, koleżanki były oburzone. Odtąd umyślnie postępowano w ten sposób, aby jej nie dopuścić do żadnej korzystnej sprzedaży. Małgorzata i Klara prześladowały ją instynktowną nienawiścią. Zmawiały się przeciwko niej ukrywając pod pozorem wzgardy wyraźny niepokój, aby ta nowo przybyła ich nie wyparta. Jeśli chodziło o panią Aurelię, to kierowniczka czuła się dotknięta wyniosłą rezerwą dziewczyny, która nie chciała jak inne trzymać się jej spódnicy i schlebiać jej próżności wyrażaniem nieustannego podziwu. Toteż zostawiała Denise na pastwę swoich faworytek, swoich ulubienic, które niemal na klęczkach ustawicznie syciły głód pochlebstw trawiący tę żadną władzy kobietę. Przez krótki czas jedynie pani Frederic nie brała udziału w spisku przeciwko Denise, lecz robiła to prawdopodobnie przez nieświadomość i okazała się równie bezwzględna, gdy spostrzegła, na jakie przykrości może ją narazić życzliwość okazywana nowo przybyłej. Wówczas Denise pozostała zupełnie osamotniona. Wszystkie kobiety sprzysięgły się przeciwko „temu czupiradłu” i dziewczyna żyła odtąd w ustawicznej walce, której jedynym rezultatem było, że zdołała – i to z trudem – utrzymać się na stanowisku.

Życie upływało jej w ten sposób, że uśmiechała się zawsze, uprzejma i miła, nosiła jedwabną suknię, która nie była jej własnością, a jednocześnie umierała ze zmęczenia, źle odżywiana, źle traktowana, dręczona ciągłą obawą, że ją brutalnie wyrzucą. Jej pokój był jedynym schronieniem, jedynym miejscem, w którym przytłoczona bólem, pozwalała sobie

na ły. Z obitego cynkiem i pokrytego grudniowym śniegiem dachu przenikało do pokoju dotkliwie zimno. Musiała leżeć skurczona, okrywać się wszystkimi ubraniami, jakie tylko miała, a płakała pod kołdrą, aby twarz jej nie spierzchła od mrozu. Mouret przestał zwracać na nią uwagę. Gdy podczas godzin pracy napotykała surowy wzrok Bourdoncle a chwytalo ją drzenie, ponieważ doskonale czuła, że jest jej wrogiem, który nie przebaczyłby jej najlżejszego błędu. Pośród tej otaczającej ją zewsząd wrogości dziwiła ją niezrozumiała życzliwość inspektora Jouve. Ilekroć spotkał ją gdzieś na uboczu, uśmiechał się do niej i znajdował zawsze jakieś miłe słówko. Już dwa razy ustrzegł ją przed reprimendą, a ona nawet nie podziękowała mu za to, czując się bardziej zmieszana niż ujęta jego opieką.

Pewnego wieczora, po kolacji, gdy panny sklepowe porządkowały szafy z konfekcją, przyszedł Józef zawiadamiając Denise, że czeka na nią jakiś młody człowiek. Zaniepokojona dziewczyna zeszła na dół.

– Słuchajcie – powiedziała Klara – czyżby to czupiradło miało amanta?

– Każda potwora znajdzie swego amatora – odpowiedziała Małgorzata.

Na dole koło drzwi wejściowych Denise zobaczyła Janka. Zabroniła mu surowo odwiedzin w magazynie, ponieważ mogło jej to przyczynić kłopotów. Teraz jednak widząc go zupełnie wytrąconego z równowagi, bez czapki, zadyszanego szybkim biegiem z przedmieścia Tempie, nie miała serca robić mu wymówek.

– Czy masz dziesięć franków – wybełkotał. – Jeśli mi nie dasz dziesięciu franków, jestem zgubiony.

Ten wielki dryblas o rozwianych blond włosach i pięknej dziewczęcej twarzy wyglądał tak pociesznie, gdy wypowiadał to melodramatyczne zdanie, że Denise byłaby się uśmiechnęła, gdyby nie niepokój, jaki wywołała w niej prośba o pieniądze.

– Jak to?! Dziesięć franków? – wyszeptwała. – Co się stało?

Janek zaczerwienił się i zaczął tłumaczyć, że spotkał siostrę kolegi. Denise kazała mu milczeć, zażenowana, nie chcąc słuchać dalszego ciągu. Już dwa razy przybiegał tak do niej, aby prosić o pieniądze, ale dotąd chodziło raczej o niewielkie sumy: pierwszy raz o franka i dwadzieścia pięć centymów, drugi raz o półtora franka. Zawsze powodem odwiedzin Janka była jakaś awanturka z kobietą.

– Nie mogę ci dać dziesięciu franków – odpowiedziała. – Mam tylko tyle. ile potrzeba na zapłacenie pensjonatu Pepi. Zostanie mi zaledwie parę franków na kupienie bucików, które są mi koniecznie potrzebne... Znów robisz głupstwa, Janku. To bardzo nieładnie z twojej strony.

– Więc jestem zgubiony – powtórzył chłopiec z tragicznym gestem. – Posłuchaj siostrzyczko, chodzi tu o tę wysoką brunetkę. Poszliśmy do kawiarni z jej bratem i nie

wyobrażałem sobie, że rachunek...

Denise musiała przerwać mu znowu, a ponieważ zobaczyła łzy w oczach tego drogiego jej głuptasa, wyciągnęła portmonetkę i wyjęła monetę dziesięciofrankową, którą wsunęła bratu do ręki. Chłopiec natychmiast odzyskał dobry humor.

– Wiedziałem doskonale, że dasz mi pieniądze. Słowo honoru, że to się już nigdy nie powtórzy! Musiałbym być ostatnim nicponiem!

Wybiegł jak wariat, ucałowawszy Denise w oba policzki. Pracownicy magazynu kiwali głowami ze zdziwienia.

Tej nocy Denise spała bardzo źle. Od chwili rozpoczęcia pracy w magazynie „Wszystko dla Pań” pieniądze były jej zmorą. Wciąż jeszcze nie otrzymywała stałego uposażenia, a ponieważ koleżanki sprzysięgły się przeciwko niej i utrudniały jej sprzedaż, więc lichego zarobek pochodzący z załatwienia kilku mało ważnych klientek, które pozwalano jej obsłużyć, wystarczał zaledwie na zapłacenie pensjonatu Pepi. Przypadła jej w udziale okrutna nędza, nędza zamaskowana jedwabną suknią. Często spędzała noce na reperowaniu resztek bielizny cerując koszule jak koronki. Naprawiała też sama obuwie i czyniła to tak zręcznie jak zawodowy szewc. Odważała się także na pranie w małej miednicy. Najwięcej troski przysparzała jej wełniana sukienka; nie posiadała innej i zmuszona była wkładać ją co wieczór, gdy zrzucała jedwabny uniform. Stare, nędzne ubranie niszczyło się bardzo, a każda plama, każde rozdarcie równało się katastrofie. Nie mając grosza przy duszy, nie mogła kupić drobiazgów, jakich potrzebuje każda kobieta: musiała czekać dwa tygodnie, aby odnowić zapas nici i igieł. Toteż każda wizyta Janka, którego kłopoty sercowe wymagały pieniędzy, rujnowała niespodzianie budżet Denise i była dla niej prawdziwą klęską. Nawet dwadzieścia su, oddanych chłopcu stanowiło dziurę nie do załatania. Denise nie mogła nawet marzyć o zdobyciu do jutra brakujących dziesięciu franków. Toteż aż do świtu dręczyły ją okropne sny. Śniło jej się, że Pepi został wyrzucony na ulicę, a ona sama wyrywała obolałymi rękami kamienie na szosie szukając pod nimi pieniędzy.

Nazajutrz musiała się uśmiechać i odgrywać rolę pięknie ubranej panny. Do działu konfekcji przyszły znajome klientki i pani Aurelia wywołała kilka razy Denise, aby wkładać na nią okrycia, których nowy krój należało specjalnie podkreślić. Krygując się więc przed klientkami, przybierając pozy jak w zurnalu mody myślała jednocześnie o czterdziestu frankach, które należało zapłacić za braciszka tego dnia wieczorem. Gotowa była zrezygnować z kupna nowych bucików, a nawet jeżeli dołączy cztery franki, które odłożyła na ten cel zbierając grosz do grosza. będzie miała w sumie tylko trzydzieści cztery franki. Skąd wziąć brakujące sześć franków? Serce Denise omdlewało z udręki.

– Proszę zwrócić uwagę: fason ten pozostawia zupełną swobodę ruchów – mówiła pani Aurelia. – Jest w bardzo dobrym tonie i zarazem wygodny... Proszę popatrzeć, panienka może bez trudu skrzyżować ramiona.

– O tak. doskonale! – powtarzała Denise z uprzejmym wyrazem twarzy.

– Nic czuje się żadnego skrepowania... Będzie pani z pewnością zadowolona.

Denise robiła sobie teraz wyrzuty, że ubiegłej niedzieli poszła do pani Gras i zabrała małego Pepi na przechadzkę po Polach Elizejskich. Biedne dziecko tak rzadko przebywało z nią razem. Z okazji tego spaceru trzeba było mu kupić kawałek piernika i łopatkę do piasku, a później zaprowadzić małego do teatru marionetek; wydatki od razu przekroczyły sumę jednego franka. Doprawdy, Janek wcale nie myślał o małym braciszku, skoro stać go było na takie wybryki. I zawsze cały ciężar spadał na nią.

– Jeśli ten fason pani nie odpowiada – mówiła dalej kierowniczką – to, panno Denise, proszę włożyć rotundę, aby pani mogła porównać oba modele.

Denise musiała znowu spacerować po salonie drobnymi kroczkami, tym razem z rotundą na ramionach, mówiąc:

– To okrycie jest cieplejsze... Jest to ostatni krzyk mody w tym sezonie.

I tak trwało aż do wieczora. Pod maską zawodowego uśmiechu ukrywała dziewczyna dręczący ją problem, skąd wziąć pieniądze. Zmęczone koleżanki pozwoliły jej na przeprowadzenie dość poważnej transakcji, ale był to dopiero wtorek, trzeba więc było czekać jeszcze cztery dni, zanim będzie można podjąć tygodniowy zarobek. Po kolacji postanowiła odłożyć do dnia następnego wizytę u pani Gras. Usprawiedliwi się brakiem czasu, a tymczasem może zdobędzie brakujące sześć franków.

Ponieważ Denise unikała najmniejszych wydatków, więc zwykle o bardzo wczesnej godzinie zamykała się w swoim pokoju. Co miała robić na ulicy, bez grosza w kieszeni, ona, taki dzikus, wciąż jeszcze czując się niepewnie w tym wielkim mieście, z którego знаła ledwie kilka najbliższych ulic? Zapuściwszy się więc aż do ogrodu Palais-Royal, aby zaczerpnąć trochę powietrza, wracała szybko do swojego pokoju i zabierała się do prania lub szycia. W korytarzu wiodącym do ich pokoi panowały istic koszarowe stosunki. Kręciły się po nim niedbale ubrane dziewczęta powtarzając sobie brudne plotki i intrygi. Całodzienne zgryzoty wyładowywano tu w nigdy nie kończących się sporach i pojednaniach. Lokatorcom pokoi na poddaszu nie wolno było przebywać tam w ciągu dnia; był to tylko ich nocny przytułek, a nie miejsce, gdzie mieszka się i żyje naprawdę. Toteż najczęściej panny sklepowe wracały z miasta jak najpóźniej i wymykały się rano zaspane, niezupełnie jeszcze rozbudzone niedbałym obmyciem twarzy. Owo wieczne gnanie przez korytarz, niby za podmuchem

wiatru, zmęczenie po trzynastogodzinnym dniu pracy, rzucające mieszkanki pokoi na łóżko, bez tchu w piersiach, zamieniały poddasze w oberżę, przez którą przechodził tylko ślaniający się ze znużenia i ponury tłum podróżnych. Denise nie miała przyjaciółki. Ze wszystkich koleżanek jedynie Paulina Cugnot okazywała jej nieco życzliwości, ale ponieważ sąsiadujące ze sobą działy konfekcji i bielizny były na stopie wojennej, sympatia dwóch ekspedientek musiała z konieczności ograniczyć się do niewielu słów wymienianych ukradkiem w przejściu. Paulina zajmowała co prawda pokój na prawo od Denise, ale zaraz po kolacji znikwała i nie powracała nigdy przed jedenastą. Denise słyszała, jak Paulina kładzie się do łóżka, ale nie widywała jej nigdy poza godzinami pracy.

Tego wieczora Denise postanowiła zająć się reperacją obuwia. Trzymając w ręku buciki przyglądała im się uważnie i rozmyślała, jak by to zrobić, aby dotrzymały do końca miesiąca. Wreszcie postanowiła przyszyć grubą igłą podeszwy, które odrywały się już od przyszew. W wodzie z mydłem moczyły się tymczasem mankiety i kołnierzyk.

Co wieczór słyszała Denise te same odgłosy: panny jedna po drugiej wracały z miasta, przez chwilę jeszcze rozmawiały szeptem, śmiały się czasem lub kłóciły, wszystko przyciszonymi głosami. Potem skrzypiały łóżka, słychać było ziewanie. Powoli pokoje ogarniała senna cisza. Sąsiadka za ścianą po lewej mówiła czasem przez sen, co w pierwszych dniach niepokoiło Denise. Być może, nie ona jedna czuwała tak do późna, może w innych pokojach też naprawiano bieliznę, mimo że regulamin zabraniał siedzenia po nocy. Jeśli jednak tak było, to zachowywano, podobnie jak ona, ostrożność, poruszano się powoli, unikano najmniejszego stuknięcia, by spoza zamkniętych drzwi nie dochodził żaden szmer.

Parę minut po jedenastej dobiegł Denise szelest kroków. Jeszcze jedna spóźniona! Słyszając skrzyp sąsiednich drzwi, dziewczyna domyśliła się, że to Paulina. W chwilę potem, ku zdumieniu Denise, ktoś zapukał delikatnie do jej pokoju.

– Otwórz prędko, to ja.

Ekspedientkom nie wolno było odwiedzać się, toteż Denise szybko przekreśliła klucz w zamku, aby pani Cabin, która pilnowała surowo przestrzegania regulaminu, nie zauważyła wchodzącej do niej sąsiadki.

– Czy ona tam stoi? – spytała zamykając drzwi.

– Kto? Pani Cabin? – odpowiedziała Paulina. – Ech, wcale się jej nie boję... Dostanie swoje pięć franków! – Potem dodała: – Od dawna chcę z tobą porozmawiać. Na dole nigdy nie można... Miałaś dziś przy kolacji taką smutną minę!

Wzruszona dobrocią koleżanki, Denise podziękowała jej i prosiła, aby usiadła. Zaskoczona tą niespodziewaną wizytą, nie zdążyła jeszcze odłożyć bucika, który zszywała. Paulina

zauważyła od razu, czym zajęta była przyjaciółka. Pokręciła głową i rozglądając się naokoło spostrzegła mankiety i kołnierzyk w miednicy.

– Moje biedactwo, domyślałam się tego – powiedziała. – Znam ten ból.

Ile ja się naprałam koszul w pierwszych miesiącach, kiedy przyjechałam z Chartres i ojciec nie przysyłał mi ani grosika! Miałam ich dwie na zmianę i jedna moczyła się zawsze w mydlinach.

Paulina usiadła, zdyszana szybkim biegiem. Jej szeroka twarz, małe, żywe oczy i pełne usta o tkliwym wyrazie posiadały dużo wdzięku mimo pospolitości rysów. Po prostu, bez żadnych wstępów, opowiedziała swoją historię: młodość spędzoną w młynie, jakiś proces i ruinę majątkową ojca, który wystąpił córkę do Paryża obdarzywszy na drogę dwudziestoma frankami; opowiadała dalej o swoich pierwszych krokach ekspedientki. najpierw w podrzędnym sklepie w Batignolles. potem w magazynie „Wszystko dla Pań”, o trudnych początkach, o zniesionych przykrościach i niedostatkach: mówiła też o swoim obecnym życiu, o dwustu frankach zarabianych miesięcznie, o małych przyjemnościach, na jakie sobie pozwalała, o beztrudnych dniach. Na jej sukni z grubego niebieskiego materiału, kokieteryjnie wciętej w pasie, błyszczały ozdoby: broszka, łańcuszek od zegarka. Oczy uśmiechały się spod aksamitnego toczka z wielkim szarym piórem.

Denise zaczerwieniła się z powodu bucika trzymanego w ręce. Chciała wyjąkać jakieś usprawiedliwienie.

– Znam to dobrze, nieraz zdarzały mi się podobne historie! – powtórzyła Paulina. Jestem starsza od ciebie, mam prawie dwadzieścia siedem lat, chociaż nie znać tego po mnie... Opowiedz mi swoje zmartwienia.

Wówczas Denise uległa temu szczeremu odruchowi przyjaźni. Usiadła koło wystrojonej Pauliny, sama tylko w halce, z zarzuconym na ramiona szalem, i wdała się w serdeczną pogawędkę. W pokoju panowało przeraźliwe zimno, które zdawało się służyć z pochyłego sufitu poddasza i gołych, więziennych murów. Dziewczęta tak były pochłonięte rozmową, że nie zauważyły nawet, iż lodowacieją im dłonie. Denise ożywiła się powoli, mówiła o Janku i Pepim, zwierzyła się też, do jakiego stopnia dręczył ją brak pieniędzy. To skierowało rozmowę na temat zachowania się panien z konfekcji. Paulina data upust swemu oburzeniu.

– Och! Wstrętne dziewczęta! Gdyby były dobrymi koleżankami, mogłabyś zarobić przeszło sto franków na miesiąc.

– Wszyscy mają pretensję do mnie, sama nie wiem o co – mówiła Denise przez łzy. – Pan Bourdoncle śledzi mnie bez przerwy, żeby złapać na jakimś przewinieniu, tak jakbym mu zawadzała... Tylko jeden pocziwy Jouve...

Koleżanka przerwała jej:

– Ta stara małpa? Och, moja droga, bądź ostrożna... Wiesz, ci mężczyźni z wielkimi nosami! Mimo że paraduje z orderami na piersi, opowiadają o nim historyjkę, którą jakoby miał w naszym dziale... Ale jakie z ciebie jeszcze dziecko, żeby się tak zamartwiać! Jakże można być taką wrażliwą Do licha! Spotyka cię to, co wszystkie dziewczęta: musisz płacić frycowe.

W porywie dobrego serca Paulina chwyciła Denise za rękę i ucałował ją. Sprawa pieniędzy była rzeczywiście zagadnieniem poważnym. Zarabiając zaledwie parę groszy, zbierając tylko okruchy wzgardzone przez rywalki, dziewczyna nie była w stanie utrzymać dwóch braci – opłacać pensjonat za małego i fundować smakołyki dla przyjaciółek starszego – nie można było spodziewać się, aby dostała regularną pensję przed rozpoczęciem sezonu, to znaczy w marcu.

– Słuchaj, to niemożliwe, żeby tak miało pozostać dłużej – powiedziała Paulina. – Ja na twoim miejscu...

Nagle jakiś szelest na korytarzu zmusił je do przerwania rozmowy. Była to może Małgorzata, o której mówiono, że spaceruje w koszuli po korytarzu, aby szpiegować, czy wszystkie śpią. Bieliżniarka, ściskając wciąż rękę przyjaciółki, patrzyła na nią, przez chwilę nasłuchując. Później powiedziała cichutko, serdecznym, pełnym przekonania tonem:

– Ja na twoim miejscu wzięłabym sobie kogoś.

– Jak to kogoś? – wyszeptała Denise nie rozumiejąc w pierwszej chwili. A zrozumiałwszy wysunęła rękę z uścisku Pauliny i siedziała przez chwilę zupełnie oglupiała. Rada przyjaciółki wprowadziła ją w zakłopotanie, gdyż podobna myśl nie przyszła jej nigdy do głowy, zresztą nie zdawała sobie sprawy, jakie mogłyby z tego płynąć korzyści. – Ach, nie! – odpowiedziała po prostu.

– Jeśli tego nie zrobisz – mówiła dalej Paulina – to nigdy nie wybrniesz z tej trudnej sytuacji, mówię ci!... Policz tylko: czterdzieści franków za małego, od czasu do czasu kilka franków dla Janka, a ty? Nie możesz przecież chodzić ciągle jak nędzarka, w butach, z których kpią sobie koleżanki: tak, tak, twoje buty wyraźnie ci szkodzą... Zdecyduj się, weź sobie kogo, będzie ci dużo łatwiej.

– Nie – powtórzyła Denise.

– Brak ci rozsądku, moja droga... Czy wiesz, że to jest konieczne i całkiem zrozumiałe? Wszystkie dziewczęta tak robią. Weź mnie za przykład! Nie otrzymywałam stałej pensji tak samo jak ty. Ma się tutaj co jeść i gdzie spać, to prawda, ale potrzebne są pieniądze na ubranie, a poza tym nie można wiecznie być bez grosza, zamykać się w pokoju na cztery

spusty i przypatrywać latającym muchom. Więc mój Boże! Cóż ci pozostaje innego?... Trzeba poddać się losowi...

Paulina opowiedziała Denise o swoim pierwszym przyjacielu, praktykancie adwokackim, którego poznała na wycieczce w Meudon. Potem żyła z urzędnikiem pocztowym. Teraz, od jesieni, chodzi z subiektem z magazynu „Bon Marche”, wysokim, miłym chłopcem, u którego spędza wszystkie wolne godziny. Nigdy zresztą nie miała dwóch kochanków jednocześnie. Była uczciwa i oburzała się, gdy mówiono o dziewczętach, które oddają się pierwszemu lepszemu.

– Przecież nie namawiam cię, żebyś się źle prowadziła! – zaczęła żywo tłumaczyć przyjaciółce. – Nie chciałabym nigdy pokazywać się w towarzystwie takiej na przykład Klary, żeby nie uważano mnie za taką samą rozpustnicę jak ona. Przecież jeżeli żyję z kimś spokojnie i nie mam sobie nic do zarzucenia... Czy widzisz w tym coś złego?

– Nie – odpowiedziała Denise. – Ale to mi nie odpowiada, i koniec.

– Milczały przez chwilę. W zimnej mansardzie uśmiechały się do siebie, przejęte tą cicho prowadzoną rozmową. – Przede wszystkim zdaje mi się, że trzeba mieć kogoś, kogo się lubi – powiedziała Denise rumieniąc się lekko.

Bielizniarka była bardzo, zdziwiona. Zaczęła się śmiać i ucałowała Denise po raz drugi, mówiąc:

– Ależ, moja droga to takie proste! Ludzie spotykają się i podobają się sobie. Jaka ty jesteś śmieszna! Nikt cię przecież nie będzie zmuszał... Powiedz, czy chcesz, żeby w niedzielę Baugé zawiózł nas gdzieś na wieś? Przyprowadzi jednego ze swoich przyjaciół.

– Nie – powtórzyła Denise z łagodnym uporem.

Paulina nie nalegała więcej. Każdy ma prawo postępować tak, jak mu się podoba. To, co powiedziała, wypływało z dobrego serca, martwiła ją bowiem niedola koleżanki. Zbliżała się północ, więc zabierała się do odejścia i przedtem jednak zmusiła Denise do przyjęcia brakujących jej sześciu franków, prosząc jednocześnie, aby nie kłopotowała się zwrotem pożyczki i odłożyła to do czasu, gdy będzie więcej zarabiać.

– Teraz zgaś świecę – dodała jeszcze – aby nie było widać, które drzwi się otwierają... Później możesz zapalić.

Zgasiwszy świecę dziewczęta uściśniły sobie ręce, po czym Paulina wysunęła się cicho i wróciła do siebie. Zrobiła to bez najmniejszego hałasu, jedynie szelest jej sukni zamącił ciszę pograżonych w ciężkim śnie pokojów.

Denise chciała jeszcze przed położeniem się do łóżka dokończyć zszywania bucika i uprać drobiazgi. Mimo że chłód stawał się coraz dokuczliwszy, nie czuła go, podniecona rozmową z

przyjaciółką. Nie była zgorzozona, wydawało jej się bowiem zupełnie słuszne, że każdy tak sobie układa życie, jak mu to odpowiada, jeżeli skazany jest na samotność i nie ma żadnych obowiązków. Ona sama nigdy nie ulegała takim podszeptom; trzeźwy rozsądek i zdrowa natura kazały jej obrać drogę uczciwości, z której nie miała zamiaru zbaczać. Wreszcie koło pierwszej w nocy położyła się. Nie, nie kochała nikogo. W jakim celu miałyby komplikować sobie życie i narażać na szwank macierzyńskie uczucia, jakie żywiła dla swoich braci? Nie mogła jednak zasnąć, gorący dreszcz przebiegał jej po plecach aż do karku, a bezsenność przesuwała przed zamkniętymi oczyma jakieś niewyraźne kształty, które rozplywały się w mroku nocy.

Odtąd Denise zaczęła się interesować romansami w dziale konfekcji. Poza godzinami intensywnej pracy życie panien sklepowych kręciło się wyłącznie około mężczyzny. Opowiadano sobie plotki i zabawne historyjki na ten temat. Klara prowadziła się skandalicznie, utrzymywało ją, jak mówiono, trzech mężczyzn naraz, nie licząc całej falangi przygodnych kochanków, którymi lubiła się otaczać. Jedynie żeby upozorować przed rodziną swój pobyt w Paryżu, nie opuszczała pracy w magazynie, ale obowiązki swe wypełniała niedbale, gdyż zarabiała o wiele więcej w sposób znacznie przyjemniejszy. Żyła w ciągłym strachu przed ojcem, który groził, że przyjedzie do miasta i porachuje córcę kości. W przeciwieństwie do koleżanki, Małgorzata prowadziła się bardzo dobrze; nikt nie słyszał, żeby miała kochanka. Wydawało się to ludziom dziwne, ponieważ wszystkie ekspedientki opowiadały sobie o jej przygodach, o tym, że przyjechała do Paryża, żeby odbyć tu potajemnie połów: jakże więc mogłaby mieć dziecko, gdyby była cnotliwa? Niektóre mówiły, że był to przypadek, dodając, iż obecnie szanowała się ze względu na kuzyna, który czekał na nią w Grenoble. Panny żartowały też z pani Frederic opowiadając, że łączyły ją jakieś tajemnicze więzy z wysoko postawionymi osobistościami. W gruncie rzeczy nie wiedziano nic o jej sprawach sercowych. Znikała wieczorem, sztywna w swym posępnym wdowieństwie, spiesząc się nie wiadomo dokąd. Co do pani Aurelii, to pomawiano ją o skłonności do uległych młodych ludzi. Były to jednak złośliwe dowcipy, bezpodstawne plotki niezyczliwych ekspedientek. Być może, że kierowniczka darzyła kiedyś nadmierną macierzyńską czułością któregoś z kolegów syna, obecnie jednak zajmowała wysokie stanowisko w dziale konfekcji i jako kobieta poważna nie interesowała się już podobnymi głupstwami. Wieczorem ekspedientki wychodziły tłumnie z magazynu dziewięć panien na dziesięć posiadało przyjaciół, którzy czekali na nie u wyjścia. Na placu Gaillon, wzdłuż ulicy Michodièrei ulicy Neuve-Sainl-Augustin stały wieczorem, jak żołnierze na warcie, całe szeregi nieruchomych mężczyzn, kątem oka zerkających w stronę magazynu. Gdy

rozpoczynała się defilada wychodzących, każdy z nich podawał ramię swej wybrance, uprowadzał ją i oboje znikali rozmawiając spokojnie jak mąż z żoną.

Denise doznała szczególnie silnego wstrząsu, gdy odkryta tajemnicę Colombana. O każdej, porze widywała go stojącego na progu starego sklepu, zapatrzonego w panny z konfekcji. Gdy Colomban spostrzegł, że Denise go obserwuje, zaczerwienił się i odwrócił, jakby w obawie, że kuzynka pryncypała doniesie o tym Genowefie, mimo iż od czasu rozpoczęcia pracy w magazynie „Wszystko dla Pań” stosunki Denise z domem stryja zostały właściwie zerwane. Widząc nieszczęśliwą i desperacką minę subiekta Denise przypuszczała z początku, że Colomban interesuje się cnotliwą i nocującą w magazynie Małgorzatą. Zdumiała się więc bardzo, gdy przekonała się, że przedmiotem jego westchnień była Klara. Już od wielu miesięcy palił się do tej panny patrząc na nią ciągle z przeciwległego chodnika i nie mogąc zdobyć się na odwagę wyznania swoich uczuć. A przecież Klara prowadziła się aż nazbyt swobodnie, mieszkała sama przy ulicy Louis-le-Grand i Colomban mógł bez obawy zaczepić ją któregoś wieczora, zanim oddaliła się z kimś innym pod rękę. Tymczasem Klara nie domyślała się nawet swego sukcesu. Odkrycie przedmiotu miłości Colomhana napełniło Denise bolesnym wzruszeniem. Więc aż tak ślepa jest miłość? Ten chłopiec, mający tuż pod bokiem prawdziwe szczęście, marnował swoje życie obdarzając niemal religijnym uwielbieniem zwykłą ladacznicę. Odtąd serce Denise ścisnęło się z żalu, ilekroć poprzez zielonkawe szyby starego sklepu dostrzegała blady i napiętnowany cierpieniem profil Genowefy.

Denise myślała o tym wszystkim wieczorami patrząc, jak panny sklepowe oddalają się w towarzystwie kochanków. Te z ekspedientek, które nie mieszkały w magazynie „Wszystko dla Pań”, znikwały na całą noc i przynosiły ze sobą rano do działu obcy zapach, zapach nieznany i niepokojący. Dziewczyna musiała nieraz odpowiadać uśmiechem na przyjazne skinienie głową Pauliny, na którą Baugé oczekiwał zawsze między ósmą a wpół do dziewiątej na rogu, koło wodotrysku Gaillon. Denise wychodziła ostatnia i po krótkim, samotnym spacerze powracała pierwsza: zabierała się do pracy lub kładła się spać z głową pełną marzeń, zaciękawiona życiem Paryża, które było dla niej nowością. Nie zazdrościła koleżankom, chwaliła sobie samotność, to odludzie, w którym żyła zamknięta jak w pustelni, ale wyobraźnia nasuwała jej uporczywie pewne obrazy, umysł starał się odgadnąć rzeczy dotąd dla niej obce. przywodził na pamięć znane z częstych opowiadań rozrywki: kawiarnie, restauracje, teatry, niedziele spędzane na łódce i w podmiejskich gospodach. Z tych rozmyślań budziła się ze zmaconą równowagą umysłu, znużona niejasnymi pragnieniami. Wydawało się jej, że nie zaznawszy wcale tych rozrywek, ma ich już dosyć.

W czynnym trybie życia, jaki prowadziła, nie było jednak zbyt wiele miejsca na te niebezpieczne marzenia. Trzynaście godzin pracy w magazynie, i to bardzo wyczerpującej, nie usposabiało do wymiany czułości między ekspedientkami i subiektami. Gdyby nawet walka o pieniądź nie zacierała powabów płci. to ustawiczny pośpiech, zajmujący umysł i wyczerpujący ciało, wystarczyłby do zabicia jakiegokolwiek pożądania. Na palcach dało się policzyć nieliczne związki miłosne; na ogół mężczyźni i kobiety albo współzawodniczyli z sobą zawzięcie, albo w codziennym obcowaniu traktowali się po koleżeńsku. Wszyscy pracownicy byli tylko kółkami poruszającymi się w takt obrotów maszyny, rezygnując z własnej osobowości, dołączając po prostu swoje siły do tego potężnego i pospolitego zarazem falansteru. Życie indywidualne istniało jedynie poza magazynem i wówczas zapalało się gwałtownym błyskiem namiętności.

Mimo to Denise zobaczyła pewnego dnia Alberta Lhomme. syna kierowniczkę, jak przeszedłszy kilka razy z obojętną miną przez sąsiednie działy wciskał do ręki jednej z ekspedientek działu bieliznianego zwinięty w rolkę bilecik. Był to okres rozpoczynającego się martwego sezonu zimowego, który ciągnie się od grudnia do lutego. Denise miała w tym czasie chwile wytchnienia, które spędzała stojąc, z oczyma utkwionymi w głąb magazynu, w oczekiwaniu na klientki. Ekspedientki z konfekcji sąsiadowały z subiektami z działu koronek, lecz to zbliżenie ograniczało się tylko do rzucanych półgłosem dowcipów. W dziale koronek zastępca kierownika, znany żartowniś, prześladował Klarę, zalecając się do niej w sposób niewybredny, ale nie śniło mu się nawet, aby zaproponować jej spotkanie na mieście. Dawało to między sprzedawcami obu płci powód do wymiany znaczących spojrzeń, nie domówionych zdań. ukradkowych pogawędek, ale zawsze w nie zwracającej zbytniej uwagi pozie, z odwróconymi plecami, aby wprowadzić w błąd straszego Bourdoncle'a. Henryk Deloche przez dłuższy czas tylko uśmiechał się do Denise potem jednak. gdy zdarzyła się po temu okazja, odważył się szepnąć słowa przyjaźni. W dniu kiedy Denise zauważyła manewr z bilecikiem między ekspedientką a synem pani Aurelii. Deloche pytał właśnie, czy smakował jej obiad, chcąc w jakiś sposób okazać zainteresowanie, a nie znajdując w myśli żadnego innego tematu do rozmowy. On również spostrzegł białą kartkę; popatrzył na Denise i oboje zaczerwienili się z powodu tej intrygi, która zawiązywała się na ich oczach.

Jakkolwiek otaczająca atmosfera zmysłowości budziła w niej z wolna kobietę. Denise zachowała spokój dziecka. Jedynie może na widok małego Hutin serce bito jej mocniej. Tłumaczyła sobie jednak to wzruszenie uczuciem wdzięczności za uprzejmość, jaką okazał jej młody człowiek. Ilekroć Hutin przyprowadzał do konfekcji jakąś klientkę, Denise czuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Kilka razy złapała się na tym, że wracając od kasy – zamiast iść

najkrótszą drogą – robiła koło, żeby przejść obok jedwabi zupełnie niepotrzebnie, a wzruszenie tamowało jej oddech. Pewnego popołudnia zastała tam samego Moureta i wydawało jej się, że pryncypał patrzy na nią z uśmiechem. Ostatnio nie zajmował się nią wcale, bardzo rzadko tylko zwracał się do niej z kilkoma słowami dotyczącymi jej ubrania lub żartował, że Denise jest dzikusiem i powinna była raczej urodzić się chłopcem, że nigdy się nie nauczy kokieterii mimo dobrych rad takiego jak on znawcy kobiet. Śmiał się przy tym, pozwalał sobie nawet na przekomarżanie się z ekspedientką. Nie chciał przyznać się przed samym sobą, że ta mała o śmiesznych włosach dziwnie go niepokoi. Denise, spostrzegłszy ten uśmiech pryncypała, zadrżała, jakby przyłapana na jakimś przewinieniu. Czyż domyślał się, dlaczego przechodziła przez dział jedwabi, kiedy ona sama nie mogła sobie wytłumaczyć, co ją do tego skłoniło?

Hutin zdawał się zupełnie nie spostrzegać pełnych wdzięczności spojrzeń Denise. Nie lubił panien z konfekcji i udawał, że nimi pogardza, przechwalając się więcej niż kiedykolwiek swym powodzeniem u klientek: jakaś baronowa zakochała się w nim rzekomo od pierwszego wejrzenia, żona jakiegoś architekta rzuciła mu się w ramiona, kiedy poszedł do jej mieszkania w sprawie omyłki w metrażu materiału. Pod tą isticie normandzką fanfaronadą ukrywał po prostu przygody z dziewczętami, które spotykał w kawiarniach i kabaretach. Jak wszyscy młodzi ludzie z magazynu nowości., Hutin namiętnie lubił wydawać pieniądze; walczył o nie przez cały tydzień z zaciętością skąpca, jedynie w tym celu, aby w niedzielę rzucać je garściami na wszystkie strony: na polu wyścigowym, przy stoliku restauracyjnym lub na balu; nigdy też nie miał żadnych oszczędności, nic nie odkładał, wydawał natychmiast wszystko, co zarobił, z całkowitą bez troską o dzień jutrzejszy. Favier nie brał udziału w eskapadach Hutina. Mimo że pracowali obok siebie, wychodząc kłaniali się sobie tylko i rozstawali bez słowa. Podobnie jak oni – wielu subiektów nie spotykało się wcale poza magazynem i nie wiedziało nic o życiu prywatnym najbliższych kolegów, tracąc ich z oczu natychmiast, gdy przekroczyli próg sklepu. Hutin utrzymywał stosunki tylko z Liénardem. Mieszkali obydwaj w tym samym hotelu. Hotelu Smyrneńskim, przy ulicy Świętej Anny, w ponurym domu zamieszkanym przez pracowników handlowych. Rano przychodzili razem do magazynu, wieczorem zaś ten z nich, który wcześniej ukończył porządkowanie działu, czekał na drugiego w kawiarni „Świętego Rocha” przy ulicy o tej samej nazwie, gdzie zbierali się subiekci z magazynu „Wszystko dla Pań”, spędzając czas na wrzaskach i picciu lub grając w karty wśród gęstego dymu fajkowego. Bardzo często siedzieli tam obaj do pierwszej w nocy, dopóki zmęczony właściciel nie wyrzucił ich za drzwi. Od miesiąca spędzali zwykle trzy wieczory w tygodniu w pewnym podrzędnym kabarecie na Montmartre; zabierali ze sobą

kolegów i urządzali owację pannie Laurze, tęgiej śpiewaczce, która była ostatnią konkietą Hutina. Robili jej klakę tak hałaśliwymi uderzeniami lasek i takim krzykiem, że już dwa razy policja zmuszona była interweniować, aby ich uspokoić.

W ten sposób minęła zima. Denise otrzymała wreszcie trzysta franków stałej pensji rocznie. Był na to najwyższy czas, gdyż jej ciężkie buty całkowicie odmawiały już posłuszeństwa. W ostatnim miesiącu nie wychodziła wcale na ulicę w obawie, że rozlecą się w kawałki.

– Mój Boże! – mawiała zniecierpliwiona pani Aurelia. – Co za hałas! Znieść tego nie mogę... Co ty masz na nogach?

Pierwszego dnia, kiedy Denise weszła w nowych, prunelkowych bucikach, za które zapłaciła pięć franków, Małgorzata i Klara wymieniły między sobą półgłosem – ale tak, aby je było słychać – następujące uwagi:

– Widziałas? Czupiradto porzuciło wreszcie swoje chodaki – powiedziała jedna z nich.

– Tak. widziałam. Ale musiała pewno bardzo po nich płakać. To były chodaki jej matki.

Cały dział zresztą był na nią oburzony. Odkryto mianowicie jej przyjaźń z Pauliną i dopatrywano się prowokacji w tej sympatii dla dziewczyny z wrogiego działu. Panny mówiły o zdradzie, oskarżały ją, że powtarza tamtej każde ich słowo. Wojna między działem bielizniarskim a konfekcją nabrała nowych akcentów, nigdy jeszcze nie była tak gwałtowna: żonglowano docinkami, pewnego wieczora doszło nawet do rękoczynów w cieniu pudeł z koszulami. Ta zadawniona walka miała być może swe źródło w tym, że ekspedientki z działu bielizny nosiły uniformy wełniane, podczas gdy panny z konfekcji paradowały odziane w jedwab; w każdym razie bielizniarki mówiły o sąsiadkach z pogardliwą miną uczciwych dziewcząt. Fakty przemawiały co prawda za tym, że miały rację: jedwabna suknia zdawała się wpływać na rozprężenie obyczajów panien z konfekcji. Klarze wypominano wszystkich kochanków, Małgorzacie – jej dziecko, panią Frederic zaś pomawiano o jakieś ukryte namiętności. I to wszystko z powodu Denise!

– Moje panny! Hamujcie się. nie używajcie takich ordynarnych słów! – mówiła poważnie pani Aurelia słysząc pełne wściekłości wymyślania podwładnej gromadki. – Pamiętajcie, kim jesteście!

Zasadniczo kierowniczką nigdy nie mieszała się do tych kłótni. Miała wyrobioną opinię o wszystkich tych pannach, wiedziała, że zarówno jedne, jak drugie niewiele były warte pod względem moralnym. Powiedziała to nawet kiedyś Mouretowi, gdy ją o to pytał. Lecz nagle i ona wzięła czynny udział w walce dwu obozów, gdy dowiedziała się z ust Bourdoncle'a, że zastał w jakimś kącie w suterrenach jej syna całującego pannę z działu bielizny, tę samą, której

podawał po kryjomu bileciki. Uznała to za rzecz ohydną i oskarżyła otwarcie bielizniarkę, że złapała Alberta w pułapkę: właściwie cios wymierzony był w nią samą, ponieważ chodziło o to, aby gubiąc niedoświadczonego chłopca skompromitować ją, kierowniczkę działu, której nic nie można było zarzucić. Krzyczała o tym wszystkim tak głośno po to, aby sprawę zagmatwać, nie miała bowiem żadnych złudzeń co do swojego syna i wiedziała, że jest zdolny popełnić największe głupstwo. Sprawa przybrała poważniejszy obrót, gdy odkryto, że brał w niej udział rękawicznik Mignot, który był przyjacielem Alberta. Pozwalał on mianowicie przyjaciółkom kasjera, prostym dziewczętom, przewracać całymi godzinami w pudełkach z rękawiczkami; poza tym wyszła na jaw historia rękawiczek szwedzkich ofiarowanych bielizniarce, lecz nie została ona nigdy wyjaśniona. Skandal zatuszowano ze względu na kierowniczkę działu konfekcji, panią Aurelię, którą nawet sam Mouret otaczał względami. W tydzień później Bourdoncle pod jakimś pretekstem zwolnił z pracy ekspedientkę, która pozwoliła się pocałować. Dyrekcja zamykała oczy na wszelkie hulanki poza magazynem, ale w obrębie domu nie tolerowała najmniejszego wybryku.

Cała ta awantura skrupiła się na Denise. Pani Aurelia wiedząc doskonale, jak się rzeczy miały, żywiła mimo to do dziewczyny głuchą niechęć. Zauważywszy kiedyś, jak Denise śmiała się z Pauliną, była pewna, że drwią z przygody jej syna. Na skutek tych podejrzeń jeszcze ostrzej bojkotowała Denise. Od dawna już pani Aurelia miała zamiar zabrać swoje panny w jakąś niedzielę w okolice Rambouillet, do Rigolles, gdzie miała małą posiadłość kupioną za pierwsze zaoszczędzone sto tysięcy franków. I w ostatniej chwili postanowiła ukarać Denise i zaprosić wszystkie z pominięciem jej jednej. Już na dwa tygodnie przed wyznaczonym terminem cały dział mówił tylko o wycieczce. Patrzono na niebo śmiejące się w majowym słońcu, robiono projekty co do każdej prawie godziny upragnionej niedzieli, obiecywano sobie masę przyjemności: jazdę na osiołkach, mleko, razowy chleb. W wycieczce miały brać udział same kobiety, co było jeszcze zabawniejsze! Pani Aurelia spędzała zazwyczaj dni wolne od pracy na spacerach w towarzystwie kobiet. Tak odwykła od przebywania w kole rodzinnym, tak się wówczas czuła źle i nieswojo, że nawet w te nieliczne wieczory, kiedy mogła jeść kolacje u siebie, z mężem i synem, wolała nie zajmować się gospodarstwem i iść do restauracji. Pan Lhomme również wymykał się wówczas z domu, zachwycony kawalerskim trybem życia, Albert zaś oddychał z ulgą i pędził do swych swawolnych dziewczątek. Toteż rodzina państwa Lhomme odwykła zupełnie od ogniska domowego, skrepowana i znudzona spędzanymi razem niedzielami. Każdy z członków rodziny pragnął wydostać się jak najprędzej z domu, traktując go jedynie jak zwykły hotel, do którego wstępuje się na noc. Jeśli chodzi o projektowaną majówkę, to pani Aurelia

oświadczyła po prostu, że nie wypada, aby Albert brał w niej udział, pan Lhomme zaś okaże z pewnością tyle taktu, że nie przyjedzie: obaj panowie byli tym zachwyceni. Wyczekiwany dzień zbliżał się i panny z konfekcji nie przestawały o nim mówić: opowiadały o przygotowanych sukniach, tak jakby chodziło o półroczną podróż. Denise musiała słuchać tych rozmów, blada i milcząca w swym osamotnieniu.

– Powiedz, czy nie wściekasz się na nie?– zapytała ją pewnego dnia rano Paulina. – Ja na twoim miejscu zrobiłabym im na złość. One się bawią, to i ja też. Co do licha?... Jedź z nami w niedzielę, Baugé chce wybrać się do Joinville.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała dziewczyna ze zwykłym spokojnym uporem.

– Ale dlaczego?... Czy boisz się, żeby cię ktoś nie wziął gwałtem? Paulina śmiała się dobrodusznie.

Denise uśmiechnęła się także. Dobrze wiedziała, jak się to dzieje: na takiej właśnie wycieczce każda z panien poznawała swojego pierwszego kochanka, czyjś przyjaciel spotkanego niby przypadkiem. Stanowczo nie miała na to ochoty.

– Słuchaj no – ciągnęła Paulina – przysięgam ci, że Baugé nikogo nie przyprowadzi. Będziemy tylko we troje... Skoro nie chcesz, to nie będę cię przecież gwałtem wydawać za męża. Bądź spokojna.

Denise wahała się, dręczona tak wielką pokusą, że fala krwi uderzała jej do twarzy. Odkąd musiała słuchać, jak jej koleżanki opowiadały o przyjemnościach pobytu na wsi, dusiła się, ogarnięta potrzebą powietrza, przestrzeni, marząc o wysokiej trawie, w którą mogłaby się zanurzyć aż po ramiona, o wielkich drzewach, których cień spływałby na nią jak strumień chłodnej wody. Budziło się w niej wspomnienie dzieciństwa spędzonego w bujnej zieleni półwyspu Cotentin i tęsknota za słońcem.

– Więc dobrze, zgadzam się! – powiedziała w końcu. Wszystko zostało omówione. Baugé miał przyjść po obie panny o ósmej rano i czekać na nie na placu Gaillon. Stamtąd pojedą dorożką na dworzec Vincennes. Denise, której dwadzieścia pięć franków stałej gaży pożerały nie kończące się potrzeby braci, mogła sobie pozwolić tylko na ozdobienie starej czarnej sukienki wąską pliską z popeliny w kratkę; zrobiła sobie także sama kapelusz w kształcie budki, z czarnego jedwabiu, i przybrała go niebieską wstążką. Ubrana z taką prostotą przypominała przedwcześnie rozwiniętą dziewczynkę. Strój jej odznaczał się przy tym typową dla ubóstwa czystością. Była tylko nieco zakłopotana i zawstydzona przepychem bujnych włosów, które wymykając się spod kapelusza stanowiły całą jego ozdobę. W przeciwieństwie do niej Paulina paradowała w wiosennej sukni z jedwabiu w fioletowo-białe paski i w odpowiednio dobranym toczku z piórami, z biżuterią na szyi i rękach. W tym

wszystkim wyglądała jak wystrojona bogata kupcowa. Ubranie dwóch dziewcząt było jakby odwetem za całotygodniowy mundur; Paulina zmuszona chodzić w wełnianej sukni w magazynie, stroiła się w niedzielę w jedwab; Denise natomiast, obnosząca swój jedwabny uniform na co dzień, wkładała w niedzielę ubogą wełnianą sukienkę.

– Jest Baugé – powiedziała Paulina wskazując wysokiego chłopca stojącego koło fontanny.

Przedstawiła przyjaciela i Denise od razu poczuła się swobodnie; Baugé sprawiał wrażenie dobrego chłopca. Był to tęgi młodzieniec, powolny i silny jak wół pociągowy. Miał podłużną, typową flamandzką twarz, a jego bezmyślne oczy śmiały się z dziecinną wesołością. Pochodził z Dunkierki i był młodszym synem kupca korzennego. Przybył do Paryża prawie wypędzony przez ojca i brata, którzy uważali go za głupiego. W magazynie „Bon Marche” zarabiał trzy tysiące pięćset franków rocznie. Był rzeczywiście niezbyt roztropny, ale w dziale płótna ceniono go jako dobrego subiekta. Kobietom bardzo się podobał.

– A dorożka? – zapytała Paulina.

Trzeba było dojść do postoju pojazdów na bulwarze. Słońce już przypiekało, piękny majowy poranek uśmiechał się nawet z płyt chodnika. Na niebie nie było ani jednej chmurki, jasne powietrze o przejrzystości kryształu tchnęło radością. Bezwiedny uśmiech rozchyłał usta Denise; oddychała głęboko, wydawało jej się, że pierś uwalnia się od jakiejś dławiącej ją przez pół roku zmory. Nie czuła już nareszcie dusznego powietrza zamkniętego wnętrza ani ucisku ciężkich, kamiennych murów magazynu „Wszystko dla Pań”, miała przed sobą cały dzień, który spędzi na wsi. Budziło się w niej poczucie zdrowia i wielka radość; cieszyła się wszystkim jak dziecko. W dorożce odwróciła się zmieszana, kiedy Paulina pocałowała swojego przyjaciela w usta.

– Patrzcie! – powiedziała wyglądając przez szybę pojazdu – tam, po drugiej stronie, idzie Lhomme. Jak on chodzi!

– Taszczy ten swój róg – dodała Paulina wychylając się także przez okno. – Co za stary maniak! Można by pomyśleć, że pędzi na randkę!

Rzeczywiście, Lhomme szedł szybko z instrumentem pod pachą, z nosem zadartym do góry, śmiejąc się z zadowolenia na myśl o uczcie, jaką sobie obiecywał. Miał zamiar spędzić cały dzień u przyjaciela, który był flecistą w małym teatrzyku. W jego mieszkaniu amatorzy muzyki zbierali się w niedzielę i od samego rana, zaraz po śniadaniu, uprawiali muzykę kameralną.

– O ósmej rano! Co za wariat! – zaczęła znów Paulina. – Pani Aurelia wyjechała, widać, z całą kliką o szóstej dwadzieścia pięć... Jestem pewna, że mąż i żona nie zobaczą się już dzisiaj.

Dziewczęta zaczęły rozmawiać o wycieczce do Rambouillet. Nie życzyły tamtym deszczu, ponieważ same zmokłyby także, ale gdyby mogło się tak stać, żeby chmura deszczowa pękła tylko tam i żeby ani jedna kropla nie dotarła do Joinville, byłaby to pyszna historia. Potem zaczęły rozmawiać na temat rozrzutności Klary, która nie wiedziała, na co wydawać pieniądze wyłudzone od utrzymujących ją mężczyzn. Kupowała na przykład, trzy pary bucików na raz i wyrzucała je nazajutrz, pociąwszy nożyczkami, bo jakoby uciskały ją w palcach. Panny z magazynu nowości nie były bynajmniej rozsądniejsze od pracujących tam subiektów, przejadały wszystko, nie miały ani grosza oszczędności, dwieście lub trzysta franków miesięcznie szło na fatałaszkę i słodycze.

– Ale on ma przecież tylko jedną rękę – powiedział nagle Baugé. – W jakim więc sposób gra na rogu?

Młody człowiek nie spuszczał Lhomme'a z oczu. Wówczas Paulina, która lubiła czasem kpić sobie z naiwności przyjaciela, opowiedziała mu, że kasjer gra opierając swój róg o ścianę. Baugé uwierzył jej słowom, a nawet podziwiał ten świetny pomysł. Gdy jednak potem Paulina pod wpływem wyrzutów sumienia wytłumaczyła mu, w jaki sposób Lhomme zastosował do swego kikuta system kleszczy, którymi posługiwał się jak ręką, Baugé kiwał z nieufnością głową, mówiąc, że nie uda się Paulinie nabrać go na takie bajki.

– Och, bo ty jesteś za głupi, żeby to zrozumieć – powiedziała wreszcie, śmiejąc się. – Ale to nic nie szkodzi. I tak cię kocham.

Dorożka toczyła się po bruku, dojechali do dworca Vincennes w samą porę, na chwilę przed odejściem pociągu. Baugé zapłacił, ale Denise oświadczyła, że życzy sobie pokryć swoją część wydatków: umówiono się zatem, że wieczorem nastąpią rozrachunki. Wsiedli do drugiej klasy, z wagonów dochodził radosny gwar. W Nogent wśród wybuchów śmiechu wysypał się z pociągu jakiś orszak weselny. Wreszcie wysiedli w Joinville i natychmiast poszli na wyspę, aby zamówić obiad. Zatrzymali się tam dosyć długo spacerując pod wysokimi topolami rosnącymi wzdłuż stromego brzegu Marny.

W cieniu panował przyjemny chłód, rzeźwy powiew idący od wody łagodził słoneczny żar. Na przeciwległym brzegu rzeki rozciągała się skąpana w jasnym blasku równina, pocięta pasami uprawnej roli. Denise trzymała się nieco w tyle za Pauliną i jej kochankiem, którzy szli objąwszy się w pole. Zerwała cały pęk jaskrów, patrzyła na płynącą wodę i czuła się szczęśliwa. Tylko gdy Baugé pochylał się i całował w szyję swoją przyjaciółkę, Denise ze ściśniętym sercem opuszczała głowę. Oczy jej napełniały się łzami, nie cierpiała jednak wcale. Nie wiedziała, co ją tak przytłaczało i dlaczego ta rozległa wiejska równina zamiast ją cieszyć, jak to sobie obiecywała, napełniała ją jakimś niejasnym żalem, którego przyczyny nie

mogła zrozumieć. Później, przy obiedzie, raził ją hałaśliwy śmiech koleżanki. Paulina, która swemu upodobaniu do wycieczek dawała wyraz nazbyt głośno i jaskrawo, na sposób dziewczyny przywykłej do dusznej atmosfery lamp gazowych i tłumy, teraz koniecznie chciała jeść obiad w altanie, mimo chłodnego wiatru. Bawiły ją gwałtowne poddmuchy zrywające serwetę, bawiła śmieszna altanka, jeszcze nie zarośnięta, o świeżo pomalowanych prętach, których ukośne kwadraty rzucały cień na nakrycie stołu. Jadła z wielkim apetytem, z łakomstwem wygłodniałej i źle zazwyczaj odżywianej dziewczyny, objadała się aż do niestrawności ulubionymi potrawami; był to jej największy nałóg, wydawała wszystkie pieniądze na ciastka, ostre przyprawy, przysmaczki, którymi opychała się w wolnych godzinach. Denise zaspokoila apetyt jajkami, smażoną rybą oraz kawałkiem pieczonego kurczęcia i w obawie, aby nie powiększyć zbytnio rachunku, nie chciała pozwolić sobie na porcję truskawek, które były jeszcze dosyć drogą nowalijką.

– A teraz co robimy? – zapytał Baugé, gdy podano kawę. Gdy byli sami, Paulina i Baugé wracali zazwyczaj po południu do Paryża i kończyli świąteczną zabawę widowiskiem teatralnym. Ponieważ jednak Denise wyraziła życzenie, aby spędzić cały dzień na wsi, postanowili zostać w Joinville: raz użyjemy wiejskich uciech do syta! Całe więc popołudnie chodzili po polach. Przez kilka chwil rozważano projekt przejażdżki łódką; zaniechali jednak tego zamiaru, ponieważ Baugé był bardzo marnym wioślarzem. Błądząc bez celu po nieznanych ścieżkach wracali ciągle na brzeg Mamy: zainteresował ich ruch na rzece, eskadry małych czółen i łodzi norweskich oraz wioślarskie załogi. Słońce chyliło się ku zachodowi, zawrócili więc w kierunku Joinville, gdy nagle zauważyli dwie jolki płynące z prądem i ścigające się ze sobą. Wioślarze obrzucali się nawzajem stekiem wyzwisk, w których wciąż powtarzały się słowa: „knajpiarz” i „kupczyk”.

– Patrzcie! – powiedziała nagle Paulina – to Hutin.

– Tak – odrzekł Baugé osłaniając ręką oczy od słońca – poznaję jego mahoniowe czółno... Tym drugim muszą płynąć jacyś studenci.

Baugé wyjaśnił towarzyszkom zadawnioną nienawiść, jaka dzieliła młodzież akademicką i pracowników handlowych. Denise usłyszawszy nazwisko Hutina zatrzymała się; z oczyma utkwionymi w smukłą łódź szukała wśród wioślarzy młodego człowieka, ale nie rozróżniała nic prócz dwu białych plam – były to suknie kobiet, z których jedna, siedząca przy sterze, miała czerwony kapelusz. Głosy ścichły w szumie rzeki.

– Do wody, knajpiarze!

– Kupczyki! Do wody, do wody!

Wieczorem powrócono do restauracji na wyspie. Zrobiło się chłodno i trzeba było zasiąść

do stołu w jednej z dwu sal, gdzie wilgoć zimowa przepajała serwety zapachem pralni. Już o szóstej zabrakło stołów, wycieczkowicze spieszyli się szukając jakiegoś wolnego kąta; kelnerzy znosili krzesła i ławki, zsuwali nakrycia i starali się pomieścić jakoś nadmierną ilość gości. Zrobiło się duszno, otworzono więc okna. Na dworze dzień już się kończył. Zielonkawy zmierzch opadł z nadbrzeżnych topoli tak szybko, że gospodarz, „nie przygotowany na podawanie posiłku w salach, nie posiadając dostatecznej ilości lamp, musiał postawić na każdym stole po jednej świecy. Panował ogłuszający hałas, śmiechy, nawoływania, brzęk nakryć i naczyń. W powiewie idącym od otwartych okien drżały gasnące chwilami płomienie ociekających stearyną świec. Zwabione światłem ćmy były skrzydłami w przesyconym zapachem potraw powietrzu.

– Ci się dopiero dobrze bawią! – powiedziała Paulina, schylona nad talerzem z rybą w winnym sosie, którą się delectowała. Po czym, nachyliwszy się ku Denise i Baugé, dodała: – Poznajecie Alberta?

Młody Lhomme siedział rzeczywiście przy stole w towarzystwie trzech kobiet: starszej damy w żółtym kapeluszu, o podejrzanym wyglądzie stręczycielki, i dwóch młodych dziewcząt, trzynasto- i czternastoletniej, uwodzicielsko rozpartych z bezczelnie wyzywającymi minami. Albert, porządnie podchmielony, uderzał szklanką w stół wrzeszcząc, że złoi skórę kelnerowi, jeśli natychmiast nie dostanie zamówionych trunków.

– Śliczna zabawa! – mówiła dalej Paulina. – I to się nazywa rodzina! Matka w Rambouillet, ojciec w Paryżu, a syn w Joinville. Doprawdy, nie następują sobie na pięty.

Denise, która nie znosiła hałasu, uśmiechnęła się jednak, uradowana, że nie potrzebuje myśleć w tym wrzasku. Ale nagle w sąsiedniej sali wybuchł taki harmider, że zagłuszył wszystko inne. Było to wycie, po którym nastąpiła prawdopodobnie bijatyka, gdyż dały się słyszeć jakieś szurania, przewracanie krzesel, jednym słowem, istna walka, wśród której rozbrzmiewały te same krzyki co przedtem na rzece:

– Do wody, kupczyki!

– Knajpiarze! Do wody, do wody!

Gdy potężny bas restauratora przywrócił wreszcie spokój, w sali, gdzie siedziała Denise, ukazał się Hutin. Był w czerwonej wiatrówce, w berecie zsuniętym na tył głowy, trzymał pod ręką wysoką, białą ubraną dziewczynę, sterniczkę, która, by dostroić się do barw czółna, zatknęła za ucho pęk czerwonych maków. Wejście ich powitały krzyki i oklaski. Hutin uradowany, że stał się ośrodkiem powszechnego zainteresowania, promieniał, wypinał pierś naprzód, kołysał się naśladując chód marynarzy i afiszował z zadowoleniem wielki siniec na twarzy, zadany pięścią przeciwnika. Za nimi szła cała załoga łódki. Wzięto szturmem jakiś

stół, nastąpił piekielny zgiełk.

– Zdaje się – powiedział Baugé przysłuchując się rozmowom prowadzonym przy stołach – zdaje się, że pobili się z powodu tej malej, która jest z Hutinem. Ona produkuje się teraz w jakimś kabarecie na Montmartre, a studenci pamiętali ją z knajp Quartier i kiedy ją poznali... Ci studenci to też niezłe ziółka! Nie mają nigdy pieniędzy na kobiety!

– W każdym razie – powiedziała Paulina sznurując usta – jest strasznie brzydka z tymi włosami koloru marchwi... Nie mam pojęcia, gdzie Hutin znajduje podobne typy, ale jedna jest wstrętniejsza od drugiej.

Denise zbladła. Ogarnęło ją lodowate zimno, jakby wszystka krew wyciekła jej z serca, kropla po kropli. Już wtedy, nad brzegiem rzeki, gdy zobaczyła szybko mknące czółno, wstrząsnął nią pierwszy dreszcz. Teraz nie mogła wątpić: ta dziewczyna musiała żyć z Hutinem. Gardło miała ściśnięte, ręce jej drżały. Straciła ochotę do jedzenia.

– Co ci jest? – zapytała przyjaciółka.

– Nic, nic – wybełkotała – to z gorąca.

Stół Hutina znajdował się obok. Subiekt z działu jedwabi zauważył przyjaciela Pauliny i krzykliwym głosem rozpoczął z nim rozmowę po to jedynie, żeby znów zwrócić na siebie uwagę całej sali.

– Powiedz mi – zawołał – czy wy w magazynie „Bon Marche” jesteście wciąż tacy cnotliwi?

– Nie tak bardzo – odpowiedział czerwieniąc się Baugé.

– Nie blaguj! Oni przyjmują do pracy tylko dziewice i mają stały konfesjonał dla subiektów, którzy na nie patrzą... Firma, w której zawiera się małżeństwa, co za nudy!

Rozległy się śmiechy. Liénard, który należał do obsady łodzi, dodał:

– To nie tak jak w „Luwrze”... Tam w dziale konfekcji jest na stałej pensji akuszerka. Słowo daję!

Zrobiło się jeszcze weselej. Nawet Paulina pękała ze śmiechu, tak jej się podobał kawał z akuszerką. Lecz Baugé poczuł się podrażniony żartami na temat surowych obyczajów panujących jakoby w jego firmie. Zdobył się więc na odwagę:

– A u was to niby lepiej, w tym waszym magazynie „Wszystko dla Pań”! Wyrzucają was za drzwi za jedno słowo! A ten wasz pryncypał, zdaje się, zaczepia klientki!

Hutin nie słuchał go, rozpoczął bowiem wychwalać magazyn „Na Placu Clichy”. Pracowała tam pewna młoda dziewczyna o tak dystygowanym wyglądzie, że klientki nie śmiały zwracać się do niej, aby je obsłużyła, bojąc się ją obrazić. Przysunął następnie bliżej swoje nakrycie i zaczął opowiadać, że zarobił w tym tygodniu sto piętnaście franków; co za

bajeczny tydzień! Favier zarobił tylko pięćdziesiąt dwa franki – ofiara kombinacji z kolejnością zapisów na tablicy. Hutin pytał chętnie, czy poznać, że ma tak dużo pieniędzy? Kieszenie ma napchane frankami i nie położy się spać, póki nie wyda wszystkiego do ostatniego grosza. Coraz bardziej pijany, zaczął narzekać na tego cherlaka Robineau, zastępcę kierownika, który trzyma się zawsze z daleka do tego stopnia, że nie chce się nawet pokazać na ulicy ze zwykłym sprzedawcą.

– Cicho, bądź! – powiedział Liénard. – Mówisz za dużo, mój drogi!

W sali robiło się coraz goręcej; ze świec kapało na obrus poplamiony winem: w momentach gdy przycichały głosy biesiadników, przez otwarte okna dochodził daleki szum rzeki i wielkich topoli zasypiających wśród pogodnej nocy. Widząc, że Denise nie czuje się lepiej, Baugé poprosił o rachunek. Dziewczyna była blada i siłą powstrzymywała drżenie podbródka, bliska płaczu. Kelner nie zjawiał się jednak i Denise musiała jeszcze przez kilka minut znosić wybuchy hałaśliwego głosu Hutina. Mówił teraz, że uważa się za kogoś lepszego od Liénarda, bo tamten zjada tylko pieniądze ojca, gdy on tymczasem przejada własne zarobki, owoc własnej przedsiębiorczości. W końcu Baugé zapłacił rachunek i obie dziewczyny wstały od stołu.

– Patrzcie, to jest ekspedientka z „Luwru” – powiedziała szeptem Paulina, gdy przechodzili przez pierwszą salę, wskazując szczupłą, wysoką pannę, która wkładała właśnie płaszcz.

– Przecież jej nie znasz, nie możesz więc nic wiedzieć o niej – odparł młody człowiek.

– Co z tego! Widzę, w jaki sposób kładzie płaszcz!... Należy na pewno do działu akuszerki! Jeżeli słyszała, co mówił Liénard, to musi być zadowolona.

Znalazłszy się na dworze, Denise odetchnęła z ulgą. W dusznej, gorącej sali, pośród ogłuszających krzyków zdawało jej się, że umiera. Tłumaczyła sobie swoje osłabienie brakiem powietrza. Teraz oddychała przynajmniej swobodnie. Z rozgwieżdżonego nieba płynął orzeźwiający chłód. Kiedy we dwie z Pauliną wychodziły z ogródka restauracyjnego, jakiś nieśmiały głos odezwał się cicho wśród ciemności.

– Dobry wieczór paniom.

Był to Deloche. Nie spostrzegły go w głębi pierwszej sali, gdzie jadł samotnie kolację przywędrowawszy z Paryża pieszo, żeby zażyć przyjemności spaceru. Poznając ten przyjacielski głos, Denise, która wciąż czuła się źle, machinalnie uległa potrzebie oparcia się na kimś.

– Panie Deloche, wróci pan razem z nami, prawda? – odezwała się. Niech pan będzie tak dobry i poda mi ramię.

Paulina i Baugé poszli przodem. Dziwili się bardzo; nigdy nie przypuszczali, że to się

odbędzie w taki sposób, i w dodatku z tym właśnie chłopcem. Ponieważ do odejścia pociągu pozostawała jeszcze cała godzina, poszli wszyscy spacerkiem aż do końca wyspy, wzdłuż brzegu rzeki, pod wielkimi drzewami. Od czasu do czasu pierwsza para odwracała się mówiąc do siebie szeptem:

– Gdzie się oni podzieli? Aha, są tam... Jakie to jednak śmieszne!

Z początku Denise i Deloche milczeli. Powoli rozgwar restauracyjny przycichał i w mroku nocy zamieniał się jakby w daleką, słodką muzykę. Zagłębiali się w opadający z drzew chłód, rozgorączkowani jeszcze tym piekielnym żarem sali, w której świece jedna po drugiej gości teraz za rzadką zasłoną liści. Naprzeciw nich wznosił się jakby mur ciemności zwarta masa cienia tak gęsta, że nie rozpoznawali nawet nikłych zarysów ścieżki. Szli wolno, ale bez obawy. Oczy ich przywykły do ciemności; zobaczyli na prawo pnie topoli, podobne do ciemnych kolumn, podtrzymujących swe liściaste sklepienia, przez które przeświecały gwiazdy. Z drugiej strony woda lśniła chwilami w mroku jak cynowe zwierciadło. Wiatr ustał, słychać było tylko poszum rzeki.

– Jestem taki szczęśliwy, że panią spotkałem – wybełkotał w końcu Deloche decydując się pierwszy na nawiązanie rozmowy. – Nie ma pani pojęcia, jaką mi pani robi przyjemność zgadzając się na ten spacer ze mną.

I korzystając z ciemności, po wielu słowach pełnych zakłopotania ośmielił się wyznać swoją miłość. Od dawna chciał już Denise o tym napisać, ale może nigdy nie dowiedziałyby się tego bez współudziału tej pięknej nocy, bez życzliwej pomocy śpiewającej rzeki i tych drzew, które ochraniały ich zasłoną cienia. Nie odpowiedziała na to wyznanie, szła w dalszym ciągu, opierając się na jego ramieniu takim samym jak przedtem zmęczonym gestem. Deloche chciał dojrzeć wyraz jej twarzy, lecz usłyszał tylko cichy szloch.

– Mój Boże! – zaczął znowu – pani płacze?... Czy sprawiłem pani przykrość?

– Nie, nie – powiedziała bardzo cicho.

Denise starała się powstrzymać łzy, ale nie mogła. Jeszcze przy stole miała wrażenie, że serce jej pęknie. Teraz w ciemności nie mogła się już pohamować. Dławiły ją łzy na myśl, że gdyby Hutin był na miejscu Deloche'a i przemawiał do niej tak czule, to nie potrafiłaby mu się oprzeć. Przyznając się do tego sama przed sobą. Denise czuła się niewymownie zmieszana. Wstyd palił jej twarz, jakby rzeczywiście pod cienistymi drzewami padła w ramiona temu Hutinowi, który w tak bezczelny sposób afiszował się z dziewczętami złego prowadzenia.

– Nie chciałem pani urazić – powtarzał Deloche, którego też dławiły łzy.

– Niech mnie pan posłucha – powiedziała Denise drżącym głosem – wcale się na pana nie

gniewam. Tylko bardzo pana proszę, niech mi pan nie mówi takich rzeczy jak przed chwilą... To, czego pan pragnie, jest niemożliwe. Wiem, że jest pan dobrym chłopcem, i chcę być z panem w przyjaźni, ale nic więcej... Czy pan mnie rozumie? Nic więcej.

Deloche drżał ze wzruszenia. Po kilku krokach, jakie zrobili w milczeniu, zdołał wykrztusić:

– Więc pani mnie nie kocha? – A ponieważ Denise nie odzywała się wcale chcąc oszczędzić mu brutalnej odmowy, zaczął znowu mówić głosem łagodnym i smutnym: – Spodziewałem się tego zresztą... Nigdy nie miałem szczęścia i jestem przekonany, że nigdy nie będę szczęśliwy. W domu spadały na mnie same ciężki. W Paryżu byłem zawsze popychadłem. Widzi pani, jeżeli się nie umie sprzątnąć komuś sprzed nosa kochanki i jeżeli nie ma się dość sprytu, by zarabiać tyle pieniędzy co inni, to lepiej od razu zdechnąć gdzieś w kącie... Niech pani będzie spokojna, nie będę już pani więcej dręczył. Lecz nie może mi pani zabronić kochać, prawda? Więc będę panią kochał nie żądając w zamian nic, ot tak, jak zwierzę kocha swego pana... Oto jak mi się wszystko wymyka z rąk, taka już jest moja dola.

Teraz on się rozplakał. Denise pocieszała go i w trakcie tych przyjacielskich wynurzeń dowiedzieli się, że pochodzą z tej samej okolicy, ona z Valognes, a on z odległego o trzynaście kilometrów Briquebec. To odkrycie sprzęgło ich na nowo ze sobą. Jego ojciec, ubogi woźny sądowy, był chorobliwie wprost zazdrosny: bił syna uważając go za bękarta z powodu jego pociągłej twarzy i jasnych jak konopie włosów, nie spotykanych zupełnie w rodzinie. Tak rozmawiając zaczęli wspominać wielkie pastwiska otoczone żywopłotem, cieniste ścieżki gubiące się w zaroślach wiązów, drogi wiejskie obrzeżone trawnikami jak aleje parkowe. Tymczasem noc wokoło nich stawała się mniej ciemna. Rozróżniali już trzciny nadbrzeżne i czarną koronkę listowia na tle rozjarzonego gwiazdami nieba. Spływało na nich jakieś ukojenie, zapominali o swoich bólach, zbliżeni niepowodzeniami życiowymi, złączeni dobrą, koleżeńską przyjaźnią.

– No i co? – zapytała żywo Paulina odciągając trochę na bok Denise, gdy znaleźli się przed dworcem.

Po uśmiechu i wyrazie życzliwej ciekawości przyjaciółki dziewczyna domyśliła się, co miało znaczyć to pytanie. Zaczerwieniła się bardzo i powiedziała:

– Ależ nigdy w świecie, moja droga! Powiedziałam ci już, że nie chcę!... Jesteśmy z jednych okolic. Rozmawialiśmy o Valognes.

Paulina i Baugé dziwili się, że przypuszczenia ich nie sprawdziły się, i nie wiedzieli, co o tym myśleć. Deloche pożegnał się z nimi na placu Bastylli; podobnie jak wszyscy praktykanci spisał w magazynie, gdzie musiał być najpóźniej o jedenastej. Nie chcąc wracać razem z nim

Denise, która wystarała się o przepustkę do teatru, zgodziła się pójść z Pauliną do mieszkania Baugé. Subiekt, aby być bliżej przyjaciółki, zamieszkał przy ulicy Świętego Rocha. Wzięli więc znowu dorożkę i Denise zdziwiła się niepomernie, gdy w drodze dowiedziała się, że Paulina ma zamiar zostać na noc u swego przyjaciela. Wy tłumaczono jej, że to nie jest trudne, jeśli się da pięć franków pani Cabin, i że praktykują to wszystkie panny mieszkające w magazynie. Baugé robił honory domu w swoim pokoju, gdzie stały empirowe meble, które przysłał mu ojciec. Kiedy Denise poruszyła kwestię rozliczenia, rozgniewał się początkowo, lecz w końcu przyjął piętnaście franków sześćdziesiąt, które dziewczyna położyła na komodzie. Chciał natomiast poczęstować ją herbatą i rozpoczął walkę ze spirytusową maszynką, po czym musiał zejść jeszcze do sklepu po cukier. Była północ, gdy zdołał wreszcie nalać herbatę.

– Muszę już iść – powtarzała kilkakrotnie Denise.

Paulina odpowiadała na to:

– Jeszcze chwilę... Przedstawienia w teatrze jeszcze się nie skończyły. Denise czuła się dziwnie skrępowana w tym kawalerskim mieszkaniu. Paulina zdjęta sukienkę i kręciła się po pokoju w staniczku i halce, potem zabrała się do siania łóżka, odrzuciła kołdrę, strzepywała poduszkę nagimi ramionami. Wszystkie te przygotowania do nocy miłosnej, robione na oczach Denise wprawiały ją w zakłopotanie, napełniały wstydem i przypominały jej zranionemu sercu Hutina. Takie dni jak dzisiejszy stanowczo nie były dla niej zbawiennym lekiem. Kwadrans po dwunastej pożegnała się wreszcie. Odchodziła bardzo zmieszana, ponieważ w odpowiedzi na jej w niewinny sposób wyrażone życzenia dobrej nocy Paulina odpowiedziała bez namysłu:

– Dziękuję ci, ta noc z pewnością będzie dobra!

Boczne wejście, które prowadziło do apartamentu Moureta i do pokoi personelu, znajdowało się od strony ulicy Neuve-Saint-Augustin. Pani Cabin otwierała drzwi i zaznaczała w rejestrze nazwisko wracającej. Nocna lampka słabo oświetlała przedsionek i Denise znalazła się w kręgu tego światła, niepewna i zaniepokojona, ponieważ skręcając w ulicę spostrzegła, że drzwi wejściowe zamykają się za jakimś mężczyzną. Z pewnością był to pryncypał, który wracał z jakiejś wizyty; na myśl, że mógł być tutaj wśród tych ciemności i że może czeka, aż ona wejdzie, opanowała ją bezpodstawną, dziwną trwogą, jaka ogarniała ją zawsze na jego widok. Ktoś poruszył się na pierwszym piętrze, zaskrzypiały buty. Wówczas Denise straciła zupełnie głowę i pchnęła drzwi wiodące do magazynu otwarte z powodu nocnego obchodu straży pożarnej. Znalazła się w dziale norymberszczyzny.

– Mój Boże, co ja teraz zrobię? – wyszeptwała sama do siebie, bardzo przejęta.

Przyszło jej na myśl, że były na górze jeszcze jedne drzwi prowadzące do pokoi mieszkalnych. Należało tylko przejść przez cały magazyn. Wybrała tę drogę pomimo ciemności, w jakich tonęły galerie. Nie paliła się ani jedna lampa gazowa, jedynie gdzieś drgało mdle światełko lampki oliwnej umocowanej do podstawy świecznika; te rzadkie światełka, podobne do żółtych plamek, których promienie wchłaniała ciemność nocy, wyglądały jak latarnie zawieszane w kopalni. Wielkie cienie kładły się tajemniczo, ledwie można było rozpoznać nagromadzone towary, przybierające w ciemności przerażające kształty, podobne do zwalonych kolumn, przyczajonych zwierząt, skradających się złodziei. W ciężkiej ciszy, przerywanej dalekimi oddechami śpiących ludzi, ciemności zdawały się jeszcze bardziej przepastne. Denise zorientowała się mimo mroku: na lewo był dział płócien, które stanowiły jaśniejszą plamę przypominając skąpane w niebieskawej poświacie zarysy domów, gdy się na nie patrzy w pogodną letnią noc. Chciała przejść przez halę jedwabi, lecz zagroziły jej drogę stopy kretonu, uważała więc za rozsądniejsze zawrócić i przejść przez dział trykotarski, później przez dział materiałów wełnianych. Gdy jednak skierowała się w tę stronę, przeraził ją jakiś odgłos podobny do grzmotu: było to głośne chrapanie posługacza Józefa, śpiącego w dziale artykułów żałobnych. Wpadła wówczas do hali oświetlonej nieco lepiej przez oszklony dach; hala wydała się jej teraz dużo większa; ciężkie półki i wielkie drewniane metry, niby przewrócone krzyże, przypominały pełne strachów wnętrza kościoła w nocy. Denise biegła teraz owładnięta trwogą. W dziale niciarskim, a dalej w dziale rękawiczek o mało nie wpadła na śpiących chłopców sklepowych i odetchnęła z ulgą, gdy odnalazła wreszcie schody. Lecz na piętrze, przed salonem konfekcji, schwyciło ją znowu przerażenie, gdy ujrzała latarnię, której mrugające oko posuwało się naprzód: byli to nocni stróże, dwaj strażacy, którzy nakręcali zegary sprawdzające ich obecność na dyżurze. Denise przez dobrą chwilę nie mogła zrozumieć, na czym polegają ich czynności, patrzyła na nich, jak przechodzili z działu szali do meblarskiego, a potem do działu bielizny, przestraszona ich dziwnymi manipulacjami, zgrzytem klucza, szczękiem opadających z hałasem blaszanych drzwiczek. Kiedy podeszli bliżej, schroniła się w salonie koronek, ale tu spłoszył ją gwałtownie jakiś głos, więc rzuciła się pędem do drzwi prowadzących na schody. Poznała głos Henryka Deloche, który sypiał w swoim dziale na małym, rozkładanym na noc, żelaznym łóżku; jeszcze nie spał i przeżywał z otwartymi oczami słodkie wspomnienia wieczoru.

– Jak to, to pani? – powiedział Mouret, na którego wpadła pędząc po schodach. Trzymał w ręku małą świeczkę.

Wybełkotała niewyraźnie parę słów chcąc mu wytłumaczyć, że właśnie szukała czegoś w

swoim dziele. Ale on wcale się nie gniewał i spoglądał na nią wzrokiem zarazem ojcowskim i ciekawym.

– Więc pani miała przepustkę do teatru?

– Tak. proszę pana.

– Bawiła się pani dobrze?... W jakim teatrze pani była?

– Byłam na wsi, proszę pana.

Odpowiedź ta rozśmieszyła Moureta. Potem zapytał jeszcze, kładąc nacisk na ostatnie słowo:

– Czy była pani sama?

– Nie, z przyjaciółką – odpowiedziała, purpurowa na twarzy, zawstydzona wyraźnym w jego słowach podejrzeniem.

Wówczas zamilkł, nie przestawał jednak patrzeć na nią, na jej skromną czarną sukienkę, na kapelusz ozdobiony jedynie niebieską wstążką. Czyżby z tego dzikusa miała wyrosnąć ładna dziewczyna? Pachniało od niej świeżością wiejskiego powietrza, była czarująca z tymi pięknymi, rozwianymi nad czołem włosami. Mouret, który od sześciu miesięcy traktował Denise jak dziecko, dając jej czasem rady doświadczonego człowieka, ulegając brzydkiej ciekawości i chęci dowiedzenia się, jak to kobieta rozwija się i zatracą w Paryżu – teraz nie śmiał się już; doznawał nieokreślonego uczucia zdziwienia i lęku zmieszanego z tkliwością. Nie wątpił, iż wypiękniała tak dlatego, że ma kochankę. Na tę myśl poczuł ból, jakby ptaszek, z którym lubił się bawić, ukłuł go aż do krwi.

– Dobranoc panu – wyszeptała Denise idąc w górę po schodach.

Nie odpowiedział, ale patrzył za nią, póki nie zniknęła na zakręcie. Potem wszedł do swego mieszkania.

VI

Z nadejściem martwego sezonu letniego przez magazyn „Wszystko dla Pań” przeszedł podmuch paniki. Był to okres masowych wymówień i wielkiego lęku przed zwolnieniami; w ten sposób dyrekcja odciążała magazyn świecący pustkami w czasie lipcowych i sierpniowych upałów.

Mouret podczas swych rannych obchodów z Bourdoncle'em odciągał codziennie na bok kierowników działów; w zimie w obawie, aby sprzedaż nie ucierpiała, zachęcał ich do przyjmowania czasami zbyt dużej ilości subiektów, teraz polecał przeprowadzenie selekcji personelu. Chodziło o zmniejszenie wydatków przez wyrzucenie na bruk przynajmniej jednej trzeciej subiektów, tych słabych, którzy dali się pożreć silniejszym.

– Widzi pan – mówił – są między nimi z pewnością tacy, którzy panu nie odpowiadają... Nie można pozwolić, żeby stali z założonymi rękami.

A jeśli kierownik działu wahał się nie wiedząc, kogo poświęcić, pryncypał dodawał:

– Niech się pan tak urządzi, żeby wystarczyło panu sześciu sprzedawców. W październiku przyjmie pan nowych, dosyć ich włóczy się po ulicach!

Zasadniczo wydalaniem z pracy zajmował się Bourdoncle. Z jego zaciśniętych warg padało straszne jak uderzenie siekierą zdanie: „Proszę do kasy!” Byle pretekst wystarczał, aby oczyścić teren. Posądzał ich o coraz to inne przekroczenia, wykorzystywał najłżejsze niedopatrzania. „Pan, zdaje się, siedział podczas pracy? Proszę do kasy!” „Pan śmie mi odpowiadać? Proszę do kasy!” „Pan ma niewyczyszczone buty! Proszę do kasy!” Nawet najodważniejsi drżeli wobec tego spustoszenia, jakie siały słowa generalnego inspektora. Ponieważ mimo to mechanizm selekcyjny nie funkcjonował dość sprawnie, Bourdoncle wpadł na pomysł zastosowania pewnego rodzaju pułapki, za pomocą której w ciągu kilku dni można było z łatwością wyrzucić na bruk z góry określoną liczbę subiektów. Punkt o godzinie

ósmej stawał we drzwiach wejściowych z zegarkiem w ręku; trzyminutowe spóźnienie wystarczało, by nieubłagane słowa: „Proszę do kasy!” – spadły jak grom na głowę zdyszanego młodzieńca. To się nazywało prędko i czysto wykonaną robotą.

– Nie podoba mi się pana twarz – powiedział kiedyś Bourdoncle do nieszczęśliwego właściciela krzywego nosa. – Proszę do kasy!

Protegowani otrzymywali piętnaście dni bezpłatnego urlopu, co było już bardziej ludzkim sposobem zmniejszania wydatków. Subiekci zresztą z konieczności i przyzwyczajenia godzili się z takim stanem rzeczy. Od chwili wyładowania w Paryżu włączyli się od jednego sklepu do drugiego. tu zaczynali praktykę, tam ją kończyli; byli wydalani albo sami rzucali pracę, wszystko nagle, zależnie od interesów chlebodawców lub swoich własnych. Fabryka stawała – odbierano chleb robotnikom: maszyna dokonywała selekcji w sposób obojętny, odrzucając na bok zbędne kółko, jakby to był tylko kawałek żelaza, któremu nie należy, okazywać żadnej wdzięczności za oddane kiedyś usługi. Tym gorzej dla tych, którzy nie umieli wykroić sobie tłustego kęsa!

We wszystkich działach mówiono jedynie o redukcjach. Co dzień krążyły nowe plotki. Wymieniano nazwiska zwolnionych subiektów, podobnie jak w okresie epidemii wspomina się zmarłych. Selekcja dotknęła przede wszystkim działu szalów i wełen: w ciągu tygodnia usunięto tam siedmiu sprzedawców. Potem przyszła kolej na dział bielizny, gdy jakaś klientka zemdląła oskarżając ekspedientkę, która ją obsługiwała, że jadła czosnek. Panna została natychmiast zwolniona, chociaż wiedziano, że źle odżywiana i zawsze głodna gryzła stale za ladą suche skórki chleba. Dyrekcja była nieubłagana, jeśli wchodziło w grę choćby najmniejsze zażalenie ze strony klienteli. Nie uznawano żadnego tłumaczenia, pracownik zawsze był winien i musiał być usunięty jak uszkodzona część mechanizmu, która przeszkadza w sprawnym funkcjonowaniu całości; koledzy spuszczały głowy nie próbując nawet bronić skrzywdzonych. W tym podmuchu paniki każdy myślał przede wszystkim o sobie. Mignot wynosząc raz jakąś paczkę pod ubraniem, co było sprzeczne z regulaminem, o mało nie wpadł i nie znalazł się na bruku. Liénard, którego lenistwo wszystkim było znane, jedynie stanowisku swego ojca w branży nowości zawdzięczał, że nie wyleciał, gdy pewnego popołudnia Bourdoncle zastał go śpiącego w pozycji stojącej pomiędzy dwoma stosami angielskiego weluru. Państwo Lhomme niepokoił się oczekując z dnia na dzień zwolnienia syna Alberta: dyrekcja magazynu była bardzo niezadowolona z jego pracy w kasie, do której przychodziły ciągle jakieś kobiety na pogawędki: już dwa razy pani Aurelia musiała swoim wpływem ratować sytuację.

Wobec tych generalnych redukcji Denise czuła się bardzo zagrożona. toteż żyła w

ustawicznej trwodze, lada chwila spodziewając się katastrofy. Na nic się nie zdała odwaga, pogoda i rozsądek wobec załamań, jakim ulegała jej wrażliwa natura ledwie zamknęła za sobą drzwi swego pokoju. zalewała się łzami. Rozpaczała, że znajdzie się na bruku, poróżniona ze stryjem, nie wiedząc, do kogo się zwrócić, bez grosza oszczędności i w dodatku obarczona ciężarem rodziny. Znowu powracały myśli-zmory, jakie dręczyły ją w pierwszych tygodniach pracy, zdawało jej się, że jest ziarnkiem prosa przyciśniętym przez wielki kamień młyński, czuła się opuszczona, bezsilna, wciągnięta w tryby maszyny, która ją zmiażdży z niewzruszoną obojętnością. Nie mogła mieć złudzeń: jeśli przyjdzie kolej na dział konfekcji, to ofiarą będzie tylko ona. Na wycieczce do Rambouillet panny z konfekcji musiały podburzyć panią Aurelię przeciwko niej, ponieważ kierowniczką traktowała ją odtąd surowo, z pewnym jakby odcieniem urazy. Koleżanki nie mogły jej zresztą przebaczyć, że pamiętnej niedzieli pojechała do Joinville, i widziały w tym dowód buntu, uważając afiszowanie się na ulicy z panną z wrogiego działu za rodzaj prowokacji. Nigdy Denise nie nacierpiała się tyle co właśnie teraz i zupełnie straciła nadzieję, aby kiedykolwiek mogła zdobyć sympatię koleżanek.

– Co cię obchodzą te nadęte głupie gęsi! – mówiła do niej Paulina. Wielkopańskie maniery panien z konfekcji onieśmiały Denise. Prawie wszystkie ekspedientki na skutek codziennego obcowania z bogatą klientelą przyswajały sobie jej sposób bycia i stały się istotami o nieokreślonej klasie społecznej, czymś pośrednim między robotnicą a burżujką. Umiały się wytwornie ubierać, naśladowały też zachowanie dam i powtarzały podsłuchane frazesy, ale pod tymi pozorami ogłady kryło się zaledwie tyle wiedzy, ile jej zaczerpnęły z lektury brukowców, z melodramatycznych widowisk, ze wszystkich bzdur obiegających paryskie ulice.

– Czy wiecie, że czupiradło ma dziecko? – powiedziała pewnego dnia Klara wchodząc rano do działu konfekcji. A widząc, że dziewczęta jej nie wierzą, dodała: – Widziałam na własne oczy wczoraj wieczorem, jak spacerowała z małym chłopczykiem!... Musiała go gdzieś oddać na wychowanie.

W dwa dni potem Małgorzata wracając z obiadu przyniosła nową plotkę.

– Ładna historia! Widziałam kochanka czupiradła... Wyobraźcie sobie, jakiś robotnik z żółtymi włosami, który czatował na nią z za szyby wystawy.

Odtąd nikt nie wątpił już o tym, że Denise ma kochanka, który był zwykłym robotnikiem, i że ukrywała gdzieś niedaleko swoje dziecko. Zaczęto dręczyć ją wstrętnymi aluzjami. Gdy zrozumiała je wreszcie, zbladła na myśl o potworności tych podejrzeń. Chciała usprawiedliwić się słysząc te ohydne plotki i wybełkotała:

– Ależ to są moi bracia!

– Tak, tak, bracia! – powiedziała Klara kpiącym tonem.

Pani Aurelia uznała za stosowne wmieszać się do rozmowy.

– Dajcie już spokój! Lepiej zajmijcie się zmianą kartek z cenami... Pannie Baudu wolno, jeżeli chce, źle się prowadzić poza magazynem. Żeby tylko tutaj przynajmniej pracowała solidnie.

Ta oschła obrona była właściwie potępieniem. Młoda dziewczyna czuła się tak wstrząśnięta, jakby zarzucano jej zbrodnię. Na próżno starała się wytłumaczyć, jak dalece przypuszczenia koleżanek są mylne. Wywołało to tylko śmiechy i wzruszenia ramion. Denise odczuła bardzo głęboko to krzywdzące podejrzenie, serce jej krwawiło jak otwarta rana. Gdy te wstrętne insynuacje dotarły do Deloche'a, był tak oburzony, że chciał spoliczkować panny z konfekcji; jedynie obawa skompromitowania Denise powstrzymała go od tego kroku. Od pamiętnego wieczora w Joinville Henryk żywił dla Denise uczucie uległej, niemal religijnej miłości, wyrażając ją spojrzeniem, jakim wiemy pies patrzy na swego pana. Dbali o to, aby nikt nie domyślił się ich przyjaźni, bo zaczęto by sobie kpić z nich obojga; mimo to w wyobraźni chłopca przesuwwały się sceny strasznej zemsty, jakichś porachunków na pięści, gdyby tylko ktoś ośmielił się wyrazić źle o Denise w jego obecności.

W końcu dziewczyna przestała odpowiadać na docinki. I tak nikt by jej nie uwierzył. Ilekroć któraś z koleżanek pozwalała sobie na jakąś nową aluzję, patrzyła jej tylko prosto w oczy, spokojnie i smutno. Miała zresztą wiele innych kłopotów, przede wszystkim materialnych, które absorbowały ją całkowicie. Janek w dalszym ciągu postępował nierozsądnie i dręczył ją wciąż nowymi prośbami o pieniądze. Rzadko mijał tydzień bez listu na cztery strony, w którym mieścił się opis jakiejś nadzwyczajnej historii, toteż gdy listonosz wręczał Denise koperty zaadresowane wielkim, zamaszystym pismem, chowała je czym prędzej do kieszeni, natychmiast bowiem koleżanki uśmiechały się do siebie znacząco lub podśpiewywały swawolnie. Później pod byle pretekstem wymykała się z działu, odczytywała list w jakimś kącie magazynu i wpadała w rozpacz: biedny Janek wydawał się jej stracony. Wierzyła wszystkim kłamstwom, przez nieświadomość wyolbrzymiając nawet niebezpieczeństwa wynikające z tych niewiarygodnych historii miłosnych. Janek zażądał raz dwufrankówki, aby uwolnić się od zazdrosnej kobiety, innym razem pięciu, a potem sześciu; miały one jakoby ratować honor biednej dziewczyny maltretowanej przez ojca. Wówczas Denise, której ani stała gaża, ani procenty nie wystarczały na pokrycie tych wszystkich wydatków, wpadła na pomysł, aby dorabiać poza godzinami pracy w magazynie. Zwierzyła się ze swoich kłopotów Robineau, który okazywał jej zawsze życzliwość od czasu pierwszego

spotkania w sklepie Vinçarda. Zastępca kierownika wystarał się dla niej o szycie krawatów, płatne po dwadzieścia pięć centymów za tuzin. Wieczorem od dziewiątej do pierwszej mogła uszyć sześć tuzinów, zarabiając w ten sposób półtora franka. Od tej sumy należało jeszcze potrącić dwadzieścia centymów za świecę. Frank trzydzieści dziennie wystarczał na pokrycie szaleństw Janka, ona zaś nie skarżyła się nigdy na brak snu i czułaby się zupełnie szczęśliwa, gdyby nowa katastrofa nie zachwiała jej budżetem. Pod koniec miesiąca, gdy zgłosiła się do pośredniczki zajmującej się wyrobem krawatów, zastała drzwi zamknięte; okazało się, że kobieta zbankrutowała, co uszczupliło budżet Denise o osiemnaście franków i trzydzieści centymów, sumę bardzo poważną, na którą bezwzględnie liczyła od tygodnia. Wobec tej klęski bladły wszystkie docinki w dziale konfekcji.

– Dlaczego jesteś taka smutna? – zapytała Paulina spotkawszy przyjaciółkę w dziale meblarskim. – Może potrzeba ci czegoś? Powiedz mi!

Ale Denise winna już była Paulinie dwadzieścia franków. Odpowiedziała więc usiłując się uśmiechnąć:

– Nie, dziękuję ci... Spałam tylko niezbyt dobrze.

Było to dwudziestego lipca, w okresie największego nasilenia zwolnień. Na czterystu pracowników Bourdoncle zdołał już wydalić pięćdziesięciu: chodziły słuchy o nowych redukcjach. Denise nie myślała jednak o niebezpieczeństwie grożącym jej w magazynie, pochłonięta nową przygodą Janka, groźniejszą niż wszystkie inne. Potrzeba mu było tego dnia koniecznie piętnastu franków, które miały go uratować od zemsty zdradzonego męża. Poprzedniego dnia Denise otrzymała list wyłuszczający cały dramat. Dzisiaj, jeden po drugim, nadeszły dwa inne: zwłaszcza ten ostatni, który właśnie kończyła czytać, gdy spotkała ją Paulina, przeraził ją najbardziej. Janek zapowiadał w nim swoją niechybną śmierć. Jeszcze tego samego wieczora, jeśli nie dostanie piętnastu franków. Denise zamartwiała się. Skąd wziąć pieniądze? Przed dwoma dniami zapłaciła właśnie za małego Pepi, nie mogła więc pożyczyć sobie z sumy przeznaczonej na ten cel. Wszystkie nieszczęścia zbiegły się jednocześnie. Miała jeszcze nadzieję, że Robineau potrafi odnaleźć pośredniczkę i pomoże w odzyskaniu osiemnastu franków i trzydziestu centymów, ale Robineau otrzymał dwutygodniowy urlop i, wbrew oczekiwaniom, jeszcze nie wrócił do pracy.

Paulina wypytywała ją serdecznie. Zazwyczaj gdy spotykały się, tak jak dziś, w głębi odległego działu, rozmawiały przez kilka minut, uważnie jednak rozglądając się, czy ich kto nie szpieguje. Nagle bieliźniarka zrobiła gest, jakby się chciała rzucić do ucieczki: zobaczyła biały krawat wychodzącego z działu szalów inspektora.

– Ach, to tylko papa Jouve – wyszeptała uspokojona. – Nie wiem, z czego on się śmieje,

jak nas widzi razem... Na twoim miejscu obawiałabym się jego zbytnej grzeczności. Mówię ci, to skończony drań. zły jak pies i zdaje mu się, że komenderuje jeszcze swoimi żołnierzami! Papa Jouve był znieawidzony przez wszystkich pracowników magazynu za surowość i bezwzględność, z jaką wykonywał swe obowiązki. Więcej niż połowa wydaleń spowodowana była jego raportami. Wielki, czerwony nos starego hulaki marszczył się mniej groźnie jedynie w działach, gdzie pracowały kobiety.

– Dlaczego miałabym się bać? – zapytała Denise.

– Mój Boże! – powiedziała Paulina śmiejąc się. – Może zażądać „zapłaty”... Już kilka panien kupiło sobie jego względy.

Jouve oddalił się udając, że ich nie widzi; usłyszały jego głos wymyślający jakiemś subiektowi z działu koronek za przyglądanie się koniowi; który padł na jezdni ulicy Neuve-Saint-Augustin.

– Ale, ale – zaczęła znów Paulina – czy nie widziałaś wczoraj Robineau? Wrócił już. Denise odetchnęła z ulgą.

– Dziękuję ci. Pójdę zaraz do działu jedwabi... Posłano mnie co prawda na górę, do pracowni, żebym przyniosła klin do sukni, ale co tam!

Rozstały się. Denise z zaaferowaną miną, tak jakby biegła od kasy do kasy w poszukiwaniu omyłki, dotarła do schodów i zeszła do hali jedwabi. Była za kwadrans dziesiąta i właśnie przed chwilą dzwoniło na pierwszą turę posiłku. Pałace słońce padało poprzez oszklony sufit i pomimo zasłon z szarego płótna nagrzewało nieruchome powietrze wnętrza. Chwilami rzeświejsze tchnienie unosiło się z podłogi, którą chłopcy sklepowi zraszali wąskimi strumieniami wody. Magazyn trwał w senności, letnia sješta panowała pośród na wpół opustoszałych kontuarów, które wyglądały jak kaplice drzemające w cieniu po ostatniej mszy. Sprzedawcy stali w postawie niedbalej, nieliczne klientki snuty się po galeriach, przechodząc przez halę ociężałym krokiem kobiet zmęczonych upałem.

Gdy Denise schodziła z piętra, Favier odmierzał właśnie lekki jedwab w różowe groszki na suknię dla Pani Boutarel, która zjechała do Paryża poprzedniego dnia wieczorem. Od początku tego miesiąca widziało się jedynie damy z prowincji, niegustownie ubrane, w żółtych szalach na ramionach, w zielonych spódnicach, uosobienie smaku prowincjonalnego. Znudzeni subiektci nie mieli nawet ochoty śmiać się. Favier odprowadził panią Boutarel do działu norymberszczyzny i wróciwszy powiedział do Hutina:

– Wczoraj były same Owernianki, dzisiaj same Prowansalki... Już mnie od tego głowa rozboleła.

Hutin pobiegł nagle do przodu. Właśnie nadeszła jego kolej sprzedaży, a w zbliżającej się

klientce poznał tę prześliczną blondynkę, „piękną panią”, którą cały dział tak nazywał, nie wiedząc o niej nic bliższego, nie znając nawet jej nazwiska. Wszyscy uśmiechali się do niej, przychodziła bowiem do magazynu „Wszystko dla Pań” prawie co tydzień i zawsze sama. Tym razem towarzyszył jej mały, czteroletni lub pięcioletni chłopczyk. Zaintrygowało to wszystkich.

– Czyżby była mężatką? – zapytał Favier, kiedy Hutin powrócił od kasy, gdzie zgłosił trzydzieści metrów jedwabiu.

– Możliwe – odparł zapytany – chociaż ten dzieciak niczego nie dowodzi. Może być synkiem przyjaciółki... Jedna rzecz jest pewna: to, że musiała płakać. Taka była smutna! I oczy miała czerwone.

Zapanowało milczenie. Obaj subiekci patrzyli gdzieś w głąb magazynu. bez celu. Potem Favier zaczął znów mówić rozwlekłym głosem:

– Jeśli jest mężatką, może dostała lanie od męża.

– Możliwe – powtórzył Hutin – ale równie dobrze mógł to zrobić kochanek. Zresztą nic mnie to nie obchodzi! – zakonkludował po chwili.

W tym momencie Denise przechodziła właśnie przez dział jedwabi zwalniając kroku i rozglądając się, aby znaleźć Robineau. Nie dostrzegłszy go poszła dalej, aż do działu płócien, po czym zawróciła i ponownie przeszła przez halę. Dwaj subiekci zauważyli jej manewr.

– Ta glista znowu się tu kręci – powiedział szeptem Hutin.

– Szuka Robineau – rzekł Favier. – Nie wiem, co oni tam mają za kombinacje. Z pewnością nic ciekawego, na to Robineau jest za głupi... Opowiadają, że jej nastreczył robotę krawatów. Co powiesz na takie pośrednictwo?

Hutin postanowił dokuczyć Denise. Kiedy dziewczyna przechodziła koło niego, zatrzymał ją mówiąc:

– Może pani mnie szuka?

Denise oblała się rumieńcem. Od wieczoru w Joinville nie śmiała zastanawiać się nad sobą, w sercu jej walczyły sprzeczne uczucia. Wciąż stała jej przed oczyma tamta ruda dziewczyna i jeśli teraz zadrżała na widok Hutina, to stało się to raczej z odrazy. Czy kochała go kiedykolwiek? Czy kochała go jeszcze? Nie chciała odgrzebywać tych starych spraw, których wspomnienie było dla niej nad wyraz przykre.

– Nie, proszę pana – odpowiedziała zakłopotana.

Wówczas Hutin zapragnął zabawić się jej kosztem.

– Jeśli pani sobie życzy, aby go pani podać... Favier, podajże pana Robineau.

Denise popatrzyła na Hutina takim samym smutnym i spokojnym wzrokiem, jakim zwykle

odpowiadała koleżankom z konfekcji na raniące ją aluzje. Ach, więc i on także był złym człowiekiem i dokuczał jej podobnie jak inni! Doznała jakiegoś rozdarcia, jakby pękło ostatnie łączące ją z nim ogniwo. Twarz dziewczyny wyrażała takie cierpienie, że Favier, mało wrażliwy z natury, przyszedł jej z pomocą.

– Pan Robineau jest w składzie – powiedział. – Wróci z pewnością na obiad... Znajdzie go pani po południu, jeżeli pani ma do niego interes.

Denise podziękowała i wróciła do konfekcji, gdzie pani Aurelia czekała na nią, wściekła. Jak to! Wyszła przecież przed półgodziną! Gdzie była! Na pewno nie w pracowni! Dziewczyna spuściła głowę myśląc, jak strasznie los ją prześladowuje. Co zrobi, jeśli nie znajdzie Robineau? Mimo wszystko postanowiła szukać go jeszcze po południu.

W dziale jedwabi powrót Robineau rozpętał prawdziwą rewolucję. Cały dział miał nadzieję, że już nie wróci, zniechęcony kłopotami, jakich mu przysparzano bez ustanku. Istotnie, w pewnej chwili, naglony przez Vinçarda, który chciał mu odstąpić swój sklep, Robineau omal nie doprowadził transakcji do skutku. Podziemna robota Hutina, mina założona od wielu miesięcy pod stopami zastępcy kierownika, miała wreszcie wybuchnąć. Hutin jako pierwszy subiekt zastępował Robineau podczas urlopu i silił się cały czas, aby zaszkodzić mu w oczach zwierzchników i wkręcić się na jego miejsce przez nadmierną gorliwość w pracy: wyciągał na światło dzienne drobne niedokładności, przedstawił jakieś projekty ulepszeń, pomysły nowych wzorów na materiały. Wszyscy zresztą w dziale jedwabi, od praktykanta, który marzył, aby awansować na subiekta, aż do kierownika działu, którego ambicją było zostać udziałowcem magazynu, myśleli tylko o tym, jak wysadzić z miejsca kolegę, zajmującego wyższe stanowisko, aby samemu posunąć się o szczebel na drabinie hierarchii kupieckiej i zniszczyć rywala, jeśli zajdzie potrzeba. Ta walka apetytów, ten napór jednych na drugich stanowił dowód dobrego funkcjonowania maszyny, ożywiając sprzedaż i zapalając płomień powodzenia, który zadziwiał paryżan. Za Hutinem stał Favier, za Favierem inni, ustawieni w kolejkę. Wszyscy ostrzyli sobie zęby, Robineau uważano już za straconego, podzielono się nawet jego kośćmi. Kiedy więc powrócił niespodziewanie, rozległ się szmer ogólnego niezadowolenia. Trzeba było raz z tym skończyć. Postawa subiektów wydała się kierownikowi działu tak niedwuznacznie wroga, że postanowił wystać Robineau do składu, aby zostawić dyrekcji trochę czasu na powzięcie postanowienia.

– Wolimy wszyscy odejść, jeżeli on ma zostać – oświadczył Hutin.

Cała ta sprawa denerwowała Bouthemonta. Pogodny z natury, nie lubił takich zatargów. Irytowało go, że wokół siebie napotykał same nachmurzone twarze, ale chciał być sprawiedliwy.

– Zostawcie go w spokoju. Przecież nie robi wam nic złego.

Wówczas podniosły się protesty.

– Jak to! Nie robi nic złego?... Jest nieznośny, stale rozdrażniony i taki dumny, że nikogo koło siebie nie widzi!

To było właśnie przyczyną urazy, jaką żywił do niego cały dział. Robineau miał nerwy rozklekotane jak kobieta i z tego powodu zachowywał się bardzo sztywno i był ogromnie drażliwy. Opowiadano na ten temat wiele anegdotek: jakiś chłopak aż się rozchorował z winy zastępcy kierownika, nawet klientki czuły się urażone jego ciętymi uwagami.

– Moi panowie – powiedział w końcu Bouthemont – nie mogę wziąć tego na swoją odpowiedzialność... Wspominałem już o tym dyrekcji, zaraz porozmawiam znowu.

Pierwsza tura skończyła właśnie posiłek; z suterenu dochodził odgłos dzwonka na drugą turę, daleki i stłumiony, głucho rozlegając się w nieruchomym powietrzu magazynu. Hutin i Favier zeszli na dół. Ze wszystkich działów schodzili się bezładnie subiekci, tłocząc się przy wejściu do wąskiego, wilgotnego korytarza kuchennego, w którym stale paliły się lampy gazowe. Spieszył tam cały tłum ludzi nie wymieniając między sobą ani jednego słowa, ani jednego uśmiechu, pośród wzrastającego hałasu naczyń i silnego zapachu potraw. Na samym końcu korytarza wszyscy zatrzymali się przed okienkiem. Kucharz mając pod ręką stosy talerzy, uzbrojony w widelec i łyżkę, którymi czerpał z mosiężnych rondli, wydawał porcje obiadowe. Gdy odsuwał się na chwilę od okienka, za jego białym fartuchem widać było rozpaloną płytę kuchenną.

– Do licha! – powiedział cicho Hutin czytając spis potraw wypisanych na tablicy ponad okienkiem. – Wołowina w ostrym sosie albo ryba morska... Nigdy nie widzimy pieczystego w tej wstrętnej budzie! To ich mięso rosółowe i ryba wcale nie sycą.

Na ogół ryba nie miała powodzenia, ogromny rondel był pełny. Favier skusił się na nią jednak. Za nim schylił się Hutin mówiąc:

– Wołowina w ostrym sosie.

Mechanicznym ruchem kucharz nadział na widelec kawałek mięsa, a następnie polał go łyżką sosu. Gorące powietrze buchające z okienka zatamowało Hutinowi oddech. Ledwie zdążył wziąć swój talerz, a już rozbrzmiewały na nowo wciąż powtarzane jak litania te same słowa:

„Wołowina w ostrym sosie... Wołowina w ostrym sosie... szybkim i rytmicznym ruchem dobrze wyregulowanego zegara kucharz bez ustanku nadziewał na widelec kawałki mięsa i polewał je sosem.

– Ta ryba jest zupełnie zimna – oświadczył Favier nie czując ciepła niesionego w ręce

talerza.

Posuwali się teraz gęsiego, niosąc ostrożnie w wyciągniętej ręce talerz, w obawie, aby nie potrącić sąsiada. Dziesięć kroków dalej znajdowało się drugie okienko mieszczące bufet ze świecą cynową ladą, gdzie były ustawione w równych rzędach porcje wina w małych nie zakorkowanych butelkach, jeszcze wilgotnych od mycia. Każdy z subiektów przechodząc sięgał wolną ręką po butelkę, po czym z poważną miną kierował się do swojego stołu starając się zachować równowagę.

Hutin mruczał pod nosem:

– Miła przechadzka z tym talerzem!

Hutin i Favier jadali w ostatniej salce, na końcu korytarza. Wszystkie sale miały podobny wygląd; były to dawne piwnice o jednakowym wymiarze: cztery na pięć metrów, otynkowane i urządzone jak jadalnie. Poprzez cienką warstwę żółtej zaprawy cementowej przesiąkała jednak wilgoć, tworząc na ścianach zielonkawe plamy. Z wąskich studziennych okienek, wychodzących na ulicę na poziomie trotuaru, padało blade światło dzienne, na którego tle migały cienie przechodniów. W tych salach – zarówno w lipcu, jak w grudniu – powietrze było tak duszne i parne, tak przesycone przyprawiającymi o mdłości zapachami pobliskiej kuchni, że można się było udusić.

Hutin wszedł pierwszy do sali. Na przykrytym ceratą stole, którego jeden koniec wmurowany był w ścianę, stały szklanki oraz leżały noże i widelce oznaczając poszczególne nakrycia. Stosy czystych talerzy piętrzyły się na każdym krańcu stołu; w samym środku leżał wielki, podłużny chleb, z wetkniętym weń nożem, którego trzonek sterczał do góry. Hutin postawił na stole butelkę i talerz, po czym wzięwszy z półki, stanowiącej jedyną ozdobę pustej ściany, swoją serwetkę, usiadł głęboko wzdychając.

– Pomimo wszystko chce mi się jeść! – mruknął pod nosem.

– Tak zawsze bywa – odezwał się Favier, który zajmował miejsce po lewej stronie kolegi.
– Kiedy się ma apetyt, to nie ma co jeść.

Stół zapelniał się szybko. Mieścił dwadzieścia dwa nakrycia. Zrazu słychać było jedynie szcęk widelców, łapczywe pochłanianie jadła przez tęgich chłopców o pustych, wygłodzonych po trzynastu godzinach codziennej pracy żołądkach. W pierwszym okresie istnienia magazynu subiecki podczas godzinnej przerwy obiadowej mogli wychodzić na kawę. Zjadali wtedy obiad w dwadzieścia minut, aby jak najprędzej wyjść na ulicę. Ale te spacerki rozpraszały ich uwagę, wracali do pracy roztargnieni, nie myśleli o tym, co robią. Po pewnym więc czasie zabroniono im wychodzić do miasta i odtąd mogli pić kawę tylko na miejscu, po piętnaście centymów za filiżankę. Toteż posiłek ciągnął się teraz nieskończenie

długo, gdyż żaden z subiektów nie miał ochoty wracać do pracy przed upływem oznaczonej godziny. Wielu z nich, połykając wielkie kęsy, czytało złożoną na pół i opartą o butelkę z winem gazetę. Inni, po zaspokojeniu pierwszego głodu, rozmawiali hałaśliwie, poruszając wiecznie aktualny temat złego wyżywienia, mówiąc o pieniądzach, o tym, jak spędzili niedzielę i jakie mają projekty na następną.

– A co z waszym Robineau? – zapytał Hutina jeden z subiektów. Walka sprzedawców jedwabi z zastępcą kierownika interesowała wszystkie działy. Była ona przedmiotem trwających aż do północy dyskusji w kawiarni „Świętego Rocha”. Hutin, który właśnie mocował się ze swoim kawalkiem wołowiny, odpowiedział tylko:

– Robineau wrócił. – Potem dodał wpadając nagle we wściekłość: – Do licha! Dali mi chyba kawalek ośliny!... To już zaczyna być oburzające, słowo daję!

– Nie skarż się – powiedział Favier. – Co ja mam powiedzieć? Zrobiłem straszne głupstwo biorąc tę rybę... Jest nieświeża.

Wszyscy mówili jednocześnie, oburzali się, żartowali. W samym kącie, koło ściany, siedział Deloche i jadł milcząc. Był obdarzony nadmiernym apetytem, którego nigdy nie mógł zaspokoić, a ponieważ zarabiał zbyt mało, aby móc sobie kupować nadprogramowe porcje, dopychał wielkimi kromkami chleba i zjadał z żarłocznością pełne talerze najmniej apetycznych potraw. Koledzy śmiali się z niego i teraz wołali głośno:

– Favier, daj swoją rybę Deloche’owi. Jemu i to będzie smakować.

– I twoje mięso także, Hutin. Deloche będzie miał z niego deser. Biedny chłopiec wrzusał ramionami i nawet nie odpowiadał. To nie była jego wina, że ciągle był głodny. Zresztą inni, choć pomstowali na to jadlo, i tak obżerali się do nieprzytomności.

Nagle lekki gwizd uciszył wszystkich. Był to umówiony znak, że w korytarzu zauważono Moureta i Bourdoncle’a. Od pewnego czasu skargi pracowników były tak częste, że dyrektor uważał za stosowne osobiście sprawdzić jakość posiłków. Za półtora franka, które właściciel magazynu dawał kierownikowi kuchni na wyżywienie jednej osoby, należało pokryć wszystkie koszty: produkty, węgiel, gaz, obsługę; ponadto dyrekcja okazywała naiwne zdziwienie, jeśli jedzenie nie było dobre. Właśnie tego dnia rano każdy dział wydelegował jednego z pracowników. Mignot i Liénard podjęli się mówić w imieniu kolegów. Zapanowała cisza, wszyscy nadstawili uszu, aby dosłyszeć rozmowę dochodzącą z sąsiedniej sali, gdzie weszli Mouret i Bourdoncle. Ten ostatni dowodził, że wołowina jest wyborna. Mignot oburzony zawołał: „Niech pan ją spróbuje zgryźć, to pan zobaczy!” Liénard zaś wskazując rybę powiedział: „Ależ ją czuć, proszę pana!” Wówczas Mouret zaczął rozpląwać się w serdecznych słowach: zrobi z pewnością wszystko dla dobra swoich pracowników, jest

przecież ich ojcem i woli sam jeść suchy kawałek chleba, niż miałby pozwolić, aby oni byli źle żywieni.

– Obiecuję wam zbadać całą sprawę – powiedział na zakończenie, podnosząc głos tak, aby być słyszonym we wszystkich salach.

Na tym skończyła się wizyta dyirekcji i na nowo rozległ się szczeł widelców. Hutin powiedział szeptem:

– Czekaj tatka latka!... Nie skąpią nam obietnic, nie ma, co! A tymczasem żywią nas starymi podeszwami i wyrzucają za drzwi jak psy!

Ten sam subiekt, który poprzednio już zagadnął Hutina, zapytał teraz znowu:

– Pan mówi, że Robineau...

Ale brzęk naczyń zagłuszył jego słowa. Subiektci sami zmieniali talerze. Stosy na dwu krańcach stołu zmniejszały się szybko. Pomocnik kucharza wniósł wielkie półmiski z blachy cynkowej. Na ich widok Hutin krzyknął:

– Ryż zapiekany! To już szczyt wszystkiego!

– Jest jak klej za dziesięć centymów! – powiedział Favier nakładając sobie na talerz.

Jedni lubili tę potrawę, inni uważali ją za zbyt kleistą. Niektórzy, zaczytani, milczeli, tak zatopieni w lekturze odcinka powieściowego gazety, że nie wiedzieli nawet, co jedzą. Wszyscy wycierali sobie czoła z potu, ciasna piwnica napełniła się rudym oparem; cienie przechodniów kładły czarne kreski na leżących w nieładzie nakryciach.

– Podajcie Deloche'owi chleb! – zawołał jakiś kpiarz.

Każdy z jedzących odkrawał sobie kawałek wbijając następnie w chleb nóż aż po trzonek; bochenek był w ciągłym ruchu.

– Kto chce wziąć moją porcję ryżu w zamian za deser? – zapytał Hutin.

Gdy dobił targu z małym, szczupłym młodzieńcem, chciał jeszcze prehandlować swoje wino, ale było tak obrzydliwe, że nikt się na nie nie skusił.

– Mówiłem już panu, że Robineau wrócił – podjął następnie wśród wzrastających wciąż śmiechów i rozmów. – Jego sprawa przedstawia się poważnie... Wyobraźcie sobie, że on demoralizuje panny sklepowe! Tak, tak, dostarcza im robotę krawatów.

– Cicho! – szepnął Favier. – Właśnie odbywa się nad nim sąd.

Kątem oka wskazywał Bouthemonta, który spacerował po korytarzu z Mouretem i Bourdoncle'em. Wszyscy trzej pogrążeni byli w ożywionej rozmowie, prowadzonej półgłosem. Sala jadalna kierowników działów i ich zastępców znajdowała się naprzeciwko, po drugiej stronie korytarza. Kiedy Bouthemont spostrzegł Moureta, skończywszy jeść wstał od stołu i zaczął opowiadać pryncypałowi o kłopotach, jakie miał w swoim dziale. Obaj

panowie słuchali wzdragając się jeszcze przed potępieniem Robineau, który był pierwszorzędnym starym subiektem, pamiętającym jeszcze czasy pani Hédouin. Kiedy jednak Bouthemont zaczął opowiadać historię następczej przez zastępcę kierownika roboty krawatów, Bourdoncle uniósł się gniewem. Czy ten człowiek jest niespełna rozumu, aby pośredniczyć w dostarczaniu nadprogramowej roboty pannom sklepowym? Firma dobrze opłaca pracę tych panien; jeśli szyją dodatkowo po nocach, muszą w ciągu dnia gorzej pracować w magazynie – to jasne; równa się to kradzieży, bo nadwężają zdrowie, które do nich nie należy. Noc jest po to, żeby spać; wszystkie powinny spać, w przeciwnym razie je przepędzi!

– Ależ tam gorąco! – zauważył Hutin.

Za każdym razem, kiedy trzech mężczyzn, spacerując po korytarzu, przechodzili przed drzwiami jadalni, subiecki przypatrywali się im uważnie, komentując najmniejsze gesty. Zapomnieli o zapiekany ryżu, w którym jeden z kasjerów znalazł właśnie guzik od spodni.

– Usłyszałem słowo „krawat” – powiedział Favier. – Czy widzicie, jak Bourdoncle’owi nagle pobladł nos?

Mouret podzielał oburzenie przyjaciela. Panna sklepowa, która musi pracować w nocy – to narażało na szwank organizację magazynu „Wszystko dla Pań”. Kim jest ta idiotka, która nie potrafi się utrzymać z zysków, jakie każdemu subiektowi następcza nowy system sprzedaży? Kiedy zaś Bouthemont wymienił nazwisko Denise, Mouret złagodniał i znalazł usprawiedliwienie jej postępku. Ach! To ta mała! Nie jest jeszcze bardzo zręczna, niewiele zarabia i ma, zdaje się, duże obowiązki. Bourdoncle przerwał mu oznajmiając stanowczo, że należy tę pannę zwolnić, i to natychmiast. Sprawdza się, co przepowiedział już od dawna, że nic dobrego nie będzie z podobnego brzydactwa; zdawało się, że mówiąc tak, daje upust jakiejś zadawnionej urazie. Wówczas Mouret zmieszał się i spróbował obrócić wszystko w żart. Mój Boże! Co to za straszny człowiek z tego Bourdoncle’a! Czy nie można chociaż raz przebaczyć? Trzeba będzie wezwać winowajczynię i porządnie zmyć jej głowę. W gruncie rzeczy całą winę ponosi Robineau, bo powinien był odradzić jej ten zamiar, jako dawny pracownik obeznany ze zwyczajami panującymi w firmie.

– Patrzcie! Teraz pryncypał się śmieje! – powiedział Favier zdziwionym tonem, patrząc na grupę panów przechodzących mimo drzwi jadalni.

– Ach, psiakość! – zaklął Hutin. – Jeśli się będą upierać, żeby nam wlepić tego Robineau, to my im pokażemy!

Bourdoncle popatrzył Mouretowi prosto w oczy. Potem zrobił ręką pogardliwy gest, jakby chciał powiedzieć, że nareszcie rozumie i że to jest strasznie niemądre. Bouthemont wywodził

w dalszym ciągu swoje żale: subiekci grozili, że porzucą pracę, a były między nimi pierwszorzędne siły. Co innego jednak zainteresowało obydwu panów. Chodziło o szerzące się plotki na temat dobrych stosunków Robineau z fabrykantem Gaujean: mówiono, że fabrykant namawia kierownika działu do założenia własnego sklepu w tej samej dzielnicy i ofiarowuje mu korzystne warunki kredytu, aby zwalczać magazyn „Wszystko dla Pań”. Zapanowało milczenie. Więc Robineau ma zamiar walczyć? Mouret spoważniał; udał, że mało sobie z tego robi, nie chciał powziąć decyzji, jakby ta sprawa nie miała żadnego znaczenia. To się jeszcze zobaczy, trzeba z nim będzie pogadać. I natychmiast zmieniając ton, zaczął żartować z Bouthemonta, którego ojciec poprzedniego dnia przyjechał niespodzianie do Paryża wprost ze swojego sklepiku w Montpellier i omal nie padł trupem ze zdziwienia i oburzenia na widok wielkiej hali jedwabi, gdzie królował jego syn. Śmiano się jeszcze z biedaczyny, który odzyskawszy w mąg tupet właściwy południowcom, zaczął wszystko krytykować i przepowiadać, że handel nowościami czeka w najbliższym czasie zupełna katastrofa.

– Właśnie idzie Robineau – powiedział cicho kierownik działu. – Posłałem go umyślnie do sklepu, aby uniknąć nieprzyjemnego konfliktu... Przepraszam, że taki nacisk kładę na tę sprawę, ale wobec wzburzenia pracowników trzeba coś postanowić.

Wracający z magazynu Robineau mijał ich właśnie z ukłonem, kierując się w stronę swojego stołu.

Mouret powtórzył tylko:

– Dobrze, zobaczymy.

Odeszli. Hutin i Favier wciąż jeszcze czekali na nich, a gdy przełożeni nie pokazali się już więcej, dali folgę oburzeniu. Czy przy każdym posiłku dyrekcja ma zamiar odwiedzać ich i liczyć zjedzone kąski? Ładna historia, jeśli nawet przy jedzeniu nie można będzie się czuć swobodniej! Powodem ich rozdrażnienia było właściwie to, że zobaczyli wracającego Robineau i że dobry humor pryncypała budził niepokój co do ostatecznego wyniku walki, jaką rozpętali. Zniżyli głos szukając nowych powodów do narzekań.

– Umieram z głodu! – zawołał głośno Hutin. – Wstając od stołu człowiek jest bardziej głodny niż przed obiadem!

Faktem było, że zjadł dwie porcje konfitur, swoją i kolegi, który zamienił się z nim na porcję ryżu. Zawołał na podającego:

– Niech tam! Zafunduję sobie jeszcze jedną nadprogramową porcję! Słuchaj, Wiktor, jeszcze raz konfitury.

Chłopiec kończył właśnie roznoszenie deseru. Przyniósł następnie kawę i pijący ją płacili

mu od razu po piętnaście centymów. Kilku subiektów wstało już od stołu i kręciło się po korytarzu w poszukiwaniu jakiegoś ciemnego kąta, gdzie by można wypalić papierosa. Inni, rozleniwieni, tkwili za stołem, na którym stały jeszcze brudne naczynia, siedzieli z uszami zaczerwienionymi od dusznego jak w łaźni gorąca, kręcili kulki z chleba i mówili ciągle o tym samym, nie czując już zapachu przypalonego tłuszczu. Z murów spływała para, pokryty pleśnią sufit zatruwał powoli płuca. Oparty o ścianę, opchany chlebem, Deloche trawił w skupieniu, z oczami utkwionymi w okienko. Jego ulubioną poobiednią rozrywką był widok spieszących po chodnikach nóg ludzkich Jakby uciętych w kostce, obutych w grube chodaki, eleganckie buciki, wykwintne damskie pantofle; za oknem przesuwiała się istna defilada żywych stóp pozbawionych korpusów i głów. W dni deszczowe obuwanie było bardziej brudne.

– Jak to już?! – zawołał Hutin.

Na końcu korytarza rozbrzmiał głos dzwonka; należało ustąpić miejsca trzeciej zmianie. Chłopcy kuchenni przynieśli całe wiadra ciepłej wody i wielkie gąbki, aby zmyć ceratę. Powoli sale wyludniały się, subiekci wracali do swoich działów opieszale wstępując po schodach. Szef kuchni znowu stanął na swoim miejscu w okienku, pomiędzy rondlami z rybą i wołowiną w sosie, uzbrojony w widelec i łyżkę, gotów do napełniania na nowo talerzy rytmicznym ruchem dobrze wyregulowanego zegara.

Hutin i Favier ociągali się z pójściem na górę. Na schodach spotkali schodzącą na posiłek Denise.

– Pan Robineau wrócił – powiedział Hutin z pełną szyderstwa grzecznością.

– Jest teraz na obiedzie – dodał drugi. – Jeśli pani bardzo już pilno, to może pani wejść.

Denise schodziła wciąż po schodach nie odpowiadając, nie odwracając nawet głowy. Gdy przechodziła koła jadalni kierowników i zastępców, nie mogła się powstrzymać, aby nie zajrzeć do środka. Rzeczywiście zobaczyła tam Robineau. Postanowiła rozmówić się z nim po południu; nie zatrzymując się więc, poszła dalej korytarzem w kierunku znajdujących się na samym końcu sal ekspedientek.

Kobiety jadały osobno w dwu specjalnie zarezerwowanych salach. Denise weszła do pierwszej z nich. Były to także dawne piwnice przerobione na sale jadalne, ale urządzone z większym komfortem. Pośrodku na owalnym stole mieściło się tylko piętnaście nakryć rozstawionych dość luźno, wino zaś było w karafkach; półmisek z rybą i półmisek z wołowiną stały po dwu końcach stołu. Kelnerzy w białych fartuchach usługiwali paniom, co oszczędzało im przykrości zabierania porcji wprost z okienka. Dyrekcja uważała, że tak będzie przyzwoiciej.

– Czy byłaś w dziale jedwabi? – zapytała siedząca już i krająca sobie kawałek chleba

Paulina.

– Tak – odpowiedziała czerwieniąc się Demse – odprowadzałam klientkę.

Nie mówiła prawdy. Klara szturchnęła łokciem sąsiadkę. Co się stało dzisiaj czupiradłu? Była jakaś dziwna. Dwa razy w ciągu dnia otrzymała listy od swojego kochanka; potem jak opętana biegała po całym magazynie pod pozorem jakichś interesów w pracowni, gdzie wcale nie zachodziła. Na pewno stało się coś nadzwyczajnego. Klara jadła rybę nie okazując żadnego wtrętu. Przyzwyczajona była w dzieciństwie do jedzenia zjełczałej słoniny. Opowiadała teraz o strasznym dramacie, którego opisy zajmowały całe szpalty brukowych dzienników.

– Czy czytałyście o tym człowieku, który brzytwą obciął głowę swojej kochance?

– Mój Boże! – zauważyła mała dziewczyna z działu bielizny, o łagodnej i delikatnej twarzy. – Przecież złapał ją na gorącym uczynku. Dobrze zrobił.

Paulina zaprotestowała. Jak to? Jeżeli kobieta przestała kochać mężczyznę, to on ma prawo poderznąć jej gardło? Niedoczekanie! Przerwała i zwróciła się do obsługującego chłopca:

– Piotrze, ta wołowina nosem mi już wyłazi... Powiedz no w kuchni, niech mi zrobią coś innego na mój rachunek, na przykład omlet, tylko niech będzie pulchny, jeżeli to możliwe!

Czekając na zamówioną potrawę, wyciągnęła z napchanych zawsze łakociami kieszeni pastylki czekoladowe, które zaczęła chrupać zagryzając chlebem.

– Oczywiście – podjęta Klara – taki zazdrosny mężczyzna to nie żarty! A są tacy! Któregoś dnia jakiś robotnik wrzucił żonę do studni.

Przez cały czas tej rozmowy nie spuszczała oczu z Denise. Widząc nagłą bladłość dziewczyny doszła do wniosku, że zgadła. Bez wątpienia ta świętoszka bała się, że kochanek spoliczkuje ją za zdradę, jakiej się wobec niego dopuściła. Byłoby śmieszne, gdyby dopadł ją właśnie w magazynie, a tak wyglądało, że tego się właśnie obawiała. Rozmowa zeszła na inne tory, któraś z ekspedientek podawała sposób wywabiania plam z aksamitu. Mówiono następnie o sztuce wystawionej w teatrze „Gaité”, gdzie prześliczne małe dziewczynki tańczyły lepiej od dorosłych. Paulina, zasmucona przez chwilę widokiem zbyt przypieczzonego omletu, poweselała, gdy okazało się, że w smaku był niezły.

– Podaj mi wino – powiedziała do Denise. – Powinnaś sobie też zamówić omlet.

– Ach, nie! Wystarczy mi mięso – odpowiedziała dziewczyna wystrzegając się zbytecznych wydatków i zadowolając choćby najgorszym wyżywieniem, jakie dawała firma.

Gdy kelner przyniósł zapiekany ryż, podniósł się ogólny protest. Nie ruszyły go przecież poprzedniego tygodnia i miały nadzieję, że nie podadzą go już więcej. Tylko Denise, zaprzątnięta swymi myślami, zaniepokojona o brata i wstrząśnięta historiami opowiadanymi

przez Klarę, nabrała na talerz i zjadła wzgardzoną przez koleżanki potrawę. Wszystkie panny patrzyły na nią z niesmakiem. Nastąpiła prawdziwa orgia nadprogramowych dań, ekspedientki objadały się konfiturami. Zresztą to należało do dobrego tonu, moda nakazywała jadać za własne pieniądze.

– Czy wiecie, że mężczyźni złożyli reklamację? – zapytała bieliźniarka o delikatnej twarzy. – Dyrekcja podobno obiecała...

Przerwano jej ze śmiechem i rozmowa potoczyła się teraz na temat dyrekcji. Wszystkie panny piły kawę, z wyjątkiem Denise, której rzekomo kawa nie służyła. Siedziały tak długo przed filiżankami: bieliźniarki jak skromne mieszczyki w wełnianych sukniach, panny z konfekcji w jedwabiach, z serwetkami pod brodą, aby nie poplamieć staników, niby damy, które zeszły do służbowego pokoju, aby zjeść obiad razem ze swymi pokojówkami. Otworzono małe piwniczne okienko, żeby wpuścić nieco świeżego powietrza do dusznej i przesyconej zapachem potraw sali: musiano je jednak zaraz zamknąć, bo turkot był tak ogłuszający, jakby dorożki jechały po stole jadalnym, a nie po jezdni.

– Cicho! – szepnęła Paulina. – Idzie ten stary zwierz!

W drzwiach stał inspektor Jouve. Właśnie pod koniec pory obiadowej włóczył się chętnie po jadalniach dla ekspedientek. Dozór tych sal należał zresztą do jego obowiązków. Uśmiechnięty, obszedł naokoło cały stół. Zadawał nawet pytania, chciał wiedzieć, czy obiad smakował. Panny jednak, ponieważ prześladował je i nudził, zaczęły wstawać od stołu i wychodzić, mimo że godzina przerwy obiadowej jeszcze się nie skończyła. Klara zniknęła pierwsza, za nią inne. Pozostały tylko Denise i Paulina. Bieliźniarka wypila kawę i kończyła chrupać pastylki czekoladowe.

– Wiesz co? – zaproponowała wstając. – Poślę chłopca po pomarańcze... Idziesz ze mną?

– Za chwilę – odpowiedziała gryząc skórkę chleba Denise, zdecydowała czekać jeszcze, aby móc złapać Robineau, kiedy będzie wchodził na górę.

Gdy pozostała jednak sama z inspektorem Jouve, poczuła się nieswojo. Stropiona, podniosła się od stołu. Jouve widząc, że kieruje się w stronę drzwi, zagroził jej drogę.

– Panno Baudu...

Stał naprzeciwko niej z ojcowskim uśmiechem na ustach. Długie, siwe wąsy i włosy przystrzyżone najeża nadawały mu wygląd starego, solidnego żołnierza. Podana naprzód pierś pyszniła się czerwoną wstążeczką orderu.

– O co chodzi, panie Jouve? – spytała zaniepokojona Denise.

– Widziałem panią dzisiaj znowu rozmawiającą na górze za dywanami. Pani wie, że tego zabrania regulamin, i gdybym złożył raport... Czy pani przyjaciółka Paulina bardzo panią

kocha?

Wąsy zaczęły się ruszać, a wielki nos, zapadnięty u nasady i garbaty, nieomylna cecha ognistego temperamentu, rozgorzał purpurą.

– Czemu wy się tak kochacie z Pauliną?

Denise znowu poczuła się nieswojo, nie rozumiała jednak sensu słów inspektora. Podszedł do niej bardzo blisko.

– To prawda, panie Jouve, rozmawialiśmy chwilę dziś rano – wybełkotała dziewczyna – ale to przecież nie jest nic złego... Dziękuję panu za dobroć...

– Nie powinienem być dobry – powiedział inspektor. – Znam tylko sprawiedliwość... Ale jeśli ktoś jest taki miłutki jak pani...

Podszedł jeszcze bliżej. Wówczas Denise zlekła się nie na żarty. Przypomniała sobie słowa Pauliny i historie, które opowiadano o ekspedientkach terroryzowanych przez inspektora, zmuszanych do opłacania jego życzliwości. Zresztą w magazynie Jouve zadowalał się niewinnymi z pozoru poufałościami, głaskał po twarzy grubymi paluchami policzki uległych pańien, ujmował je za ręce i nie wypuszczał ze swoich dłoni niby przez nieuwagę. To wszystko mieściło się jeszcze w granicach ojcowskich sentymentów, zwierzęce instynkty wyzwały się w nim dopiero poza magazynem, gdy ofiara zgodziła się przyjąć zaproszenie na tartynki do jego mieszkania przy ulicy Wróblej.

– Proszę, niech mnie pan zostawi – wyszeptła cofając się Denise.

– No, no – powiedział – nie będzie się chyba pani boczyć na przyjaciela, który panią zawsze ochrania... Niech pani będzie grzeczna i przyjdzie do mnie dziś wieczorem na tartynkę i szklanekę herbaty. Zapraszam panią z dobrego serca.

Teraz Denise zaczęła się bronić.

– Nie! Nie!

Jadalnia była pusta, sprzątający chłopiec nie pokazywał się. Jouve nasłuchując, czy nie odezwą się czyjeś kroki, obrzucił szybkim spojrzeniem całą salę; był bardzo podniecony, zapomniał zupełnie o zachowaniu własnej godności i nadużywając swej ojcowskiej poufałości objął Denise i chciał ją pocałować w szyję.

– Ty mała złośnico, małe dzikie zwierzątko... Gdy się ma takie włosy, czy można być taką niemądrą? Niechże pani przyjdzie dziś wieczór, tak dla zabawy.

Na widok tej rozpalonej twarzy, owiana gorącym oddechem mężczyzny, Denise straciła głowę w odruchu przerażenia i buntu. Nagle odepchnęła go tak silnie, że zachwiaił się i o mało nie upadł na stół. Na całe szczęście udało mu się oprzeć o krzesło; silnie trącona karafka z winem przewróciła się, czerwone krople opryskały biały krawat inspektora i zmoczyły

czerveną wstążeczkę. Stał tak przez chwilę nie próbując nawet obetrzeć ubrania i dławił się z wściekłości, zaskoczony tym gwałtownym oporem. Jak to! Wtedy, kiedy się niczego nie spodziewał, kiedy nie był przygotowany na podobny atak i jedynie dał się powodować swoim dobrym sercem!

– Ach, odpokutuje pani za to, daję pani słowo!

Denise uciekła. Właśnie rozległ się dzwonek. Zmieszana, cała drżąca, zapomniała o Robineau i wróciła do konfekcji. Potem nie śmiała już schodzić. Po południu słońce nagrzewało fasadę gmachu od strony placu Gaillon, więc w działach pierwszego piętra duszono się z gorąca pomimo zapuszczonych stor. Przyszło kilka klientek. Nic nie kupiły, ale obsługujące panny spocily się przy nich. Wszystkie ziewały na oczach pani Aurelii, która także walczyła z ogarniającym ją snem. Wreszcie koło trzeciej po południu Denise widząc, że kierowniczką drzemie, wymknęła się cicho i rozpoczęła swą wędrówkę po magazynie, niby czegoś szukając. Aby wprowadzić w błąd ciekawych, którzy mogli ją szpiegować, nie poszła wprost do działu jedwabi; udawała, że ma interes w dziale koronek, podeszła do Deloche'a, zapytała go o jakiś drobiazg; potem na parterze minęła norymberszczyznę i wchodziła właśnie do działu krawatów, gdy nagle stanęła jak wryta. Miała przed sobą Janka.

– Jak to? To ty? – powiedziała cicho, blada z przerażenia. Janek nie miał czasu zmienić swej roboczej bluzy, był bez czapki, jasne, kędzierzawe włosy spadały w nieładzie na dziecięcą, delikatną twarz. Stał koło gablotki z czarnymi krawatami i rozmyślał nad czymś poważnie.

– Co tu robisz? – zapytała siostra.

– Mój Boże! – powiedział – czekam na ciebie... Nie pozwalasz mi przychodzić. Mimo to wszedłem, ale nikomu nie powiedziałem po co.

Możesz być zupełnie spokojna. Jeśli chcesz, to udawaj, że mnie nie znasz.

Subiekci przyglądali się im ze zdziwieniem. Janek zniżył głos.

– Wiesz, chciała przyjść tu ze mną. Tak, jest tu, na placu przed fontanną... Daj mi prędko piętnaście franków albo jesteśmy zgubieni, jak amen w pacierzu!

Dziewczynę ogarnęło przerażenie. Wokoło nich rozległy się śmiechy, najwidoczniej przysłuchiwano się całej awanturze. Tuż za działem krawatów znajdowały się schody prowadzące do suterenu. Denise popchnęła tam brata i kazała mu zejść. Na dole opowiedział jej całą historię, zakłopotany, dobierając argumentów w obawie, że mówi nie dość przekonywająco.

– Te pieniądze nie są dla niej. Jest na to zbyt dystygowana... Tym bardziej nie dla męża, on sobie kpi z piętnastu franków! Nawet za cenę miliona nie pozwolilby, aby jego żona... Czy

mówiłem ci, że to jest fabrykant kleju? To bardzo porządni ludzie... Nie, te pieniądze są mi potrzebne dla tego łajdaka, jej przyjaciela, który nas widział i, rozumiesz.? Jeżeli mu dziś wieczór nie dam piętnastu franków...

– Dosyć – wyszeptała Denise. – Przestań na chwilę... Idź dalej.

Znajdowali się w biurze ekspedycji. Martwy sezon podziałął usypiająco na obszerną piwnicę, oświetloną mdłym światłem sączącym się z małych okienek. Panował tam chłód, ze sklepienia spływała cisza. Jeden z chłopców sklepowych zabierał z segregatora kilka paczek, które należało odesłać w okolice kościoła Świętej Magdaleny. Na wielkim stole rozdzielczym siedział kierownik biura, Campion, kołysząc nogami i patrząc przed siebie.

Janek zaczął na nowo:

– Mąż, który ma wielki nóż...

– Idź dalej – powtórzyła Denise ciągle go popychając.

Szli wzdłuż wąskich korytarzy, gdzie stale palił się gaz. Na prawo i lewo. w głębi ciemnych piwnic widniały zarysy towarów, nagromadzonych za barierami z drzewa. Denise zatrzymała się koło jednej z tych zagród. Tutaj już chyba nikt ich nie zobaczy; regulamin zabraniał co prawda kręcić się tu i dziewczynę przeszedł dreszcz strachu.

– Jeśli ten łajdak wygada – opowiadał dalej Janek – to mąż, który ma duży nóż...

– Skąd ja mam dla ciebie wziąć piętnaście franków? – zawołała Denise zrozpaczona. – Czy ty nigdy nie nauczysz się rozumu? Ciągłe zdarzają ci się nadzwyczajne historie!

Janek uderzył się w piersi. On sam już nie wiedział, co było prawdą w tych romantycznych fantazjach, które opowiadał siostrze. Po prostu ubierał w dramatyczne akcesoria swoje apetyty pieniężne. Zmyślał, by zdobyć gotówkę na jakiś nie cierpiący zwłoki wydatek.

– Przysięgam ci na wszystko, co mam najświętszego, że tym razem mówię prawdę. Trzymałem ją, ot tak. a ona mnie całowała...

Siostra kazała mu znowu milczeć, zagniewana, zgnębiona, doprowadzona do ostateczności.

– Nie chcę wcale wiedzieć. Zachowaj dla siebie szczegóły twojego złego prowadzenia się. To jest obrzydliwe, słyszysz?... Dręczysz mnie co tydzień, a ja się zabijam, żeby zarobić pieniądze. które ci dają. Tak. pracuję po nocach... Nie mówiąc już o tym. że odbierasz twojemu bratu chleb od ust.

Janek stał z otwartymi ustami i pobladłą twarzą. Jak to? Czy zrobił coś złego? Nie rozumiał tego zupełnie; od czasów dzieciństwa traktował siostrę jak kolegę i zdawało mu się naturalne, że zwierzał się jej ze wszystkim. Najbardziej jednak zaskoczyła go wiadomość, że siostra pracuje po nocach. Myśl. że zabijał ją i objadał małego Pepi, wstrząsnęła nim, zaczął

płakać.

– Masz rację, jestem ostatni drań! – wołał. – Ale to wcale nie jest obrzydliwe, żebyś wiedziała! Przeciwnie, i dlatego wciąż zaczyna się na nowo... Widzisz, ona ma już dwadzieścia lat. Śmieje się ze mnie. ponieważ mam dopiero siedemnaście... Mój Boże! Jaki ja jestem wściekły na siebie! Zbiłbym siebie samego na kwaśne jabłko! – Pochwyciwszy rękę siostry. całował je i oblewał łzami. – Daj mi te piętnaście franków, to już ostatni raz. przysięgam ci... Albo nie! Nie dawaj mi nic. wolę umrzeć. Jeśli jej mąż mnie zamorduje, to przynajmniej nie będę dla ciebie ciężarem. – A ponieważ i ona także płakała, Janek poczuł wyrzuty sumienia. – Mówię tak. ale nie wiem nic pewnego. Może on nie ma zamiaru nikogo zabijać... Damy sobie jakoś radę, siostrzyczko, przyrzekam ci. Do widzenia, już idę.

W tym momencie zaniepokoił ich odgłos kroków na końcu korytarza. Denise pociągnęła brata w ciemny kąt koło składu. Przez chwilę słyszeli tylko syczenie gazowej lampy wiszącej tuż koło nich. Potem odgłos kroków stał się wyraźniejszy. Wychyliwszy głowę Denise spostrzegła sztywną postać inspektora Jouve. który szedł tym samym korytarzem. Czy przechodził przypadkiem? Może inny nadzorca pełniący służbę przy drzwiach wejściowych zdążył go już uprzedzić? Przestraszyła się tak bardzo, że straciła zupełnie głowę; wypchnęła Janka poza płamę cienia, gdzie się ukrywali, i popędzając go przed sobą mówiła urywanym głosem:

– Idź, idź już sobie!

Oboje pędzili co tchu, słysząc tuż za sobą zdyszany oddech papy Jouve, który ich gonił. Przebiegli znowu biuro ekspedycji i dotarli do schodów, których oszklona klatka wychodziła na ulicę Michodiére.

– Idź sobie! – powtarzała Denise. – Idź sobie!... Jeżeli będę mogła, przyślę ci te piętnaście franków.

Wystraszony Janek uciekł. Zasapany inspektor zdołał, nadbiegając, spostrzec zaledwie rąbek białej bluzy i jasne loki rozwiewające się na wietrze. Przez chwilę dyszał starając się odzyskać godną postawę. Miał na szyi nową, błyszczącą śnieżną białą krawatę, która pochodziła wprost z działu bielizny.

– To tak, panno Baudu, ładne rzeczy – powiedział drżącymi wargami. – Tak, to ładnie, bardzo ładnie... Jeżeli pani myśli, że ja będę tolerował podobne historie w sutenach...

Ścigał ją tymi słowami, gdy wchodziła na schody, z gardłem ściśniętym z wrażenia, nie znajdując ani słowa na swoją obronę. Wyrzucała sobie teraz, że tak biegła. Trzeba było wytłumaczyć, przedstawić brata. Znowu będą sobie wyobrażać Bóg wie co; nic nie pomogą jej zaklęcia, nikt jej nie uwierzy. Zapomniała teraz o Robineau i skierowała się wprost do

swojego działu.

Nie tracąc ani chwili Jouve udał się do biura dyrekcji, aby złożyć raport, ale chłopiec sklepowy powiedział mu, że dyrektor rozmawia już od kwadransa z panami Bourdoncle i Robineau. Drzwi były zresztą tylko przymknięte; dobiegał spoza nich głos Moureta pytającego wesoło zastępcę kierownika działu, czy dobrze spędził urlop. Nie było zupełnie mowy o zwolnieniu, rozmowa toczyła się na temat wprowadzenia pewnych zmian w dziale jedwabi.

– Czego sobie pan życzy, panie Jouve? – zapytał Mouret. – Niech pan wejdzie.

Lecz instynkt ostrzegł inspektora przed rozmową z pryncypałem. Bourdoncle wyszedł właśnie z gabinetu, wolał więc jemu wszystko opowiedzieć. Szli powoli wzdłuż galerii z szalami, jeden, nachylony, mówił cicho, a drugi słuchał uważnie, z nieruchomą, surową twarzą, z której nie można było wyczytać wrażenia, jakie na nim wywarło opowiadanie inspektora.

– Dobrze – powiedział Bourdoncle.

Ponieważ doszli właśnie do konfekcji, wszedł do środka. Akurat w tym momencie pani Aurelia strofowała Denise. Gdzie znów była? Tym razem nie może się tłumaczyć, że chodziła do pracowni. Te wieczne przechadzki nie będą już dłużej tolerowane.

– Pani Aurelio! – zawołał Bourdoncle.

Był zdecydowany przeprowadzić sprawę na własne ryzyko i nie chciał pytać o decyzję Moureta obawiając się jego słabości. Kierowniczką podeszła. Przyciszonym głosem powtórzył historię Denise. Cały dział wyczekiwał, wietrząc katastrofę. W końcu pani Aurelia odwróciła się z uroczystą miną.

– Panno Baudu... – Na jej rozlanej, pełnej majestatu twarzy malował się kamienny spokój, godny władczyni. – Proszę do kasy!

Straszne słowo zabrzmiało donośnie w opustoszałym salonie. Denise stała wyprostowana i błada. Po chwili wykrztusiła:

– Ja? Ja?... Dlaczego? Co ja zrobiłam złego?

Bourdoncle odpowiedział twardo, że wie dobrze dlaczego i że lepiej zrobi nie żądając wyjaśnień; wspomniał o szyciu krawatów i dodał, że ładnie by wyglądał magazyn, gdyby wszystkie panny chciały spotykać się z mężczyznami w suterrenach.

– Ależ to mój brat! – zawołała Denise dotknięta do żywego. Małgorzata i Klara parsknęły śmiechem, a pani Frederic, zwykle tak dyskretna, potrząsnęła z niedowierzaniem głową. Zawsze ten brat! To w końcu staje się zabawne! Wówczas Denise popatrzyła na nich wszystkich: Bourdoncle, który od pierwszej chwili był przeciwko niej, Jouve w roli świadka,

od którego nie oczekiwała sprawiedliwości, potem te dziewczyny, których przez dziewięć miesięcy nie zdołała rozbroić swym uśmiechem, te dziewczyny szczęśliwe teraz, że mogą ją wypchnąć na ulicę. Po co jeszcze się bronić? Po co narzucać się, skoro jej nie chcą? I odeszła nie mówiąc już nic więcej, nie pożegnała nawet ostatnim spojrzeniem tego salonu, gdzie tak długo walczyła.

Ale gdy stanęła przed balustradą hali, serce jej ścisnął gwałtowny ból. Nikt jej nie kochał. Nagle wzburzyła ją myśl o Mourecie. Rezygnacja prysła. Nie! Nie mogła zgodzić się na taką odprawę. Mouret gotów jeszcze uwierzyć w tę całą wstrętną historię, w tę schadzke z mężczyzną! Na myśl o tym ogarniał ją wstyd, dziwny niepokój, którego jeszcze dotąd nie znała.

Chciała zaraz pójść do Moureta, aby wytłumaczyć, jak się faktycznie rzecz miała; wówczas będzie już mogła odejść i wszystko jej będzie jedno. I dawny strach, który przejmował ją dreszczem w jego obecności, przeobraził się nagle w gorące pragnienie, aby raz jeszcze spojrzeć mu w twarz. Nie może opuścić firmy nie zapewniwszy Moureta, że nie należała nigdy do nikogo.

Dochodziła piąta i magazyn nabierał trochę życia w rzeświejszym nieco, wieczornym powietrzu. Denise szybko skierowała się do biura dyrekcji, ale kiedy stanęła przed drzwiami gabinetu, opanowało ją znowu zniechęcenie i smutek. Czuła, że nie będzie mogła wykrztusić słowa, cały ciężar życia zwałił jej się znów na ramiona. Nie uwierzy i będzie się śmiał tak jak inni. To odebrało jej wszelką otuchę. Wszystko skończone, lepiej jej będzie samej, gdy zniknie, gdy umrze. Nie uprzedzając nawet Deloche'a ani Pauliny poszła wprost do kasy.

– Należy się pani – powiedział urzędnik – osiemnaście franków siedemdziesiąt centymów za dwadzieścia dwa dni, do tego dochodzi siedem franków procentu i tantiemy... Zgadza się?

– Tak, dziękuję...

Gdy Denise odeszła z pieniędzmi od kasy, spotkała Robineau. Wiedział już o jej wydaleniu i obiecał odnaleźć pośredniczkę, która dawała krawaty do szycia. Pocieszał ją po cichu i unosił się gniewem: „Co za podłe życie! Być zależnym od kaprysu! Być wydalonym z godziny na godzinę i nie móc nawet żądać wypłaty pensji do końca miesiąca!” Denise poszła na górę, aby uprzedzić panią Cabin, że postara się zabrać swoją walizkę jeszcze tego samego dnia wieczorem. Biła piątą, gdy znalazła się na chodniku od strony placu Gaillon, oszołomiona, wśród dorożek i tłumu.

Wieczorem, gdy Robineau – wrócił do domu, zastał list od dyrekcji zawiadamiający go w czterech linijkach, że z powodu reorganizacji wewnętrznej firma jest zmuszona zrezygnować z jego współpracy. Robineau pracował w magazynie od siedmiu lat; tego samego jeszcze dnia

po południu rozmawiał z przełożonymi; był to więc dla niego cios, jakby dostał pałką po głowie. Hutin i Favier śpiewali pieśń zwycięstwa w dziale jedwabii równie głośno, jak Małgorzata i Klara triumfowały w konfekcji. Doskonała czystka. Miotła robi więcej miejsca dla innych! Jedynie Deloche i Paulina, gdy spotkali się wśród ogólnego gwaru, zamienili ze sobą kilka gorzkich słów, żałując łagodnej i uczciwej Denise.

– Ach! – mówił młody człowiek – gdyby jej się powiodło w życiu, chciałbym, żeby wróciła tutaj i oddała za wszystko tym łajdakom.

Gniew Moureta za wydalenie Denise spadł na głowę Bourdoncle'a. Gdy dyrektor dowiedział się o tym, co zaszło, wpadł w pasję. Zazwyczaj bardzo mało zajmował się personelem. Tym razem jednak udawał, że w tym fakcie widzi naruszenie swej władzy, chęć pominięcia go w ważnej decyzji. Czy nie jest tutaj panem, że pozwalają sobie wydawać rozkazy poza jego plecami? O wszystkim powinien wiedzieć, a jeśli ktokolwiek zechce mu się przeciwstawić, to złamie go jak kruchą słomkę. Potem, gdy przeprowadził sam dochodzenie, owładnięty jakimś nerwowym rozstrojem, którego nie umiał ukryć, wpadł znowu w gniew. Ta biedna dziewczyna nie kłamała, to był naprawdę jej brat. Champion poznał go. Po co więc było ją wydalać? Mówił nawet o przyjęciu jej na nowo. Bourdoncle stosując taktykę biernego oporu, giął kark przed nawałnicą. Obserwował Moureta. W końcu pewnego dnia, gdy zobaczył, że pryncypał jest spokojniejszy, ośmielił się powiedzieć znaczącym tonem:

– Dla wszystkich jest lepiej, że jej nie ma.

Mouret zmieszał się i krew uderzyła mu do głowy.

– Rzeczywiście – odpowiedział śmiejąc się – może masz i rację... Chodźmy zobaczyć, jak idzie sprzedaż. Obroty znów rosną, w kasie było wczoraj prawie sto tysięcy franków.

VII

Denise stała przez chwilę oszołomiona na chodniku, w palącym jeszcze popołudniowym słońcu. Lipiec osuszył rynsztoki. Cały Paryż tonął w oślepiająco jasnym blasku lata. Katastrofa nastąpiła tak nagle, wyrzucono ją tak brutalnie, że obracając machinalnie palcami w głębi kieszeni swoje dwadzieścia pięć franków siedemdziesiąt, zadawała sobie pytanie, dokąd iść i co robić.

Szereg dorożek stojących przed magazynem „Wszystko dla Pań” zagradzał jej drogę. Kiedy odważyła się wreszcie przejść między kołami, przecięła na ukos plac Gaillon kierując się w stronę ulicy Louis-le-Grand; po chwili rozmyśliła się i poszła w kierunku ulicy Świętego Rocha. Wciąż jeszcze nie miała żadnego planu: zatrzymała się na rogu z niezdecydowaną miną, rozejrzawszy się wokoło skrzyżowała w ulicę Neuve-des-Petits-Champs. Kiedy następnie natknęła się na pasaż Choiseul, poszła tamtędy i nagle znalazła się na ulicy Monsigny, a potem znów na ulicy Neuve-Saint-Augustin, sama nie zdając sobie sprawy, jak i którędy tu przyszła. W głowie czuła zamęt. Na widok posłańca przyszła jej na myśl walizka. Ale do kogo ją zanieść i w ogóle skąd wzięło się to nowe zmartwienie? Przecież jeszcze przed godziną miała swoje łóżko i wiedziała, gdzie będzie spać w nocy.

Podniosła oczy w górę i zaczęła przypatrywać się domom. Czytała napisy. Widziała je niewyraźnie, bo bez ustanku chwytał ją wewnętrzny dreszcz przerażenia. Czy to możliwe? W jednej chwili została sama, zagubiona w tym wielkim, obcym mieście, bez oparcia, bez środków do życia! Trzeba przecież coś jeść i gdzieś spać. Ulice przesuwaly się przed jej oczami jedna za drugą; ulica des Moulins, później Świętej Anny. Krążyła po całej dzielnicy, wracając ciągle na to samo, dobrze jej znane skrzyżowanie. Nagle zatrzymała się zdumiona: znalazła się znów przed magazynem „Wszystko dla Pań”. Aby uciec od tego prześladowającego ją widoku, rzuciła się w ulicę Michodiére.

Na szczęście stryja Baudu nie było we drzwiach wejściowych. Stary sklep wydawał się zamary poza swymi czarnymi witrynami. Nigdy nie odważyłaby się iść do stryja, który udawał ostatnio, że jej nie poznaje. Nie chciała być mu ciężarem, zwłaszcza teraz, gdy spotkało ją nieszczęście, które jej kiedyś przepowiadał. Ale po drugiej stronie ulicy dostrzegła pożółkłą kartę: „Pokój umeblowany do wynajęcia”. Było to pierwsze ogłoszenie, które wydawało jej się odpowiednie do jej środków, bo dom wyglądał bardzo nędznie. Poznała go zresztą. Miał dwa niskie piętra, fasadę w kolorze rdzy i był wciśnięty między magazyn „Wszystko dla Pań” i pałac Duvillard. Na progu sklepu z parasolami stary Bourras, obrośnięty i brodaty jak prorok, z okularami na nosie, przypatrywał się lasce z gałką z kości słoniowej. Był głównym lokatorem całego domu i odnajmował pokoje umeblowane na pierwszym i drugim piętrze, aby zmniejszyć koszty komornego.

– Czy pan ma pokój do wynajęcia? – zapytała Denise ulegając jakiemuś impulsowi.

Podniósł na nią wielkie, ukryte pod krzaczastymi brwiami oczy i zdziwił się. Znał wszystkie panny z magazynu „Wszystko dla Pań”. Popatrzywszy chwilę na jej czystą sukienkę i na uczciwy wygląd odpowiedział:

– To nie jest pokój odpowiedni dla Pani .

– Ile kosztuje? – zapytała Denise.

– Piętnaście franków miesięcznie.

Wówczas dziewczyna wyraziła chęć zobaczenia pokoju. W ciasnym sklepie Bourras patrzył na nią ciągle zdziwionym wzrokiem. Opowiedziała mu więc, że straciła pracę w magazynie i że nie chce robić kłopotu stryjowi. Starzec poszedł w końcu po klucz, który leżał na półce w ciemnym pokoju za sklepem, gdzie Bourras gotował sobie i sypiał. Poprzez zakurzone okienko tej nory widać było tonące w zielonawym mroku wewnętrzne, szerokie zaledwie na dwa metry podwórko.

– Pójdę przodem, aby pani nie upadła – powiedział Bourras, gdy znaleźli się w wilgotnej sionce ciągnącej się wzdłuż sklepu.

Potknął się o stopień i wszedł na schody, wciąż powtarzając ostrzeżenia:

„Uwaga! Poręcz znajduje się przy ścianie, na zakręcie jest dziura, a tu stoją skrzynki na śmieci”. Denise, idąc w całkowitej ciemności, nic nie widziała, czuła tylko na twarzy chłód starych, wilgotnych murów. Dopiero na pierwszym piętrze znajdowało się okienko wychodzące na podwórze. W nikłym świetle zdołała z trudem dostrzec wykrzywione schody, czarne od brudu ściany, popękane i odrapane drzwi.

– Gdyby przynajmniej jeden z tych dwu pokoi był wolny! – zaczął znowu Bourras. – Byłoby pani tu wygodnie... Ale te pokoje są zawsze zajęte przez pewne panie.

Na drugim piętrze było już jaśniej i widać było wyraźnie ruinę lokalu. Pierwszy pokój zajmował pomocnik piekarza; drugi znajdujący się w głębi, był wolny. Kiedy Bourras otworzył, musiał sam cofnąć się na korytarz, aby Denise mogła rozejrzeć się swobodnie. W rogu przy drzwiach stało łóżko, zostawiając tak wąskie przejście, że mieściła się w nim tylko jedna osoba. W drugim końcu znajdowała się mała orzechowa komoda, stół z poczerńiałej sośniny i dwa krzesła. Jeśli chciało się coś ugotować, trzeba było klękać przed kominkiem, w którym urządzono gliniane palenisko.

– Mój Boże! – mówił starzec – wiem, że tu jest ubogo, ale z okna jest wesoły widok, widać ludzi na ulicy.

Pochwyciwszy zdumione spojrzenie Denise, która patrzyła na róg sufitu nad łóżkiem, gdzie jakaś przybyła w odwiedziny dama wypisała, wodząc zapaloną świecą, swoje imię: „Emestyna” – starzec powiedział dobrodusznie:

– Jesliby się chciało odnawiać te pokoje, to nigdy by człowiek nie wyszedł na swoje... Zresztą nie ma innego pokoju.

– Będzie mi tu bardzo dobrze – oświadczyła dziewczyna.

Zapłaciła za miesiąc z góry, poprosiła o bieliznę pościelową, dwa prześcieradła i dwa ręczniki, i od razu posłała łóżko, czując się szczęśliwa, uspokojona świadomością, że ma gdzie spać tej nocy. W godzinę później kazała posłańcowi przynieść swoją walizkę. W ten sposób wszystko było załatwione.

Najpierw były dwa miesiące biedy. Nie mogła płacić za małego Pepi, wzięła więc dziecko do siebie i urządziła mu posłanie na starym fotelu pożyczonym przez Bourrasa. Potrzeba jej było dokładnie półtora franka dziennie razem z komornym; sama żyła suchym chlebem, aby dać kawałek mięsa dziecku. Przez pierwsze dwa tygodnie jakoś sobie dawała radę; rozpoczęła gospodarstwo z dziesięcioma frankami w kieszeni, potem odnalazła pośredniczkę, dla której szyla krawaty, a ta zapłaciła należne Denise osiemnaście franków trzydzieści. Później jednak zaczęła się zupełna nędza. Zgłaszała się na próżno do różnych magazynów: „Na Placu Clichy”, do „Bon Marche”, do „Luwru”; martwy sezon powodował zastój, obiecywano jej miejsce na jesieni. Przeszło pięć tysięcy subiektów podobnie jak ona szlifowało bruki poszukując pracy. Wówczas starała się zdobyć jakieś drobne, dorywcze zajęcie, ale nie znając zupełnie Paryża nie wiedziała, dokąd się zwrócić. Przyjmowała robotę, która się nie opłacała i nie zawsze otrzymywała zapłatę. Czasami dawała zupę tylko małemu Pepi, mówiąc mu, że sama jadła na mieście; kładła się wówczas do łóżka z szumem w uszach, z rozpalonym ciałem. Gdy Janek przychodził w okresie tej wielkiej biedy, w gwałtownych wybuchach rozpaczki oskarżał się, że jest zbrodniarzem. Denise zmuszała się do kłamstwa i potrafiła

czasem wsunąć mu jeszcze do ręki dwufrankówkę, aby mu dowieść, że miała oszczędności. Nigdy też nie płakała w obecności braci. Czasem w niedzielę, gdy mogła upiec kawałek cielęciny w kominku, klęcząc na kamiennej posadzce, ciasny pokój rozbrzmiewał radością chłopców nie troszczących się o dzień jutrzejszy. Potem, gdy Janek wracał do swojego majstra a mały Pepi zasnął, Denise spędzała straszną noc w trosce o dzień następny.

Prócz tego inne jeszcze zmartwienia nie dawały jej spać. Obie damy z pierwszego piętra przyjmowały wizyty do późna w nocy, czasami jakiś mężczyzna mylił się i walił pięściami w jej drzwi. Bourras radził w takich wypadkach nie odpowiadać, więc Denise chowała głowę pod poduszkę, aby nie słyszeć przekleństw. Poza tym jej sąsiada, piekarza, trzymały się głupie żarty. Wracał do domu rano z pracy i śledził ją, gdy wychodziła po wodę. Wiercił nawet dziury w cienkiej ścianie i podpatrywał, gdy się myła. Denise była zmuszona zakrywać ścianę ubraniem. Najdotkliwiej jednak cierpiała z powodu ustawicznego natręctwa i zaczepek przechodniów na ulicy. Nie mogła zejść do sklepiku po świecę, aby na błotnistym chodniku, po którym włóczyli się najrozmaitsi wykolejeńcy starej dzielnicy, nie zetknąć się z gorącym oddechem, niedwuznacznymi propozycjami; mężczyźni ścigali ją aż do ciemnej sieni, rozzuchwaleni podejrzanym wyglądem domu. Dlaczego nie miała kochanka? Dziwiło to wszystkich, wydawało się śmieszne. I tak któregoś dnia będzie musiała ustąpić. Sama nie mogła sobie wytłumaczyć, jak udało jej się dotąd stawić czoło niebezpieczeństwu mimo groźby głodu, mimo pożądań, które ją zewsząd otaczały.

Pewnego wieczora, kiedy Denise nie miała nawet chleba na zupę dla małego Pepi, jakiś pan z orderami na piersi przyczepił się do niej i nie chciał odejść. Przed wejściem do sionki zaczął ją brutalnie napastować i Denise w porywie wstrętu zatrzasnęła mu bramę przed nosem. Na górze, w swoim pokoju, opadła na łóżko. Ręce jej drżały. Mały spał. Co mu powie, gdy obudzi się i zechce jeść? A przecież jedno słowo byłoby wystarczające. Skończyłaby się nędza, miałyby pieniądze, suknie, piękny pokój. To było takie łatwe; mówiono, że wszystkie to przechodzą, bo kobieta w Paryżu nie może się utrzymać z własnej pracy. Ale cała jej istota protestowała przeciwko temu. Nie potępiając innych, sama broniła się po prostu instynktownie przed brudem moralnym i popełnieniem jakiegoś nierozważnego kroku. Denise kierowała się w życiu logiką, rozsądkiem i odwagą.

Wiele razy analizowała w podobny sposób swoje postępowanie. W pamięci jej pozostała stara piosenka o narzeczonej marynarza, którą miłość strzegła od niebezpieczeństw, gdy czekała na ukochanego. W Valognes często nuciała sentymentalny refren patrząc w puste ulice. Czyżby i ona miała jakąś miłość w sercu, że była taka dzielna? O Hutinie myślała czasem, ale z niesmakiem. Co dzień widziała, jak przechodził pod jej oknem. Teraz, gdy był

zastępcą kierownika, trzymał się z dala od innych, otoczony szacunkiem zwykłych subiektów. Nigdy nie podnosił głowy. Denise, której zdawało się, że cierpi z powodu zarozumiałości chłopca, odprowadzała go wzrokiem bez obawy, że ją zauważy. Lecz kiedy spostrzegła Moureta, który także przechodził tędy co wieczór, chowała się w głębi pokoju, z bijącym sercem. Nie chciała, aby wiedział, gdzie ona mieszka; wstydziła się tego domu i chociaż nie wierzyła, że go jeszcze kiedyś spotka, cierpiała wyobrażając sobie, co mógłby o niej pomyśleć.

Żyła w dalszym ciągu życiem magazynu. Pokój oddzielony był tylko murem od działu konfekcji, w którym niedawno pracowała. Od samego rana przeżywała w myśli dni pracy w magazynie, wiedziała, kiedy napływają klienci i kiedy rozpoczyna się większe nasilenie sprzedaży. Najmniejszy hałas wstrząsał starą rudą przyklejoną do magazynu: puls jej życia uderzał w takt pulsu kolosa. Poza tym Denise nie mogła uniknąć niektórych spotkań. Dwa razy natknęła się na Paulinę, która, wzruszona jej ciężkim losem, ofiarowała swą pomoc; musiała nawet skłamać, aby uniknąć wizyty przyjaciółki i rewizytowania jej którejś niedzieli w pokoju Baugégo. Trudno było obronić się przed rozpaczliwym uczuciem, jakie dziewczynie okazywał Deloche. Śledził ją, znał wszystkie jej zmartwienia, czekał na nią przed bramą; pewnego wieczoru chciał jej nawet pożyczyć trzydzieści franków, braterskie oszczędności, jak mówił, czerwieniąc się. Te spotkania przypominały Denise magazyn, za którym tęskniła, podtrzymywały więź z jego życiem wewnętrznym, tak jakby go wcale nie opuściła.

Nikt nie odwiedzał Denise. Pewnego popołudnia zdziwiło ją pukanie do drzwi. Gdy otworzyła, na progu stał Colomban. Przyjął go stojąc. Chłopak był zakłopotany, język mu się plątał, pytał, jak jej się powodzi, mówił o sklepie stryja. Denise myślała, że przychodzi z polecenia starego Baudu, który mimo iż się nawet nie kłaniał bratanicy, zlitował się może nad jej nędzą, wiedząc niewątpliwie o trudnej sytuacji, w jakiej się znajdowała. Ale gdy zapytała wprost subiekta, zmieszał się jeszcze bardziej; nie, nie, pryncypał go wcale nie wysłał; w końcu wymienił imię Klary. Okazało się, że przyszedł po to, aby móc porozmawiać o niej. Powoli nabierał odwagi, prosił o udzielenie rady przypuszczając, że Denise pomoże mu w nawiązaniu znajomości z dawną koleżanką. Na próżno odbierała mu wszelką nadzieję, robiąc wymówki, że zadaje ból Genowefie dla dziewczyny bez serca. Przyszedł znowu któregoś dnia, aż w końcu przyzwyczał się do odwiedzania Denise. Jego nieśmiała miłość zadowolala się byle czym. Rozpoczynał zawsze rozmowę na temat Klary, mimo woli drżąc na myśl, że ma przed sobą kobietę, która z nią przebywała. Te rozmowy wciągały Denise jeszcze bardziej w krąg atmosfery magazynu „Wszystko dla Pań”.

W ostatnich dniach września dziewczyna popadła w najskrajniejszą nędzę. Pepi zaziębił się i choroba miała niepokojący przebieg. Denise powinna go była odżywiać bulionem, a nie miała nawet na chleb. Gdy pewnego wieczora łkała na głos, zgnębiona do ostateczności, ogarnięta rozpaczą, która wpędza młode dziewczęta do rynsztoka albo do Sekwany, do drzwi pokoju zapukał stary Bourras. Niósł bochenek chleba i bańkę od mleka pełną rosółu.

– Niech pani weźmie, to dla małego – powiedział szorstko. – I niech pani nie płacze tak głośno, bo to przeszkadza moim lokatorom. – A gdy Denise dziękowała mu wśród nowego potoku łez, dodał: – Niechże się pani uspokoi!... Proszę przyjść do mnie jutro. Mam dla Pani pracę.

Bourras nie zatrudniał u siebie pracownic od chwili, gdy magazyn „Wszystko dla Pań” otworzył dział parasoli, zadając straszny cios staremu. Aby do minimum zmniejszyć wydatki, robił teraz wszystko sam, sprzątał, cerował i szył. Jego klientela ciągle zresztą topniała, tak że czasami brakowało mu roboty. Toteż nazajutrz, gdy posadził Denise w kącie sklepu, musiał wymyślać dla niej zajęcia. Nie mógł przecież na to pozwolić, aby w jego domu ludzie umierali z głodu.

– Dostanie pani dwa franki dziennie – powiedział. – Jak pani znajdzie coś lepszego, to mnie pani rzuci.

Denise bała się go i tak zwijała z robotą, że staruszek musiał kłopotać się o znalezienie dla niej nowej. Dawał jej bryły jedwabiu do zszywania lub koronki do reperacji. Przez pierwszych kilka dni Denise nie śmiała podnieść głowy, zmieszana ciągłą obecnością starego, jego długimi jak lwia grzywa włosami, zakrzywionym nosem, patrzącymi przenikliwie spod nastroszonych brwi oczami. Głos starego był szorstki, a ruchy gwałtowne. Matki z całej dzielnicy straszyły nim dzieci, grożąc sprowadzeniem starego Bourrasa, jak się grozi wezwaniem policjanta. Ulicznicy przechodząc koło jego sklepu wrzeszczeli zawsze jakieś obraźliwe wyrazy, ale stary udawał, że nie słyszy. Cała wściekłość starego maniaka skrUPIAŁA się na tych nędznikach, którzy bezczęścili swój zawód sprzedając tandetę, lichotę, towar, którego – jak mówił – nawet pies by nie chciał.

Denise trzęsła się, gdy stary krzyczał w ataku wściekłości:

– Sztuka zamiera, słyszysz?... Niewidzi się teraz ani jednej porządnej rączki do parasola lub laski. Robią kije, tak... ale z rączkami skończyło się!... Dam dwadzieścia franków, jeżeli mi znajdziesz chociaż jedną porządnie zrobioną.

Dumą jego było wykonywanie artystycznych rączek, zaden rzemieślnik w Paryżu nie umiał robić podobnie lekkich i solidnych. Lubił zwłaszcza rzeźbić gałki do lasek, prześliczne i pomysłowe, coraz to odmieniając motywy: kwiaty, zwierzęta, główki – oryginalne i jak

żywe. Do pracy wystarczał mu scyzoryk; widziano go, jak całymi dniami z okularami na nosie dłubał w kawałku bukszpanu lub hebanu.

– Stado partaczy – mawiał – dla których wystarczy przykleić do drutu kawałek jedwabiu! Kupują hurtem rączki robione maszynowo... I sprzedają to później za bezcen! Koniec ze sztuką!

Denise przestała go się w końcu bać. Stary zaproponował, żeby Pepi bawił się w sklepie, bardzo bowiem lubił dzieci. Kiedy mały chodził po sklepie na czworakach, nie można się było poruszać. Ona w kącie cerowała, stary zaś rzeźbił pod oknem. Odtąd codziennie powtarzały się te same zajęcia i te same rozmowy. Stary siedząc nad swoją pracą nie przestawał napadać na magazyn „Wszystko dla Pań”, niestrudzenie i wciąż na nowo opowiadając o swoim z nim zatargu. Zajmował dom od 1845 roku, kontrakt najmu opiewał na lat trzydzieści za cenę tysiąca ośmiuset franków rocznie, a ponieważ za wynajmowanie czterech umeblowanych pokoi Bourras pobierał tysiąc franków, płacił więc tylko osiemset franków za sklep. Była to niewielka suma, a że jego osobiste wydatki były minimalne, więc kupiec mógł tak przetrwać jeszcze długie lata. Słuchając tych wywodów można było sądzić, że zwycięstwo starego rzemieślnika nie budzi żadnych wątpliwości i że prędzej czy później pokona kolosa.

Nagle stary przerwał swoje dowodzenie.

– Powiedz tylko, czy oni tam mają podobnie piękne psie głowy?

Mrugał spoza okularów, aby przyjrzeć się rzeźbionej właśnie głowie doga, o wywiniętej wardze i wyszczerzonych kłach, w doskonale i żywo uchwyconym grymasie warczącego psa. Pepi, olśniony piękną zabawką, podniósł się z ziemi i opierał małe rączki o kolana starego.

– Bylebym tylko mógł powiązać koniec z końcem – mówił znowu Bourras zabierając się delikatnie do wykończenia ostrym scyzorykiem psiego jęzora. – O resztę nie dbam. Te łajdaki zabrały mi moje zarobki; ale jeżeli nie zarabiam, to w każdym razie nic jeszcze nie tracę lub bardzo niewiele. Widzisz, jestem zdecydowany raczej zdechnąć, a nie ustąpię.

Potrząsnął scyzorykiem; białe włosy rozsypywały mu się wokół twarzy jakby unoszone podmuchem wściekłości.

– Gdyby jednak – próbowała łagodnie perswadować Denise nie podnosząc oczu znad igły – ofiarowano panu poważną sumę, byłoby może rzeczą rozsądną przyjąć propozycję...

Wówczas nastąpił wybuch dzikiego uporu.

– Nigdy!... Jeśli mi nawet przyłożą nóż do gardła, to powiem: nie, do stu diabłów!... Mój kontrakt upływa dopiero za dziesięć lat, przed tym terminem figę dostaną, nawet gdybym miał umierać z głodu w czterech pustych ścianach... Już dwa razy przychodzili do mnie, aby

mnie omotać. Dawali mi dwanaście tysięcy za sklep, a osiemnaście odstępnego za pozostałe jeszcze lata kontraktu, razem trzydzieści tysięcy.... Nie zgodziłbym się nawet, gdyby mi proponowali pięćdziesiąt! Trzymam ich i chcę doprowadzić do tego, żeby płaszczyli się przede mną!

– Trzydzieści tysięcy franków to bardzo piękna suma – powiedziała Denise. – Mógłby pan założyć sobie sklep trochę dalej... A jeśli kupią dom?

Bourras, który właśnie kończył rzeźbić język swego doga, zastanowił się przez chwilę z dziecinnym uśmiechem na twarzy, okolonej białymi włosami jak oblicze Boga Ojca. Potem odpowiedział:

– Dom? Nie ma obawy!... Mieli zamiar to zrobić w zeszłym roku i dawali za niego osiemdziesiąt tysięcy franków, dwa razy tyle. ile jest wart dzisiaj. Lecz właściciel, były handlarz owocami, taki sam łotr jak oni, postanowił ich szantażować. Zresztą oni się mnie boją, bo wiedzą, że jestem jeszcze mniej skłonny do ustępstw... Nie, nie! Jestem tu i tu zostanę! Nawet sam cesarz ze wszystkimi swymi armatami nie wygna mnie stąd!

Denise nie śmiała się już odezwać. Szła w dalszym ciągu, a starzec rzucał jeszcze oderwane zdania, pochłonięty znowu swoją pracą: to jeszcze nic, zobaczymy, co będzie dalej; miał pomysł, który zmiecie z powierzchni ziemi ich dział parasoli. Na dzień jego uporu krył się bunt drobnego wytwórcy przeciwko zalewowi szablonowych, bazarowych artykułów.

Pepi tymczasem wdrapał się na kolana Bourrasa. Wyciągał do głowy doga niecierpliwe ręce.

– Daj, daj!...

– Zaraz, mój mały – odpowiedział starzec łagodnym głosem. – Piesek jeszcze nie ma oczu, trzeba mu teraz zrobić oczy.

I starannie operując scyzorykiem koło swojej rzeźby zwrócił się znowu do Denise:

– Czy słyszysz?... Maszyna jeszcze sapie tam, obok! To mnie doprowadza do największej wściekłości, daję słowo. Mieć ich bez chwili wytechnienia wciąż na karku z tym ich przeklętym sapaniem przypominającym lokomotywę.

Mówił, że cały warsztat mu się od tego trzęsie. Przez całe popołudnie ani jeden klient nie pokazał się w sklepie z parasolami, a w magazynie „Wszystko dla Pań” dusiły się tłumy kupujących. Ustawicznie powracał do tego tematu. Znowu pomyslny dla nich dzień, hałas dochodzi spoza muru, jedwabie musiały dziś przynieść z dziesięć tysięcy franków. Czasami cieszył się, mur bowiem pozostał niemy, deszcz przeszkodził w dobrych interesach. Najmniejszy szelest, najcichszy szmer dostarczał staremu tematu do nie kończących się nigdy komentarzy.

– Słyszysz? Ktoś się pośliznął. Ach! Gdyby tak wszyscy poskręcali sobie karki!... A teraz, moja droga, kłóć się panie. Tym lepiej, tym lepiej!... Co? Słyszysz, jak paczki spadają do podziemia? Ach, to już się staje obrzydliwe!

Gdy Denise chciała coś powiedzieć na obronę magazynu, Bourras przypominał jej natychmiast z goryczą, jak ohydnie postąpiono oddalając ją. Musiała mu opowiadać po raz setny chyba o swoim przyjęciu do działu konfekcji, o przykrościach, jakie znosiła, o małych, nędznych pokoikach, złym odżywianiu, wiecznej walce subiektów. I tak oboje od rana do nocy mówili tylko o magazynie, chłonęli go, rzekłbyś, o każdej godzinie z powietrza, którym oddychali.

– Daj, daj – powtarzał z niecierpliwością Pepi wyciągając ręce. Głowa doga była skończona. Bourras to odsuwał ją od siebie, to przybliżał, hałaśliwie wyrażając radość.

– Uważaj, żeby cię nie ugryzł... Masz, baw się i jeśli to tylko możliwe, nie zepsuj. – Potem, opanowany uporczywą myślą, pogroził pięścią ścianie. – Na próżno rozpychacie się, aby zawalić mój dom. Nie dostaniecie go nawet wówczas, gdy cała ulica będzie do was należała!

Denise miała teraz codziennie kawałek chleba. Była też za to szczerze wdzięczna staremu kupcowi. Wiedziała, ile dobrego serca kryje się pod zewnętrzną szorstkością i dziwactwami. Gorąco pragnęła jednak znaleźć pracę gdzie indziej, zdawała sobie bowiem sprawę, że Bourras wynajduje dla niej robotę, choć nie potrzebuje wcale pracownicy wobec upadku swojego sklepu, i zatrudnia ją po prostu z litości. W ten sposób minęło sześć miesięcy. Rozpoczął się znowu martwy sezon zimowy. Denise nie miała nadziei, aby znaleźć coś dla siebie przed marcem, lecz pewnego wieczora, w styczniu, Deloche, który czatował na nią koło bramy, dał jej dobrą radę. Czemu nie pójdzie do Robineau, może tam potrzeba będzie ekspedientki?

We wrześniu Robineau zdecydował się kupić sklep Vinçarda, ryzykując kapitał żony – sześćdziesiąt tysięcy franków – mimo niepokoju o los tych pieniędzy. Zapłacił czterdzieści tysięcy franków Vinçardowi, a z dwudziestoma tysiącami rozpoczął handel. Była to niewielka suma, lecz stał za nim Gaujean, popierający go długoterminowymi kredytami. Od czasu sporu z magazynem „Wszystko dla Pań” Gaujean marzył o tym, aby przysporzyć kolosowi konkurencyjnych firm. Wierzył mocno w ostateczne zwycięstwo, byle w sąsiedztwie magazynu powstawały wyspecjalizowane sklepy, gdzie klientki mogłyby znaleźć wielki wybór artykułów. Jedynie wielcy fabrykanci lyońscy, jak na przykład Dumonteil, mogli pogodzić się z wymogami wielkich magazynów. Wykonują oni chętnie ogromne zamówienia dla kilku wielkich domów handlowych, żeby zatrudnić swoje warsztaty, odbijając sobie

następnie na dostawie dla mniejszych firm straty poniesione z powodu niewielkich zarobków. Gaujean jednak nie był tak bogaty jak Dumonteil. Przez długi czas był zwykłym pośrednikiem i posiadał własne warsztaty dopiero od pięciu czy sześciu lat, a ponadto zatrudniał jeszcze wielu chałupników dostarczając im surowca i płacąc od metr. Ten właśnie system zwiększał koszty produkcji i nie pozwalał mu walczyć z takim na przykład Dumonteilem o dostawy dla magazynu „Wszystko dla Pań”. Miał o to pretensję do magazynu i widział w Robineau narzędzie decydującej walki wypowiedzianej tym bazarom nowości, które oskarżał o rujnowanie francuskiej produkcji.

Gdy Denise zgłosiła się do sklepu, zastała panią Robineau samą. Żona kupca była córką inspektora robót drogowych, młodą kobietą zupełnie nie obeznaną z handlem, o wyglądzie pełnej wdzięku, nieśmiałej pensjonarki. Wychowanej w klasztorze w Blois. Ładna, wesoła i łagodna brunetka miała wiele uroku. Uwielbiała męża i żyła tylko tą miłością. Denise chciała już wyjść ze sklepu prosząc o zanotowanie swego nazwiska, gdy Robineau wrócił i przyjął ją do pracy natychmiast, ponieważ jedna z jego ekspedientek opuściła go przenosząc się do magazynu „Wszystko dla Pań”.

– Oni nam nie zostawią ani jednego porządnego subiekta – powiedział. – O panią będę przynajmniej spokojny, bo podobnie jak ja nie ma pani powodu, żeby ich kochać... Niech pani przyjdzie jutro.

Wieczorem Denise nie wiedziała, w jaki sposób zawiadomić Bourrasa, że nazajutrz musi go opuścić. Starzec potraktował ją rzeczywiście jak niewdzięcznicę i uniósł się gniewem. Potem, gdy broniła się ze łzami w oczach, dając mu do zrozumienia, że domyśla się doskonale, jakie pobudki skłaniały go do zatrudniania jej u siebie, Bourras rozczulił się także, bąknął coś, że ma wiele pracy i że Denise opuszcza go właśnie w chwili, gdy chce wypuścić na rynek nowy rodzaj parasoli swojego pomysłu.

– A co zrobisz z Pepim? – zapytał.

Było to właśnie wielkie zmartwienie Denise. Nie mogła go oddać z powrotem do pani Gras i nie mogła także zostawić go samego w pokoju na cały dzień.

– No, to ja go zatrzymam u siebie – powiedział starzec. – Małemu jest u mnie dobrze... Razem będziemy gospodarować. – A gdy wzdragła się w obawie, że chłopiec sprawi mu kłopot, krzyknął: – Do stu piorunów! Nie wierzysz mi?... Przecież nie zjem twojego braciszka.

Denise dobrze było u Robineau. Płacił jej niewiele, bo tylko sześćdziesiąt franków miesięcznie oraz wyżywienie, i nie dawał żadnych procentów od sprzedaży, podobnie jak wszystkie stare firmy, ale Denise była traktowana życzliwie, zwłaszcza przez panią Robineau.

która siedziała za kasą, jak zwykle uśmiechnięta; jej mąż, zawsze nerwowy i niespokojny, był chwilami szorstki w obejściu. Po miesiącu Denise czuła się w nowym miejscu pracy jak u rodziny, podobnie jak i druga ekspedientka, drobna, chora na gruźlicę kobieta, bardzo spokojna i cicha. Państwo Robineau nie krępowali się przy niej, podczas posiłków w położonym od strony wielkiego podwórza pokoju za sklepem mówiono o interesach. Tam właśnie pewnego wieczora postanowiono wypowiedzieć wojnę magazynowi „Wszystko dla Pań”.

Gaujean przyszedł tego dnia na kolację. Już przy pieczyście – podano baraninę – wyłożył całą sprawę matowym, ochryplym od mgieł rodańskich głosem mieszkańca Lyonu.

– To staje się nie do wytrzymania – powtarzał. – Oni przychodzą do Dumonteila i zastrzegają sobie wyłączne prawo do jakiegoś wzoru, zabierając od razu trzysta sztuk materiału i żądając zniżki pięćdziesięciu centymów na metr; a ponieważ płacą gotówką, więc mają jeszcze osiemnaście procent dyskonta... Bywa tak, że Dumonteil nie zarabia nawet dwudziestu centymów. Pracuje po to, aby zatrudnić swoje warsztaty. ponieważ warsztat, który stoi, umiera... Więc jakże to jest możliwe, abyśmy z naszymi mniej licznymi narzędziami pracy, a zwłaszcza z naszymi chałupnikami, mogli podjąć z nimi walkę?

Zamyślony Robineau zapomniał o jedzeniu.

– Trzysta sztuk materiału – powiedział cicho. – A ja drzę, gdy wezmę dwanaście sztuk, i to z trzymiesięcznym terminem płatności... Mogą śmiało wystawić ceny o jednego lub dwa franki niższe niż u nas. Według mojego obliczenia ich artykuły katalogowe są co najmniej o piętnaście procent tańsze w porównaniu z naszymi cenami... I to właśnie zabija drobny handel.

Robineau był zniechęcony. Zaniepokoiło to jego żonę, która patrzyła na męża z czułością. Nie znała się wcale na interesach, głowa pękała jej od cyfr. Nie rozumiała, po co zadawać sobie tyle trudu, gdy tak łatwo jest śmiać się i kochać. Wystarczyło jej jednak, że mąż chciał zwyciężyć; wówczas i ona nabierała zapału i gotowa była umrzeć przy swojej kasie.

– Dlaczego wszyscy fabrykanci nie porozumieją się ze sobą? – zaczął znów gwałtownie Robineau. – Mogliby wówczas postawić swoje warunki zamiast ulegać tym, jakie narzucają wielkie magazyny.

Gaujean, który poprosił jeszcze o kawałek pieczeni, jadł powoli.

– Ach, dlaczego, dlaczego... Powiedziałem panu dlaczego. Warsztaty muszą mieć pracę. Kiedy ma się prawie wszędzie warsztaty tkackie – w okolicach Lyonu, w departamencie Gard czy Izery – to nie można sobie pozwolić ani na jeden dzień bezrobocia bez narażenia się na wielkie straty... Jeśli chodzi o nas, to zatrudniamy chałupników, którzy mają czasem dziesięć

albo piętnaście warsztatów, i jesteśmy o wiele bardziej panami sytuacji w sprawach dotyczących zapasów towaru na składzie. Wielcy fabrykanci natomiast muszą szukać stałych rynków zbytu, i to w miarę możliwości najbardziej chłonnych. Toteż klękają wprost przed wielkimi magazynami. Znam takich trzech czy czterech, którzy wyrывают sobie wprost dostawy dla wielkich firm i godzą się nawet na straty, byle tylko otrzymać od nich zamówienia. Odbijają to sobie później na takich małych firmach jak pański sklep. Tak, tak... Egzystują dzięki tamtym, ale zarabiają na panu... Nie wiadomo, jak skończy się ten kryzys.

– To jest podłość! – zakończył Robineau, któremu ten okrzyk gniewu sprawił ulgę.

Denise słuchała milcząco. W głębi duszy przyznawała rację wielkim magazynom, instynktownie stając po stronie logiki i życia. Przy stole zapanowało milczenie, wszyscy zajęci byli jedzeniem zielonej konserwowej fasolki; wówczas dziewczyna odważyła się powiedzieć wesołym tonem:

– Klientela nie narzeka z tego powodu!

Pani Robineau zaśmiała się cicho, co wzięli jej za złe zarówno mąż, jak i Gaujean. Z pewnością klienci byli zadowoleni, ponieważ w gruncie rzeczy oni właśnie zyskiwali na obniżce cen. Byłoby tylko pożądane, aby wszyscy mogli żyć. Do czego dojdziemy, jeżeli pod pretekstem dobra ogółu spożywca będzie tuczyć się na krzywdzie producenta? Wywiązała się dyskusja. Denise udawała, że żartuje, przytaczając przekonywające argumenty: znikali przecież pośrednicy, wszyscy agenci fabryczni, komisjonerzy, co przyczyniało się do obniżki cen; zresztą fabrykanci nie mogli już egzystować bez wielkich magazynów. Jeśli któryś z nich utracił tę klientelę, klęska jego była nieunikniona; poza tym stan dzisiejszy był naturalnym wynikiem ewolucji handlu i nie można w żaden sposób zapobiec takiemu rozwojowi – rzeczy, gdy wszyscy, chcąc nie chcąc, przyczyniali się do tego.

– Więc pani jest po stronie tych, którzy panią wyrzucili za drzwi? – zapytał Gaujean.

Denise zaczerwieniła się. Sama była zdziwiona gwałtownością wypowiedzianych przed chwilą słów. Co się kryło w jej sercu, że z takim zapalem broniła nowego handlu?

– Wcale nie! – odpowiedziała. – Może nie mam racji, bo panowie lepiej się na tym znają... Mówię tylko to, co myślę. Ceny ustalane dawniej przez jakieś pięćdziesiąt firm, dyktowane są dziś przez cztery lub pięć domów handlowych, które dzięki potędze swoich kapitałów i dzięki masowej sprzedaży zdołały je obniżyć... Tym lepiej dla klienteli!

Robineau nie rozgniewał się, tylko spoważniał i patrzył nieruchomo na obrus. Nie po raz pierwszy zetknął się z tym nowym systemem handlu, z tą ewolucją, o której mówiła Denise; chwilami zadawał sobie pytanie, dlaczego właściwie opiera się temu gwałtownemu prądowi, który i tak uniesie ze sobą wszystko? Nawet pani Robineau, widząc zamyślenie męża,

pochwaliła wzrokiem Denise, która nie chciała już zabierać głosu z wrodzonej skromności.

– Tak – powiedział Gaujean, aby uciąć dalszą dyskusję. – To są wszystko teorie... Ale pomówmy o naszej sprawie.

Po serze służąca podała konfitury i gruszki. Gaujean nabrał konfitur i jadł je pełnymi łyżeczkami, z bezwiednym łakomstwem grubasa uwielbiającego słodycze.

– Trzeba, aby pan pobił ich „Paris-Bonheur”, który tyle narobił hałasu w tym roku... Porozumiałem się z kilkoma fabrykantami w Lyonie i proponuję panu zupełnie wyjątkową okazję: czarny jedwab, który pan będzie mógł sprzedawać po pięć franków pięćdziesiąt... Oni sprzedają swój jedwab po pięć sześćdziesiąt, prawda? Ten będzie tańszy o dziesięć centymów i to wystarczy, aby ich pogrążyć.

Oczy Robineau rozblęły. Na skutek nerwowego usposobienia przeskakiwał często od stanów lęku do nadziei.

– Czy pan ma próbkę? – zapytał. A gdy Gaujean wyciągnął z portfelu mały kwadracik materiału, kupiec zapalił się na dobre i wykrzyknął: – Ależ ten jedwab jest piękniejszy od „Paris-Bonheur”! Przynajmniej jest efektowniejszy i grubszy... Ma pan rację, trzeba spróbować. Niech pan słucho! Albo legną u moich stóp, albo koniec ze mną!

Pani Robineau podzielała entuzjazm męża i oświadczyła, że jedwab jest wspaniały. Nawet Denise uwierzyła w zwycięstwo. Pod koniec kolacji nastrój był bardzo wesoły. Rozmawiano głośno i zdawało się nie ulegać wątpliwości, że magazyn „Wszystko dla Pań” musi upaść. Gaujean wykańczał słoik konfitur i jednocześnie tłumaczył, na jakie poświęcenie zdobyli się i on, i jego koledzy, aby oddać tak dobry materiał po tak niskiej cenie: postanowili jednak choćby zbankrutować, byle pognać wielkie magazyny. Kiedy przyniesiono kawę, nadszedł Vinçard i wesołość wzmożła się jeszcze bardziej. Vinçard wstąpił na chwilę, aby pozdrowić swojego następcę.

– Bajeczny! – zawołał dotykając materiału. – Słowo, daję, że pobijecie ich na głowę!... A co?! Ile mi macie do zawdzięczenia? Przecież mówiłem wam, że ten sklep to złoty interes!

Vinçard kupił sobie restaurację w Vincennes. Było to od dawna jego marzeniem, które snuł po kryjomu, gdy jeszcze pracował w jedwabiach, drżąc na myśl, że nie znajdzie nabywcy na swój sklep przed ostateczną klęską drobnego kupiectwa, i przysięgając sobie, że umieści swoje parę groszy w takim interesie, gdzie by można kraść, ile dusza zapagnie. Myśl o założeniu restauracji przyszła mu do głowy po uczcie weselnej pewnego kuzyna. Na wszystkim, co dotyczy jedzenia, robi się doskonale interesy, kazano im przecież zapłacić wówczas dziesięć franków za jakieś pomyje z odrobiną makaronu. Toteż na widok obojga Robineau, na których barki udało mu się zrzucić ciężar kiepsko prosperującego sklepu, kiedy

zupełnie już zwątpił o możliwości jego sprzedaży doznawał głębokiej radości. Jego pełna, tryskająca zdrowiem twarz o okrągłych oczach i szczerym wyrazie szerokich ust, rozszerzyła się jeszcze bardziej w radosnym uśmiechu.

– A jak pana bóle? – zapytała uprzejmie pani Robineau.

– Co takiego? Moje bóle? – zapytał zdziwiony.

– No, ten reumatyzm, który pana tak męczył.

Przypomniał sobie wreszcie i lekko poczerwieniał.

– No tak, zawsze mi dokuczają... jednakże powietrze wiejskie... pani rozumie... Mimo wszystko państwo zrobili dobry interes. Gdyby nie mój reumatyzm, miałbym dziesięć tysięcy franków renty przed upływem dziesięciu lat... Daję słowo!

W dwa tygodnie później między sklepem Robineau i magazynem „Wszystko dla Pań” rozgorzała walka. Zyskała ona rozgłos i przez pewien czas zaprzętała całe paryskie kupiectwo. Posługując się bronią przeciwników, Robineau stosował reklamę w dziennikach. Dbął też bardzo o wygląd wystawy, gromadził w witrynach stosy sławetnego jedwabiu opatrując je dużymi, białymi etykietami, na których ogromnymi literami wypisana była cena pięć franków pięćdziesiąt. Cena ta wywołała rewolucję wśród kobiet: była o dziesięć centymów niższa niż w magazynie „Wszystko dla Pań”, a poza tym nowy gatunek jedwabiu wydawał się solidniejszy. Już od pierwszego dnia napłynęły klientki: pani Marty pod pretekstem oszczędności kupiła materiał na suknię, która jej wcale nie była potrzebna: pani Bourdelais stwierdziła, że jedwab jest piękny, lecz postanowiła poczekać przeczując niewątpliwie dalszy rozwój wypadków. Rzeczywiście, zaraz w następnym tygodniu Mouret obniżył cenę „Paris-Bonheur” o dwadzieścia centymów na metr, tak że oddawał go po pięć franków czterdzieści. Decyzja ta zapadła po bardzo ożywionej dyskusji z Bourdoncle’em i innymi udziałowcami, których musiał przekonać, że walkę należy podjąć, nawet jeśli miałaby ona pociągnąć za sobą wielkie straty. Te dwadzieścia centymów stanowiło czystą stratę, ponieważ już poprzednio sprzedawano „Paris-Bonheur” po cenie kosztu. Decyzja Moureta była ciosem dla Robineau, który nie przypuszczał nigdy, że rywal zdecyduje się na obniżkę ceny, ponieważ taka samobójcza konkurencja jak sprzedaż ze stratą nie miała w historii handlu precedensów. Fala klientek, ulegając pokusie tańszego kupna, odpłynęła znowu w stronę ulicy Neuve-Saint-Augustin, a sklep przy ulicy Neuve-des-Peclils-Champs opustoszał. Gaujean przyjechał czym prędzej z Lyonu, naradzano się gorączkowo i w rezultacie powzięto heroiczne postanowienie: cena jedwabiu zostanie obniżona do pięciu franków trzydzieści: taniej mógł sprzedawać tylko wariat. Następnego dnia Mouret wystawił swój materiał po pięć franków dwadzieścia. Wtedy rozpętało się istne szaleństwo: Robineau odpowiedział ceną

pięciu franków piętnastu, na co Mouret ogłosił natychmiast, że jego jedwab sprzedaje się po pięć franków dziesięć. Obaj kupcy licytowali się teraz o pięć centymów na metrze, ale tracili na tym podarunku dla klientek ogromne sumy. Klientki były zachwycone pojedynkiem i śmiały się ubawione, a jednocześnie wzruszone tym, że obie konkurencyjne firmy walczyły ze sobą tak zażarcie, aby im się przypodobać. Mouret zaryzykował wreszcie cenę pięciu franków: cały personel magazynu chodził blady, przerażony podobnym wyzwaniem losu. Robineau, przybity i bez tchu, zatrzymał się również na pięciu frankach nie mając odwagi zejść już niżej. Kupcy przyczaili się teraz na swoich pozycjach wśród poboju rzuconych na pastwę walki towarów.

Lecz jeśli zarówno z jednej, jak i z drugiej strony honor firmy został uratowany. Robineau znalazł się w sytuacji materialnej wręcz zabójczej. Magazyn „Wszystko dla Pań” miał pewne prerogatywy, a także wyrobioną klientelę, co umożliwiała zachowanie równowagi dochodów. Robineau, popierany jedynie przez Gaujeana, nie mogąc powetować sobie poniesionych strat na innych artykułach, gonił resztkami sił i z każdym dniem staczał się coraz niżej po równi pochyłej wiodącej do bankructwa. Toteż padał ofiarą swojej odwagi mimo licznie odwiedzającej jego sklep klienteli, znęconej perypetiami walki. Wiele tajemnej udręki sprawiał mu widok tej klienteli, której podbój kosztował go tyle pieniędzy i wysiłków. odpływającej teraz powoli i wracającej do magazynu „Wszystko dla Pań”.

Pewnego razu zabrakło mu cierpliwości. Klientka – pani de Boves – przysłała, aby obejrzeć u niego płaszcz. Robineau bowiem obok działu jedwabów otworzył dodatkowo jeszcze dział artykułów konfekcyjnych. Klientka nie mogła się zdecydować, skarżyła się na gatunek materiału. Wreszcie powiedziała:

– Ich „Paris-Bonheur” jest o wiele mocniejszy.

Robineau hamował się jeszcze, przekonywał ją z kupiecką uprzejmością, że nie ma racji, starał się być tym bardziej uprzejmy, im bardziej obawiał się wybuchu nurtującego go oburzenia.

– Niech pan tylko popatrzy na jedwab, z którego zrobiona jest rotunda – ciągnęła dalej. – Jest cienki jak pajęczyna... Mimo pana zapewnień tamten jedwab po pięć franków jest mocny jak skóra w porównaniu z tym.

Robineau, któremu krew uderzyła do twarzy, nie odpowiedział nic, zacisnąwszy zęby. Jednym z jego ostatnich pomysłów posunięć był właśnie zakup na artykuły konfekcyjne jedwabiu w konkurencyjnym sklepie. W ten sposób nie on, lecz Mouret tracił na materiale. Robineau odcinał tylko niebieskosrebrny brzeżek.

– Czy rzeczywiście uważa pani, że „Paris-Bonheur” jest solidniejszy? – powiedział cichym

głosem.

– Ależ tak, sto razy! – odrzekła pani de Boves. – Nie ma żadnego porównania.

Ta niesprawiedliwość klientki, nie doceniającej gatunku materiału, oburzyła go do żywego. Gdy pani de Boves z grymasem niesmaku obracała wciąż w rękach rotundę, mały skrawek kolorowego brzeżka, przypadkowo – widać – nie wycięty, ukazał się spod podszewki. Wówczas właściciel sklepu, nic mogąc się dłużej pohamować i zdecydowany na wszystko, powiedział:

– Więc powiem pani prawdę: ten jedwab to jest „Paris-Bonheur”, sam go kupowałem!... Proszę popatrzeć na brzeżek!

Pani de Boves odeszła zirytowana. Opuściło go wiele klientek, historia z „Paris-Bonheur” nabrała rozgłosu. W obliczu tej katastrofy Robineau w obawie przed jutrem myślał tylko i wyłącznie o swojej żonie wychowanej w spokoju i dobrobycie, nie przystosowanej zupełnie do ubóstwa. Co się z nią stanie, jeśli nadchodząca ruina majątkowa pozostawi ich na bruku i w dodatku z długami? Całą winę ponosił on sam, nie powinien był ruszać jej sześćdziesięciu tysięcy franków. Pani Robineau musiała pocieszać męża. Czyż te pieniądze nie należały tak samo do niego, jak do niej? Kochał ją przecież, nie chciała niczego więcej, oddała mu wszystko – serce i życie, i słyhać było, jak całowali się w pokoju za sklepem. Powoli życie sklepu nabrało pewnej regularności. Straty wzrastały co miesiąc, w tempie jednak tak powolnym, że nieuchronna katastrofa nie groziła natychmiast. Podtrzymywała ich uporczywa nadzieja: wciąż przepowiadali rychły upadek magazynu „Wszystko dla Pań”.

– Ba! – mawiał Robineau – my także jesteśmy młodzi... Do nas należy przyszłość.

– A zresztą wszystko jedno. Zrobiłeś to, co chciałeś – odpowiadała żona.

– Jeżeli tylko jesteś zadowolony, mój drogi, to twoja radość jest moją radością.

Denise polubiła ich patrząc, jak bardzo się kochają. Drżała przeczuwając bliski już krach, lecz nie śmiała o tym mówić. Właśnie w tym sklepie zrozumiała ostatecznie potęgę nowego handlu i pełna entuzjazmu podziwiała tę siłę, która wstrząsnęła całym Paryżem. Umysł jej dojrzewał. Z nieco dzikiego dziecka, jakim była jeszcze niedawno, gdy po raz pierwszy znalazła się na bruku stolicy, wyrosła na pełną wdzięku kobietę. Życie układało się jej teraz dość pogodnie mimo zmęczenia i braku pieniędzy. Po całodziennej wyczerpującej pracy, która nie pozwalała jej ani na chwilę usiąść, wracała szybko do domu, aby zająć się Pepim. Na jej szczęście stary Bourras nadal upierał się, by żywić malca; mimo to miała niemało kłopotów – jakaś koszula do uprania, jakaś rozdarta marynarka, nie mówiąc już o tym, że głowa jej pękała od hałasu, jaki czynił chłopiec. Nie kładła się też nigdy przed północą. Niedziela była dla niej dniem ciężkiej pracy; sprzątała pokój, naprawiała swoją garderobę i

była tak zajęta, że zdarzało się, iż dopiero o piątej po południu siadała, aby się uczesać. Czasami jednak, kierując się rozsądkiem, wychodziła na spacer. Zabierała ze sobą małego i prowadziła go na długą przechadzkę w kierunku Neuilly. Pozwalali sobie wówczas na prawdziwą ucztę – filizankę mleka, którą wypijali u hodowcy bydła, siadając u niego w podwórzu. Janek pogardzał tymi wycieczkami. Pokazywał się teraz u siostry rzadziej, zwykle wieczorami w dni powszednie, potem znikał szybko pod pretekstem jakichś wizyt. Nie prosił już o pieniądze, ale przychodził czasami z tak smutną miną, że zaniepokojona siostra miała zawsze odłożoną dla niego monetę pięciofrankową. Na tym polegał jej zbytek.

– Pięć franków! – wołał Janek za każdym razem. – Do kroćset! Jaka ty jesteś dobra... Właśnie żona właściciela papeterii...

– Cicho bądź – przerywała mu Denise. – Nie chcę wcale wiedzieć. Ale Janek przypuszczał, że siostra posądza go o samochwalstwo.

– Mówię ci, że ona jest żoną właściciela papeterii! Żebyś wiedziała, jaka to wspaniała kobieta!...

Tak minęły trzy miesiące. Przyszła wiosna. Denise odmówiła Paulinie i jej przyjacielowi, którzy namawiali ją na ponowną wycieczkę do Joinville. Spotykała ich czasami na ulicy Świętego Rocha, kiedy wracała po zamknięciu sklepu Robineau. Paulina wyznała jej kiedyś, że myśli o wyjściu za mąż za swojego przyjaciela; wahała się jeszcze, ponieważ w magazynie „Wszystko dla Pań” nie patrzono przychylnie na zamężne ekspedientki. Te zamiary zdziwiły trochę Denise, ale nie śmiała nic radzić przyjaciółce. Pewnego dnia Colomban zatrzymał ją na ulicy koło wodotrysku, aby znów pomówić z nią o Klarze, właśnie w chwili gdy tamta przechodziła przez plac. Denise uciekła, ponieważ Colomban zaczął ją błagać, aby zapytała dawnej koleżanki, czy nie zgodziłaby się wyjść za niego. Co im się wszystkim stało? Po co dręczą się tymi sprawami? Uważała się za bardzo szczęśliwą, że nikogo nie kocha.

– Słyszałaś już nowinę? – zwrócił się do niej pewnego wieczora kupiec parasoli, gdy Denise wróciła do domu.

– Nie wiem nic, panie Bourras.

– No to dowiedz się, że te łotry kupiły pałac Duvillard... Jestem otoczony!

Machał swymi długimi rękami w ataku wściekłości, bujna biała grzywa zjeżyła mu się na głowie.

– Jakieś krętaństwo! Nic nie mogę zrozumieć – ciągnął dalej. – Podobno pałac ten należał do Banku Hipotecznego, którego prezes, baron Hartmann, odstępuje go teraz naszemu sławnemu Mouretowi... Trzymają mnie teraz z prawej strony, z lewej, z tyłu, ot tak, jak ja trzymam w ręku główkę tej laski.

Było tak rzeczywiście. Poprzedniego dnia podpisano właśnie umowę.

Wydawało się, że mały domek Bourrasa, wciśnięty między magazyn „Wszystko dla Pań” i pałac Duvillard, uczepiony jak gniazdo jaskółcze w rozpadlinie muru, zostanie zmiążdżony, gdy magazyn zajmie nabyty przez właściciela pałac. Nadszedł ów dzień, kolos osaczył kruchą przeszkodę, opasał ją stosem swoich towarów i zdawało się, że ją pochłonie, że połknie ją jednym potężnym haustem. Bourras czuł doskonale ten uścisk, od którego trzeszczał jego sklep. Teraz straszny mechanizm obracał się z takim hukiem, że zdawało się się staremu kupcowi, iż jego dom kurczy się, on zaś sam, wypchnięty, lada chwila znajdzie się na bruku razem z wszystkimi parasolami i laskami. – Słyszysz ich? – wołał stary kupiec. – Można by powiedzieć, że gryzą mury! I w piwnicy, i na strychu, wszędzie słyhać zgrzyt piły kruszącej ściany... Ale ja się nie dam. Nie uda im się zgnieść mnie jak kartkę papieru. Zostanę na miejscu. Zostanę na miejscu, nawet gdyby mi rozwalili dach nad głową, nawet gdyby deszcz lał jak z cebra wprost do mojego łóżka! W tym właśnie momencie Mouret polecił postawić Bourrasowi nowe propozycje: suma zostaje podwyższona, magazyn pragnie kupić sklep i przejąć prawo najmu za pięćdziesiąt tysięcy franków. Oferta wzmogła tylko wściekłość starca, który odmówił w sposób obraźliwy. Jak te łotry muszą okradać ludzi, jeżeli mogą płacić pięćdziesiąt tysięcy franków za obiekt, niewart więcej niż dziesięć! Bronił swojego sklepu, jak gdyby był panną broniącą swej cnoty, w imię honoru, przez szacunek dla samego siebie.

Denise widziała, że Bourras przez dwa tygodnie był bardzo zaabsorbowany. Kręcił się niespokojnie, wybiegał na środek ulicy, by z miną architekta przyglądać się swemu domowi, mierzył metrem ściany. Pewnego ranka przyszli robotnicy. Miała to być rozstrzygająca bitwa: starzec powziął śmiałą myśl pobicia magazynu „Wszystko dla Pań” jego własną bronią, robiąc pewne ustępstwa na rzecz nowoczesnego zbytku. Gdy klientki zarzucające mu ponury wygląd jego sklepu zobaczą, jak błyszczy teraz odnowiony, wrócą z pewnością! Przed wszystkim uszczelniono szpary i otynkowano całą fasadę; następnie pomalowano boazerie otaczające wystawy na kolor jasnozielony; przepych posunięto do tego, że położono nawet szyld. Remont pochłonął trzy tysiące franków, które Bourras odkładał jako ostatnią rezerwę. Całą dzielnicę ogarnęło wzburzenie; sąsiedzi przyglądali się staremu, który tracił głowę pośród tego bogactwa, zupełnie wytracony ze swoich przyzwyczajień. Wystraszony, ze swą długą brodą i długimi włosami, nie czuł się już u siebie w tym zbyt błyszczącym otoczeniu, na tle zbyt delikatnych barw. Z przeciwległego trotuaru przechodnie dziwili się widząc, jak pracuje, zajęty produkcją coraz to nowych, artystycznie rzeźbionych rączek. Trawiła go gorączka pośpiechu, bał się, że zabrudzi nowo pomalowane ściany, i pogrążał się coraz

głębiej w tym luksusowym handlu, z którego nic nie rozumiał.

Podobnie jak w sklepie Robineau, tak i u Bourrasa kampania przeciw magazynowi „Wszystko dla Pań” rozpoczęła się na dobre. Starzec wprowadził do handlu parasole swojego pomysłu, nowy model złożony z klinów, który później powszechnie został przyjęty. Magazyn „Wszystko dla Pań” natychmiast udoskonalił ten wynalazek. Wówczas rozpoczęła się walka o cenę. Bourras miał parasole zrobione z mocnego materiału, stalowych drutów i – jak pisał na etykietach – nie do zarcia, które sprzedawał po franku dziewięćdziesiąt pięć. Przede wszystkim jednak chciał pobić konkurenta różnorodnością i pomysłowością rączek z bambusu, z drzewa dereniowego, oliwkowego, mirtowego lub trzciny. Magazyn, nie mogąc konkurować ze starym rzemieślnikiem pod względem artystycznym, przewyższał go doborem materiałów pokrywających parasole, reklamował alpagi i mohery, szarsze i lśniące tafty. Zwyciężył Mouret. a stary powtarzał z rozpaczą, że sztuka zesła na psy, że rzeźbi już rączki dla własnej przyjemności, bez najmniejszej nadziei na ich sprzedaż.

– To moja wina! – wykrzykiwał do Denise. – Nie powinienem był trzymać tego świństwa po jednym franku dziewięćdziesiąt pięć!... Oto dokąd prowadzą nowe pomysły! Chciałem naśladować tych bandytów i jeśli teraz zdechnę, to dobrze mi tak!

Lipiec był bardzo gorący. Denise męczyła się w małym pokoju na poddaszu. Toteż wieczorami, po wyjściu ze sklepu, zabierała małego Pepi od Bourrasa i szła z braciszkiem do ogrodu Tuileryjskiego, aby przed zamknięciem bramy odetchnąć trochę świeżym powietrzem. Pewnego wieczora, gdy szła w kierunku wielkich drzew kasztanowych, stanęła jak wryta: zdawało jej się, że zbliża się do niej Hutin. Lecz w sekundę później serce zabiło jej mocno. Naprzeciwko niej szedł Mouret, który wracał z kolacji na lewym brzegu Sekwany i podążał szybko piechotą w kierunku mieszkania pani Desforges. Gwałtowny gest, jaki zrobiła Denise, aby uniknąć spotkania, zwrócił jego uwagę. Mimo zapadającego zmroku poznał ją od razu.

– Ach, to pani.

Nie odpowiedziała, do głębi poruszona tym, że Mouret dla niej zechciał się zatrzymać. On zaś, uśmiechnięty, pokrywał zmieszanie uprzejmie protekcyjnym tonem.

– Mieszka pani ciągle w Paryżu?

– Tak – rzekła wreszcie.

Cofnęła się powoli, chciała z ukłonem przejść mimo i iść dalej. On jednak zawrócił i poszedł za nią wzdłuż mrocznej kasztanowej alei. Z zielonego sklepienia liści padał chłód, gdzieś w oddali śmiały się dzieci popychające ob ręce.

– To jest z pewnością pani braciszek, prawda? – zwrócił się z nowym pytaniem patrząc na Pepi.

Chłopczyk, zaskoczony i onieśmielony obecnością nieznanego pana, szedł poważnie obok siostry trzymając ją za rękę.

– Tak, proszę pana – odpowiedziała Denise.

Zaczerwieniła się, bo przyszły jej na myśl ohydne podejrzenia Małgorzaty i Klary. Mouret niewątpliwie zrozumiał, dlaczego się zaczerwieniła, gdyż zaraz dodał żywo:

– Proszę mnie posłuchać, muszę się pani wytłumaczyć... Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł być wcześniej wyrazić mój żal z powodu błędu popełnionego w stosunku do pani. Posadzono panią bezpodstawnie o pewne przewinienie. Trudno, stało się, ale chciałem pani powiedzieć, że wszyscy u nas dzisiaj wiedzą, jakim uczuciem pani darzy swoich braci.

Mówił dalej uprzejmie i z szacunkiem, tonem, do którego ekspedientki z magazynu „Wszystko dla Pań” nie były przyzwyczajone, gdyż nigdy się tak do nich nie zwracał. Zmieszanie Denise wzrosło, ale jednocześnie radość zalewała jej serce. Więc on wiedział, że nie oddała się jeszcze nikomu! Oboje milczeli teraz, ale Mouret nie odchodził zrównując swój krok z drobnymi kroczkami dziecka. Do pogrążonej w głębokim cieniu alei dochodziły z oddali zamierające odgłosy Paryża.

– Pozostaje mi tylko jedna droga rehabilitacji, którą mogę pani zaproponować – ciągnął dalej Mouret. – Czy nie zechciałaby pani wrócić do nas?...

Przerwała mu i odmówiła z jakimś gorączkowym pośpiechem:

– Nie mogę... Dziękuję panu, ale pracuję już gdzie indziej.

Wiedział o tym, ponieważ niedawno doniesiono mu, że Denise jest ekspedientką u Robineau. Wówczas, spokojnie rozmawiając z nią jak równy z równym, zaczął mówić o jej obecnym pryncypale, osądzając go zresztą bezstronnie: jest to młody człowiek o żywej inteligencji, ale nerwowy. Jego samodzielność skończy się katastrofą, gdyż Gaujean przytłoczył go zbyt ciężkim jak na jego barki zadaniem, z którego ani jeden, ani drugi nie wyjdą cało. Wówczas Denise, zjednana tym przyjacielskim tonem, przyznała mu się, że jest po stronie wielkich magazynów w tej walce, która się toczy między nimi a drobnym handlem; zapalała się, cytowała przykłady, obeznana z wszelkimi szczegółami zagadnienia, pełna nowych i postępowych myśli. Mouret słuchał jej słów ze zdumieniem. Pochylił się ku dziewczynie chcąc rozeznaczyć jej rysy mimo pogłębiających się ciemności. Wydawała mu się nie zmieniona – odziana w prostą sukienkę, o twarzy pełnej słodyczy; ale od tej skromnej powierzchowności bił jakiś upajający, zniewalający zapach. Oto ta mała dziewczynka wyrosła na paryżankę, stała się kobietą jakże niepokojącą i rozumną, I te kusząco piękne włosy...

– Skoro pani jest po naszej stronie – powiedział śmiejąc się – to dlaczego przebywa w

obozie wrogów?... Powiedziano mi, że mieszka pani u tego starego wariata Bourras. Czy to prawda?

– To jest bardzo zacny człowiek – szepnęła Denise.

– Ach, niechże pani tego nie mówi! Stary maniak, wariat, który zmusi mnie, że go wreszcie wyrzucę na bruk, chociaż chciałem odprawić go z majątkiem... Ale przede wszystkim pani nie powinna tam mieszkać, dom ma złą opinię, pokoje wynajmują takie osoby... – Spostrzegłszy jednak zmieszanie dziewczyny, dodał zaraz: – Wiem, że wszędzie można być uczciwym. Tym większa zasługa, jeśli dochowa się uczciwości mimo niedostatku.

Znowu szli koło siebie w milczeniu. Pepi słuchał rozmowy uważnie z miną przedwcześnie dojrzałego dziecka. Chwilami podnosił oczy na siostrę, zdziwiony drżeniem i gorącym jej ręki.

– Niech pani posłucha! – zaczął znowu wesoło Mouret. – Czy nie zechciałaby pani służyć mi za ambasadora? Miałem jutro zamiar podnieść jeszcze sumę proponowaną Bourrasowi i ofiarować mu osiemdziesiąt tysięcy franków... Niech mu pani to powie pierwsza, a jednocześnie da do zrozumienia, że swoim postępowaniem popełnia samobójstwo. Być może, że go pani przekona, ma bowiem dla Pani dużo przyjaźni, a pani odda mu tym prawdziwą przysługę.

– Dobrze – odpowiedziała uśmiechając się Denise. – Spełnię to polecenie, ale wątpię, czy mi się uda.

Znów zapanowało milczenie. Nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Przez chwilę Mouret mówił coś jeszcze o stryju Baudu, musiał jednak zamilknąć widząc niepokój Denise. Szli wciąż obok siebie, aż dotarli do ulicy Rivoli i znaleźli się w alei, gdzie było jeszcze widno. Kiedy wyszli z mroku drzew, jakby się nagle przebudzili. Mouret zrozumiał, że nie powinien dłużej zatrzymywać dziewczyny.

– Dobranoc pani.

– Dobranoc panu.

Ale nie odszedł natychmiast. Objął spojrzeniem oświetlone na rogu ulicy Algierskiej okna mieszkania oczekującej go pani Desforges. Przeniósł następnie wzrok na Denise i ujrzał ją wyraźnie w bladym świetle zmierzchu: była bardzo niepozorna w porównaniu z Henriettą, dlatego więc robiło mu się tak ciepło koło serca, gdy z nią rozmawiał? Głupi kaprys, nic więcej...

– Mały chłopczyk się zmęczył – powiedział, aby przerwać ciszę. – Niech pani pamięta, że nasza firma stoi zawsze dla Pani otworem. Wystarczy, że pani zapuka, a wówczas dam pani takie zadośćuczynienie za wyrządzoną krzywdę, jakiego pani będzie sobie życzyła...

Dobranoc pani.

– Dobranoc panu.

Gdy Mouret odszedł, Denise wróciła znów do kasztanowej alei pełnej mroku. Długo chodziła bez celu między ogromnymi drzewami. Krew uderzała jej do twarzy, a w głowie szumiały jakieś niejasne myśli. Pepi, ciągle uczepony jej ręki, wyciągał krótkie nóżki, aby dotrzymać kroku siostrze. W końcu powiedział:

– Denise, idziesz za prędko.

Usiadła więc na jednej z ławek. Zmęczone dziecko zasnęło zaraz na jej kolanach. Trzymała je przyciskając do swojej dziewczęcej piersi, z oczami zagubionymi w ciemności. W godzinę później, gdy wracała z braciszkiem ulicą Michodiére, miała już spokojny wyraz twarzy rozsądnej dziewczyny.

– Do stu piorunów! – zawołał Bourras, gdy tylko ją zobaczył. – Stało się... Ten łotr Mouret kupił mój dom.

Był zupełnie wyprowadzony z równowagi, tłukł się po sklepie gestykułując tak gwałtownie, że zdawało się, iż wylecą wszystkie szyby.

– Ach! Co za łajdak!... Dowiedziałem się o tym od właściciela, handlarza owocami, i wiesz, za ile go sprzedał? Za sto pięćdziesiąt tysięcy, cztery razy tyle, ile jest wart w rzeczywistości! Z gospodarza też niezgorszy złodziej... Wyobraź sobie, że jako pretekst podwyższenia ceny podał przeprowadzone przeze mnie upiększenia. Bezcelnie zażądał więcej dlatego, że dom został odnowiony... Czy oni nie przestaną kpić sobie ze mnie?

Do rozpaczki doprowadzała go myśl, że jego własne pieniądze wydane na tynki i farby przyczyniły się do wzbogacenia gospodarza.

A teraz Mouret stawał się właścicielem domu, jemu należało odtąd płacić komorne! Będzie mieszkał u niego, u tego znenawidzonego konkurenta! Świadomość ta doprowadzała go do białej gorączki.

– Słyszałem, jak przebijali mur... W tej chwili są już tutaj. To tak, jakby jedli z mego talerza!

Bił pięścią w ladę z taką siłą, że drżał cały sklep, a wszystkie parasolki i parasole tańczyły na ścianie.

Denise, oszołomiona, nie zdołała wtrącić ani jednego słowa. Stała nieruchomo, czekając, aż starzec uspokoi się. Mały Pepi, bardzo zmęczony, zasnął na krześle. Wreszcie, gdy Bourras doszedł do jakiejś takiej równowagi, dziewczyna postanowiła wykonać polecenie Moureta. Stary był mocno zirytowany, ale myślała, że może właśnie w tak zapalczym gniewie i wobec beznadziejności położenia nagle zmieni decyzję i przyjmie ofertę.

– Spotkałam kogoś z magazynu „Wszystko dla Pań”, osobę bardzo dobrze poinformowaną... Podobno jutro zaproponują panu osiemdziesiąt tysięcy franków...

Przerwał jej wrzeszcząc przeraźliwie:

– Osiemdziesiąt tysięcy! Osiemdziesiąt tysięcy!... Nie zgodzę się teraz, choćby mi nawet dawali milion!

Denise chciała przemówić do jego rozsądku, ale nagle drzwi sklepu otworzyły się i dziewczyna cofnęła się niema i blada. Na progu stał stryj Baudu z twarzą żółtą i postarzałą. Bourras chwycił sąsiada za guziki palta i jeszcze bardziej podniecony jego obecnością krzyknął mu w twarz, nie dopuszczając go do słowa.

– Czy pan wie, że oni mają czelność ofiarować mi teraz osiemdziesiąt tysięcy franków! Do tego już doszli ci bandyci! Myślę, że sprzedam, się jak dziwka... Kupili dom i sądzą, że trzymają mnie w garści! A właśnie, że im nie sprzedam! Byłbym może ustąpił, ale ponieważ dom do nich należy, niechże teraz spróbują go zająć!

– A więc to prawda? – powiedział Baudu zmęczonym głosem. – Zapewniano mnie, że tak, ale przyszedłem, aby się sam przekonać.

– Osiemdziesiąt tysięcy franków – powtarzał Bourras. – Dlaczego nie sto tysięcy! Oburza mnie właśnie wysokość sumy. Czy oni myślą, że swymi pieniędzmi skłonią mnie do popełnienia łajdactwa?... Do stu piorunów! Nie będą mieli mego sklepu! Nigdy, nigdy, słyszycie?

Denise odezwała się wreszcie spokojnym głosem:

– I tak będą go mieli za dziewięć lat, gdy wygaśnie pana kontrakt najmu.

Nie zważając już na obecność stryja zaklinała starca, aby przyjął propozycję. Walka stawała się już niemożliwa, prowadził ją przeciw miażdżącej przewadze sił i nie powinien, będąc przy zdrowych zmysłach, odrzucać podobnie korzystnej oferty. Starzec jednak odpowiadał uparcie: nie! Za dziewięć lat nie będzie już pewnie żył, więc nie zobaczy, co się stanie.

– Słyszysz pan, panie Baudu? – mówił. – Pańska bratanica jest po ich stronie! Polecono jej przekupić mnie... Jest po stronie tych bandytów, słowo daję!

Do tej pory stryj Baudu udawał, że nie widzi Denise. Podniósł głowę szorstkim ruchem, tak samo jak robił to zwykle, gdy stojąc na progu swojego sklepu widział ją przechodzącą. Odwrócił się powoli i popatrzył na nią. Jego grube wargi drżały ze wzruszenia.

– Wiem o tym – odpowiedział półgłosem.

Nie spuszczał z niej wzroku. Denise, wzruszona do łez, zauważyła, że zmartwienia zmieniły go bardzo. On natomiast, dręczony głuchym wyrzutem, myślał może o tym, że nie

pomógł jej, kiedy była w nędzy. Widok śpiącego na krześle małego Pepi, który nie obudził się wcale mimo głośno prowadzonej dyskusji, wzruszył go.

– Słuchaj, Denise – powiedział po prostu – przyjdź do nas jutro na kolację razem z małym... Moja żona i Genowefa prosiły, abym cię namówił, jeśli cię spotkam.

Denise zaczerwieniła się i ucałowała stryja. A gdy odchodził, Bourras, szczęśliwy z powodu tego pogodzenia się krewnych, krzyknął do niego jeszcze:

– Niech pan postara się, aby ona zmieniła zdanie. To dobra dziewczyna... Co do mnie, jeżeli dom się zawali, to znajdziecie mnie pod gruzami.

– Nasze domy już się walą nad naszymi głowami, sąsiedzie – powiedział Baudu ponurym głosem. – Zostaniemy pod gruzami wszyscy.

VIII

Cała dzielnica mówiła o wielkiej nowej arterii, która miała połączyć Operę z Giełdą i nosić nazwę ulicy Dziesiątego Grudnia. Decyzja o wywłaszczeniu została już ogłoszona i na dwu krańcach projektowanej ulicy dwie grupy robotników przystąpiły do burzenia domów: jedna z nich rozpoczęła rozbiórkę starych pałaców przy ulicy Louis-le-Grand, druga zaś zabrała się do burzenia lekkich murów dawnego teatru „Vaudeville”. Słychać było coraz bliższe uderzenia kilofem, zaś mieszkańcy ulic Choiseul i Michodièrerozmawiali z przejęciem o przeznaczonych na rozbiórkę domach, wśród których już przed upływem dwu tygodni nowa arteria miała przebić szeroki wyłom, pełen hałasu i słońca.

Jeszcze większe wrażenie wywarły w całej dzielnicy roboty rozpoczęte w magazynie „Wszystko dla Pań”. Mówiono o znacznym rozszerzeniu sklepu, o olbrzymich galeriach, które miały obejmować trzy fasady ulic: Michodière, Neuve-Saint-Augustin i Monsigny. Powiadano, że Mouret wszedł w porozumienie z baronem Hartmannem, prezesem Banku Hipotecznego, i zajmie cały blok domów z wyjątkiem placu przy nowej ulicy Dziesiątego Grudnia, gdzie baron miał zamiar zbudować hotel, jako konkurencję Grand-Hôtelu. Magazyn „Wszystko dla Pań” wykupywał wszędzie kontrakty najmu. Zamykano sklepy, lokatorzy wyprowadzali się. W opróżnionych lokalach całe armie robotników, otoczone tumanami białego kurzu wapiennego, rozpoczynały przebudowę. Pośród tego ogólnego zamieszania jedynie wąskie domostwo Bourrasa stało nietknięte, przylepione uparcie do wysokich otaczających je murów, okrytych deskami rusztowań.

Gdy następnego dnia Denise udała się z małym Pepi do stryja Baudu, ulicę przed dawnym pałacem Duvillard zagradzał właśnie szereg wozów wyładowując cegłę. Stryj, stojąc na progu sklepu, patrzył na to ponurym wzrokiem. W miarę rozrastania się magazynu „Wszystko dla Pań” sklep „Manufaktury z Elbeuf” wydawał się coraz mniejszy. Dziewczyna odniosła

wrażenie, że wystawy są jeszcze czarniejsze, jeszcze bardziej przytłoczone niskim pięterkiem o półokrągłych więziennych okienkach; wilgoć jeszcze bardziej odbarwiła stary zielony szyld, a z całej fasady, poszarzałej i jakby skurczonej, wiało beznadziejnością.

– Jesteście nareszcie – powiedział Baudu. – Uważajcie! Omal was nie przejechali.

Gdy Denise znalazła się w sklepie, serce jej ścisnęło się ponownie. Wnętrze było bodaj jeszcze bardziej mroczne niż przed kilku miesiącami, panowała w nim senność, niechybny zwiastun bankructwa; w ciemnych kątach czaiły się głębokie cienie, kurz zalegał kontuary i półki; z wielkich sztuk sukna, których od dawna nie ruszano, wydzielał się piwniczny zapach saletry. Pani Baudu i Genowefa siedziały przy kasie, milczące i nieruchome, jakby w jakimś zacisznym zakątku, gdzie nikt nie przerywał ich samotności. Matka zajęta była obrębianiem ścierek. Córka z rękami założonymi na kolanach, patrzyła bezmyślnie przed siebie.

– Dobry wieczór, ciociu – powiedziała Denise. – Bardzo się cieszę, że znowu ciocię widzę, a jeżeli zrobiłam przykrość, to proszę mi wybaczyć.

Pani Baudu, bardzo wzruszona, ucałowała ją serdecznie.

– Moja droga – odpowiedziała – witałabym cię radośniej, gdybym nie miała tylu zmartwień.

– Dobry wieczór, kuzynko! – mówiła dalej Denise całując Genowefę w oba policzki.

Genowefa jakby obudziła się nagle. Odwzajemniła pocałunek kuzynce, nie mogła jednak wymówić ani jednego słowa. Obydwie wzięły następnie między siebie małego Pepi, wyciągającego ku nim rączki. Nastąpiło zupełne pojednanie.

– No. jak tam! Już szósta, siadajmy do stołu – rzekł Baudu. – Dlaczego nie przyprowadziłaś Janka?

– Miał przyjść – powiedziała zakłopotana Denise. – Widziałam się z nim dziś rano i przyrzekł mi to solennie... Ale nie trzeba na niego czekać, może zatrzymał go pryncypał.

Denise domyślała się znów jakiejś awanturki i chciała na wszelki wypadek wytłumaczyć brata.

– Więc siadajmy do stołu – powtórzył stryj. Dodał też zaraz, obracając się ku mrocznemu wnętrzu: – Colomban, możesz zostawić sklep i jeść razem z nami. Na pewno nikt nie przyjdzie.

Denise nie zauważyła subiekta. Ciotka pośpieszyła z wyjaśnieniem, że musieli zwolnić drugiego sprzedawcę i pannę sklepową. Interesy szły tak kiepsko, że Colomban zupełnie wystarczał; zresztą nawet on całe godziny spędzał beczynn timer, ociążały, drzemiąc z otwartymi oczami.

W sali jadalnej paliła się gazowa lampa, mimo że dni letnie były długie. Wchodząc Denise

uczula lekki dreszcz, przejął ją przenikliwy chłód wiejący z murów. Zastała ten sam okrągły stół, nakrycia położone na ceracie, okno wychodzące na wąskie jak studnia, smrodliwe podwórko. Zdawało się jej, że ta jadalnia, podobnie jak sklep, stała się jeszcze ciemniejsza i jakby pełna łez.

– Ojczy – powiedziała Genowefa, krępując się wobec Denise – czy pozwolisz zamknąć okno? Taki zaduch stamtąd idzie.

Stary kupiec nie czuł tego zupełnie, toteż spojrzął na córkę zdziwiony.

– Naturalnie – odpowiedział wreszcie. – Zamknij, jeśli chcesz. Tylko że będzie nam duszno.

Rzeczywiście nie było czym oddychać. Posiłek był bardzo skromny, prawdziwie domowy. Po rosole, gdy służąca podała sztukę mięsa, stryj jak zwykle skierował rozmowę na sąsiadów z przeciwka. Z początku okazywał wiele pobłażliwości, nie miał za złe bratanicy, że ma inne niż on poglądy.

– Mój Boże! Zapewne, nikt ci nie broni stać po stronie tych wielkich domów towarowych. Każdy ma swoje zdanie, moja droga... Skoro nie zraziłaś się tym, że wyrzucono cię nikczemnie za drzwi, to dowodzi, że musisz mieć jakieś powody, i to poważne, aby ich lubić. Jeśli nawet do nich wrócisz, to nie będę miał do ciebie żalu... Nikt tutaj nie będzie miał do ciebie pretensji, prawda?

– Ależ oczywiście – powiedziała cicho pani Baudu.

Denise wyluszczyła swoje racje w podobny sposób, jak przedstawiała je kiedyś w domu Robineau: logiczny rozwój handlu, nowoczesne potrzeby epoki, rozmach tych nowych przedsięwzięć, wreszcie wzrastający dobrobyt odbiorców. Stryj Baudu, z okrągłymi ze zdumienia oczami, oniemiały, słuchał wywodów bratanicy z widocznym napięciem umysłu. Gdy skończyła, potrząsnął głową.

– Wszystko to są złudzenia. Handel jest zawsze handlem i na to nie ma rady... Zgadzam się z tym, że oni wygrają, co do reszty jednak... Przez długi czas myślałem, że skręcą kark, czekałem na to, chciałem ich przetrzymać – przypominasz sobie – ale nic z tego! Zdaje się, że dzisiaj złodzieje dorabiają się majątku, a uczciwi ludzie zdychają z głodu... Oto do czego doszliśmy... Jestem zmuszony ustąpić przed faktem dokonany. Toteż ustępuję, mój Boże! Ustępuję... – Stopniowo ogarniał go gniew. Nagle zaczął wymachiwać widelcem. – Nigdy moja firma nie pójdzie na ustępstwa!... Słyszałaś, co powiedziałem Bourrasowi: „Sąsiedzie, prowadzisz układy z szarlatanami, twoje malowidła to hańba!”

– Ale może być jednak jadł! – przerwała pani Baudu, zaniepokojona podnieceniem męża.

– Poczekaj, chcę, żeby moja bratanica wiedziała, co o tym myślę... Słuchaj, moja droga,

jestem jak ta karafka, nie ruszam się. Oni wygrywają, tym gorzej dla nich! Ja protestuję, i koniec.

Służąca przyniosła kawałek pieczonej cielęciny. Baudu pokroił mięso drżącymi rękami; nie miał już dawnej precyzji i pewności ręki w sprawiedliwym podziale porcji. Świadomość poniesionej klęski odebrała mu dawny autorytet otaczanego szacunkiem pryncypała. Małemu Pepi wydało się, że stryj się gniewa; aby malca uspokoić, pozwolono mu zjeść od razu deser, biszkopty przygotowane na stole przy jego nakryciu. Wówczas stryj Baudu ściszył głos i zaczął mówić o czym innym. Przez chwilę rozmowa toczyła się na temat rozbiórki domów. Staremu kupcowi podobał się pomysł przebicia nowej ulicy Dziesiątego Grudnia. Spowoduje to z pewnością ożywienie handlu w całej dzielnicy. Znowu jednak wrócił do sprawy magazynu „Wszystko dla Pań”. Każda rozmowa prowadziła niezmiennie do tego, była to już jakaś chorobliwa mania. Narzekał na zgniły zapach gipsu, na zastój w handlu z powodu zagradzających ulicę wozów z materiałami budowlanymi. Zresztą taki olbrzymi magazyn będzie śmieszny; klientki będą błądzić, czy nie lepiej od razu zrobić hale targowe? Pomimo błagalnych spojrzeń żony, mimo wysiłków, aby się pohamować, przeszedł z tematu robót inwestycyjnych na dochody magazynu. To nie do wiary! W ciągu niespełna czterech lat obroty wzrosły pięciokrotnie: roczny obrót, wynoszący dawniej osiem milionów, osiągnął sumę czterdziestu, jak wynika z ostatniego sprawozdania. Było to szaleństwo bez precedensu, z którym nie sposób walczyć. Magazyn bogacił się ciągle, zatrudniał teraz tysiąc pracowników i miał zamiar powiększyć ilość działów do dwudziestu ośmiu. Zwłaszcza owa liczba dwudziestu ośmiu działów doprowadzała starego kupca do szału. Zapewne, kilka z nich powstało tylko z powodu dawnych zbyt obszernych, ale inne były zupełnie nowe: na przykład dział mebli i specjalny dział wyrobów paryskich. To już jest niezrozumiałe! Galanteria! Ci ludzie nie mają ani za grosz godności, niedługo zaczną sprzedawać ryby. Stryj Baudu udając, że szanuje poglądy Denise, usiłował ją jednakże przekonać.

– Powiedz szczerze, przecież nie możesz ich bronić. Czy wyobrażasz sobie mnie zakładającego dział garnków i rondli w moim sklepie z sukmem? Powiedziałabyś, że jestem wariat... Przyznaj chociaż, że nie masz dla nich szacunku. – Dziewczyna uśmiechnęła się zakłopotana, zdając sobie sprawę z bezcelowości dyskusji. Stryj zaczął mówić znowu: – Widzę, że jesteś po ich stronie. Nie mówmy już o tym, nie chcę, żeby ten magazyn znowu stał się przyczyną nieporozumień między nami. To już byłby szczyt wszystkiego, żeby oni jeszcze psuli nam stosunki rodzinne!... Wróc do nich, jeżeli masz ochotę, ale zabraniam ci zawracać mi głowę tymi wszystkimi historiami!

Zapanowało milczenie. Dawna gwałtowność kupca znikła ustępując miejsca pełnej

rozdrażnienia rezygnacji. W ciasnej jadalni, rozgrzanej jeszcze płomieniem lampy gazowej, zrobiło się tak duszno, że nie było czym oddychać, i służąca musiała otworzyć okno. Nad stołem powiał wilgotny zaduch podwórza. Wniesiono duszone w tłuszczu kartofle. W milczeniu nakładano je na talerze.

– Popatrz na tych dwoje – zaczął po chwili kupiec wskazując nożem Genowefę i Colombana. – Zapytaj ich, czy lubią magazyn „Wszystko dla Pań”.

Siedząc obok siebie na tych samych miejscach od lat dwunastu, Genowefa i Colomban jedli powoli. Nie odezwali się dotąd ani słowem. Przesadnie dobroduszna twarz młodego człowieka zdawała się ukrywać pod opadającymi powiekami trawiący go ogień. Dziewczyna zaś, uginając jeszcze bardziej głowę pod ciężarem włosów, siedziała pochylona, jakby nękana jakimś ukrytym cierpieniem.

– Ostatni rok był katastrofalny – tłumaczył stryj Baudu. – Trzeba było odłożyć termin ślubu... Zrób mi tę przyjemność i zapytaj ich, co myślą o twoich przyjaciółkach.

Aby zadośćuczynić prośbie stryja, Denise zapytała narzeczonych o ich zdanie w tej sprawie.

– Nie mogę ich lubić, kuzynko – odpowiedziała Genowefa – ale bądź spokojna, nie wszyscy ich nienawidzą.

Popatrzyła przy tym na Colombana, który kręcił gałkę z chleba z zamyśloną miną. Kiedy poczuł na sobie wzrok narzeczonej, wybuchnął potokiem gwałtownych słów:

– Wstrętna buda!... Same łajdaki, jedni gorsi od drugich... To prawdziwa zaraza dla dzielnicy!

– Słyszycie go! Słyszycie? – wołał Baudu zachwycony. – Przynajmniej jeden się znalazł, którego nie przekabacą!... Jesteś ostatnim, mój drogi! Już takich więcej nie będzie!

Genowefa nie odrywała surowego i pełnego bólu spojrzenia od twarzy Colombana. Czytała w jego sercu. Pod wpływem jej wzroku młody człowiek zmieszał się i znów wybuchnął stekiem wyzwisk. Pani Baudu przenosiła wzrok to na subiekta, to na córkę, niespokojna i milcząca, jakby przeczuwając jakieś nowe nieszczęście. Od pewnego czasu przerażał ją smutek córki; rozumiała, że Genowefa ginie.

– W sklepie nie ma nikogo – powiedziała wstając od stołu i chcąc przerwać smutną scenę. – Zobacz no, Colomban, zdaje mi się, że ktoś wszedł.

Skończono kolację, wszyscy podnieśli się ze swych miejsc. Baudu i Colomban wrócili do sklepu, aby porozmawiać z pośrednikiem, który właśnie zgłosił się po zamówienia. Pani Baudu zabrała Pepi, aby pokazać mu obrazki. Służąca szybko uprzątnęła stół. Denise stała długą chwilę, zamyślona, przy oknie, patrząc na podwórko. Gdy odwróciła się, spostrzegła

ciągle siedzącą na swoim miejscu Genowefę, z oczami utkwionymi w wilgotną od mokrej gąbki ceratę.

– Czy dolega ci coś, kuzynko? – zapytała.

Dziewczyna nie odpowiedziała wpatrując się uporczywie w pęknięcie ceraty, całkowicie pochłonięta jakimiś myślami. Po chwili podniosła z wysiłkiem głowę i popatrzyła na schyloną nad nią współczująco twarz Denise. Czy wszyscy już poszli? Co robiła tutaj na tym krześle? Nagle rozplakała się rozpaczliwie, z głową opartą o brzeg stołu. Rękaw jej sukni był mokry od łez.

– Mój Boże! Co ci jest? – zawołała Denise przerażona. – Czy mam kogoś zawołać?

Genowefa schwyciła ją gorączkowo za rękę. Przytrzymała kuzynkę jękając:

– Nie, nie... zostań... Żeby tylko mama nie widziała!... Przy tobie nie mam się co krepować, ale nie mogę zdradzić się przed nimi!... To tylko tak, mimo woli, przysięgam ci... To dlatego, że zostałam taka sama... Już mi lepiej, już nie płaczę.

Nowy szloch wstrząsnął jednak jej szczupłym ciałem. Zdawało się, że węzeł czarnych włosów przytłacza kark. Gdy głowa opadła na skrzyżowane ramiona, szpilka wysunęła się i włosy rozsypały się po szyi, okrywając płaczącą ciemną falą. Denise po cichu, aby nie zwrócić uwagi domowników, starała się przyjść jej z pomocą. Rozpięła stanik i przerażona się chorobliwej chudości kuzynki: biedna Genowefa miała zapadniętą, dziecinną pierś, płaski biust wycieńczonej anemią dziewczyny. Denise uchwyciła obu rękami wspaniałe włosy, które zdawały się wysysać wszystkie siły żywotne organizmu, i związała je mocno w węzeł, aby odsłonić twarz i dopuścić nieco powietrza.

– Dziękuję ci, jesteś taka dobra – mówiła Genowefa. – Prawda, jaka ja jestem chuda? Miałam więcej ciała, ale to wszystko gdzieś się podziało... zapnij mi suknię, bo mama gotowa zobaczyć moje ramiona... Ukrywam je, jak tylko mogę... Mój Boże! Ja nie jestem zdrowa, nie jestem zdrowa...

Atak płaczu mijał. Biedna dziewczyna siedziała zgarbiona na krześle i wpatrywała się uporczywie w kuzynkę. Po chwili milczenia zapytała:

– Powiedz mi prawdę, on ją kocha?

Denise czuła, jak rumieniec wypływa na jej policzki. Wiedziała doskonale, że chodzi o Colombana i Klarę. Udała jednak zdziwienie.

– O kim mówisz, moja droga?

Genowefa potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

– Błagam cię, nie okłamuj mnie. Zrób mi tę przysługę, żebym nareszcie miała pewność. Ty musisz wiedzieć, czuję to. Byłaś przecie koleżanką tej kobiety i widziałam, że Colomaban

chodził za tobą i mówił coś do ciebie szeptem. Dawał ci jakieś polecenia dla niej, prawda?... Zlituj się, powiedz mi prawdę, przysięgam ci, że to mi sprawi ulgę.

Nigdy jeszcze Denise nie znalazła się w takim kłopotliwym położeniu. Spuściła oczy przed tą zawsze milczącą dziewczyną, która domyślała się wszystkiego. Zdobyła się jednak na wysiłek, aby ją jeszcze ludzić.

– Ależ on ciebie kocha!

Genowefa zrobiła ręką rozpaczliwy ruch.

– Nie chcesz mi nic powiedzieć... Ale i tak mi wszystko jedno, bo ich widziałam. On wychodzi ciągle na chodnik, aby na nią popatrzeć. A ona tam na górze śmieje się jak szalona... Z pewnością spotykają się na ulicy.

– Co to, to nie, przysięgam ci! – krzyknęła Denise w odruchu litości, chcąc przynajmniej pod tym względem pocieszyć kuzynkę.

Genowefa odetchnęła głęboko. Uśmiechnęła się leciutko, po czym odezwała się słabym głosem rekonwalescentki:

– Podaj mi szklanekę wody... Nie gniewaj się, że cię fatyguję. Jest tam, w kredensie.

Gdy miała już w ręku karafkę, nalała pełną szklanekę wody i wychyliła ją duszkiem. Ręką odsunęła Denise, która chciała temu zapobiec w obawie, że to kuzynce zaszkodzi.

– Zostaw mnie, zostaw... Ciągłe mam pragnienie. W nocy wstaję, żeby się napić. – Znow zapanaowało milczenie. Potem Genowefa zaczęła mówić cicho: – Nie wyobrażasz sobie, jak ja się od dziesięciu lat przyzwyczaiałam do myśli o tym małżeństwie. Nosiałam jeszcze krótkie sukienki, kiedy wiedziałam już, że Colomban ma być moim mężem... Nie przypominam sobie nawet, jak się to stało. Żyliśmy ciągle razem, jedno przy drugim, jakby zamknięci tutaj, nie rozstając się nigdy, toteż przywykłam uważać go za mego męża, choć nie został nim jeszcze. Nie zdawałam sobie sprawy, czy go kocham, czułam się jego żoną, i koniec.. A dzisiaj on chce mnie opuścić dla innej! Mój Boże!... Serce mi pęka! Nigdy jeszcze nie cierpiałam tak bardzo. Czuję ból w piersi i w głowie, rozchodzi się wszędzie, zabija mnie.

W oczach jej pokazały się znow łzy. Denise, której również chciało się płakać z litości, zapytała:

– Czy ciotka domyśla się czegoś?

– Tak, zdaje się, że mama się domyśla... Ojciec jest zanadto skołatany i nie zdaje sobie sprawy, jaki mi zadaje ból odkładając to małżeństwo... Kilka razy mama pytała mnie... Bardzo się niepokoi, że jestem coraz mizerniejsza. Ona sama nigdy nie była zbyt silna i powtarza mi często: „Moja biedna córeczko, to moja wina, że jesteś taka słabowita”. Ale to jest także wina tych starych sklepów, które wysysają wszystkie siły. W końcu mama

spozrzeże przecież, że zmizerniałam za bardzo... Popatrz tylko na moje ręce, czy to jest możliwe?– Drżącą ręką sięgnęła znów po karafkę. Kuzynka chciała jej przeszkodzić. – Nie. pozwól, strasznie mi się chce pić...

Ze sklepu dochodził podniesiony głos pana Baudu. Denise, ulegając popędowi dobrego serca, ukłękła i po siostrzanemu otoczyła Genowefę ramionami. Całowała ją i zapewniała, że wszystko będzie dobrze, że poślubi Colombana. że wyzdrowieje i będzie szczęśliwa. Podniosła się jednak szybko. Stryj wołał:

– Przyszedł Janek, chodź prędko.

Istotnie w sklepie stał zmieszany Janek, który teraz dopiero zjawił się na kolację. Kiedy mu powiedziano, że minęła już ósma, otworzył usta ze zdziwienia. To niemożliwe, przecież dopiero co wyszedł od swojego pryncypała. Śmiano się z niego, że szedł dla skrócenia drogi przez lasek Vincennes. Skoro tylko zbliżył się do siostry, szepnął do niej cicho:

– To ta mała praczka, co odnosiła bieliznę... Wynająłem dorożkę na godziny. Daj mi pięć franków.

Wyszedł na chwilę i wrócił, aby usiąść do stołu, ponieważ pani Baudu nie chciała go wypuścić z domu. dopóki nie zje przynajmniej zupy. Genowefa powróciła do sklepu, jak zawsze niepozorna i cicha. Colomban drzemał za kontuarem. Wieczór ciągnął się smutnie i ospale, ciszę przerywały tylko kroki stryja Baudu, który przechadzał się po pustym sklepie. Paliła się tylko jedna lampa, z niskiego sufitu sphywały szerokie smugi cienia, czarne jak ziemia sypiąca się z łopaty w głąb otwartego grobu.

Mijały miesiące. Denise zachodziła prawie codziennie do sklepu stryja, aby rozerwać Genowefę. Smutek jednak gościł coraz częściej u państwa Baudu. Roboty prowadzone po drugiej stronie ulicy nie pozwalały zapomnieć o trosce, budziły ją wciąż na nowo. Nawet jeśli zdarzyło się, że nadzieja wstępowała w ich serca, że spotkała ich jakaś nieoczekiwana radość, wystarczał odgłos wozu z cegłą. skrzyp piły robotnika lub nawet zwykłe wołanie murarza, aby zatruć im spokój. Cała dzielnica zresztą była wstrząśnięta rozbudową magazynu „Wszystko dla Pań”. Z zagrodzonej deskami przestrzeni, obejmującej trzy ulice, dochodził gwar gorączkowej pracy. Architekt wykorzystał istniejące już budynki, przebijał jednak wszędzie mury. wprowadzał zmiany. Pośrodku – na placu powstałym z połączenia kilku podwórek – budował halę centralną, obszerną jak kościół, z głównym wejściem o ozdobnej fasadzie od strony ulicy Neue-Saint-Augustin. Początkowo napotymano duże trudności przy zakładaniu fundamentów, natrafiono bowiem na sieć kanałów ściekowych i nawiezioną ziemię pełną kości ludzkich. Następnie wiercenie studni zainteresowało żywo wszystkie sąsiednie domy. Była to stumetrowej głębokości studnia, której wydajność miała dochodzić

do pięciuset litrów na minutę. Mury wzniesiono już do wysokości pierwszego piętra. Rusztowania i roboty ciesielskie obejmowały cały teren budowy. Słychać było bez przerwy zgrzyt dźwigów wciągających kamienie ciosowe, szcęk hałaśliwie rzuconych belek żelaznych, rozgwar całego tłumu robotników przy akompaniamencie kilofów i młotów. Ale ponad wszystkim górował ogłuszający warkot maszyn. Wszystko poruszane było parą, powietrze przeszywał ostry gwizd. Przy najslabszym nawet podmuchu wiatru całe tumany tynku wzbijały się w górę i opadały na sąsiednie dachy, niby warstwa śniegu. Państwo Baudu patrzyli z rozpaczą na ten nieubłagany pył, który docierał wszędzie, przenikał przez najszczelniej zamknięte drzwi i okna, pokrywał białym kurzem materiały w sklepie, wciskał się nawet do łóżek. Życie zatruwała im myśl, że mimo największych ostrożności oddychają tym pyłem, który ich w końcu zabije.

W dodatku sytuacja ciągle się pogarszała. W obawie, że nie zdąży dotrzymać terminu, architekt zdecydował się we wrześniu na prowadzenie robót w nocy. Zainstalowano bardzo silne lampy elektryczne i nie przerywano toku robót: ekipy robotników zmieniały się, młoty nie przestawały huczeć, maszyny gwizdać, ciągły hałas jakby unosił i rozpraszał tumany tynku. Doprowadzeni do ostateczności, państwo Baudu nie mogli zmrużyć oka. W nocy wstrząsy ulicznych prac dochodziły aż do ich sypialni. Kiedy usypiali zmęczeni, hałas przemieniał ich sen w koszmar. Wstawali wówczas z łóżek i boso, aby uśmierzyć gorączkę, podchodzili do okna, odsuwali firankę i stali przerażeni widokiem magazynu „Wszystko dla Pań”, rozplamionego w ciemnościach jak olbrzymia kuźnia, gdzie wykuwano wyrok ich zagłady. Pośród nie wykończonych murów, podziurawionych otworami okien, lampy elektryczne rzucały smugi oślepiających niebieskich promieni. Biła godzina druga w nocy, potem trzecia, czwarta. Cała dzielnica spoczywała w niezdrowym i przerywanym wciąż śnie, a teren budowy, wyolbrzymiony jeszcze przez to księżycowe jakby światło, ogromny i fantastyczny, roił się od czarnych cieni hałasujących robotników, których ruchome sylwetki rysowały się wyraźnie na tle oślepiająco białych, świeżo tynkowanych murów.

Tak jak przepowiadał stryj Baudu, drobny handel sąsiednich dzielnic poniósł ciężki cios. Każdy nowy dział w magazynie „Wszystko dla Pań” powodował nową serię katastrof handlowych wśród okolicznych właścicieli sklepów. Klęska zataczała coraz to szersze kręgi, najstarsze firmy waliły się z traskiem. Panna Tatin, bielizniarka z pasażu Choiseul, ogłosiła upadłość, rękawicznik Quinette mógł wytrzymać jeszcze zaledwie sześć miesięcy; właściciele sklepu z futrami, bracia Vanpouille, zostali zmuszeni do odnajęcia części swego lokalu; jeżeli firma pończosznicza Bedore przy ulicy Gaillon trzymała się jeszcze, to tylko dzięki temu, że właściciele przejadali rentę nagromadzoną przez długie lata. Teraz prócz bankructw

przewidywanych od dawna zagrażały nowe: świeżo powstały w magazynie Moureta dział galanterii paryskiej stwarzał niebezpieczeństwo dla krewkiego grubasa, właściciela sklepu z zabawkami z ulicy Świętego Rocha, kupca Desligneres, dział meblarski, specjalnie ciężko dotknął spółkę Piotr i Rivoire, której składy kryły się w cieniu pasażu Świętej Anny. Obawiano się nawet, że Desligneres dostanie apopleksji, wściekał się bowiem bez przerwy, odkąd magazyn „Wszystko dla Pań” wystawił portmonetki z trzydziestoprocentowym rabatem. Bardziej flegmatyczni właściciele magazynu mebli udawali, że kpią sobie z tych kupczyków, – którzy zabrali się do sprzedaży stołów i szaf. Ale klientki opuszczały ich, powodzenie nowego działu w magazynie zapowiadało się wspaniale. Był to koniec, nie pozostawało nic innego, jak tylko poddać się; po nich załamią się inni. Zrozumiano, że po kolei wszyscy drobni kupcy będą musieli zbankrutować. Oczyma wyobraźni widziano już, jak magazyn „Wszystko dla Pań” pokrywa całą dzielnicę jednym olbrzymim dachem.

Co rano i co wieczór tysiące wchodzących i wychodzących z magazynu pracowników tworzyły na placu Gaillon tak długą kolejkę, że przechodnie zatrzymywali się i przypatrywali temu pochodowi, podobnie jak ogląda się przemarsz oddziału wojska. Przynajmniej przez dziesięć minut chodniki zatarasowane były przez tłum subiektów. Właściciele okolicznych sklepów stojąc w drzwiach myśleli o tym, że mając jednego sprzedawcę ledwie go mogą wyżywić. Ostatnie zestawienie obrotów wielkiego magazynu, wyrażające się sumą czterdziestu milionów franków, wzburzyło całe sąsiedztwo. Wiadomość przebiegała od jednego domu do drugiego wywołując okrzyki zdziwienia i gniewu. Czterdzieści milionów! To nie do pojęcia! Czysty dochód nie przekraczał z pewnością czterech procent, biorąc pod uwagę ogromne koszty własne i system taniej sprzedaży. Ale milion sześćset tysięcy zarobku to mimo wszystko piękna suma i można się było zadowolić tymi czterema procentami dochodu, jeśli miało się do rozporządzenia podobne kapitały. Opowiadano, że początkowy kapitał Moureta, pierwsze pół miliona franków, powiększany co roku sumą dochodów, kapitał, który wynosił dziś zapewne koło czterech milionów, już dziesięć razy był lokowany w towarze dla poszczególnych działów. Gdy Robineau przeprowadził te obliczenia w obecności Denise po zakończeniu posiłku, ogarnęło go przygnębienie: siedział chwilę z oczami utkwionymi w pusty talerz. Ta dziewczyna miała rację: ustawiczny obrót kapitałem stanowił nieprzewycięzoną siłę nowego handlu. Jedynie stary Bourras upierał się, przeczył najoczywistszym faktom, nie chciał zrozumieć, nadęty jak indyk, a głupi jak but... Banda złodziei, nic więcej! Notoryczni kłamcy! Szarlatani, którzy pewnego pięknego poranku znajdują się w rynsztoku!

Państwo Baudu, mimo mocnego postanowienia, aby nic nie zmieniać z dawnych

zwyczajów firmy, zdecydowali się jednak stawić czoło konkurencji. Ponieważ klientela ich opuściła, postanowili szukać jej posługując się pośrednikami. Mieszkał w owym czasie na placu Paryskim pośrednik, będący w stosunkach ze wszystkimi wielkimi krawcami i ratujący małe firmy z branży sukienniczej, jeśli tylko zechciał przyjąć ich przedstawicielstwo. Wydzierano go sobie, a on cenił się jak jakaś wielka osobistość. Baudu zaczął się z nim targować w niefortunny sposób i naraził mu się do tego stopnia, że pośrednik porozumiał się z firmą Matignon z ulicy Croix-des-Petits-Champs. Z kolei dwaj inni pośrednicy okradli go, trzeci – człowiek uczciwy – nie robił nic. Firma konała powoli, bez wstrząsów; stopniowo zamierał ruch, klientek ubywało. Nadszedł taki dzień, kiedy już nie można było dotrzymać terminów płatności. Dotąd czerpano pieniądze z uzyskanych w poprzednich latach oszczędności, teraz już wpadano w długi. Baudu, przerażony wysokością podpisanych weksli, zdecydował się w grudniu na największe poświęcenie: sprzedał dom wiejski w Rambouillet, dom, który kosztował olbrzymie sumy z powodu przeprowadzanych wciąż remontów i którego lokatorzy nie płacili ani grosza, choć się tego domagał, przyciśnięty koniecznością. Sprzedaż domu była rozwianiem jedyne w życiu marzenia starego kupca, toteż cierpiał z tego powodu jak po stracie drogiej osoby. Musiał odstąpić za siedemdziesiąt tysięcy franków obiekt, który kosztował go więcej niż dwieście tysięcy. Był zadowolony, że znalazł nabywców w osobie sąsiadów, państwa Lhomme'ów, których skłoniła do kupna chęć rozszerzenia poprzednio już nabytej posiadłości. Te siedemdziesiąt tysięcy franków mogło jeszcze przez pewien czas powstrzymać ruinę starego sklepu. Mimo wszystkich poniesionych porażek, w umyśle sukiennika budziła się na nowo myśl o podjęciu walki: może postępując teraz systematycznie, uda się jeszcze zwyciężyć.

W niedzielę, w dniu, kiedy państwo Lhomme wypłacili pieniądze, zostali przez państwo Baudu zaproszeni na kolację. Pani Aurelia przyszła pierwsza. Kasjer dał na siebie czekać, upojony muzyką, której poświęcił całe popołudnie. Albert przyjął co prawda zaproszenie, ale nie pokazał się wcale. W ogóle wieczór pozostawił przykre wrażenie. Państwa Baudu, przyzwyczajonych do zacisznej atmosfery panującej w ich ciasnej, zatęchłej jadalni, raziło to rozprężenie spójni rodzinnej i swobodne maniery gości. Genowefa, urażona królewskimi manierami pani Aurelii, nie otworzyła ust. Za to Colomban podziwiał kierowniczkę działu, drżąc na myśl, że to ona właśnie jest zwierzchniczka Klary.

Przed udaniem się na spoczynek, gdy pani Baudu leżała już w łóżku, stary kupiec długo przechadzał się po pokoju. Było ciepło, gdyż na dworze panowała odwilż. Mimo zamkniętych okien i zasuniętych stor, słychać było sapanie maszyn pracujących naprzeciwko.

– Czy wiesz, co mi przychodzi do głowy. Elżbieto? – powiedział w końcu kupiec. – Myślę

o tym, że chociaż Lhomme'owie zarabiają dużo pieniędzy, nie chciałbym być w ich skórze... Powodzi im się dobrze, to prawda. Słyszałaś, co ona opowiadała? Zarobiła w tym roku prawie dwadzieścia tysięcy franków i dlatego mogła kupić mój nieszczęsny dom. Ale niech tam! Nie mam już domu, ale przynajmniej nie latam muzykować. a ty nic wałęsasz się po mieście... Widzisz, ja myślę, że oni nie mogą być szczęśliwi.

Baudu cierpiał jeszcze z powodu poniesionej przez siebie ofiary i miał pretensję do ludzi, którzy kupili od niego dom – marzenie całego jego życia. Zbliżając się do łóżka gadał i wymachiwał rękami, ale kiedy wracał do okna, milkł na chwilę i przysłuchiwał się odgłosom dochodzącym z terenu budowy. Potem znów pomstował i biadolił na temat nowych stosunków: czy to nie jest wręcz nieprzyzwoite, żeby subiekci zarabiali teraz więcej aniżeli drobni właściciele sklepów, żeby kasjerów stać było na kupowanie posiadłości pryncypałów? Wszystko wokoło się wali, rodzina się rozpręga, żyje się po hotelach zamiast uczciwie jadać we własnym domu. Zakończył wreszcie swą tyradę przepowiednią, że Albert i tak straci z aktorkami nabytą w Rambouillet ziemię i dom.

Pani Baudu słuchała męża blada jak poduszka, na której głowa jej spoczywała bezwładnie.

– Zapłacili ci przecież – powiedziała w końcu łagodnie. Na te słowa Baudu zamilkł. Przez kilka chwil spacerował po pokoju z oczami utkwionymi w ziemię. Potem zaczął znowu:

– Tak, zapłacili mi, to prawda. Ich pieniądze są równie dobre jak każde inne... Byłoby zabawne podźwignąć naszą firmę za te właśnie pieniądze. Gdybym nie był taki stary i taki zmęczony!

Zapanowała cisza. Kupiec sukienny układał w głowie jakieś niejasne jeszcze projekty. Nagle jego żona zaczęła mówić z oczami utkwionymi w sufit, jakby martwa:

– Czy zwróciłeś uwagę, że od pewnego czasu nasza córka jest jakaś dziwna?

– Nie – odpowiedział.

– Niepokoi mnie trochę... Robi się coraz bledsza, tak jakby się czymś martwiła. Baudu przystanął koło łóżka, zdumiony.

– Ale jaki może być tego powód?... Jeśli jest chora, to powinna powiedzieć. Jutro trzeba wezwać lekarza.

Pani Baudu leżała wciąż bez ruchu. Po chwili milczenia odezwała się znowu ostrożnie:

– Myślę, że należałoby już zdecydować się na to małżeństwo z Colombanem.

Popatrzył na nią i zaczął znowu chodzić po pokoju. Teraz uświadomił, sobie pewne fakty. Czy to możliwe, aby jego córka wpadła w chorobę z powodu tego chłopca? Czy kocha go do tego stopnia, że nie może już dłużej czekać? Jeszcze jedno nieszczęście! Przerazało go to tym bardziej, że miał zdecydowany sąd o tym małżeństwie. Za. nic w świecie nie chciałby

pozwolić na zawarcie go w dzisiejszej sytuacji. Niepokój o córkę skłaniał go jednak do ustępstw.

– Dobrze, porozmawiam z Colombanem – odparł Baudu i zaczął znów swoją przechadzkę po pokoju. Wkrótce powieki żony opadły, twarz śpiącej była trupio blada. On wciąż jeszcze chodził tam i na powrót. Zanim się położył, rozchylił zasłony i spojrzął na ulicę: po przeciwnej stronie otwory okienne starego pałacu Duvillard ziały pustką nad terenem budowy, po którym uwijali się robotnicy w oślepiającym świetle lamp elektrycznych.

Następnego dnia rano Baudu zaciągnął Colombana do ciemnego składu na pięterku. Już poprzedniego wieczora ułożył sobie, co mu ma powiedzieć.

– Mój chłopcze – zaczął – wiesz, że sprzedałem moją posiadłość w Rambouillet. To pozwoli nam podjąć nowy wysiłek... Lecz przede wszystkim chcę z tobą porozmawiać.

Młody człowiek, jakby obawiając się tej rozmowy, czekał zmieszany. Mrugał swymi małymi oczami i usta miał otwarte, co było u niego oznaką głębokiej rozterki wewnętrznej.

– Słuchaj mnie uważnie – podjął sukiennik. – Kiedy Hauchecome odstąpił mi swój sklep, firma była w rozkwicie. On sam otrzymał ją kiedyś od starego Fineta także w dobrym stanie... Znasz moje zapatrywania, wydawałoby mi się, że popełniłem nieuczciwość, gdybym przekazał moim dzieciom ten rodzinny depozyt uszczuplony, dlatego też odkładałem datę twojego ślubu z Genowefą... Uparłem się, łudziłem, że zdołam przywrócić dawną pomyślność, chciałem położyć przed tobą księgi kasowe mówiąc:

„Słuchaj! W roku, kiedy zacząłem pracę w tym sklepie, sprzedano tyle a tyle sukna, zaś w roku, kiedy wycofuję się, obrót wzrósł o dziesięć albo dwadzieścia tysięcy franków..”. Widzisz, poprzysiągłem to sobie, pragnąłem dowieść, że firma nie podupadła w moich rękach. W przeciwnym razie wydawałoby mi się, że was okradłem. – Dławiło go wzruszenie. Chcąc je pokryć wytarł nos i zapytał: – I co ty na to?

Ale Colomban nie miał nic do powiedzenia. Kręcił głową i czekał coraz bardziej zmieszany, przeczuwając, do czego zmierza pryncypał. Chodziło na pewno o przyśpieszenie terminu ślubu. I jak tu odmówić? Nigdy się na to nie odważy. Tymczasem myśli jego uporczywie wracały do tamtej, o której śnił nocami, kiedy ciało paliło go takim ogniem, że rzucał się nago na posadzkę w obawie, iż przyjdzie mu chyba umrzeć z tej miłości.

– Dzisiaj – mówił dalej Baudu – te pieniądze mogą nas uratować. Sytuacja pogarsza się z każdym dniem, ale może, jeżeli zdobędziemy się na najwyższy wysiłek... Chciałem cię o tym uprzedzić. Postawimy wszystko na jedną kartę. Jeżeli nas pobiją – zginiemy... Tylko, mój biedny chłopcze, wasze małżeństwo znowu musi ulec zwłoce, ponieważ, nie mogę pozwolić, abyście sami znosili te ciężkie chwile, jakie nas czekają. Myślę, że byłaby to podłość z mojej

strony, prawda?

Uspokojony Colomban usiadł na sztukach multonu. Nogi drżały jeszcze pod nim. Bał się teraz, że zdradzi się ze swoją radością, więc spuścił głowę obejmując rękami kolana.

– I co ty na to? – powtórzył Baudu. Colomban milczał, nie mógł się zdobyć na jakąkolwiek odpowiedź. Wówczas kupiec znów zaczął mówić powoli:

– Byłem pewien, że cię to zmartwi... Uszy do góry! Otrząśnij się z tego, nie bądź taki przybity... Wejdz w moje położenie. Czyż mogę uwiesić wam u szyi taki ciężar? Zamiast oddać wam kwitnący interes mam wam zostawić w spadku same długi? Nie, tylko ostatni łotr mógłby zrobić coś podobnego... Chcę z całej duszy, abyście byli szczęśliwi, ale żadna siła nie zmusi mnie, abym postąpił wbrew nakazom sumienia.

Kupiec mówił tak długo, płacząc się w sprzecznych zdaniach jak człowiek, który pragnie, aby domyślano się, co znaczą jego półsłówka, i aby zmuszono go do powzięcia postanowienia wbrew jego woli. Ponieważ zobowiązał się oddać rękę córki wraz ze sklepem, uczciwość nakazywała mu oddać obydwie rzeczy w nienagannym stanie, bez żadnych defektów i żadnych długów. Był już jednak zmęczony, ciężar wydawał mu się ponad siły i w jego nieco bełkotliwym głosie czuło się prośbę. Oczekiwał ze strony Colombana jakiegoś odruchu, jakichś serdecznych słów. Ten jednak milczał.

– Wiem, że nam, starym, brak zapału – powiedział bardzo cicho. – Gdy młodzi wezmą w czymś udział, wszystko idzie składnie. Są pełni werwy, to jest zrozumiałe... Ale daję słowo, że nie mogę na to pozwolić! Gdybym ci uległ, mógłbyś potem mieć do mnie żal. – Umilkł drżąc na całym ciele, a ponieważ młody człowiek siedział wciąż ze spuszczoną głową, zapytał po raz trzeci po chwili przykrego milczenia: – I co ty na to?

Nie patrząc na pryncypała Colomban odpowiedział wreszcie:

– Nie mam tu nic do powiedzenia... Pan tu rządzi i ma pan więcej rozumu od nas wszystkich. Ponieważ pan tak chce, więc zaczekamy, postaramy się być rozsądni.

Rozmowa była skończona. Baudu miał jeszcze nadzieję, że chłopak rzuci mu się w ramiona krzycząc: „Ojczy, odpocznij już. Teraz my poprowadzimy walkę, oddaj nam sklep taki, jaki jest, a dokonamy cudu, żeby go uratować”. Popatrzył na Colombana i ogarnął go wstyd. Oskarżał się w głębi duszy, że chciał oszukać własne dzieci. Budziła się w nim stara, do maniactwa posunięta uczciwość kupiecka. Ten roztropny chłopak miał właśnie rację, bo w handlu nie można powodować się uczuciem, istnieją tylko cyfry.

– Uściśnij mnie, mój chłopcze – powiedział na zakończenie. – Sprawa jest postanowiona, nie będziemy mówić o małżeństwie przed upływem roku. Przede wszystkim należy być rozsądnym.

Wieczorem w pokoju sypialnym, kiedy pani Baudu zapytała męża o wynik rozmowy, kupiec odzyskał cały swój upór. aby prowadzić walkę sam aż do końca. Chwalił bardzo Colombana jako solidnego chłopca o zdecydowanych poglądach, wychowanego zresztą według starych zasad. niezdolnego na przykład do flirtów z klientkami, jak te fireyki z magazynu naprzeciwno. Nie, chłopiec jest uczciwy, należy do ich rodziny i nie spekuluje na sprzedaży jak na giełdzie.

– Więc kiedy ślub? – zapytała pani Baudu.

– Później – odpowiedział – wówczas kiedy będę w stanie dotrzymać zobowiązań.

Pani Baudu nie uczyniła żadnego gestu, powiedziała tylko:

– Nasza córka umrze z tego powodu.

Baudu hamował wzbierający w nim gniew. To on umrze, jeśli go będą tak ciągle dręczyć. Czy to jego wina? Kocha swoją córkę, odda za nią chętnie własną krew, ale nie może sprawić, żeby interes prosperował, skoro nie chce iść. Genowefa powinna być rozsądna i poczekać, aż obroty się zwiększą. Co u licha! Colomban przecież zostaje i nikt go jej nie ukradnie!

– To nie do wiary! – powtarzał. – Dziewczyna tak dobrze wychowana!

Pani Baudu nie odezwała się więcej. Zapewne domyśliła się, że przyczyną cierpień Genowefy jest zazdrość, nie odważyła się jednak powiedzieć o tym mężowi. Wstrzymywała ją od tego kobieca wstydlivość, która nie pozwalała jej poruszać w rozmowach z mężem pewnych delikatnych tematów. Wobec milczenia żony Baudu obrócił całą złość przeciwko wrogiemu magazynowi. Wygrażał pięścią w kierunku terenu robót, gdzie przy akompaniamencie głośnego stuku młotów stawiano właśnie żelazne rusztowanie.

Denise zdecydowała się wrócić do magazynu „Wszystko dla Pań”, orientowała się bowiem, że państwo Robineau, zmuszeni do zredukowania personelu, nie wiedzą, w jaki sposób ją odprawić. Aby wytrzymać jeszcze przez jakiś czas, zmuszeni byli ograniczyć się do wykonywania wszystkiego własnymi siłami. Gaujean, zjadły w swej urazie, przedłużał kredyty i obiecywał nawet, że wystara się o gotówkę; gnębiła ich jednak obawa o przyszłość, chcieli zaprowadzić oszczędności. Od dwóch tygodni Denise zauważyła, że czują się wobec niej dziwnie skrepowani, pierwsza więc powiedziała, że znalazła pracę gdzie indziej. Nastąpiło odprężenie, pani Robineau ucałowała ją, bardzo wzruszona, zaklinając się, że będzie zawsze za nią tęskniła. Potem, gdy na wyraźne zapytanie dziewczyna odpowiedziała, że wraca do magazynu Moureta, Robineau pobrał.

– Ma pani rację! – wykrzyknął gwałtownie.

Trudniej było oznajmić tę nowinę Bourrasowi. Denise musiała się z nim pożegnać i drżała na myśl o tym, ponieważ żywiła dla starego wiele wdzięczności. Bourras w ostatnich dniach

nie przestawał się wściekać z powodu piekielnego hałasu na sąsiadującym z nim terenie budowy. Wozy z materiałami budowlanymi tarasowały wejście do sklepu, oskardy nadwierały mury jego domu, wszystkie parasole i laski tańczyły w takt uderzeń młotów. Wydawało się, że stara rudera zawali się na skutek rozbiórki sąsiedniego domu. Najgorszą jednak rzeczą było to, że architekt, aby połączyć stare działki magazynu z nowymi, instalowanymi w dawnym pałacu Duvillard, wpadł na pomysł wykopania podziemnego przejścia pod domem Bourrasa, który je dzielił. Dom należał już do towarzystwa „Mouret i Ska”, a ponieważ w kontrakcie istniało zastrzeżenie, że lokator musi zgodzić się na wszelkie remonty, więc pewnego razu zgłosili się do Bourrasa robotnicy. Stary kupiec o mało nie uległ apopleksji. Czy to nie wystarczało, że dusili go już ze wszystkich stron – z lewej, z prawej, od tyłu? Chcą jeszcze zaatakować go od spodu i usunąć mu grunt spod nóg? Przepędził murarzy i wytoczył proces. Jeśli chodzi o reperacje, to chętnie się na nie zgodzi: ale to były wchodzące w zakres ulepszeń zdobniczych. Cała dzielnica przepowiadała, że stary wygra proces, nie można było jednak za nic ręczyć. Wyglądało na to, że sprawa będzie się wlec bez końca. Ten zacięty pojedynek roznamiętnił wszystkich dokoła.

W dniu kiedy Denise zdecydowała się wreszcie pożegnać z Bourrasem, stary kupiec wracał właśnie od adwokata.

– Wyobraź sobie – krzyknął – mówią teraz, że dom grozi zawaleniem i że chcą wzmocnić fundamenty!... Do licha! Przy takich wstrząsach i przy tych ich wściekłych maszynach nie byłoby dziwne, gdyby się zawalił.

Gdy dziewczyna zakomunikowała mu, że opuszcza jego dom i powraca do magazynu „Wszystko dla Pań”, gdzie ofiarowano jej tysiąc franków stałej pensji, osłupiały kupiec wznosił tylko do nieba swe starcze, drżące dłonie. Wzruszenie było tak silne, że opadł na krzesło.

– Ty, ty! – wybełkotał. – Ja jeden, tylko ja jeden zostaję! – Po chwili milczenia zapytał: – A co zrobisz z małym?

– Powróci do pani Gras – odpowiedziała Denise. – Ona go bardzo lubi.

Znów zapanowało milczenie. Denise wolałaby, żeby wpadł w gniew, żeby przeklinał, walił pięścią w stół. Widok starca oszołomionego, zmartwionego rozdzierał jej serce. Powoli jednak Bourras przychodził do siebie. Zaczął krzyczeć:

– Tysiąc franków to suma nie do pogardzenia... Pójdziecie tam wszyscy. Idźcie więc i zostawcie mnie samego! Tak, samego, słyszysz! Przynajmniej ja jeden nie zegnę nigdy karku... Powiedz im, że wygram proces, nawet gdybym miał sprzedać ostatnią koszulę!

Denise miała opuścić Robineau dopiero w końcu miesiąca. Widziała się znowu z

Mouretem i wszystko zostało omówione. Pewnego wieczora, kiedy wracała do domu. zatrzymał ją czekający na nią w bramie Deloche. Był uszczęśliwiony, dowiedział się właśnie wielkiej nowiny, o której mówił już cały magazyn. Wesoło powtórzył jej plotki krążące we wszystkich działach.

– Wyobraża sobie pani, jakie miny mają te baby z konfekcji! – Po chwili dorzucił: – Ale, ale! Czy pani pamięta Klarę Prunaire? Zdaje się, że pryncypał ją... Rozumie pani?

Zaczerwienił się. Ona zaś. bardzo blada, zawołała:

– Mouret?

– Ma dziwny gust. prawda? – odpowiedział. – Kobieta, która podobna jest do konia... Ta mała bieliżniarka, którą brał sobie dwa razy w zeszłym roku, była przynajmniej milutka. Zresztą to jego rzecz.

Denise po powrocie do domu o mało nie zemdląła. Tłumaczyła to sobie zbyt pospiesznym wejściem na schody. Oparta o parapet okienny pomyślała nagle o Valognes, o pustej, mchem zarosłej ulicy, którą widziała z okna dzieciennego pokoju, i ogarnęło ją pragnienie, aby schronić się w tym prowincjonalnym miasteczku, zapomnieć i uspokoić się. Paryż denerwował ją, nienawidziła magazynu „Wszystko dla Pań”, nie wiedziała, czemu zgodziła się tam powrócić. Z pewnością znowu będzie cierpieć, tak jak cierpi już teraz, po rozmowie z Deloche’em, sama nie wiedząc dlaczego. Bez wyraźnej przyczyny rozplakała się i to zmusiło ją do cofnięcia się w głąb pokoju. Płakała długo, aż wreszcie odzyskała nieco odwagi do walki z życiem.

Nazajutrz w porze obiadowej załatwiała w mieście jakieś interesy dla pana Robineau, a przechodząc koło sklepu stryja i widząc, że Colomban jest sam. pchnęła drzwi. Rodzina Baudu jadła obiad, słychać było brzęk widelców dochodzący z małej salki jadalnej.

– Może pani wejść – powiedział subiekt. – Wszyscy są przy stole.

Dała mu ręką znak, żeby milczał, i zaciągnęła go w kąt sklepu. Zniżając głos do szeptu powiedziała:

– Ja właśnie z panem chcę porozmawiać... Czy pan jest zupełnie bez serca? Czy pan nie widzi, że Genowefa pana kocha i umiera z miłości? – Drżała na całym ciele, zgorączkowana podobnie jak poprzedniego wieczora. Colomban przestraszył się i zdziwiony tym nagłym atakiem nie mógł wykrztusić ani słowa. – Czy pan słyszy? – mówiła dalej Denise. – Genowefa wie, że pan kocha inną. Powiedziała mi to zanosząc się od płaczu... Biedne dziecko! Jaką ona jest szczupłą! Żeby pan zobaczył jej chude rączki! Na płacz się zbiera, jak się na nią patrzy... Przecież pan nie pozwoli tak jej umrzeć! Colomban. wstrząśnięty do głębi, przemówił wreszcie:

– Ależ ona nie jest wcale chora, pani przesadza... Wcale tego nie widzę... A poza tym to ojciec jej odkłada datę ślubu.

Denise w ostry sposób zadała kłam jego słowom. Doskonale wiedziała, że najłżejszy nacisk ze strony młodego człowieka wpłynąłby decydująco na stryja. Zdziwienie Colombana nie było wcale udane: rzeczywiście nie dostrzegwał powolnego konania Genowefy. To odkrycie sprawiło mu dotkliwą przykrość. Póki o niczym nie wiedział, nie robił sobie zbyt wielkich wyrzutów.

– I dla kogo to wszystko? – mówiła dalej Denise. – Dla takiej ladacznicy!... Czy pan nie zdaje sobie sprawy, kogo pan kocha? Nie chciałam pana martwić i unikałam odpowiedzi na pańskie pytania... Ale teraz niech pan przyjmie do wiadomości, że ona zadaje się ze wszystkimi, że kpi sobie z pana, że nigdy jej pan nie zdobędzie albo będzie pan ją miał tak jak inni, dorywczo i przygodnie.

Słuchał jej z pobladłą twarzą. Po każdym zdaniu, jakie dziewczyna rzucała mu przez zaciśnięte zęby, drżały mu usta. Ona zaś, w porywie okrucieństwa, w uniesieniu, z którego sama nie zdawała sobie sprawy, wykrztusiła prawie krzycząc:

– Jeżeli pan chce wiedzieć, to ona żyje teraz z Mouretem!

Głos jej załamał się i zbladła jeszcze bardziej niż on. Popatrzyli na siebie. Po chwili Colomban wyjąkał:

– Ja ją kocham.

Wówczas Denise zawstydzila się. Po co mówiła to wszystko temu chłopcu i z jakiej racji uniosła się do tego stopnia? Zamilkła. Te proste słowa, którymi odpowiedział na jej zarzuty, znalazły oddźwięk w jej sercu i brzmiały jak dalekie bicie dzwonu, ogłuszając ją. „Kocham, kocham” – rozlegało się coraz głośniejsze. Miał rację, nie mógł żenić się z inną.

Gdy odwróciła się, zauważyła Genowefę na progu sali jadalnej.

– Ani słowa – powiedziała szybko do subiekta.

Ale było już za późno. Genowefa musiała słyszeć rozmowę. Była tak blada, jakby nie miała jednej kropli krwi w twarzy. Właśnie w tej chwili otwierała drzwi klientka, pani Bourdelais, jedna z niewielu, które pozostały wierne starej firmie, ponieważ zawsze miała solidny towar. Pani de Boves dawno już uległa modzie i przeniosła się do magazynu „Wszystko dla Pań”. Nawet pani Marty nie przychodziła już, oczarowana przepychem wystaw naprzeciwno. Genowefa musiała wyjść na spotkanie klientki. Zapytała matowym głosem:

– Czym można pani służyć?

Pani Bourdelais życzyła sobie obejrzeć flanelę. Colomban ściągnął z półki jedną sztukę, a

Genowefa rozwinęła materiał. Oboje stali blisko siebie, ręce ich były zimne. Tymczasem Baudu wyszedł ostatni z jadalni, idąc za żoną, która usiadła na swoim zwykłym miejscu za kasą. Stary kupiec nie mieszał się początkowo do toczącej się przy ladzie rozmowy, uśmiechał się do Denise i stał przypatrując się pani Bourdelais.

– Ten materiał nie jest w dobrym gatunku – powiedziała klientka – proszę mi pokazać coś lepszego.

Colomban zdjął z półki drugą sztukę. Zapanowała chwila ciszy. Pani Bourdelais uważnie oglądała materiał.

– Jaka cena?

– Sześć franków – powiedziała Genowefa. Klientka poruszyła się żywo.

– Sześć franków? Ależ taka sama naprzeciwko kosztuje pięć franków.

Lekki skurcz przebiegł po twarzy sukiennika. Nie mógł powściągnąć chęci wtrącenia się do dyskusji, zresztą bardzo uprzejmie. Pani Bourdelais chyba się myli, ten gatunek powinien kosztować sześć franków pięćdziesiąt, cena pięciu franków nie wytrzymuje kalkulacji. Z pewnością chodzi o inny gatunek.

– Nie, nie – powtarzała pani Bourdelais z uporem gospodyni, która zna się na tkaninach. – Materiał jest na pewno ten sam. Może nawet grubszy.

Dyskusja zaostrzała się. Pan Baudu, zirytowany, hamował się, aby utrzymać na twarzy uśmiech. Rozgoryczenie na magazyn „Wszystko dla Pań” formalnie dusiło go.

– Jeżeli będzie pan tak nieuprzejmy, to i ja także przeniosę się do magazynu naprzeciwko – powiedziała pani Bourdelais.

Wówczas kupiec stracił głowę i krzyknął w napadzie długo hamowanego gniewu:

– Dobrze, niech pani idzie naprzeciwko!

Klientka podniosła się z krzesła bardzo urażona i poszła w kierunku drzwi nie odwracając się. Powiedziała tylko:

– Właśnie mam zamiar to zrobić, proszę pana.

Wszyscy osłupieli. Wybuch pryncypała zaskoczył ich. Sam Baudu był przerażony i drżał teraz z powodu swojego wystąpienia. Słowa wymknęły mu się z ust bez jego woli, jakby długo gromadzone rozgoryczenie zerwało wreszcie tamy. Rodzina Baudu znieruchomiała, patrząc z opuszczonymi rękami na przechodzącą przez ulicę panią Bourdelais. Zdawało im się, że unosi ona ze sobą ich szansę powodzenia. Kiedy ujrzeli, jak równym krokiem weszła przez wysokie drzwi do magazynu „Wszystko dla Pań”, gdy zobaczyli, jak ginęła w tłumie, doznali uczucia wielkiego bólu.

– Jeszcze jedna klientka, którą nam zabierają! – powiedział cichym głosem kupiec. Po

czym zwracając się do Denise, o której zamiarach powrotu do magazynu już był poinformowany, dodał: – I ciebie także zabrali... Nie mam do ciebie żalu. Mają pieniądze, więc są silniejsi.

W tej chwili właśnie Denise przypuszczając, że Genowefa nie słyszała, co mówił Colomban, szepnęła jej do ucha:

– Bądź dobrej myśli, on cię przecież kocha.

Młoda dziewczyna odpowiedziała jej bardzo cicho, przerywanym ze wzruszenia głosem:

– Dlaczego kłamiesz?... Widzisz? Nie może wytrzymać i patrzy w te okna na piętrze... Wiem dobrze, że mi go ukradli, tak jak kradną nam wszystko.

Usiadła na ławeczce za kasą, obok matki. Pani Baudu domyśliła się zapewne, jaki cios dotknął znowu Genowefę, gdyż jej bolesne spojrzenie przenosiło się z córki na subiekta, a potem utkwilo w magazynie „Wszystko dla Pań”. Tak było istotnie, magazyn okradał ich ze wszystkiego: ojcu zabrał majątek, matce – dziecko, które powoli gasło, córce – narzeczonego, na którego poślubienie czekała od dziesięciu lat. Wobec tej skazanej na zagładę rodziny, Denise, której serce wzbierało litością, złąkla się na myśl, że i ona ponosi tu część winy. Czy nie ma zamiaru przyłożyć ręki do funkcjonowania tej maszyny miażdżącej biednych ludzi? A jednak czuła, że unosi ją jakaś przemożna siła i że nie robi źle.

– No, uszy do góry! – powiedział Baudu, aby dodać sobie otuchy. – Nie umrzemy z tego powodu. Straciliśmy jedną klientkę, na jej miejsce przyjdą dwie inne... Słuchaj, Denise, mam tutaj siedemdziesiąt tysięcy franków, które nie pozwolą spokojnie usnąć twojemu Mouretowi... No, moi drodzy!

Nie miejcie takich pogrzebowych min!

Nie mógł jednak rozweselić rodziny i sam znowu popadł w przygnębienie. Wszyscy milczeli utkwivszy wzrok w kolosa, jak gdyby urzeczeni, rozpamiętując swoje nieszczęście. Roboty murarskie dobiegały końca.

Rozebrano już rusztowania pokrywające fasadę i ukazała się olbrzymia biała ściana, w której lśniły szerokie okna wystaw. Wzdłuż chodnika, który otworzono już dla ruchu, przed biurem ekspedycji miejskiej stało osiem platform, a chłopcy sklepowi ładowali na nie kolejno towary. Promienie słoneczne padały na ulicę. W ich świetle zielone boki wozów o żółto-czerwonych obrzeżeniach połyskiwały jak lustro, rzucając oślepiające błyski aż do wnętrza starego sklepu. Woźnice ubrani na czarno, schludni i stateczni, ścigali krótko lejce wspaniałych koni, które potrzęsały srebrnymi wędzidłami. Za każdym razem gdy ruszała naładowana platforma, rozlegał się głośny turkot, od którego drżały małe sklepy okoliczne.

Wobec tej oglądanej z konieczności dwa razy dziennie triumfalnej defilady serca całej

rodziny Baudu pękały z żalu. Podczas gdy ojciec, owładnięty słabością, zapytywał, gdzie się podziewa ten nieprzerwany strumień towarów, matka, chora z powodu cierpienia córki, patrzyła wciąż, nic już nie widząc, gdyż oczy jej tonęły we łzach.

IX

W poniedziałek czternastego marca otwarto po raz pierwszy nowe lokale magazynu „Wszystko dla Pań”, gdzie zorganizowana została trzydniowa wystawa nowości na sezon letni. Na dworze dał ostry wiatr i przechodnie, zaskoczeni tym nawrotem zimy, biegli szybko, zapinając szczelnie palta. W sąsiadujących z wielkim magazynem sklepach panowało wzburzenie; widać było przylepione do szyb pobladłe twarze drobnych kupców, którzy liczyli pierwsze pojazdy zatrzymujące się przed frontowym wejściem od ulicy Neuve-Saint-Augustin. Te drzwi wejściowe, wysokie i głębokie jak kruchta kościelna, ozdobione były u góry alegoryczną grupą przedstawiającą Przemysł i Handel, które podają sobie ręce na tle odpowiedniego układu godeł. Nad drzwiami rozciągnięta była wielka markiza, której świeże złocenia zdawały się rzucać słoneczny blask na cały chodnik. Na prawo i na lewo ciągnęły się oślepiająco białe fasady, które skręcając w ulicę Monsigny i Michodière obejmowały cały blok domów z wyjątkiem placu przy ulicy Dziesiątego Grudnia, gdzie Bank Hipoteczny miał zamiar stawiać swoje budynki. Kupcy zadzierając w górę głowy dostrzegali wszędzie w tym wielkim jak koszary budynku ogromne ilości towaru, doskonale widoczne przez lustrzane szyby, które od parteru aż do drugiego piętra wpuszczały do wnętrza magazynu potoki światła. Ten olbrzymi blok, ten kolosalny bazar, zasłaniał patrzącym kupcom niebo i zdawało się, że to on rzuca lodowaty cień, od którego drżeli w głębi swych zimnych pomieszczeń.

Już od szóstej rano Mouret był na stanowisku i wydawał ostatnie rozkazy. Środkiem budynku, w prostej linii od głównego wejścia ciągnęła się z jednego końca na drugi szeroka hala, a po obu stronach, równoległe do niej, biegły dwie węższe: galeria Monsigny i galeria

Michodiére. Dawne podwórza oszklono i przekształcono na olbrzymie hale. Żelazne schody wznosiły się od parteru. Na obu piętrach przerzucono ponad halą żelazne mosty z jednego krańca magazynu na drugi. Wyjątkowo inteligentny młody architekt, rozmiłowany w nowoczesnej sztuce budowlanej, jedynie w suterenach i do budowy narożnych filarów użył kamienia, szkielet zaś wznosił z żelaza opierając na kolumnach całą sieć belek. Stropy i ściany dzielące poszczególne pomieszczenia wewnętrzne były z cegły. Zyskano bardzo na przestrzeni, powietrze i światło miały wolny dostęp, publiczność poruszała się swobodnie pod śmiałymi i szeroko rozpiętymi wiązaniami dachu. Była to katedra nowoczesnego handlu, zbudowana solidnie i zarazem lekko, dla całego tłumu klientek. Na dole, w górnej sali, oprócz artykułów okazjnych wystawionych u wejścia, mieściły się działy krawatów, rękawiczek i jedwabi. Galeria Monsigny była przeznaczona na materiały białe i bawełniane, galeria zaś Michodiére– na norymberszczyznę, trykotaże, sukna i wełny. Na pierwszym piętrze znajdowały się konfekcja, dział bieliźniany, szale, koronki i inne nowo powstałe działy. Drugie piętro przeznaczono na dział pościelowy, dywany, obicia meblowe, artykuły zabierające dużo miejsca i trudne do przenoszenia. W obecnej chwili magazyn obejmował trzydzieści dziewięć działów i zatrudniał tysiąc ośmiuset pracowników, w tym dwieście kobiet. Był to jakby cały światek poruszający się i żyjący w dźwięcznym kręgu wysokich metalowych konstrukcji.

Jedyną namiętnością Moureta było zwycięstwo nad kobietą. Chciał, żeby tu królowała, dla niej zbudował tę świątynię, by uzależnić ją całkowicie od swojej woli. Taktyka jego polegała na tym, aby oszołomić kobietę uprzedzając jej życzenia i spekulować na jej zachciankach, wyzyskiwać jej podniecenie. Po całych dniach i nocach łamał sobie głowę w poszukiwaniu nowych pomysłów. Chcąc oszczędzić fatygi delikatnym damom, kazał zainstalować dwie windy wybite aksamitem.. Otworzył także bufet, gdzie rozdawano bezpłatnie napoje chłodzące i herbatniki, urządził również czytelnię, a we wspaniałej sali ozdobionej z przesadnym zbytkiem próbował nawet urządzać wystawę obrazów. Ale najwięcej przenikliwości okazał w stosunku do kobiet wyzutych z wszelkiej kokieterii, trafiając do nich przez dziecko. Nie zaniedbywał żadnego środka, spekulował na wszystkich uczuciach; otwierał działy dla małych chłopców i dziewczynek, zatrzymywał w przejściu matki ofiarowując dzieciom obrazki i baloniki. Ta premia w postaci rozdawanych każdej klientce czerwonych baloników z cienkiej gumy, noszących wielkimi literami wypisaną nazwę magazynu, była pomysłem wręcz genialnym. Barwne kule, kołyszące się na długich sznurkach w powietrzu, stanowiły na ulicach Paryża chodzącą reklamę!

Wielką potęgą była przede wszystkim akcja ogłoszeniowa. Mouret potrafił wydać w ciągu

roku trzysta tysięcy franków na katalogi, ulotki i afisze. Aby zareklamować swoją sprzedaż nowości letnich, wypuścił dwieście tysięcy egzemplarzy katalogów, z których pięćdziesiąt tysięcy, tłumaczonych na wszystkie języki, poszło za granicę. Teraz ozdabiał je jeszcze ilustracjami, a nawet dołączał próbki przyklepione na stronach wydawnictw. Reklama magazynu „Wszystko dla Pań” zalewała cały Paryż, rzucała się w oczy wszystkim, widniała na murach, w czasopiśmie, nawet na kurtynach teatralnych. Mouret był zdania, że kobieta nie może oprzeć się reklamie i prędzej czy później ulega sile rozgłosu. Zastawiał na nią zresztą jeszcze bardziej wymyślne sidła, studiował ją jak wielki psycholog. Odkrył, na przykład, że kobieta nie potrafi oprzeć się tak zwanym wyjątkowym okazjom, że kupuje bez istotnej potrzeby, gdy jej się zdaje, że robi dobry interes. Na tej podstawie opierał swój system zniżki: obniżał stopniowo ceny nie sprzedanych artykułów, wolał je sprzedać ze stratą, byle utrzymać zasadę szybkiego obrotu towarami. Przeniknął jeszcze głębiej serce kobiety i wymyślił system „zwrotów”, arcydzieło jezuickiej przewrotności. „Niech pani to weźmie, odda nam pani towar, jeżeli przestanie się pani podobać”. Kobieta, dotąd jeszcze wahająca się, znajdowała w tym ostateczne usprawiedliwienie, licząc na możliwość naprawienia swojego szaleństwa. Kupowała ze spokojnym sumieniem. Odtąd „zwroty” i zniżki cen weszły do repertuaru klasycznych metod nowego handlu.

Lecz dziedziną, w której Mouret okazał się mistrzem bez konkurencji, było wewnętrzne urządzenie domu towarowego. Przyjął zasadę, żeby żaden zakątek magazynu „Wszystko dla Pań” nie pozostawał pusty. Wymagał, aby wszędzie był gwar, tłum i życie, ponieważ życie – jak mówił – przyciąga życie, stwarza je i mnoży. Zasadę tę zastosował w praktyce na różne sposoby. Przede wszystkim klientki powinny tłoczyć się przy wejściu, należało zrobić tak, aby stojący na ulicy przypuszczali, że stało się coś nadzwyczajnego. Osiągał ten ścisk przez wystawienie u wejścia artykułów okazyjnych, pudeł i koszy pełnych przedmiotów bardzo tanich. Gromadzący się ludzie tarasowali drzwi, co wywoływało wrażenie, iż magazyn pęka od nadmiaru klientów, gdy w rzeczywistości bywał zaledwie do połowy wypełniony. Wzdłuż hali umiał Mouret w sposób pomysłowy zasłonić działy, które chwilowo miały mniejsze powodzenie, na przykład szale w lecie, a kretony w zimie; otaczał je działami pełnymi życia, topił je w rozgwarze. Jego też pomysłem było umieszczenie na drugim piętrze dywanów i mebli, gdzie klientki przychodziły rzadziej. Działy te na parterze mroziłyby pustką. Gdyby to było możliwe, chętnie przeprowadziłby ulicę przez środek swego magazynu.

W tej chwili właśnie Mouret dał się ponieść nowemu natchnieniu. W sobotę wieczorem, gdy po raz ostatni rzucał okiem na przygotowania do wielkiej poniedziałkowej sprzedaży, którą zajmowano się już od miesiąca, zdał sobie nagle sprawę, że rozplanowanie działów,

jakie zastosował, było niedorzeczne. Było to jednak rozplanowanie absolutnie logiczne, materiały na jednym krańcu, przedmioty konfekcyjne na drugim, porządek rozsądny, pozwalający klientkom zorientować się bez niczyjej pomocy. Marzył o takim planie niegdyś w nieładzie ciasnego sklepu pani Hédouin; i oto stracił wiarę w swój projekt, gdy wprowadził go w czyn. Wykrzyknął niespodzianie, że należy „wszystko poprzestawiać”. Miał do rozporządzenia dwadzieścia cztery godziny i należało przez ten czas dokonać przeprowadzki części magazynu. Poganiany przez pryncypała, wystraszony personel musiał spędzić dwie noce i cały dzień niedzielny pośród nieprawdopodobnego zamętu. Nawet w poniedziałek rano, na godzinę przed otwarciem magazynu, towary nie znajdowały się jeszcze na właściwych miejscach. Podejrzewano, że pryncypał zwariował, nikt nic nie rozumiał, panowała ogólna konsternacja.

– Spieszcie się! – krzyczał Mouret ze spokojną pewnością siebie, przekonany o genialności swego pomysłu.– Kostiumy należy przenieść na górę... A czy japońszczyzna znajduje się w głównym przedsionku?... Jeszcze trochę wysiłku, moje dzieci, a zobaczycie za chwilę, jak pójdzie sprzedaż!

Bourdoncle był również od świtu na stanowisku. Nie pojmował, podobnie jak inni, celu tej przeprowadzki i śledził dyrektora niespokojnym spojrzeniem. Nie śmiał stawiać mu pytań wiedząc, jak Mouret reagował na nie w chwilach takiego rozgorączkowania. Zdecydował się jednak i zapytał łagodnie:

– Czy konieczne było to wywrócenie do góry nogami całego magazynu w przeddzień naszej wystawy?

Mouret zrazu wzruszył tylko ramionami, a potem, gdy tamten ponowił pytanie nie dając za wygraną, wybuchnął:

– Żeby klientki pchały się wszystkie w jednym kącie, tak? Ładny miałem pomysł! Godny geometry! Nigdy bym sobie nie darował, gdyby to tak miało zostać... Zrozum, że przy poprzednim układzie zgromadziłbym cały tłum w jednym miejscu! Kobieta wchodziłaby, kierowała się wprost tam, dokąd chciałyby iść, przechodziłaby od sukien do spódnic, od spódnic do płaszczy, a potem odchodziłaby nie zbłądziwszy ani razu!... Ani jedna z nich nie zobaczyłaby całego magazynu!

– Za to teraz – zauważył Bourdoncle – gdy powywracałeś wszystko i porzrzucałeś na cztery strony świata, subiekci zedną nogi przy przeprowadzaniu klientek z jednego działu do drugiego.

Mouret zrobił pogardliwy ruch.

– To fraszka! Są młodzi, urosną tylko... Niech sobie pospacerują! Będzie się zdawało, że

jest ich więcej, narobią jeszcze więcej tłoku. Niech się wszyscy cisną, tym lepiej.

Śmiał się i, zniżając głos, łaskawie wytłumaczył koledze swoje racje.

– Słuchaj, Bourdoncle! Zobaczysz, jakie będą rezultaty... Po pierwsze, te ustawiczne spacery klientek rozproszą je równomiernie po całym magazynie, zwiększy się tłok i to odbierze im orientację; po drugie, gdy na przykład zechcą kupić podszewkę po nabyciu materiału na suknię, trzeba będzie prowadzić je z jednego końca w drugi, te podróże po magazynie trzykrotnie powiększą w ich oczach jego rozmiary; po trzecie, będą zmuszone przechodzić przez działy, do których nigdy by nie zjrzały – tam pokusa zatrzyma je w przejściu, a one ulegną; po czwarte...

Bourdoncle śmiał się teraz także. Wówczas zachwycony Mouret przerwał swe wywody, by krzyknąć na chłopców sklepowych:

– Bardzo dobrze, moje dzieci! Teraz szczotki w ruch i zaraz będzie pięknie!

Odwróciwszy się spostrzegł Denise. Znajdowali się obaj z Bourdoncle'em w dziale konfekcji, który właśnie uległ rozparcelowaniu, ponieważ suknie i kostiumy przeniesiono na drugie piętro, na przeciwny koniec magazynu. Denise, która zeszła pierwsza ze swego pokoju, otwierała szeroko oczy ze zdziwienia, oszołomiona tymi zmianami.

– Co to? – powiedziała cicho. – Przeprowadzka?

Zdziwienie dziewczyny zdawało się bawić Moureta, który uwielbiał takie teatralne efekty. Od początku lutego Denise powróciła do magazynu „Wszystko dla Pań”, gdzie przyjemnie zaskoczyła ją granicząca niemal z szacunkiem uprzejmość całego personelu. Zwłaszcza pani Aurelia była dla niej niezwykle miła. Małgorzata i Klara zdawały się rezygnować z walki, nawet papa Jouve z zakłopotaną miną گیاł przed nią kark, pragnąc zatrzeć złe wspomnienie. Wystarczyło, że Mouret powiedział jedno słowo, a wszyscy zaczęli szeptać wodząc za nią oczyma. Wśród tej otaczającej ją życzliwości dotknął tylko nieco Denise dziwny smutek Deloche'a i zagadkowe uśmiechy Pauliny.

Mouret patrzył na nią zachwyconym wzrokiem.

– Czego pani szuka? – zapytał w końcu.

Denise w pierwszej chwili nie zauważyła Moureta. Zaczerwieniła się lekko. Odkąd wróciła do magazynu, pryncypał okazywał jej tyle zainteresowania, że czuła się tym wzruszona. Nie wiedziała też, dlaczego Paulina opowiadała jej szczegółowo o romansie pryncypała z Klarą – gdzie ją widywał, ile jej płacił. Mówiła o tym często i dodawała nawet, że miał jeszcze inną kochankę, panią Desforges, którą dobrze znał cały magazyn. Denise czuła się wstrząśnięta tymi opowiadaniem, wobec Moureta ogarniał ją znowu dawny lęk, jakiś niepokój będący mieszaniną wdzięczności i gniewu.

– To tylko ten rozgardiasz – wyszeptała.

Wówczas Mouret podszedł do niej bliżej, by powiedzieć jej przyciszonym głosem:

– Dziś wieczorem, po zakończeniu sprzedaży, niech pani przyjdzie do mego gabinetu. Chcę z panią porozmawiać.

Zmieszana Denise spuściła w milczeniu głowę. Weszła do swego działu, dokąd schodziły się już inne ekspedientki. Bourdoncle dosłyszał jednak słowa Moureta i patrzył na niego z uśmiechem. Ośmielił się nawet powiedzieć, gdy zostali sami:

– Jeszcze jedna! Strzeż się, bo to może być poważne!

Mouret odparował żywo, pokrywając wzruszenie lekceważącą miną:

– Daj spokój, to przecież żarty! Kobieta, która mnie zwycięży, jeszcze się nie urodziła, mój drogi!

Wreszcie otwarto magazyn i Mouret przebiegł cały lokal, aby po raz ostatni rzucić okiem na poszczególne działki. Bourdoncle pokręcił głową. Ta Denise taka prosta i łagodna, zaczynała go niepokoić. Pierwszą bitwę wygrał wydalając ją brutalnie, lecz oto wróciła znowu; widział w niej groźnego przeciwnika, milczał więc i czekał na dalszy bieg wypadków.

Dogonił Moureta w chwili, gdy ten krzyczał na parterze, w hali Świętego Augustyna, naprzeciw drzwi wejściowych.

– Czy wy sobie urządzaście kpiny ze mnie?! Powiedziałem, żeby ułożyć błękitne parasolki z samego brzegu... Proszę mi to natychmiast zmienić, i to prędko!

Nie chciał o niczym słyszeć. Chłopcy sklepowi musieli zmienić układ wystawy z parasolkami. Widząc, że nadchodzą klientki, Mouret kazał nawet zamknąć na chwilę drzwi wejściowe; powtarzał, że nie pozwoli ich wcale otworzyć, jeśli błękitne parasolki zostaną na dawnym miejscu. Psuło to zupełnie jego kompozycję. Najlepsi dekoratorzy: Hutin, Mignot i inni, którzy przyszli zobaczyć ten nowy pomysł pryncypała, podnosili oczy do nieba z wyrazem zgorznienia, udawali, że nic nie rozumieją, należeli do innej szkoły.

Otwarto wreszcie ponownie drzwi wejściowe i tłum klientek wtargnął do wnętrza. Już w pierwszej godzinie, zanim magazyn nappełnił się kupującymi, powstał przy wejściu wielki zator, tak że musiano wezwać policję, aby regulowała ruch na chodniku. Mouret trafnie przewidział: wszystkie gosposie, cały zwarty tłum mieszczanek i kobiet w czepkach przypuścił szturm do artykułów okazjnych, do przedmiotów wyprzedazowych i resztek, które były wystawione na ulicy. Wyciągnięte w górę ręce dotykały ustawicznie materiałów zawieszonych u wejścia, perkali po trzydzieści pięć centymów, szarej tkaniny wełnianej mieszanej z bawełną po czterdzieści pięć centymów, a zwłaszcza orleanu po trzydzieści osiem centymów, który dokonywał spustoszeń w niezbyt zasobnych portmonetkach. Pchano się tam,

przepychano gorączkowo wokoło pudeł i koszów, gdzie artykuły oddawane z dużym rabatem – koronki po dziesięć centymów, wstążki po dwadzieścia pięć centymów, podwiązki po piętnaście, rękawiczki, spódniczki, krawaty, skarpetki i pończochy bawełniane obsuwały się ze stosów i znikwały jakby pożerane przez zgłodniały tłum. Mimo zimna, sprzedający na wolnym powietrzu subiekci nie mogli podołać pracy. Jakaś kobieta w poważnym stanie zaczęła krzyczeć. Dwie małe dziewczynki o mało nie zostały zgniecione.

W ciągu całego przedpołudnia fala napływających ludzi wzrastała. Koło godziny pierwszej potworzyły się kolejki, ulica była zatarasowana jak w czasie rozruchów. Do stojącej niezdecydowanie na przeciwległym chodniku pani de Boves i Blanki podeszła pani Marty również w towarzystwie córki.

– Ależ tłok! – powiedziała pierwsza. – Ludzie się tam poduszają... Chciałam już zrezygnować z dzisiejszej wystawy nowości, leżałam w łóżku, ale potem wstałam, żeby przejść się trochę.

– To tak jak ja – oświadczyła druga. – Przyrzekłam mężowi, że pójde odwiedzić jego siostrę na Montmartre... Przechodząc tędy pomyślałam sobie, że przydałaby mi się tasiemka. Wszystko jedno, kupić tutaj czy gdzie indziej, prawda? Nie, na pewno nie wydam ani grosza! Nic mi zresztą nie potrzeba.

Nie spuszczały wzroku z drzwi wejściowych, już porwane i uniesione prądem napierającego tłumu.

– Nie, nie, ja nie wchodzę, boję się – mówiła cicho pani de Boves. – Blanko, chodźmy stąd, bo nas zgniotą.

Głos jej stawał się coraz słabszy, powoli ulegała pokusie, aby wejść tam, dokąd wchodzili wszyscy. Strach zniknął, tłum pociągał ją z nieodpartą siłą. Pani Marty także była pokonana. Powtarzała tylko:

– Trzymaj się mojej sukni, Walentyno... Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś podobnego. Dosłownie unoszą człowieka. A co się będzie działo wewnątrz...

Porwane przez prąd ludzki, panie nie mogły się już cofnąć. Wydawało się, że fala klientek płynąca poprzez przedsionek wsysa przechodniów z ulicy, wchłania w siebie mieszkańców całego Paryża, jak rzeki ściągają do siebie zbłąkane w dolinach strumienie górskie. Obie panie posuwały się bardzo wolno, ściśnięte aż do utraty tchu, podtrzymywane przez otaczające ramiona i brzuchy, których miękkie ciepło wyraźnie wyczuwały. Ale uległszy swej zachciance znajdowały przyjemność w tej uciążliwej drodze do celu, przebrnięcie przez nią podsycalo jeszcze bardziej ich ciekawość. W tym kłębowisku sąsiadowały ze sobą eleganckie panie w jedwabiach, małomieszczanki w ubogich sukniach, dziewczyny z gołą głową,

wszystkie unoszone w powietrzu, rozgorączkowane tą samą namiętnością. Kilku mężczyzn tonęło wśród obfitych biustów i rzucało niespokojne spojrzenia dokoła. Jakaś piastunka w największym ścisku podniosła w górę swojego pupilka, który śmiał się, zadowolony. Tylko pewna chuda kobieta złościła się i wykrzykiwała brzydkie wyrazy, oskarżając sąsiadkę o zamiar przewiercenia jej na wylot.

– Zdaje się, że moja spódnica zostanie tutaj – powtarzała pani de Boves.

Milcząca, z twarzą zaróżowioną od ostrego powietrza, pani Marty wspinała się na palce, aby ponad głowami sąsiadów zobaczyć wcześniej od innych szerokie wnętrza magazynu. Źrenice jej szarych oczu zwężyły się niby źrenice kotki, która wyszła na światło dzienne. Cera jej była wypoczęta, wzrok jasny jak u osoby, która dopiero obudziła się ze snu.

– No, nareszcie! – powiedziała głęboko wzdychając. Panie wydostały się z tłumu. Znajdowały się w hali Świętego Augustyna. Zdziwiły się bardzo, gdy zobaczyły, że było tu prawie pusto. Ogarnęło je przyjemne uczucie ulgi, zdawało im się, że wchodzi do królestwa wiosny opuściwszy zimę panującą na ulicy. Podczas gdy na dworze dał mroźny wiatr i padał deszcz z gradem, w magazynie „Wszystko dla Pań” panowała wiosenna pogoda tchnąca ciepłem lekkich tkanin, blaskiem delikatnych kwiatowych odcieni, sielską radością letnich toalet i parasolek.

– Niech pani patrzy! – zawołała pani de Boves stając jak urzeczona z oczami wzniesionymi do góry.

Była to wystawa parasolek. Otwarte, zaokrąglone jak tarcze, pokrywały całą halę od oszklonego wielkiego okna w suficie aż do karniszów z polerowanego dębu. Zwieszały się w festonach wokoło arkad wyższych pięter: wiły się jak girlandy wokół kolumn; biegły zwartym szeregiem po balustradach półpiętra, nawet po poręczach schodów; symetrycznie umocowane, barwiły mury na czerwono, zielono i żółto, przypominając ogromne lampiony oświetlające jakąś olbrzymią uroczystość. W narożnikach ułożono z nich skomplikowane motywy, gwiazdy z parasolek po dziewięćdziesiąt pięć centymów. Ich delikatne barwy, bladoniebieskie, kremowobiałe, jasnoróżowe, paliły się łagodnie jak lampki nocne. Wyżej wisiały ogromne parasole japońskie, na których wymalowano złociste żurawie płynące z rozpostartymi skrzydłami po purpurowym od blasków pożaru niebie.

Pani Marty nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa, aby wyrazić swój zachwyt, wykrzyknęła tylko:

– Jakież to bajeczne! – Następnie, usiłując zorientować się w planie magazynu, powiedziała: – Tasiemka powinna być w dziale norymberszczyzny... Kupuję tasiemkę i uciekam.

– Pójdę z panią – powiedziała pani de Boves. – Blanko, przejdziemy tylko przez magazyn i na tym koniec, prawda? Załedwie jednak weszły, zbłądziły natychmiast. Skręciły w lewo, ale ponieważ dział norymberszczyzny został przeniesiony gdzie indziej, więc trafiły na tiulowe falbanki, a potem na ozdobne dodatki do sukien. W krytych galeriach było gorąco jak w cieplarni. W powietrzu wilgotnym i duszącym, przepojonym mdłym zapachem tkanin, tonęły tysiączne kroki. Wówczas zawróciły aż do drzwi, gdzie zbierali się wychodzący. Nieskończona procesja kobiet i dzieci posuwała się wolno, a nad nią płynęła wielka chmura czerwonych baloników. Przygotowano czterdzieści tysięcy baloników; specjalnie do tego przeznaczeni chłopcy rozdawali je na prawo i lewo. Patrząc na odchodzące klientki miało się wrażenie, że unosi się nad nimi w powietrzu, uczepiony do niewidzialnych nici, rój ogromnych baniek mydlanych, w których odbijał się pozar parasolek, oświetlając kolorowo cały magazyn.

– Ależ to jest ogrom! – oświadczyła pani de Boves. – Nie można się zorientować, gdzie się człowiek znajduje.

Panie nie mogły jednak stać długo w tłoku panującym koło drzwi, popychane przez wchodzących i wychodzących klientów. Na szczęście, inspektor Jouve przyszedł im z pomocą. Stał w przedsionku, poważny, czujny, przypatrując się każdej przechodzącej kobiecie. Zlecono mu funkcję policji wewnętrznej, tropił więc złodziejki. Śledził zwłaszcza kobiety w poważnym stanie, jeśli zaniepokoiła go płonąca w ich oczach gorączka.

– Chodzi o dział norymberszczyzny, proszę pań? – powiedział uprzejmie. – Proszę iść na lewo, o tam, za działem pończosznym.

Pani de Boves podziękowała. Pani Marty odwróciwszy się nie znalazła koło siebie swojej córki Walentyny. Przestraszyła się, ale w tej samej chwili spostrzegła ją daleko, na samym końcu hali Świętego Augustyna, całkowicie pochłoniętą oglądaniem nagromadzonych na stole damskich krawatów po dziewiętnaście su. Mouret stosował też reklamę polegającą na zachwalaniu na cały głos przez subiekta jakiegoś artykułu. Zatrzymywało to klientki i obdzierało je z pieniędzy. Stosował każdy system reklamy kpiąc sobie z powściągliwości swoich kolegów po fachu, którzy byli zdania, że towar powinien mówić sam za siebie. Specjalnie dobrani sprzedawcy, paryscy próźniacy i cwaniaki, sprzedawali w ten sposób ogromne ilości drobnych, tandetnych przedmiotów. – Och, mamusiu – wyszeptwała Walentyna – popatrz na te krawaty... Każdy ma w rogu haftowanego ptaszka.

Subiekt zachwalał towar, przysięgał, że to czysty jedwab, że fabrykant ogłosił upadłość i że nigdy nie spotka się równie korzystnej okazji.

– Dziewiętnaście su, czy to możliwe?! – mówiła pani Marty, oczarowana podobnie jak

córka. – Za taką cenę mogę kupić dwa, to nas przecież nie zrujnuje.

Pani de Boves przypatrywała się z pogardliwą miną. Nie cierpiała głośnego zachwalania towaru, umykała spłoszona, jeśli kupiec ją przywoływał. Pani Marty dziwiła się i nie rozumiała tego wstrętu do natarczywej reklamy, sama bowiem miała zupełnie inną naturę. Należała do typu kobiet, które są szczęśliwe, gdy ulegają brutalnemu gwałtowi, z rozkoszą pławią się w publicznym targowisku, znajdują przyjemność w dotykaniu wszystkiego i trwonieniu czasu na próżne słowa.

– Teraz prędko, prędko idziemy po tasiemkę... Nie chcę już nic oglądać.

Gdy jednak przechodziły koło szalików i rękawiczek, serce w niej znowu osłabło. Znajdowała się tam bardzo efektowna wystawa, utrzymana w barwnych i wesołych tonach, oświetlona rozproszonym światłem. Symetrycznie ustawione kontuary wydawały się rabatami zamieniającymi halę w ogród francuski, który uśmiechał się delikatną gamą kwiatów. Wyrzucony na deski, wypływający z kartonowych pudeł cały pokos fularowych szalików grał wszystkimi barwami: żywą czerwienią geranii, mleczną białością petunii, złotą żółtością chryzantem, błękitem werbeny; wyżej, na mosiężnych prętach, rozkwitały w girlandach inne kwiaty: chusteczki, rozwinięte wstążki, długie, połyskujące pasma spowijające kolumny i odbite wielokrotnie w lustrach. Zwłaszcza w dziale rękawiczek tłum entuzjasmował się szwajcarskim domkiem zrobionym wyłącznie z rękawiczek – arcydzieło Mignota – którego zmontowanie kosztowało dwa dni pracy. Czarne rękawiczki na spodzie tworzyły parter; następnie efektownie ułożone rękawiczki żółte, rezedowe lub ciemnoczerwone imitowały okna, balkony i dachówki.

– Czym mogę pani służyć? – zapytał Mignot widząc panią Marty stojącą w podziwie przed domkiem. – Oto rękawiczki duńskie po jednym franku siedemdziesiąt pięć, pierwszej jakości... – Mignot zachwalał swój towar zapalczywie, przywołując klientki i narzucając się im swoją grzecznością. Ponieważ pani Marty odmówiła ruchem głowy, ciągnął dalej: – Rękawiczki tyrolskie po jednym franku dwadzieścia pięć... Rękawiczki turyńskie dla dzieci, rękawiczki haftowane we wszystkich kolorach...

– Nie, dziękuję, nic mi nie potrzeba – oświadczyła pani Marty.

Mignot czuł jednak, że głos jej mięknie, zaatakował ją więc gwałtownie, podsuwając przed oczy haftowane rękawiczki. Pani Marty nie mogła się oprzeć i kupiła jedną parę. Następnie widząc, że pani Boves spogląda na nią z uśmiechem, zaczerwieniła się.

– Jakież ze mnie dziecko... Jeśli nie kupię zaraz tej tasiemki i nie wyjdę stąd, jestem zgubiona.

Na nieszczęście w dziale norymberszczyzny był taki tłok, że nie zdołała się docisnąć.

Obydwie czekały już od dziesięciu minut i denerwowały się, gdy niespodziewanie zobaczyły panią Bourdelais z trojgiem dzieci. Ze swą spokojną miną ładnej i praktycznej kobiety, opowiedziała, że przyszła w tym celu, aby pokazać wystawy dzieciom. Magdalena miała dziesięć lat, Edmund osiem, Lucjan cztery; wszystkie śmiały się z radości. Była to niekosztowna rozrywka, którą przyrzeczono im od dawna.

– Jakie zabawne parasolki! Kupię tę czerwoną... – powiedziała nagle pani Marty kręcąc się niespokojnie, zniecierpliwiona bezczynnością.

Wybrała parasolkę za czternaście franków pięćdziesiąt. Pani Bourdelais popatrzyła na zakupiony przedmiot z dezaprobatą i powiedziała po przyjacielsku:

– Niedobrze pani robi spiesząc się tak. Za miesiąc kupiłaby ją pani za dziesięć franków... Mnie nie nabiorą!

I wyłożyła całą teorię dobrej gospodyni. Ponieważ magazyn obniżał ceny, należało tylko czekać. Nie chciała być przez nich wyzyskiwana, chciała natomiast korzystać z prawdziwych okazji. Wkładała nawet w tę walkę nieco złośliwości, przechwalając się, że nie pozwoli im na sobie zarobić ani grosza.

– Obiecałam – powiedziała w końcu – moim pociechom, że pokażę im obrazki na górze w salonie... Chodźcie, panie, ze mną, macie przecież czas.

Zapomniano o tasiemce, pani Marty zgodziła się bez wahania, podczas gdy pani de Boves odmówiła, pragnęła bowiem obejść wpierw cały parter. Panie wyraziły nadzieję, że spotkają się na górze. Pani Bourdelais szukała schodów i przypadkiem zauważyła jedną z wind, wpełchnęła do niej dzieci, aby dopełnić ich uciechy. Pani Marty i Walentyna weszły także do wąskiej, zatłoczonej klatki, ale widok luster, aksamitnych ławeczek i pięknie rzeźbionych mosiężnych okuć drzwi zajął je do tego stopnia, że znalazły się na pierwszym piętrze nie zauważywszy nawet łagodnego wznoszenia się windy. Czekają je tu zresztą inne rozkosze, od działu koronek poczynając. Mijając bufet pani Bourdelais nie omieszkała napić swojej gromadki wodą z sokiem. Bufet mieścił się w kwadratowej sali z szerokim kontuarem o marmurowym blacie. Po dwóch krańcach lady srebrzyste fontanny tryskały cienkim strumieniem wody; w głębi, na stoliczkach, stały szeregiem butelki. Trzech chłopców ustawicznie myło i napełniało szklanki. Aby utrzymać w karbach spragnioną publiczność, ustawiono ją w kolejce wzdłuż obitej aksamitem poręczy, tak jak przy wejściu do teatru. Tłum cisnął się. Wiele osób, odrzuciwszy skrupuły na widok tego darmowego poczęstunku, nadużywało gościnności właściciela sklepu, narażając nawet na szwank swoje zdrowie.

– Gdzież one się podziały? – zawołała pani Bourdelais, gdy zdołała wydostać się z tłumu, wytarłszy chusteczką buzie dzieciom.

Zauważyła panią Marty i Walentynę w głębi innej galerii, bardzo daleko. Obydwie tonęły w powodzi spódniczek i znowu kupowały. Przepadło! Matka i córka uległy gorącej rozrzutności.

Gdy pani Bourdelais dotarła wreszcie do czytelnicy, posadziła Magdalene, Edmunda i Lucjana przed wielkim stołem; następnie podeszła do półek i wyjęła album z fotografiami, który zaniósła dzieciom. Sklepienie długiej sali było przeładowane złotymi ozdobami. Na dwóch końcach wznosiły się ogromne kominki. Mierne obrazy w bogatych ramach pokrywały ściany. Między kolumnami, przed wyciętymi w łuk oknami wychodzącymi na magazyn, stały zielone rośliny w majolikowych wazonach. Tłumnie zebrana publiczność siedziała w milczeniu wokoło stołu zarzuconego periodykami i dziennikami, zaopatrzonego w papier listowy i kałamarze. Panie zdejmowały rękawiczki i pisały listy na papierze noszącym cyfrę magazynu, przekreślając ją jednym pociągnięciem pióra. Kilku mężczyzn rozpartych wygodnie w fotelach czytało dzienniki. Ale wiele osób siedziało beczynnie: byli to mężowie czekający na żony, które rozbiegły się po magazynie, młode kobiety spodziewające się przybycia kochanki, starzy krewni zostawieni tu jak w przechowalni, czekający, by ich zabrano przed wyjściem. Wszystkie te osoby odpoczywały na miękkich meblach wśród skrzypienia piór i szelestu dzienników, rzucając wzrokiem przez otwarte okna na rozległe hale, z których wznosił się stłumiony szum.

– Jak to! Pani tutaj? – powiedziała pani Bourdelais. – Wcale pani nie poznałam.

Tuż obok dzieci siedziała jakaś dama. prawie niewidoczna spoza rozłożonych stron ilustrowanego dziennika. Była to pani Guibal. Zdawało się, że nie jest zadowolona ze spotkania. Lecz natychmiast opanowała się i wyjaśniła, że schroniła się tutaj, aby trochę odpocząć i uniknąć ścisku. Pani Bourdelais zapytała ją, czy przyszła po zakupy, na co tamta odpowiedziała nieco apatycznym tonem, przysłaniając powiekami swe ostre spojrzenie egoistki:

– Ach, nie... Przeciwnie, przyszłam, żeby zwrócić portiere, z których nie jestem zadowolona. Ale jest taki tłok, że czekam, aż będę mogła dostać się do działu.

Mówiła w dalszym ciągu, że ten system zwrotów jest bardzo wygodny; przedtem nigdy tu nie kupowała, ale teraz dawała się czasem skusić. W rzeczywistości zwracała cztery przedmioty na pięć zakupionych, znano ją już we wszystkich działach z powodu dziwnych transakcji, które przeprowadzała; pod pretekstem, że jej się nie podobają, odnosiła po kolei wszystkie nabyte przedmioty po kilkudniowym przetrzymaniu ich w domu. Rozmawiając nie spuszczała wzroku z drzwi salonu; wydawało się, że odetchnęła z ulgą, gdy pani Bourdelais zwróciła się do swoich dzieci, aby objaśnić im fotografie. Prawie w tym samym momencie

weszli do salonu panowie de Boves i de Vallagnosc. Hrabia, który udawał, że oprowadza młodego człowieka po magazynie, zamienił z panią Guibal szybkie spojrzenie, po czym ona zagłębiła się w swoją lekturę, tak jakby go nie zauważyła.

– Jak się masz Pawle! – odezwał się za plecami panów jakiś głos.

Był to Mouret, który obchodził właśnie wszystkie działą. Wyciągnęły się ręce i Mouret zapytał natychmiast:

– Czy pani de Boves zaszczyliła nas swoją obecnością?

– Niestety, nie – odpowiedział hrabia. – Będzie z pewnością żałować, ale jest nieco cierpiącą; och, nic poważnego!

Udał, że nagle spostrzega panią Guibal. Odwrócił się i podszedł do niej z odkrytą głową; dwaj pozostali panowie uklonili się tylko z daleka. Ona także udała zdziwienie. Paweł uśmiechnął się; zrozumiał teraz wszystko i opowiedział Mouretowi, jak to na ulicy Richelieu hrabia koniecznie chciał go spławić i zdecydował się wreszcie zaciągnąć go do magazynu „Wszystko dla Pań” pod pretekstem, że koniecznie wypada to zobaczyć. Od roku pani Guibal wyciągała od hrabiego pieniądze i tyle przyjemności, na ile było go stać, ale nie pisała do niego nigdy, wyznaczając mu spotkania w miejscach publicznych, kościołach, muzeach, magazynach, aby się z nim porozumieć.

– Myślę, że za każdym razem spotykają się w innym hotelu – mówił cicho młody człowiek. – W zeszłym miesiącu był na objeździe inspekcyjnym i pisał do swojej żony co drugi dzień z Blois, z Liboume, z Tarbes; jestem jednak przekonany, że widziałem go, jak wchodził do pensjonatu w Batignolles... Ale popatrzcie na niego! Jaki jest piękny, kiedy roztacza przed nią elegancję statecznego urzędnika! Stara Francja, mój przyjacielu, stara Francja!

– A jak tam twoje małżeństwo? – zapytał Mouret. Paweł, nie spuszczać oczu z hrabiego, odpowiedział niedbale, że czekają na śmierć ciotki. Potem dodał z triumfującą miną:

– Czy widziałeś? Schylił się i wsunął jej do ręki bilecik z adresem; A ona wzięła to z najcnotliwszą miną: straszna jest ta rudowłosa kobieta, taka wåtła, na pozór taka beznamiętna... Ładne *rzeczy* się u ciebie dzieją!

– Ach! – odpowiedział Mouret uśmiechając się – te panie nie są tu wcale u mnie, lecz u siebie.

Potem zaczął żartować. Miłość – tak jak jaskółki – przynosi szczęście domowi. Znał wszystkie dziewczęta wałesające się między działami i panie, które tu niby przypadkiem spotykały swoich przyjaciół; jeśli nawet nic nie kupowały, to przynajmniej robiły tłok i rozgrzewały magazyn. Tak rozmawiając Mouret wziął pod rękę swojego starego przyjaciela i

stanął w progu salonu, naprzeciw galerii centralnej, której poszczególne działy roztaczały się u ich stóp. Za nimi pozostała czytelnia, baza ciszy przerywanej niekiedy nerwowym skrzypieniem piór i szelestem miętych gazet. Jakiś starszy pan zasnął nad swoim „Monitorem”. Pan de Boves przyglądał się obrazom z widocznym zamiarem zgubienia w tłumie swojego przyszłego zięcia. Wśród tej ciszy jedynie pani Bourdelais bawiąc dzieci mówiła bardzo głośno, tak jak w podbitym kraju.

– Widzisz, są jak u siebie – powtórzył Mouret pokazując gestem skupisko kobiet, od którego aż trzeszczał magazyn.

Pani Desforges, która o mało nie zostawiła płaszcza w tłumie, dostała się wreszcie do wnętrza i właśnie przechodziła przez pierwszą halę. Doszedłszy do wielkiej galerii podniosła głowę. Znajdowała się jakby w hali dworcowej otoczonej przez balustrady dwu pięter, poprzecinanej schodami zawieszonymi w próżni i wiszącymi mostami. Żelazne, podwójnie skręcone schody, o śmiało zatoczonych łukach, podzielone były licznymi podestami; żelazne mosty rzucone nad próżnią biegły w linii prostej bardzo wysoko: w białym oświetleniu dziennym ta żelazna konstrukcja nadawała architekturze lekkość, wydawała się jakby artystyczną koronką, przez którą przeświecało światło, nowoczesną realizacją pałacu z bajki, jakąś wieżą Babel piętrzącą kondygnacje, rozszerzającą sale, otwierającą widok na inne piętra i inne sale – aż w nieskończoność. Żelazo królowało tu wszędzie; młody architekt był na tyle uczciwy i odważny, że nie ukrywał go pod warstwą tynku, naśladowując kamień lub drzewo. Na dole. aby nie przyćmiewać towarów, dekoracja była umiarkowana, jedynie wielkie, gładkie przestrzenie o neutralnym odcieniu; potem, w miarę jak wznosiła się metalowa konstrukcja, kapitele kolumn stawały się coraz bogatsze, miejsca nitowania ozdobione były kwiatonami, konsole i kroksztyny – rzeźbą; na górze, wreszcie, umieszczono zielone i czerwone malowidła pośród obfitości złota, całych strumieni złota, pokosów złota, aż do witraży włącznie, których szkło było emaliowane i wykładane złotem. W krytych galeriach odsłonięte cegły sklepienia powleczono emalią o żywych barwach. Mozaiki i fajans wchodziły jako składnik ornamentacji, rozweselały fryzy, rozjaśniały świeżymi tonami surową całość. Schody o poręczach krytych czerwonym aksamitem ozdobione były wstęgą ażurowego i wyglądnionego żelaza świecącego jak stalowa zbroja.

Mimo że pani Desforges znała już nowe urządzenia, zatrzymała się, uderzona ożywieniem, jakim pulsowała w tym dniu ogromna nawa. Na dole wokoło niej falował tam i z powrotem tłum ludzi, którego podwójny prąd płynący w przeciwnych kierunkach dawał się odczuć nawet w dziale jedwabii; tłum bardzo różnorodny, chociaż popołudnie ściągало raczej eleganckie panie, przeważające teraz pośród małomieszczanek i gospodyń; dużo kobiet w

żałobie, z długimi welonami; wiele zabłąkanych piastunek ochraniających łokciami swoich pupilów. I to morze barwnych kapeluszy, odkrytych jasnych lub ciemnych włosów falowało z jednego końca galerii do drugiego, bezładnie zmieszane i matowe na tle migotliwego blasku tkanin. Pani Desforges widziała otaczające ją ze wszystkich stron wielkie kartony z olbrzymimi cyframi, które odcinały się ostro od kolorowych kretonów, błyszczących jedwabi i ciemnych welen. Stosy wstążek zasłaniały głowy, mur flaneli tworzył wystający cypel, rozstawione wszędzie lustra pogłębiały lokal, odbijały towar i skupiska ludzi, ukazywały zmienione twarze, fragmenty ramion i rąk; na prawo i na lewo, w bocznych galeriach otwierały się widoki na śnieżne góry białych materiałów, na tle niewyraźnie rysującej się w głębi pstrokacizny trykotaży, na które tu i ówdzie padał z wnęk okiennych snop światła i gdzie tłum wydawał się tylko ludzkim pyłkiem. Gdy pani Desforges podnosiła oczy w górę, widziała na całej długości schodów, na wiszących mostach, wokoło balustrad każdego piętra nieprzerwany i szumiący potok, tłum ludzi zawieszony w powietrzu, przesuwany się w ażurowym wnętrzu ogromnego metalowego szkieletu, rysujący się czarno na tle rozproszonego światła płynącego z witraży. Z sufitu zwieszały się złożone żyrandole: dywany, hafty i tkaniny lamowane złotem zdobiły ściany, otaczały jak bajecznie kolorowe chorągwie balustradę schodów; poprzez cały magazyn płynęły zwoje koronek, drgały muśliny, pyszniły się jedwabie, stały w geście apoteozy na wpół odziane manekiny: ponad tym zamęt, wysoko w górze, w dziale pościelowym ciągnęły się rzędem, jakby zawieszone w powietrzu, żelazne łóżka z materacami, ozdobione białymi firaneczkami, niby sypialnie pensjonarek pogrążone we śnie mimo hałasu tysiąca nóg klientów, coraz mniej licznych, w miarę jak wznosiły się piętra magazynu.

– Czy życzy pani sobie nabyć tanio podwiązki? – zwrócił się jakiś sprzedawca do pani Desforges widząc, że przystanęła. – Czysty jedwab, frank czterdzieści pięć.

Pani Desforges nie raczyła nawet odpowiedzieć. Wokoło niej rozlegały się coraz piskliwsze głosy subiektów reklamujących swoje towary. Chciała się jednak zorientować. Kasa Alberta Lhomme znajdowała się na lewo; młody Albert znał panią Desforges z widzenia i pozwolił sobie na miły uśmiech w jej stronę, nie okazując zbytniej gorliwości wśród powodzi rachunków napływających do kasy; stojący z tyłu Józef borykał się z kłębkami sznurka nie mogąc nadażyć z zawijaniem paczek. Henrietta połapała się wreszcie. Dział jedwabi powinien znajdować się naprzeciw niej. Zużyła jednak dobre dziesięć minut, zanim się tam dostała, tak bardzo wzmagał się wciąż natłok klientów. W powietrzu mnożyły się czerwone baloniki umocowane na niewidocznych sznureczkach; gromadziły się one na kształt purpurowych chmur, płynęły powoli ku drzwiom, aby rozlać się następnie po całym

Paryżu; pani Desforges musiała schylać głowę, aby nie zaczepiać o baloniki bujające na sznurkach owiniętych wokoło rączek malutkich dzieci.

– Jak to, odważyła się pani przyjść? – zawołał wesoło Bouthemont poznając panią Desforges.

Kierownik działu bywał czasem na herbacie w salonie przy ulicy Algierskiej, wprowadzony tam przez samego Moureta. Henrietta uważała go za dość pospolitego, ale bardzo miłego młodego człowieka; jego zdrowy humor raził ją i bawił jednocześnie. Właśnie dwa dni temu opowiedział jej bez ogródek o flircie Moureta z Klarą. Nie robił tego z wyrachowania, raczej przez głupotę chłopca lubiącego się pośmiać. Pokrywając urazę pogardliwą miną, przyszła teraz, nękana zazdrością, aby dowiedzieć się czegoś bliższego o tej dziewczynie, o której wiedziała tylko, że pracuje w konfekcji. Bouthemont nie chciał powiedzieć nazwiska tej panny.

– Czy pani życzy sobie coś kupić w naszym dziale? – zapytał.

– Tak, właśnie po to przyszedłam... Czy ma pan fular na matinki?

Miała nadzieję, że wyciągnie od niego imię panny, bardzo bowiem chciała ją zobaczyć. Bouthemont zawołał Faviera i zabawiał Henriettę rozmową czekając, aż subiekt skończy obsługiwać „piękną panią”, uroczą blondynkę, o której często mówiono w dziale jedwabi, choć nikt nie znał jej historii ani nazwiska. Tym razem piękna pani była w ciężkiej żałobie. Kogo straciła, męża czy ojca? Chyba nie ojca, bo byłaby bardziej smutna. Więc jakże? To nie jest kokota? Miała naprawdę męża? Możliwe, że nosi żałobę po matce. Przez kilka minut, mimo nawału pracy, cały dział snuł domysły.

– Spiesz się, to już staje się nieznośne! – wołał Hutin do Faviera, który wracał właśnie odprowadziwszy swoją klientkę do kasy. – Kiedy przychodzi ta pani, grzebiesz się jak w smole... A ona kpi sobie z ciebie!

– Ja kpię sobie z niej jeszcze bardziej – odpowiedział rozdrażniony subiekt.

Hutin zagroził mu, że poskarży dyrekcji, jeśli nie będzie wyrażał się z większym szacunkiem o klienteli. Nowy zastępca kierownika był nieznośny, zadreślał podwładnych wymaganiami, odkąd cały dział połączył swoje wysiłki, aby zajął miejsce Robineau. Mimo przyrzeczenia, że będzie dobrym kolegą, czym starał się niegdyś zjednać sobie współpracowników, okazał się tak trudny w codziennym pożyciu, że obecnie cały dział podburzał potajemnie Faviera przeciwko niemu.

– Tylko proszę mi nie odpowiadać – powiedział surowo Hutin. – Pan Bouthemont prosi o najjaśniejsze wzory fularu.

W samym środku działu wystawa letnich jedwabi rozjaśniała halę blaskiem jutrzeńki, jak

gwiazda wschodząca wśród najdelikatniejszej poświaty: bladuróżowej, jasnożółtej, przejrzyste niebieskiej, wszystkich odcieni szarfy bogini Iris. Były tu fulary zwiewne jak obłoki, jedwabie lżejsze od ulatującego z drzew pyłku kwiatów, błyszczące pekiny, delikatne jak ciało chińskich dziewcząt. Były jeszcze lekkie, gąbczaste tkaniny z Japonii, indyjski tusor i kora, nie licząc lekkich jedwabików w prążki, w kratki, w drobny rzucik, we wszystkie możliwe fantazyjne desenie, które przywodziły na myśl damy w sukniach z falbanami przechadzające się w poranki majowe pod wielkimi drzewami parku.

– Wezmę ten jedwab w stylu Ludwika XIV, w bukieciki róż – powiedziała w końcu pani Desforges.

Podczas gdy Favier mierzył materiał, Henrietta jeszcze raz spróbowała dowiedzieć się czegoś od stojącego obok niej Bouthemonta.

– Zajdę jeszcze do salonu konfekcji, aby obejrzeć podróżne płaszcze... Czy ta panna, o której mi pan opowiadał, jest blondynką?

Kierownik działu, zaniepokojony jej naleganiem, uśmiechnął się tylko zamiast odpowiedzi. Denise mijając właśnie dział jedwabi. Oddała w ręce Liénarda, stojącego przy wełnach, panią Boutarel, która przyjeżdżała do Paryża dwa razy w roku, aby posiać w rozmaitych działach magazynu „Wszystko dla Pań” pieniądze zaoszczędzone na gospodarstwie. Hutin chcąc dokuczyć Favierowi, który brał już fular kupiony przez panią Desforges, aby odnieść do kasy, zatrzymał go mówiąc:

– To zbyteczne, poprosimy tę panienkę, żeby zechciała zaprowadzić panią do swojego działu.

Zmieszana Denise wzięła materiał i rachunek. Za każdym razem, gdy spotykała Hutina, ogarniał ją wstyd, jakby młody człowiek przypominał jej dawno popełniony błąd. W rzeczywistości zgrzeszyła przecież tylko w marzeniach.

– Niech mi pan powie – zapytała po cichu pani Desforges kierownika działu – czy to nie jest ta sama niezdarna dziewczyna? Więc on ją przyjął z powrotem? Ależ to ona musi być bohaterką tej historii!

– Być może – odpowiedział Bouthemont uśmiechając się ciągle, zdecydowany zataić prawdę.

Pani Desforges, poprzedzana przez Denise, powoli zaczęła wstępować na schody. Co chwila musiała się zatrzymywać, aby tłum schodzących z góry ludzi nie uniósł jej ze sobą. W ustawicznym drzeniu całego domu żelazne schody wyraźnie uginały się pod nogami wchodzących, jak gdyby kołysane oddechem tłumu. Na każdym stopniu solidnie umocowany manekin prezentował w nieruchomej postawie różne ubiory: kostiumy, palta, szlafroki;

rzekłbyś, że stoją tam w podwójnym szyku żołnierze na uroczystej defiladzie, mając mały drewniany trzonek, podobny do rękojeści sztyletu, wbity w czerwony mul-ton – rzekłbyś – broczący krwią po ścięciu głowy.

Pani Desforges dotarła wreszcie na pierwsze piętro, gdy silniejsza od innych fala ludzka zmusiła ją do zatrzymania się na chwilę. Miała teraz u swych stóp działał parterowe, szeroko rozlany tłum klientek, przez który dopiero co się przedostała. Był to widok nowy, ocean ludzi widzianych w skrócie, o tułowiach prawie że niewidocznych, rojący się jak rozkopane mrowisko. Białe kartony z cenami wydawały się z tej wysokości wąskimi linijkami, stopy wstążek piętrzyły się w jednym kłębowisku wzdórki flaneli przecinały galerię wąskim murem; ozdabiające balustrady dywany i haftowane jedwabie zwieszały się poniżej niby chorągwie wzdłuż bocznych naw kościoła.

W oddali pani Desforges dostrzegła narożniki bocznych sal, podobnie jak z wierzchołka dzwonnicy dostrzega się wyloty sąsiednich ulic, po których poruszają się czarne sylwety przechodniów. W zdumienie wprawiał ją zwłaszcza fakt, że gdy przymknęła powieki, zmęczone i oślepienie olśniewającą grą kolorów, wówczas cały ten tłum ludzki, szumiący jak przypływ morza i wypełniający powietrze jakimś duszącym gorącym, wydawał jej się jeszcze większy. Wznosiły się z posadzek tumany delikatnego pyłu, przesyconego zapachem kobiety, zapachem bielizny i dekoltów, zapachem spódnic i włosów, przejmującą, ogarniającą wszystko wonią, która wydawała się kadzidłem tej świątyni wzniesionej na cześć kobiecego ciała.

Tymczasem Mouret, stojąc ciągle przed czytelnią w towarzystwie pana de Vallagnosc, upajał się tym aromatem powtarzając:

– One są jak u siebie. Znam takie, które spędzają tutaj cały dzień na jedzeniu ciastek i pisaniu listów... Pozostaje mi tylko zapewnić im nocleg.

Żart ten wywołał uśmiech na twarzy Pawła; w swym wiecznym pesymizmie nie widział racji w tej hałaśliwej pogoni za gałgankami. Gdy przychodził, aby uściskać dłoń dawnego kolegi, żegnał go zawsze jakby urażony, widząc, że tryska życiem w otoczeniu tłumy uwodzicielskich kobiet. Czyż znajdzie się wreszcie taka, która pustką swojego mózgu i serca przekona go o głupocie i bezcelowości życia? Właśnie tego dnia Oktaw wydawał się wytrącony z równowagi; zazwyczaj podsycił jeszcze gorączkę swoich klientek z pełnym wdzięku spokojem chirurga – tego dnia jednak ulegał jakby sam tej namiętności, jaką płonął cały jego magazyn. Od chwili gdy zobaczył Denise i panią Desforges wchodzące na schody, nie zdając sobie z tego sprawy zaczął mówić głośnie i szeroko gestykulować. Starając się nie odwracać ku nim głowy, ożywiał się coraz bardziej, w miarę jak czuł, że zbliżają się do niego.

Twarz jego nabrała rumieńców, oczy zaś błyszczały takim samym nieprzytomnym zachwytem, jak wzrok jego klientek.

– Muszą cię zdrowo okradać – powiedział półgłosem Vallagnosc rozpoznając w tłumie twarze napiętnowane przestępczością. Mouret szeroko rozłożył ręce.

– Mój drogi, to przechodzi wszelkie wyobrażenie. Zachwycony poddanym tematem, zaczął mówić nerwowo, dając niezliczone przykłady, opowiadając fakty i na ich podstawie dzieląc złodziejki na kilka kategorii. Wymienił przede wszystkim złodziejki zawodowe, które najmniej robiły szkody, ponieważ policja знаła je prawie wszystkie. Następnie – maniaczki kradnące dla zaspokojenia przewrotnej zachcianki; pewien psychiatra uznał to za nową odmianę schorzeń nerwowych i twierdził, że źródłem choroby były domy towarowe ustawicznie drażniące klientki tysiącem pokus. Inną wreszcie kategorię stanowiły kobiety w poważnym stanie, które specjalizowały się w kradzieży poszczególnych artykułów; u jednej z nich komisarz policji znalazł, na przykład, dwieście czterdzieści osiem par różowych rękawiczek ukradzionych w różnych magazynach Paryża.

– To dlatego kobiety mają tutaj takie dziwne oczy!– powiedział cicho Vallagnosc. – Przyglądałem się ich twarzom: jest to wyraz chciwości i zawstyżenia, właściwy obłąkanym. Ładna szkoła uczciwości!

– Mój Boże! – odpowiedział Mouret. – Chociaż wmawia się w nie, że są u siebie, nie można im przecież pozwalać na wynoszenie towarów ukrytych pod płaszczem... A to zdarza się najlepiej wychowanym osobom. W zeszłym tygodniu przyłapaliśmy na gorącym uczynku siostrę pewnego aptekarza i żonę radcy dworu. Staramy się zatuszować tę sprawę.

Przerwał, aby wskazać inspektora Jouve, który w dziale wstążek na parterze śledził właśnie kobietę w poważnym stanie. Kobieta ta, niosąca przed sobą ogromny brzuch, z trudem przeciskała się przez tłum; szła z przyjaciółką, która miała ją zapewne ochraniać przed zbyt brutalnymi szturchańcami. Za każdym razem, kiedy zatrzymywała się przed jakimś działem, inspektor nie spuszczał jej z oczu, a tymczasem przyjaciółka szperała do woli w pudłach z towarem.

– Przyłapie ją z pewnością – ciągnął dalej Mouret – zna się doskonale na wszystkich sztuczkach.

Głos jego zadrzał, a na twarzy ukazał się wymuszony uśmiech. Denise i Henrietta, których nie przestawał ścigać wzrokiem, mijały go właśnie, przedostawszy się z trudem przez tłum. Odwrócił się więc i ukłonił klientce w sposób dyskretny i przyjacielski, jak ktoś, kto nie chce kompromitować kobiety zatrzymując ją pośrodku ciżby. Pani Desforges jednak, czujna i podejrzliwa, doskonale zauważyła wzrok, jakim Mouret objął postać Denise. Z pewnością

właśnie ta dziewczyna była jej rywalką, którą taka ciekawa była zobaczyć.

W dziale konfekcji panny sklepowe traciły wprost głowę. Dwie spośród pracowniczek były nieobecne z powodu choroby, pani Frederic zaś, zastępczyni kierowniczką, najspokojniej opuściła magazyn poprzedniego dnia, podejmując należne jej pieniądze z kasy i rzucając „Wszystko dla Pań” bez uprzedzenia, w taki sam sposób, w jaki magazyn wyrzucał swoich pracowników. Od samego rana, mimo gorączkowej sprzedaży, mówiono wciąż o tym wydarzeniu. Klara, zatrzymana w magazynie dzięki kaprysowi Moureta, uważała, że zastępczyni kierowniczką postąpiła „cudownie”. Małgorzata opowiedziała o wzburzeniu Bourdoncle’a, pani Aurelia zaś, urażona, oświadczyła, że pani Frederic mogła przynajmniej uprzedzić ją – podobną hipokryzję trudno sobie wyobrazić! Mimo że bohaterka dnia nie zwierzała się nikomu, podejrzewano jednak, że opuściła pracę w magazynie, aby poślubić właściciela zakładu kąpielowego w okolicy hal targowych.

– Czy pani życzy sobie płaszcz podróżny? – zapytała Denise podsunąwszy krzesło pani Desforges.

– Tak jest – odpowiedziała sucho klientka postanawiając z góry zachować się w sposób niegrzeczny.

Nowe urządzenie działu konfekcji cechował surowy przepych: wysokie szafy z rzeźbionego dębu, wielkie lustro zajmujące całą szerokość ściany, tłumiący kroki klientek czerwony mokat. Gdy Denise oddaliła się, aby przynieść płaszcze podróżne, pani Desforges rozglądając się po salonie zauważyła swoje odbicie w lustrze; przyglądała się sobie przez długą chwilę. Czyżby się tak postarzała, że można ją było zdradzić dla pierwszej lepszej dziewczyny? Lustro odbijało cały dział i panujący w nim ruch; ale ona widziała tylko własną pobladałą twarz. Nie słyszała, jak Klara opowiadała Małgorzacie jedną ze sztuczek pani Frederic, która co rano i co wieczór nakładała drogi przechodząc przez pasaż Choiseul, aby myślnie, że mieszka po lewej stronie Sekwany.

– Oto nasze ostatnie modele – powiedziała Denise. – Mamy je w kilku kolorach.

Mówiąc to pokazywała cztery czy pięć fasonów okryć. Pani Desforges mierzyła je pogardliwym wzrokiem: przy każdym z nich stawała się coraz bardziej wymagająca. Po co te marszczenia, które czynią okrycie zbyt wąskim? A to drugie, o kwadratowych ramionach, jakby obciosanych siekierą? Nawet w podróży nie można przecież wyglądać jak kosz plażowy.

– Niechże mi pani pokaże coś innego.

Denise rozkładała okrycia, składała je, bez jednego odruchu zniecierpliwienia. Ten spokój ekspedientki drażnił jeszcze bardziej panią Desforges. Zwracała się ciągle do lustra

znajdującego się naprzeciwko. Przyglądała się teraz sobie porównując się ze stojącą obok Denise. Czyż to możliwe, żeby ktoś wolał od niej tę niepozorną pannę? Przypomniała sobie, że widziała ją już kiedyś jako początkującą ekspedientkę, pocieszną i niezgrabną niczym pastuszka gęsi dopiero co przybyła ze wsi. Zapewne, dzisiaj wygląda już lepiej, trzyma się sztywno i poprawnie w swej jedwabnej sukni. Tylko co za pospolity wygląd, co za przeciętność!

– Pokażę pani jeszcze inne fasony – mówiła spokojnie Denise.

Gdy powróciła, znowu powtórzyła się ta sama scena. Pani Desforges przyczepiła się teraz do gatunku materiału, który był za ciężki i w ogóle nic niewart. Odwracała się, podnosiła głos, starała się zwrócić uwagę pani Aurelii w nadziei, że uda jej się ściągnąć na młodą dziewczynę niezadowolone kierowniczkę. Lecz Denise od czasu swojego powrotu do magazynu zyskała sobie uznanie całego działu; czuła się tutaj teraz jak u siebie i sama pani Aurelia oceniała jej zdolności, łagodność, pogodę i umiejętność przekonywania klientek. Kierowniczka nie chciała się więc wtrącać i wzruszyła tylko lekko ramionami.

– Może pani zechciałaby wskazać mi rodzaj płaszcza, jaki pani sobie życzy? – zapytała znowu Denise grzecznie, bez odrobiny zniechęcenia.

– Ale przecież wy nie macie żadnego wyboru!... – zawołała pani Desforges.

Urwała czując, że czyjaś ręka dotyka jej ramienia. Obok niej stała pani Marty, którą niepoohamowany pęd do wydatków przygnał do salonu konfekcji. Jej zakupy wzrosły tak znacznie od czasu nabycia krawatów, haftowanych rękawiczek i czerwonej parasolki, że ostatni subiekt wpadł na pomysł, aby umieścić wszystkie pakunki na krześle, bo nie mógł ich już udźwignąć; szedł więc teraz przed klientką, ciągnąc za sobą krzesło, na którym piętrzyły się spódnice, ręczniki, firanki, lampa i trzy słomianki.

– Co widzę! Kupuje pani płaszcz podróżny?

– Ale skądże znowu! – odpowiedziała pani Desforges. – Fasony i materiał okropne.

Pani Marty spostrzegła płaszcz w prążki, który jej się dosyć podobał. Jej córka Walentyna oglądała go już. Wówczas Denise zawołała Małgorzatę, która zrozumiawszy znaczące spojrzenie koleżanki, aby starała się wpakować klientce model z ubiegłego sezonu, przedstawiła go jako wyjątkową okazję. Kiedy ekspedientka zapewniła panią Marty, że już dwukrotnie obniżano cenę tego modelu, ze stu pięćdziesięciu na sto trzydzieści, a teraz na sto dziesięć franków – nie miała siły oprzeć się pokusie. Kupiła płaszcz, a sprzedawca, który jej towarzyszył, pozostawił krzesło i plik rachunków dołączonych do towarów.

Z tyłu, za plecami klientek, wśród gorączki sprzedaży znowu wszczęto rozmowy na temat pani Frederic.

– Naprawdę? Ona miała kogoś? – pytała mała ekspedientka, nowo przyjeta do działu.

– Jakiś mężczyzna z zakładu kąpielowego, słowo daję! – odpowiedziała Klara. – Nie należy zbytnio ufać tym spokojnym wdowom.

Gdy Małgorzata poszła do kasy, aby załatwić rachunek za płaszcz, pani Marty odwróciła głowę i lekkim mrugnięciem pokazując Klarę powiedziała szeptem do pani Desforges:

– To właśnie jest ostatni kaprys Moureta.

Henrietta zdziwiona spojrzała na Klarę, przeniosła wzrok na Denise i odpowiedziała przyjaciółce:

– Ale to nie ta duża, to tamta mała! – Ponieważ pani Marty nie chciała się upierać, pani Desforges dodała już głośniejszym, pogardliwym tonem, jakim panie zwykły mówić o swoich pokojówkach: – Może jedna i druga, wszystkie, które się na to godzą!

Denise usłyszała to ostatnie zdanie. Podniosła wielkie, niewinne oczy na tę panią, która ją obrażała nie znając jej zupełnie. Była to z pewnością ta osoba, o której mówiono, że jest przyjaciółką pryncypała. W spojrzeniu Denise było tyle smutnej godności, taka szczerza niewinność, że Henrietta zmieszała się.

– Ponieważ pani nie może mi pokazać nic godnego uwagi – powiedziała gwałtownie – proszę mnie zaprowadzić do działu sukien i kostiumów.

– Pójdę z panią – zawołała pani Marty. – Chciałam obejrzeć jeszcze kostium dla Walentyny.

Małgorzata ujęła krzesło za oparcie i pociągnęła za sobą przechylone, z przednią parą nóg w powietrzu. Taka jazda nadwierała je mocno. Denise niosła tylko kilka metrów fularu kupionego przez panią Desforges. Była to cała podróż, bo dział sukien i kostiumów znajdował się teraz na drugim piętrze, po przeciwnej stronie magazynu.

Rozpoczęła się więc długa wędrówka poprzez zatłoczone galerie. Na przedzie szła Małgorzata ciągnąc za sobą, jak wózek, naładowane krzesło, torując z trudem drogę. Już w dziale bielizny pani Desforges zaczęła narzekać: jakie śmieszne są te bazary, gdzie trzeba przejść dwa kilometry, aby móc kupić najmniejszy drobiazg! Pani Marty także czuła się śmiertelnie znużona; niemniej to zmęczenie, to powolne zamieranie sił pośród nie kończącej się powodzi towarów sprawiało jej rozkosz. Genialny pomysł Moureta pochłonął ją całkowicie. Każdy dział, który napotykała przechodząc, skłaniał ją do zatrzymania się. Po raz pierwszy przystanąła skuszona konfekcją bieliźnianą i Paulina sprzedała jej parę koszul. Małgorzata pozbyła się w ten sposób krzesła, którym musiała się zaopiekować Paulina. Pani Desforges mogła właściwie iść dalej z Denise, aby ją prędzej zwolnić, lecz umyślnie ociągała się, dawała rady przyjaciółce. odczuwając jakby satysfakcję, że panna sklepowa stoi za nią.

nieruchoma i cierpliwa. W dziale wyprawek niemowlęcych panie zatrzymały się pełne podziwu, ale nie kupiły nic. Potem jednakże pani Marty uległa znowu pokusie; nie mogła oprzeć się chęci kupna czarnego gorsetu, mankietów futrzanych, sprzedawanych po niższej cenie z okazji nadchodzącego letniego sezonu, rosyjskich koronek, którymi ozdabiano wówczas bieliznę stołową. Wszystkie te zakupy piętrzyły się w wielki stos na krześle, które aż trzeszczało od ciężaru: zmieniający się sprzedawcy z coraz to większym trudem ciągnęli je po podłodze.

– Pani będzie łaskawa tędy – mówiła Denise cierpliwie po każdym przystanku.

– Ależ to nie ma najmniejszego sensu! – wołała pani Desforges. – Nigdy nie dojdziemy. Dlaczego nie umieszczono działu sukien i kostiumów obok działu konfekcji?... Co za chaos!

Pani Marty z nienaturalnie wielkimi oczami, odurzona tymi przesuwanymi się przed nią w tanecznym rytmie bogactwami powtarzała półgłosem:

– Mój Boże! Co na to powie mój mąż... Ma pani rację, nie ma żadnego porządku w tym magazynie. Człowiek się gubi i popełnia całą masę głupstw.

Na środkowej kondygnacji schodów mozolnie przepychano się z załadowanym krzesłem. Mouret kazał zastawić to miejsce małym kramikiem specjalnych wyrobów paryskich, pucharkami oprawnymi w pozłocaną blachę, neseserami, tandetnymi skrzynkami na napoje, gdyż uważał, że klienci poruszali się po tej przestrzeni zbyt swobodnie i wcale nie dusili się w tłoku. Poleciał też jednemu z subiektów ustawić na małym stole rozmaite drobiazgi z Chin i Japonii, tanie graciki, które klientki po prostu wrywały sobie. Sukces był tak niespodziewany, że pryncypał myślał na serio o rozszerzeniu tej gałęzi handlu. Podczas gdy dwaj chłopcy sklepowi wnosili krzesło na drugie piętro, pani Marty kupiła sześć guzików z kości słoniowej, myszki z jedwabiu i emaliowane pudełeczko do zapalek.

Na drugim piętrze wędrówka rozpoczęła się na nowo. Denise, która od rana odbywała już te wędrówki z klientkami, upadała ze zmęczenia; ale – z natury łagodnego usposobienia – była nadal uprzedzająco grzeczna. Musiała czekać jeszcze na obie panie w dziale materiałów meblowych, gdzie jakiś cudowny kreton zatrzymał panią Marty. W dziale mebli pani Marty zapragnęła kupić stolik do ręcznych robót. Ręce jej drżały i błagała ze śmiechem panią Desforges, żeby powstrzymała ją od dalszych wydatków. gdy nadejście pani Guibal stało się dla niej nowym pretekstem. Znajdowały się w dziale dywanów, dokąd pani Guibal przyszła, aby zwrócić zakupione przed pięciu dniami wschodnie portiere; rozmawiała teraz ze znajomymi paniami stojąc przy ladzie przed sprzedawcą, tęgim mężczyzną, którego atletyczne ramiona przerzucały od rana do nocy ciężary mogące zabić wołu. Był skonsternowany tym zwrotem, który pozbawiał go zarobionego procentu, toteż starał się

onieśmielić klientkę, wietrząc jakąś nieczystą sprawę, jakiś bal, na który potrzebne były te portiery, zakupione, a potem odesłane, aby oszczędzić na wypożyczeniu ich od tapicera; wiedział, że tak praktykowano czasem w sferze oszczędnego mieszczaństwa. Mówił więc, że klientka miała z pewnością słuszne powody, aby zwrócić portiery, ale jeśli chodzi jej o nieodpowiedni deseń czy kolory, to może pokazać inne, ma bardzo wielki wybór. Pani Guibal odpowiedziała jednak na te wszystkie insynuacje ze spokojem kobiety władczyni, że portiery przestały się jej podobać, i nie raczyła tłumaczyć się dokładniej. Nie zgodziła się też obejrzeć innych portier i sprzedawca musiał ulec jej woli, gdyż polecono mu przyjmować zwroty bez względu na to, czy przedmioty były używane, czy nie.

Trzy panie oddaliły się razem i pani Marty, pełna skrupułów, zaczęła znów rozważać sprawę stolika do robót, który wcale zresztą nie był jej potrzebny. Wówczas pani Guibal powiedziała swym spokojnym głosem:

– Może go pani przecież zwrócić... Widziała pani, że to nie jest wcale trudne... Niech pani go każe w każdym razie dostarczyć do domu. Postawi go pani w salonie, przyjrzy mu się, a gdy się znudzi, odda go pani z powrotem.

, – To jest dobra myśl! – zawołała pani Marty. – Jeśli mój mąż będzie się bardzo gniewał, to wszystko odstawię z powrotem do sklepu.

Mając możliwość wyjścia z kłopotliwej sytuacji, przestała liczyć się z pieniędzmi i czyniła coraz to nowe zakupy marząc skrycie o zachowaniu wszystkiego, bo nie należała do tych kobiet, które zwracają zdobycz.

Wreszcie dobrnięto do działu sukien i kostiumów. Ale gdy Denise miała właśnie oddać jednej z pań zakupiony przez panią Desforges fular, klientka rozmyśliła się nagle i zdecydowała, że weźmie ten jasnopopielaty płaszcz podróżny. Denise musiała czekać grzecznie, aby zaprowadzić ją z powrotem do działu konfekcji. W tym kaprysie rozkazującej klientki dziewczyna wyczuwała doskonale zamiar potraktowania jej jak służącą; poprzysięgła sobie jednak spełnić swój obowiązek za wszelką cenę i zachowała całkowity spokój, mimo że serce waliło jej ze zdenerwowania, a urażona duma pobudzała do buntu. Pani Desforges nie kupiła nic w dziale sukien i kostiumów.

– Mamusiu – powiedziała Walentyna – taką mam ochotę na ten kostiumik, jeśli tylko będzie na mnie pasował!

Zniżonym głosem pani Guibal tłumaczyła pani Marty, jaką stosowała taktykę. Wybierała jakąś suknię w sklepie, kazała ją sobie odsyłać i, skopiowawszy ją, zwracała model. Wobec czego pani Marty kupiła kostium dla córki mruczając pod nosem:

– Doskonały pomysł! Jaka pani jest praktyczna, droga pani!

Doprowadzone do opłakanego stanu krzesło z paczkami pani Marty musiano zostawić w dziale meblarskim, obok stolika do robót. Łączna waga zakupów była już zbyt wielka, tylne nogi krzesła groziły złamaniem; postanowiono więc, że wszystkie sprawunki złożone zostaną w jednej kasie i odesłane następnie do biura ekspedycji miejskiej.

Wówczas wszystkie panie, ciągle eskortowane przez Denise, rozpoczęły prawdziwą włóczęgę po całym magazynie. Widziano je znowu we wszystkich działach. Chodziły tam i z powrotem po schodach i wzdłuż galerii. Co chwila przystawały spotykając znajome. Nie opodal czytelnicy natknęły się na panią Bourdelais z dziećmi. Każde z dzieci niosło pakunek:

Magdalena trzymała pod pachą sukienkę, Edmund całą kolekcję małych bucików, najmłodszy zaś, Lucjan, miał na głowie nową czapkę.

– Więc i ty także! – zwróciła się ze śmiechem pani Desforges do swojej szkolnej przyjaciółki.

– Nie śmieć się ze mnie, bo jestem wściekła na nich... Naciągają nas teraz za pośrednictwem naszych pociech! Wiesz dobrze, że nigdy nie popełniam szaleństw dla siebie! Ale jak tu odmówić dzieciom, którym wszystko się podoba! Przyszłam po to, aby pokazać im magazyn, a skończyło się na tym, że go obrabowuję!

Mouret, stojąc jeszcze na dawnym miejscu z Pawłem Vallagnosc i panem de Boves, słyszał ten gwałtowny wybuch i uśmiechnął się. Pani Bourdelais dostrzegła go i tłumiąc wzburzenie, z humorem zaczęła mu się żalić na te pułapki zastawione na miłość macierzyńską. Wściekła była, że uległa gorączce reklamy. Mouret natomiast, ciągle uśmiechnięty, pochylał się przed nią w ukłonie, ciesząc się ze swego triumfu. Pan de Boves manewrował, aby zbliżyć się do pani Guibal i oddalił się z nią, raz jeszcze starając się zgubić swojego przyszłego zięcia, ale Paweł zmęczony tłokiem, pospieszył za oddalającym się hrabią. Denise musiała się znowu zatrzymać, aby poczekać na panie. Odwróciła się tyłem do rozmawiających, a Mouret udawał, że jej nie widzi. I właśnie to zachowanie się obojga skłoniło panią Desforges, obdarzoną doskonałym węchem, do stwierdzenia z całą pewnością, że się nie myliła. Podczas kiedy on prawil jej komplementy i odprowadzał ją kilka kroków jak uprzejmy pan domu, zastanawiała się, w jaki sposób udowodnić mu zdradę.

Pan de Boves i Paweł Vallagnosc, idąc przodem z panią Guibal, znaleźli się w dziale koronek. Był to sąsiadujący z konfekcją, luksusowo urządzonej salon, o ścianach całkowicie zastawionych szafami, których kasety zamykały klapy z rzeźbionego dębu. Wokoło kolumn pokrytych czerwonym aksamitem owinięte były spiralnie białe koronki: przez całą długość salonu biegły zwoje gipiur; na ladach piętrzyły się wielkie kartony, na których nawinięte były walansjenki, koronki flandryjskie, koronki igiełkowe. W głębi siedziały dwie panie przed

jedwabną liliową podkładką, na której Deloche prezentował koronki *chantilly*: panie przypatrywały im się w milczeniu, nie mogąc zdecydować się na wybór.

– Pan przecież mówił, że pani de Boves jest cierpiąca – odezwał się zdziwiony Vallagnosc – a tymczasem widzę ją wraz z panną Blanką w trakcie robienia zakupów.

Hrabia nie umiał ukryć, że spotkanie żony i córki zaskoczyło go w sposób nieprzyjemny, i rzucił w stronę pani Guibal ukradkowe spojrzenie.

– Rzeczywiście – powiedział tylko.

W salonie było bardzo gorąco. Klientki dusiły się po prostu. Twarze miały blade, oczy ich błyszczały. Można by powiedzieć, że wszystkie pokusy magazynu osiągnęły w dziale koronek szczyt wyrafinowania: była to niby intymna alkowa, miejsce ostatecznego upadku i zatracenia się, któremu ulegały nawet najsilniejsze kobiety. Ręce instynktownie nurzały się w tym bogactwie i nawet oderwawszy się od nich drżały z upojenia.

– Zdaje mi się, że te panie gotują zamach na pańską kieszeń – mówił dalej Vallagnosc, którego bawiło to spotkanie.

Pan de Boves zrobił gest męża, który wierzy w rozsądek swojej żony, tym bardziej że nie daje jej ani grosza. Rzeczywiście, pani de Boves zwiedziła już wraz z córką wszystkie działy magazynu, ale nie kupiła nic i wylądowała w dziale koronek, pożerana nie zaspokojonym pragnieniem. Upadając ze zmęczenia stała przed ladą, przewracała koronki bezwładnymi rękami i czuła, jak pot spływa jej po plecach. W pewnej chwili spostrzegłszy, że jej córka patrzy w inną stronę i że sprzedawca się oddalił, chciała wsunąć pod płaszcz sztuczkę koronki *alencon*. Zadrżała jednak i odrzuciła koronkę słysząc głos pana Vallagnosc, który zagadnął ją wesoło:

– Złapaliśmy nareszcie panią.

Przez kilka sekund stała oniemiała i pobladła. Potem zaczęła wyjaśniać, że czując się lepiej chciała zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Na widok męża w towarzystwie pani Guibal oprzytomniała zupełnie i popatrzyła wzrokiem tak pełnym godności, że tamta uważała za słuszne powiedzieć:

– Byłam z panią Desforges i przypadkiem spotkałam panów.

Właśnie nadchodziły tamte panie. Mouret towarzyszył im i zatrzymał się jeszcze na chwilę, aby im pokazać inspektora Jouve śledzącego ciągle kobietę w poważnym stanie i jej przyjaciółkę. Ciekawa rzecz: trudno uwierzyć, ile złodziejek zatrzymywano w dziale koronek. Pani de Boves słuchając tego opowiadania widziała się już w otoczeniu dwu żandarmów, mimo całego dostojęstwa czterdziestu pięciu lat, mimo zamożności i wysokiego stanowiska męża; nie czuła jednak wyrzutów sumienia i myślała, że mogła być doskonale wsunąć kupon

do rękawa. W tej właśnie chwili inspektor Jouve zdecydował się na zatrzymanie ciężarnej kobiety, rezygnując ze złapania jej na gorącym uczynku i podejrzewając, że napełniła sobie kieszenie w sposób tak zręczny, iż uszło to jego uwagi. Gdy jednak odprowadził ją na bok i zrewidował, zmieszał się ogromnie nie znajdując przy niej żadnych kradzionych rzeczy, ani jednego krawata, ani jednego guzika. Przyjaciółka zrewidowanej zniknęła tymczasem. Nagle zrozumiał wszystko: kobieta w poważnym stanie była tylko przynętą dla odwrócenia jego uwagi, a właściwą złodziejką była jej przyjaciółka.

Historia ta ogromnie ubawiła panie. Nieco podrażniony Mouret powiedział tylko:

– Papa Jouve został tym razem wystrychnięty na dudka... Odbije to sobie kiedy indziej.

– Ach! On tego nie potrafi – zakończył rozmowę Vallagnosc. – Zresztą, po co kładziecie na wierzch tyle towaru? Dobrze wam tak, jeśli was okradają. Nie należy wodzić na pokuszenie tylu biednych bezbronnych kobiet.

Te ostatnie słowa były jakby ukoronowaniem tego dnia, wśród ciągle wzmagającej się gorączki magazynu. Panie pożegnały się i po raz ostatni miały zawalone towarami kontuary. Była czwarta, promienie zachodzącego słońca wpadały ukośnie przez szerokie okna fasady oświetlając witraże hali. W tej czerwonej, płomiennej poświacie kłęby kurzu, wznoszonego od samego rana przez tysiące nóg, wzbijały się w górę jak złoty opar. Tuman pyłu ogarniał wielką galerię środkową, uwydatniał na tle czerwieni zarysy schodów, przerzuconych mostów, całą koronkową, zawieszoną w powietrzu konstrukcję żelazną. Mozaiki i fajansowe dekoracje fryzów mieniły się różnobarwnie, zieleń i czerwień malowideł zapalała się w ognistych blaskach obficie rozrzuconych złocień. Cały magazyn wyglądał jak rozżarzone ognisko; paliły się teraz wewnętrzne wystawy, pałac krawatów i rękawiczek, girlandy wstążek i koronek, spiętrzone stosy materiałów wełnianych i perkalu, różnobarwne kwietniki, na których rozkwitały lekkie jedwabie i fulary. Lustra rzucały oślepiające blaski. Wystawa parasolek, okrągłych jak tarcze, rzucała metalowe refleksy. W oddali, poza plamami cienia, świeciły dalsze działy tonąc w jasnej powodzi słońca.

O tej przedwieczornej godzinie w przegrzonym i dusznym powietrzu królowały kobiety. Zdobyły szturmem magazyn, obozowały w nim jak w podbitym kraju, zakwaterowane na gruzach nagromadzonych towarów jak horda najeźdźców. Ogłuszeni i upadający ze zmęczenia subiekci byli ich niewolnikami. Rządziły nimi z tyranią władców. Kobiety potężnej tuszy rozpychały się w tłumie. Najbardziej nawet szczupłe zajmowały teraz dużo miejsca i stawały się aroganckie. Wszystkie miały zadarte do góry głowy, ruchy gwałtowne, czuły się jak u siebie, wzajemnie dla siebie niegrzeczne, wykorzystując magazyn do ostatnich granic, wynosząc wszystko, nawet tynk pokrywający mury. Pani Bourdelais, pragnąc w jakiś

sposób powetować swoje wydatki, zaprowadziła znowu trójkę dzieci do bufetu. Tłoczyła się tam publiczność ogarnięta nagle wilczym apetytem, nawet matki raczyły się malagą. Od chwili otwarcia magazynu wypito osiemdziesiąt litrów soku i siedemdziesiąt butelek wina. Po kupieniu płaszcza podróżnego pani Desforges wzięła ofiarowane jej w kasie obrazki. Opuszczała magazyn myśląc nad sposobem zwabienia Denise do swojego domu i upokorzenia jej w obecności samego Moureta, aby widzieć ich miny i wywnioskować z ich zachowania; czy domysły jej były słuszne. Panu de Boves udało się zniknąć z panią Guibal, pani de Boves zaś wychodzącej w towarzystwie Blanki i Pawła Vallagnosc, przyszła fantazja zażądać również czerwonego balonika, mimo że nic nie kupiła. *Zawsze* to już będzie coś, nie wyjdzie z magazynu z pustymi rękami i w dodatku zyska sobie przyjaźń wnuczki swego dozorca. W dziale rozdawnictwa rozpoczynano czterdziesty tysiąc: czterdzieści tysięcy czerwonych baloników wydostało się z przegrzanego powietrza magazynu, cała chmara czerwonych baloników płynęła teraz z jednego krańca Paryża na drugi, unosząc ze sobą nazwę magazynu „Wszystko dla Pań”.

Wybiła piąta. Ze wszystkich pań jedynie pani Marty została tam jeszcze wraz z córką, przeżywając ostatnią, pełną napięcia godzinę sprzedaży. Nie mogła oderwać się od tego widoku, jakby przykuta niewidzialnymi więzami. Była śmiertelnie znużona, ale ulegając swej nienasyconej ciekawości powracała ciągle w te same miejsca, bez potrzeby przebiegając działy. Nadchodziła pora, gdy ten podniecony reklamą tłum zaczynał się rozprzegać; sześćdziesiąt tysięcy franków wydanych na ogłoszenia w gazetach, dziewięć tysięcy afiszów rozlepionych na murach, dwieście tysięcy katalogów puszczonej w obieg przyniosły w rezultacie opróżnienie kieszeni klientek, nerwowe oszołomienie i podniecenie: kobiety były wstrząśnięte pomysłami Moureta, obniżką cen, systemem zwrotów, wciąż nowymi grzecznościami okazywanymi kupującym. Pani Marty zatrzymywała się przed stołami, gdzie zachrypnięte głosy subiektów głośno reklamowały towary wśród dochodzącego z kas dźwięku przesypywanego złota i odgłosu spadających do podziemi paczek; jeszcze raz przechodziła przez galerie parterowe, przez dział płócien, jedwabi, rękawiczek i wełny i znów zawracała, wstępowała na wibrujące metalicznym dźwiękiem schody i wiszące mosty, powracała do działu konfekcji, do działu bielizny, do koronek i docierała aż do drugiego piętra, do najwyższych działów pościeli i mebli. Subiekci – Hutin i Favier, Mignot i Liénard, Deloche, Paulina i Denise – z nogami zdrętwiałymi ze zmęczenia zdobywali się na ostateczny wysiłek, raz jeszcze odnosząc zwycięstwo nad rozgorączkowanymi klientkami. Począwszy od godzin rannych gorączka ta powoli wzrastała, podobnie jak oszałamiający zapach, który unosił się z przerzucanych tkanin. Tłum ludzi płonął w blaskach zachodzącego

słońca. Pani Marty miała teraz ożywioną i nerwową twarz dziecka, które napiło się czystego wina. Weszła do magazynu z jasnymi oczyma i świeżą od zimna twarzą, lecz powoli wzrok jej i cera rozplomieniały się od widoku tego przepychu, tej obfitości świetnych barw, które ją podniecały. Gdy wreszcie opuściła magazyn i, przerażona wysokością rachunku, powiedziała przy kasie, że zapłaci w domu, rysy jej były ściągnięte, a oczy rozszerzone jak u chorej. Musiała stoczyć jeszcze walkę w drzwiach wejściowych, gdzie tłoczono się przy wyprzedaży artykułów okazyjnych. Gdy wydostała się wreszcie na chodnik i odnalazła córkę, która zgubiła się w tłumie, wstrząsnął nią dreszcz chłodu i stała wystraszona, ogarnięta typowym rozstrojem nerwowym, jaki wywoływały zwykle wielkie magazyny.

Wieczorem, gdy Denise wracała z kolacji, jeden z chłopców sklepowych zwrócił się do niej:

– Dyrektor prosi, aby pani przyszła do jego gabinetu.

Zapomniała zupełnie, że rano Mouret polecił jej zgłosić się do niego po zakończeniu sprzedaży. Czekał teraz na nią w postawie stojącej. Wchodząc, Denise nie zamknęła za sobą drzwi.

– Jesteśmy z pani zadowoleni – powiedział Mouret – i pomyśleliśmy o tym, aby pani to okazać... Wie pani zapewne, w jak niegodny sposób opuściła nas pani Frederic. Od jutra zajmie pani jej miejsce jako zastępczyni kierowniczkini.

Denise słuchała, znieruchomiała z wrażenia. Wyszepiała tylko drżącym głosem:

– Ależ, proszę pana, są ekspedientki o wiele dłużej ode mnie pracujące w dziale konfekcji.

– Cóż z tego? – odpowiedział. – Pani jest najzdolniejsza i najpoważniejsza. Wybieram właśnie panią, to jest zupełnie naturalne... Czy pani nie jest zadowolona?

Wówczas zaczerwieniła się. Czowała się szczęśliwa i jednocześnie mile zakłopotana; wśród tych pomieszanych uczuć nie było już miejsca na strach. Czemuż musiała przede wszystkim pomyśleć o podejrzeniach, jakie zrodzą się na wieść o jej niespodziewanym wyróżnieniu? Stała stropiona – mimo wdzięczności, jaką czuła dla Moureta, który z uśmiechem patrzył na nią, na jej prostą w kroju jedwabną suknię pozbawioną wszelkich ozdób, na królewski przepych jasnych włosów. Denise wydelikatniała, miała jasną cerę, wyraz twarzy subtelny i poważny. Wątła niegdyś i bezbarwna, nabrała teraz przejmującego, dyskretnego uroku.

– Pan jest bardzo dobry – wyjąkała. – Nie umiem panu wyrazić...

Lecz głos jej załamał się. W obramowaniu drzwi stał kasjer Lhomme. Zdrową ręką trzymał wielki skórzany worek, a drugą okaleczała, przyciskał do piersi ogromną teczkę; tuż za nim jego syn Albert niósł cały ładunek worków, pod których ciężarem aż się ugiął.

– Pięćset osiemdziesiąt siedem tysięcy, dwieście dziesięć franków, trzydzieści centymów!

– zawołał kasjer, a jego zniszczona i nalana twarz jaśniała jak słońce, gdy wymieniał tę olbrzymią sumę.

Był to największy obrót dzienny, jaki kiedykolwiek zdarzył się w magazynie „Wszystko dla Pań”. Z oddali, z głębi magazynu, przez który główny kasjer dopiero co przeszedł wolnym i ciężkim krokiem zbyt objuczonego wołu, dochodził szum, szmer zdziwienia i radości na widok tej ogromnej ilości pieniędzy niesionej przez Lhomme’a.

– Ależ to wspaniałe – powiedział zachwycony Mouret. – Mój zacny panie Lhomme, niech pan to tutaj położy i odpocznie, bo widzę, że pan ma już zupełnie dosyć. Każę zanieść te pieniądze do głównej kasy... Tak, tak, niech pan to położy na biurku, chcę zobaczyć cały ten stos.

Cieszył się jak dziecko. Kasjer i jego syn pozbyli się ciężaru. Skórzany worek zadźwięczał złotem, a z dwu innych, pękniętych posypały się srebrne i miedziane pieniądze, z teczki wyglądały rogi banknotów. Cały jeden kraniec wielkiego biurka pokryty był pieniędzmi; zavalony majątkiem zdobytym w ciągu dziesięciu godzin.

Kiedy Lhomme z synem odeszli ocierając pot z twarzy, Mouret stał przez chwilę nieruchomo, zamyślony, wpatrując się w pieniądze. Podniósłszy następnie głowę zauważył stojącą na uboczu Denise. Uśmiechnął się więc znowu i zaprosił ją gestem, aby podeszła bliżej, mówiąc, że podaruje jej tyle pieniędzy, ile zdoła pomieścić w dłoni. Na dnie jego żartu krył się miłosny targ.

– Niech pani sięgnie do skózanego worka, założę się, że nie zmieści się w pani dłoni nawet tysiąc franków, pani ma taką małą rączkę!

Ale Denise cofnęła się w głąb gabinetu. Więc on ją kochał? Nagle zrozumiała. Wyczuła wreszcie płomień pożądania, co dzień gorętsze spojrzenie, jakim Mouret ogarniał ją, odkąd wróciła do działu konfekcji. Najbardziej jednak wstrząsnęła nią świadomość, że jej własne serce bije tak silnie, jakby miało pęknąć. Dlaczego rani ją propozycją tych pieniędzy, gdy przepełniona była uczuciem wdzięczności i gdy wystarczyłoby jedno przyjacielskie słowo, aby skłonić ją do uległości? Podszedł do niej bliżej żartując w dalszym ciągu, gdy ku jego wielkiemu niezadowoleniu ukazał się w drzwiach Bourdoncle pod pretekstem zakomunikowania mu, jaka była frekwencja: dochodziła do ogromnej liczby siedemdziesięciu tysięcy osób, które odwiedziły tego dnia magazyn „Wszystko dla Pań”. Denise wyszła szybko, jeszcze raz wyrażając pryncypałowi swoją wdzięczność.

*

W pierwszą niedzielę sierpnia przystąpiono w magazynie do sporządzania inwentarza, który należało zakończyć do wieczora. Od samego rana, jak w powszedni dzień, wszyscy pracownicy byli na swoich stanowiskach i praca rozpoczęta się przy zamkniętych drzwiach w magazynie, w którym nie było ani jednej klientki.

Denise nie zeszła do działu o ósmej razem z innymi ekspedientkami. Od czwartku nie ruszała się ze swego pokoju, gdyż biegnąc do pracowni nadwreżyła sobie ścięgno w nodze. Teraz czuła się już o wiele lepiej, ale ponieważ pani Aurelia była dla niej pobłażliwa, nie śpieszyła się i kończyła właśnie z wielkim trudem nakładanie bucika, postanawiając jednak pokazać się w konfekcji. Pokoje panien sklepowych zajmowały obecnie piąte piętro w nowych budynkach i ciągnęły się wzdłuż ulicy Monsigny. Po obu stronach długiego korytarza znajdowały się drzwi do sześćdziesięciu pokoi, o wiele wygodniejszych, mimo że – jak dawniej – umeblowanych skromnie; było tam tylko żelazne łóżko, wielka szafa i mała toaletka z drzewa orzechowego. Życie prywatne panien sklepowych nabierało tu cech porządku i nawet pewnej elegancji; modne były drogie mydła i cienka bielizna, naturalny pęd do dorównania burżuazji w miarę poprawy losu; mimo to rano i wieczorami słychać było czasem ordynarne słowa i trzaskanie drzwiami w rozgardiaszu hotelowego trybu życia. Jako zastępczyni kierowniczką Denise zajmowała teraz jeden z większych pokoi, którego dwa mansardowe okna wychodziły na ulicę. Wraz z polepszeniem warunków materialnych Denise pozwalała sobie teraz na pewne zbytki: na łóżku leżała czerwona pierzynka nakryta gipiurą kapką, przed szafą znajdował się niewielki dywanik, a na toalecie dwa szklane niebieskie wazon z wędnącymi różami. Gdy włożyła buciki, spróbowała przejść się po pokoju. Musiała opierać się na meblach, kulała jeszcze mocno. Miała jednak nadzieję, że się jakoś rozchodzi. Myślała, że dobrze się stało, iż nie przyjęła zaproszenia na kolację u stryja Baudu, i prosiła tylko ciotkę, aby zabrała do siebie małego Pepi, który zawsze mieszkał u pani Gras. Janka widziała wczoraj, miał też iść na kolację do stryja; powoli próbowała chodzić obiecując sobie, że położy się wcześniej, by wypocząć, gdy nagle dozorczyńni, pani Cabin, zapukała do jej pokoju i z tajemniczą miną podała jej list.

Po zamknięciu drzwi Denise – zdziwiona dyskretnym uśmiechem kobiety – otworzyła kopertę. Z wrażenia upadła na krzesło: list był od Moureta, który wyrażał radość z powodu poprawy jej zdrowia i prosił, aby zechciała zejść do niego na kolację, jako że nie może

wychodzić na miasto. Ton biletu, jednocześnie przyjacielski i ojcowski, nie miał w sobie nic, co mogłoby urazić Denise, nie łudziła się jednak, że cały magazyn znał dobrze znaczenie podobnego zaproszenia, krążyła już o tym legenda; na podobnej kolacji była Klara i inne – wszystkie, na które pryncypał zwrócił uwagę. Po kolacji, jak mówili żartownisie subiecki, następował deser. Białe policzki dziewczyny pokrywały się z wolna rumieńcem.

List osunął się jej na kolana. Denise siedziała z bijącym sercem, patrząc w oślepiające światło okna. Kiedyś w tym samym pokoju, gdy nie mogła zasnąć, sama przed sobą musiała się przyznać, że jeśli drżała jeszcze, gdy on przechodził, to działo się to nie z powodu obawy przed nim; jej dawny niepokój, ten dawny strach, był po prostu nieświadomą miłością, zamętą uczuć rodzących się w sercu dzikiego dziewczęcia, jakim była do niedawna. Nie zastanawiała się nad tym, ale czuła, że kochała go od chwili, gdy – jękając się i drząc – znalazła się po raz pierwszy w jego obecności. Kochała go wówczas, gdy bała się go jak bezlitosnego władcy, kochała go, gdy jej zatrwożone i nieświadome serce, ulegając potrzebie czułości, marzyło o Hutinie. Być może, że byłaby się oddała innemu, ale nigdy nie kochała nikogo poza tym człowiekiem, którego jedno spojrzenie napełniało ją przerażeniem. Cała przeszłość ożywała teraz na jasnym tle okna; jego surowość w pierwszych miesiącach, potem ten uroczy spacer w cieniu tuileryjskich kasztanów, wreszcie pożądanie płonące w jego oczach od czasu jej powrotu do magazynu. List spadł na podłogę. Denise patrzyła ciągle w okno i w oślepiający blask słońca.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i Denise śpiesznie podniosła list z podłogi, aby schować go do kieszeni. Weszła Paulina, która pod jakimś pretekstem zdołała wymknąć się ze swojego działu i przyszła pogawędzić trochę z przyjaciółką.

– Jak się czujesz moja droga? Wcale się nie widzimy.

Ponieważ regulamin zabraniał przebywania w pokojach sypialnych w ciągu dnia, zwłaszcza zamykania się we dwie, Denise zaprosiła Paulinę do znajdującego się na końcu korytarza salonu, który oddany był do dyspozycji pańien sklepowych przez uprzejmego dyrektora. Można tutaj było rozmawiać albo pracować do godziny jedenastej. Biało-złoty pokój miał banalny wygląd hotelowego salonu; stał w nim fortepian, stół na środku, po bokach fotele i kanapy pokryte białymi pokrowcami. Zresztą, po kilku wieczorach spędzonych wspólnie w krótkotrwałym zachwycie z powodu tej innowacji, panny sklepowe nie spotykały się więcej w salonie, gdyż kończyło się zawsze na kłótni. Trzeba by dopiero wychować mieszkanki tego falansteru, nie umiały żyć zgodnie. Obecnie wieczorami przesiadywała w salonie jedynie miss Powell, zastępczyni kierowniczkini w dziale gorsetów, i bębniła na fortepianie Chopina: ten wzbudzający zazdrość talent skłonił ostatecznie inne

panny do ucieczki.

– Jak widzisz, z moją nogą jest lepiej – powiedziała Denise. – Miałam właśnie zejść do działu.

– Ależ, moja droga – zawołała bieliźniarka – po co ta zbytnia gorliwość?... Ja na twoim miejscu jeszcze bym się trochę popieściła. Gdybym miała jakiś pretekst!

Usiadły na kanapie. Stosunek Pauliny do Denise uległ zmianie, odkąd panna Baudu została zastępczynią kierowniczką w dziale konfekcji. Z serdecznością dobrej dziewczyny łączył się teraz jakiś cień szacunku, zdziwienie, że ta nędznie kiedyś wyglądająca ekspedientka jest teraz na drodze do zrobienia kariery. Denise lubiła ją bardzo i zwierzała się tylko jej jednej spośród dwustu kobiet, które zatrudniała obecnie firma.

– Co ci jest? – zapytała żywo Paulina widząc niepokój przyjaciółki.

– Ależ nic – zapewniła Denise z wymuszonym uśmiechem.

– Tak, tak, na pewno coś ci jest... Czyżbyś straciła do mnie zaufanie, że nie chcesz już mi się zwierzać ze swoich zmartwień?

Wówczas Denise, której wzruszenie tamowało oddech i nie pozwoliło się uspokoić, wyznała wszystko przyjaciółce. Pokazała jej list i powiedziała jękając się:

– Patrz, dostałam od niego list.

Nie rozmawiały jeszcze nigdy otwarcie o Mourecie, ale właśnie to milczenie było dowodem, że obie o nim myślały. Paulina wiedziała wszystko. Po przeczytaniu listu przytuliła się do Denise, ujęła ją w pól i powiedziała do ucha:

– Moja droga, jeśli chcesz, żebym była szczerą, to powiem ci: myślałam, że to się już stało... Nie oburzaj się, cały magazyn myśli tak jak ja. Przecież dał ci tak prędko stanowisko zastępczyni kierowniczką, ciągle za tobą chodzi, to przecież rzuca się w oczy. – Pocałowała ją serdecznie w policzek. Potem zapytała: – Naturalnie pójdziesz tam dziś wieczorem?

Denise patrzyła na nią nie dając odpowiedzi i nagle wybuchnęła płaczem, z głową opartą na ramieniu przyjaciółki. Paulina nie mogła ukryć zdziwienia.

– Ależ uspokój się. Nie rozumiem, co, cię może do tego stopnia przerażać!

– Nie, nie, zostaw mnie! – bełkotała Denise. – Żebyś ty wiedziała, jak ja się martwię! Od chwili gdy otrzymałam ten list, zdaje mi się, że nie ma już dla mnie życia... Pozwól mi płakać, to mi sprawia ulgę.

Bardzo współczując Denise, choć nie rozumiejąc, Paulina chciała ją jednak pocieszyć. Powiedziała jej więc, że Mouret nie widuje się już z Klarą. Mówiono, co prawda, że chodzi do jakiejś pani, która mieszka na mieście, ale to nie jest wcale pewne. Potem tłumaczyła przyjaciółce, że nie można być zazdrosną o człowieka, który jest na takim stanowisku. Ma za

wiele pieniędzy i ostatecznie jest tutaj panem.

Denise słuchała wywodów przyjaciółki. Gdyby nawet jeszcze nie zdawała sobie sprawy ze swej miłości, nie mogłaby teraz o niej wątpić po dotkliwym bólu, jaki ścisnął jej serce na dźwięk imienia Klary i na wspomnienie pani Desforges. Słyszała zły głos Klary, widziała znowu panią Desforges, jak ciągnęła ją za sobą po całym magazynie z pogardą bogatej damy.

– Więc ty byś poszła? – zapytała.

Paulina nie zastanawiając się zawołała:

– Pewnie, że tak! Czy można postąpić inaczej? – Po chwili namysłu dodała jednak: – Teraz nie, zrobiłabym to dawniej. Teraz kiedy mam wyjść za mojego Baugé, byłoby to bardzo brzydko z mojej strony.

Rzeczywiście, Baugé, który od niedawna opuścił „Bon Marche” i przeniósł się do magazynu „Wszystko dla Pań”, miał zamiar ożenić się z Pauliną w końcu miesiąca. Bourdoncle nie lubił małżeństw między pracownikami, młodzi uzyskali jednak zgodę dyrekcji. Spodziewali się nawet otrzymać dwa tygodnie urlopu.

– Widzisz więc sama – oświadczyła Denise – kiedy mężczyzna kocha dziewczynę, to się z nią żeni... Baugé przecież żeni się z tobą.

Paulina roześmiała się szczerze.

– Ależ, moja droga, to nie jest to samo. Baugé żeni się ze mną po prostu dlatego, że jest tylko panem Baugé, równym mi pod względem społecznym, to rozumie się samo przez się... Tymczasem Mouret... Pomyśl tylko, czy Mouret może ożenić się z jedną ze swoich ekspedientek?

– Ależ nie, skądże znowu! – zawołała młoda dziewczyna, oburzona tą niedorzeczną myślą. – Ale właśnie dlatego nie powinien był do mnie pisać.

Rozumowanie Denise jeszcze bardziej zdziwiło bieliźniarkę. Jej pospolita twarz i małe oczy wyrażały macierzyńskie współczucie. Podniosła się z kanapy, podeszła do fortepianu, otworzyła go i wystukała powoli jednym palcem melodię *Króla Dagoberta*, chcąc zapewne w ten sposób przyczynić się do odprężenia sytuacji. Do nieprzytulnego salonu, którego pustkę podkreślały jeszcze białe pokrowce foteli, dochodziły odgłosy ulicy i dalekie zawodzenie handlarki zachęcającej do kupna zielonego groszku. Denise opadła głębiej na kanapę i z głową opartą o drewnianą ramę rozplakała się ponownie, tłumiąc chusteczką łkanie, które wstrząsało jej ciałem.

– Znowu płaczesz! – mówiła dalej Paulina odwracając się, – Stanowczo brak ci rozsądku... Po co przyprowadziłaś mnie tutaj? Zrobiłybyśmy lepiej zostając w twoim pokoju.

Uklękła przed przyjaciółką i znów zaczęła jej tłumaczyć. Niech pomyśli, ile dziewcząt

chciałoby być na jej miejscu. Zresztą, jeżeli jej to nie odpowiada, wyjście jest bardzo proste: może powiedzieć po prostu „nie”, i nie ma powodu zamartwiać się do tego stopnia. Powinna jednak zastanowić się nad tym, jak ma postąpić, zanim narazi swoje stanowisko przez odmowę zupełnie niezrozumiałą, gdyż nie ma przecież żadnych innych zobowiązań. Czyż to jest takie straszne? Napomnienie zakończyło się jakimiś żartami, które Paulina szeptała wesoło przyjaciółce do ucha, kiedy na korytarzu rozległ się odgłos kroków.

Paulina podbiegła do drzwi, aby zajrzeć przez szparę.

– Tss! To pani Aurelia! – powiedziała szeptem. – Już mnie nie ma...A ty obetrzyj oczy! Po co mają wiedzieć, żeś płakała.

Gdy Denise została sama, stłumiwszy łzy powstała z miejsca i rękami trzęsącymi się jeszcze z obawy, że ją zastaną płaczącą, zamknęła fortepian, który Paulina zostawiła otwarty. Usłyszała jednak, że pani Aurelia puka do jej pokoju, wyszła więc z salonu na korytarz.

– Jak to! Toś ty już wstała! – zawołała kierowniczką. – Moje drogie dziecko, nie postępujesz rozsądnie. Przyszłam właśnie, aby dowiedzieć się o twoje zdrowie i powiedzieć ci, że nie jesteś nam wcale potrzebna na dole.

Denise zapewniła ją, że czuje się lepiej i że dobrze jej zrobi, jeżeli się czymś zajmie, jeżeli się rozerwie.

– Wcale się nie będę męczyć, proszę pani. Usiądę na krześle i zajmę się księgowaniem.

Razem zeszły na dół. Pani Aurelia z niezwykłą troskliwością kazała jej oprzeć się na swoim ramieniu. Musiała zauważyć czerwone oczy dziewczyny, bo przypatrywała się jej ukradkiem. Domyślała się wielu rzeczy.

Zwycięstwo przyszło niespodziewanie: Denise zdobyła wreszcie stanowisko w swoim dziale. Na początku, przez dziesięć niemal miesięcy borykała się daremnie wśród powszechnej niechęci i docinków, nie mogąc przemóc złej woli koleżanek. Teraz w ciągu kilku zaledwie tygodni ujarzmiła je do tego stopnia, że ulegały jej i darzyły szacunkiem. Nagła czułość pani Aurelii pomogła dziewczynie w tych niewdzięcznych zabiegach o przejednanie serc. Opowiadano sobie po cichu, że pani Aurelia nie wzdraga się pośredniczyć w zalotach pryncypała i nieraz oddaje mu dyskretne usługi; teraz opiekowała się młodą dziewczyną tak gorąco, że widać musiano jej to specjalnie polecić. Wiele jednakże dokonała Denise swoim osobistym czarem, aby rozbroić nieprzyjaciółki. Zadanie jej było tym trudniejsze, że musiała starać się o to, by koleżanki wybaczyły jej nominację na stanowisko zastępczyni kierowniczki. Panny krzyczały z początku głośno o niesprawiedliwości, jaka je spotyka, i zarzucały rywalce, że zdobyła awans przy deserze po kolacji z pryncypałem; dodawały jeszcze do tej plotki jakieś wstrętne szczegóły. Mimo buntu tytuł zastępczyni

kierowniczkę działał jednak na nie i Denise umiała zdobyć sobie autorytet, który dziwił i zmuszał do uległości nawet najbardziej wrogo do niej usposobione panny. Znalazły się też wkrótce wśród nowo przybyłych takie ekspedientki, które jej schlebiali. Wrodzona łagodność i skromność dopomogły jej w odniesieniu ostatecznego zwycięstwa. Małgorzata przeszła otwarcie na jej stronę. Jedyne Klara okazywała ciągle niechęć w stosunku do Denise. Odważyła się jeszcze na powtarzanie obelżywej nazwy czupiradła, która jednak teraz już nikogo nie rozśmieszała. W okresie przelotnego kaprysu Moureta Klara korzystając z tego opuściła się w pracy, rozleniwiła, stała się gadatliwa i pyszałkowata; potem, gdy w bardzo krótkim czasie sprzykrzyła się pryncypałowi, nie robiła mu nawet wyrzutów: wdrożona do rozwiązłego życia, niezdolna była do uczucia zazdrości; korzystała tylko z tego, że tolerowano jej próżniactwo. Uważała jednak, że Denise ukradła jej spadek po pani Frederic. Nie przyjęłaby go nigdy z powodu związanych z tym stanowiskiem kłopotów, ale uraził ją brak grzeczności ze strony dyrekcji, bo przecież miała takie same prawa jak tamta, a nawet większe, gdyż dłużej pracowała w magazynie.

– Patrzcie! Wyprowadzają położnicę – powiedziała szeptem, widząc panią Aurelię prowadzącą Denise pod rękę.

Małgorzata wzruszyła ramionami.

– Czy to miał być dowcip?

Biła dziewiąta. Na dworze jarzący błękit nieba rzucał blask na ulicę, dorożki toczyły się w kierunku dworców, świątecznie ubrani paryżanie kierowali się tłumnie do podmiejskich lasków. Słońce wlewało potoki światła przez otwarte okna magazynu; uwięziony we wnętrzu personel rozpoczynał spis inwentarza. Wyjęto klamki z drzwi wejściowych, ludzie zatrzymywali się na chodnikach, zaglądali przez szyby, zdziwieni tą niezwykłą krzątanicą przy zamkniętych drzwiach. Z jednego krańca galerii na drugi, od górnych pięter aż do parteru, słychać było dreptanie pracowników, którzy unosząc w górę ramiona rzucali paczki z towarami ponad głowami kolegów. Pracy towarzyszyła burza okrzyków, podawanych na cały głos liczb; pomieszane głosy wznosiły się i łamały w ogłuszającym hałasie. Każdy z trzydziestu dziewięciu działów pracował na własną rękę, nie dbając o to, co robią działy sąsiednie. Rozpoczęto wyładowywanie szaf, na ziemi leżało dopiero kilka sztuk materiałów. Maszyna jeszcze się nie rozgrzała, a do wieczora należało zakończyć pracę.

– Po co pani schodziła? – powiedziała grzecznie Małgorzata zwracając się do Denise. – Zaszkozi pani sobie, a my mamy wystarczającą ilość ludzi.

– Właśnie to samo jej tłumaczyłam – oświadczyła pani Aurelia. – Uparła się jednak mimo wszystko pomóc nam przy robocie.

Wszystkie panny kręciły się wokoło Denise. Przerwały pracę, mówiły dziewczynie komplementy, słuchały z zainteresowaniem historii skręconej nogi. Wreszcie pani Aurelia posadziła ją przy stole; pozwolono jej tylko zapisywać wywołane towary. W niedzielnym dniu spisania inwentarza zasadzono zresztą do roboty wszystkich pracowników umiających pisać; inspektorów, kasjerów, urzędników, a nawet chłopców sklepowych: poszczególne działy pożyczaly sobie tych jednodniowych pomocników, aby jak najprędzej upchnąć robotę. W ten sposób Denise zajmowała miejsce obok kasjera Lhomme i posługacza Józefa, pochylonych nad wielkimi arkuszami papieru.

– Pięć płaszczy; sukno, ozdobione futrem, rozmiar numer trzy, cena dwieście czterdzieści!
– wołała Małgorzata. – Cztery płaszcze, jak wyżej, rozmiar numer jeden, cena dwieście dwadzieścia!

Praca rozpoczęła się na nowo. Trzy panny stojące za Małgorzatą opróżniły szafy, układały ubrania według rodzaju i wymiarów i podawały jej po kilka sztuk naraz. Małgorzata zgłaszała je do rejestracji i odrzucała potem na stoły, gdzie gromadziły się rosnąc w stopy olbrzymich rozmiarów. Lhomme zapisywał, Józef sporządzał drugą listę dla kontroli. Jednocześnie sama pani Aurelia z pomocą trzech innych ekspedientek sprawdzała jedwabne okrycia, które zapisywała Denise. Klara miała pilnować porządku w odnotowanych już rzeczach i układać je w taki sposób, aby zajmowały jak najmniej miejsca na stołach. Nie mogła jednak sprostać swemu zadaniu, stopy okryć spadały wciąż na podłogę.

– Słuchaj no, czy spodziewasz się podwyżki?... – zapytała małej ekspedientki pracującej w magazynie dopiero od zimy. – Wiesz, mają zamiar podnieść uposażenie zastępczyni kierowniczkii do dwóch tysięcy franków, co razem z procentami wyniesie siedem tysięcy.

Mała ekspedientka, podając nieprzerwanie rotundy, odpowiedziała, że jeśli jej nie dadzą ośmiuset franków rocznie, rzuci tę budę. Podwyżki przyznawano zazwyczaj nazajutrz po spisaniu inwentarza; był to jednocześnie okres, kiedy ogłaszano wysokość sumy całorocznych obrotów, kierownicy działów pobierali wówczas procent od nadwyżek, jakie powstawały w porównaniu z rokiem ubiegłym. Toteż, mimo hałasu i zamętu przy robocie, plotkowano zawzięcie. Pomiędzy wywołaniem jednego i drugiego artykułu mówiono tylko o pieniądzu. Szerzyła się pogłoska, że pensja pani Aurelii ma przekroczyć dwadzieścia pięć tysięcy franków; tak wielka suma podniecała wszystkie panny. Małgorzata, najlepsza po Denise ekspedientka, osiągnęła sumę czterech i pół tysiąca franków, na którą składało się tysiąc pięćset franków stałych poborów i około trzech tysięcy franków procentu. Klara nie zdołała w sumie przekroczyć dwóch i pół tysiąca franków.

– Kpię sobie z ich podwyżek! – mówiła dalej Klara do małej ekspedientki. – Gdy ojciec

umrze, rzucę ich natychmiast!... Jedna tylko rzecz doprowadza mnie do wściekłości, a mianowicie siedem tysięcy franków tego chuchra. A co ty na to?

Pani Aurelia ostro przerwała tę rozmowę. Odwróciła się i powiedziała szorstkim tonem:

– Niechże panie nareszcie dadzą spokój rozmowom. Przy takim hałasie zupełnie nie można pracować! – Następnie zaczęła wywoływać dalej: Siedem mantyl z jedwabiu: rozmiar numer jeden, cena sto trzydzieści... Trzy pelisy kryte jedwabiem: numer dwa, po sto pięćdziesiąt! Czy pani zapisała, panno Baudu?

– Tak, proszę pani.

Klara musiała zająć się naręczami okryć, spiętrzonymi na stołach. Odsunęła je gwałtownie i zrobiła nieco wolnego miejsca. Zaraz jednak znów porzuciła to zajęcie, bo szukał jej jakiś subiekt. Był to Mignot, rękawicznik, który na chwilę wymknął się ze swojego działu. Szeptem poprosił o pożyczkę dwudziestu franków. Winien jej był już trzydzieści, pożyczone nazajutrz po wyścigach, na których stracił cały tygodniowy zarobek stawiając tylko na jednego konia. Tym razem przejadł z góry tantiemę, którą wypłacono mu poprzedniego dnia, i nie zostało mu nawet pół franka na niedzielę. Klara miała przy sobie tylko dziesięć franków, pożyczyła je zresztą dosyć chętnie. Rozmawiali chwilę o wycieczce odbytej w sześcioro, o hulance w restauracji w Bougival, za którą kobiety zapłaciły swoją część: tak było lepiej, każdy czuł się swobodnie. Następnie Mignot, chcąc koniecznie zdobyć dwadzieścia franków, pochylił się do ucha Lhomme'a. Lecz kasjer, któremu przerwano pisanie, wydawał się bardzo zmieszany. Nie śmiał odmówić i szukał dziesięciu franków w portmonetce, gdy pani Aurelia, zdziwiona, że nie słyszy głosu Małgorzaty, która musiała przerwać robotę, spostrzegła Mignota i domyśliła się wszystkiego. Kazała subiektowi odejść, mówiąc, że nie życzy sobie, aby przeszkadzano w pracy jej pannom. W rzeczywistości obawiała się młodego człowieka, serdecznego przyjaciela Alberta, współnika nieczystych spraw, które mogły się kiedyś bardzo źle skończyć. Toteż gdy Mignot otrzymawszy dziesięć franków wyniósł się co rychlej, nie mogła powstrzymać się od wymówki:

– Jak mogłeś to zrobić! Pozwolić się naciągnąć w ten sposób!

– Ależ, moja droga, nie mogłem odmówić temu chłopcu...

Zamknęła mu usta wzruszeniem tegich ramion. A ponieważ ekspedientki śmiały się po kryjomu z tej rodzinnej sceny, powiedziała surowo:

– Dalej, panno Vadon! Niech pani nie zasypia!

Dwadzieścia palt z podwójnego kaszmiru: rozmiar numer cztery, po osiemnaście franków pięćdziesiąt! – zawołała Małgorzata śpiewnym głosem.

Lhomme znowu zapisywał z pochyloną głową. Jego uposażenie, zwiększane stopniowo,

wzrosło do dziewięciu tysięcy franków, zachował jednak swoją dawną pokorę wobec pani Aurelii, która jak, przedtem wносиła do rodzinnej kasy prawie trzy razy tyle.

Przez jakiś czas praca posuwała się naprzód. Dźwięczaty cyfry, stopy ubrań padały na stoły. Klara wymyśliła sobie teraz inną rozrywkę: zaczęła żartować z Józefa z powodu uczucia, które żywił jakoby do pewnej panny zatrudnionej w dziale próbek. Była to osoba dwudziestoosmioletnia, szczupła i blada, protegowana pani Desforges, która chcąc, by Mouret zaangażował tę pannę, opowiedziała mu o niej wzruszającą historię: sierota, ostatnia z rodu Fontenailles, starej szlachty z prowincji Poitou. wylądowała na bruku paryskim z ojcem pijakiem: pozostała uczciwa mimo niedoli; na nieszczęście posiadała wykształcenie zbyt prymitywne. aby zostać nauczycielką lub dawać lekcje muzyki. Zazwyczaj Mouret unosił się gniewem, gdy polecano mu zubożale panny z towarzystwa: nie było. jak twierdził, bardziej niezdolnych, a jednocześnie bardziej nieznośnych i fałszywych istot; zresztą, mówił, nie można zostać ekspedientką bez przygotowania, tego trzeba się najpierw nauczyć, bo to jest fach dość skomplikowany i wymagający dużo taktu. Przyjął jednak protegowaną pani Desforges i umieścił ją w dziale próbek, podobnie jak zatrudnił już poprzednio na prośbę przyjaciół dwie hrabiny i jedną baronową w biurze reklamowym, gdzie dał im do roboty naklejanie opasek i adresowanie kopert. Panna de Fontenailles zarabiała trzy franki dziennie, co wystarczało jej na skromne życie i mieszkanie w małym pokoiku przy ulicy Argenteuil. Serce Józefa, tklive z natury, mimo zewnętrznych pozorów szorstkości byłego żołnierza, wzruszył wreszcie widok tej smutnej i biednie odzianej dziewczyny. Nie przyznawał się do tego, ale czerwienił się. kiedy panny z konfekcji żartowały z niego; biuro próbek sąsiadowało z konfekcją i panny zauważyły, że Józef uporczywie krąży pod drzwiami.

– Józef jest roztargniony – powiedziała cicho Klara. – Zerka ciągle do działu bielizny.

Panna de Fontenailles pracowała tego dnia w dziale wypraw ślubnych pomagając przy spisaniu inwentarza. Posługacz rzucał rzeczywiście spojrzenia w stronę tego działu, więc panny zaczęły się śmiać. Józef zmieszał się i głębiej pochylił nad arkuszem. Aby stłumić wesołość, Małgorzata zaczęła wykrzykiwać głośniej:

– Czternaście zakietów: sukno angielskie, rozmiar numer dwa, po piętnaście franków!

Pani Aurelia, wywołująca właśnie cały asortyment rotund, nie mogła jej przekrzyczeć. Urażona, powiedziała z majestatyczną powolnością:

– Proszę trochę ciszej, nie jesteśmy w hali targowej. Postępujecie nierozsądnie zajmując się figlami, gdy czas nasz jest taki drogi.

W tym momencie, ponieważ Klara nie pilnowała dostatecznie zapisanych towarów, nastąpiła katastrofa. Stosy okryć zwały się ze stołu na dywan.

– Czy nie mówiłam? – zawołała kierowniczką, doprowadzona do wściekłości. – Niechże pani trochę uważa, panno Prunaire, to staje się już nie do wytrzymania!

Przez salon konfekcji przebiegł dreszcz; w progu ukazali się Mouret i Bourdoncle, odbywający zwykłą, codzienną inspekcję. Głosy wywołujących rozległy się znowu, pióra zaskrzypiały. Klara pośpiesznie zbierała i porządkowała okrycia. Pryncypał nie przerywał roboty. Stał przez kilka minut milczący i uśmiechnięty, tylko wargi jego drżały gorączkowo, podczas gdy cała twarz miała wyraz wesoły i zwycięski, jaki miewał w dniu spisania inwentarza. Gdy spostrzegł Denise, o mało co nie okazał zdziwienia zbyt wyraźnym gestem. Więc zeszła na dół? Oczy jego napotkały spojrzenie pani Aurelii. Po chwilowym wahaniu oddalił się i wszedł do działu wypraw ślubnych.

Ostrzeżona lekkim szmerem, Denise podniosła głowę. Poznawszy Moureta pochyliła się znowu, w sposób bardzo naturalny, nad arkuszami. Machinalnie zapisując wywoływane artykuły sprzedaży, zdążyła się uspokoić. Zawsze musiała ulec pierwszemu porywowi wrażliwości: dusiły ją łzy, wzburzenie powiększało jeszcze jej udrękę; potem odzyskiwała jednak cały rozsądek, odnajdywała spokojną odwagę, siłę woli, jednocześnie łagodną i niewzruszoną. Siedziała więc teraz z jasnymi oczami, blada, ale spokojna, cała pochłonięta pracą i zdecydowana podeptać własne serce, byle tylko przeprowadzić swą wolę.

Wybiła dziesiąta, w rozgardiaszu pracy we wszystkich działach hałas wzrastał się coraz bardziej. Wśród nieustannych wywoływań, krzyżujących się ze wszystkich stron, z nieprawdopodobną szybkością krążyła z ust do ust nowina: każdy subiekt już wiedział, że Mouret pisał rano do Denise zapraszając ją na kolację. Niedyskretna wiadomość wyszła oczywiście od Pauliny. Opuszczając salon Paulina, wstrząśnięta rozmową z Denise, spotkała w dziale koronek Deloche'a i nie zważając na to, że młody człowiek rozmawia właśnie z Liénardem, powiedziała:

– Mój drogi, stało się... Otrzymała właśnie list. Zaprasza ją na dzisiejszy wieczór.

Deloche zbladł. Zrozumiał, o czym mówiła Paulina, ponieważ rozmawiali co dzień o wspólnej przyjaciółce, o kaprysie Moureta, o tradycyjnym zaproszeniu, które zwykle bywało zakończeniem przygody. Paulina miała zresztą za złe Deloche'owi ukrytą miłość do Denise, miłość, z której nigdy mu nic przyjąć nie mogło, i wzruszała ramionami, gdy pochwalał młodą dziewczynę za opór pryncypałowi.

– Z jej nogą już lepiej, ma zamiar zejść do działu – mówiła dalej. – Nie róbże takiej grobowej miny... Przecież to, co jej się trafia, jest jak wygrany los na loterii. – Po czym pośpieszyła do swego działu.

– Aha, już jestem w domu! – powiedział szeptem Liénard. – To chodzi o tę pannę ze

zwichniętą nogą... Miałaś rację, żeś jej tak skwapliwie bronił wczoraj wieczór w kawiarni!

Odszedł także, lecz nim wrócił do działu welen, opowiedział już historię listu czterem czy pięciu subiektem. I w ten sposób w dziesięć minut wiadomość obiegała cały magazyn.

Ostatnie zdanie Liénarda odnosiło się do wydarzenia, które miało miejsce poprzedniego wieczora w kawiarni „Świętego Rocha”. Deloche i Liénard byli teraz nierozłączni. Deloche wynajął w Hotelu Smyrneńskim pokój, w którym mieszkał Hutin, zanim jeszcze został zastępcą kierownika i przeniósł się do trzypokojowego mieszkania; dwaj subiekci przychodzili rano do magazynu i umawiali się, aby wyjść także razem. Ich sąsiadujące ze sobą pokoje wychodziły na to samo ciemne podwórko, wąską studnię, z której unoszący się smród zatruewał powietrze w całym hotelu. Mimo różnic charakterów tworzyli doskonałą parę przyjaciół; jeden z nich przejadał beztrosko pieniądze wyłudzone od ojca, drugi – zawsze bez grosza – dręczył się myślą o konieczności oszczędzania; obaj mieli jedną cechę wspólną: byli niezręcznymi subiektami i dlatego musieli wegetować na podrzędnych stanowiskach bez nadziei na podwyżkę. Wiezorami, po wyjściu z magazynu, przesiadywali przeważnie w kawiarni „Świętego Rocha”. Kawiarnia ta, prawie pusta w ciągu dnia, zapełniała się dopiero koło wpół do dziewiątej wieczór tłumem pracowników handlowych, całą falą ludzi wypuszczonych na ulicę przez wysoką bramę na placu Gaillon. O tej porze sala kawiarni rozbrzmiewała ogłuszającym hałasem rzucanych kostek domina, śmiechem i piskliwymi głosami rozlegającymi się wśród gęstego fajkowego dymu. Piwo i kawa płynęły strumieniami. W lewym rogu sali Liénard zamawiał rzeczy drogie, Deloche zaś zadawał się bombą piwa, którą pił całe cztery godziny. Właśnie w tym lokalu usłyszał, jak Favier przy sąsiednim stoliku opowiada ohydne rzeczy o Denise, która usidliła pryncypała unosząc do góry suknię przy wchodzeniu na schody. Deloche powstrzymał się, aby go nie spoliczkować. Gdy jednak tamten mówił dalej, że panna każdej nocy składa wizyty kochankowi. Deloche nie wytrzymał i oszalały z wściekłości rzucił tamtemu w twarz oskarżenie o oszczerstwo:

– Ach, co za świnia! On kłamie, kłamie, słyszycie?

Wzburzenie jego było tak wielkie, że nie zdając sobie sprawy z tego, co mówił, zdradził się ze swoim uczuciem i jękając się wyrzucił z siebie wszystko, co mu leżało na sercu.

– Przecież ją znam i wiem dobrze... Nie miała nigdy do nikogo skłonności, chyba do jednego Hutina, który o tym wcale nie wiedział i nie może się pochwalić, że dotknął ją choćby końcem palców.

Wieść o tej kłótni, wyolbrzymiona i przekręcona, rozweselała cały magazyn od samego rana, kiedy nowa plotka o liście Moureta obiegała znowu wszystkie kąty. Liénard powtórzył tę nowinę najpierw jakiemuś subiektowi z działu jedwabi. Sprzedawcy z tego działu byli w

pełnym toku roboty. Favier i dwaj inni pracownicy stojąc na stołkach opróżniali półki i podawali kolejno sztuki materiału Hutinowi, który stał na stole i wykrzykiwał liczby, sprawdzwszy uprzednio dane zamieszczone na etykietach; następnie rzucał sztuki na ziemię, tak że tworzył się powoli cały zwał tkanin, wzbierając wciąż jak jesienny przypływ morza. Inni pracownicy zajęci byli pisaniem, a pomagał im Albert Lhomme, z twarzą zmiętą po bezsennej nocy spędzonej w jakiejś tancbudzie w okolicy Chapelle. Z górnych okien, przez które widać było jarzący się błękit nieba, padało słońce.

– Zaciągnijcie story! – zawołał Routhemont pochłonięty dozorowaniem pracy. – To słońce jest nie do zniesienia!

Favier, który właśnie wspinał się na palce, aby dosięgnąć sztuki materiału, zamruczał pod nosem:

– To jest nieludzkie, aby nas zamykać tutaj w taką wspaniałą pogodę! Nie ma obawy, aby w dzień sporządzania inwentarza spadł deszcz!... Trzymają nas tutaj zamkniętych na klucz jak galerników, gdy cały Paryż chodzi sobie na spacer!

Podał sztukę Hutinowi. Na przymocowanej do tektury kartce wypisany był metraż, który zmniejszono stopniowo o ilość metrów sprzedanego materiału; ułatwiało to bardzo pracę. Zastępca kierownika zawołał:

– Jedwab fantastyczny: drobna kratka, dwadzieścia jeden metrów po sześć franków pięćdziesiąt! – Rzucona na ziemię sztuka powiększyła stos leżących tam materiałów. Hutin nawiązał rozpoczętą poprzednio rozmowę mówiąc do Faviera: – Więc on chciał cię bić?

– Ależ tak. Piłem spokojnie piwo... I na co to się zdało zadawać mi kłam, kiedy ta mała otrzymała właśnie list od pryncypała z zaproszeniem na kolację... Cała buda o tym mówi.

– Jak to, więc to nie jest jeszcze fakt dokonany?

Favier podał mu nową sztukę.

– I ja się dziwię, dałbym za to głowę. Robiło wrażenie, że to już stara historia.

– To samo, dwadzieścia pięć metrów! – zawołał Hutin. Słysząc było głuchy łoskot upadającej sztuki, a Hutin powiedział zniżając głos: – Wiesz o tym, że ona prowadziła się bardzo swobodnie u tego starego wariata Bourras.

Cały dział bawił się teraz kosztem dziewczyny, nie przestając pracować. Szeptano sobie do ucha jej nazwisko. Karki naginały się ku sobie, nosy węszyły niezwykły przysmak. Nawet Bouthemont, który bardzo lubił swawolne historyjki, pozwolił sobie na tłusty dowcip i pękał ze śmiechu, ubawiony ordynarnością konceptu. Wytrzeźwiony Albert przysięgał, że widział zastępczynię kierowniczkę działu konfekcji w towarzystwie dwu wojskowych w lokalu „Gros-Caillou”. Kiedy to mówił, zjawił się właśnie Mignot z dwudziestoma frankami, które

udało mu się pożyczyć; zatrzymał się przy jedwabiach i wsunął Albertowi do ręki dziesięć franków, umawiając się z nim na wieczór; projektowana pijatyka, której realizacji przeszkadzał brak pieniędzy, mogła teraz dojść do skutku, mimo że posiadana suma była niewielka. Gdy piękny Mignot dowiedział się o liście, odważył się na tak ordynarną uwagę, że Bouthemont zmuszony był zainterweniować:

- Dostyc już, panowie, te rzeczy nie powinny nas obchodzić. No, dalej, dalej, panie Hutin.
- Jedwab fantastyczny: drobna kratka, trzydzieści dwa metry, po sześć franków pięćdziesiąt!
- wołał zastępcę kierownika.

Pióra zazgrzytały znowu, sztuki materiału miarowo spadały na ziemię i rosły w górę jak fale rzeki występującej z brzegów. Wywoływanie sztuk jedwabiu fantastycznego nie ustawało. Favier zauważył półgłosem, że ilość towaru na składzie jest bardzo pokaźna; dyrekcja będzie niezadowolona:

ten głupi grubas Bouthemont jest bez wątpienia najlepszym w Paryżu fachowcem od zakupów, ale jako sprzedawca jest chyba największym niedołągą pod słońcem. Hutin uśmiechał się z zadowolenia, potakując przyjacielskim spojrzeniem. Podobnie jak kiedyś wprowadził Bouthemonta do magazynu „Wszystko dla Pań”, aby wypędzić Robineau. tak teraz dążył z uporem do tego, by go wysadzić i zająć jego miejsce. Była to taka sama jak kiedyś walka: złośliwe insynuacje szeptane do ucha przełożonych, nadmierna gorliwość, aby wykazać swe zalety, stała kampania prowadzona skrycie wśród obłudnych uśmiechów. Favier, któremu Hutin okazywał znowu pobłażanie, patrzył na niego spode łba, chudy i zacięty, z irytacją widoczną w wyrazie twarzy, tak jakby liczył już kąski, jakie da się wykroić z tego małego krępego człowieczka, jakby czekał tylko na to, aby – gdy kolega pożre Bouthemonta – rzucić się na niego i pożreć go z kolei. Spodziewał się otrzymać stanowisko zastępcy kierownika, gdy tamten zostanie kierownikiem. Potem – zobaczymy. Obydwaj, ulegając panującej w całym magazynie gorączce, zaczęli rozmawiać o spodziewanych podwyżkach nie przestając przy tym wywoływać pozostałych na składzie sztuk fantastycznego jedwabiu; przewidywano, że Bouthemont dojdzie w tym roku do trzydziestu tysięcy franków;

Hutin przekroczy dziesięć tysięcy; Favier obliczał, że suma stałej gaży plus procenty dadzą mu pięć i pół tysiąca. W każdym sezonie obrót magazynu wzrastał, sprzedawcy awansowali i podwajali swoje zarobki, podobnie jak oficerowie w czasie wojny.

- Czyż nigdy nie skończy się ten jedwab? – powiedział nagle Bouthemont rozdrażnionym tonem. – Co prawda wiosna była szkaradna. Ciągłe lało. Tylko czarny jedwab miał powodzenie.

Jego wesoła, szeroka twarz chmurzyła się, gdy patrzył na stos piętrzący się na podłodze,

Hutin zaś wołał jeszcze donośniejszym głosem, w którym przebijał triumf:

– Jedwab fantastyczny: drobna kratka, dwadzieścia osiem metrów po sześć franków pięćdziesiąt!

Była tego jeszcze jedna półka. Favier, z obolałymi z wysiłku ramionami, zwolnił nieco tempa. Gdy podawał ostatnie sztuki Hutinowi, zaczął znowu mówić cichym głosem:

– Byłbym zapomniiał ci powiedzieć... Czy powtarzano ci, że zastępczyni z działu konfekcji durzyła się w tobie?

Młody człowiek był bardzo zdziwiony.

– Co ty mówisz?

– Tak jest, to ten idiota Deloche zdradził się... Przypominam sobie jak kiedyś na ciebie zerkała.

Odkąd został zastępcą kierownika, Hutin porzucił śpiewaczki kabaretowe i popisывał się nauczycielkami. Wiadomość podana przez kolegę pochlebila mu w gruncie rzeczy, odpowiedział jednak z odcieniem pogardy:

– Lubię trochę tłuściejsze, mój drogi, a zresztą nie mam zamiaru zadawać się z byle kim. jak nasz pryncypał. – Znowu przerwał i zawołał: – Biały matowy jedwab prążkowany: trzydzieści pięć metrów po osiem franków siedemdziesiąt pięć!

– Nareszcie! – zamruczał z ulgą Bouthemont.

Rozległ się dzwonek oznajmiający drugą turę obiadu, do której należał Favier. Zszedł więc ze stołka i inny sprzedawca zajął jego miejsce. Favier musiał dać wielkiego susa, aby przebrnąć przez fale materiału, które teraz jeszcze szerzej zalewały podłogę. O tej porze we wszystkich działach wyglądało tak samo: półki, pudła, szafy wypróżniały się powoli i powódź towarów gromadziła się pod nogami, między stołami, wszędzie. W dziale płócien słychać było, jak z impetem padały całe sztuki perkalu; z działu norymberszczyzny dochodził lekki stuk przrzuconych pudełek, a z działu mebli głuchoe odgłosy przesuwania ciężkich przedmiotów. Wszystkie głosy rozlegały się jednocześnie, jedne krzykliwe, inne grube; fruwały w powietrzu cyfry, świergotliwa wrzawa przebiegała wzdłuż ogromnej nawy jak poszum lasu w styczniu, kiedy zimny wiatr świszczę wśród gałęzi.

Favier wy dostał się wreszcie i dotarł do schodów prowadzących do jadalni. Od czasu powiększenia magazynu stołówka mieściła się na czwartym piętrze w nowym budynku. Pośpiesznie dopędził Deloche'a i Liénarda, którzy byli na schodach daleko przed nim, i natknął się na Mignota idącego tuż za nimi.

– Do licha! – powiedział, gdy znaleźli się w korytarzu kuchennym przed tablicą, gdzie był wypisany spis potraw. – Zaraz widać, że dzisiaj jest spis inwentarza. Uczta na całego! Kurczę

lub baranina i karczochy w oliwie!... Ta ich baranina zrobi na pewno klapę!

Mignot śmiał się szyderczo, mrużąc:

– Czyżby na drób padła zaraza?

Tymczasem Deloche i Liénard wzięli swoje porcje i odeszli. Wówczas Favier, pochylony w otworze okienka, powiedział głośno:

– Kurczę.

Musiał jednak czekać, ponieważ jeden z kuchcików rozdzielając mięso zaciął się nożem w palec, co wywołało zamieszanie. Stał więc z twarzą w okienku i przypatrywał się urządzeniu ogromnej kuchni. Widział wielkie główne palenisko, na które dwie szyny umocowane w suficie, opuszczały za pomocą całego systemu bloków i łańcuchów kotły tak olbrzymie, że czterech ludzi zaledwie mogło je unieść. W czerwonym odblasku bijącym od rozpalonej blachy ubrani na biało kucharze, stojąc na żelaznych drabinkach, uzbrojeni w długie warząchwie, pilnowali gotującego się na wieczór rosolu. Przy ścianie znajdowały się ruszty niby narzędzia tortur, rondle, w których pomieściłby się cały baran, monumentalnych rozmiarów, ogrzewacz talerzy, marmurowy basen napełniany wciąż świeżą wodą, płynącą cienkim strumieniem z kranu. Na lewo widać było zmywalnię, kamienne zbiorniki, obszerne jak sadzawki; po przeciwnej stronie, na prawo, mieściła się spiżarnia, gdzie można było dostrzec całe półcie czerwonego mięsa zawieszane na żelaznych hakach. Maszyna do obierania kartofli funkcjonowała tykając miarowo jak młyn. Dwa małe wózki, pełne sałaty, przesuwały się, popychane przez kuchcików, którzy mieli umieścić je pod wodotryskiem, aby nie zwiędły.

– Kurczę! – powtórzył Favier zniecierpliwiony. Odwracając się do kolegów dodał ciszej: – Jeden z kuchcików skaleczył się w palec... To obrzydliwe, przecież to kapie do jedzenia.

Mignot chciał zobaczyć. Kolejka czekających subiektów rosła, śmiano się, popychano łokciami. Dwaj młodzi ludzie wsunąwszy głowy w okienko wymieniali między sobą uwagi patrząc na tę kuchnię falansteru, gdzie najzwyczajsze przyrządy, jak rożny lub szpikulce, nabierały gigantycznych rozmiarów. Kuchnia musiała wydawać codziennie dwa tysiące obiadów i dwa tysiące kolacji, nie licząc tego, że liczba pracowników wzrastała z tygodnia na tydzień. Była to niezgłębiona otchłań pochłaniająca w ciągu jednego dnia szesnaście metrów kartofli, sto dwadzieścia funtów masła, sześćset kilogramów mięsa; przy każdym posiłku otwierano trzy beczki wina, bufet wydawał blisko siedemset litrów dziennie.

– No, nareszcie! – wymamrotał Favier, kiedy dyżurny kucharz ukazał się niosąc brytfannę, z której wziął widelcem udko, aby nałożyć je na talerz subiekta.

– Kurczę – powiedział za kolegą Mignot.

Weszli z talerzami do jadalni wzięwszy po drodze porcję wina z bufetu. Za ich plecami padało bez przerwy w regularnych odstępach słowo „kurczę” i słychać było szybki i miarowy brzęk widelca, którym kucharz nabierał kawałki drobiu.

Jadalnią subiektów była teraz olbrzymia sala, gdzie swobodnie mieściło się pięćset nakryć dla każdej z trzech serii posiłków. Nakrycia leżały na długich mahoniowych stołach, ustawionych równolegle do siebie na całą szerokość sali: na obu jej krańcach takie same stoły były zarezerwowane dla inspektorów i kierowników działów; pośrodku mieścił się specjalny bufet na dania nadprogramowe. Wielkie okna z prawej i lewej strony rzucały białe światło na galerię, której sufit, mimo że sala miała cztery metry wysokości, wydawał się niski, jakby przytłoczony nadmiernymi jej rozmiarami. Półki na serwetki były jedyną ozdobą ścian pomalowanych na olejno na kolor jasnożółty. Za tą salą mieściła się jeszcze druga, przeznaczona dla chłopców sklepowych i woźniców, gdzie posiłki wydawano w miarę potrzeby o rozmaitych porach.

– Jak to, i ty także, Mignot, masz udko?– powiedział Favier usiadłszy przy jednym ze stołów naprzeciw kolegi.

Inni subiekci siadali wokoło. Stół nie był nakryty serwetą i talerze dzwięczały głucho w zetknięciu z mahoniowym blatem; wszyscy wydawali okrzyki zdziwienia, gdyż rzeczywiście ilość kurzych nóg była na tym końcu stołu czymś zupełnie niezwykłym.

– Cóż to za drób, który ma tylko łapy! – zauważył Mignot.

Ci, którym przypadły same gnaty, złościли się. Nie można jednak było zaprzeczyć, że wyżywienie poprawiło się znacznie od czasu wprowadzenia nowych urządzeń w magazynie. Mouret, już nie zawierał obecnie umowy z jakimś przedsiębiorcą, wyznaczając mu tylko określoną sumę na koszty stołówki; sam zarządzał teraz kuchnią, niby jednym z działów, mając do rozporządzenia szefa kuchni, pomocników szefa oraz inspektora; jeśli kosztowało go to więcej, to w zamian za to dobrze żywiony personel pracował lepiej; było to wyrachowanie praktycznego humanitaryzmu, które zawsze wprowadzało w zdumienie Bourdoncle’a.

– Moje udko jest bardzo miękkie – stwierdził Mignot – Podajcie mi chleb!

Długi bochenek chleba wędrował z rąk do rąk. Gdy wreszcie Mignot, ostatni z kolei, ukroił sobie kromkę, wepchnął z powrotem nóż w skórę. Spóźniający się napływali jeden po drugim. Wściekły apetyt, podwojony przez ciężką pracę całego przedpołudnia, dopisywał wszystkim mężczyznom siedzącym wzdłuż długich stołów refektarza. Rozlegał się coraz głośniejszy brzęk widelców, bulgotanie wina wylewanego z butelek, dźwięk szklanek zbyt szybko stawianych na stole, chrobot jakby kamieni młyńskich wywołany przez pięćset

solidnych szczęk energicznie żujących pożywienie. Rzadko rzucone słowa ginęły w pełnych ustach.

Deloche, siedzący między Baugé i Liénardem, znajdował się prawie naprzeciwko Faviera, o kilka miejsc od niego. Obydwaj rzucili na siebie spojrzenie pełne urazy. Sąsiedzi szeptali między sobą, wiedząc już o wczorajszej kłótni. Śmiano się z niepowodzenia wiecznie zgłodniałego Deloche'a, któremu dziwnym zbiegiem okoliczności trafiały się zawsze najgorsze kąski. Tym razem dostał szyję kurczaka z kawałkiem grzbietu. Milczał, nie reagując na drwiny, i pożerał ogromne kęsy chleba okrawając szyjkę z prawdziwym artryzmem, przywykł bowiem szanować najmniejszą odrobinę mięsa.

– Dlaczego nie reklamujesz? – zapytał go Baugé.

Wzruszył tylko ramionami. W jakim celu? Nigdy nie wyszło mu to na dobre. Ilekroć usiłował walczyć, wpadał jeszcze gorzej.

– Czy wiesz, że szpulkarze mają teraz własny klub? – zaczął nagle opowiadać Mignot. – Nazywa się wspaniale: Klub Szpulki... Zebrania odbywają się u handlarza win przy ulicy Saint-Honore, który wynajmuje im salę na każdą sobotę.

Mówił o subiektach z działu norymberszczyzny. Cały stół wybuchnął wesołością. Każdy z jedzących, między jednym kęsem a drugim, wypowiadał jakieś zdanie, dorzucał jakiś szczegół; tylko zapaleni czytelnicy gazet milczeli, zagłębieni po uszy w lekturze. W jednej kwestii zgadzano się: z każdym rokiem pracownicy handlowi podnosili swój poziom umysłowy. Prawie połowa z nich mogła teraz swobodnie mówić po niemiecku i po angielsku. Szyk polegał obecnie nie na awanturowaniu się w Bullier ani też na włóczeniu się po kabaretach, aby tam wygwizdywać brzydkie śpiewaczki, ale na zrzeszaniu się w grupy po dwudziestu młodych ludzi i na zakładaniu klubów.

– Czy oni też mają fortepian, jak płótniarze? – zapytał Liénard.

– Naturalnie, że mają – zawołał Mignot. – Grają i śpiewają! Jeden z nich, mały Bauvoux, recytuje nawet wiersze.

Wesołość wzmogła się jeszcze bardziej, żartowano z małego Bauvoux, ale pod pokrywką śmiechu krył się wielki szacunek. Rozmawiano następnie o jakiejś sztuce w teatrze „Vaudeville”. gdzie aktor grał rolę kupczyka-łobuza, co wywołało oburzenie wielu obecnych. Inni tymczasem niepokoiли się, o której godzinie wypuszczą ich wieczorem na wolność, ponieważ mieli w projekcie wizyty czy wieczorki w rodzinach mieszczańskich. We wszystkich punktach olbrzymiej sali toczyły się podobne rozmowy pośród wciąż rosnącego szczęku naczyń. Aby usunąć z sali zapachy kuchenne i zapach resztek jedzenia z pięciuset rozrzuconych w nieładzie nakryć, otworzono okna, których zapuszczone story płonęły od

palącego sierpniowego słońca. Powiew rozpalonego powietrza dochodził z ulicy, złote blaski na żółto zabarwiały sufit i kapały w rudym świetle spoconych biesiadników.

– To nieludzkie zamykać nas tutaj w taką wspaniałą pogodę! – powtórzył znowu Favier.

Uwaga ta skierowała myśli na sporządzony remanent. Bilans roczny przedstawiał się wspaniale. Rozmowa przeszła na wiecznie interesujący wszystkich i zawsze aktualny temat uposażeń i podwyżek. W dni, kiedy podawano drób, subiekci bywali zwykle podnieceni i hałas stawał się nie do zniesienia. Gdy usługujący chłopcy wnieśli półmiski z karczochami w oliwie, wrzawa była tak wielka, że nie można się było porozumieć. Dyżurny inspektor miał polecenie, aby tego dnia okazywać jak największą pobłażliwość.

– Ale, ale! – zawołał Favier. – Czy znacie najświeższą nowinę?

Jego głos utonął w gwarze. Mignot pytał właśnie:

– Kto z was nie lubi karczochów? Sprzedaję swój deser za porcję karczochów!

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy przepadali za karczochami. Obiad dzisiejszy był jednym z lepszych, bo widziano, że na deser przygotowano brzoskwinie.

– Niech pan sobie wyobrazi, mój drogi, że zaprosił ją na kolację– mówił Favier do sąsiada z prawej strony, kończąc opowiadanie. – Jak to, pan nic nie wiedział?

Wszyscy przy stole znali już tę historię i znudzili się obgadywaniem jej szczegółów od samego rana. Zawsze jedne i te same żarty kursowały z ust do ust. Deloche drżał ze zdenerwowania. Utkwił wzrok w oczach Faviera, który powtarzał z naciskiem:

– Jeśli jej jeszcze nie miał, stanie się to dzisiaj... I nie będzie pierwszy. Z całą pewnością nie będzie pierwszy! – I on także patrzył na Deloche'a– Na koniec dodał wyzywająco: – Kto lubi obgryzać kości, może je sobie kupić za jedno pięć franków.

Nagle pochylił głowę. Deloche, ulegając nieprzemyślanemu odruchowi, chlusnął mu w twarz winem, bełkocąc:

– Masz, podły oszczerco, powinienem był cię już wczoraj oblać!

Wybuchł skandal. Kilka kropel opryskało sąsiadów Faviera, który miał tylko nieco zmoczone włosy. Zbyt gwałtownie chlusnięte wino wylało się na drugą stronę stołu. Mimo to postępek Deloche'a wywołał gniew. Jaki jest powód tej obrony? Chyba jest jego kochanką? Co za cham! Zasluguje na to, aby go wyrznąć w twarz i dać mu nauczkę, jak ma się zachować.

Głosy przycichły, gdyż sygnalizowano nadejście inspektora, a uważano za zbędne mieszać dyrekcję do kłótni. Favier powiedział tylko:

– Gdyby był trafił we mnie, to dopiero byście zobaczyli.

Sprawa zakończyła się żartami. Kiedy Deloche, jeszcze drżący z irytacji, chciał się napić

wina, aby pokryć wzburzenie, i chwycił machinalnie pustą szklankę, zaczął się śmiać. Postawił niezręcznie szklankę i zaczął ssać listki karczochów, które raz już miał w ustach.

– Podajcie karafkę Deloche’owi – powiedział spokojnie Mignot. – Chce mu się pić.

Śmiechy stały się jeszcze głośniejsze. Subiekci sięgali teraz po czyste talerze ze stosów rozstawionych na stole, gdyż chłopcy roznosili już deser – kosze brzoskwiń. Wszyscy trzymali się za boki ze śmiechu, gdy Mignot dodał:

– Bywają gusty i guściki. Deloche lubi brzoskwinie zakrapiane winem.

Henryk siedział nieruchomo. Spuścił głowę, jakby ogłuchł, i starał się nie słyszeć żartów, żalując rozpaczliwie swojego wystąpienia. Ci ludzie mieli rację: jakie miał prawo jej bronić? Będą teraz snuli obrzydliwe podejrzenia. Miał ochotę zbić siebie, że tak skompromitował Denise chcąc dowieść jej niewinności. Zawsze prześladował go pech, lepiej by było raczej zdechnąć, bo nigdy nie udawało mu się postąpić tak, jak mu dyktowało serce, żeby nie palnąć przy tym głupstwa. Łzy napływały mu do oczu. A to, że cały magazyn plotkował o liście pryncypała, czy to nie było także jego winą? Słyszał, jak używając najokropniejszych słów żartują sobie na temat zaproszenia, o którym Liénard dowiedział się z opowiadania Pauliny. Deloche myślał z żalem, że nie powinien był jej pozwolić mówić przy Liénardzie, czuł się odpowiedzialny za popełnioną niedyskrecję.

– Po co opowiadałeś to wszystko? – powiedział wreszcie bolesnym szeptem do siedzącego obok Liénarda. – To bardzo nieładnie.

– Ja? – zdumiał się Liénard. – Ależ powiedziałem tylko dwu albo trzem osobom prosząc o sekret... Czy można wiedzieć, w jaki sposób rozchodzą się takie wiadomości?

Gdy Deloche zdecydował się wypić szklankę wody, cały stół jeszcze raz wybuchnął śmiechem. Posiłek dobiegał końca. Rozsiadłszy się wygodnie na krzesłach, pracownicy czekali na głos dzwonka i nawoływali się ponad stołami, w swobodnym poobiednim nastroju. Przy środkowym bufecie dodatkowe porcje nie miały dziś wielkiego powodzenia, tym bardziej że firma fundowała tego dnia kawę. Filiżanki dymiły, spocone twarze lśniły w lekkim oparze snującym się jak niebieskie smugi dymu z papierosów. W oknach zwisały nieruchome story. Jedna z nich zwinęła się sama i plama słońca mignęła w sali rzucając płomień na sufit. Rozmowy były tak głośnie, że dzwonek dosłyszeli zrazu tylko siedzący blisko drzwi. Powstano od stołów i korytarze zapełniły się gwarem wychodzących.

Deloche pozostał umyślnie w tyle, aby uniknąć dowcipów ciągle jeszcze krążących wśród kolegów. Nawet Baugé wyszedł wcześniej od niego, chociaż zazwyczaj wychodził ostatni i zrobiwszy koło spotykał Paulinę, gdy szła do jadalni ekspedientek; był to manewr ustalony przez nich jako jedyny sposób widzenia się bodaj przez minutę w ciągu godzin pracy. Tego

dnia zobaczyła ich idącą na obiad Denise, gdy całowali się w same usta. Dziewczyna wchodziła z trudem po schodach z powodu bolącej jeszcze nogi.

– Och, moja droga – szepnęła Paulina czerwieniąc się – nie zdradzisz nas, prawda?

Kościsty i barczysty olbrzym Baugé drżał jak maty chłopiec. I on też szepnął błagalnie:

– Przecież wyrzuciliby nas za drzwi. Wszyscy co prawda wiedzą o naszym małżeństwie, ale ci kretyni nie rozumieją, że można się całować.

Wzruszona Denise zapewniła, że nie zauważyła ich wcale przed chwilą. Baugé uciekł, gdy ukazał się z kolei Deloche, który starał się iść możliwie najdłuższą drogą. Chciał się wytłumaczyć i coś bełkotał, czego Denise w żaden sposób nie mogła z początku pojąć. Potem, gdy Henryk zaczął zarzucać Paulinie, że mówiła w obecności Liénarda, i gdy bieliźniarka zmieszała się z tego powodu, Denise zrozumiała wreszcie, co znaczyły te szepty, które słyszała od rana wokoło siebie. Historia listu krążyła z ust do ust. Wstrząsnął nią znowu dreszcz, taki sam jak rano, gdy otrzymała list; wydawało jej się, że ci wszyscy mężczyźni widzą ją rozebraną.

– Nic nie wiedziałam – powtarzała Paulina. – Zresztą, nie ma w tym nic złego... Niech sobie gadają, niech się wszyscy wściekną ze złości!

– Moja droga – powiedziała spokojnie Denise – nie mam do ciebie pretensji... Opowiedziałś tylko prawdę. Dostałam list i moją sprawą jest na ten list odpowiedzieć.

Deloche odszedł strapiiony, wnioskując z tej rozmowy, że dziewczyna zgadza się z losem i że pójdzie wieczorem na wyznaczone spotkanie. Gdy obydwie ekspedientki zjadły obiad w małej salce, gdzie kobiety były obsługiwane bardziej starannie, Paulina pomogła Denise zejść ze schodów, gdyż chora noga dokuczwała jej jeszcze mocno.

Na dole, w gorączce popołudniowej, spis inwentarza szedł w szybszym tempie. Nadeszła pora, gdy należało dołożyć wszystkich sił, aby wykończyć zaniedbaną nieco przed południem pracę, jeśli miała być wykonana na wieczór. Głosy rozbrzmiewały jeszcze głośniejsze, widać było tylko gestykulujące ramiona, opróżniające się półki, zrzucane towary; nie można się już było poruszać, gdyż poziom nagromadzonych na ziemi stosów i bel materiałów sięgał wysokości kontuaru. Rozfalone morze głów, podniesionych pięści, skaczących nóg zdawało się ginać w głębi działów wśród zamieszania i jakby jakichś dalekich odgłosów wzbierającego buntu. Była to gorączka ostatniego sygnału alarmowego, gdy naładowana dynamitem maszyna bliska jest wybuchu: wzdłuż wielkich szyb lustrzanych nieliczni przechodnie z rzadka tylko przesuwali się ulicą, bladzi od dławiącej ich niedzielnej nudy. Na chodniku od strony Neuve-Saint-Augustin przystanąły trzy dziewczyny z gołymi głowami, wyglądające na pomywaczki. i przyciskając bezceremonialnie twarz do szyby, starały się

dojrzeć, co się działo wewnątrz.

Gdy Denise wróciła do salonu konfekcji, pani Aurelia poleciła Małgorzacie dokończyć przeglądu okryć. Pozostawało jeszcze sprawdzić listy towarów. Aby to wykonać w ciszy i spokoju, kierowniczką schroniła się do sali próbek zabierając ze sobą Denise.

– Chodź ze mną, będziemy sprawdzać. Potem zliczysz to wszystko razem – powiedziała.

Chciała zostawić otwarte drzwi do salonu konfekcji, aby czuwać nad pracą ekspedientek, ale dochodził stamtąd taki hałas, że trudno się było porozumieć, mimo że obie z Denise zainstalowały się w głębi sali. Był to obszerny kwadratowy pokój, którego umeblowanie stanowiły jedynie krzesła i trzy długie stoły. W kącie znajdowała się maszyna do krajania próbek. Szły na to całe sztuki, ponieważ wysyłano rocznie materiały o wartości przekraczającej sześćdziesiąt tysięcy franków, pocięte na kawałki. Od rana do wieczora automatyczne noże, zgrzytając jak kosy, szatkowały jedwab, wełnę i płótno. Należało następnie broszurować zeszyty i naklejać lub przyszywać próbki. Między oknami stała mała drukarnia do sporządzania etykiet.

– Ciszej! – wołała od czasu do czasu pani Aurelia, której trudno było dosłyszeć wyczytywane przez Denise pozycje.

Gdy uzgodniły pierwsze spisy, kierowniczką zostawiła młodą dziewczynę zajętą rachunkami. Powróciła jednak po chwili prowadząc ze sobą pannę de Fontenailles, która nie była już potrzebna w dziale wypraw ślubnych i mogła przydać się teraz w konfekcji. Miała ona pomagać Denise w rachunkach dla zaoszczędzenia czasu. Lecz ukazanie się „markizy”, jak złośliwie nazywała pannę de Fontenailles Klara, wywołało zamęt w całym dziale. Śmiano się, żartowano z Józefa, tak że przez drzwi dochodziły okrutne słowa.

– Niechże się pani nie odsuwa, wcale mi pani nie przeszkadza – powiedziała Denise przejętą litością. – Jeden kałamarz zupełnie nam wystarczy, może pani w nim maczać pióro razem ze mną.

Panna de Fontenailles, którą zły los doprowadził do stanu ogłupienia, nie zdobyła się ani na jedno słowo wdzięczności. Musiała zapewne pić, chuda jej twarz miała odcień ołowiu i tylko ręce, białe i delikatne, świadczyły jeszcze o pochodzeniu.

Nagle śmiechy ucichły, praca szła dalej pełną parą; Mouret, który odbywał znowu inspekcję działów, zatrzymał się szukając wzrokiem Denise, zdziwiony, że jej nie widzi. Przywołał skinieniem panią Aurelię i rozmawiali chwilę na uboczu przyciszonym głosem. Zadawał jej widocznie jakieś pytania. Kierowniczką wskazała oczami sąsiednią salę, potem wydawało się, że opowiada o czymś pryncypałowi. Informowała go z pewnością, że młoda dziewczyna rano płakała.

– Doskonale! – powiedział głośno Mouret wychodząc na środek salonu. – Proszę mi pokazać spisy.

– Pan pozwoli tędy – odpowiedziała kierowniczką. – Przeszliśmy tam, żeby uciec od hałasu.

Poszedł za nią do sąsiedniego pokoju. Klara spostrzegła manewr; powiedziała półgłosem, że byłoby lepiej od razu przynieść łóżko. Ale Małgorzata, aby ją zająć i zmusić do milczenia, zaczęła rzucać jej okrycia w przyspieszonym tempie. Czyż zastępczyni kierowniczką nie była dobrą koleżanką? Jej osobiste sprawy nie powinny nikogo obchodzić. Cały dział przyłączył się do spisku, ekspedientki zaczęły krzątać się bardzo gorliwie, Lhomme i Józef, jakby ogłuchli, pochylili się pilnie nad swymi papierkami. Inspektor Jouve, zauważywszy z daleka manewr pani Aurelii, zaczął przechadzać się miarowym krokiem pod drzwiami prowadzącymi do pracowni próbek, niby szyldwach, który pilnuje, aby nikt nie zakłócił zabawy zwierzchnikowi.

– Proszę podać spisy panu dyrektorowi – powiedziała kierowniczką wchodząc.

Denise podała spisy i stała patrząc wprost przed siebie. Wejście Moureta zaskoczyło ją, ale natychmiast opanowała się i była teraz zupełnie spokojna, pobladła tylko trochę. Przez chwilę pryncypał wydawał się pochłonięty odczytywaniem zestawionych na liście artykułów i nie rzucił ani jednego spojrzenia na dziewczynę. Panowała cisza. Pani Aurelia nachyliła się nad nieruchomo siedzącą panną de Fontenailles i jakby niezadowolona z jej obliczeń powiedziała półgłosem:

– Niech pani idzie raczej pomóc przy składaniu okryć...Od razu widać, że nie miała pani do czynienia z liczbami.

Panna de Fontenailles podniosła się i powróciła do działu, gdzie przyjęły ją szept. Józef, czując na sobie roześmiane spojrzenia panien sklepowych, mylił się w zapisach. Klara, choć rada z niespodziewanej pomocy, zaczęła ją mimo to zaraz maltretować, powodowana nienawiścią do wszystkich kobiet w magazynie. Czyż to nie jest idiotyczne, żeby markiza przyjmowała hołdy prostego robotnika? Zresztą zazdrościła jej tej miłości.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – powtarzał Mouret udając ciągle, że czyta.

Pani Aurelia była teraz w kłopotcie, w jaki sposób wyjść z pokoju tak, aby to wypadło przyzwoicie. Kręciła się na jednym miejscu, podeszła do mechanicznych nożyc, wściekła na męża, że nie wymyślił jakiegoś pretekstu, aby ją zawołać, ale on nigdy nie wiedział, jak w danej chwili należy postąpić – umarłby z pragnienia na brzegu sadzawki. Wreszcie Małgorzata okazała się sprytna i poprosiła kierowniczką o jakieś wyjaśnienie.

– Już idę – odpowiedziała pani Aurelia.

Dostarczyło to jej pretekstu, aby bez narażenia własnej godności w oczach śledzących ją panien pozostawić Moureta sam na sam z Denise – do czego dążyła; wyszła majestatycznym krokiem, z twarzą pełną godności, że ekspedientki nie śmiały pozwolić sobie na najlżejszy uśmiech.

Mouret położył powoli listy na stole. Patrzył na siedzącą z piórem w ręku dziewczynę. Nie cofała wzroku, przybladła tylko jeszcze bardziej.

– Przyjdzie pani dziś wieczór? – spytał półgłosem.

– Nie. proszę pana. nie będę mogła. Moi bracia mają być dzisiaj u stryja. Przyrzekłam, że zjem z nimi kolację.

– A pani noga? Chodzi pani z trudnością.

– To tak niedaleko, dojdę jakoś. Czuję się od rana o wiele lepiej.

Teraz on zbladł z kolei, słysząc tę spokojną odmowę. Wargi jego zadrżały w nerwowym skurczu. Pohamował się jednak i odpowiedział tonem uprzejmego pryncypała, który interesuje się po prostu jedną ze swych ekspedientek:

– A jeślibym panią prosił... Wie pani chyba, ile mam dla pani szacunku.

Denise zachowała w dalszym ciągu grzeczny i poprawny ton.

– Jestem bardzo wzruszona pana dobrocią i dziękuję za zaproszenie. Ale niestety – jak już powiedziałam – przyjść nie mogę, ponieważ czekają na mnie moi bracia.

Udawiała, że nie rozumie sensu słów Moureta. Mimo że drzwi do sąsiedniej sali pozostały otwarte, Denise czuła, że cały magazyn sprzysiągł się, aby je zamknąć. Paulina po przyjacielsku już ją nazwała głuptasem. Inne będą z niej drwić, jeżeli nie przyjmie zaproszenia. Pani Aurelia, która umyślnie odeszła, Małgorzata podnosząca jeszcze bardziej głos, dyskretnie nieruchome plecy Lhomme'a – wszystko to popychało ją do upadku i rzucało w objęcia pryncypała. Dalekie głosy inwentaryzujących wielomilionowy majątek magazynu i łoskot materiałów rzuconych na ziemię docierały do niej gorącymi falami.

Zapadło milczenie. Gdy Mouret mówił, gwar magazynu głużył chwilami jego słowa, którym wtórowała potężna fanfara królewskiej fortuny zdobytej w walce.

– Więc kiedy pani przyjdzie? – zapytał znowu. – Może jutro?

To proste pytanie zmieszało Denise. Zacinając się i prawie tracąc przytomność odpowiedziała:

– Nie wiem... nie mogę...

Uśmiechnął się i usiłował wziąć ją za rękę, lecz wyrwała mu ją natychmiast.

– Czego się pani boi.

Lecz ona podniosła już głowę i patrzyła mu prosto w twarz, mówiąc z uśmiechem

łagodnym i uczciwym:

– Niczego się nie boję, proszę pana... Każdy człowiek robi tylko to, co chce, prawda? A ja właśnie nie chcę, to wszystko.

Gdy zamilkła, uwagę jej zwróciło skrzypnięcie drzwi. Odwróciła się i zobaczyła, że zamykają się delikatnie. To Jouve uznał za stosowne działać. przypomniawszy sobie, że do jego obowiązków należało, aby w magazynie nie zostawiano drzwi otwartych. Spełniwszy tę czynność, wrócił na swój posterunek. Wydawało się, że nikt tego nie zauważył, gdyż drzwi zamknięto w sposób bardzo naturalny. Tylko Klara rzuciła jakieś dwuznaczne słowo do ucha panny de Fontenailles, której twarz pozostała blada i jakby martwa.

Denise podniosła się z krzesła. Mouret mówił do niej głosem cichym i drżącym:

– Niech mnie pani wysłucha! Kocham panią. Wie pani o tym już dawno. Niech pani nie żartuje tak okrutnie, udając, że nic nie wie. Proszę się niczego nie obawiać. Już ze dwadzieścia razy miałem ochotę wezwać panią do mego gabinetu. Bylibyśmy sami i wystarczyłoby przekręcić klucz. Ale nie chciałem tego zrobić i, jak pani widzi, przyszedłem porozmawiać z panią tutaj, gdzie każdy może wejść... Kocham panią, Denise... – Dziewczyna stała bardzo blada i słuchała słów Moureta nie przestając patrzeć mu prosto w oczy. – Niech pani powie, dlaczego pani odmawia?... Czy nie ma pani żadnych potrzeb? Opieka nad braćmi to ciężki obowiązek. Zrobię wszystko, czego pani ode mnie zażąda...

Przerwała mu krótko:

– Dziękuję, zarabiam teraz więcej, niż potrzebuję.

– Ofiaruję pani zupełną swobodę, życie pełne przyjemności i zbytku... Stworzę pani dom, zapewnię majątek.

– Nie, dziękuję, nudziłabym się nie pracując... Nie miałam jeszcze dziesięciu lat, gdy zarabiałam już na swoje utrzymanie.

Mouret zrobił gest rozpaczony. To była pierwsza kobieta, która mu się oparła. Wystarczyło mu się schylić, aby zdobyć każdą inną, wszystkie oczekiwały jak uległe służebnice na jego kaprys, tylko ta jedna odmawiała nie podając żadnej rozsądnej przyczyny. Hamowane od dawna pożądanie, spotęgowane jeszcze przez jej opór, doprowadzało go do stanu szalonego podrażnienia. Może ofiarował jej zbyt mało. podwoił więc proponowane jej warunki, stawał się natarczywy.

– Nie, nie, dziękuję – odpowiadała za każdym razem, nieugięta.

Wówczas z głębi serca wyrwał mu się okrzyk:

– Czy pani nie widzi, jak ja strasznie cierpię! Tak, to jest idiotyczne, ale cierpię jak dziecko!

Łzy pokazały się w jego oczach. Zapanowało znowu milczenie. Spoza zamkniętych drzwi dochodził jeszcze, chociaż stłumiony, rozgwar pracy i brzmiał teraz jak fanfara zamierająca w chwili niespodziewanej klęski.

– Bo przecież, jeżeli zechcę... – powiedział gwałtownie, chwytając ją za rękę.

Pozwoliła mu je zatrzymać, coraz słabsza, z oczyma zasnutymi mgłą.

Fala gorącej namiętności, płynęła od ciepłych rąk tego mężczyzny, promieniowała, napełniała ją rozkosznym bezwładem. Mój Boże! Jakże bardzo go kochała i jakiej by doznała słodczy, gdyby mogła objąć go za szyję i oprzeć się o jego pierś!

– Ja chcę, chcę – powtarzał nieprzytomnie. – Czekam na panią, wieczorem, a jeśli nie, to będę zmuszony przedsięwziąć pewne kroki...

Stawał się brutalny. Denise krzyknęła lekko. Ból zbyt mocno ściśniętej dłoni wrócił jej przytomność. Jednym szarpnięciem uwolniła rękę. Potem, wyprostowana, powiedziała wyniosłym tonem mimo całej swej słabości:

– Proszę mnie puścić... Nie jestem Klarą, którą można nazajutrz porzucić. Wiem poza tym, że kocha pan pewną osobę, tę panią, która tutaj przychodzi... Niech pan przy niej zostanie. Ja nie mam zwyczaju się dzielić.

Zdumienie przykuło go do miejsca. Co ona mówiła i czego chciała? Nigdy dziewczęta z magazynu, którymi raczył się interesować, nie dbały o to, czy je kocha, czy nie. Powinien był się właściwie roześmiać, ale delikatne i dumne zachowanie się tej dziewczyny poruszyło go do głębi.

– Proszę pana – mówiła dalej Denise – niech pan otworzy drzwi, nie wypada, żebyśmy byli tutaj sami.

Mouret usłuchał i z szumem w uszach, nie wiedząc, w jaki sposób ukryć swoją udrękę, przywołał panią Aurelię; uniósł się gniewem z powodu całego asortymentu rotund, kazał natychmiast opuścić cenę i obniżyć ją tak długo, aż wszystkie zostaną sprzedane. Był to stary system firmy. każdego roku pozbywano się wszystkiego, sprzedawano niekiedy z sześćdziesięcioprocentową stratą, aby tylko nie został na składzie stary model ani niemodny materiał. Od jakiegoś czasu czekał na dyrektora Bourdoncle. Zatrzymany przed zamkniętymi drzwiami przez inspektora Jouve, który szepnął mu coś do ucha z poważną miną, niecierpliwiał się, aleniemiał odwagi przeszkadzać pryncypałowi. To nie do wiary! Właśnie w tak ważny dzień i w dodatku z tak nieciekawą osobą! Gdy wreszcie drzwi się otworzyły, Bourdoncle zakomunikował dyrektorowi o wielkich ilościach fantazyjnego jedwabiu pozostałego na składzie. Dla Moureta fakt ten stał się pretekstem do ulżenia sobie, gdyż mógł teraz krzyczeć do woli. Co sobie myślał ten Bouthemont? Mouret oddalił się oświadczając, że

nie będzie tolerował pracowników pozbawionych kupieckiego zmysłu, którzy popełniają takie głupstwa i kupują więcej towarów niż można sprzedać.

– Co mu się stało? – powiedziała półgłosem pani Aurelia, przejęta wymówką, jaka ją spotkała ze strony szefa.

Panny patrzyły na siebie zdziwione. O szóstej inwentarz został skończony. Słońce jeszcze świeciło, złociste letnie słońce, którego promienie wpadały poprzez witraże wielkiej hali. W nagrzanym powietrzu ulicy szły, powracając z podmiejskich wycieczek, zmęczone rodziny, obładowane bukietami kwiatów i ciągnące za sobą dzieci. Działy uspokajały się z wolna. Tylko z rzadka słychać było w głębi hali zapóźnione głosy kilku subiektów opróżniających ostatnie półki. Potem i te głosy ucichły, po całodziennym zamieszaniu pozostały tylko rozrzucone towary, zastygłe w patetycznym dreszczu jak krwawe pobojuwisko. Wszystkie półki, szafy i pudła stały puste. Ani jeden metr materiału, ani jeden przedmiot nie pozostał na dawnym miejscu. Obszerny magazyn ukazywał szkielet swych urządzeń, rusztowanie stolarskie całkowicie obnażone, jak w pierwszych dniach instalacji. Ta pustka stanowiła najlepszy dowód dokładności inwentarza. Na ziemi leżały towary wartości szesnastu milionów, wezbrane morze, w którym tonęły stoły i lady. Subiekci zanurzeni po ramiona. zaczęli odkładać na miejsce każdy artykuł. Spodziewano się uporać z tą robotą do dziesiątej.

Gdy pani Aurelia, która jadała z pierwszą zmianą, wróciła po kolacji do swego działu, przyniosła wiadomość o wysokości obrotów dokonanych w ciągu roku. Ogólna kwota, uzyskana po zsumowaniu raportów poszczególnych działów, wynosiła osiemdziesiąt milionów, czyli o dziesięć milionów więcej niż w poprzednim roku. Jedyne faktyczny spadek w obrotach dotyczył fantazyjnych jedwabi.

– Jeśli pan Mouret nie jest zadowolony, to już zupełnie nie wiem, o co mu chodzi – dodała kierowniczką. – Patrzcie, stoi tam na najwyższej kondygnacji i ma wściekłą minę.

Panny poszły, aby go zobaczyć. Stał zupełnie sam, z ponurą twarzą, patrząc na miliony zwalone u jego nóg.

– Proszę pani – powiedziała podchodząc Denise – czy nie mogłabym pójść do domu? Nie przydam się już na nic z powodu mojej nogi, a ponieważ mam zamiar iść na kolację do stryja razem z braćmi...

Zapanowało ogólne zdumienie. Więc nie ustąpiła? Pani Aurelia zawahała się. Przez chwilę zdawało się, że zabroni jej odejść; udzieliła wreszcie pozwolenia oschłym, niezadowolonym tonem. Klara wzruszała ramionami niedowierzająco: to przecież takie proste, on ma jej już dosyć. Paulina dowiedziała się o zakończeniu całej historii, kiedy znajdowała się właśnie w

dziale wyprawek dziecięcych razem z Deloche'em. Gwałtowna radość młodego człowieka pobudziła ją do gniewu. I co mu z tego przyjdzie? Może był zadowolony, że jego przyjaciółka jest taka głupia i pogardziła okazją zrobienia majątku? Bourdoncle, nie śmiejąc podejść do Moureta, przechadzał się słuchając plotek, zmartwiony i zaniepokojony..

Tymczasem Denise schodziła ze schodów. Gdy znajdowała się już na dole, idąc powoli i trzymając się poręczy, natknęła się na grupę chichoczących subiektów. Usłyszała swoje nazwisko i domyśliła się, że mówiono jeszcze na temat jej przygody. Nie dostrzeżono jej.

– Widzicie, co za fochy – mówił Favier. – Ależ to jest szczyt przebiegłości... Znam kogoś, kogo chciała wziąć siłą.

Patrzył przy tym na Hutina, który dla zachowania powagi zastępcy kierownika stał o kilka kroków na boku, nie biorąc udziału w żartach. Zazdrosne spojrzenia, jakimi obrzucali go inni sprzedawcy, pochlebiali mu jednak tak bardzo, że raczył odezwać się cichym głosem:

– Jakże ona mnie zanudzała!

Denise, dotknięta do żywego, uchwyciła się mocniej poręczy. Musiano ją zauważyć, gdyż wszyscy rozbiegli się ze śmiechem. Hutin miał rację. Wyrzucała sobie teraz dawną naiwność, kiedy to marzyła o tym chłopcu. Ale jaki jest podły i jak bardzo ona nim teraz pogardza! Schwycił ją niepokój, czy to nie jest dziwne, że zdobyła się przed chwilą na tyle siły, aby odepchnąć od siebie człowieka kochanego, gdy kiedyś była taka słaba wobec tego nędznika, o którego miłości jedynie marzyła? Rozsądek i odwaga Denise zawodziły wobec tych przeciwności jej natury, przestawała siebie rozumieć. Spieszyła się, aby przejść czym prędzej przez halę.

Gdy jednak jeden z inspektorów otwierał drzwi wejściowe zamknięte od rana, jakiś instynkt kazał jej podnieść głowę i spojrzeć w górę. Zobaczyła Moureta. Stał ciągle u wierzchołka schodów, na wielkiej środkowej kondygnacji, mając przed sobą całą halę. Zapomniał o inwentarzu, nie widział swojego królestwa pękającego od nagromadzonych bogactw magazynu. Wszystko rozwiało się, hałaśliwe zwycięstwa minionych dni, olbrzymia, czekająca go w przyszłości fortuna. Zrozpaczonym spojrzeniem śledził postać Denise, a gdy zniknęła za drzwiami, wydawało mu się, że nie widzi przed sobą nic, że cały magazyn zapada się w ciemność.

XI

Bouthemont przybył tego dnia pierwszy na popołudniową herbatę do pani Desforges. Henrietta była jeszcze sama w wielkim salonie w stylu Ludwika XVI, gdzie brązowe okucia i brokat obić jaśniały wesoło. Na widok wchodzącego podniosła się niecierpliwym ruchem, mówiąc:

– No i co?

– Wszystko w porządku – odpowiedział młody człowiek. – Gdy mu powiedziałem, że będę zapewne dziś u pani, przyrzekł mi wyraźnie przyjść także.

– Czy dał mu pan do zrozumienia, że spodziewam się dzisiaj wizyty barona?

– Naturalnie... I to właśnie, zdaje się, było powodem ostatecznej jego decyzji.

Rozmawiali o Mourecie. Rok temu Oktaw w przystępie nagłej sympatii do Bouthemonta dopuścił go do udziału w swoich rozgrywkach. Wprowadził go też do salonu Henrietty, gdyż wygodnie mu było mieć stale pod ręką kogoś usłużnego, kto wniósłby nieco wesołości do nużącego go już związku. W ten sposób kierownik działu jedwabi stał się powiernikiem zarówno szefa, jak i pięknej wdowy: załatwiał różne drobne polecenia, rozmawiał z jedną ze stron o drugiej, wreszcie występował czasami w roli rozjemcy godząc powaśnionych kochanków. Henrietta, powodowana zazdrością, zwierzyła mu się ze swoich strapień w sposób tak poufny – tracąc przy tym wszelki umiar właściwy kobiecie z towarzystwa, która rozwija zazwyczaj całą sztukę, aby uratować pozory – że zaskoczony Bouthemont znajdował się w sytuacji nad wyraz kłopotliwej.

Teraz zawołała gwałtownie:

– Trzeba było go przyprowadzić. Byłabym przynajmniej pewna.

– Proszę pani – powiedział Bouthemont z dobrodusznym uśmiechem – to nie moja wina, że on teraz ciągle ucieka... Mimo wszystko lubi mnie. Gdyby nie on, ciężkie miałbym życie w

magazynie!

Rzeczywiście, stanowisko kierownika działu jedwabiu było poważnie zagrożone od czasu ostatniego spisu inwentarza. Nic nie pomogło tłumaczenie się dżdżystą wiosną, nie chciano mu przebaczyć, że pozostały na składzie wielkie ilości fantazyjnego jedwabiu; a. ponieważ Hutin postanowił wyzyskać ten fakt i podjudzał przeciwko niemu przełożonych ze wzmożoną a tajoną wściekłością, kierownik czuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Sam Mouret – znudzony tą zażyłością nie przynoszącą mu żadnej korzyści – wydał już na niego wyrok, chcąc zapewne pozbyć się niewygodnego świadka, który utrudniał mu zerwanie krępujących go więzów. Stosując starą taktykę zasłaniał się osobą Bourdoncle'a: właśnie Bourdoncle i inni zainteresowani żądali na każdym posiedzeniu usunięcia kierownika; on sam natomiast, jak mówił, opierał się i bronił energicznie przyjaciela narażając się nawet na poważne kłopoty.

– Zresztą można poczekać – mówiła dalej pani Desforges. – Wie pan ta dziewczyna ma być tutaj o godzinie piątej... Chcę, żeby się spotkali. Muszę poznać ich tajemnicę.

Powróciła w rozmowie do obmyślonego z góry planu, opowiedziała w gorączkowym podnieceniu, że poprosiła panią Aurelię, aby jej przystała do domu Denise w celu obejrzenia źle leżącego płaszcza. Gdy będzie już miała dziewczynę w swoim pokoju, to znajdzie jakiś pretekst, aby zawołać też i Moureta, a potem postąpi, jak będzie uważała za stosowne.

Bouthemont, siedząc naprzeciwko niej w fotelu, patrzył na nią pięknymi, śmiejącymi się oczyma, którym starał się nadać wyraz powagi. Ten wesoły kompan, o brodzie czarnej jak atrament, ten wrzaskliwy hulaka, którego twarz barwiła gorąca gaskońska krew, myślał w tej chwili o tym, że damy z towarzystwa to kobiety z gruntu przewrotne i że kiedy zdobywały się na chwilę szczerości, można było dowiedzieć się ładnych historii. Z pewnością kochanki jego przyjaciół, zwykłe sklepowe, nie pozwalały sobie na dalej idące zwierzenia.

– Co to pani szkodzi – odważył się wreszcie powiedzieć – skoro przysięgam pani, że między nimi nic a nic nie ma?

– Właśnie to jest ważne – powiedziała – bo z tego wynika, że on ją kocha!... Kpię sobie z wszystkich innych podbojów, ze wszystkich przygodnych związków, jednodniowych kaprysów!

Z pogardą mówiła o Klarze. Opowiedziano jej, że Mouret po odmownej odpowiedzi Denise wrócił znowu do tej wielkiej, rudej dziewczyny o końskiej głowie i robił to z pewnością z wyrachowania; trzymał Klarę w dziale konfekcji, aby się nią afiszować i obsypywać podarkami. Zresztą, blisko od trzech miesięcy Mouret prowadził okropny tryb życia, oddany uciechom, siał pieniądze z taką rozrzutnością, że krążyły o tym najfantastyczniejsze plotki; kupił jakoby willę dla jakiejś ladacznicy z teatru, dwie czy trzy

inne kokoty wyzyskiwały go jednocześnie, prześcigając się w kosztownych i głupich kapryсах.

– To wszystko wina tej osóбки – powtarzała Henrietta. – Czuję, że on rujnuje się na inne kobiety, ponieważ ona go odtrąca... Zresztą, co mnie obchodzą jego pieniądze! Wołałabym, żeby był biedny. Sam pan wie, jak go kocham! Jest pan przecież naszym przyjacielem.

Zatrzymała się bliska płaczu. Dławiło ją wzruszenie; naturalnym, swobodnym ruchem podała Bouthemontowi obydwie ręce. Była to rzeczywiście prawda, kochała Moureta dla jego młodości i dla jego powodzenia: nigdy żaden mężczyzna nie zaspokajał w sposób tak całkowity zarówno jej zmysłów, jak i próżności, przy tym myśl, że może go stracić, była dla niej przypomnieniem o zbliżającej się czterdziestce; z przerażeniem zadawała sobie pytanie, czym zdoła zastąpić to wielkie uczucie.

– Ach, zemszczę się – wyszeptła – zemszczę się, jeśli zachowa się niewłaściwie.

Bouthemont trzymał ją wciąż za ręce. Była jeszcze piękna. Byłaby to wprawdzie krepująca kochanka, a on takich nie lubił. Należało się jednak zastanowić, może opłaciłoby się narazić nawet na ewentualne kłopoty.

– Dlaczego pan nie założy czegoś na własną rękę? – powiedziała nagle, uwalniając dłonie.

Bouthemont zdziwił się. Potem odrzekł:

– Trzeba by na to poważnego kapitału... W zeszłym roku miałem pomysł, który mnie bardzo pociągał. Jestem przekonany, że znalazłaby się w Paryżu klientela dla jeszcze jednego lub dwu wielkich magazynów, trzeba by tylko dobrze wybrać dzielnicę. „Bon Marche” jest na lewym brzegu Sekwany, „Luwr” obsługuje centrum miasta; „Wszystko dla Pań” zagarnia dla siebie bogate dzielnice zachodnie. Pozostaje część północna, gdzie można by stworzyć konkurencję dla magazynu „Plac Clichy”. Odkryłem nawet wspaniały punkt, tuż koło Opery...

– No więc?...

Zaczął się śmiać hałaśliwie.

– Niech pani sobie wyobrazi, że byłem tak nierozsądny i naiwny, iż opowiedziałem o tym mojemu ojcu... Prosiłem go, żeby poszukał akcjonariuszy w Tuluzie.

Opisał z humorem wściekłość ojca, który nienawidzi wielkich paryskich bazarów, patrząc na nie ze stanowiska swojego małego prowincjonalnego sklepu. Stary Bouthemont, którego oburzała zarabiana przez syna suma trzydziestu tysięcy franków, odpowiedział, że raczej ofiaruje swoje pieniądze i pieniądze przyjaciół na przytułek, niżby miał się przyczynić do założenia jednego z tych wielkich magazynów, które były publicznymi domami handlu.

– Zresztą – zakończył młody człowiek – na to trzeba milionów.

– A jeśliby się one znalazły? – powiedziała po prostu pani Desforges. Popatrzył na nią i nagle spowaźniał. Czy to były słowa podyktowane jedynie zazdrością? Ale nie zdażył zapytać, gdyż odezwała się: – Chyba pan wie, jak szczerze interesuję się pana losem... Jeszcze o tym pomówimy.

W przedpokoju rozległ się dzwonek. Henrietta podniosła się, a on instynktownym ruchem odsunął swoje krzesło, tak jakby dawali już powód do podejrzeń. W salonie o wesołych obiciach, ozdobionym taką masą zielonych roślin doniczkowych, że między oknami utworzył się z nich jakby mały ogród, zapanowała cisza. Pani Desforges stała w oczekującej postawie, nasłuchując, co dzieje się za drzwiami.

– To on – powiedziała szeptem.

Służący zaanonsował:

– Pan Mouret, pan de Vallagnosc.

Nie mogła powstrzymać gestu gniewu. Dlaczego nie przychodził sam? Musiał widocznie wstąpić po przyjaciela, w obawie, aby nie zostać z nią sam na sam. Zaraz jednak uśmiechnęła się uprzejmie i wyciągnęła do obu panów rękę na powitanie:

– Stajecie się panowie rzadkimi gośćmi u mnie!...

Jej wielkim zmartwieniem była skłonność do tycia. Aby ukryć zbyt dużą tuszę, ubierała się w obcisłe toalety z czarnego jedwabiu. Mimo wszystko, jej ładna głowa, okolona ciemnymi włosami, zachowała miłą dla oka subtelność. Toteż Mouret odezwał się poufale, obejmując ją wzrokiem:

– Uważam za zbyt cenne pytać panią o zdrowie... Jest pani tak świeża jak róża.

– Ach, czuję się aż zbyt dobrze – odpowiedziała. – Mogłabym zresztą umrzeć, a pan by o tym nie wiedział. – Przypatrywała mu się również i zauważyła, że jest zdenerwowany i zmęczony, że ma podkrążone oczy i szarą twarz. – Nie mogę, niestety, odwzajemnić się panu takim samym komplementem – podjęła tonem, któremu starała się nadać żartobliwe brzmienie – bo nie wygląda pan dzisiaj dobrze.

– Praca! – powiedział Vallagnosc.

Mouret zrobił niewyraźny gest i nie odpowiedział. Zauważył Bouthemonta i kiwnął mu przyjacielsko głową. W okresie ich zażyłości zdarzało się, że zabierał przyjaciela po południu z magazynu i przyprowadzał do salonu Henrietty nawet w tygodniach najbardziej nasilonej pracy. Lecz te czasy już minęły i teraz powiedział do niego półgłosem:

– Wyszedłeś bardzo wcześnie... Zauważyli twoje zniknięcie i są na ciebie wściekli.

Mówił o Bourdoncle'u i innych udziałowcach, tak jakby nie był w magazynie jedynym władcą.

– Ach! – szepnął zaniepokojony Bouthemont.

– Mam z tobą do pogadania... Poczekał na mnie... Wyjdziemy razem.

Henrietta usiadła z powrotem. Słuchając słów pana de Vallagnosc oznajmającego, że pani de Boves ma zamiar również zjawić się dziś wieczorem, nie spuszczała wzroku z Moureta. Oktaw jednak w milczeniu przypatrywał się meblom i błędził wzrokiem po suficie. A gdy pani domu zaczęła skarżyć się żartobliwie, że ma tylko samych mężczyzn na swojej sobotniej herbatce, zapomniał się do tego stopnia, iż wymknęła mu się uwaga:

– Myślałem, że zastanę tutaj barona Hartmanna.

Henrietta przybladła. Nie łudziła się, że przychodzi do niej tylko po to, aby spotkać się z baronem, ale mógłby nie rzucać jej tak otwarcie w twarz swojej obojętności. W tym momencie otworzyły się drzwi i służący stanął za jej krzesłem. Gdy ruchem głowy zapytała go, o co chodzi, pochylił się i powiedział bardzo cicho:

– To w sprawie płaszcza. Pani poleciła, aby ją uprzedzić... Ta panienska już przyszła.

Wówczas pani Desfortes podniosła głos tak, aby ją wszyscy słyszeli. Cała udreka zazdrości wyładowała się w słowach wypowiedzianych z pogardliwą oschłością:

– Niech czeka.

– Czy wprowadzić ją do garderoby pani?

– Nie, niech czeka w przedpokoju!

Gdy służący wyszedł, nawiązała spokojnie przerwana rozmowę z panem de Vallagnosc. Znużony Mouret słuchał z roztargnieniem, nie rozumiejąc, o co chodzi. Bouthemont, którego cała historia bardzo interesowała, pograżył się w myślach. Wkrótce jednak drzwi otworzyły się ponownie i wprowadzono dwie panie.

– Wyobraź sobie – powiedziała pani Marty – wysiadłam właśnie z powozu, gdy zobaczyłam nadchodzącą panią de Boves.

– Tak – odpowiedziała hrabina – taka piękna pogoda, a mój lekarz zalecił mi, żebym więcej chodziła... – W chwilę zaś później, po ogólnej wymianie powitalnych uścisków, zwróciła się do Henrietty z zapytaniem:

– Czy pani ma zamiar przyjąć nową pokojówkę?

– Nie – odpowiedziała zdziwiona pani domu. – Dlaczego?

– Bo widziałam przed chwilą w przedpokoju jakąś dziewczynę... Henrietta przerwała śmiejąc się:

– Te panny sklepowe mają wszystkie wygląd pokojówek... To jest panna z magazynu, która przyszła w sprawie poprawki płaszcza.

Mouret spojrział na nią uważnie, tknięty podejrzeniem. Ale ona mówiła dalej z wymuszoną

wesołością, opowiadając, że właśnie tydzień temu kupiła gotowy płaszcz w magazynie „Wszystko dla Pań”.

– Jak to? – zawołała pani Marty.– Nie ubierasz się już u pani Sauveur?

– Ależ tak, moja droga, chciałam tylko raz wypróbować. Byłam dosyć zadowolona z nabytego poprzednio płaszcza podróżnego... Tym razem jednak sprawunek zupełnie się nie udał... Mimo wszystko artykuły konfekcyjne wielkich magazynów mają zły krój. Muszę to stwierdzić otwarcie wobec pana Mouret, Nigdy nie zdołacie dogodzić kobiecie mającej nieco większe wymagania.

Mouret nie bronił wcale swojej firmy i patrzył wciąż na Henriettę wmawiając w siebie, że nie ośmieliłaby się chyba na prowokację. Tym razem Bouthemont musiał wziąć na siebie rolę obrońcy magazynu „Wszystko dla Pań”.

– Gdyby wszystkie panie z towarzystwa, które ubierają się u nas tym się chwaliły – powiedział śmiejąc się – zdziwiłaby się pani rodzajem naszej klienteli... Jeżeli pani u nas zamówi płaszcz na miarę, to będzie leżał tak samo dobrze, jak zrobiony przez panią Sauveur, a zapłaci pani za niego tylko połowę. Ponieważ jednak będzie grubo tańszy; wyda się paniom gorszy.

– Więc ten płaszcz niedobrze leży? – zapytała pani de Boves.

Przypominam sobie teraz tę pannę... Trochę jest ciemno w przedpokoju.

– Tak. tak – dodała pani Marty – właśnie się zastanawiałam, gdzie ją widziałam... Idź więc, moja droga, nie krępuj się...

Henrietta zrobiła gest wyrażający pogardliwą beztroskę.

– Pójdę za chwilę. To nic pilnego.

Panie prowadziły dalej rozmowę na temat artykułów konfekcyjnych w wielkich magazynach. Później pani de Boves wspomniała, że jej mąż pojechał na inspekcję do stacji ogierów w Saint-Ló; a Henrietta mówiła właśnie, że pani Guibal została wezwana do chorej ciotki gdzieś w Franche-Comte. Nie liczyła też dzisiaj na panią Bourdelais, która przy końcu każdego miesiąca siedziała wraz z wynajętą na dniówki szwaczką, pracując nad reperacją bielizny swoich dzieci. Pani Marty zdradzała wyraźnie zdenerwowanie: sytuacja jej męża w Liceum im. Bonapartego była zagrożona na skutek lekcji, których udzielał w podejrzanych zakładach naukowych, gdzie zorganizowano formalny handel świadectwami maturalnymi; biedny człowiek zarabiał, jak się dało, i czynił to gorączkowo, aby tylko sprostać szalonym wydatkom, które rujnowały jego dom. Pani Marty zastała go kiedyś wieczorem płaczącego z obawy przed wydaleniem i wpadła na pomysł, aby poprosić panią Desforges o wstawiennictwo u dyrektora wydziału w Ministerstwie Oświaty, którego tamta dobrze знаła.

Henrietta uspokoiła ją teraz jednym słowem. Profesor miał zresztą zjawić się osobiście, aby dowiedzieć się o wyniku interwencji i podziękować.

– Pan musi być niezdrów, panie Oktawie – zauważyła pani de Boves.

– Praca! – powtórzył Vallagnosc z ironiczną flegmą. Mouret podniósł się żywo jak człowiek, który spostrzegł niestosowność swojego zachowania. Zajął zwykle miejsce między paniami i odzyskał pełną wdzięku swobodę. Zajmowały go nowości zimowe, opowiadał o mającym nadejść lada dzień wielkim transporcie koronek. Pani de Boves wypytywała go o cenę koronek *alençon* – być może, że zechce nabyć pewną ilość. Była obecnie zmuszona oszczędzać nawet na dorożce, która kosztowała półtora franka, i wracała do domu zupełnie chora od przypatrywania się po drodze wystawom. Odziana w stary, dwa sezony już noszony płaszcz, wkładała w marzeniach na królewskie ramiona wszystkie te drogie materiały, jakie oglądała przez szybę, a potem miała wrażenie, że zdarto je z niej brutalnie, gdy budziła się w swojej odświeżonej sukni, bez żadnej nadziei zaspokojenia gorących pragnień.

– Pan baron Hartmann – zaanonsował służący.

Henrietta zauważyła, z jaką radością Mouret powitał wchodzącego. Baron ukłonił się damom i obrzucił młodego człowieka chytrym spojrzeniem, które od czasu do czasu rozbłyskiwało na jego tępej alzackiej twarzy.

– Ciągłe zajęty damskimi łaszkami! – powiedział cicho i z uśmiechem.

Potem, jako stary przyjaciel domu, pozwolił sobie dodać: – W przedpokoju widziałem jakąś czarującą młodą dziewczynę... Kto to jest?

– Och, nic ciekawego... – odpowiedziała pani Desforges złym głosem. – To panna z magazynu, która czeka na mnie.

Drzwi do przedpokoju były uchylone, ponieważ służący podawał herbatę. Wychodził znowu i wracał, stawiał na stolyczku chińską porcelanę, potem talerze z kanapkami i herbatnikami. W wielkim salonie ostre światło dnia, przesłonięte zielenią roślin, zapalało błyski na mosiężnych okuciach, kąpało w delikatnym blasku jedwabne obicia mebli; za każdym razem, gdy otwierano drzwi, można było dostrzec ciemne wnętrza przedpokoju, do którego skąpe światło dochodziło jedynie przez matowe szyby. W mroku rysowała się jakaś nieruchoma i cierpliwie czekająca postać. Denise czekała stojąc; była co prawda w przedpokoju kryta skórą ławeczka, lecz duma nie pozwoliła dziewczynie usiąść. Czuli, że chcą ją w tym domu upokorzyć. Stała tak już od półgodziny, bez jednego ruchu, bez słowa. Wchodzące panie i baron przyglądali się jej w przejściu. Głosy z salonu dochodziły do niej jak lekki powiew, całe to wytworne towarzystwo znieważało ją swoją obojętnością. Stała wciąż bez ruchu. Nagle przez uchylone drzwi spostrzegła Moureta. On zaś w tym momencie

domyślił się obecności Denise.

– Czy to jedna z pana ekspedientek? – zapytał baron Hartmann.

Mouret z wielkim wysiłkiem ukrył wzburzenie. Głos jego drżał jednak ze wzruszenia, gdy odpowiedział:

– Zapewne, tylko nie wiem która.

– To ta mała blondynka z działu konfekcji – pospieszyła z objaśnieniem pani Marty – zastępczyni kierowniczką, zdaje się. Henrietta patrzyła teraz uważnie na Moureta.

– Ach! – powiedział tylko.

Spróbował skierować rozmowę na uroczystości, które rozpoczęły się w mieście wczorajszego dnia z okazji pobytu w Paryżu króla pruskiego. Baron zaczął jednak złośliwie mówić znowu o pannach z wielkich magazynów. Udawał, że chce się poinformować i wypytywał: z jakiego środowiska pochodziły na ogół? Czy prawdą było to, co mówiono, że obyczajnie ich pozostawiają wiele do życzenia? Wywiązała się dyskusja.

– Czy rzeczywiście pan wierzy, że są cnotliwe? – pytał.

Mouret bronił cnoty swoich ekspedientek z takim przekonaniem, że wywołał uśmiech na twarzy Pawła de Vallagnosc. Wówczas Bouthemont wmieszał się do rozmowy, aby wybawić z kłopotu przełożonego. Mój

Boże! Oczywiście, zdarzają się rozmaite, są i takie, które źle się prowadzą, ale są też uczciwe dziewczęta. Poziom ich moralności podnosi się teraz stale. Dawniej miało się do czynienia wyłącznie z dziewczętami pochodzącymi z zubożałego środowiska kupieckiego, biednymi i nieokreślonego zawodu: obecnie rodziny, na przykład z ulicy de Sevres, wychowywały swoje córki, przeznaczając je z góry na ekspedientki do magazynu „Bon Marche”. W zasadzie nic im nie przeszkadzało prowadzić się dobrze, jeśli tego chciały. Nie musiały, tak jak robotnice paryskie, troszczyć się o wyżywienie i nocleg, mimo ciężkich warunków życia wikt i mieszkanie miały jednak zapewnione. Najgorsza była ich nieokreślona pozycja społeczna: coś pośredniego między właścicielką sklepiku a damą z towarzystwa. Przywykłe do przebywania w zbyt kłopotliwym otoczeniu, często nie posiadając podstawowego wykształcenia, tworzyły osobną klasę, która nie miała nazwy. Stąd pochodziły ich niedole i przywary.

– Nie widziałam nigdy istot mniej sympatycznych... – powiedziała pani de Boves. – Miałoby się czasem ochotę je spoliczkować.

Panie wyładowywały swoją urazę: przy kontuarach pozerano się nawzajem, kobieta zjadała tam kobietę. Była to żywiołowa nienawiść, zazdrość ekspedientek wobec klientek dobrze ubranych, wobec dam z towarzystwa, których maniery starały się naśladować. Jeszcze

bardziej zazdrościły ubogo ubrane, drobnomieszczańskie klientki ekspedientkom odzianym w jedwab, od których żądały nadmiernej usłużności przy najmniejszych zakupach.

– Niech pan ich nie broni – zakończyła rozmowę Henrietta. – Wszystkie te nieszczęsne dziewczęta można kupić podobnie jak towary, które sprzedają!

Mouret zdobył się na tyle siły, żeby się uśmiechnąć. Baron przypatrywał mu się podziwiając jego opanowanie. Zmienił też temat rozmowy powracając do uroczystości z okazji pobytu króla pruskiego: miało to być coś wspaniałego, cały paryski handel powinien na tym grubo zarobić. Henrietta milczała, jakby zamyślona, w rzeczywistości zastanawiała się, czy ma trzymać jeszcze Denise w przedpokoju, obawiała się bowiem, żeby Mouret, wiedząc już teraz, o co chodzi, nie odszedł. Zdecydowała się i podniosła z fotela.

– Czy panie pozwolą?

– Ależ naturalnie, moja droga! – powiedziała pani Marty. – Będę w twoim zastępstwie robiła honory domu.

Podniosła się, wzięła czajnik i napełniła filiżanki. Henrietta zaś zwróciła się do barona Hartmanna:

– Nie wątpię, że pan jeszcze zostanie kilka minut?

– Tak, muszę porozmawiać z panem Mouret. Zaanektujemy pani mały salonik.

Wówczas Henrietta wyszła. Jej czarna jedwabna suknia ocierając się o drzwi zaszeleściła jak żmija pełzająca wśród zarośli.

Baron zaczął tak manewrować, aby wyprowadzić Moureta i zostawić panie jedynie w towarzystwie Bouthemonta i Vallagnosca. Panowie rozpoczęli rozmowę stojąc w obramowaniu okna sąsiedniego salonu i zniżając głos. Chodziło o nową ważną sprawę. Mouret marzył od dawna o zrealizowaniu swego dawnego projektu, o zajęciu przez magazyn „Wszystko dla Pań” całego bloku domów od ulicy Monsigny do ulicy Michodièroraż od ulicy Neuve-Saint-Augustin aż do ulicy Dziesiątego Grudnia, W tym skupisku domów pozostawał jeszcze od strony ulicy Dziesiątego Grudnia obszerny, przytykający do chodnika teren, który nie należał do magazynu, i to psuło Mouretowi cały triumf. Dręczyło go pragnienie, aby ukoronować swoje zwycięstwo i wznieść w tym miejscu, niby apoteozę, monumentalną fasadę. Dopóki główne wejście do magazynu znajdowało się od strony ulicy Neuve-Saint-Augustin, ciemnej i starej ulicy dawnego Paryża, dopóty dzieło jego wydawało mu się niepełne i pozbawione logiki. Chciał pokazać swój magazyn publiczności nowego Paryża, otworzyć go na szeroką nowoczesną aleję, po której w pełnym słońcu przechadza się tłum typowy dla schyłku dziewiętnastego wieku. Widział już w marzeniach, jak jego magazyn, niby pałac handlu dominujący nad całym Paryżem, rzuca na miasto cień większy

niż cień starego Luwru. Dotąd jednak napotykał ciągły sprzeciw Banku Hipotecznego, który upierał się przy swoim pierwotnym projekcie zbudowania na owej parceli gmachu hotelowego jako konkurencji Grand Hotelu. Plany były już gotowe, czekano tylko na uprzątnięcie gruzów z ulicy Dziesiątego Grudnia, aby przystąpić do zakładania fundamentów. Wreszcie dzisiaj udało się Mouretowi z wielkim wysiłkiem prawie że przekonać barona Hartmanna.

– Wczoraj – zaczął prezes banku – mieliśmy posiedzenie. Przyszedłem tutaj spodziewając się, że pana zastanę i będę pana mógł poinformować... ciągle jeszcze opierają się. Młody człowiek zrobił nerwowy ruch.

– To nie jest rozsądne postępowanie... Cóż oni mówią?

Mój Boże! Mówią to samo, co ja panu powiedziałem i co jeszcze dzisiaj podtrzymuję... Pańska fasada byłaby w gruncie rzeczy tylko ornamentem, nowe konstrukcje zwiększą zaledwie o dziesiątą część dotychczasową powierzchnię magazynu, a ogromne pieniądze wydane na ten cel posłużą tylko jako zwyczajna reklama.

Nagle Mouret wybuchnął:

– Reklama! Reklama!... Jeśli nawet tak jest, to będzie ona z kamienia i przetrwa nas wszystkich. Niechże pan zechce zrozumieć, że tu chodzi o dziesięciokrotne powiększenie naszych obrotów! Po upływie dwu lat zwrócą nam się wszystkie pieniądze. Co to wam szkodzi, jeśli to, co nazywacie straconym terenem, przyniesie ogromny procent?... Zobaczycie, jakie będą tłumy, gdy publiczność nie będzie się już gniotła na ulicy Neuve-Saint-Augustin i będzie mogła swobodnie napływać przez szeroką arterię, gdzie sześć powozów zmieści się w jednym szeregu.

– Niewątpliwie – odpowiedział baron śmiejąc się. – Ale pan jest swojego rodzaju marzycielem, powtarzam to raz jeszcze. Ci panowie uważają, że byłoby niebezpiecznie dopuścić do zwiększenia jeszcze pańskich obrotów. Oni chcą być przezorni za pana.

– Jak to przezorni? Nic nie rozumiem... Czyż liczby nie świadczą dostatecznie jasno o stałym rozwoju naszego handlu? Początkowo z kapitałem wartości pół miliona franków robiłem dwumilionowe obroty. Tym kapitałem obróciłem cztery razy. Potem kapitał wzrósł do czterech milionów, był w ruchu dziesięć razy i dał czterdzieści milionów obrotu. Wreszcie, po wielu kolejnych operacjach, stwierdziłem podczas ostatniego spisu inwentarza, że suma obrotów wzrosła do osiemdziesięciu milionów; kapitał, który zwiększył się niewiele, bo wynosi tylko sześć milionów, przeszło dwanaście razy został umieszczony w towarze.

Podnosił głos uderzając palcami prawej ręki w dłoń lewej, wybijając miliony tak, jakby tłukł orzechy. Baron przerwał mu:

– Wiem o tym, wiem. Ale nie ma pan chyba zamiaru zwiększać obrotu w nieskończoność?

– Dlaczegoż nie? – powiedział naiwnie Mouret. – Nie ma żadnego powodu, abym nie miał tego robić. Kapitałem można obrócić piętnaście razy w roku, powtarzam to od dawna. W niektórych działach można nim obrócić do dwudziestu pięciu lub trzydziestu razy... A co potem? Potem znajdziemy zawsze jakiś wybieg, żeby tę liczbę jeszcze zwiększyć.

– Skończy się na tym, że wypompuje pan wszystkie pieniądze z całego Paryża, podobnie jak się wypija szklankę wody, co?

– Na pewno! Czyż Paryż nie należy do kobiet, a kobiety do nas?

Baron położył mu obie ręce na ramionach i popatrzył na niego ojcowskim wzrokiem.

– Pan jest miłym chłopcem, lubię pana... Nie można się panu oprzeć. Musimy poważnie wziąć się do tej sprawy i mam nadzieję, że uda mi się przemówić im do rozumu. Jak dotąd – możemy tylko być zadowoleni. Osiągnięte dywidendy wywołały zdumienie na giełdzie... Pan ma jednak rację, lepiej będzie włożyć jeszcze pieniądze w pański interes, niż ryzykować budowę hotelu, wydaje mi się to bowiem przedsięwzięciem hazardowym.

Mouret uspokoił się nieco, podziękował baronowi, lecz uczynił to bez zwykłego w takich wypadkach entuzjazmu. Hartmann zauważył, że oczy jego rozmówcy zwracają się w kierunku drzwi sąsiedniego pokoju i wyrażają głuchy niepokój, który młody człowiek stara się ukryć. Tymczasem Vallagnosc spostrzegł, że panowie nie rozmawiają już o interesach, i podszedł do nich. Stał obok i słuchał barona, który mówił półgłosem, światowym tonem starego hulaki:

– Myślę, że już się zaczęły mścić.

– Ale kto? – spytał zakłopotany Mouret.

– Kobiety... Sprzykrzyło im się, że należały do pana. i biorą teraz pana w posiadanie: słuszna kolej rzeczy.

Mówił to tonem żartu, ale był doskonale poinformowany o głośnych miłostkach młodego człowieka. Wiedział o apartamencie kupionym dla jakiejś ladacznicy i o ogromnych sumach prze hulanych z dziewczętami w gabinetach restauracyjnych. Wszystko to cieszyło barona usprawiedliwiając niejako szaleństwa, które sam kiedyś popełniał. Stary doświadczony hulaka słuchał z satysfakcją opowiadania o tych przygodach.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi – powtarzał Mouret.

– Ależ rozumie pan doskonale. Do kobiet będzie należało ostatnie słowo. Właśnie tak zawsze myślałem; „On się przechwala, ale to niemożliwe, żeby był taki silny”. No i stało się. I na co zda się to wyciąganie wszystkiego z kobiety, ta cała eksploatacja jej jak kopalni węgla, skoro potem ona z kolei wykorzysta pana i zrujnuje?... Niech pan się strzeże, bo ona

wytoczy z pana więcej krwi i pieniędzy, niż pan z niej wycisnął.

Śmiał się jeszcze głośniejsz, a stojący obok Vallagnosc wtórował mu szyderczo, bez słowa.

– Mój Boże! Trzeba w życiu wszystkiego spróbować – wyznał w końcu Mouret udając, że śmieje się również. – Pieniądz byłby bardzo głupim wynalazkiem, jeśliby go nie można było wydawać.

– Zgadzam się z panem – powiedział znowu baron. – Niech się pan bawi, drogi panie. Nie będę panu prawil moralów ani też trząsł się ze strachu o wielkie sumy, jakie powierzyliśmy pana opiece. Młodość musi się wyszumieć. potem ma się jaśniejszy umysł... A poza tym przyjemnie się rujnować, gdy się jest człowiekiem zdolnym do odbudowania majątku. Pieniądze to głupstwo, gorzej jest jednak, jeżeli się cierpi.

Roześmiał się. W jego śmiechu brzmiała nuta ironicznej melancholii człowieka, który sam przeżył kiedyś podobne udręki. Obserwował pojedynek Henrietty z Mouretem jak ciekawy widz, którego pasjonują jeszcze walki sercowe staczane przez innych. Czuł nadchodzące teraz przesilenie, odgadywał dramat; nie była mu obca historia Denise, którą widział w przedpokoju.

– Ach! Cierpienie nie wchodzi w zakres mojej specjalności – powiedział Mouret tonem przechwałki. – Myślę, że pieniądze wystarczą.

Baron przypatrywał mu się przez chwilę w milczeniu. Nie chcąc nalegać powiedział powoli:

– Niech pan nie udaje gorszego, niż pan jest w istocie... Straci pan coś więcej niż pieniądze. Tak. tak. przypłaci to pan własną skórą, drogi przyjacielu. – Przerwał znowu, aby zapytać żartobliwie:– Czy nie mam racji, panie Vallagnosc? Czy nie tak bywa?

– Tak mówią, panie baronie – krótko odparł zapytany.

W tej chwili otworzyły się drzwi sąsiedniego pokoju. Mouret, który miał zamiar odpowiedzieć, wzdrygnął się lekko. Trzej panowie odwrócili się. Pani Desforges wysuwając głowę zawołała tonem wesołym i nagłym:

– Panie Mouret! Panie Mouret! – Gdy zauważyła stojących panów, dodała: – Pozwolą panowie, że zabiorę na chwilę pana Mouret. Niech trochę pocierpi za to, że sprzedał mi ohydny płaszcz, i niech mi coś na to poradzi. Ta dziewczyna jest taka głupia, że nie ma o niczym pojęcia... Czekam więc na pana.

Mouret wahał się: świadomy porażki, cofał się instynktownie przed sceną, którą przewidywał. Musiał jednak usłuchać. Baron zwrócił się do niego ojcowskim i jednocześnie nieco kpiącym tonem:

– No, no, niech pan idzie, drogi panie. Pani Henrietta potrzebuje pańskiej rady.

Mouret udał się więc za panią domu. Drzwi zamknęły się za nim i wydawało mu się, że słyszy szyderczy śmiech Pawła Vallagnosc, stłumiony przez obicia ścian. Był zresztą u kresu sił. Odkąd Henrietta opuściła salon i odkąd wiedział, że Denise jest w głębi mieszkania, wydana na pastwę zazdrosnej kobiety, odczuwał wzrastający niepokój, nerwową udrękę, która zmuszała go do ciągłego nadśluchiwanie, czy nie dobiegnie do niego daleki odgłos płaczu. Co mogła wymyślić ta kobieta, aby męczyć Denise? I cała jego miłość, uczucie, któremu sam się jeszcze ciągle dziwił, wyrwała się ku tej dziewczynie, by dodać jej otuchy i pociechy. Nigdy jeszcze nie kochał tak żadnej kobiety, nigdy cierpienie nie miało dla niego tak przemożnego uroku. Wszystkie jego miłości, miłości wciąż zajętego interesami człowieka, nawet stosunek z Henrietta, kobietą wykwinną i ładną, której przywiązanie schlebiali męskiej próżności, były tylko rozrywką i płynęły nieraz z wyrachowania, gdy starał się połączyć przyjemne z pożytecznym. Wychodził spokojny od swoich kochanek i wracał do domu, aby usnąć, zadowolony ze swej kawalerskiej swobody, bez cienia żalu czy troski. Tym razem jednak serce tłukło się w nim boleśnie, czuł, że życie jego już nie do niego należy, a sen nie przynosił mu już zapomnienia, gdy spoczywał samotny w swym wielkim łóżu. Denise absorbowała wszystkie jego myśli. Nawet w tej chwili, gdy szedł za Henrietta i obawiał się przykrej sceny, tylko tamta istniała dla niego i myślał, że właściwie woli być przy niej. aby ją obronić.

Minęli sypialnię cichą i pustą. Pani Desforges popchnęła drzwi i weszła do garderoby, a za nią Mouret. Był to dość obszerny, obity czerwonym jedwabiem pokój, którego umeblowanie składało się z wykładanej marmurem toalety i trzydrzwiowej szafy z ogromnymi lustrami. Okno tego pokoju wychodziło na podwórze i o tej porze panował w nim już zmrok; zapalono dwie gazowe lampy, których niklowane ramiona umocowane były po obu stronach szafy.

– Zobaczmy – powiedziała Henrietta – może teraz pójdzie lepiej.

Mouret wchodząc zastał Denise wyprostowaną, w pełnym świetle. Była bardzo blada, ubrana skromnie w kaszmirowy żakiet i czarny kapelusz; przez rękę miała przewieszony płaszcz, który pani Desforges kupiła w magazynie „Wszystko dla Pań”. Gdy zobaczyła pryncypała, ręce jej lekko zadrżały.

– Chcę, aby pan Mouret osądził – mówiła dalej Henrietta – niech mi pani poda płaszcz.

Denise zbliżyła się i pomogła klientce włożyć okrycie. Przy pierwszym mierzeniu zaznaczyła szpilkami, ramiona, które rzeczywiście nie leżały dobrze. Henrietta odwracała się i przypatrywała swojemu odbiciu w lustrze. – Niech pan powie szczerze, jak on leży.

Ma pani rację, ten płaszcz jest nieudany – powiedział Mouret. aby przeciąć z punktu kwestię. – To zupełnie proste, panna Baudu weźmie pani miarę i uszyjemy inny.

– Nie, nie, ja chcę ten sam. potrzebuję go natychmiast – zawołała żywo. – Trzeba tylko zrobić pewne poprawki: jest za ciasny w gorsie, a na plecach, między łopatkami, robi się worek. – Po czym dodała suchym tonem: – Patrząc na mnie nie poprawi pani błędu!... Niech pani znajdzie jakiś sposób. To pani rzecz.

Denise bez jednego słowa zaczęła znów wpinać szpilki. Trwało to długo: poprawiła jedno ramię, potem drugie; musiała nawet schylić się na chwilę, prawie że uklęknąć, aby pociągnąć przód płaszcza. Pani Desforges poddając się tym zabiegom patrzyła na nią z góry, z zaciętym wyrazem twarzy wymagającej chlebobawczyni. Zadowolona, że ma okazję poniżyć dziewczynę do roli panny służącej, rzucała jej krótkie rozkazy śledząc przy tym każde drgnienie na twarzy Moureta.

– Niech pani wepnie tu szpilkę. Ach, nie! Nie tam, tutaj, koło rękawa. Czy pani nie rozumie?... Nie tak. znowu robi się worek... Proszę uważać, pani mnie kłuje!

Mouret dwukrotnie jeszcze usiłował przerwać tę przykrą scenę, lecz nadaremnie. Serce tłukło mu się w piersi, gdy patrzył na takie poniżenie przedmiotu swej miłości; kochał teraz Denise jeszcze bardziej, wzruszony i pełen tkliwości wobec milczenia, jakie umiała zachować. Tylko ręce jej drżały lekko, gdy musiała znosić upokorzenia w obecności tego mężczyzny, ale przyjmowała przykrości związane z jej zawodem z pełną dumy rezygnacją dzielnej dziewczyny. Gdy pani Desforges zrozumiała, że żadne z nich nie zdradzi swych uczuć, wymyśliła inny sposób: zaczęła uśmiechać się do Moureta traktując go otwarcie jak kochanka. Właśnie nadarzyła się okazja: zabrakło szpilek.

– Mój drogi, proszę popatrzeć w pudełku z kości słoniowej, które stoi na toalecie... Co? Jest puste?... To może na kominku w sypialni, wie pan, w samym kącie, pod lustrem.

Kazała mu szukać, jakby był u siebie, dawała dziewczynie do zrozumienia, że nieraz spędzał tu noce i wie, gdzie jest miejsce na grzebienie i szczotki. Gdy przyniósł jej garść szpilek, brała je po jednej zmuszając go, aby stał przy niej i spoglądając mu w oczy mówiła przyciszonym głosem:

– Chyba nie jestem garbata... Niech pan położy mi rękę na plecach; czy ja naprawdę mam taką figurę?

Denise jeszcze bledsza, uniosła powoli oczy i znów zaczęła wpinać szpilki w milczeniu. Mouret widział tylko ciężki węzeł jej jasnych włosów. zwinięty na delikatnym karku; po drzeniu tych włosów domyślał się wyrazu przykrości i wstydu na jej twarzy. Z pewnością odtrąci go teraz, odeśle go do tej kobiety, która nie ukrywała nawet ich związku wobec obcych ludzi. Miał brutalną chęć uderzyć Henriettę. Jak zmusić ją do milczenia? Jak powiedzieć Denise, że ją uwielbia, że ona jedna tylko istnieje dla niego, że poświęcił dla niej

wszystkie dawne jednodniowe miłości? Nawet dziewczyna uliczna nie zachowywałaby się z tak dwuznaczną poufałością jak ta dama z towarzystwa. Usunął wyciągniętą rękę i powtórzył:

– Nie ma pani racji upierając się, ponieważ ja sam widzę, że ten płaszcz jest wadliwie skrojony.

Jedna z gazowych lamp syczała; w dusznym i wilgotnym powietrzu pokoju słychać było tylko ten syk płomienia. Lustra wprawione w drzwi szafy rzucały wielkie plamy ostrego światła na czerwone jedwabne obicia ścian, na których tańczyły cienie obu kobiet. Flakon werbeny, który zapomniano zamknąć, wydzieliał mdły, niewyraźny zapach wędnących kwiatów.

– Proszę pani, oto wszystko, co mogę zrobić – powiedziała wreszcie Denise podnosząc się.

Czuła się u kresu sił. Oczy zaszyły jej mgłą. Dwa razy ukuła się głęboko w rękę jak ślepa. Czy on należał do spisku? Czy sprowadził ją tu; aby zemścić się za odmowę, aby pokazać jej, że inne kobiety go kochają? Ta myśl ścinała lodem jej serce, nie pamiętała, aby kiedykolwiek potrzeba jej było więcej wytrzymałości, nawet w najgorszych chwilach życia, gdy brakowało chleba. Ponizenie, jakiego doznała, było jeszcze niczym w porównaniu z tym, że widziała Moureta niemal w ramionach tej kobiety, tak jakby jej nie było w pokoju.

Henrietta przejrzała się w lustrze i wybuchnęła znowu potokiem ostrych słów:

– To są kpiny! Płaszcz leży jeszcze gorzej niż przedtem... Proszę popatrzeć, jak mnie ściska w gorsie. Wyglądam jak mamka.

Wówczas wyprowadzona z równowagi Denise wybuchła:

– Pani jest dosyć tęga... Na to nic już nie można poradzić.

Teraz Henrietta z kolei zbladła.

– Tęga, tęga! – powtórzyła. – Ależ to impertynencja! Niech pani schowa swoje uwagi dla innych!

Stały teraz obydwie naprzeciwko siebie, drżące, patrząc sobie prosto w twarz. Nie było już teraz damy z towarzystwa ani panny sklepowej. Były tylko dwie kobiety, które zrównała rywalizacja. Jedna z nich zdarła gwałtownym ruchem płaszcz z ramion i rzuciła go na krzesło; druga sypnęła na marmur toalety szpilki, które pozostały jej w ręku.

– Dziwi mnie tylko – zaczęła znowu Henrietta – że pan Mouret toleruje podobną niegrzeczność... Myślałam, że jest pan bardziej wymagający w stosunku do swojego personelu.

Denise odzyskała odwagę i spokój. Odpowiedziała łagodnie:

– Jeśli pan Mouret zatrudnia mnie w swoim magazynie, to znaczy, że nie ma mi nic do zarzucenia... Jestem gotowa panią przeprosić, jeśli dyrektor tego zażąda.

Mouret słuchał, przerażony sceną, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, aby ją zakończyć. Nienawidził tych nieporozumień między kobietami, których gwałtowność raziła go. Henrietta chciała za wszelką cenę wydobyć od niego słowa potępienia dla dziewczyny, a ponieważ stał milczący i niezdecydowany, podcięła jego ambicję biczem jeszcze jednej zniewagi.

– Pan widocznie uważa za stosowne, abym w moim własnym domu znosiła zniewagi pańskich kochanek!... Dziewczyna znaleziona gdzieś w rynsztoku!...

Dwie wielkie łzy zakręciły się w oczach Denise. Wstrzymywała je bohatersko od dawna, ale wobec takiej obelgi zabrakło jej już sił. Gdy Mouret zobaczył, że zamiast odpłacić Henriecie pięknym za nadobne jedyną reakcją dziewczyny są łzy i niema, lecz pełna godności rozpacz, przestał się już wahać: serce rwało mu się do niej w przypływie bezmiernej czułości. Wziął ją za rękę mówiąc:

– Odejdź stąd prędko, moje dziecko, i zapomnij o tym domu. Zdumiona Henrietta, dusząc się z wściekłości, patrzyła na nich.

– Niech pani jeszcze poczeka – mówił dalej, sam składając płaszcz – i zabierze to okrycie. Pani Destbrges kupi sobie inne gdzie indziej... I bardzo proszę już więcej nie płakać, wie pani dobrze, ile mam dla Pani szacunku.

Odprowadził ją do drzwi, które potem za nią zamknął. Denise nie wymówiła ani jednego słowa, tylko bładny rumieniec wypłynął na jej policzki, a w oczach ukazały się znowu łzy, ale tym razem były to łzy radości.

Henrietta, dusząc się, wyciągnęła chusteczkę i przycisnęła ją do ust. Cały plan obrócił się przeciw niej, sama wpadła w zastawioną przez siebie pułapkę. Robiła sobie wymówki, że powodowana zazdrością przeciągnęła strunę. Być porzuconą dla podobnej kreatury! Widzieć się upokorzoną w jej obecności! Urażona duma cierpiała bardziej niż miłość.

– Więc to tę dziewczynę pan kocha?– wymówiła z trudem, gdy zostali sami.

Mouret nie odpowiedział od razu. Przemierzał pokój od drzwi do okna pragnąc opanować gwałtowne wzburzenie. Wreszcie zatrzymał się i bardzo grzecznie, głosem, któremu starał się nadać chłodne brzmienie, powiedział z prostotą:

– Tak, proszę pani.

Lampa gazowa syczała ciągle w dusznym powietrzu garderoby. Tańczące cienie nie przecinały już lustrzanych refleksów na obiciach ścian, pokój wydawał się pusty, pogrążony w ciężkim smutku. Henrietta osunęła się na krzesło skręcając chusteczkę w rozgorączkowanych palcach powtarzając wśród łkań:

– Mój Boże! Jaka ja jestem nieszczęśliwa!

Patrzył na nią przez chwilę, stojąc nieruchomo. Później spokojnie odwrócił się i wyszedł. Henrietta płakała w otaczającej ją ciszy, wśród szpilek rozsianych na podłodze i na toalecie. Kiedy Mouret znalazł się w małym salonie, zastał tam tylko Pawła Vallagnosc, baron bowiem powrócił do towarzystwa pań. Mouret, drżąc jeszcze z emocji, usiadł w głębi pokoju na kanapie. Widząc, że Oktaw jest bliski omdlenia, przyjaciel stanął przed nim pełen litości, zasłaniając go przed ciekawymi spojrzeniami zebranych w dużym salonie gości. Obaj patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu. Wreszcie Vallagnosc, któremu wzburzenie Moureta zdawało się sprawiać jakąś wewnętrzną satysfakcję, zapytał swym drwiącym tonem:

– Czy cię to bawi?

Mouret nie zrozumiał z początku pytania przyjaciela. Lecz gdy przypomniał sobie rozmowę, którą kiedyś prowadził na temat głupiej pustki i bezcelowej męki życia, odpowiedział:

– Oczywiście, nigdy jeszcze nie żyłem w sposób tak intensywny. Nie drwij, mój stary, najkrótsze są te godziny, kiedy umiera się z cierpienia! –

Zniżył głos i mówił dalej wesoło, tonem, w którym jeszcze drgało niedawne wzruszenie: – Wiesz o wszystkim, prawda? Te dwie kobiety przed chwilą szarpały mi serce na kawałki, ale widzisz, rany, jakie zadają, mają pewien smak i warte są prawie tyle co pieszczoty... Jestem zupełnie złamany, jestem u kresu sił, ale to nic nie szkodzi, nie masz pojęcia, jak ja kocham życie!... Muszę ją wreszcie mieć, tę dziewczynę, która mówi: „Nie”.

Vallagnosc powiedział tylko:

– I co dalej?

– Co dalej? Będę ją miał! Czy to nie dosyć? Jeżeli sądzisz, że stajesz się mocny unikając cierpienia i wyrzekając się popełniania głupstw, to grubo się mylisz! Jesteś po prostu naiwny, nic więcej!...; Postaraj się zapragnąć jakiejś kobiety i zdobądź ją: to wynagradza w ciągu jednej minuty wszystkie doznane cierpienia.

Vallagnosc przesadnie wyolbrzymiał swój pesymizm. Po co tyle pracować. skoro pieniądź nie dawał wszystkiego? W takiej sytuacji zamknąłby sklepik i leżał do góry brzuchem, palcem nawet nie ruszywszy z chwilą skonstatowania faktu, że nawet za miliony nie można kupić upragnionej kobiety! Mouret słuchając go spoważniał. Potem odpowiedział namiętnie, z wiarą w potęgę swojej woli:

– Chcę ją zdobyć i zdobędę!... A jeśli mi się wymknie, to zobaczysz, jaką kolosalną maszynę zbuduję, aby się wyleczyć. I mimo wszystko to będzie wspaniałe... Ty nie rozumiesz tego, mój stary, bo inaczej wiedziałbyś, że czyn mieści już w sobie nagrodę. Działać, tworzyć, borykać się z przeciwnościami, pokonywać je lub być pokonanym – na tym polega radość i

zdrowie ludzkie!

– To tylko jeden ze sposobów odurzania się – powiedział cicho kolega.

– Choćby i tak było, wolę się odurzać... Zdechnąć to zdechnąć – ja wolę zdechnąć z namiętności niż z nudów!

Zaśmiali się obaj, rozmowa ta przypomniała im dawne spory, jakie prowadzili w szkole. Vallagnosc słabym głosem zaczął wyrzekać na popolitość wszystkiego, jakby się pysznił szarzyzną swojego życia. Tak, to racja, będzie się nudził nazajutrz w ministerstwie tak samo, jak nudził się wczoraj; w ciągu trzech lat służby podniesiono mu uposażenie o sześćset franków, pobierał teraz trzy tysiące sześćset, co nie wystarczało nawet na porządne papierosy: to stawało się już zupełnie niedorzeczne, i jedynie lenistwo, odraza do jakiegokolwiek wysiłku powstrzymywały go od samobójstwa. Gdy Mouret spytał go o małżeństwo z panną de Boves, odpowiedział, że mimo uporu ciotki, która nie chce umrzeć, sprawa jest bliska zrealizowania; tak przynajmniej sądził, ponieważ rodzice zgadzali się; udawał zresztą, że mu na tym nie zależy. Po co chcieć albo nie chcieć, kiedy i tak nigdy w życiu nie osiągnie się tego, czego się pragnie. Jako przykład podawał swojego przyszłego teścia, który spodziewał się znaleźć w jasnowłosej pani Guibal uosobienie łagodności i zaspokojenie chwilowego kaprysu, a tymczasem pani ta wodziła go teraz za nos i wyciągała z niego ostatnie siły jak ze starej szkapki. Gdy przypuszczano, że zajęty jest inspekcją ogierów w Saint-Ló, pani Guibal wykańczała go w małym domku wynajętym przez niego w Wersalu.

– Jest z pewnością szczęśliwszy od ciebie – powiedział Mouret podnosząc się z kanapy.

– Ależ tak, z pewnością! – oświadczył Vallagnosc. – Bo ostatecznie tylko w występku można znaleźć jaką taką rozrywkę.

Mouret przyszedł już do siebie. Myślał o tym, żeby się wymknąć, lecz nie chciał, aby jego odejście wyglądało na ucieczkę. Toteż, zdecydowany na wypicie jeszcze filiżanki herbaty, wrócił do wielkiego salonu w towarzystwie przyjaciela, rozmawiając z nim wesoło. Baron Hartmann zapytał go, czy płaszcz został nareszcie dopasowany; bez śladu zmieszania odpowiedział, że, jego zdaniem, nic z niego nie będzie. Wywołało to powszechne zdziwienie. Pani Marty zajęła się natychmiast nalaniem mu herbaty, a pani de Boves zaczęła narzekać, że wielkie magazyny mają zawsze artykuły konfekcyjne zbyt małych rozmiarów. Mouret mógł wreszcie usiąść koło Bouthemonta, który przez cały czas nie ruszał się ze swego miejsca. Nie zwracano na nich uwagi, więc w odpowiedzi na pełne niepokoju zapytanie kierownika, który chciał się dowiedzieć, co go czeka, Mouret. zanim jeszcze wyszli na ulicę, oznajmił mu, że panowie z rady zdecydowali się zrezygnować z jego dalszych usług. W przerwach między jednym zdaniem a drugim Oktaw popijał herbatę, zapewniając przyjaciela, że jest mu bardzo

przykro. Na posiedzeniu doszło do ostrego starcia, jeszcze po nim nie ochłonął, bo opuścił naradę okropnie wzburzony – ale cóż robić? Nie może przecież zadzierać z tymi ludźmi z powodu jednego pracownika. Bouthemont, bardzo blady, musiał mu jeszcze dziękować za życzliwość.

– Jaki okropny musi być ten płaszcz, jeżeli Henrietta jeszcze się z nim nie uporała – zauważyła pani Marty.

Długa nieobecność pani domu stawała się już rzeczywiście kłopotliwa dla wszystkich. Ale właśnie w tym momencie ukazała się pani Desforges.

– Czy i pani twierdzi, że z niego nic nie będzie? – zawołała wesoło pani de Boves.

– Jak to?

– Bo pan Mouret powiedział nam, że pani nie wie, jak z tego wybrnąć. Henrietta okazała bezgraniczne zdziwienie.

– Pan Mouret pewnie żartował. Płaszcz doskonale leży.

Była uśmiechnięta i zupełnie spokojna. Musiała widocznie obmyć wodą powieki, bo nie pozostało na nich ani śladu zaczerwienienia. Znajdowała siły, aby ukryć swoją mękę pod maską towarzyskiej swobody, mimo że wewnętrznie była roztrzęsiona i pełna bólu. Ze zwykłą wesołością poczęstowała kanapkami Pawła Vallagnosc. Tylko baron, który znał ją dobrze, zauważył lekkie skrzywienie ust i ponury płomień w oczach, którego nie zdołała zataić. Odgadł przebieg całej sceny.

– Mój Boże! Każdy ma swoje upodobania – odezwała się pani de Boves biorąc kanapkę. – Znam kobiety, które nawet kawałka wstążki nie kupiłyby gdzie indziej jak w „Luwrze”. Inne zaklinają się, że tylko w „Bon Marche”... Zapewne jest to kwestia przyzwyczajenia.

– Magazyn „Bon Marche” trąci prowincją – powiedziała półgłosem pani Marty – a w „Luwrze” jest taki tłok!

Rozmowa pań znowu zeszła na temat wielkich magazynów. Mouret musiał wziąć w niej udział, stanął więc między nimi i udawał, że bezstronnie roztrząsa całą sprawę. Magazyn „Bon Marche” był doskonałą firmą, solidną i godną szacunku, lecz „Luwr” miał bez wątpienia klientelę bardziej wytworną.

– Ale magazynowi „Wszystko dla Pań” przyznaje pan pierwszeństwo? – powiedział uśmiechając się baron.

– Tak – odpowiedział spokojnie Mouret. – U nas otacza się klientki atmosferą sympatii.

Wszystkie obecne panie przyznały mu słuszność. Było tak istotnie, w magazynie „Wszystko dla Pań” czuły się jak na zabawie. Wiedziały, że otacza je zewsząd pochlebstwo i uwielbienie, które działa nawet na najbardziej uczciwe kobiety. Olbrzymie powodzenie

magazyn zawdzięczał właśnie tej uwodzicielskiej galanterii.

– Chciałam zapytać przy sposobności – zagadnęła Henrietta pragnąc okazać całkowitą swobodę umysłu – jak pan zatrudnił moją protegowaną?... Pamięta pan: pannę de Fontenailles. – A zwracając się do pani Marty dodała: – Wyobraź sobie, moja droga, ta młoda osoba jest markizą; biedna dziewczyna, popadła w ubóstwo.

– Zarabia u nas – powiedział Mouret – trzy franki dziennie, zszywając zeszyty próbek, i zdaje się, że skłonię ją do poślubienia jednego z moich chłopców sklepowych.

– Ach! Jakież to okropne! – zawołała pani de Boves.

Popatrzył na nią i ciągnął dalej spokojnym głosem:

– Dlaczego, proszę pani? Czy nie lepiej dla niej wyjść za mąż za porządnego chłopca, dobrego pracownika, niżby miała być narażona na to, że jakiś wałkoń weźmie ją z ulicy?

Vallagnosc usiłował protestować mówiąc żartobliwie:

– Niech go pani nie prowokuje. Powie nam w końcu, że wszystkie stare rodziny francuskie powinny zabrać się do sprzedawania perkalu.

– W każdym razie dla wielu z nich – oświadczył Mouret – byłoby to honorowe wyjście z sytuacji.

Roześmiano się. Paradoks Moureta za daleko był już posunięty. Ten jednak w dalszym ciągu wychwalał klasę, którą nazywał arystokracją pracy. Lekki rumieniec zabarwił policzki pani de Boves, którą do wściekłości doprowadzały trudności finansowe, zmuszające ją do ciągłych wybiegów, natomiast pani Marty przytakiwała odczuwając wyrzuty sumienia na myśl o swoim biednym mężu. Służący wprowadził właśnie do salonu profesora, który wstąpił, aby ją zabrać do domu. Stał na środku pokoju w swoim lichym, wyświechtanym surducie, jeszcze bardziej zasuszony i wycieńczony ciężką pracą. Gdy podziękował pani Desforges za wstawiennictwo w ministerstwie, rzucił na Moureta bojaźliwe spojrzenie, jak człowiek stojący twarzą w twarz z chorobą, od której ma umrzeć. Zaskoczyło go też, że Oktaw zwrócił się do niego z zapytaniem:

– Czy nie mam racji, proszę pana, że praca prowadzi do wszystkiego?

– Praca i oszczędność – odpowiedział z lekkim drżeniem profesor. – Niech pan doda jeszcze: oszczędność, panie Mouret.

Bouthemont siedział nieruchomo w fotelu. Słowa Moureta dźwięczały mu jeszcze w uszach. Podniósł się w końcu i podszedł do Henrietty mówiąc szeptem:

– Czy pani wie, że dostałem już wymówienie? Och, powiedział mi to w bardzo grzeczny sposób... Ale zje diabła, jeśli nie będzie tego żałował!

Wymyśliłem już nazwę dla mojego magazynu: „Aux Quatre Saisons”, i postaram się

znaleźć sobie miejsce niedaleko Opery!

Popatrzyła na niego i oczy jej pociemniały.

– Niech pan na mnie liczy, trzymam z panem... Proszę poczekać.

Pociągnęła barona Hartmanna ku wnęce jednego z okien. Nie zwlekając poleciała mu Bouthemonta jako energicznego i zdolnego człowieka, który także wywoła rewolucję w Paryżu zakładając na własną rękę magazyn nowości. Gdy zaczęła mówić o spółce komandytowej dla swojego nowego protegowanego, baron, chociaż niczemu się już nie dziwił, nie mógł powstrzymać gestu przerażenia. Był to już czwarty z kolei genialny młody człowiek, którego mu polecała, i czuł, że naraża się na śmieszność. Nie odmówił jednak, gdyż pomysł stworzenia konkurencji dla magazynu „Wszystko dla Pań” dosyć mu się spodobał, sam wpadł już na koncept stwarzania i popierania konkurencji dla własnego banku, by w ten sposób zniechęcić prawdziwych rywali. Poza tym cała sprawa bawiła go bardzo. Przyrzekł więc, że pomyśli o tym.

– Musimy porozmawiać dziś wieczorem – szepnęła Henrietta Bouthemontowi na ucho. – Niech pan nie zapomni przyjść koło dziewiątej... Baron jest po naszej stronie.

Obszerny salon rozbrzmiewał głośnymi rozmowami. Mouret, stojąc wśród siedzących pań, odzyskał całkowitą swobodę: bronił się wesoło przed zarzutem, że rujnuje je na fatalaszki, i był gotów przekonać je za pomocą cyfr, iż kupując w jego sklepie oszczędzają na nabytych artykułach co najmniej trzydzieści procent. Baron Hartmann popatrzył na niego z braterskim podziwem dawnego bywalca nocnych spelunek. Więc pojedynek był już skończony! Henrietta pokonana. Widać, nie ona była tą kobietą, która miała nadejść. Zamajaczyła mu w pamięci skromna sylwetka młodej dziewczyny, którą ujrzał przechodząc przez przedpokój. Stała tam cierpliwie, jakże groźna w swej łagodności.

XII

Dwudziestego piątego września rozpoczęły się prace nad nową fasadą magazynu „Wszystko dla Pań”. Baron Hartmann dotrzymując obietnicy przeprowadził całą sprawę na ostatnim walnym zebraniu akcjonariuszy Banku Hipotecznego. Mouretowi udało się wreszcie zrealizować swe marzenia, mógł wznieść fasadę budynku przy ulicy Dziesiątego Grudnia koronując tym jakby swe powodzenie. Toteż chciał koniecznie uczcić położenie kamienia węgielnego. Zrobił z tego wielką uroczystość, rozdawał tego dnia gratyfikacje ekspedientom, a na wieczorny posiłek kazał im dać dziczyznę i szampana. Na terenie robót zauważono jego dobry humor i triumfalny gest, z jakim osobiście jednym zamachem kielni wmurował pierwszą cegłę. Od wielu tygodni dręczył go niepokój, owładnęło nim jakieś nerwowe podniecenie, które nie zawsze był w stanie ukryć. Odniesiony triumf przyniósł mu odprężenie, ulgę w cierpieniu. Przez całe popołudnie wydawało się, że odzyskał radosne samopoczucie człowieka zdrowego. Lecz już podczas kolacji, gdy zszedł do jadalni, aby wypić szklaneczkę szampana ze swoimi pracownikami, był znowu wyraźnie zdenerwowany, uśmiechał się z przymusem, rysy miał ściągnięte jakimś nurtującym go bólem, do którego się nie przyznawał. Znowu uległ depresji.

Nazajutrz w dziale konfekcji Klara Prunaire próbowała zrobić przykrość Denise. Zauważywszy, że Colomban jest w niej zadurzony, wpadła na pomysł, aby wziąć państwa Baudu za temat żartów. W chwili gdy Małgorzata ostrzyła ołówek w oczekiwaniu na klientki, zwróciła się do niej głośno:

– Wiesz, ten mój adorator z przeciwka... Wzruszył mnie wreszcie tym, że musi siedzieć w ciemnym sklepie, gdzie nigdy nie wchodzi ani jeden klient!

– Nie jest wcale taki nieszczęśliwy, żeni się podobno z córką swojego pryncypała – odpowiedziała Małgorzata.

– Wiesz, to byłoby bardzo zabawne sprzątnąć go jej sprzed nosa! Mam ochotę zrobić kawał, słowo daję!

I dalej plotła swoje, zadowolona z oburzenia Denise, która wybaczyła jej wprawdzie wszystkie dawne docinki, ale nie mogła ścierpieć myśli, iż okrutne postępowanie Klary dobije

śmiertelnie chorą Genowefę. Nadeszła jakaś klientka, a ponieważ pani Aurelia była zajęta w suterrenach, Denise objęła kierownictwo działu i zwróciła uwagę Klarze:

– Panno Prunaire, lepiej by pani zrobiła zająwszy się tą panią zamiast tracić czas na rozmowy.

– Ja wcale nie rozmawiałam.

– Proszę nie odpowiadać i zająć się natychmiast klientką.

Klara usłuchała, pokonana. Kiedy Denise nie podnosząc głosu wydawała rozkaz, wszystkie panny ulegały bez szemrania. Zdobyła całkowity autorytet jedynie łagodnością. Przez kilka minut przechadzała się w zupełnej ciszy pośród zachowujących się już teraz poważnie panien. Małgorzata znów zaczęła ostrzyć ołówek, którego sztyft ciągle się łamał. Ona jedna pochwalała opór zastępczyni kierowniczką w stosunku do pryncypała; kiwała głową i, nie przyznając się wcale do swego przypadkiem urodzonego dziecka, oświadczyła tylko, że gdyby człowiek wiedział, jakie kłopoty ściąga na siebie przez te głupie historie, wolałby prowadzić się dobrze.

– Czy cię to naprawdę złości? – szepnął jakiś głos za plecami Denise.

Była to Paulina, która obserwowała całą scenę przechodząc przez salon konfekcji, a teraz podeszła z uśmiechem do przyjaciółki.

– Muszę tak robić – odpowiedziała również półgłosem Denise. – Nie mogę dać sobie rady z tą gromadką.

Bielizniarka wzruszyła ramionami.

– Daj spokój, będziesz naszą królową, gdy tylko zechcesz.

Paulina nie rozumiała postępowania przyjaciółki. Od końca sierpnia była już panią Baugé. Swoje małżeństwo nazywała z humorem wierutnym głupstwem. Straszny Bourdoncle traktował ją obecnie jak niedołęgę, jak kobietę straconą dla handlu. Obawiała się bardzo, że pewnego ranka każą im się obojgu wynosić, ponieważ panowie z dyrekcji uważali miłość za rzecz obrzydliwą i śmiertelnie szkodliwą dla interesów. Bała się do tego stopnia, że gdy spotykała w magazynie swojego męża, udawała, że go wcale nie zna. Miała dziś porządnego stracha, gdyż papa Jouve o mało co nie zdybał jej na rozmowie z mężem za stosem ścierek.

– Śledził mnie później – dodała opowiadając z ożywieniem całą historię Denise. – Widzisz! Jeszcze za mną węszyć tym wielkim nohalem!

W istocie inspektor Jouve wychodził z działu koronek w starannie zawiązanym białym krawacie, tropiąc jakieś przewinienie. Ale gdy zobaczył Denise, zgiął kark i przeszedł z uprzejmym wyrazem twarzy.

– Jestem uratowana – powiedziała szeptem Paulina. – Moja droga, wepchnęłaś mu

wszystko z powrotem do gardła. Powiedz, czy jeśli spotka mnie jakieś nieszczęście, będziesz taka dobra i wstawisz się za mną? Tak, tak, nie rób takiej zdziwionej miny, wiadomo, że jedno twoje słowo zdolne jest przewrócić do góry nogami cały magazyn.

Spiesznie wróciła do swojego działu. Denise zaczerwieniła się, zmieszana tymi przyjacielskimi aluzjami. Paulina miała zresztą rację. Otaczające Denise pochlebstwa dawały jej niejasne poczucie siły. Kiedy pani Aurelia wróciła z suterenu, zastała w swoim dziale wszystkich tak skupionych i pogrążonych w pracy pod nadzorem zastępczyni, że uśmiechnęła się do niej przyjaźnie. Zanieczyściła nawet Moureta, całą swoją uprzejmość skupiając teraz na osobie, która by mogła pewnego pięknego poranka sięgnąć po stanowisko kierowniczkę działu. Rozpoczął się okres panowania Denise.

Jeden tylko Bourdoncle nie składał broni. W głuchej wojnie, którą prowadził przeciwko dziewczynie, największą rolę odgrywała początkowo wrodzona antypatia. Nienawidził jej za łagodność i wdzięk. Potem zwalczał Denise, ponieważ uważał jej wpływ za zgubny, groźny dla interesów firmy, gdyby Mouret miał ulec dziewczynie. Wydawało mu się, że zdolności handlowe pryncypała osłabły z powodu tego niedorzecznego uczucia: czyżby to, co zdobyto dzięki kobietom, ona jedna miała zniweczyć. Pozostawał chłodny wobec wszystkich kobiet, traktował je z pogardą mężczyzny, który nie wie, co to namiętność, który żyje z nich, bo to jest jego zawodem, ale jednocześnie stracił wszelkie złudzenia widząc je bez osłonek za kulisami magazynu. Zamiast go odurzać, zapach siedemdziesięciu tysięcy klientek przyprawiał go o ból głowy; gdy wracał do domu, bił swoje kochanki.

Ta mała ekspedientka, która powoli stała się tak niebezpieczna, niepokoiła go tym bardziej, że nie wierzył w jej bezinteresowność, w szczerą jej opór. Widział w tym zręczną grę: gdyby się była oddała zaraz pierwszego dnia, Mouret zapomniałby o niej nazajutrz; odmawiając – podniecała jego pożądanie, doprowadzała go do szaleństwa, czyniła zdolnym do popełnienia najgorszych głupstw. Żadna największa spryciara, żadna najbardziej nawet przebiegła dziewczyna nie poczynałaby sobie lepiej niż to niewiniątka. Toteż gdy Bourdoncle patrzył na Denise, na jej jasne oczy, łagodną twarz, postawę pełną prostoty – ogarniał go prawdziwy strach, tak jakby miał przed sobą zamaskowaną ludożerczynię, ciemną zagadkę uosobioną w tej kobiecie, śmierć w dziewiczej postaci. W jaki sposób zdemaskować taktykę tej komediantki grającej rolę naiwnej? Starał się teraz przeniknąć jej sztuczki w nadziei, że wyciągnie je kiedyś na światło dzienne: wreszcie dziewczyna popełni jakiś błąd, a on przyłapie ją z jednym z jej kochanków i wówczas znowu wyleci, a firma będzie mogła odtąd funkcjonować normalnie, jak dobrze zmontowana maszyna.

– Niech pan pilnuje, panie Jouve – powtarzał Bourdoncle inspektorowi. – Ja pana hojnie

wynagrodzę.

Jouve jednak niezbyt gorliwie wykonywał to polecenie, gdyż znał się na kobietach i miał zamiar stanąć po stronie małej, która miała wszystkie dane, aby stać się kiedyś wszechwładną panią całego magazynu. Nie ośmielał się jej zaczepiać, ale uważał ją za diablo ładną. Jego pułkownik zabił się kiedyś dla podobnej dziewczyny o nic nie znaczącej twarzy, delikatnej i skromnej, której jedno spojrzenie wruszało do głębi wszystkie serca.

– Ja uważam, uważam – odpowiedział – ale daję panu słowo, że niczego nie mogę odkryć.

Tymczasem mimo pochlebstw i szacunku, jaki otaczał na pozór Denise, krążyły plotki, powtarzano sobie obrzydliwe pogłoski na jej temat. Cały magazyn opowiadał, że Hutin był jej kochankiem. Nie ośmielano się co prawda twierdzić, że związek ten trwa jeszcze nadal, podejrzewano tylko, że widują się od czasu do czasu. Deloche podobno również z nią sypiał. Spotykali się ciągle w różnych ciemnych kątach i rozmawiali godzinami. Co za skandal!

– Więc pan nic nie wie o tym kierowniku z działu jedwabi ani o tym młodzieńcu od koronek? – nalegał.

– Nie, proszę pana, jeszcze nic – twierdził inspektor.

Bourdoncle najbardziej liczył na to, że przyłapie Denise na rozmowie z Deloche'em. Kiedyś widział ich rano, jak śmiali się w suterrenach. Traktował młodą dziewczynę jak równą sobie przeciwniczkę i bynajmniej jej nie lekceważył; czuł, że jest dość silna, aby mimo jego dziesięciu lat pracy w magazynie usunąć go z zajmowanego stanowiska, gdyby przegrał walkę.

– Polecam pana uwadze młodego człowieka z działu koronek – powtarzał za każdym razem. – Ciągłe widuje się ich razem. Jeśli ich pan przyłapie, to niech pan mnie zawoła; podejmuję się poprowadzić sprawę dalej.

Mouret żył tymczasem w ciągłym niepokoju. Czy to możliwe, aby ta dziewczyna dręczyła go tak strasznie? Uporczywie wracał myślą do chwili, gdy przybyła do magazynu w grubych bucikach, wytartej czarnej sukience, z wystraszoną miną. Jąkała się, wszyscy z niej kpili, a on sam uważał ją z początku za brzydką! Teraz jedno jej spojrzenie skłoniłoby go do ugięcia kolan, widział ją ciągle jakby w jakiejś aureoli! Była początkowo najgorszą z jego pracownic, zawsze na szarym końcu, stanowiła przedmiot żartów, Patrzył na nią jak na osobliwe zwierzątko. Przez całe miesiące obserwował z ciekawością, jak wyrastała na kobietę, bawił go ten eksperyment, nie zdawał sobie zupełnie sprawy z tego, że angażuje tutaj swoje serce. Ona dojrzewała powoli, stawała się niebezpieczna. Być może, kochał ją od pierwszej chwili, nawet wówczas gdy wydawało mu się, że odczuwa dla niej jedynie litość. Ale dopiero w czasie przechadzki pod kasztanami ogrodu Tuileryjskiego po raz pierwszy zrozumiał, jak

bardzo mu była droga. Życie jego zaczęło się od tego właśnie wieczora; słyszał wyraźnie śmiech małych dziewczynek, daleki szmer fontanny, a obok niego w gorącym cieniu drzew szła ona, cicha i milcząca. Potem już nie zdawał sobie sprawy, jak to było, namiętność jego wzmagala się z dnia na dzień, oddał jej całą krew, całego siebie. Takie dziecko! Czy to było możliwe? Gdy przechodziła teraz koło niego, powiew jej sukni wydawał mu się tak silny, że chwiał się z wrażenia.

Przez długi czas buntował się, a czasami nawet oburzał i chciał uwolnić się od tego nedorzecznego opętania. Co w niej było takiego, co go tak przykuwało? Czyż nie widział jej w tych nędznych buciorach?! Czy nie przyjął jej do siebie z litości? Gdyby tu przynajmniej chodziło o jedną z tych wspaniałych istot, za którymi ciągnie cała sfera wielbicieli. Ale ta mała dziewczynka, to chuchro! Miała przecież w gruncie rzeczy pospolitą twarz i nie odznaczała się na pozór zbyt żywą inteligencją – pamiętał, jak trudno szła jej na początku praca ekspedientki. Po każdym takim napadzie złości Mouret ulegał nowemu przypływowi uczucia, połączonego z jakimś zabobonnym strachem, że znieważył swoje bożyszcze. Denise posiadała wszystkie zalety kobiece: odwagę, wesołość, prostotę, a jej łagodność miała w sobie subtelny urok, który odurzał jak zapach perfum. Można jej było wcale nie zauważyć, otrzeć się o nią łokciem jak o pierwszego lepszego przechodnia, wkrótce jednak urok zaczął działać z nieprzepartą siłą; człowiek należał już do niej na zawsze, ledwie tylko raczyła się uśmiechnąć. Wszystko śmiało się wówczas w jej bladej twarzy: fiołkowe oczy, broda i policzki, w których tworzyły się dołeczki, a ciężkie jasne włosy zdawały się rozjaśniać jakimś królewskim przepychem i uwydatniały jej zwycięską urodę. Mouret przyznawał się, że jest pokonany. Denise była równie inteligentna, jak piękna. Podczas, gdy u innych ekspedientek, zatrudnionych w jego magazynie, wychowanie polegało jedynie na zewnętrznej ogładzie, towarzyskim polorze, który łatwo kruszył się u tych zdeklasowanych dziewcząt, ona – bez fałszywego zamiłowania do elegancji – zachowała swoisty urok swego pochodzenia. Najśmielsze pomysły handlowe rodziły się na podstawie praktyki pod tym wąskim czołem, którego czyste zarzasy świadczyły o sile woli i zamiłowaniu do porządku.

Mouret chciał składać ręce jak do modlitwy i błagać ją o przebaczenie za bluźniercze myśli, jakie miał w chwilach buntu.

Dlaczego z takim uporem odpowiadała odmownie na wszystkie jego prośby? Ze dwadzieścia razy błagał ją coraz to podwyższając cenę, ofiarowując pieniądze, wiele pieniędzy. Powiedział sobie, że jest zapewne ambitna, i obiecał jej stanowisko kierowniczkę, z chwilą kiedy w którymś z działów otworzy się wakans. Ona jednak odmawiała, odmawiała ciągle! Ta walka, w której wzmagalo się jeszcze jego pożądanie, wprawiała go w osłupienie.

Cała historia wydawała mu się nieprawdopodobna. Wierzył, że ta dziewczyna musi wreszcie ustąpić, gdyż – według niego – uczciwość kobiety była zawsze rzeczą względną. Nie miał już przed sobą żadnego innego celu, wszystko schodziło na drugi plan wobec przemożnego pragnienia, aby mieć ją wreszcie u siebie, wziąć na kolana i całować jej usta. Na tę myśl krew silniej pulsowała mu w żyłach, drżał cały, przejęty swoją bezsilnością.

Dręczyły go ustawicznie te same bolesne myśli. Od samego rana, gdy się tylko zbudził, obraz Denise zjawiał się przed jego oczyma. Śnił o niej w nocy, potem towarzyszyła mu do jego gabinetu i siadała z nim przed wielkim biurkiem, gdzie podpisywał weksle i przekazy od dziewiątej do dziesiątej rano: spełniał tę pracę machinalnie, wciąż czując przy sobie obecność Denise, która ze spokojnym wyrazem twarzy powtarzała swoje „Nie”. O dziesiątej odbywało się zwykle posiedzenie, prawdziwa rada ministrów, na której zbierało się dwunastu akcjonariuszy firmy. Mouret przewodniczył; dyskutowano nad sprawami wewnętrznymi magazynu, sprawdzano zakupy, omawiano, jak mają wyglądać wystawy. Denise była ciągle obecna. Oktaw słyszał jej łagodny głos pośród wymienianych liczb, widział jej jasny uśmiech, gdy mówiono o najbardziej skomplikowanych sprawach finansowych. Po zebraniu towarzyszyła mu w codziennej inspekcji poszczególnych działów, powracała po południu do gabinetu dyrektora i pozostawała z nim od drugiej do czwartej, kiedy załatwiał interesantów – fabrykantów z całej Francji, przemysłowców, bankierów, wynalazców; była to nieustająca defilada bogactwa i pomysłowości, zawrotny taniec milionów, krótkie rozmowy, w ciągu których ubijano największe transakcje Paryża. Jeśli zapomniał o niej na minutę, wówczas gdy decydował o ruinie lub pomyślnym rozwoju jakiegoś przedsiębiorstwa, odnajdywał ją natychmiast w nagłym porywie serca; głos mu się łamał i zadawał sobie pytanie: po co mu to ciągle obracanie milionami, skoro ona ich nie chce. Wreszcie o piątej musiał podpisać korespondencję – rozpoczynała się wówczas ponownie mechaniczna praca ręki, a ona stawała przed nim jeszcze bardziej władczą, brała go w posiadanie i nie opuszczała w ciągu samotnych i płomiennych godzin nocy. A nazajutrz zaczynało się to samo, dzień pełen wyętej pracy, której spokój potrafił zburzyć cień drobnej, młodziutkiej dziewczyny.

Najbardziej nieszczęśliwy czuł się Mouret podczas codziennych inspekcji. Czyż po to zbudował tę gigantyczną maszynę, panował nad całym światem pracowników, żeby ginąć teraz z bólu, dlatego że odtrąciła go jakaś dziewczyna! Pogardzał sobą, trawiła go gorączka i wstyd. Bywały dni, gdy miał wszystkiego dosyć i z obrzydzeniem patrzył na swój magazyn. Czasem znowu pragnął stać się jeszcze bardziej potężnym, tak potężnym, żeby Denise, przejęta podziwem i strachem, przestała się opierać.

Najpierw schodził na sam dół do suterren i zatrzymywał się przed ześlizgiem. Znajdował on

się, tak jak poprzednio, od strony ulicy Neuve-Saint-Augustin, musiano go tylko poszerzyć. Wyglądał teraz jak łożysko rzeki, gdzie ustawicznie napływające z całego świata towary zsuwały się z hałasem wezbranej wody. Długie kolumny ciężarowych wozów nadjeżdżały ze wszystkich dworców: wyładowywano je bez przerwy, staczano do podziemia skrzynie i bele materiału, które natychmiast wchłaniał nienasycony magazyn. Mouret przypatrywał się temu potokowi wpadającemu do jego domu i myślał o tym, że był jednym z władców majątku publicznego, że trzymał w swoim ręku los produkcji francuskiej, a nie mógł za żadną cenę kupić pocałunku jednej ze swych ekspedientek.

Ukazywał się następnie w kantorze magazynu, który zajmował obecnie część suterren frontowych od strony ulicy Monsigny. W kantorze mieściło się dwadzieścia stołów, przez okienka piwniczne spływało tu blade. światło; cały tłum subiektów krzątał się opróżniając skrzynki, sprawdzając towary, znacząc je w umówiony sposób. Od sąsiedniego ześlizgu dobiegał nieprzerwany łoskot zagłuszając głosy ludzkie. Zatrzymywali tu pryncypała kierownicy działów, musiał rozstrzygać wątpliwości, wydawać polecenia. Piwnica pełna była lśnienia atlasów, bieli płócien, przepychu futer, koronek, artykułów paryskich i wschodnich portier. Chodził wolno wśród tych bezładnie rozrzuconych bogactw, spiętrzonych tutaj jakby w surowym stanie; miały one dopiero na górze zapalić się pełnym blaskiem na wystawach, przyciągnąć strumień pieniędzy do wszystkich działów i zniknąć błyskawicznie, porwane wściekłym prądem popytu opływającym cały gmach. Patrząc na nie myślał, że ofiarował przecież tej dziewczynie te wszystkie jedwabie i aksamity, wszystko, co tylko by zapragnęła zagarnąć rękami z tych wielkich stosów, i że odmówiła jednym ruchem swej jasnej główki.

Potem udawał się na przeciwległy kraniec suterren, aby jak zwykle rzucić okiem na dział ekspedycji. Szedł nie kończącymi się korytarzami oświetlonymi gazem; na prawo i na lewo mieściły się magazyny rezerwowe zamknięte przegrodami, tworząc jakby szereg małych sklepików podziemnych, jakby dzielnicę handlową ze spoczywającymi w cieniu działami norymberszczyzny: bieliźnianym, rękawiczniczym i zabawkarskim. Dalej znajdował się jeden z trzech pieców centralnego ogrzewania, a jeszcze dalej posterunek strażaków pilnujących głównego licznika zamkniętego w metalowej klatce. W dziale ekspedycji miejskiej Mouret zastawał stoły rozdzielcze zarzucone paczkami, kartonami i pudłami wyładowywanymi tutaj z ustawicznie napływających pełnych koszów; kierownik kantoru Champion informował go o pracy bieżącej, dwudziestu zaś ludzi pod jego rozkazami segregowało paczki wkładając je do przedziałów oznaczonych nazwami wszystkich dzielnic Paryża, skąd chłopcy sklepowi wnosili je następnie do wozów ustawionych wzdłuż trotuaru. Rozbrzmiewały okrzyki, nazwy ulic, polecenia, stwarzając hałas i zamęt, jak na statku w ostatniej chwili przed podniesieniem

kotwicy. Mouret stał chwilę nieruchomo, patrząc na ten odpływ towarów, których przyływ obserwował dopiero co w drugim końcu podziemia. Ich olbrzymi nurt tutaj miał swe ujście, wydostawał się tędy na ulicę napęlniwszy przedtem złotem kasy pancernych kolosów. Oczy zachodziły mu mgłą, ta olbrzymia ekspedycja nie miała już dla niego żadnego znaczenia. W głowie lęła się myśl o podróży, o odjeździe w dalekie kraje, o rzuceniu tego wszystkiego, jeśli ona będzie się nadal upierać i mówić: „Nie”.

Wchodził na górę i dalej odbywał swój obchód, coraz bardziej podrażniony, nic jednak nie sprawiało mu ulgi. Na drugim piętrze zachodził do kantoru ekspedycji zamiejscowej, szukał zwady, złościł się w duchu na tę doskonałą precyzję maszyny, którą sam wyregulował. Ten dział nabierał z każdym dniem większego znaczenia: zatrudniał obecnie dwustu pracowników, z których jedni otwierali, czytali i segregowali listy nadesłane z prowincji i zagranicy, inni zaś gromadzili w przegrodach żądane przez klientów towary. Liczba listów wzrosła do tego stopnia, że nie liczono już ich, lecz ważono; waga dochodziła czasami do stu funtów dziennie. Rozgorączkowany Mouret przechodził przez trzy sale biurowe i zadawał pytania kierownikowi Levasseur co do wagi otrzymanej korespondencji: osiemdziesiąt funtów, czasami dziewięćdziesiąt, w poniedziałki bywało sto. Wysokość cyfry wzrastała ciągle, powinien był więc być zachwycony. Lecz pryncypał dygotał z gorączki pośród tego hałasu dochodzącego z sąsiedniego pomieszczenia, gdzie cała grupa robotników pakowała i zabijała skrzynki. Na próżno przebiegał cały dom: uporczywa myśl tkwiła w jego mózgu i w miarę jak to potężne królestwo rozwijało się przed jego oczyma, w miarę jak defilowały przed nim części składowe maszyny w postaci biur i całej armii personelu, coraz dotkliwiej odczuwał swoją bezsilność. Napływały zamówienia ze wszystkich stron Europy, poczta do magazynu przywożona była specjalną karetką, a Denise mówiła: „Nie”, ciągle – „Nie!”

Schodził niżej, odwiedzał główną kasę, gdzie czterech kasjerów strzegło : dwóch olbrzymich kas pancernych, przez które w ubiegłym roku przepłynęło osiemdziesiąt osiem milionów. Jeden rzut oka wystarczał mu, aby przekonać się o sprawności kantoru, w którym dwudziestu pięciu urzędników, specjalnie dobranych wśród najpoważniejszych, sprawdzało faktury. Wchodził więc do biura rozliczeń, które obsługiwało trzydziestu pięciu młodzieńców, nowicjuszków w zakresie buchalterii; zadaniem ich było kontrolować rachunki sprzedaży i obliczać procenty ekspedientów. Powracał następnie do kasy głównej, irytował go widok kas pancernych, chodził wśród tych milionów, których bezużyteczność doprowadzała go do szału. A ona mówiła ciągle: „Nie”.

Słyszał to: „Nie”, we wszystkich działach, we wszystkich galeriach, salach, w całym magazynie. Przechodził od działu jedwabi do działu sukna, od płócien do koronek; wchodził

na piętra, zatrzymywał się na wiszących mostach, przedłużał swoją inspekcję z maniacką i bolesną dokładnością. Firma rozrosła się nad miarę, tu powstał jakiś nowy dział, tam jeszcze inny, a on zarządzał tą nową posiadłością, rozszerzał swoje rządy na nową gałąź przemysłu, świeżo podbitą, i mimo wszystko słyszał tylko jedno słowo: „Nie”. Jego obecny personel mógłby zaludnić małe miasteczko, liczył bowiem tysiąc pięciuset sprzedawców oraz tysiąc innych pracowników wszelkiego rodzaju, w tym czterdziestu inspektorów i siedemdziesięciu kasjerów. Sama kuchnia zatrudniała trzydziestu dwu ludzi; dziesięciu agentów zajmowało się sprawą reklamy, trzystu pięćdziesięciu chłopców na posyłki, dwudziestu czterech strażaków mieszkało stale w magazynie. W stajniach zaś, prawdziwie królewskich stajniach, zainstalowanych przy ulicy Monsigny naprzeciwko magazynu, stało sto czterdzieści pięć koni i luksusowe zaprzęgi, znane już całemu Paryżowi. Zamiast czterech pierwszych platform, które tyle krwi napsuły właścicielom sklepów całej dzielnicy, gdy magazyn zajmował jedynie narożnik placu Gaillon, używano teraz sześćdziesięciu dwóch różnych pojazdów: były to małe wózki ręczne, wozy jednokonne oraz ciężkie dwukonne furgony. Przemierzały one ustawicznie Paryż w rozmaitych kierunkach, powożone przez ubranych na czarno woźniców, obwożąc po całym mieście złoto-purpurowy szyld magazynu „Wszystko dla Pań”. Wozy przekraczały nawet fortyfikacje i wjeżdżały w okolice podmiejskie; spotykano je na wyboistych drogach wiodących do Bicetre, wzdłuż stromych wybrzeży Mamy, na cienistych drożynach lasu w Saint-Germain; czasami, w głębi pełnej słońca alei, na całkowitym odludziu, wśród doskonałej ciszy wylaniał się taki wóz ciągnięty przez idące truchtem dwa wspaniałe konie, zakłócając tajemniczy spokój przyrody krzykliwą reklamą lakierowanych desek. Mouret marzył o tym, aby dotarły jeszcze dalej, aż do sąsiednich departamentów, chciałby je usłyszeć turkoczące po wszystkich drogach Francji, z jednego jej krańca na drugi. Teraz nie zachodził nawet do koni, które dawniej tak bardzo lubił. Po co cały ten podbój świata, gdy słyszał wciąż tylko: „Nie”, zawsze: „Nie”.

Teraz, gdy przychodził wieczorem do kasy Lhomme'a, spoglądał jeszcze wprawdzie z przyzwyczajenia na sumę obrotu dziennego wypisaną na kartce, którą kasjer zatykał na żelazny szpikulec stojący koło niego na biurku; rzadko kiedy suma wynosiła mniej niż sto tysięcy franków, a często w dni wielkiej sprzedaży podnosiła się do ośmiuset lub dziewięciuset tysięcy. Cyfry nie dźwięczały już jednak w jego uszach jak głos trąbki i żałował nawet, że na nie patrzył, napelniały go bowiem goryczą, nienawiścią i pogardą dla pieniędzy.

Cierpienia Moureta miały pogłębić się jeszcze przez zazdrość. Pewnego dnia rano, przed posiedzeniem, Bourdoncle odważył się dać mu do zrozumienia, że ta mała z działu konfekcji kpi sobie z niego.

– Jak to? – zapytał, bardzo blady.

– No tak, ma kochanków, nawet na terenie magazynu.

Mouret zdobył się na uśmiech.

– Ja już o niej nie myślę, mój drogi. Możesz mówić... Kim są ci kochankowie?

– Mówią o małym Hutin, a także o subieckie z działu koronek, Delocheu, tym wysokim, głupim chłopcu... Za nic nie mogę ręczyć, nie złapałem ich na gorącym uczynku. Ale opowiadają, że to się rzuca w oczy.

Zapanowało milczenie. Mouret chcąc ukryć drżenie rąk udawał, że układa papiery na biurku. Wreszcie powiedział nie podnosząc głowy:

– Trzeba by mieć dowody, postaraj się je zdobyć... Co do mnie, to powtarzam ci, że nie dbam już o nią; zraziła mnie w końcu, ale nie możemy u siebie tolerować podobnych rzeczy.

Bourdoncle odpowiedział tylko:

– Bądź spokojny, będziesz miał dowody w tych dniach. Już ja o tym pomyślę.

Opowiadanie Bourdoncle'a odebrało Mouretowi resztę spokoju. Nie miał już odwagi powrócić do tego tematu i żył w ustawicznym oczekiwaniu katastrofy, która miała ostatecznie złamać jego serce. Pod wpływem cierpienia stał się straszny dla swych pracowników. Cały magazyn drżał przed nim. Przestał ukrywać się za plecami Bourdoncle'a, sam dokonywał egzekucji ulegając nerwowej potrzebie wyładowania urazy, sprawiając sobie ulgę nadużywaniem władzy, tej władzy, która okazała się bezsilna, by zaspokoić jego jedyne pragnienie; każda inspekcja pryncypała kończyła się masakrą; gdy zjawiał się, dreszcz strachu przebiegał wszystkie działy. Zbliżał się właśnie martwy sezon zimowy, żelazna miotła redukcji przeredziła szeregi subiektów, zmiatała na jeden stos ofiary i wyrzucała jak śmieci na ulicę. Pierwszą myślą Moureta było wyrzucić Hutina i Deloche'a, po namyśle doszedł jednak do wniosku, że jeśli ich usunie, to nigdy nie dowie się prawdy; inni płacili więc za nich, rozpadał się cały personel. Wieczorem, gdy Mouret zostawał sam, łzy kręciły mu się w oczach.

Jednego dnia zwłaszcza zapanował paniczny strach. Któryś z inspektorów powziął podejrzenie, że rękawicznik Mignot dopuszcza się kradzieży. Koło jego lady krążyły ustawicznie jakieś dziwne postacie. Zatrzymano jedną z nich: miała biodra i biust wypchane sześćdziesięcioma parami rękawiczek. Począwszy od tego dnia zorganizowano nadzór i inspektor przyłapał Mignota na gorącym uczynku, gdy ułatwiał kradzież wysokiej blondynce, dawnej ekspedientce z „Luwru”, która stoczyła się do rynsztoka. Manewr był bardzo prosty, subiekt udawał, że przymierza jej rękawiczki tak długo, aż zdążyła ponapychać się towarem, a potem prowadził ją do kasy, gdzie płaciła za jedną parę rękawiczek. Mouret był akurat w

poblizu. Zazwyczaj wolał nie mieszać się do tego rodzaju awantur, które zdarzały się dosyć często; choć wydawało się, że mechanizm magazynu funkcjonuje sprawnie, w pewnych działach panował wielki nieład. Nie było tygodnia, żeby nie wyrzucono za kradzież jakiegoś sprzedawcy. Dyrekcja wolała jednak robić jak najmniej rozgłosu z powodu tych kradzieży, uważając za rzecz zbędną alarmowanie policji, co przyczyniłoby się do wyciągnięcia na światło dzienne jednej z najcięższych plag trapiących wielkie domy towarowe. Ale tego dnia Mouret czuł potrzebę wyładowania swojego złego humoru, zwymyślał więc od ostatnich pięknego Mignota, który drżał ze strachu, blady i zmieniony na twarzy.

– Powiniennem zawołać policję – krzyczał pryncypał w obecności innych ekspedientów. – Niech pan zaraz powie, kim jest ta kobieta?... Przysięgam, że zawezwę komisarza, jeśli pan nie powie prawdy.

Odprowadzono na bok kobietę i dwie ekspedientki rozebrały ją. Mignot jęknął:

– Proszę pana, ja jej wcale nie znam... Przyszła kupować...

– Niech pan nie kłamie – przerwał Mouret z jeszcze większą wściekłością. – I nikogo, kto by nas ostrzegł! Jesteście wszyscy w zмовie, daję słowo. To gniazdo złodziei. Kradną, rabują, grabią magazyn. Trzeba będzie przeszukiwać wam kieszenie po skończonej pracy!

Dały się słyszeć szepty. Trzy czy cztery klientki, kupujące właśnie rękawiczki, stały przerażone.

– Milczeć! – krzyknął z wściekłością Mouret. – Każę was wszystkich przegnać na cztery wiatry.

Nadbiegł Bourdoncle zaniepokojony skandalem. Powiedział Mouretowi kilka słów do ucha: sprawa wyglądała wyjątkowo poważnie. Dyrektor skłonił pryncypała, by kazał zaprowadzić Mignota do biura inspektorów, położonego na parterze tuż koło drzwi wejściowych od strony placu Gaillon. Znajdowała się tam już zatrzymana kobieta, która właśnie najspokojniej wkładała gorset. Przy badaniu wymieniła nazwisko Alberta Lhomme. Mignot stracił zupełnie głowę w ogniu pytań i zaczął płakać: nie był wcale winien, to Albert przysyłał mu swoje kochanki; z początku pozwalał im korzystać z wyjątkowych okazji, a potem, gdy zaczęły kraść, był już zbyt skompromitowany, aby donieść o wszystkim dyrekcji. Wyszła teraz na jaw cała seria niezwykłych kradzieży: towary wynoszone przez dziewczęta uliczne, które chowały je pod spódnicę w luksusowych ubikacjach zainstalowanych koło bufetu pośród zielonych roślin; następnie towary, których subiekt nie wywoływał w kasie, gdy prowadził tam klientkę, aby potem dzielić się zarobkiem z kasjerem; wreszcie fałszywe „zwroty”, artykuły, które meldowano jako zwrócone firmie, aby włożyć do kieszeni pieniądze fikcyjnie wycofane; nie mówiąc już o klasycznych metodach kradzieży, paczkach

wynoszonych wieczorem pod marynarką, materiałach owiniętych w pasie lub zawieszonych w nogawkach spodni. Od czternastu miesięcy wskutek machinacji Mignota, a zapewne i innych sprzedawców, choć ich nazwisk nie chciał wymienić, dokonywały się w kasie Alberta nieczyste sprawki, nadużycia pieniężne na sumy, których dokładnej wysokości nie udało się ustalić.

Wiadomość o tym wydarzeniu rozeszła się po działach. Sprzedawcy, którzy mieli coś na sumieniu, drżeli ze strachu, najbardziej nawet uczciwi obawiali się powszechnej czystki. Widziano Alberta wchodzącego do inspektorów. Potem przeszedł zadyszany stary Lhomme z krwawymi rumieńcami na policzkach, bliski apopleksji. Wezwano nawet panią Aurelię; ukazała się z podniesioną mimo wstydu głową, z twarzą nabrzmiałą od podskórnego tłuszczu i bladą jak maska woskowa. Badanie trwało długo, nikt nie wiedział dokładnie, jak się to wszystko odbyło: opowiadano tylko, że kierowniczka działu konfekcji spoliczkowała syna, o mało nie skręciwszy mu karku, i że stary, zacny ojciec płakał, pryncypał zaś, wbrew swym zwyczajom, kłął jak woźnica i chciał koniecznie oddać winnych pod sąd. Skandal został jednak stłumiony. Skończyło się na natychmiastowym zwolnieniu Mignota. Alberta wydalono dopiero w dwa dni później; zawdzięczał to matce, która wyjednała u dyrektora, aby nie okrywano hańbą całej rodziny przez doraźną dymisję. Lecz panika szerzyła się jeszcze przez kilka dni, gdyż Mouret przechadzał się z jednego końca magazynu na drugi, ze strasznym wyrazem twarzy, załatwiając się szybko z każdym, kto ośmielił się tylko podnieść oczy.

– Co pan tam robi? Czy liczy pan muchy na suficie?... Proszę do kasy!

Wreszcie pewnego dnia chmura gradowa pękła nad głową Hutina. Favier, mianowany zastępcą kierownika, kopał dołki pod zwierchnikiem, aby wysadzić go z zajmowanego stanowiska. Stosował tradycyjną taktykę, robił donosy do dyrekcji, wyzyskiwał każdą nadarzącą się okazję, aby złapać kierownika działu na jakimś przewinieniu. Pewnego dnia Mouret, przechodząc przez dział jedwabi, spostrzegł Faviera zamieniającego etykiety z cenami na sztukach czarnego aksamitu.

– Dlaczego pan obniża ceny? – zapytał. – Kto panu kazał?

Zastępca kierownika, robiący umyślnie dużo szumu wokoło wykonywanej przez siebie pracy, tak jakby chciał zwrócić uwagę przechodzącego dyrektora i przewidywał całą scenę, odpowiedział z miną naiwnie zdziwioną:

– To pan Hutin mi kazał, proszę pana.

– Pan Hutin?!... Gdzie jest pan Hutin?...

Gdy kierownik powrócił z suterenu, przywołany przez jednego z subiektów, rozpoczęła się

żywa wymiana słów. Jak to? Ośmielał się teraz na własną rękę obniżać ceny? Kierownik wyraził najwyższe zdziwienie, tłumaczył się, że wspomniał tylko Favierowi o tej zniżce nie wydając żadnego rozporządzenia. Zastępca zrobił zmartwioną minę pracownika, który czuje się zmuszony zaprzeczyć słowom przełożonego, choć gotów jest wziąć na siebie winę, aby wyciągnąć go z trudnej sytuacji. Sprawa wzięła od razu zły obrót.

– Tylko dyrekcja ma prawo decydować o cenie towarów! – krzyczał Mouret. – Nigdy nie tolerowałem podobnej samowoli... Słyszysz pan, panie Hutin?

Mówił dalej podniesionym głosem, a jego obraźliwy ton zdziwił subiektów, gdyż zazwyczaj takie rozmowy odbywały się na uboczu, zresztą w tym wypadku mogło zajść rzeczywiście jakieś nieporozumienie. Wyczuwali wszyscy, że dyrektor wyładowuje tajoną urazę. Nareszcie przyłapał na przewinieniu subiekta, którego uważano za kochanka Denise. Mógł sobie ulżyć pokazując, kto był tutaj panem. Toteż umyślnie rozdmuchiwał całą sprawę dając do zrozumienia, że ta zniżka cen musiała kryć w sobie niezbyt uczciwe zamiary.

– Miałem przedstawić panu projekt tej zniżki – powtarzał Hutin. – Jest konieczna, pan o tym wie doskonale, ponieważ aksamity wcale nie idą.

Mouret chciał uciąć krótko rozmowę i powiedział twardo:

– Dobrze, zastanowimy się nad tą sprawą... Tylko niech pan nie robi tego po raz drugi, jeśli zależy panu na posadzie u nas.

Po czym odwrócił się do niego plecami. Oszołomiony i wściekły Hutin, nie mając oprócz Faviera nikogo pod ręką, przed kim by wylał swoje żale, przysięgał, że ciśnie swoją dymisję w twarz Mouretowi. Potem nie mówił już o odejściu, tylko wywlekał najokropniejsze zarzuty, jakie kiedykolwiek subiekci podnosili przeciwko swoim przełożonym. Favier bronił się z błyszczącymi oczyma, okazując koledze żywą sympatię. Musiał przecież coś mu powiedzieć, a poza tym, czy można było spodziewać się podobnej awantury o takie głupstwo? Co ugryzło dyrektora, że od jakiegoś czasu stał się taki nieznośny?

– Wiadomo, co go ugryzło – odparł Hutin. – Czy to moja wina, że ta głupia gęś z działu konfekcji wystrychnęła go na dudka?... Widzisz mój drogi w tym cały sęk. On wie, że ja z nią spałem, i to mu się nie podoba; może być, że to ona chce mnie wyrzucić za drzwi, bo jestem dla niej niewygodny... Przysięgam ci, że jeśli jeszcze kiedykolwiek wpadnie w moje ręce, to mnie popamięta.

W dwa dni później, gdy Hutin udał się do pracowni konfekcji, która znajdowała się na poddaszu, aby polecić do pracy jakąś robotnicę, zaskoczył go widok Denise i Deloche'a, opartych o parapet otwartego okna w końcu korytarza i tak zatopionych w rozmowie, że żadne z nich nie odwróciło głowy. Zrazu pomyślał, aby ich zadenuncjować, gdy nagle ze

zdziwieniem spostrzegł, że Deloche płacze. Wycofał się więc bezszelestnie, a spotkawszy na schodach Bourdoncle'a i inspektora Jouve opowiedział im jakąś historię o gaśnicy, której drzwiczki były jakoby oderwane: w ten sposób obaj wejdą na górę i natkną się na tamtych dwoje. Bourdoncle dostrzegł ich pierwszy. Zatrzymał się, polecił inspektorowi biec po dyrektora, sam zamierzał czekać na miejscu. Inspektor musiał usłuchać, był jednak bardzo niezadowolony ze swego udziału w tej historii.

Był to zaciszny zakątek ogromnego budynku, w którym kotłował się cały tłum pracowników magazynu „Wszystko dla Pań”. Dochodziło się doń przez labirynt schodów i korytarzy. Pracownie mieściły się na poddaszu i zajmowały szereg niskich sal mansardowych, z szerokimi, wyciętymi w blaszanym dachu oknami; jedyne ich umeblowanie stanowiły długie stoły i wielkie żelazne piece. Mieściły się tam jedna za drugą pracownie bieliźniarek, koronczarek, tapicerów, szwaczek, przebywających latem i zimą w dusznym powietrzu, wśród specyficznej woni pracowni; aby dostać się do tego ustronnego kąta korytarza, należało przejść wzdłuż całego skrzydła budynku, skręcić na lewo koło szwaczek i po pięciu stopniach wejść na górę. Nieliczne klientki, które sprzedawcy przyprowadzali tu czasem w sprawie jakiegoś zamówienia, z trudem łapały oddech, zmęczone, przerażone, mając wrażenie, że od godziny kręcą się w kółko i są sto mil od ulicy.

Już kilka razy Denise spotykała czekającego tu na nią Deloche'a. Jako zastępczyni kierowniczkii, musiała z obowiązku zajmować się interesami łączącymi dział konfekcji z pracownią, gdzie robiono zresztą jedynie modele i wykonywano drobne poprawki. Zachodziła tam o każdej porze, aby przynieść zamówienia. Deloche śledził ją i pod byle jakim pretekstem biegł w ślad za nią; spotykając ją potem przy drzwiach pracowni krawieckiej, udawał zdziwienie. Bawiło ją to i milcząco godziła się na te schadzki. Korytarz biegł wzdłuż rezerwuaru wody, wielkiego kotła z blachy, o pojemności sześćdziesięciu tysięcy litrów. Na dachu mieścił się jeszcze jeden rezerwar takiej samej pojemności, do którego prowadziła żelazna drabinka. Przez chwilę Deloche rozmawiał z Denise oparłszy się ramieniem o rezerwar – był zawsze osłabiony i wyczerpany. Woda szemrała tajemniczo w kotle, a pokrywająca go blacha drgała jakąś przejmującą melodią. Mimo głębokiej ciszy Denise rozglądała się z niepokojem, zdawało jej się, że widzi jakiś cień czający się na nagich ścianach malowanych najasnozółty kolor. Podchodzili do okna, które ich pociągało, i opierali się o parapet, zagłębiając się w przerywaną śmiechem pogawędkę, wywołując nigdy nie kończące się wspomnienia z kraju dzieciństwa. Przed nimi ciągnął się olbrzymi oszklony dach galerii centralnej, niby szklane jezioro, obrzeżone dalekimi dachami jak skalistym wybrzeżem. Górą rozpościerało się niebo, kopuła nieba, która odbijała w stojącej wodzie szyb

płynące obłoki i jasny błękit lazurowego sklepienia.

Tego dnia Deloche właśnie mówił o Valognes.

– Gdy miałem sześć lat, matka zawiozła mnie bryczką na targ do miasta. Pani wie, że odległość wynosi dobre trzynaście kilometrów, trzeba więc było wyjechać z Briquebec o piątej. W naszych stronach jest tak pięknie. Czy pani zna te okolice?

– Tak, tak – odpowiedziała powoli Denise, ze wzrokiem utkwionym w dal. – Byłam tam raz w dzieciństwie... Po obu stronach drogi ciągną się łąki, prawda? Tu i ówdzie widać pasące się owce, które wloką za sobą sznur zerwanych pęt... – Zamilkła, a potem dorzuciła z lekkim uśmiechem: – U nas drogi biegną prosto, jak strzelił, całymi milami, ocieniają je z obu stron drzewa... Pastwiska otaczają żywopłoty wyższe ode mnie, za którymi pasą się konie i krowy... Jest również rzeczka o lodowatej wodzie, porosła łoziną na brzegach. Pamiętam ją dobrze.

– To tak jak u nas. Tak jak u nas! – wołał Deloche zachwycony. – Wszędzie rośnie trawa, a każdy otacza swoje pastwisko żywopłotem z cierni i wiązów i jest jak u siebie, a wszystko wokoło jest zielone, och, takie zielone jak nigdzie w Paryżu... Mój Boże, ile razy bawiłem się koło wyboistej drogi na lewo, jak się idzie od młyna!

Głosy ich stawały się coraz cichsze, stali ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt, w rozświetlone szklane jezioro. Z tej oślepiającej tafli powstawał przed ich oczami miraż, widzieli nie kończące się połączenie pastwisk, prowincję Cotentin owianą oddechem oceanu, skapaną w świetlistym oparze, który spowijał cały horyzont delikatną szarością akwareli. Na dole, wewnątrz olbrzymiego żelaznego szkieletu, w dziale jedwabiu, huczał rozgwar sprzedaży; maszyna dygotała w pełnym ruchu – cały dom trząsał się od kroków tłumu, od pośpiechu sprzedawców, od samej obecności trzydziestu tysięcy osób, które się tam cisnęły. Oni tymczasem, uniesieni marzeniem, wsłuchiwali się w ten głęboki i głuchy odgłos, od którego drżały dachy, i zdawało im się, że to wiatr od morza kosi trawę i szarpie wielkimi drzewami.

– Mój Boże, panno Denise – mówił błagalnie Deloche – dlaczego pani nie jest mi bardziej przychylna?... Ja panią tak kocham. – Łzy napłynęły mu do oczu i mówił dalej mimo nakazującego milczenie gestu Denise. – Nie, niech mi pani chociaż pozwoli powiedzieć to sobie jeszcze raz... Tak byśmy się doskonale rozumieli. Gdy pochodzi się z tych samych okolic, zawsze ma się temat do rozmowy.

Głos mu się załamał i wówczas ona mogła powiedzieć łagodnie:

– Jest pan nierozsądny, przecież mi pan przyrzekł nie mówić już więcej na ten temat... Wie pan, że to niemożliwe. Mam wiele przyjaźni dla pana, ponieważ jest pan porządnym chłopcem, ale nie chcę się z nikim wiązać.

– Tak, tak, ja wiem – podjął zbolalym głosem – pani mnie nie kocha. Może mi to pani powiedzieć, rozumiem to, nie mam w sobie nic pociągającego... Miałem tylko jedną dobrą godzinę w życiu wtedy wieczorem, gdy spotkałem panią w Joinville, pamięta pani? Pod drzewami, gdy było zupełnie ciemno, przez chwilę wydawało mi się, że pani ramię drży, i w swojej naiwności wyobrażałem sobie...

Ale ona przerwała mu znowu. Jej wyczulony słuch pochwycił odgłos kroków Bourdoncle'a i inspektora Jouve na drugim końcu korytarza.

– Niech pan posłucha, ktoś idzie.

– Ależ nie, zdaje się pani – powiedział nie pozwalając jej odejść od okna. – To woda szumi w rezerwuarze: wydobywają się z niego zawsze jakieś niezwykle pomruki, tak jakby w środku ktoś siedział.

I w dalszym ciągu rozwodził przed nią swoje nieśmiałe i tkliwe żale. Nie słuchała go już, rozmarzona kołyszącym rytmem słów miłosnych, błędząc wzrokiem po dachach magazynu. Na prawo i lewo od oszklonej galerii ciągnęły się inne podobne hale, świecąc w słońcu wśród poddaszy usianych otworami okien i ciągnących się symetrycznie jak skrzydła budynków koszarowych. Metalowa konstrukcja wznosiła się wszędzie, schody i mosty rysowały się ażurem w błękitnym powietrzu; z komina kuchennego wzbijał się gęsty dym jak z fabryki; wielki sześcian rezerwuaru, umocowany na dachu za pomocą żelaznych sztab, wyglądał jak barbarzyński pomnik, wzniesiony w tym miejscu dla zaspokojenia dumy jakiegoś władcy. W oddali szumiał Paryż.

Gdy oczy Denise odwróciły się od tych obrazów, od tego z rozmachem wzniesionego magazynu, wśród którego jej myśli błędziły jak w pustkowiu, spostrzegła, że Deloche trzymają ją za rękę. Denise nie cofnęła jej od razu, widząc jego zmienioną twarz.

– Niech pani się nie gniewa – wyszeptał. – Wiem, że nie mogę mieć żadnej nadziei, ale byłbym zbyt nieszczęśliwy, gdyby pani mnie ukarała odbierając mi swoją przyjaźń... Przysięgam pani, że chciałem pani powiedzieć zupełnie coś innego. Tak, właśnie przyrzekłem sobie, że zrozumie całą sytuację i będę rozsądny... – Łzy spływały mu po policzkach. Starał się mówić spokojniejszym głosem. – Wiem, jaki los przypadł mi w życiu. Nie odmieni się już moje szczęście. Przegrywałem tam, w domu, przegrywam w Paryżu, będę przegrywał wszędzie. Pracuję tutaj cztery lata, i zawsze na szarym końcu... Chciałem pani powiedzieć, żeby pani nie martwiła się z mojego powodu. Nie będę już pani więcej nudził. Niech pani będzie szczęśliwa i pokocha innego. Tak, sprawiłoby mi to wielką radość. Będę szczęśliwy widząc panią szczęśliwą... Znajdę w tym własne szczęście.

Nie mógł mówić dalej. Pieczętując jakby swoje przyrzeczenie, przycisnął usta do ręki

dziewczyny całując ją pokornie jak niewolnik. Denise, bardzo wzruszona, odpowiedziała z siostrzaną czułością, którą łagodziła litość zawartą w słowach:

– Mój biedny chłopcze.

Wzdrygnęli się w tym momencie i odwrócili. Przed nimi stał Mouret.

Od dziesięciu minut inspektor Jouve szukał dyrektora po całym magazynie. Znalazł go wreszcie na terenie robót przy budowie nowej fasady od strony ulicy Dziesiątego Grudnia. Mouret spędzał tam długie godziny usiłując śledzić prace, o których od dawna marzył. Uciekał tu przed zmartwieniami; stawał pośród murarzy wznoszących narożne filary z ciosowego kamienia, kręcił się między ślusarzami montującymi żelazny szkielet. Fasada wyrosła już z fundamentów; można było rozpoznać zarysy wielkich drzwi wejściowych, szerokich okien pierwszego piętra, cały szkic zakrojonego na pałacową skalę budynku. Mouret wspinał się po drabinkach, prowadził dyskusję z architektem w sprawie ornamentów, które miały być całkowicie nowe, skakał poprzez nagromadzone żelastwo i cegły, zapuszczał się aż do fundamentów. Sapanie parowej maszyny, miarowy turkot kołowrotu, huk młotów, rozgwar tłumu robotników przenikający tę wielką klatkę otoczoną skrzypiącymi deskami, oszołamiały go na chwilę. Wychodził stamtąd ubielony tynkiem, czarny od żelaznych opiłek, z nogami opryskanymi wodą z kranów służących do robót murarskich, małą jednak czując ulgę w swym cierpieniu. Udręka powracała, odzywała się w sercu coraz głośniejsze, w miarę jak przycichał za jego plecami gwar budowy. Tego dnia znalazł rozrywkę, która przywróciła mu na jakiś czas wesołość. Zapalił się oglądając album z rysunkami mozaik i emaliowanych terakot, które miały być zastosowane przy dekoracji fryzu. W tej właśnie chwili nadszedł inspektor Jouve, zasapany, zirytowany tym, że brudzi surdut o nagromadzone wszędzie materiały budowlane. Zobaczywszy inspektora Mouret zawołał, że jest zajęty, ale gdy Jouve szepnął mu do ucha kilka słów, zerwał się i poszedł za nim, drżący i znękany. Nic już dla niego nie istniało, fasada mogła się zawalić, nim zostanie wykończona. Na co mu się zda ten największy sukces, ta realizacja jego dumnych zamysłów, jeśli sam dźwięk wymienionego szepsem imienia potrafi sprawić mu tyle bólu.

Na górze Bourdoncle i Jouve uważali, że rozsądniej będzie ulotnić się. Deloche również uciekł. Tylko Denise stała naprzeciwko Moureta; była bledsza niż zazwyczaj, lecz śmiało patrzyła mu w oczy.

– Pozwoli pani ze mną – powiedział twardym głosem.

Szedł przodem i tak przebyli dwie kondygnacje schodów, minęli dział mebli i dywanów nie mówiąc do siebie ani słowa. Gdy znaleźli się przed gabinetem dyrektora, Mouret otworzył szeroko drzwi.

– Niech pani wejdzie.

Zamknął drzwi za sobą i podszedł do biurka. Nowy gabinet dyrektora był urządzony bardziej luksusowo niż dawny, obicie z zielonego aksamitu zastąpiło dawne rypsowe, całą jedną ścianę zajmowała wielka szafa biblioteczna inkrustowana kością słoniową; jedyną ozdobą ścian był, jak dawniej, portret pani Hédouin, młodej kobiety o pięknym, spokojnym obliczu, która uśmiechała się ze złotych ram.

– Chciałem pani powiedzieć – rzekł wreszcie, starając się zachować surowo i chłodno – że są rzeczy, których nie możemy tolerować... Obowiązuje tutaj dobre prowadzenie się...

Zatrzymał się, dobierał starannie słowa, aby nie wybuchnąć gniewem, który wzbierał w nim coraz silniej. Tego więc chłopaka kochała Denise, tego lichego sprzedawcę, przedmiot kpin całego działu. Tego najnędniejszego i najniezręczniejszego ze wszystkich woląa od niego, od dyrektora! Widział ich przecież na własne oczy, pozwalała mu całować się po rękach.

– Byłem zawsze dla Pani bardzo dobry – mówił dalej z coraz większym wysiłkiem. – Nie spodziewałem się, że odpłaci mi pani w ten sposób.

Przekroczywszy próg gabinetu dyrektora Denise patrzyła jak zahipnotyzowana na portret pani Hédouin; mimo nurtującego ją wielkiego niepokoju obraz przykuwał jej uwagę. Za każdym razem, gdy wchodziła do gabinetu dyrektora, wzrok jej krzyżował się ze wzrokiem tej namalowanej pani. Bała jej się trochę, ale czuła, że to jest dobra istota. Tym razem czuła w niej jakby duszę opiekuńczą.

– Rzeczywiście, panie dyrektorze – odpowiedziała cicho – zawiniłam rozmawiając z tym chłopcem i bardzo pana za to przepraszam... On pochodzi z tej samej okolicy co ja...

– Ja go wyrzucę! – zawołał Mouret wyładowując w tym wściekłym okrzyku cały swój ból.

I wstrząśnięty, wychodząc z roli dyrektora napominającego winną jakiegoś przestępstwa ekspedientkę, wybuchnął całą falą gwałtownych słów. Czy nie miała za grosz wstydu? Pozwalać na coś podobnego takiemu typowi? Potem zasypał ją okrutnymi zarzutami, wypomnił jej Hutina i innych w tak nieprzerwanym potoku słów, że nawet nie mogła się bronić. Groził, że wyrzuci wszystkich z firmy. Surowe napomnienie, jakie miał zamiar dać młodej dziewczynie, gdy szedł za inspektorem, zmieniło się w brutalną scenę zazdrości.

– Tak, pani kochankowie... Mówiono mi, a ja byłem głupi, że nie wierzyłem... Tylko ja, tylko ja jeden byłem naiwny!

Denise słuchała tych strasznych zarzutów z zapartym tchem, niezdolna wymówić słowa. Nie zrozumiała ich z początku. Mój Boże! Więc brał ją za jedną z tych bezwstydnie? Po jednym z ostrzejszych słów skierowała się, milcząc, ku drzwiom. Na wstrzymujący ją gest

dyrektora odpowiedziała:

– Niech pan mnie nie zatrzymuje, muszę odejść... Jeśli pan mnie uważa za taką, jak pan mówi, to ani chwili nie zostanę dłużej w pańskiej firmie.

Mouret rzucił się do drzwi.

– Niechże się pani przynajmniej broni! Niech pani coś powie.

Stała wyprostowana wśród mrożącej krew w żyłach ciszy. Zarzucał ją gorączkowymi pytaniami, niepokój jego wciąż wzrastał; pełna milczącej godności postawa tej niewinnej istoty mogła równie dobrze uchodzić za sprytną sztuczkę kobiety doświadczonej w grze miłosnej. Nie mogła obrać lepszej taktyki niż tę właśnie, która rzucała go do jej stóp, im straszliwiej bowiem targaly nim wątpliwości, tym goręcej pragnął, by rozwiąła jego obawy.

– Pani powiedziała, że on pochodzi z tych samych stron co pani... Może spotykaliście się już kiedyś w Valognes... Niech mi pani przysięgnie, że nic was nie łączy... – Wobec jej uporczywego milczenia i silnego postanowienia wyjścia z gabinetu, Mouret stracił do reszty głowę i wybuchnął najgłębszym bólem:

– Mój Boże! Kocham panią, kocham... Czemu pani znajduje przyjemność w dręczeniu mnie do tego stopnia? Widzi pani, że nic dla mnie nie istnieje, że ludzie, o których pani mówiłem, obchodzą mnie tylko dlatego, że są związani z pani osobą, że tylko pani, jedyna na świecie, ma dla mnie znaczenie... Myślałem, że pani jest zazdrosna, i dlatego wyrzekłem się wszelkich rozrywek. Powiedziano pani, że mam kochanki; nie mam już ani jednej, rzadko wychodzę z domu. Czy nie dość wyraźnie dałem pani pierwszeństwo podczas tamtej sceny u pani Desforges? Czy nie zerwałem z nią, żeby należeć tylko do pani? Zasłużyłem sobie chyba na odrobinę wdzięczności... Jeśli się pani obawia, że powrócę do tamtej, to niech się pani uspokoi; kobieta ta mści się teraz, pomagając jednemu z naszych dawnych współpracowników do założenia konkurencyjnej firmy... Czy mam upaść przed panią na kolana, aby wzruszyć pani serce?

Gotów był to zrobić. On, który nie tolerował najmniejszego przewinienia u swych ekspedientek i wyrzucał je na bruk dla kaprysu, poniżał się do błagania jednej z nich, aby nie odchodziła, aby nie opuszczała go w nieszczęściu. Zasłonił sobą drzwi i gotów był jej przebaczyć, udawać ślepego, gdyby tylko zechciała kłamać. Mówił szczerą prawdę: dość już miał dziewczyn poznawanych za kulisami małych teatrzyków i w nocnych restauracjach, nie spotykał się już z Klarą, noga jego nie postąpiła więcej u pani Desforges, gdzie panował teraz Bouthemont w przededniu otwarcia własnego magazynu, mającego nosić nazwę „Aux Quatre Saisons”, którego reklamy zapełniały już całe strony dzienników.

– Czy mam paść przed panią na kolana? – powtórzył z gardłem ściśniętym od

powstrzymywanych łez.

Zatrzymała go ruchem ręki, nie mogąc ukryć wzruszenia, wstrząśnięta do głębi tym pełnym bólu uczuciem.

– Niepotrzebnie się pan tak dręczy – powiedziała w końcu. – Przysięgam panu, że te wstrętne historie są tylko kłamstwem... Ten biedny chłopiec, z którym rozmawiałam przed chwilą, jest tak samo niewinny jak ja.

Twarz jej wyrażała szczerą, a jasne oczy patrzyły prosto przed siebie.

– Dobrze, wierzę pani – powiedział cicho. – Nie oddalę żadnego z pani kolegów, ponieważ pani bierze ich w obronę... Ale dlaczego w takim razie odpycha mnie pani, jeśli pani nikogo nie kocha?

Dziewczyna zmieszana się nagle, owładnięta wstydlivością i niepokojem.

– Więc pani kogoś kocha, prawda? – podjął znowu drżącym głosem. – Może mi pani śmiało powiedzieć, nie mam przecież żadnego prawa do pani uczucia. Pani kogoś kocha?

Zaczerwieniła się mocno, słowa cisnęły się jej na usta, czuła, że nie jest zdolna skłamać, gdyż wszystko sprzysięgło się, aby ją zdradzić: wzruszenie i ta niechęć do kłamstwa, i twarz wbrew jej woli mówiąca prawdę.

– Tak – przyznała się bardzo cicho. – Ale błagam pana, niech mnie pan już nie męczy, robi mi pan wielką przykrość.

Teraz ona cierpiała. Czy nie dość tego, że musiała bronić się przed nim? Czy miała teraz bronić się przed samą sobą, przed gorącym tchnieniem miłości, które odbierało jej chwilami całą odwagę? Kiedy do niej mówił, kiedy patrzyła na jego wzruszenie i niepokój, nie wiedziała już właściwie, czemu się opiera: dopiero po chwili odnajdowała w głębi swojej zdrowej istoty dumę i rozsądek, które kazały jej pozostać uczciwą. Opierała się, wiedzona instynktem szczęścia, dążeniem do spokoju życia, a nie dla samego pojęcia cnoty. Byłaby padła w jego ramiona i oddała mu całą siebie, ciało i serce, gdyby nie jakiś opór wewnętrzny graniczący ze wstrętem na myśl o ofiarowaniu całej swojej istoty człowiekowi, który może nazajutrz stanie się jej obcy... Myśl o oddaniu się kochankowi napawała ją strachem, obłędny strachem, który każe blednąć kobietom na widok zbliżającego się mężczyzny.

Mouret sposepniał i uczynił gest najwyższego zniechęcenia. Nie rozumiał Denise. Powrócił do biurka, zaczął przerzucać papiery, które natychmiast położył z powrotem i powiedział:

– Nie zatrzymuję już pani, nie mogę postępować wbrew pani woli!

– Ale ja wcale nie chcę odejść – odpowiedziała uśmiechając się Denise.

– Jeśli tylko jest pan przekonany o mojej uczciwości, to zostaję... Trzeba zawsze wierzyć

uczciwym kobietom, proszę pana... A zapewniam pana, że jest takich wiele.

Oczy Denise zwróciły się bezwiednie na portret pani Hédouin, tej pięknej i mądrej pani, której krew, jak mówiono, przyniosła szczęście magazynowi. Mouret poszedł za jej wzrokiem i zadrżał, gdyż zdawało mu się, że zdanie to wypowiedziane zostało przez jego zmarłą żonę – tak bardzo było dla niej charakterystyczne, jakby tamta zmartwychwstała. Odnalazł nagle w Denise rozsądek i równowagę tej kobiety, którą stracił, nawet podobny łagodny głos. taką samą oszczędność słowa. Zaskoczony, posmutniał jeszcze bardziej.

– Pani wie, że należę do pani – wyszeptał na zakończenie. – Może pani ze mną zrobić, co się pani podoba.

Wówczas Denise powiedziała wesoło:

– Więc dobrze, zgadzam się. Zdanie najskromniejszej kobiety zasługuje zawsze na to, aby je wysłuchać, jeśli kobieta ta ma odrobinę rozumu... Zrobię z pana porządnego człowieka, jeżeli zechce pan oddać się w moje ręce.

Żartowała ze swobodnym uśmiechem, który miał tyle uroku. Mouret uśmiechnął się też lekko i odprowadził ją do drzwi, jakby była damą z towarzystwa.

Nazajutrz Denise dostała nominację na kierowniczkę działu. Dyrekcja rozdzieliła salon sukien i kostiumów tworząc dla Denise specjalny dział ubranek dziecięcych, który umieszczono tuż obok konfekcji damskiej. Od czasu wydalenia syna pani Aurelia umierała ze strachu, wyczuwała bowiem oziębłość panów z dyrekcji w stosunku do siebie, a jednocześnie widziała wzrastające z dnia na dzień znaczenie młodej dziewczyny. Czy nic pozbędą się jej dla tamtej pod byle pretekstem? Jej tłusta i nalana twarz, podobna do woskowej maski Cezara, jakby schudła ze wstydu, który splamił całą dynastię Lhomme'ów. Wychodziła teraz codziennie wieczorem pod rękę z mężem czując się związana z nim nieszczęściem, które ich spotkało: może teraz dopiero oboje zdali sobie sprawę, że zło spowodowane zostało rozbiciem ich domowego ogniska. Biedny człowiek, bardziej jeszcze od żony dotknięty, żył teraz w ustawicznej trwodze, żeby nie być posądzonym o kradzież, i ostentacyjnie przeliczał po dwakroć wpływy codzienne, dokonując cudów zręczności swoją okaleczała ręką. Gdy więc pani Aurelia dowiedziała się, że Denise została kierowniczką działu ubranek dziecięcych, ucieszyła się bardzo i zaczęła okazywać dziewczynie najwyższą sympatię. Jak to było pięknie z jej strony, że nie zabrała jej stanowiska! Obsypywała Denise oznakami przyjaźni, traktowała ją odtąd jak równą sobie, często zachodziła na pogawędkę do sąsiedniego działu i robiła to w sposób uroczysty, podobnie jak królowa matka odwiedza młodą królową.

Denise była teraz u szczytu powodzenia. Nominacja na kierowniczkę działu ostatecznie

pokonała resztki oporu wśród personelu. Jeśli plotkowano jeszcze na jej temat, to tylko tak, jak zwykle się dzieje, gdy zejdą się razem mężczyźni i kobiety i świerzbi ich język. Kłaniano jej się natomiast bardzo nisko, aż do ziemi. Małgorzata, która została zastępczynią kierowniczką w dziale konfekcji, rozpływała się w pochwałach. Nawet Klara, ulegając głuchemu nakazowi szacunku wobec powodzenia, którego sama nie potrafiła zdobyć, chyliła głowę, pokonana. Lecz jeszcze pełniejsze było zwycięstwo Denise nad mężczyznami. Inspektor Jouve odzywał się teraz do niej zgięty we dwoje, Hutin był poważnie zaniepokojony czując, że ziemia usuwa mu się spod nóg, Bourdoncle zdał sobie wreszcie sprawę, że jest bezsilny. Gdy naczelny inspektor zobaczył Denise wychodzącą z gabinetu dyrektora z uśmiechem na twarzy, zupełnie spokojną, i gdy nazajutrz dyrektor wymógł na posiedzeniu rady stworzenie nowego działu, uległ, zdjęty zabobonnym lękiem przed kobietą. Zwykle ustępował wobec zniewalającego uroku Moureta. Uznawał go za swojego pana, mimo że jego genialna pomysłowość wyczerpywała się czasem i mimo że zdarzały mu się niefortunne przygody miłosne. Tym razem kobieta okazała się silniejsza i Bourdoncle oczekiwał tylko, kiedy zdmuchnie go zbliżająca się katastrofa.

Denise przyjmowała swoje zwycięstwo w sposób spokojny i pełen wdzięku. Wzruszyły ją oznaki szacunku, widziała w nich nagrodę za początkowe niepowodzenia i ostateczny sukces wytrwałej odwagi. Przyjmowała też wesoło i z uśmiechem najłżejsze nawet dowody przyjaźni; jej słodycz i serdeczność, gotowość do szczerych porywów serca wywołały u niektórych ludzi prawdziwą dla niej sympatię. Jedyne w stosunku do Klary odczuwała nieprzewycięzoną niechęć, ponieważ dowiedziała się, że ta dziewczyna zabawiła się kosztem jej kuzynki, wprowadziła w czyn projekt, który jej kiedyś żartem przyszedł do głowy, i któregoś wieczora zaprosiła do siebie Colombana; subiekt spędzał teraz nocę poza domem, pochłonięty zaspokojoną wreszcie namiętnością, zaś smutna Genowefa umierała z rozpacz. W magazynie „Wszystko dla Pań” mówiono o tym jak o bardzo zabawnej historii.

Zmartwienie to jednak nie wpływało na zmianę równego usposobienia Denise. Trzeba ją było widzieć w jej dziale pośród tłumu dzieci różnego wieku. Uwielbiała je i na żadnym stanowisku nie czułaby się lepiej. Czasami widywało się tam do pięćdziesięciu dziewczynek i tyluż chłopców, całą hałaśliwą szkółkę zarażoną bakcylem budzącej się kokieterii. Matki traciły głowę. Ona natomiast, z uśmiechem łagodząc spory, sadowiła całe to bractwo rzędem na krzesłach. Gdy w grupce dzieci znalazła się jakaś dziewczynka z różową, ładną buzią, obsługiwała ją sama, przynosiła sukienkę, wkładała ją na tłusciutkie ramionka z troskliwością starszej siostry. Rozbrzmiewały głośnie śmiechy, rozlegały się lekkie okrzyki zachwytu wśród nawołujących do spokoju głosów. Czasami widziało się tam dziewięć- lub dziesięcioletnią

dziewczynkę, która przymierzając jakieś sukienne paletko przeglądała się w lustrze i obracała się z zaabsorbowaną miną, a oczy jej błyszczały chęcią podobania się. Powyjmowane nowe ubrania gromadziły się na ladach: sukienki z różowej lub niebieskiej sarpinki dla dzieci w wieku od roku do pięciu lat, ubranka marynarskie z zefiru, plisowane spódniczki i bluzeczki ozdobione aplikacjami z piki, kostiumiki w stylu Ludwika XV, płaszczyki, żakieciki, najrozmaitsze ubrania małych rozmiarów, sztywne w swym dziecinnym wdzięku – niby garderoba tłumu wielkich lalek, wydobyta z szaf i oddana na pastwę rabusiów. Denise miała zawsze w kieszeni jakieś łakocie i za ich pomocą uspokajała rozpacz niejednego berbecia zapłakującego się z powodu niemożności zabrania do domu, na przykład, czerwonych spodenek. Żyła wśród dzieci, jakby należały one do jej rodziny, czując się jeszcze młodszą pośród tych wciąż na nowo napływających świeżych, niewinnych istot, kręcących się wokół niej.

Zdarzało się teraz, że prowadziła długie przyjacielskie rozmowy z Mouretem. Gdy udawała się do dyrekcji, aby otrzymać polecenia lub złożyć sprawozdanie – Oktaw zatrzymywał ją na pogawędkę, lubił słuchać, jak mówi. To właśnie nazywała ze śmiechem „robieniem z niego porządnego człowieka”. W tej pełnej rozsądku i przezorności normandzkiej głowie rodziły się najrozmaitsze pomysły, myśli o nowym systemie handlu, które już kiedyś ośmieliła się wypowiedzieć u Robineau i z których kilka wyraziła owego pięknego wieczora podczas przechadzki w ogrodzie Tuileryjskim. Gdy sama coś robiła lub gdy przyglądała się cudzej pracy, czuła nieprzewycięzoną potrzebę usystematyzowania jej, ulepszenia jej mechanizmu. Od chwili objęcia posady raził ją boleśnie niepewny los subiektów: oburzało ją wydalanie z pracy bez uprzedniego wymówienia, uważała ten system za niewłaściwy i niesprawiedliwy, wręcz szkodliwy zarówno dla firmy, jak i dla personelu. Pamiętała cierpienia, jakich doznała w początkowym okresie, litość ścisła jej serce, gdy patrzyła na jakąś nowo przybyłą ekspedientkę. Wczuwała się w jej cierpienia, wiedziała, że bola ją nogi, widziała łzy w oczach, całą nędzę zamaskowaną jedwabną suknią, a powiększaną jeszcze zgryźliwym prześladowaniem ze strony starych ekspedientek. To życie wiecznie bitego psa paczyło nawet najlepsze charaktery. Jaki los czekał panny sklepowe? Zanim osiągnęły czterdziesty rok życia, padały ofiarą swojego zawodu, znikwały, przepadały nie wiadomo gdzie, umierały z wyczerpania, suchot lub anemii, z przepracowania i braku świeżego powietrza. Niektóre staczały się do rynsztoka. Najszczęśliwsze wychodziły za mąż i zakopywały się w jakimś małym, prowincjonalnym sklepie. Czy takie marnowanie istnień ludzkich, pochłanianych corocznie przez wielkie magazyny, było dobre i sprawiedliwe? Denise brała w obronę kółka wielkiej maszyny, nie odwoływała się jednak do względów

uczuciowych, lecz przemawiała w imię interesów pracodawcy. Jeśli się chce, aby maszyna funkcjonowała bez zarzutu, żelazo, z którego ją skonstruowano, musi być w pierwszorzędnym gatunku; jeśli żelazo pęka lub jeśli się je kruszy, maszyna staje i ponowne puszczenie jej w ruch połączone jest z wielkimi kosztami i stratą energii. Denise zapalała się, chwilami widziała w wyobraźni wielki idealny bazar, falanster handlu, gdzie każdy otrzymywałby przypadającą na niego stosownie do zasług część dochodu, gdzie pracownicy mieliby zapewnioną przyszłość, zagwarantowaną kontraktem. Mimo trawiącej go gorączki, Mouret wpadał podczas tych rozmów w dobry humor. Oskarżał ją o socjalizm i wprawiał w zakłopotanie przedstawiając trudności wprowadzenia w czyn jej pomysłów; dziewczyna bowiem mówiła z całą naiwnością i z pełnym zaufaniem zdawała się na przyszłość, gdy u kresu drogi wytyczonej przez swe tkliwe serce dostrzegła niebezpieczną pustkę. Ten młody głos, drżący jeszcze od doznanych krzywd, brzmiał jednak tak przekonywająco, gdy roztaczała obraz reform zmierzających do ugruntowania pomyślności firmy, że wstrząsał Mouretem i czarował go. Słuchał jej słów i żartując odpowiadał, że los pracowników stopniowo się poprawia, gdyż zamiast zwalniać ich masowo z pracy, udziela się im urlopu w okresie martwego sezonu; zapowiadał też założenie kasy wzajemnej pomocy, która zabezpieczy ich przed skutkami ewentualnego bezrobocia oraz zapewni emeryturę. Był to zarodek wielkich organizacji robotniczych XX wieku.

Denise zresztą nie tylko usiłowała zagoić rany, od których kiedyś sama cierpiała; była też inicjatorką subtelnych pomysłów, które wprowadzone w czyn przez Mouretea zachwyciły całą klientelę. Sprawiała także wiele radości staremu kasjerowi Lhomme, popierając projekt, o którym dawno marzył, stworzenia zespołu muzycznego. Członkami tego zespołu mieli być wyłącznie pracownicy magazynu, wybrani spośród najmuzykalniejszych. W trzy miesiące później Lhomme liczył w swej orkiestrze stu dwudziestu ludzi, nad którymi objął kierownictwo. Spełniło się marzenie jego życia. Zorganizowano wielką uroczystość, na terenie magazynu odbył się koncert, a potem bal, w celu zaprezentowania klienteli i całemu światu zespołu muzycznego firmy. Zainteresowały się tym dzienniki, a nawet Bourdoncle, nie rozumiejąc z początku celu tych innowacji, musiał ulec, oszołomiony ogromną reklamą. Zainstalowano następnie salę gry dla subiektów: dwa bilardy, stoły do gry w triktraka i w szachy. Wiezorami odbywały się w firmie kursy języka angielskiego i niemieckiego, gramatyki, arytmetyki i geografii; zorganizowano nawet lekcje jazdy konnej i szermierki. Założono bibliotekę i oddano dziesięć tysięcy tomów do dyspozycji pracowników. Otwarto przychodnię lekarską, w której udzielano bezpłatnych porad. Zainstalowano łaźnię, bufety i salon fryzjerski. W magazynie skupiało się obecnie całe życie, można było wszystko

otrzymać na miejscu: naukę, jedzenie, spanie, odzienie. Magazyn „Wszystko dla Pań” – wzniesiony w samym środku wielkiego Paryża, podziwiającego rozgwar tego ogromnego ośrodka pracy, wyrosłego na śmietniku starych uliczek, do których wreszcie dotarły promienie słońca – był samowystarczalny: znaleźć w nim można było wszelkie przyjemności i zaspokoić wszystkie potrzeby życiowe.

O Denise urobiono sobie obecnie zupełnie nową i bardzo przychylną opinię. Bourdoncle w rozmowach z zaufanymi powtarzał z rozpaczą, że wiele by dał za to, gdyby mógł ją osobiście zaprowadzić Mouretowi do łóżka, powszechnie więc zapanowało przekonanie, że Denise nie uległa pryncypałowi i że cała jej władza była właśnie rezultatem tej odmowy. Odtąd stała się popularna. Pracownicy zdawali sobie sprawę, że wszystkie udogodnienia zawdzięczają jej właśnie, i podziwiali siłę woli młodej dziewczyny. Nareszcie znalazł się ktoś, kto przykrócił cugli dyrektorowi:

Denise mściła się za nich wszystkich i umiała wydobyć od Moureta coś więcej niż obietnice. Znalazła się wreszcie kobieta, która zdołała zmusić dyrektora do szanowania wszystkich biedaków! Gdy przechodziła teraz przez poszczególne działy magazynu, subiekci, patrząc na jej delikatne rysy, w których malował się upór, na jej łagodny, a jednocześnie stanowczy wyraz twarzy, uśmiechali się do niej i byli z niej dumni, chętnie szczyliciby się nią publicznie. Denise, szczęśliwa, poddawała się tej wzrastającej wciąż sympatii. Mój Boże! Jak to się stało? Widziała się, jakby to było wczoraj, w skromnej sukience, zalęknioną, zagubioną pośród trybów straszliwej maszyny; przez długi czas miała uczucie, że jest niczym, marnym ziarnkiem prosa, które dostało się między koła młyńskie ścierające wszystko na proch. Dziś była duszą tego świata, ona jedna miała znaczenie, jednym słowem mogła przyśpieszyć lub zatrzymać bieg tego kolosa, który spoczywał, pokonany, u jej stóp. Nie chciała przecież tego, przyszła tutaj szukać pracy bez żadnego wyrachowania, uzbrojona tylko w swój wdzięk. To, że potrafiła sobie zdobyć taki autorytet, dziwiło ją niekiedy i niepokoiło zarazem: dlaczego wszyscy jej słuchali? Nie była wcale ładna, nie robiła też nikomu krzywdy. Potem uśmiechała się do siebie, uspokojona, czując, że dobroć i rozsądek oraz zamiłowanie do prawdy i logiki są jej jedyną siłą.

Jedną z wielkich radości Denise, gdy doszła do szczytu powodzenia, była możliwość okazania pomocy Paulinie. Bielizniarka była w poważnym stanie i drżała o posadę, ponieważ w ciągu ostatnich dwu tygodni dwie spośród ekspedientek musiały porzucić pracę w siódmym miesiącu ciąży. Dyrekcja nie tolerowała podobnych wypadków, macierzyństwo było traktowane jako coś kłopotliwego i nieprzyzwoitego; w najlepszym razie pozwalano ekspedientkom wyjść za mąż, lecz zabraniano im mieć dzieci. Paulina miała co prawda męża,

który pracował w tej samej firmie, nie zmieniało to jednak faktu, że jej praca w dziale bielizny stawała się z powodu zniekształconej figury niemożliwa. Aby jak najbardziej opóźnić przypuszczalne wydalenie, ścisła się gorsetem aż do utraty tchu, postanawiając ukrywać swój stan tak długo, jak długo będzie to możliwe. Jedną ze zwolnionych niedawno ekspedientek z powodu takiego właśnie ścisania się w pasie urodziła martwe dziecko i lekarze nie mieli nadziei utrzymania przy życiu jej samej. Bourdoncle przypatrywał się szarej cerze Pauliny i zauważył, że chód jej stał się ociężały i sztywny. Pewnego dnia rano znajdował się właśnie niedaleko, przy dziale wypraw ślubnych, gdy jakiś chłopiec sklepowy podnosząc ciężką paczkę trącił Paulinę tak silnie, że krzyknęła łapiąc się za brzuch. Wyprowadził ją natychmiast, zmusił do wyznania prawdy i przedłożył jej sprawę radzie akcjonariuszy, proponując natychmiastowe zwolnienie pod pretekstem, że powinna wyjechać na świeże powietrze. Tłumaczył, że cała historia mogłaby się roznieść i wyrzucić bardzo złe wrażenie na klienteli, gdyby nastąpiło poronienie, tak jak się już zdarzyło w zeszłym roku w dziale wyprawek dziecięcych. Mouret, który był nieobecny na tym posiedzeniu, miał się wypowiedzieć w tej sprawie dopiero wieczorem. Denise zdążyła więc uprzedzić go o tym, wstawiając się za przyjaciółką, i dyrektor zamknął usta generalnemu inspektorowi argumentem, że wydalenie Pauliny byłoby sprzeczne z interesami firmy. Takie postępowanie wywołałoby bunt wśród matek i uraziło uczucia macierzyńskie młodych klientek. Zostało więc uroczystie postanowione, że każda zamężna ekspedientka, która spodziewa się dziecka, zostanie oddana pod opiekę akuszerki, z chwilą gdy jej obecność w dziale będzie raziła dobre obyczaje.

Nazajutrz Denise weszła na piętro, aby odwiedzić w szpitaliku Paulinę, która po doznanych wstrząsach musiała położyć się do łóżka. Bieliźniarka ucałowała ją serdecznie w oba policzki.

– Jaka ty jesteś kochana! Bez twojego wstawiennictwa wyrzuciliby mnie na ulicę... Ale nie się nie martw, doktor zapewnia, że to uderzenie nie pociągnie za sobą żadnych złych następstw.

Baugé, który na chwilę wymknął się ze swego działu, siedział przy żonie po drugiej stronie łóżka. Wybąkał jakieś podziękowanie, zmieszany obecnością Denise, którą uważał teraz za osobę u szczytu kariery i jakby należącą do wyższej klasy społecznej. Jeśli usłyszy jeszcze kiedyś jakieś świństwa pod jej adresem, to potrafi zamknąć buzię tym zazdrośnikom. Paulina odesłała go do pracy.

– Mój drogi biedaku, mówisz same głupstwa... Idź już, pozwól nam porozmawiać – dodała odpychając go łagodnie.

Szpitalik mieścił się w długim, jasnym pokoju i liczył dwanaście łóżek ozdobionych

białymi firankami. Korzystały tutaj z opieki lekarskiej pracownicy mieszkające w magazynie, jeśli nie wyraziły życzenia powrotu do rodziny. Tego dnia tylko Paulina znajdowała się na sali. Łóżko jej stało przy jednym z wielkich okien wychodzących na ulicę Neuve-Saint-Augustin. Zaczęła się natychmiast wymiana zwierzeń i czułych słów wypowiedzianych szeptem. Pościel lśniła nieskazitelną białością, senne powietrze przesycone było lekkim zapachem lawendy.

– A więc on robi jednak wszystko, co ty chcesz?... Jaka ty jesteś okrutna, że sprawiasz mi tyle przykrości. Wyłumacz mi to, skoro już się ośmieliłam poruszyć ten temat. Czy ty go nienawidzisz?

Zatrzymała rękę Denise, która siedziała przy łóżku. Dziewczyna zmieszana się nagle, rumieniec wypłynął na jej policzki i pod wpływem bezpośredniego i nieoczekiwanego pytania załamała się. Zdradziła swoją tajemnicę; chowając głowę w poduszkę, wyszeptwała:

– Ja go kocham!

Paulina spojrzała na nią z osłupieniem.

– Jak to? Kochasz go? To przecież takie proste, powiedz: „tak”.

Denise z twarzą ciągle ukrytą w poduszce zaprzeczyła energicznym potrząśnięciem głowy. Mówiła: „Nie”, właśnie dlatego, że go kochała, nie wyjaśniając tego bliżej. To było rzeczywiście śmieszne, ale co zrobić, kiedy tak czuła i nie mogła postępować inaczej. Zdziwienie przyjaciółki wzrosło jeszcze bardziej. W końcu zapytała:

– Więc robisz to dlatego, żeby się z tobą ożenił?

Denise wyprostowała się gwałtownie. Była głęboko wstrząśnięta.

– On! Ożenić się ze mną? Och, nie, nie!... Przysięgam ci, że nigdy nie myślałam o tym... Nie, nigdy takie wyrachowanie nie powstało w mojej głowie, a wiesz, jak nienawidzę kłamstwa.

– Moja droga – odpowiedziała łagodnie Paulina – postępujesz tak, jak byś właśnie tego chciała... To się będzie musiało jakoś wreszcie skończyć i nie widzę innego wyjścia jak małżeństwo, skoro stanowczo nie zgadzasz się na inną kombinację... Słuchaj, muszę cię uprzedzić, że wszyscy są mojego zdania: wszyscy są przekonani, że dlatego tak długo każesz mi czekać, aby zaprowadzić go przed ołtarz... Mój Boże! Jaka z ciebie śmieszna kobieta!

Musiała pocieszać Denise, która znowu ukryła twarz w poduszkę i płakała powtarzając, że będzie musiała chyba odejść, ponieważ ciągle przypisują jej niesłusznie najrozmaitsze intencje, które jej nawet nigdy nie powstały w głowie. Bez wątpienia, jeśli mężczyzna kocha kobietę, to powinien się z nią ożenić. Ale ona nie żądała niczego, nie rządziła się żadnym wyrachowaniem, pragnęła tylko gorąco, żeby jej pozwolili żyć spokojnie z jej smutkami i

radościami, tak jak żyje każdy człowiek. Nie ma innej rady, musi stąd odejść.

W tej samej chwili Mouret przechodził przez magazyn. Oglądał roboty, aby znaleźć zapomnienie. Upływały miesiące, fasada wznosiła się w posagowych liniach, ukryta jeszcze przed okiem publiczności zasłoną z desek. Cała armia dekoratorów rozpoczynała pracę: układano marmury, fajanse i mozaiki. Złożono środkową grupę wznoszącą się nad drzwiami, na szczycie fasady zaś umocowano już podstawy pod posągi, które miały symbolizować przemysłowe miasta Francji. Wzdłuż ulicy Dziesiątego Grudnia, niedawno oddanej do użytku publicznego, stały od rana do wieczora całe tłumy gapiów z głową zadartą do góry, nie widząc co prawda nic, lecz zaciekawione tymi cudami, jakie opowiadano o fasadzie, której odsłonięcie miało zrewolucjonizować cały Paryż. I na tym właśnie terenie, tętniącym gorączkową pracą, wśród artystów, którzy wykańczali wymarzony przez niego budynek, wzniesiony rękami murarzy, Mouret odczuł tak gorzko – jak nigdy jeszcze – marność całego swojego majątku. Myśl o Denise ścisnęła mu nagle serce, myśl, która bez ustanku przejmowała go płomieniem jak dojmujący ból spowodowany śmiertelną chorobą. W obawie, że wybuchnie płaczem, uciekł z terenu robót nie wyraziwszy ani słowa pochwały dla pracujących i pozostawiając za sobą niesmak, jaki wzbudził w nim widok odniesionego triumfu. Fasada wydawała mu się teraz mała, podobna do zamków z piasku, jakie budują chłopcy, i gdyby nawet ciągnęła się od jednego przedmieścia Paryża do drugiego i sięgała gwiazd, i tak nie zapełniłaby pustki jego serca, którą jedno słowo: „Tak”, wypowiedziane przez tę dziewczynę mogło wypełnić po brzegi.

Gdy Mouret powrócił do swojego gabinetu, dusił się od powstrzymywanych łez. Czego ona chce? Nie śmiał już ofiarowywać jej pieniędzy, budziła się już w jego mózgu myśl o małżeństwie, choć młody wdowiec jeszcze się przeciw niej buntował. Wśród nerwowych zmagania z własną bezsilnością płynęły mu z oczu łzy. Czuł się bardzo nieszczęśliwy.

XIII

Pewnego listopadowego dnia Denise wydawała właśnie pierwsze zarządzenia w swoim dziale, kiedy służąca państwa Baudu przyszła z wiadomością, że panna Genowefa czuła się bardzo źle tej nocy i że koniecznie chce się z kuzynką zobaczyć. Od jakiegoś czasu biedna dziewczyna czuła się z dnia na dzień słabsza i musiała położyć się do łóżka.

– Proszę powiedzieć, że natychmiast tam przyjdę – odpowiedziała Denise bardzo zaniepokojona.

Ciosem, który dobił Genowefę, było nagle zniknięcie Colombana. Namówiony przez Klarę, pewnego rana nie wrócił do domu; ulegając szaleństwu pożądania, jak to się zdarza skrytym i porządnie prowadzącym się chłopcom, stał się tej dziewczynie posłuszny niby pies i któregoś poniedziałku nie wrócił do pracy, ograniczając się jedynie do napisania: listu pożegnalnego, którego słowa dobrał starannie jakby przed samobójstwem. Być może, na dzień tego miłosnego zaślepienia tkwiło także wyrachowanie sprytnego młodzieńca, który rad był wycofać się z niefortunnego małżeństwa; sklep sukienniczy był, podobnie jak jego narzeczona, bliski śmierci, nadeszła więc odpowiednia chwila, aby zerwać pod byle jakim pretekstem. Wszyscy uważali teraz Colombana za ofiarę zgubnej miłości.

Gdy Denise przyszła do starego sklepu „Manufaktury z Elbeuf”, zastała panią Baudu samą. Siedziała nieruchomo za kasą, z bladą jak zwykle, wycieńczoną przez anemię twarzą, pilnując ciszy i pustki. Nie było ani jednego subiekta, służąca odkurzała miotełką półki; państwo Baudu zastanawiali się już nawet, czy nie zastąpić stałej pomocnicy domowej przez dochodzącą posługaczkę. Chłodny mrok spływał z sufitu. Mijały całe godziny, zanim jakaś klientka rozproszyła te cienie, a zalegające półki towary, których nie ruszano, pokrywała coraz grubsza warstwa saletry wydzielającej się z murów.

– Co się stało? – zapytała żywo Denise. – Czy to coś groźnego?

Pani Baudu długo nie dawała odpowiedzi. Oczy jej nabiegły łzami.

Potem wyjąkała:

– Nic nie wiem, nic mi nie chcą powiedzieć... Ale to już koniec, to już koniec...

Załzawionymi oczyma wodziła dokoła mrocznego sklepu, jakby w przeczuciu, że i córkę, i dom utraci jednocześnie. Siedemdziesiąt tysięcy franków, pochodzące ze sprzedaży posiadłości w Rambouillet, stopniało w niecałe dwa lata, pochłonięte przez walkę z konkurencją. Aby móc współzawodniczyć z magazynem „Wszystko dla Pań”, który trzymał teraz materiały na męskie ubrania, welury dla myśliwych, sukna na liberię – kupiec poszedł na najdalej idące ofiary. Obecnie pogrążyły go ostatecznie multony i flanele w sklepie rywala, i to w wyborze nie spotykanym dotąd na rynku. Długi wzrastały; Baudu postanowił wreszcie chwycić się ostatecznego środka ratunku i zaciągnął dług hipoteczny na stary dom przy ulicy Michodiére. gdzie kiedyś stary Finet, ich dziad, założył sklep z suknem. Teraz była to już tylko kwestia dni, zbliżała się całkowita ruina, lada chwila mogły runąć sklepienia i rozsypać się w proch podobnie jak zmurszałe, prymitywne budowle, uniesione przez wiatr.

– Ojciec jest na górze – powiedziała pani Baudu złamanym głosem. – Zmieniamy się tam co dwie godziny. Trzeba, żeby ktoś był w sklepie. Och, tylko z obawy przed kradzieżą, bo właściwie...

Gestem dokończyła rozpoczęte zdanie. Zasunęliby nawet okiennice gdyby nie stara kupiecka duma, która kazała im się jeszcze jakoś trzymać wobec całej dzielnicy.

– Idę więc na górę, ciociu – powiedziała Denise patrząc ze ściśniętym sercem na tę rozpaczliwą beznadziejność, którą tchnęły nawet sztuki sukna zalegające półki.

– Tak, idź tam prędko, moje dziecko... Ona czeka na ciebie. Wołała cię przez całą noc. Chce ci coś powiedzieć.

Właśnie w tej chwili stryj Baudu zszedł z piętra. Długotrwała irytacja i gorycz zabarwiły zielonkawym odcieniem jego pożółkłą twarz, w której świeciły nabiegłe krwią oczy. Stąpił na palcach i mówił szeptem, jak gdyby w obawie, że zakłóci spokój chorej córce.

– Śpi. – Ledwie trzymając się na nogach ze zmęczenia padł na krzesło. Machinalnym ruchem ocierał sobie czoło dysząc jak człowiek ciężko spracowany. Zapanowało milczenie. Wreszcie zwrócił się do Denise: Zobaczysz ją zaraz... Gdy śpi, wydaje nam się, że jest uratowana.

Znowu zapadło milczenie. Ojciec i matka patrzyli na siebie bez słowa. Po chwili Baudu zaczął wywodzić półgłosem swoje żale nie wymieniając żadnych nazwisk i nie zwracając się do nikogo:

– Dałbym sobie głowę uciąć, że to niemożliwe. On był ostatni i wychowałem go jak syna. Gdyby ktoś przyszedł i powiedział mi: „Zabiorę ci i tego także, będziesz świadkiem jego

upadku”, odpowiedziałbym: „Jeśli tak się stanie, to znaczy, że Boga nie ma!” I oto stałem się świadkiem jego upadku... Ach, nędznik, a znał się tak dobrze na handlu, myślał tak jak ja! Dla takiego koczodana, dla takiego manekina paradującego w witrynach podejrzanych magazynów! Nie, nie, od tego może się rozum pomieszać. – Pokiwał głową, opuścił błędzące gdzieś w przestrzeni oczy i skierował na wilgotne płyty podłogi wytartej od kroków wielu pokoleń klientek. – Jeśli chcesz wiedzieć – mówił dalej jeszcze ciszej – to ci powiem, że są chwile, kiedy czuję się sprawcą naszego nieszczęścia. Tak, to moja wina, że nasza biedna córka leży tam na górze trawiona gorączką. Czy nie powinienem był doprowadzić bez zwłoki do małżeństwa zamiast powodować się tą moją głupią ambicją, uporem, aby nie przekazywać im sklepu w mniej kwitnącym stanie, niż sam go otrzymałem? Miałyby teraz tego, którego kocha, i być może, młodość tych dwojga dokonałaby cudu, którego ja nie jestem w stanie dokonać... Ale ja jestem stary wariat i nie rozumiałem nic. nie wierzyłem, że można wpaść w chorobę z powodu takich właśnie rzeczy... Doprawdy, ten chłopiec był wyjątkowo zdolny i miał duże zalety: rzadko spotykaną umiejętność handlu, uczciwość, prostotę obyczajów, zamiłowanie do porządku, był zresztą wychowany w mojej szkole...

Baudu podniósł głowę i bronił swoich poglądów mówiąc o subieckie, który go tak ohydnie zdradził. Denise nie mogła słuchać, jak się oskarżał, i powiedziała mu wszystko w porywie wzruszenia wywołanego pokorną postawą i łzami tego człowieka, który kiedyś rządził despotycznie domem tając i nie znosząc sprzeciwu.

– Stryju, proszę go nie uniewinniać... On nigdy nie kochał Genowefy i byłby wcześniej uciekł, gdyby stryj chciał przyspieszyć termin ślubu. Rozmawiałam z nim o tym nieraz; on doskonale wiedział, że moja biedna kuzynka cierpiała z jego powodu, i – jak się okazało – wcale mu to nie przeszkodziło w ucieczce. Niech stryj zapyta ciocię.

Nie otwierając ust pani Baudu potwierdziła skinieniem głowy. Kupiec sukienny zbłądł jeszcze bardziej i łzy przesłoniły mu oczy. Zdołał tylko wybełkotać:

– Miał to chyba we krwi, ojciec jego umarł zeszłego lata, bo za bardzo uganiał się za spódniczkami. – Machinalnie powiódł wzrokiem po wszystkich ciemnych kątach sklepu, od pustych kontuarów aż do wypełnionych półek, potem zatrzymał wzrok na żonie siedzącej sztywno przy kasie w daremnym oczekiwaniu na klientkę, która już nigdy nie miała się zjawić. – Tak, to już koniec – powiedział. – Zabili nasz handel, a teraz jedna z ich łajdaczek zabija nam córkę.

Nikt się nie odezwał. Turkot wozów wstrząsający co chwila kamiennymi płytami podłogi brzmiał jak warkot żałobnego werbla w nieruchomym powietrzu, które przytłaczało niskie sklepienie. W tej przygniatającej atmosferze właściwej starym, zamierającym sklepom dały

się nagle słyszeć głucho uderzenia gdzieś w głębi domu. To Genowefa obudziła się i uderzała w podłogę kijem, który zostawiono jej pod ręką.

– Chodźmy prędko – powiedział Baudu zrywając się z krzesła. – Bądź wesoła, nie trzeba, żeby się domyślała.

On sam na schodach wycierał sobie mocno oczy, aby nie widać w nich było śladów łez. Gdy tylko otworzył drzwi na pierwszym piętrze, dał się słyszeć słaby głos wołający rozpaczliwie:

– Nie chcę być sama... Nie zostawiajcie mnie samej... Boję się zostać sama... – Gdy Genowefa zobaczyła Denise, uspokoiła się i uśmiechnęła radośnie. – Jesteś nareszcie... Jak ja na ciebie czekałam od wczoraj. Już myślałam, że ty także mnie opuściłaś!

Był to żaloszny widok. Pokój młodej dziewczyny był mały, przez wychodzące na podwórze okno wpadało blade światło. Początkowo rodzice umieścili chorą w swojej sypialni od strony ulicy, lecz widok magazynu „Wszystko dla Pań” tak ją drażnił, że musieli przenieść ją z powrotem do jej pokoju. Leżała na łóżku tak szczupła pod okrywającymi ją kołdrami, że nie widać nawet było zarysów jej ciała. Chude ręce, rozpalone od silnej gorączki właściwej chorą na suchoty, poruszały się bezustannie, jakby bezwiednie czegoś szukały; czarne, ogromne włosy wydawały się jeszcze obfitsze i pożerały jakby chudą twarz, na której malowała się ostateczna degeneracja starej rodziny, wyrosłej w cieniu piwnicznego wnętrza paryskiego sklepu.

Serce Denise pękato z żalu na widok kuzynki. Nie mówiła nic z obawy, że się rozplacze. Po chwili opanowała się i odezwała półgłosem:

– Przyszłam natychmiast, gdy się dowiedziałam, że chcesz mnie zobaczyć... Czy mogę ci w czymś pomóc? Czy mam zostać?

Genowefa dysząc ciężko, z rękami błędzącymi wciąż po załamaniach kołdry, nie spuszczała z niej wzroku.

– Nie, dziękuję, niczego mi nie potrzeba... Chciałam cię tylko uścisnąć.

Łzy napłynęły jej do oczu. Wówczas Denise nachyliła się szybko i ucałowała ją w oba policzki; zadrżała dotykając ustami rozpalonej, zapadłej twarzy. Lecz chora nie puszczała jej, przyciskała do piersi i trzymała w tym rozpaczliwym uścisku. Potem zwróciła oczy na ojca.

– Czy chcesz, żebym została? – powtórzyła Denise. – Może mam ci coś załatwić?

– Nie, nie.

Oczy Genowefy zwracały się uporczywie w stronę ojca, który stał z tępym wyrazem twarzy, ze ściśniętym gardłem. Zrozumiał wreszcie i odszedł nie mówiąc ani słowa. Jego ciężkie kroki dudniły na schodach.

– Powiedz mi, czy on jest z tą kobietą? – zapytała natychmiast chora, chwytając za rękę kuzynkę, której kazała usiąść na brzegu swego łóżka. – Chciałam cię zobaczyć, bo tylko ty możesz mi powiedzieć... Powiedz mi prawdę, żyją ze sobą?

Denise, zaskoczona tymi pytaniami, zaczęła się jąkać i wyznała w końcu prawdę: opowiedziała o plotkach, jakie krążyły w magazynie. Klara, znudzona tym chłopcem, który się od niej nie chciał odczepić, zatrzasnęła mu drzwi przed nosem; zrozpaczony Colomban chodzi za nią wszędzie i z uległością zbitego psa błaga ją o wyznaczenie spotkania przynajmniej co jakiś czas. Mówiono, że ma zamiar starać się o posadę w „Luwrze”.

– Jeśli go tak kochasz, to może się jeszcze zdarzyć, że do ciebie wróci – mówiła dalej Denise, aby ludzić jeszcze umierającą tą ostatnią nadzieją. – Wyzdrowiej tylko prędko, on na pewno zrozumie swoje błędy i ożeni się z tobą. Genowefa przerwała jej jednak. Słuchała słów kuzynki całą duszą, z ukrytą namiętnością, która dodawała jej mocy. Lecz teraz znowu opadła bezsilnie na poduszki.

– Nie, daj spokój, wiem dobrze, że wszystko skończone... Nie mówię nic, bo widzę, że ojciec płacze, i nie chcę, żeby mama rozchorowała się jeszcze bardziej. Tylko, widzisz, ja już odchodzę i wołałam cię tej nocy, bo bałam się, że umrę, zanim zrobi się rano... Mój Boże! Jak ciężko pomyśleć, że on nawet nie jest szczęśliwy.

Denise zaczęła ją na nowo zapewniać, że stan jej zdrowia nie jest wcale groźny, lecz Genowefa znowu przerwała kuzynce, odrzucając nagle kołdrę niewinnym ruchem dziewicy, która nie ma nic do ukrycia w obliczu śmierci. Ukazując odkryte piersi powiedziała cicho:

– Popatrz na mnie!... Czy to nie koniec?

Denise, cała drżąca, podniosła się ze skraju łóżka, jakby bała się swoim oddechem zniszczyć tę żalną nagość. To ciało już obumierało, wyniszczone przez lata wyczekiwania. Wątle ciało jakby znowu przybrało kształty nieletniego dziecka. Genowefa przykryła się powoli i powtórzyła:

– Widzisz, nie jestem już kobietą... To byłoby grzechem, gdybym jeszcze chciała go odzyskać.

Zamilkły obydwie. Patrzyły na siebie nie mogąc sklecić ani jednego zdania. Wreszcie Genowefa powiedziała:

– Idź już. masz swoje sprawy do załatwienia. Dziękuję ci, tak bardzo chciałam wiedzieć, teraz już jestem zadowolona. Jeżeli go zobaczysz, powiedz mu, że przebaczam... Żegnaj, Denise, jesteś bardzo dobra. Uściśnij mnie mocno, to już ostatni raz.

Dziewczyna ucałowała ją mówiąc:

– Ależ nie myśl o tym. potrzeba ci tylko pielęgnacji, nic więcej.

Ale chora zaprotestowała stanowczym ruchem głowy. Uśmiechała się, była pewna tego, co mówi. Kiedy Denise skierowała się ku drzwiom, poprosiła ją jeszcze:

– Zanim wyjdiesz, zapukaj tym kijem, żeby ojciec przyszedł... Tak się boję zostać sama. – Gdy stary Baudu wszedł do pokoju, do tego małego, ponurego pokoiku, gdzie spędzał całe godziny siedząc na krześle, Genowefa zrobiła wesołą minę i zawołała zwracając się do Denise: – Nie przychodź jutro, to zbyt późno. Ale czekam na ciebie w niedzielę, zatrzymam cię na całe popołudnie.

Nazajutrz o szóstej rano Genowefa umarła po czterech godzinach straszliwej agonii. Pogrzeb wypadł w sobotę. Dzień był pochmurny, niebo koloru sadzy ciążyło nad drżącym z zimna miastem. Sklep „Manufaktury z Elbeuf”, udekorowany białym sukniem, rozjaśniał całą ulicę białą plamą.

Pałace się w ponurym świetle dwie świece błyszcząły jak gwiazdy o zmroku. Wieńce ze szklanych pereł i wielki bukiet białych róż pokrywały malutką, jakby dziecinną trumnę, ustawioną w ciemnej bramie domu, na poziomie chodnika, tak blisko rynsztoka, że przejeżdżające pojazdy, opryskiwały błotem białe draperie. Cała stara dzielnica, przesiąknięta wilgocią i stęchłym piwnicznym zapachem, roiła się tłumem przechodniów śpiesznie mijających błotniste chodniki.

Denise przyszła już o dziewiątej rano, aby być przy ciotce. Gdy orszak miał ruszyć, pani Baudu nie płacząc już, ale ze śladami łez na twarzy, poprosiła siostrzenicę, aby wzięła udział w ceremonii pogrzebowej i czuwała nad wujem, którego niema rozpacz i tępy ból niepokoiły rodzinę. Zszedłszy na dół, Denise zastała ulicę pełną ludzi. Wszyscy drobni kupcy dzielnicy chcieli okazać państwu Baudu swą sympatię; w gorliwości tej można się było dopatrzeć jakby manifestacji przeciwko magazynowi „Wszystko dla Pań”, który był, jak mówiono, powodem śmierci Genowefy. Zeszły się wszystkie ofiary kolosa: przyszedł pan Bedore z siostrą, właściciele sklepu trykotaży z ulicy Gaillon, przyszli kuśnierze, bracia Vanpouille, i właściciel sklepu z zabawkami Desligneres, i panowie Piot i Rivoire handlujący meblami; nawet panna Tatin, bieliźniarka, i rękawicznik Quinette, od dawna już pozbawieni swoich sklepów na skutek bankructwa, uważali za obowiązek przyjść z odległych dzielnic – ona z Batignolles, on z placu Bastylli – gdzie znaleźli pracę u obcych ludzi. Oczekiwano na karawan, który spóźnił się na skutek jakiegoś nieporozumienia, i cały tłum odzianych na czarno ludzi dreptał w błocie, podnosząc nabrzmiały nienawiścią wzrok na magazyn „Wszystko dla Pań”, którego jasne wystawy i wesołe witryny wydawały się obrazą wobec okrytego żałobą sklepu „Manufaktury z Elbeuf”. Kilka ciekawych twarzy subiektów pokazało się za szybami: poza tym kolos okazywał całkowitą obojętność puszczonej pełną parą

maszyny, nieświadomej ofiar, jakie zostawia na swej drodze.

Denise szukała wzrokiem Janka, spostrzegłszy go przed sklepem Bourrasa podeszła powiedzieć mu, aby szedł obok stryja i podtrzymywał go. jeśli zauważy, że staremu kupcowi braknie sił. Od kilku tygodni Janek był poważny, jakby niezwykle czymś zajęty. Tego dnia, odziany w czarny surdut, robił wrażenie człowieka dorosłego, którym był już w istocie, zarabiając dwadzieścia franków dziennie. Jego powaga i smutek zdziwiły Denise. która nie podejrzewała nigdy, że chłopiec tak bardzo lubił kuzynkę. Chcąc oszczędzić małemu Pepi niepotrzebnych wzruszeń, Denise zostawiła go u pani Gras obiecując sobie, że wstąpi po niego po południu i zaprowadzi do starego sklepu, aby mógł ucałować stryja i ciotkę.

Karawan nie nadjeżdżał i Denise patrzyła ze wzruszeniem na palące się świece. Nagle wzdrygnęła się słysząc za plecami jakiś znajomy głos. Był to Bourras. Skinął na handlarza kasztanów, który zwykle stał naprzeciwko w małej budce przylegającej do sklepu kupca winnego, i mówił do niego:

– Niech pan mi odda tę przysługę, panie Vigouroux... Widzi pan, zdejmuję klamkę z drzwi mojego sklepu... Jeśli ktoś przyszedł, niech pan powie, żeby pofatygował się później. Nie sprawi to panu zbyt wiele kłopotu... Jestem pewien, że nikt nie przyjdzie.

Stanął na brzegu trotuaru czekając podobnie jak inni. Zmieszana Denise rzuciła okiem na sklep z parasolami. Był teraz zaniedbany, wystawa przedstawiała opłakany widok; leżały tam w nieładzie wypłowiałe parasole i poczerniałe laski. Wprowadzone niedawno upiększenia, jasnozielona barwa ścian, lustra, złocony szyld – wszystko to spękane, pokryte już brudem, niszczało szybko i żałośnie, jak bywa zawsze, gdy fałszywym zbytkiem usiłuje się maskować ruiny. Jednak mimo że ukazały się dawne szczeliny, że plamy wilgoci wystąpiły znowu poprzez złączenia, dom trzymał się ciągle, uparcie przyklejony do boku magazynu „Wszystko dla Pań”, niby szpetna brodawka, która – pęknięta i przegnita – nie chce odpaść.

– Ach, łotry! – mruczał Bourras. – Nie chcą nawet pozwolić, żeby ją zabrano.

Nadjeżdżający karawan zahaczył o jedną z platform magazynu „Wszystko dla Pań”, która przemknęła kłusem, ciągnięta przez parę wspaniałych koni, błysnąwszy we mgle, niby gwiazda, jasnymi barwami lakierowanych desek. Stary kupiec rzucił ku Denise kose spojrzenie oczu świecących pod krzaczastymi brwiami.

Pochód ruszył wolno, brodząc w kałużach wody i mijając zatrzymujące się dorożki i omnibusy. Gdy pokryty białym całunem karawan przebył plac Gaillon. ponure spojrzenia idących za trumną ludzi skierowały się jeszcze raz ku lustrzanym szybom wielkiego magazynu, skąd tylko dwie ciekawe ekspedientki wyglądały na ulicę, zadowolone z nadarzającej się rozrywki. Stary Baudu szedł ciężko za karawanem. Odmówił Jankowi, który

idąc tuż obok chciał mu podać ramię. Na samym końcu orszaku jechały trzy powozy. Gdy przecinano ulicę Neuve-des-Petits-Champs, nadbiegł blady, postarzały od zmartwień Robineau i przyłączył się do pogrzebu.

Wiele kobiet, właścicielek okolicznych sklepów, czekało na kondukt w kościele Świętego Rocha nie chcąc zbyt tłumnie gromadzić się w domu żałoby. Pogrzeb zamieniał się w manifestację. Gdy po nabożeństwie orszak ruszył w dalszą drogę, mężczyźni szli pieszo, chociaż droga z ulicy Saint-Honoré na cmentarz Montmartre była daleka. Trzeba było jeszcze raz przejść ulicę Świętego Rocha i minąć magazyn „Wszystko dla Pań”. Z jakimś niemal maniackim uporem obnoszono ciało dziewczyny wokół magazynu – niby pierwszą ofiarę poległą od kul w czasie rewolucji. W drzwiach wejściowych magazynu rozwinięte sztuki czerwonej flaneli trzepotały na wietrze jak sztandary, a wystawa dywanów pyszniła się krwistymi deseniami rozkwitłych róż i piwonii.

Denise wsiadła do powozu, rozstrojona dręczącymi ją wątpliwościami. z sercem ściśniętym takim smutkiem, że nie miała siły iść piechotą. Przy ulicy Dziesiątego Grudnia pochód zatrzymał się przed osłaniającym nową fasadę rusztowaniem, które bardzo przeszkadzało w normalnym ruchu ulicy. Dziewczyna zobaczyła wówczas starego Bourrasa: pozostał w tyle i utykając na nogę szedł tuż przy kołach powozu, w którym jechała. Idąc w ten sposób nigdy nie dowlóklby się do cmentarza. Starzec podniósł głowę, spojrzął na Denise, potem wsiadł do powozu.

– To te moje przekłete kolana – powiedział szeptem – nie odsuwaj się... Czy myślisz, że nienawidzę także i ciebie?

Był po dawnemu przyjacielski i opryskliwy. Mruczał pod nosem. mówił, że jednak ten Baudu jest diabło silny, jeśli może iść taki kawał piechotą, chociaż spotkał go taki cios. Pochód ruszył powoli. Wychyliwszy się nieco z powozu, Denise zobaczyła stryja: szedł uparcie za trumną ociężałym krokiem, który zdawał się wybijać głuchy i powolny rytm pochodu. Wówczas cofnęła się i wtulona w kąt słuchała przy akompaniamencie melancholijnego kołysania powozu nie kończących się słów starego kupca parasoli.

– Policja powinna się interesować i oczyścić ulicę... Już przeszło półtora roku tarasują przejście tą swoją fasadą, gdzie kilka dni temu zabił się w dodatku jakiś człowiek. Ale czy to ich obchodzi? Gdy zechcą powiększyć jeszcze swoje magazyny, będą chyba musieli przerzucić mosty ponad ulicami... Mówią, że jest was dwa tysiące siedemset pracowników i że wysokość obrotów dosięgnie w tym roku stu milionów... Sto milionów!

Mój Boże! Sto milionów! Denise nie wiedziała, co odpowiedzieć staremu. Orszak skręcił właśnie w ulicę Chaussée-d' Antin, gdzie zatrzymał się znowu z powodu zatoru w ruchu

kołowym. Bourras mówił dalej z błędnymi oczyma, jakby we śnie. Nie rozumiał, co spowodowało triumf magazynu „Wszystko dla Pań”, ale musiał przyznać, że stary handel ponosi klęskę.

– Ten biedny Robineau jest wykończony, ma minę człowieka, który tonie... A firma Bedore, a bracia Vanpouille! Ledwie to jeszcze dyszy i ma, tak jak ja. połamane nogi. Desligneres umrze chyba na apopleksję, panowie Piot i Rivoire chorują na żółtaczkę. Ładnie wszyscy wyglądamy, tworzymy wspaniały pochód samych starych trupów za trumną tego drogiego dziecka! Musi to być zabawne dla ludzi patrzących na tę defiladę bankrutów. Zdaje się, że na tym nie koniec. Te lotry tworzą nowe działy: sztucznych kwiatów, modniarski, perfumeryjny, szewski i czy ja wiem jeszcze jaki! Grognet, perfumiarz z ulicy Grammont, może się już wynosić, i nie dałbym dziesięciu franków za magazyn obuwia, firmę Naud przy ulicy d' Antin. Cholera szerzy się aż do ulicy Świętej Anny, gdzie Lacassagne ma sklep z kwiatami i piórami, a pani Chadeuil kapelusze, które mają duże powodzenie. Wszyscy zostaną zmieceni. zanim miną dwa lata... A potem przyjdzie kolej na innych i jeszcze na innych. Wszystkie sklepy dzielnicy spotka taki sam los. Kiedy handlujący perkalem zaczyna sprzedawać w swoim sklepie mydła i kalosze, to może mu przyjść do głowy, żeby sprzedawać także smażone kartofle. Słowo daję, świat przewraca się do góry nogami.

Karawan przejeżdżał teraz przez plac de la Trinite i z kąta ciemnego powozu, słuchając skarg starego kupca, kołysana żałobnym rytmem pochodu, Denise mogła, w chwili gdy orszak wyszedł z ulicy d' Antin, dostrzec karawan, który wznosił się już po pochyłości ulicy Blanche. Widziała stryja idącego krokiem oślepego i oniemiałego wołu, którego ogłuszyła patka rzeźnika: słyszała jakby tętent stada prowadzonego do rzeźni – to właściciele wszystkich rozbitych sklepów dzielnicy, całe drobne kupiectwo, wlokące za sobą swą ruinę, klapało przemokłymi butami w czarnym błocie Paryża. Bourras mówił coraz ciszej, w miarę jak kondukt wznosił się wyżej stromą ulicą Blanche.

– Ja już mam dość... Ale trzymam się jeszcze i nie popuszczę. On przegrał sprawę w sądzie apelacyjnym. Ile mnie to kosztowało! Blisko dwa lata ciągnął się proces, a adwokaci, a pełnomocnicy! Ale mniejsza z tym. Najważniejsze, że nie ma prawa podkopać się pod mój sklep, sędziowie orzekli bowiem, że taka robota nie ma charakteru dostatecznie umotywowanego remontu. Czy wiesz, że on miał zamiar urządzić pod moim sklepem salon i badać w nim efekty barwne materiałów w oświetleniu gazowym? Taki podziemny pokój łączący dział pończosznicy z działem sukna! Wścieka się bez ustanku i nie może tego ścierpieć, że taki stary dziad jak ja zagradza mu drogę, gdy wszyscy wokoło padają na kolana przed jego pieniędzmi... Nigdy! Za nic się nie zgodzę! Możliwe, że zginę mamie. Od czasu

jak mam do czynienia z komornikiem, ten łotr skupuje moje weksle, chce mi zapewne wypłacać jakiegoś figla. Ale to nic nie szkodzi, on mówi „tak”, ja mówię „nie” i będę mówił zawsze „nie”, do stu tysięcy piorunów! Nawet jeśli mnie zabiją gwoździami w czterech deskach, jak tę małą, która odchodzi tam w zaświaty.

Gdy orszak dotarł do bulwaru Clichy, karawan potoczył się szybciej, słychać było ciężki oddech ludzi idących za nim, wyczuwało się podświadomy pośpiech żałobnego orszaku, aby jak najprędzej zakończyć tę smutną uroczystość. Bourras opowiadając o sobie nie powiedział wszystkiego. Nie mówił o skrajnej nędzy, w jaką popadł straciwszy zupełnie głowę wśród trosk i kłopotów małego sklepikarza, który tonie, a jeszcze się upiera, by przetrwać, mimo gradu klęsk sypiących się na jego głowę.

Denise, poinformowana o prawdziwej sytuacji starego, przerwała milczenie szepcząc z prośbą w głosie:

– Panie Bourras, niech pan porzuci ten upór... Proszę mi tylko pozwolić, ja to wszystko załatwię. Przerwał jej gwałtownym ruchem.

– Nie, nie, proszę nic nie mówić, to moja sprawa... Jesteś dobrą dziewczyną, wiem, że obrzydzasz życie temu człowiekowi, który sądził, że jesteś do sprzedania tak jak mój dom. Ale co byś mi odpowiedziała, gdybym ci radził, żebyś się zgodziła i powiedziała „tak”? Posłałabyś mnie, gdzie pieprz rośnie... Widzisz, skoro ja mówię „nie”, to nie wtykaj do tej sprawy swojego nosa.

Po czym wysiadł z powozu razem z młodą dziewczyną, gdyż orszak zatrzymał się przy bramie cmentarza. Grobowiec rodziny Baudu znajdował się w pierwszej alei na lewo. W ciągu kilku minut ceremonia została zakończona. Janek odciągnął stryja, który patrzył w otwarty grób nieprzytomnymi oczami. Koniec orszaku rozproszył się pośród sąsiednich grobów; twarze tych sklepikarzy, z których krew wysały parterowe, pełne niezdrowych wyziewów lokale, nabierały w szarym świetle dnia chorobliwej brzydoty. Gdy trumnę spuszczone powoli do dołu, policzki obecnych, poznaczone czerwonymi żyłkami, przybladły, zaostrome anemią nosy opuściły się w dół, a poźółkle od zmartwień i zmęczone od ślęczenia nad cyframi powieki uniosły się w górę.

– Powinniśmy wszyscy wpakować się w tę dziurę – odezwał się Bourras do stojącej obok niego Denise. – Pogrzeb tej małej to jakby pogrzeb całej dzielnicy... Tak, tak, stary handel powinien skryć się pod ziemię, jak te róże, które rzucają teraz na trumnę.

Denise zabrała stryja i brata tym samym powozem, który przywiózł ją na cmentarz. Cały dzień upłynął jej w ciężkim smutku. Martwiła ją blada cera Janka. Gdy zrozumiała z jego wypowiedzi, że znów chodzi o kobietę, nie chcąc słuchać szczegółów sięgnęła do woreczka z

pieniężmi. Lecz Janek zaprzeczył ruchem głowy, odmawiał przyjęcia pieniędzy mówiąc, że tym razem sprawa przedstawia się poważnie, chodzi tu o siostrzenicę pewnego bardzo zamożnego cukiernika, która nie chce przyjąć nawet bukietu fiołków. Po południu, kiedy Denise poszła po małego Pepi, pani Gras oświadczyła, że chłopiec jest już za duży na przebywanie w jej domu; było to nowe zmartwienie – trzeba będzie oddać go do jakiejś szkoły, może gdzieś daleko. Wreszcie, gdy zaprowadziła malca do stryjostwa, serce jej ścisnęło się bólem na widok ich opuszczenia i smutku. Sklep był zamknięty, stryj i ciotka siedzieli w małej jadalni w półmroku, gdyż zapomniano zapalić gaz, a zimowy dzień był ponury. Byli sami w opustoszałym, zięjącym ruiną domu; śmierć córki pogłębiła jeszcze bardziej cienie czające się po kątach, była jakby ostatecznym znakiem zwiastującym zawalenie się starych belek stropu, przeżartych wilgocią. Wśród tej ruiny stryj, nie będąc w stanie usiedzieć na miejscu, ślepy i oniemiały, chodził wkoło stołu takim samym krokiem jak na pogrzebie; ciotka siedziała w milczeniu na krześle, z chorobliwie bladą twarzą, jak ranny, z którego krew wysączała się kropla po kropli. Nie płakali nawet, gdy mały Pepi ucałował ich oboje w zimne policzki. Denise powstrzymywała duszące ją łzy.

Tego samego dnia wieczorem Mouret wezwał ją do siebie, aby pomówić o nowym modelu dzieciennego ubranka, które miał zamiar puścić na rynek. Miało to być coś pośredniego między kostiumem szkockim a mundurem żuawa. Przejęta do głębi uczuciem litości, wstrząśnięta cierpieniem, którego była świadkiem, Denise nie mogła powstrzymać się, żeby nie opowiedzieć o swoich przeżyciach. Najpierw odważyła się rozpocząć rozmowę o tym nieszczęsnym Bourras, który już poniósł porażkę, a którego teraz chcą dobić. Ale usłyszawszy nazwisko właściciela składu parasoli Mouret uniósł się gniewem. Stary postrzeleniec, jak go nazywał, był zgryzotą jego życia, stał na przeszkodzie jego powodzeniu, gdyż nie chciał odstąpić mu swego domu, tej obrzydliwej dziury, jedyne zakątka, który nie poddał się dotąd i którego odpadający tynk szpecił cały magazyn „Wszystko dla Pań”. Sprawa Bourrasa była zmorą Moureta. Gdyby to ktokolwiek inny, a nie Denise, ośmielił się wstawić za starym kupcem, ryzykowałby, że natychmiast wyrzuci go za drzwi, tak bardzo dręczyła Moureta chorobliwa wprost chęć zburzenia jednym kopniakiem tej rudery. W końcu, jak miał postąpić? Czy mógł pozostawić tę kupę gruzów pod samym bokiem magazynu „Wszystko dla Pań”? Trzeba było nareszcie z tym skończyć, gdyż magazyn musiał mieć swobodne połączenie! Tym gorzej dla tego starego wariata! Dyrektor wspomniał o odszkodowaniu, jakie proponowano staremu, sumie sięgającej stu tysięcy franków. Czy takie wyjście nie było rozsądne? Wcale się przecież nie targował i gotów był dać tyle pieniędzy, ile by tamten żądał; w zamian za to wymagał, aby okazano choć trochę rozumu i pozwolono mu

dokończyć rozpoczęte dzieło! Czy rozsądnie byłoby zatrzymać lokomotywę w pełnym biegu? Denise słuchała go ze spuszczonej oczami, broniąc się jeszcze słabo i wysuwając argumenty uczuciowe. Ten pocziwiec jest taki stary, można by poczekać, aż umrze – bankructwo zabije go z pewnością. Wówczas Mouret oświadczył, że nie byłby już nawet w stanie przeciwdziałać biegowi wypadków, gdyż sprawą Bourrasa zajmuje się Bourdoncle z polecenia rady, która postanowiła raz z tym skończyć. Denise nie miała więcej już nic do powiedzenia, chociaż serce jej wzruszał los starego przyjaciela.

Po chwili przykrego milczenia Mouret sam zaczął mówić na temat rodziny Baudu. Zaczął od tego, że głęboko im współczuje z powodu śmierci córki. To bardzo zacni ludzie, bardzo uczciwi, na których uwziął się jakiś zły los. Potem zaczął znów przytaczać dawne argumenty; w gruncie rzeczy sami są winni swojemu nieszczęściu, nie należało się tak upierać przy tej zmurszałej budzie; nic dziwnego, że teraz dom wali im się na głowę. Już ze dwadzieścia razy przepowiadał, że tak się stanie; Denise przypomina sobie chyba, jak prosił ją, żeby uprzedziła stryja o niechybnej katastrofie, która go czeka, jeśli będzie się upierał. Teraz moment ów nadszedł i żadna siła nie jest zdolna powstrzymać biegu wypadków. Żaden rozsądny człowiek nie mógłby przecież wymagać od niego, aby zbankrutował dla dobra swojej dzielnicy. Gdyby nawet zrobił takie głupstwo i zamknął swój magazyn, natychmiast powstałby na jego miejsce inny – podobny, to bowiem już wisiało niejako w powietrzu: triumf miast robotniczych i przemysłowych, niosących zagładę starym formom.

Mouret zapalał się, z przekonaniem bronił się przed nienawiścią swych mimowolnych ofiar, przed rosnącym oburzeniem zamierających dokoła niego małych sklepów. Nie przechowuje się zmarłych, należy ich złożyć do grobu. Jednym ruchem ręki zdawał się grzebać we wspólnym grobie trupa staroświeckiego handlu, którego pozieleniałe i cuchnące resztki były hańbą rozświetlonych ulic nowego Paryża. Nie, nie miał żadnych wyrzutów sumienia, spełniał tylko to, co było koniecznym nakazem epoki, a Denise wiedziała o tym dobrze, ona, która tak kochała życie i lubiła namiętnie interesy zakrojone na szeroką skalę, prowadzone przy pomocy dobrze zorganizowanej reklamy. Denise słuchała długo w milczeniu, a potem odeszła z rozterką w duszy.

Tej nocy nie spała prawie wcale. Bezsensowność przeplatana koszmarami dręczyła ją aż do rana. Wydawało jej się, że jest małą dziewczynką i że zalewa się łzami w ogrodzie rodziców w Valognes, widząc, jak piegże zjadają pająki, które znowu żywią się muchami. Czy rzeczywiście walka o życie jest prawem niewzruszonym? Czy naprawdę życie może istnieć tylko na glebie użyźnionej przez śmierć i wszystko w naturze podlega tej nieubłaganej konieczności? Potem widziała siebie stojącą przed grobowcem, do którego spuszczano

Genowefę, widziała stryja i ciotkę samotnych w ciemnej, małej jadalni. Wśród głębokiej ciszy nocy wydawało jej się, że słyszy głuchy łoskot walącego się domu. To dom Bourrasa zapadał się, jakby podmyty powodzią. Cisza trwała nadal, jeszcze bardziej przejmująca, gdy rozległ się nowy odgłos walącego się budynku, potem drugi, trzeci: to waliły się sklepy Robineau, Bedore i jego siostry, braci Vanpouille, waliły się z trzaskiem i hukiem, jedna po drugiej, wszystkie firmy, cały drobny handel dzielnicy Świętego Rocha zniknął, jakby rozbijany niewidzialnym oskardem, przy hałaśliwym akompaniamencie wyładowywanych taczek. Wówczas Denise budziła się z sercem pełnym żalu. Mój Boże! Ile cierpień! Płaczące rodziny, starcy wyrzuceni na bruk, dramaty spowodowane ruiną. A ona nie mogła nikogo, uratować i miała poczucie, że taki stan rzeczy jest słuszny, że dla zdrowia jutrzejszego Paryża tego rodzaju katastrofy są konieczne. Gdy zrobił się dzień, Denise uspokoiła się, lecz bezbrzeżny, pełen rezygnacji smutek nie pozwolił jej zamknąć oczu zwróconych ku oknu, którego szyby stawały się coraz jaśniejsze. Tak, to był właśnie ten konieczny haracz krwi, każda rewolucja żąda bowiem ofiar, postęp okupuje się śmiercią wielu istnień. Jej obawa, że jest złym duchem, że przyczyniła się do mordowania bliźnich, przekształciła się teraz w głęboką litość wobec tych nieszczęść, którym zapobiec nie była w stanie, a które towarzyszą zawsze bolesnym narodzinom każdego nowego pokolenia. Zaczęła wreszcie zastanawiać się nad możliwością przyniesienia ulgi nieszczęśliwym, przez wrodzoną dobroć rozważała w myśli, jakie zastosować środki, aby przynajmniej swoją rodzinę uratować od ostatecznej katastrofy.

Stawał jej przed oczyma Mouret, widziała jego rozgorączkowaną twarz i tkliwe spojrzenie. Nie odmówi jej z pewnością niczego; była pewna, że zgodziłby się na wszelkie rozsądne wynagrodzenie krzywdy tym biednym ludziom. Myśl jej błędziła i usiłowała sprawiedliwie osądzić Oktawa. Znała dobrze jego życie, wiedziała, że był wyrachowany i że do majątku doszedł dzięki kobietom, które wyzyskiwał bez skrpułów: wiedziała, że wybierał te kochanki, które mogły mu utorować drogę, że romans z panią Desforges nawiązał tylko po to, by zjednać sobie barona Hartmanna; wiedziała też o drobnych przelotnych miłośkach, które kupował za pieniądze, opłacał i odrzucał beztrząsco. Ale te awanturnicze początki kariery, o których jeszcze czasem mówiono złośliwie w magazynie, zaczynały coraz bardziej tonąć w zapomnieniu wobec genialnych zdolności Moureta i jego osobistego uroku. Oktaw był uosobieniem męskiego wdzięku. Nie mogła mu tylko zapomnieć jego dawnych kłamstw i chłodnej obojętności pod maską pełnego galanterii uwodziciela. Lecz teraz, odkąd cierpiał z jej powodu, nie czuła do niego żalu. Cierpienie wywyższało go w jej oczach. Gdy widziała, jak się męczy okupując ciężko swój dawny pogardliwy stosunek do kobiety, zdawało jej się, że odpokutował już wszystkie winy.

Tego samego dnia jeszcze wymogła na Oktawie przyrzeczenie, że z chwilą gdy oboje Baudu i stary Bourras znajdą się bez środków do życia – Oktaw ich wyposaży wedle jej uznania. Upływały tygodnie. Denise prawie każdego popołudnia wrywała się na kilka minut z magazynu i odwiedzała stryja, wnosząc do starego domu swój młody śmiech, swój dobry humor, rozweselając nieco ponury sklep. Niepokoilo ją zdrowie ciotki, która od czasu śmierci Genowefy wpadła w odrętwienie. Wydawało się, że kres jej życia zbliża się z każdą godziną; gdy pytano ją, co jej dolega, odpowiadała ze zdziwieniem, że nic jej nie jest, że odczuwa tylko ustawiczną senność. Sąsiedzi z dzielnicy kiwali z politowaniem głowami – biedna pani Baudu niedługo będzie tęsknić za córką.

Pewnego dnia Denise wychodziła od stryjostwa, gdy na rogu placu Gaillon usłyszała przeraźliwy krzyk. Ludzie biegli w jednym kierunku, gnani dreszczem paniki i współczucia, ogarniającym tłum w chwilach nieszczęśliwych wypadków. Brązowy omnibus obsługujący trasę Bastylia-Balignolles przejechał jakiegoś mężczyznę u wylotu ulicy Neuve-Saint-Augustin. tuż koło wodotrysku. Woźnica, który stał na koźle, z całych sił wstrzymywał dwa kare konie stojące dęba, klął i krzyczał:

– Do stu tysięcy piorunów!... Uważaj pan, jak idziesz!

Omnibus zatrzymał się wreszcie. Tłum ludzi otoczył rannego, znalazł się także policjant. W postawie stojącej, wzywając na świadków pasażerów. którzy wstali z miejsc i wychylili się, aby zobaczyć krew, woźnica tłumaczył się, pomagając sobie gestami, gdyż głos pod wpływem wzburzenia odmawiał mu posłuszeństwa.

– Coś podobnego!... Skąd się biorą takie typy?! Gość paraduje po ulicy, jakby był w salonie! Wołam na niego, a on pcha się pod koła!

Malarz, który nadbiegł z pędzlem w rękę, przerwawszy malowanie sąsiedniej wystawy, zawołał krzykliwym głosem wśród tłoczących się gapiów:

– Nie ma się co denerwować! Widziałem dobrze, że sam wlażł pod omnibus! Widocznie życie mu zbrzydło!

Podniosły się inne głosy, wszyscy zgadzali się, że wypadek był po prostu samobójstwem, policjant natomiast zabrał się do spisywania protokołu. Poblądłe kobiety wysiadły szybko z wozu i oddalały się nie oglądając za siebie, unosząc ze sobą okropne wspomnienie wstrząsu, jaki nimi targnął w chwili, gdy koła trafiły na ciało ludzkie.

Denise podeszła bliżej powodowana litością i chęcią niesienia pomocy, która przyciągała ją zawsze na miejsca wypadków ulicznych: do przejechanych psów. padłych na ulicy koni, dekarzy, którzy spadli z dachu. W leżącym na bruku zemdlonym mężczyźnie, którego surdut splamiony był błotem, rozpoznała znajomą postać.

– To jest pan Robineau! – zawołała z bolesnym zdziwieniem policjant począł natychmiast wypytywać dziewczynę. Podała nazwisko, zawód i adres rannego. Dzięki energii woźnicy omnibus zdołał zatoczyć łuk i koła przejechały biednemu Robineau jedynie nogi. Nie wiadomo było jednak, czy obie nie są zmiżdżone. Czterech ludzi, którzy zgłosili się na ochotnika, przeniosło rannego do apteki na placu Gaillon, omnibus zaś ruszył z wolna w dalszą drogę.

– Do stu diabłów! – powiedział woźnica, popędzając konie batem – zarobiłem dzisiaj zdrowo!

Denise towarzyszyła panu Robineau, gdy nieśli go do apteki. Prowizor, obejrzawszy rannego w zastępstwie lekarza, którego nie można było znaleźć, oświadczył, że życiu chorego nie grozi niebezpieczeństwo i że najlepiej byłoby zanieść go do domu, jeżeli mieszka niedaleko. Ktoś poszedł na posterunek policji po nosze. Denise przyszło wówczas na myśl, aby iść naprzód i uprzedzić panią Robineau o czekającym ciosie. Miała duże trudności z dotarciem do ulicy, musiała przeciskać się przez zbiegowisko, które gromadziło się przed drzwiami apteki. Żądny widoku śmierci tłum wzrastał z minuty na minutę; dzieci i kobiety stawały w tłoku na palcach, potrącane ze wszystkich stron: każdy nowo przybyły tłumaczył wypadek na swój sposób. W tym momencie opowiadano właśnie, że poszkodowanym jest mąż, którego kochanek żony wyrzucił przez okno.

Na ulicy Neuve-des-Petits-Champs Denise z daleka już zauważyła panią Robineau stojącą w drzwiach sklepu. To posłużyło jej za pretekst do zatrzymania się i krótkiej rozmowy. Szukała w myśli sposobu złagodzenia strasznej wiadomości. Sklep był zaniedbany i znać po nim było, że w ciągu ostatnich miesięcy walki podupadł, podobnie jak inne zamierające już firmy. Stan obecny był z góry przewidzianym skutkiem wielkiej batalii o dwa rywalizujące ze sobą gatunki jedwabiu; „Paris-Bonheur” zwalczał konkurenta dzięki nowej, pięcioprocentowej obniżce, sprzedawano go po cztery franki dziewięćdziesiąt pięć; jedwab Gaujeana poniósł klęskę niczym Napoleon pod Waterloo. Od dwóch miesięcy Robineau, zmuszony był do chwytania się ostateczności, męczył się piekielnie, żeby nie dopuścić do ogłoszenia upadłości.

– Widziałam pani męża na placu Gaillon – powiedziała Denise znalazłszy się wreszcie wewnątrz sklepu.

Pani Robineau, którą jakiś głuchy niepokój zmuszał do ciągłego wyglądania na ulicę, odpowiedziała żywo:

– To było przed chwilą, prawda?... Czekam właśnie na niego, już powinien być przyjsć. Dzisiaj rano przyjechał Gaujean i wyszli razem. Była jak zawsze urocza, delikatna i wesoła;

męczyła ją tylko dosyć już zaawansowana ciąża, tak że wyglądała na wystraszoną i jeszcze bardziej niż zwykle obcą wśród tych spraw handlowych, o których nie miała najmniejszego pojęcia; wiedziała tylko, że stoją źle. Nie po raz pierwszy zadawała sobie pytanie, po co to wszystko? Czy nie lepiej byłoby żyć spokojnie w małym mieszkaniu, choćby wypadło żywić się suchym chlebem?

– Moje drogie dziecko – powiedziała następnie z nieco smutnym uśmiechem – przed tobą nie potrzebujemy ukrywać prawdy... Interesy idą źle, mój mąż nie sypia po nocach... Dzisiaj właśnie męczył go Gaujean o nie wykupione weksle... Umierałam z niepokoju siedząc tutaj sama.

Zwróciła się w kierunku drzwi, ale Denise zatrzymała ją. Do uszu jej dobiegł gwar tłumu. Domyśliła się, że niosą rannego, a za nim tłoczy się cizba żądna sensacji. Z wyschniętym gardłem, nie znajdując słów pocieszenia, które chciałaby wypowiedzieć, wybąkała pośpiesznie:

– Niech się pani nie niepokoi, to nic groźnego... Tak, widziałam pana Robineau, zdarzył się nieszczęśliwy wypadek... Właśnie go niosą, ale bardzo panią proszę, niech się pani nie przeraża.

Młoda kobieta słuchała tych słów bardzo blada, nie rozumiejąc jeszcze, co się stało. Ulica zapelniła się ludźmi, zatrzymani dorożkarze przeklinali; czterej mężczyźni postawili nosze na ziemi, aby otworzyć obydwie połowy oszklonych drzwi.

– To z pewnością wypadek – mówiła dalej Denise, zdecydowana zataić, że podejrzewa samobójstwo. – Znajdował się właśnie na trotuarze, pośliznął się i upadł pod koła omnibusu... Przejechał mu tylko nogi. Szukają doktora. Niech się pani nie niepokoi.

Panią Robineau wstrząsnął dreszcz. Wydała kilka niewyraźnych okrzyków; potem bez słowa runęła koło noszy i drżącymi rękami odsunęła płótno. Ludzie, którzy przynieśli rannego, czekali przed domem, aby zabrać nosze, gdy wreszcie znajdzie się lekarz. Na razie nie chciano ruszać nieszczęśnika. Robineau odzyskał już przytomność i cierpiał straszliwie przy najmniejszym poruszeniu. Dwie wielkie łzy spłynęły mu po policzkach, kiedy zobaczył żonę, która pocałowała go i zaczęła płakać wpatrując się w niego bezradnie. Na ulicy tłok nie zmniejszał się, głowy, jak na widowisku, wychylały się jedna obok drugiej, oczy błyszczały: robotnice, którym udało się wymknąć z pracowni, o mało nie wypchnęły szyb wystawowych, żeby lepiej widzieć. Chcąc odgrodzić się od tej gorączkowej ciekawości i uważając, że nie wypada, aby sklep w takiej chwili był otwarty, Denise postanowiła opuścić metalowe żaluzje. Sama zabrała się do korby i puściła w ruch zgrzytliwą maszynię. Błaszana zasłona opuszczała się powoli jak kurtyna po piątym akcie. Gdy wróciła do sklepu i zamknęła za sobą

matę półokrągłe drzwi, zastała panią Robineau ciągle jeszcze trzymającą rozpaczliwie męża w objęciach, pośród mętnego światła wpadającego przez dwa gwiaździste otwory wycięte w blasze. Zaniebany sklep zdawał się zapadać w nicość i tylko dwie gwiazdy świeciły nad tym krwawym dramatem paryskim. Wreszcie pani Robineau odzyskała mowę.

– Och, mój najdroższy!... Mój najdroższy!..

Tylko te słowa przechodziły jej przez gardło. Wówczas Robineau wyznał wszystko, dręczony wyrzutami sumienia na widok żony klęczącej z opartym o krawędź noszy brzuchem, który zdradzał ciążę. Kiedy nie ruszał się, nie czuł bólu, jedynie nogi ciążyły mu jak ołów.

– Przebacz mi, chyba postradałem zmysły... Kiedy dowiedziałem się, że jutro mają wywiesić ogłoszenie o upadłości, zdawało mi się, że nasz dom się pali. Nie pamiętam, co się stało potem. Szedłem ulicą Michodièrei zdawało mi się, że ludzie z magazynu „Wszystko dla Pań” wysmiewają się ze mnie, że ten przeklęty gmach przytłacza mnie... Wtedy zobaczyłem na zakręcie omnibus, pomyślałem o panu Lhomme, o jego ręce i rzuciłem się pod koła...

Pani Robineau opadła z wolna na podłogę, przerażona tym wyznaniem. On chciał umrzeć! Chwyliła za ramię Denise, która nachyliła się ku niej, przejęta do głębi. Ranny, którego wyczerpało wzruszenie, znowu stracił przytomność. A lekarz nie przychodził! Dwaj mężczyźni wrócili już po daremnych poszukiwaniach w całej dzielnicy, teraz z kolei wyszedł w tym samym celu dozorca.

– Niech się pani nie martwi – powtarzała machinalnie Denise, płacząc także.

Wówczas pani Robineau, siedząc na ziemi z głową na wysokości noszy, oparła policzek o płótno, na którym leżał jej mąż, i zwierzyła się Denise:

– Och! Gdybym ci opowiedziała... To przez miłość dla mnie on chciał umrzeć. Mówił ciągle: okradłem cię, te pieniądze należały do ciebie. Nocami śniło mu się sześćdziesiąt tysięcy franków, budził się obłany potem, oskarżał się o niedołęstwo. „Kiedy się nie ma głowy do interesów, nie ryzykuje się cudzego majątku” – mówił. Wiesz, jaki zawsze był nerwowy, jak się ciągle kłopotał. Chwilami przewidywał rzeczy, które mnie przerażały, widział mnie w łachmanach na ulicy – żebrzącą, mnie, którą tak mocno kochał, którą chciał widzieć bogatą i szczęśliwą... – Spojrzała na męża i widząc, że ma oczy otwarte, zwróciła się do niego urywanym głosem: – Ach, dlaczego to zrobiłeś? Uważasz mnie za taką złą kobietę? Jest mi zupełnie wszystko jedno, czy będziemy zrujnowani, byle tylko być razem... Pozwól im wszystko zabrać. Wyjedziemy gdzieś tak, żebyś o nich nie słyszał. Będziesz pracował i wszystko się dobrze ułoży, zobaczysz.

Pochyliła czoło tuż nad bladą twarzą męża. Milczeli teraz oboje, wzruszeni wspólnym

nieszczęściem. Zapanowała cisza, sklep zdawał się usypiać w półmroku; spoza blaszanej zasłony dochodziły odgłosy ulicy tętniącej życiem, tonącej w blasku dnia, turkot dorożek i rozgwar zatłoczonych trotuarów. Denise, która co kilka minut wyglądała przez małe drzwi wychodzące na korytarz, wróciła wreszcie, wołając:

– Jest lekarz!

Dozorca prowadził go. Był to młody człowiek o żywym spojrzeniu. Przystąpił do oględzin nie czekając, aż Robineau znajdzie się na łóżku. Złamana była tylko lewa noga powyżej kostki. Złamanie okazało się niegroźne i nie należało obawiać się komplikacji. Robiono właśnie przygotowania, aby przenieść chorego do pokoju położonego za sklepem, gdy nadszedł Gaujean. Przychodził zdać sprawę z ostatniej zresztą nieudanej próby ratowania sytuacji. Ogłoszenie upadłości było zdecydowane.

– Co to? – zapytał szeptem. – Co się stało?

W krótkich słowach Denise powiadomiła go o wypadku. Gaujean zmieszał się. Robineau odezwał się słabym głosem:

– Nie mam do ciebie pretensji, ale do pewnego stopnia jesteś winien temu. co się stało.

– Co robić, mój drogi! – odpowiedział Gaujean. – Żeby przetrzymać, trzeba było mieć o wiele więcej pieniędzy, niż myśmy mieli. Wierz mi, że nie czuję się lepiej od ciebie.

Podniesiono nosze. Ranny powiedział jeszcze z wysiłkiem:

– Nie, nie, nawet największe pieniądze nic by tu nie pomogły. Rozumiem dobrze, że tacy starzy, uparci ludzie jak Bourras i Baudu musieli upaść; ale my, młodzi, którzy właściwie zgadzaliśmy się z nowym stanem rzeczy!... Nie, Gaujean, to jest po prostu koniec świata!

Zabrano go. Pani Robineau ucałowała Denise z uniesieniem, które prawie graniczyło z radością, że nareszcie jest już wolna od kłopotów związanych z handlem. Gaujean, który wyszedł na ulicę razem z młodą dziewczyną, przyznał się jej, że biedny Robineau miał rację. Walka z wielkim magazynem nie miała sensu. On sam będzie zgubiony, jeśli nie pogodzi się z Mouretem. Już wczoraj rozmawiał w tajemnicy z Hutinem, który właśnie miał jechać do Lyonu. Ale wątpił, czy z tego coś wyjdzie, i teraz starał się zainteresować Denise swoją sprawą, z pewnością dobrze poinformowany o wpływie, jaki miała na Moureta. ³

– Trudno, fabrykanci będą musieli dać sobie radę – oświadczył. Byłbym ostatnim głupcem, gdybym się dalej rujnował walcząc o cudze interesy, podczas gdy cwaniacy kłócą się tylko o to, który z nich będzie produkować najtaniej... Miała pani rację mówiąc kiedyś, że przemysł powinien iść z postępem stosując lepszą organizację i nowe metody. Wszystko da się jeszcze zrobić, byle odbiorcy byli zadowoleni.

Denise uśmiechnęła się.

– Niech pan to sam powie panu Mouret – odpowiedziała. – Zrobi mu pan przyjemność swoją wizytą. To nie jest człowiek, który by żywił do pana urazę, jeżeli mu pan ofiaruje zarobek chociażby jednego centyma na metrze.

W styczniu, pewnego jasnego słonecznego popołudnia, umarła pani Baudu. Od dwóch tygodni nie mogła już schodzić do sklepu, którego pilnowała wynajęta na godziny posługaczka. Przez cały czas choroby siedziała podparta poduszkami na łóżku. Tylko oczy żyły jeszcze w jej bladej twarzy; unosiła wciąż głowę i zwracała ją uporczywie w kierunku wielkiego magazynu widocznego przez zasłonki okna. Baudu, który sam miał obsesję na punkcie tego magazynu, cierpiał męki patrząc, jak ów kolos przykuwa zrozpaczone oczy chorej, niejednokrotnie próbował zasunąć story, ale pani Baudu zatrzymywała go błagalnym ruchem ręki, jakby upierając się, żeby patrzeć tam do ostatniego tchnienia. Potwór zabrał jej teraz już wszystko, dom i córkę, ona także odchodziła razem ze starą firmą „Manufaktury z Elbeuf” tracąc zdrowie, w miarę jak ubywało klienteli. Gdy nadszedł dzień, kiedy sklep zaczął rzeźić jak konający człowiek, ona także nie mogła już oddychać. Czując zbliżającą się śmierć, miała jeszcze dość siły, aby poprosić męża o otworzenie okien. Na dworze było ciepło, wesołe słońce kładło złote plamy na magazyn „Wszystko dla Pań”, ale nie docierało do starego mieszkania koło sklepu „Manufaktury z Elbeuf”. Pani Baudu leżała z oczami utkwionymi w jeden punkt, nie widząc nic poza triumfalnie wznoszącym się budynkiem i jego lśniącoymi szybami, za którymi toczył się strumień milionów. Oczy jej bladły napęlniając się powoli mrokiem śmierci, a gdy zgasły, pozostały szeroko otwarte, zalane łzami.

Drobne, zrujnowane kupiectwo całej dzielnicy znowu wzięło udział w pogrzebie. Można było tam zobaczyć braci Vanpouille bladych jeszcze z wysiłku, na jaki musieli się zdobyć, aby dotrzymać grudniowego terminu płatności, wysiłku, którego nie potrafiliby już powtórzyć. Właściciel firmy Bedore i Ska opierał się na lasce, tak udęczoney kłopotami, że stan jego chorego żołądka znacznie się pogorszył. Deslignerres uległ atakowi apopleksji. Piot i Rivoire szli w milczeniu ze spuszczoneymi głowami, jak ludzie, którzy wszystko stracili. Nie śmiano pytać, co się stało z nieobecnymi: z Quinette'em, panią Tatin i innymi kupcami, którzy pewnego dnia nagle zniknęli. pokonani, zasypani lawiną klęsk: nikt też nie oczekiwał, że zjawi się na pogrzebie Robineau, leżący w łóżku ze złamaną nogą. Pokazywano sobie z zainteresowaniem tych przedstawicieli handlu, którzy teraz dopiero ujrzeli przed sobą widmo zagłady: perfumiarza Grognetę, modystkę Chadeuil, właściciela sklepu ze sztucznymi kwiatami. Lacassagne'a, oraz szewca Nauda. Trzymali się oni jeszcze na nogach, ale już drżeli z obawy przed katastrofą mającą ich także wykreślić z listy kupców dzielnicy. Baudu szedł za karawanem takim samym krokiem ogłuszonego wołu, jakim postępował niedawno za

trumną córki. Wewnątrz zaś pierwszego powozu można było dostrzec oczy Bourrasa, świecące pod nastroszonymi brwiami w aureoli śnieżnobiałych włosów.

Denise była przygnębiona. Od dwóch tygodni ugięła się pod ciężarem trosk i zmęczenia. Musiała przede wszystkim umieścić małego Pepi w szkole. Wiele nabiegała się w sprawie starszego brata, bo Janek, na serio zakochany w siostrzenicy cukiernika, błagał siostrę, aby w jego imieniu poprosiła o jej rękę. Wreszcie śmierć ciotki Baudu spadła na dziewczynę jak nowy cios w długim łańcuchu nieszczęść. Mouret oświadczył ponownie, że jest gotowy do niesienia pomocy: zgadzał się z góry na wszystko, co Denise zrobi dla swojego stryja i dla innych. Pewnego dnia rozmawiała z nim właśnie w związku z wiadomością, że Bourras został wyrzucony na bruk, a stary Baudu zamyka sklep. Po obiedzie wyszła na miasto z nadzieją w sercu, że może uda się jej ulżyć doli przynajmniej tych dwu nieszczęśliwych.

Na ulicy Michodièrestał, jakby wrośnięty w ziemię, Bourras z twarzą zwróconą w kierunku swojego sklepu, z którego wyrzucono go poprzedniego dnia przy pomocy sprytnego wybiegu prawnego. Mouret posiadał w swoim ręku wierzycelności starego kupca, uzyskał więc łatwo uznanie upadłości Bourrasa i kupił za pięćset franków prawo najmu na zorganizowanej przez syndykat licytacji; w ten sposób uparty starzec dał sobie zabrać za pięćset franków to, czego nie chciał oddać za sto tysięcy. Przybyły z grupą robotników architekt musiał uciec się do wezwania pomocy komisarza policji, żeby opanować lokal. Towar został sprzedany, pokoje opróżnione: Bourras natomiast nie chciał się dać wyprowadzić z kąta, w którym sypiał i skąd przez litość nie wypędzono go. Robotnicy mający za zadanie rozbiórkę domu zaczęli już zdejmować dach nad jego głową. Usunięto przegnięte dachówki, stropy waliły się mury trzeszczały – on zaś siedział ciągle w kącie, mając nad sobą ogołocone wiązania dachu, a dokoła – ruiny. Usłuchał wreszcie rozkazu policji i oddalił się, lecz nazajutrz rano ukazał się znowu na chodniku po przeciwnej stronie ulicy, spędziwszy noc w sąsiednim hoteliku.

– Panie Bourras – zagadnęła go cicho Denise.

Zdawał się nie słyszeć jej słów, pozerając płomiennym wzrokiem robotników, którzy uzbrojeni w kilofy zaczęli rozbiórkę fasady. Przez puste okna widać było teraz wnętrze nędznych pokoików i czarne schody, do których od dwustu lat nie dotarł ani jeden promień słońca.

– Ach, to ty! – odpowiedział wreszcie, poznając dziewczynę. – Co? Ostro zabierają się do roboty, złodzieje!

Nie śmiała odezwać się, wstrząśnięta rozpaczliwym smutkiem starego domostwa, nie mogąc oderwać wzroku od pokrytych pleśnią kamieni spadających na ziemię. Wysoko, w

kącie sufitu jej dawnego mieszkania, widać jeszcze było czarne litery wypisane drżącym płomieniem świecy:

„Ernestyna”. Stały jej w pamięci dni nędzy i ogarnęło ją tkliwe współczucie dla cierpień ludzkich. Robotnicy, chcąc obalić za jednym zamachem całą ścianę, wpadli na pomysł podkopania jej od dołu. Mur zachwiał się.

– Ach, żeby tak przygniotło ich wszystkich – szepnął mściwie Bourras.

Dał się słyszeć przeraźliwy trzask. Robotnicy uciekli na ulicę. Walący się mur pociągnął za sobą całą ruderę. Stary budynek, zapadnięty w ziemię i spękany, ledwie się widać trzymał. Jeden wstrząs wystarczył, aby rozwalił się od góry do dołu. Był to straszny widok. Dom rozpadł się, jak gdyby był ulepiony z błota, które rozmiękło na deszczu. Nie pozostała ani jedna ścianka, na ziemi leżał tylko stos gruzu, przegniłe szczątki przeszłości zwalone jednym zamachem.

– Mój Boże! – wykrzyknął starzec, jakby cios zadany jego domowi ugodził w niego samego.

Stał otwierając szeroko usta ze zdumienia. Nie przypuszczał nigdy, że się to skończy tak prędko. Patrzył na otwartą wyrwę, na magazyn „Wszystko dla Pań” oswobodzony wreszcie od szpecącej narośli. Olbrzym zwyciężył w końcu opór słabych i zmiażdżył dokuczliwą muchę. Od tej chwili Mouret panował nad przedpolami magazynu. Zgromadzeni przechodnie rozmawiali głośno z burzącymi dom robotnikami, którzy klęli soczyście te niebezpieczne rudery.

– Panie Bourras – powtórzyła Denise starając się odciągnąć go na bok – nie zostanie pan przecież bez pomocy. Wszystkie pana potrzeby będą zaspokojone...

Starzec wyprostował się.

– Nie mam żadnych potrzeb... Domyślam się, że to oni wysłali cię do mnie. Powiedz im więc, że stary Bourras umie jeszcze pracować i że bez trudu znajdzie zajęcie, gdzie będzie chciał... To bardzo wygodne dawać jałmużnę ludziom, których się zabija.

Denise zaczęła go błagać.

– Bardzo pana proszę, niech pan się zgodzi. Proszę nie robić mi tej przykrości.

Lecz Bourras wciąż potrząsał kudłatą głową.

– Nie, nie, to już koniec. Do widzenia!... Jesteś młoda, żyj szczęśliwie, ale nie przeszkadzaj starym odejść razem z ich przekonaniem.

Rzucił ostatnie spojrzenie na szczątki domu i odszedł, z trudem wlokąc za sobą nogi. Mimo że potracono ją na ruchliwym chodniku, Denise patrzyła długo za nim, aż zniknął za rogiem placu Gaillon.

Przez długą chwilę stała w zamyśleniu, po czym skierowała się do sklepu stryja. Kupiec siedział samotnie w ponurym wnętrzu. Posługaczka przychodziła tylko rano i wieczorem, przyrządzała posiłek i pomagała zdjąć i założyć okiennice. Spędzał sam całe godziny i rzadko zakłócano mu tę samotność: jeśli jakaś klientka zabłąkała się przypadkiem do sklepu, obsługiwał ją przerażony i nie umiał znaleźćżądanego towaru. Wśród ciszy i półmroku chodził tam i na powrót ciężkim krokiem, jakim szedł za pogrzebem córki i żony: ulegał jakiejś chorobliwej manii zmuszającej go do chodzenia, jakby dla ukołysania i uspienia bólu, który nim targał.

– Czy czujesz się lepiej, stryju? – zapytała Denise.

Zatrzymał się na chwilę, po czym znów zaczął spacerować od kasy do ciemnego kąta.

– Tak. tak, czuję się dobrze, dziękuję...

Szukała w myśli pocieszających słów, ale nie mogła ich znaleźć.

– Czy stryj słyszał ten huk? Dom Bourrasa już jest zburzony.

– Ach tak – powiedział cicho, zdziwionym tonem – to dlatego był taki hałas... Czulem nawet, że ziemia drżała... Kiedy zobaczyłem ich rano na dachu, zamknąłem drzwi.

Zrobił ręką niewyraźny ruch mający oznaczać, że te sprawy już go nie interesują. Za każdym razem gdy w swej wędrówce po sklepie stawał przed kasą, wpatrywał się w pustą ławeczkę obitą zniszczonym aksamitem, gdzie od niepamiętnych lat siadywały jego żona i córka. Potem, gdy ten nieustanny spacer prowadził go na drugi koniec sklepu, patrzył na tonące w cieniu półki, gdzie nieliczne sztuki sukna pokrywały się coraz grubszą warstwą pleśni. Dom jego osierociał; ci, których kochał, odeszli, firma zbankrutowała w sposób haniebny, on sam zaś błąkał się pośród tej ruiny upokorzony, z obumarłym sercem. Podnosił oczy ku czarnemu sufitowi i wsłuchiwał się w ciszę dochodzącą z pograżonej w ciemnościach sąsiedniej jadalni; dawniej lubił tam przesiadywać. Lubił nawet woń stęchlizny, którą przesycone było powietrze w tym małym pokoiku. Z opuszczonego mieszkania nie dochodził żaden szmer, regularny i ciężki krok gospodarza dźwięczał głuchym echem w starych murach, jakby rozlegał się na grobie najdroższych istot.

Denise przystąpiła wreszcie do sprawy, która ją sprowadzała:

– Stryju, nie możesz tu tak siedzieć. Trzeba coś zdecydować.

Nie zatrzymując się odpowiedział:

– Masz rację, ale co chcesz, żebyśmy robili? Chciałem to wszystko sprzedać, ale nie ma amatora... Skończy się na tym, że któregoś dnia zamknę budę i pójdę sobie.

Denise wiedziała, że nie należało się obawiać ogłoszenia upadłości. Wierzyiele woleli porozumieć się ze sobą, widząc, jak los wziął się na tego biednego człowieka. Po zapłaceniu

wszystkich długów stryjowi nie pozostanie nic i znajdzie się po prostu na bruku.

– Ale co stryj będzie robił potem? – powiedziała cicho, usiłując skierować rozmowę na propozycje, które nie chciały przejść jej przez gardło.

– Nie wiem – odpowiedział – gdzie się jakoś przytulę.

Zmienił teraz kierunek swojej przechadzki i chodził od sali jadalnej do okien wystawowych; patrzył ponurym wzrokiem na te nędzne wystawy wypełnione zapomnianym od dawna towarem. Nie podnosił nawet oczu na triumfującą fasadę magazynu „Wszystko dla Pań”, której sylwetka ciągnęła się na prawo i na lewo, aż po krańce ulicy. Był to już szczyt apatii – Baudu nie miał sił się gniewać.

– Słuchaj, stryju – powiedziała wreszcie zakłopotana Denise – znalazłoby się może dla ciebie miejsce... – Poprawiła się jękając: – Jestem upoważniona, żeby ofiarować ci miejsce inspektora.

– Ale gdzie? – zapytał Baudu.

– Mój Boże! Tam, naprzeciwno... U nas... sześć tysięcy franków i nie męcząca praca.

Baudu zatrzymał się nagle przed nią. Ale zamiast unieść się gniewem, jak tego się obawiała, pobladł bardzo, opanowany bolesnym wzruszeniem, i powiedział z gorzką rezygnacją:

– Naprzeciwno, naprzeciwno... Chcesz, żebym zgodził się na posadę naprzeciwno?

Denise udzieliło się wzruszenie stryja. Przed jej oczyma przewinęła się długa walka dwóch sklepów. Widziała pogrzeb Genowefy i pani Baudu, miała przed oczyma sklep „Manufaktury z Elbeuf” pokonany, zdławiony przez magazyn „Wszystko dla Pań”. Myśl, że stryj, przyjąwszy posadę naprzeciwno, będzie chodził po salach w białym krawacie, budziła w niej litość i bunt.

– Moja droga, czy to możliwe? – powiedział tylko, krzyżując na piersiach drżące, biedne ręce.

– Nie, nie, stryju – zawołała z głębi swego sprawiedliwego i współczującego serca. – To byłoby źle... Przebac mi, stryju, błagam cię.

Baudu podjął swoją przechadzkę, kroki jego wstrząsały grobową pustką domu. Gdy dziewczyna wyszła, stary kupiec chodził dalej bez przerwy, gnany uporczywą siłą rozpacz, krążąc jak w błędnym kole, z którego nie ma wyjścia.

Tej nocy Denise nie spała. Przekonała się ostatecznie o swojej bezsilności. Nie mogła przynieść ulgi nawet najbliższym. Aż do końca musiała patrzeć na niewyciężone dzieło życia, które wymaga śmierci dla użyczenia nowego zasiewu. Przestała się przeciw temu buntować, przyjmowała to prawo walki, ale jej kobiece serce napełniało się tkliwą dobrocią i

siostrzaną czułością na myśl o cierpiącej ludzkości. Minęło już parę lat odkąd i ona także dostała się między tryby maszyny. Czyż nie cierpiała, czy nie zraniono jej dotkliwie, nie wyrzucono z pracy, nie obrzucano obelgami? Jeszcze dziś ogarniał ją czasem strach, kiedy czuła się wyróżnioną spośród innych ludzi dzięki logice wypadków. Dlaczego właśnie ona, taka wątła? Dlaczego jej drobna ręka stała się nagle tak potężna, że od niej zależała praca potwora? Siła, która zmiatała wszystko, unosiła także i ją, kobietę, której przyjscie miało być właśnie odwetem. To Mouret wynalazł ten mechanizm do gnębienia ludzi, którego brutalne działanie oburzało ją zawsze, to on posiał w dzielnicy ruiny, obdzierając jednych, a zabijając drugich, ale ona kochała go mimo wszystko za wielkość jego dzieła, kochała go jeszcze bardziej, gdy nadużywał swej władzy, kochała go mimo potoku łez, jakie wylewała nad świętą nędzą zwyciężonych.

XIV

Ulica Dziesiątego Grudnia, oddana niedawno do użytku i zabudowana domami kredowej białości, wśród których wznosiło się jeszcze kilka zapóźnionych rusztowań, świeciła nowością w jasnym lutowym słońcu. Środkiem tej pełnej światła arterii, rozpraszającej wilgotne cienie starej dzielnicy Świętego Rocha, toczyły się w szybkim i zwycięskim biegu liczne powozy. Między ulicą Michodièrei ulicą Choiseul powstawało zbiegowisko, ludzie cisnęli się, zaintrygowani reklamą rozpętaną już od miesiąca, patrzyli w górę gapiąc się na monumentalną fasadę magazynu „Wszystko dla Pań”, którą tego właśnie poniedziałku odsłonięte z okazji wielkiej sprzedaży płócien.

Nowa fasada, w swej pełnej wesela świeżości, była przykładem zakrojonej na szeroką skalę architektury polichromicznej, pełnej złotych ornamentów, której wielobarwność zapowiadać miała gwar i przepych wnętrza i przyciągała wzrok jak olbrzymia wystawa płonąca najżywszymi barwami. Na parterze dekoracja fasady była pomyślana w sposób bardzo skromny, aby nie zaćmiewała wystawionych w witrynach przedmiotów: podmurówka była z marmuru koloru wody morskiej, słupy i filary zaś pokryte marmurem czarnym, którego surowość rozjaśniały złożone ozdoby; resztę miejsca zajmowały lustrzane szyby obramowane żelazem, nic, tylko szyby, które zdawały się otwierać wprost na ulicę jakieś niezmierzone głębie magazynu. Wyższe piętra gmachu świeciły coraz jaskrawszymi barwami. Na parterowym fryzie umieszczono dekorację z mozaiki, girlandy czerwonych i niebieskich kwiatów na przemian z marmurowymi tablicami, na których wyryto nazwy towarów; dekoracja ta ciągnęła się w nieskończoność, otaczając wieńcem cały ogromny budynek. Podmurówka pierwszego piętra wykonana była z emaliowanych cegieł i stanowiła podstawę szerokich okien, od których górnej granicy biegł znowu fryz składający się ze złożonych tarcz, przedstawiający herby francuskich miast, i z motywów ceramicznych, których glazura powtarzała jasne barwy podmurówki. Na samej górze belkowanie rozkwitało jaskrawymi barwami harmonizującymi z całą fasadą: mozaiki i fajanse jaśniały jeszcze gorętszymi tonami, rynny cynkowe były ozdobnie wycinane i złożone, akroteron zaś zdobiło wiele figur symbolizujących wielkie ośrodki przemysłowe i fabryczne; ich delikatne sylwetki odcinały

się wyraźnie od błękitnego tła nieba. Ogromny podziw budziły wśród ciekawych zwłaszcza główne drzwi wejściowe, wysokie jak łuk triumfalny, ozdobione bogato mozaiką, fajansem i terakotą, uwieńczone alegoryczną grupą świecącą od złota i przedstawiającą kobietę ubieraną i całowaną przez rój małych, roześmianych amorków.

Około drugiej po południu pilnujący porządku policjant musiał zabrać się do regulowania ruchu i wskazywać pojazdom miejsce postoju. Pałac-świątynia, wzniesiony na cześć szalonej rozrzutności mody, był gotów. Pokrywał całą dzielnicę swoim cieniem i panował nad nią niepodzielnie. Rana w jednym z jego boków, zadana zburzeniem rudery Bourrasa, zabiła się już do tego stopnia, że nie można było znaleźć po niej śladu. Cztery fasady biegły wzdłuż czterech ulic, nie pozostawiając żadnej przerwy, wspaniałe w swoim odosobnieniu. Po drugiej stronie chodnika, od czasu kiedy Baudu usunął się do przytułku dla starców, stary sklep „Manufaktury z Elbeuf” stał zamknięty, zamurowany jak grób, z zasuniętymi okiennicami: z biegiem czasu koła pojazdu opryskały je błotem, a afisze, sklejjąc poszczególne deski, pokryły je i zatapiały wciąż wzrastającą powodzią reklam, które stanowiły jakby ostatnią garść ziemi rzuconą na grób starego handlu: w samym środku tej zmarłej wystawy, zbryzganej ulicznym błotem, popstrzonej strzępami paryskich wiadomości, rozpościerał się, jak sztandar zatknięty w ziemię zdobytego państwa, olbrzymi żółty afisz, świeżo naklejony, zawiadamiający dwustupowymi literami o wielkiej sprzedaży w magazynie „Wszystko dla Pań”. Można by powiedzieć, że kolos, osiągnąwszy stopniowo olbrzymie rozmiary, zaczął się wstydić i nabrał obrzydzenia do tej brudnej dzielnicy, pośród której się narodził i którą, wzrósłszy, zamordował; odwraca się teraz do niej tyłem, pozostawiając poza sobą błotniste i wąskie uliczki i zwracając swe parweniuszowskie oblicze ku hałaśliwej i jasnej ariarii nowego Paryża. Tak jak go przedstawiały teraz obrazki reklam, magazyn rozrósł się do kolosalnych rozmiarów i przypominał jakiegoś potwora z bajki, którego ramiona sięgające chmur zagrażały samemu niebu. Na pierwszym planie ilustracji przedstawione były ulice Dziesiątego Grudnia, Michodièrei Monsigny, zaludnione małymi czarnymi figurkami, niezwykle szerokie, jakby chciały ułatwić dostęp klienteli całego świata. Potem wyrysowane były same budynki w przesadnie wielkich rozmiarach, widziane z lotu ptaka, z całym kompleksem dachów pokrywających długie hale i oszklonymi podwórzami, w których mieściły się stoiska, słowem, cała bezmierna przestrzeń tego jeziora ze szkła i blachy błyszczącego w słońcu. Na dalszym planie ciągnął się Paryż, lecz Paryż pomniejszony, pożarty przez potwora: sąsiednie domy, nędzne jak lepianki, rozproszone były dalej jak ziarnka piasku z ledwie zaznaczonymi punkcikami prawie że niewidocznych kominów; pomniki zdawały się topnieć, dwie kreski oznaczały katedrę Notre-Damc, zygzak wskazywał

miejsce kopuły Inwalidów, w głębi Panteon, wstydliwie ukryty i jakby zagubiony, mniejszy na rysunku od ziarnka soczewicy. Cały horyzont rozpadał się w proch, był jedynie tłem godnym pogardy i ciągnął się aż do Chatillon, aż do rozległych pól uprawnych, których niewyraźne zarysy wskazywały na zależność od miasta.

Od samego rana tłum narastał. Żaden jeszcze magazyn nie sprawił w mieście takiego hałasu swoją akcją reklamową. Magazyn „Wszystko dla Pań” wydawał teraz rocznie około sześciuset tysięcy franków na afisze, ogłoszenia i wszelkiego rodzaju publikacje: ilość wysyłanych katalogów dochodziła do czterystu tysięcy, cięto na próbki materiały wartości stu tysięcy franków. Magazyn opanował dzienniki, mury domów i uszy publiczności, jak gdyby ogromna spizowa trąba bez ustanku ogłaszała na cztery strony świata nowinę o wielkich sprzedażach. Obecnie zaś fasada, przed którą cisnęły się tłumy ludzi, stawała się żywą reklamą dzięki bazarowemu przepychowi malowideł i złoceń, dzięki wystawom tak wielkim, że można było na nich pomieścić całe poematy kobiecych strojów, dzięki szyldom szafowanym rozrzutnie, malowanym, rzeźbionym w kamieniu, począwszy od marmurowych tablic umieszczonych na parterze aż do wygiętych w łuk blaszanych arkuszy, rozwijających się w złocone wstęgi i umocowanych powyżej dachu, na których odczytać można nazwę firmy wypisaną ażurowymi literami na tle nieba. Aby bardziej jeszcze uczcić odsłonięte fasady, wywieszono rozmaitego rodzaju sztandary i chorągwie, każde piętro było przystrojone flagami i proporcami z herbami większych miast Francji, na samej górze zaś łopotwały na wietrze wciągnięte na maszty bandery krajów cudzoziemskich. Na dole wreszcie wystawa materiałów białych nabierała w głębi okien wystawowych oślepiającej intensywności tonów. Wszystko tam było białe. Oczy bolały od patrzenia na pełny komplet wyprawowy, wielką górę prześcieradeł po lewej stronie. Firanki upięte na krzyż i całą piramidę chusteczek do nosa po prawej. Wśród wywieszonych przy drzwiach wejściowych materiałów, płócien, perkalów i muślinów, spadających szeroką strugą podobną do lawiny śnieżnej, umieszczono w postawie stojącej wycięte z niebieskawego kartonu dwie postacie kobiece, jedną w sukni ślubnej, drugą zaś w toalecie balowej; papierowe te manekiny, naturalnej wielkości, odziane w jedwab i koronki, uśmiechały się do przechodniów malowanymi twarzami. Tłoczył się przed nimi tłum gapiów wyrażając swą postawą podziw i żądę posiadania.

Ciekawość tłumu zgromadzonego koło magazynu „Wszystko dla Pań” podsyciała jeszcze wiadomość o nieszczęśliwym wypadku, o którym mówił cały Paryż, mianowicie o pożarze magazynu „Aux Quatre Saisons”, otwartym zaledwie przed trzema tygodniami przez Bouthemonta koło gmachu Opery. Dzienniki obfitowały w szczegóły: ogień został

spowodowany wybuchem gazu. Ponieważ zdarzyło się to w nocy przerażenie ogarnęło ekspedientki mieszkające w gmachu; uciekające w koszulach dziewczęta po bohatersku ratował Bouthemont, pięć z nich wynosząc z ognia na własnych ramionach. Ubezpieczenie zapewniało zresztą pokrycie olbrzymich strat i ludzie zaczęli już wzruszać ramionami, mówiąc, że pożar był doskonałą reklamą dla magazynu. W tym jednak momencie cała uwaga publiczności, rozgorączkowanej kursującymi plotkami, zaabsorbowanej myślą o tych bazarach, które zajmowały tak dużo miejsca w życiu publicznym, skupiała się na magazynie „Wszystko dla Pań”. Ten Mouret naprawdę w czepku się rodził! Paryż witał jego wschodzącą gwiazdę, przybiegał, aby zobaczyć magazyn tego szczęściarza, któremu usłużne płomienie sprzątnęły konkurencyjną firmę. Zgadywano wysokość obrotów w bieżącym sezonie, przepowiadano, że napływ klienteli zwiększy się jeszcze, skoro rywal musiał zamknąć swą firmę. Przez pewien czas Mouret zaniepokojony był wrogością pani Desforges, której zawdzięczał w pewnej mierze swój majątek. Denerwował go też dyletantyzm finansowy barona Hartmanna, umieszczającego pieniądze jednocześnie w dwu konkurencyjnych przedsiębiorstwach. Drażniło go również to, że nie on, lecz ten hulaka Bouthemont wpadł na genialny pomysł sprowadzenia z kościoła Świętej Magdaleny proboszcza z całą asystą, aby poświęcił magazyn! Zadziwiająca ceremonia, religijna pompa polegająca na przechadzce od działu jedwabi do działu rękawiczek, obnoszenie Pana Boga wśród damskich majtek i gorsetów, cała ta uroczystość nie przeszkodziła co prawda temu, że wszystko się spaliło, ale warta była tyle, co milionowe ogłoszenie, wywarła bowiem silne wrażenie na klienteli z wielkiego świata. Od tego czasu Mouret marzył, by sprowadzić na podobną uroczystość arcybiskupa.

Zegar umieszczony nad drzwiami wejściowymi wybił godzinę trzecią. Rozpoczął się popołudniowy natłok, blisko sto tysięcy klientek dusiło się w halach. Przed gmachem stały powozy wzdłuż całej ulicy Dziesiątego Grudnia; od strony Opery pojazdy zajmowały ślepą uliczkę, która miała być zaczątkiem zbudowanej później alei. Dorożki mieszały się tutaj z prywatnymi powozami, stangreci czekali stojąc między kołami, konie rżały potrząsając uprzężą, która iskrzyła się w słońcu. Bez ustanku tworzyły się nowe kolejki wśród nawoływań chłopców sklepowych i postępujących naprzód zwierząt, które odruchowo zacieśniały szereg robiąc miejsce nowym pojazdom. Przerażeni przechodnie rzucali się grupami na ochronne wysepki, a w perspektywie szerokiej i prostej ulicy chodniki zdawały się aż czarne od ludzi. Ulice zabudowane białymi domami rozbrzmiewały gwarem, ludzki potok sunął pod unoszącą się w górze duszą Paryża tchnieniem potężnym a zwiewnym, które ogarniało wszystkich uściskiem na miarę olbrzyma.

Przed wystawą pani de Boves z Blanką i pani Guibal przyglądały się ułożonym za szybą, na wpół wykończonym kostiumom.

– Niech pani popatrzy – powiedziała pani de Boves – kostium płócienny za dziewiętnaście franków siedemdziesiąt pięć!

W kwadratowych tekturowych pudełkach przewiązanych wstążką kostiumy ułożone były w ten sposób, aby pokazać tylko haftowane, niebieskie lub czerwone ozdoby; umieszczone na rogu każdego kartonu rysunki przedstawiały wykończony już ubiór na figurze młodej osoby z miną księżniczki.

To nic niewarte – powiedziała półgłosem pani Guibal. – Kiedy się weźmie do ręki, widać, co to za łachman.

Odkąd pan de Boves przykuty został do fotela przez atak podagry, panie były w zażyłej przyjaźni. Żona znosiła obecność kochanki uważając, że lepiej przyjmować ją w domu. bo w ten sposób zyskiwała nieco pieniędzy, drobne sumy, które mąż pozwalał sobie podkraść rozumiejąc, że musi czymś wynagrodzić tolerancję żony.

– Wejdzmy już – powiedziała pani Guibal. – Trzeba obejrzeć tę ich wystawę... Czy pani zięć nie obiecał, że wstąpi po panie?

Pani de Boves nie odpowiedziała, oczy jej błędziły gdzieś daleko, mina zaś wyrażała wielkie zainteresowanie szeregiem zajeżdżających przed drzwi wejściowe powozów, z których po otwarciu drzwiczek wysiadały klientki.

– Tak – odpowiedziała za matkę Blanka swym miękkim głosem. – Paweł po wyjściu z ministerstwa ma na nas czekać koło czwartej w czytelnicy.

Młodzi pobrali się przed miesiącem i Paweł Vallagnosc powrócił właśnie do swoich zajęć biurowych po trzytygodniowym urlopie spędzonym na południu Francji. Po kilku tygodniach małżeństwa młoda mężatka podobna była z figury do matki, cerę miała jakby zgrubiałą i twarz nalaną.

– Ależ to pani Desforges! – zawołała hrabina patrząc na zajeżdżający powóz.

– Czy to możliwe? – powiedziała półgłosem pani Guibal. – Po tych wszystkich historiach... Musi chyba jeszcze oplakiwać pożar w magazynie „Aux Quatre Saisons”.

Była to jednak rzeczywiście Henrietta. Zauważyła znajome panie i podeszła z wesołą miną, towarzyską swobodą pokrywając swoją porażkę.

– Mój Boże! Chciałam to koniecznie obejrzeć. Lepiej jest zawsze zobaczyć na własne oczy, jak panie myślą?... Utrzymuję ciągle przyjacielskie stosunki z panem Mouret. mimo że opowiadano mi, jaki był wściekły dowiedziawszy się o moim zainteresowaniu dla konkurencyjnej firmy... Jednej rzeczy nie mogę mu tylko przebaczyć, a mianowicie tego, że

przyczynił się do małżeństwa tego Józefa, wiedzą panie kogo, z moją protegowaną, panną de Fontenailles...

– Jak to! Ślub już się odbył? – przerwała pani de Boves. – Ależ to jest okropne!

– Tak, moja droga, on to zrobił tylko w tym celu, aby pokazać swoją przewagę nad nami. Znam go przecież dobrze, chciał przez to dać nam do zrozumienia, że dla naszych panien z towarzystwa najodpowiedniejszymi partiami są jego chłopcy sklepowi.

Ożywiła się. Wszystkie cztery panie stały na chodniku mimo ścisku panującego przy wejściu. Powoli jednak dały się porwać prądowi i wkrótce znalazły się wewnątrz, unoszone niemal w powietrzu, same nie wiedząc w jaki sposób. Nie przerywały rozmowy podnosząc tylko nieco głos, aby się słyszeć. Mówiły teraz o pani Marty. Podobno biedny profesor na skutek gwałtownych scen małżeńskich zapadł na jakąś umysłową chorobę, która objawiała się manią wielkości: wydawało mu się, że czerpie pełnymi garściami ze wszystkich skarbców świata, że jest posiadaczem kopalni złota, że ładuje pełne taczki diamentów i drogich kamieni.

– Biedny człowiek! – powiedziała pani Guibal.

– Nosił zawsze wytarty surdut i miał pokorną minę biednego nauczyciela... A ona?

– Ona teraz rujnuje jakiegoś wuja – odpowiedziała Henrietta – starego, porządnego człowieka, który zamieszkał u niej, ponieważ owdowiał... Zresztą, pani Marty musi chyba być tutaj, więc ją zobaczymy.

Panie stanęły nagle jak wryte. Przed nimi roztaczał się widok na magazyny największe na świecie, jak głosiły reklamy. Wielka galeria centralna biegła teraz poprzez cały budynek, wychodząc na ulicę Dziesiątego Grudnia i na ulicę Neuve-Saint-Augustin. Z prawej i lewej strony, podobnie jak boczne nawy kościoła, galeria Michodièrei galeria Monsigny, węższe od tamtej i równoległe do niej, biegły wzdłuż ulic, którym zawdzięczały swe nazwy. Gdziekolwiek, wśród metalowej konstrukcji schodów i wiszących mostów na skrzyżowaniach wewnętrznych arterii, powstawały wielkie sale. Zmieniono też rozplanowanie działów: artykuły wyprzedazowe znajdowały się teraz przy wejściu od ulicy Dziesiątego Grudnia, jedwabie mieściły się w samym środku, dział rękawiczek zaś przeniesiony został w głąb magazynu, do hali Świętego Augustyna. Z nowego, wspaniałego przedsięwzięcia można było jak dawniej, podnosząc oczy w górę, dostrzec dział łóżek, przeniesiony teraz na przeciwległy koniec drugiego piętra. Ilość działów wzrosła do ogromnej liczby pięćdziesięciu; kilka z nich otwarto właśnie tego dnia; inne nabrały tak wielkiej wagi, że dla ułatwienia sprzedaży musiano je rozdzielać; wobec ciągle wzmagającego się obrotu zwiększono także, u progu nowego sezonu, personel do trzech tysięcy czterdziestu pięciu

pracowników.

Uwagę pań przykuła przede wszystkim wystawa materiałów białych. Znalazły się najpierw w przedsionku – wielkiej hali o lustrzanych ścianach i podłodze wykładanej kafelkami w mozaikę; były tam wystawione tanie towary przyciągające zachłanny tłum. Dalej, w głąb, ciągnęły się oślepiające bielą stoiska niby jakiś fragment podbiegunowego krajobrazu, kraina wiecznego śniegu, rozległy step pokryty futrem gronostajów, zwały lodowca skąpane w blaskach słońca. Odnajdowało się tutaj tę samą biel co na wystawach zewnętrznych, lecz jeszcze żywszą i bardziej intensywną, jak biały płomień rozszalałego pożaru obejmujący cały statek z jednego krańca na drugi. Nic prócz bieli: we wszystkich działach materiały białe. Była to jakaś rozpusta bieli, promieniująca bielą gwiazda, której uporczywy blask oślepił do tego stopnia, że nie odróżniało się szczegółów pośród tej jednostajnej białości. Wzrok przyzwyczajał się jednak wkrótce: na lewo, od strony ulicy Monsigny, wznosiły się białe wzgórza płócien i perkali, białe zwały prześcieradeł, ręczników i chustek do nosa; natomiast w mieszczącej się na prawo galerii Michodiére, zajętej przez norymberszczyznę, trykotażę i wełny – jaśniały pomysłowe białe konstrukcje zbudowane z guzików z masy perłowej, dekoracyjne wystawy ułożone wyłącznie z białych skarpetek, a dalej znajdowała się cała sala wybita białym multonem, lśniąca wśród promieni świetlnych. Głównym źródłem światła była jednak hala centralna mieszcząca wstążki i szale, rękawiczki i tkaniny jedwabne. Lady ginęły pod całą masą białych artykułów: jedwabi, wstążek i szali. Żelazne filary owinięte były zwojami białego muślinu i przewiązane tu i ówdzie kokardami z białego fularu. Schody udekorowano białymi draperiami z piki i dymki, okalającymi poręcz aż do drugiego piętra; ta biała ścieżka biegła ku górze jak na skrzydłach, ukazywała się miejscami, miejscami zaś gubiła jak lecące w powietrzu stado łabędzi. Ze sklepień zwieszały się białe materiały, spadające jak puch, jak śnieżny błam utkany z wielkich płatków: białe kołdry, białe pierzynki chwiały się w powietrzu, przymocowane niewidzialnymi sznurami, podobne do chorągwi kościelnych: długie zwoje gipiury porozwieszane w poprzek wyglądały jak zatrzymane w biegu roje białych motyli, uczone wszędzie koronki drżały przy najmniejszym powiewie, snuły się jak zwiastujące jesień pajęczne nici babiego lata, użyczając powietrzu nieskazitelnej bieli swego tchnienia. Ale najcudowniejszym pomysłem, jakby ołtarzem tego kultu bieli, był ustawiony w dziale jedwabi namiot z białych firanek, którego szczyt sięgał aż szklanego dachu wielkiej sali. Muśliny, gazy, artystyczne gipiury spadały z góry lekkimi falami, bogato zaś haftowane tiule i sztuki wschodniego, lamowanego srebrem jedwabiu tworzyły tło tej olbrzymiej dekoracji, która przypominała jednocześnie tabernakulum i alkowę. Rzecz by można, że jest to jakieś wielkie białe łożo oczekujące w swym dziewiczym ogromie na

legendarną białą księżniczkę, która przyjdzie! kiedyś wszechwładna, odziana w biały welon oblubienicy.

– Och! Jakież to cudowne! – powtarzały panie. – Coś niesłychanego!

Nie mogły się nasycić tą symfonią bieli, jaką rozbrzmiewał cały magazyn. Nigdy jeszcze Mouret nie zrobił niczego na tak wielką skalę. Stworzył arcydzieło sztuki dekoratorskiej. Ta kaskada bieli, ten pozorny nieład w układzie tkanin, przypadkiem jakby wysypujących się z otworzonych pudeł, wszystko to posiadało jakąś cudowną harmonię, kolor biały rozwijał się we wszystkich tonach, rodził się, rósł, rozkwitał w skomplikowanej instrumentacji mistrzowskiego utworu, którego ustawiczne napięcie unosiło duszę we wciąż rosnącym porywie. Panowała tu sama biel, lecz nigdy odcień jej nie powtarzał się, na pozór identyczne kolory różniły się między sobą, kontrastowały, dopełniały, osiągały blask taki, jaki daje światło. Najpierw szła matowa biel perkalu i płótna, potem kremowe odcienie flaneli i sukna, jeszcze dalej – rosnąca gama białych aksamitów, jedwabi, atłasów; barwa stawała się coraz intensywniejsza, aż wreszcie zapalała się małymi płomyczkami na załamaniach tkaniny; białość rozwiewała się wraz z przejrzystością firanek, stawała się samą światłością, gdy przysła kolej na muśliny, gipiury, koronki, a zwłaszcza tiule, które dzięki swej lekkości stanowiły jakby najwyższą i zanikającą nutę; srebro wschodnich tkanin w głębi olbrzymiej alkowy stanowiło końcowy akord.

Magazyn tętnił życiem, tłumy oblegały windy, duszono się w bufecie i w czytelnicy, cała wędrownica narodów ciągnęła wśród tych pokrytych śniegiem przestrzeni. Postacie ludzkie wydawały się tutaj zupełnie czarne, rzekłbyś, że są to łyżwiarze, ślizgający się w pełni zimowego sezonu. Na parterze, jak wzburzone ciemne morze w czasie odpływu, falował tłum ludzi, jedynie delikatne i wyrażające zachwyt twarze kobiet odcinały się jaśniejszą plamą. W ażurowych wycięciach żelaznych stropów, na schodach, na wiszących mostach pięły się ku górze małe figurki – niby zabłąkani turyści pośród śnieżnych szczytów. Na tych mroźnych wyżynach zdumiewało cieplarniane, tamujące oddech gorąco. Rozgwar wzrastał tu do potężnego huku toczącej krę rzeki. Obfite złote ozdoby na suficie, emaliowane złotem szyby i złote rozety świeciły nad wystawą białych materiałów jak słońce nad Alpami.

– Trzeba jednak iść naprzód – odezwała się pani de Boves. – Nie możemy stać tutaj w nieskończoność.

Odkąd przestąpiła próg magazynu, inspektor Jouve, stojąc przy drzwiach, nie spuszczał jej z oczu. Gdy odwróciła głowę, spojrzenia ich spotkały się. Potem, kiedy poczęta posuwać się naprzód, zachował pewien dystans i szedł za nią z daleka jakby nigdy nic.

– Patrzcie! – powiedziała pani Guibal zatrzymując się, mimo popychających ją ludzi, przed

pierwszą napotkaną kasą. – Jaki to cudowny pomysł te fiołki!

Mówiła o nowej premii magazynu „Wszystko dla Pań”, która była pomysłem Moureta reklamowanym na wielką skalę przez dzienniki, o bukietach białych fiołków sprowadzonych w olbrzymich ilościach z Nicei i rozdzielanych między klientki przy najmniejszym sprawunku. Koło każdej kasy chłopcy w liberii pod nadzorem inspektora rozdawali premię. Wszystkie klientki otrzymywały bukietki i cały magazyn nabierał charakteru weselnego, gdyż każda z kobiet niosła ze sobą zapach kwiatów.

– Tak – powiedziała pani Desforges pełnym zawiści głosem – to dobry pomysł.

W chwili gdy miały się oddalić od kasy, usłyszały, jak dwaj subiekci żartowali na temat fiołków. Wysoki, chudy chłopiec wyrażał zdziwienie: więc małżeństwo pryncypała z kierowniczką działu ubranek dziecięcych jest chyba rzeczą zupełnie zdecydowaną? Drugi zaś, mały grubas, odpowiedział, że nic właściwie o tym nie wiadomo, ale te masy sprowadzonych kwiatów wskazywałyby na to.

– Jak to? – zapytała pani de Boves. – Pan Mouret się żeni?

– Nic jeszcze o tym nie słyszałam – powiedziała Henrietta udając zupełną obojętność. – Zresztą, wcześniej czy później, musi się na tym skończyć.

Hrabina rzuciła swej nowej przyjaciółce porozumiewawcze spojrzenie. Pojmowały teraz doskonale, dlaczego pani Desforges przyszła do magazynu „Wszystko dla Pań” mimo zerwania stosunków z Mouretem. Uległa zapewne nieprzewyciężonej potrzebie spojrzenia na rywalkę i rozdrapania swych ran.

– Zostanę z panią – zwróciła się pani Guibal do Henriety, zaciekawiona dalszym rozwojem wypadków, – Spotkamy się z panią de Boves w czytelniku.

– Doskonale – odpowiedziała hrabina. – Muszę jeszcze załatwić coś na pierwszym piętrze... Czy idziesz ze mną, Blanco?

Weszła na schody razem z córką, a inspektor Jouve udał się na piętro sąsiednimi schodami, aby nie zwrócić na siebie uwagi. Obie pozostałe panie utonęły w gęstym tłumie na parterze.

Mimo szalonego ruchu, we wszystkich działach toczyły się rozmowy na temat kłopotów sercowych pryncypała. Historia, która od długich miesięcy pasjonowała subiektów, zachwyconych stanowczym oporem Denise, wchodziła obecnie w stadium przesilenia; poprzedniego dnia rozeszła się pogłoska, że mimo błagań Moureta dziewczyna postanowiła opuścić magazyn tłumacząc się potrzebą odpoczynku. Zastanawiano się: odejdzie czy nie odejdzie? We wszystkich działach subiekci zakładali się między, sobą stawiając po pięć franków za takim lub innym rozstrzygnięciem konfliktu przed upływem tygodnia. Kilku spryciarzy założyło się o niedzielny obiad twierdząc, że skończy się na małżeństwie; ale ci,

którzy wierzyli, że Denise odejdzie, ryzykując pieniądze opierali się również na pełnych rozsądku argumentach. Na korzyść panny przemawiało to, że była kobietą uwielbianą, która dotychczas nie uległa, lecz pryncypał posiadał bogactwa, swobodę wdowca i dumę, którą ostatni krok Denise mógł łatwo urazić. Zresztą, i jedni, i drudzy zgadzali się jednogłośnie, że ta mała ekspedientka poprowadziła całą sprawę z szelmowskim sprytem i że stawiała teraz wszystko na jedną kartę dając mu do wyboru wóz albo przewóz: ożeń się ze mną, a jeśli nie – to odchodzę.

Denise jednak wcale tak nie myślała. Nigdy nie miała żadnych wymagań i nie powodowała się wyrachowaniem. Właśnie te sądy dotyczące jej postępowania, a wprawiające ją w bezgraniczne zdumienie, stwarzały sytuację, która skłaniała ją do opuszczenia magazynu. Czyż chciała tego wszystkiego? Czy okazywała chytryść, kokieterię, ambicję wreszcie? Po prostu przysłała do magazynu, a teraz sama najbardziej ze wszystkich dziwiła się, że wzbudziła tak wielką miłość. Dlaczego upatrywano w jej postanowieniu odejścia jakiś dowód przebiegłości? To było przecież takie naturalne! Wśród tych ciągłych plotek, wśród gwałtownych nalegań Moureta, targana wewnętrzną walką, Denise męczyła się niewypowiedzianie i była bliska rozstroju nerwowego. Woląла więc odejść, przejęta lękiem, że może pewnego dnia zabraknie jej sił do oporu i popełni głupstwo, którego będzie żałować całe życie. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że postępując właśnie tak, a nie inaczej, sprawia wrażenie, jakby stosowała jakąś taktykę obmyśloną na zimno, i zapytywała się z przerażeniem, jak ma się zachować, aby uniknąć opinii polującej na męża dziewczyny. Myśl o małżeństwie gniewała ją teraz, była zupełnie zdecydowana powiedzieć jeszcze raz: „Nie”, powtarzać to słowo zawsze, nawet gdyby on posunął swoje szaleństwo tak daleko, że chciałby się z nią ożenić. Musi to przecierpieć. Konieczność rozłąki wyciskała jej łzy z oczu. Ale jak zawsze dzielna, powtarzała sobie, że to jest konieczne, że nie miałaby chwili spoczynku ani radości, gdyby postąpiła inaczej.

Kiedy Mouret usłyszał z jej ust, że zgłasza dymisję, przyjął tę wiadomość milcząco i na pozór obojętnie, ogromnym wysiłkiem opanowując wrażenie. Potem oświadczył sucho, że udziela jej ośmiu dni do namysłu, zanim pozwoli jej na popełnienie podobnego głupstwa. Po tygodniu, gdy powróciła do tego tematu, wyrażając niezłomne postanowienie odejścia nazajutrz po wielkiej sprzedaży, nie uniósł się gniewem, lecz udawał, że przemawia jej do rozsądku. Mówił, że postępuje wbrew swoim interesom, że nie znajdzie nigdzie takiego stanowiska, jakie zajmuje w jego magazynie. Pytał ją, czy ma na widoku jakąś inną posadę. Był gotów dać jej takie warunki, jakie miała nadzieję otrzymać gdzie indziej. Gdy młoda dziewczyna odpowiedziała, że wcale nie stara się o inną pracę, że chce przede wszystkim

pojechać na odpoczynek miesięczny do Valognes. na co pozwoli jej zaoszczędzone pieniądze – Mouret zapytał, co staje jej na przeszkodzie, by powrócić po urlopie do magazynu „Wszystko dla Pań”, jeśli tylko stan zdrowia zmusza ją do porzucenia pracy. Dziewczyna milczała, z przykrością poddając się tej indagacji. Wówczas on wyobraził sobie, że rzuca pracę po to. aby połączyć się z kochankiem, może nawet wyjść za mąż. Przecież któregoś wieczora przyznała mu się, że kogoś kocha! Od tego czasu to wydobyte z niej w chwili słabości wyznanie tkwiło niby nóż w jego sercu. Jeśli ten człowiek rzeczywiście chciał się z nią ożenić, a ona rzucała wszystko, aby iść za nim, to jej upór był całkowicie zrozumiały. Wszystko skończone. Mouret dodał więc tylko lodowatym głosem, że ponieważ nie chce wyznać mu istotnych powodów swojego odejścia, on nie ma prawa zatrzymywać jej dłużej. Ta przykra rozmowa, prowadzona bez wybuchów gniewu, wstrząsnęła Denise silniej niż gwałtowna scena, jakiej się obawiała. W ciągu ostatniego tygodnia, jaki spędziła w magazynie, Mouret zachowywał się sztywno. Gdy przechodził przez działy, udawał, że jej nie dostrzega. Nigdy nie robił wrażenia człowieka bardziej obojętnego, bardziej pochłoniętego pracą. Subiekci podjęli zakłady. Tylko najśmielsi ryzykowali postawienie obiadu na szansę małżeństwa pryncypała. Pod tą niezwykłą u niego maską chłodu ukrywał Mouret ból i straszliwe zmagania wewnętrzne. Gniew uderzał mu do głowy falą krwi: chwilami robiło mu się czerwono przed oczami, marzył o tym, aby wziąć Denise siłą, stłumić jej krzyki i zatrzymać. Kiedy indziej rozumował rozsądnie, szukał praktycznych sposobów, za pomocą których mógłby przeszkodzić jej w wyjeździe, lecz czuł, że jest bezsilny, rozumiał bowiem, że ani przemoc, ani pieniądze nie doprowadzą go do celu. Pośród tych wszystkich szalonych projektów jedna myśl narzucała mu się w sposób coraz bardziej władczy, mimo że wywoływała w nim bunt. Po śmierci pani Hédouin poprzysiął sobie, że nie ożeni się po raz drugi. Pierwsza żona otworzyła mu drogę do kariery, ale majątek postanowił zdobyć na wszystkich kobietach. Podobnie jak Bourdoncle hołdował przesądowi, że dyrektor wielkiego domu handlowego nie może być żonaty, jeśli chce panować jako mężczyzna nad rozkiełznanymi namiętnościami klientek; żeniąc się wywołałby popłoch wśród innych kobiet, które natychmiast odczułyby zmianę atmosfery. Opierał się więc nieprzezwykłej logice faktów, wolał umrzeć niż odstąpić od swoich przekonań, ogarnięty nagłym gniewem na Denise, zdając sobie sprawę, że to ona właśnie ucieleśnia przepowiadany z dawna odwet, i obawiając się, że w dniu, kiedy się z nią ożeni, padnie zwyciężony, złamany jak słomka przez nieśmiertelny urok kobiecy. Lecz powoli załamywał się w swych postanowieniach i zastanawiał nad swymi uprzedzeniami: dlaczego ma się bać? Przecież ona jest taka łagodna, taka rozsądna, że może oddać się bez obawy w jej ręce. Nieustannie toczył ze sobą

rozpaczliwą walkę. Podrażniona duma jątrzyła rany, a do reszty stracił rozsądek na myśl, że jeśli rzeczywiście kochała kogo innego, to nawet gdyby skapitulował i ofiarował małżeństwo, mogła powiedzieć: „Nie”, tak jak dotychczas. Do dnia wielkiej sprzedaży Mouret nie powziął jeszcze ostatecznej decyzji, a Denise miała wyjechać nazajutrz. Kiedy Bourdoncle, jak zwykle, wszedł tego dnia około godziny trzeciej do gabinetu Moureta, zastał go siedzącego z łokciami opartymi na biurku, z oczami zakrytymi dłońmi i tak zamyślonego, że musiał dotknąć jego ramienia. Mouret podniósł twarz zalaną łzami; wówczas ci dwaj ludzie, których łączyło tyle walk staczanych wspólnymi siłami o pomyślność interesów magazynu, popatrzyli na siebie, wyciągnęli do siebie ręce i uścisnęli je sobie krótko a mocno. Od miesiąca zachowanie się Bourdonclea uległo zasadniczej zmianie: chylił głowę przed Denise i popychał nawet potajemnie pryncypała do małżeństwa. Robił to z pewnością dlatego, aby nie zostać zmiecionym przez siłę, której wyższość nad sobą musiał uznać. Lecz w jego obecnym postępowaniu można było dopatrzeć się rozbudzonych na nowo ambicji, cichej, a potem coraz to śmielszej nadziei pokonania Moureta, przed którym tak długo musiał zginać kark. Tkwiło to już w atmosferze tego domu, w tej walce o życie, której ustawiczne napięcie przyczyniało się do ożywienia handlu w magazynie. Bourdoncle także wciągnięty został w tę grę, która rzucała słabych na pożarcie silnym. Apetyty jego hamowała dotąd pewnego rodzaju religijna cześć dla niebywałego wprost powodzenia Moureta. Teraz pryncypał okazał się słaby jak dziecko, skłaniał się ku niedorzecznemu małżeństwu, sam przyczyniał się do zabicia swego powodzenia, do zatrąty uwodzicielskiego czaru, jaki wywierał na klientelę. W jakim celu miał mu odradzać to małżeństwo? Tak łatwo będzie przecież później zagarnąć spuściznę po tym skończonym człowieku, który upadł w ramiona kobiety. Z pewnego więc rodzaju wzruszeniem i litością, jakby żegnał dawnego przyjaciela, ścisnął teraz obydwie ręce szefa powtarzając:

– Co, do diabła! Odwagi!... Ożeń się z nią i niech się to raz skończy!

Mouret wstydząc się okazanej słabości podniósł się i zaprzeczył gorąco:

– Nie, nie, to byłoby bardzo głupie... Chodź, przejdziemy się po magazynie. Wszystko idzie dobrze, prawda? Myślę, że ten dzień będzie wspaniałym sukcesem.

Wyszli więc i rozpoczęli popołudniową inspekcję zwiedzając zatłoczone przez klientów działy. Bourdoncle spoglądał na Moureta z ukosa, zaniepokojony tym nawrotem energii, przyglądając się zwłaszcza jego ustom, w nadziei, że zauważy na nich jakiś bolesny skurcz.

Magazyn tętnił gorączkowym ruchem jak wielki statek wstrząsany pełnymi obrotami śruby. W dziale Denise tłoczył się tłum matek, które ciągnęły za sobą grupki dziewczynek i chłopców tonących w powodzi ubranek, jakie im przymierzano. Dział dziecięcy był

udekorowany wszelkiego rodzaju białymi artykułami konfekcyjnymi, więc i tu także w oczy rzucało się takie rozpasanie bieli, że można by nią odziać cały tłum drżących z zimna amorków, były tam paletka z białej welenki, sukienki z piki, z nansuku, z białego kaszmiru, białe ubranka marynarskie i białe mundury żuawów. W samym środku, mimo że pora roku nie była odpowiednia, znajdowała się wystawa ubrań do pierwszej komunii, składających się z sukienki i welonu z białego muślinu oraz pantofelków z białego atłasu – wyglądało to jak przedziwnie lekki bukiet niewinności i nieskalanego uniesienia.

Pani Bourdelais stała przed swoimi dziećmi siedzącymi według wzrostu, Magdaleną, Edmundem i Lucjanem, i gniewała się na najmłodszego synka, który wrywał się nie dając sobie przymierzyć marynarki z lekkiej welenki.

– Siedźże nareszcie spokojnie!... Czy pani nie uważa, że ta marynarka jest trochę za ciasna? – Byстрыm spojrzeniem kobiety, której nie można oszukać, badała gatunek materiału, krytycznie oglądała krój i wykończenie. – Nie. leży zupełnie dobrze – powiedziała po chwili. – To przecież cały dramat, kiedy trzeba ubrać tę moją gromadkę... Potrzeba mi teraz palta dla tej dużej panny.

Wobec obłążenia panującego w dziale Denise musiała sama zabrać się do obsługiwania klientek. Szukała właśnie żądanego płaszczyka, gdy nagle wydała okrzyk zdziwienia:

– Jak to! To ty? Co się stało?

Stał przed nią jej brat Janek, trzymając w ręku dużą paczkę. Ślub jego odbył się przed tygodniem i zeszłej soboty jego żona, mała brunetka o nerwowej i pełnej wdzięku twarzy, spędziła w magazynie „Wszystko dla Pań” długie godziny robiąc generalne zakupy. Młode małżeństwo miało pojechać razem z Denise do Valognes – prawdziwa podróż poślubna, cały miesiąc wakacji wśród wspomnień dzieciństwa.

– Wyobraź sobie – powiedział – że Teresa zapomniała kupić całą masę rzeczy. Przyniosłem niektóre przedmioty do zamiany, a mam jeszcze kupić to i owo... Ponieważ ona nie ma czasu, więc wysłała mnie z tą paczką... Zaraz ci to wszystko wytłumaczę.

Lecz Denise przerwała mu dostrzegłszy dopiero teraz stojącego koło starszego brata małego Pepi.

– To Pepi przyszedł z tobą? A co ze szkołą?

– Nie gniewaj się – odparł Janek – ale wczoraj była niedziela i po kolacji nie miałem serca odprowadzić go do szkoły. Odstawię go tam dziś wieczorem... Biedny dzieciak i tak smutny, że musi siedzieć w Paryżu, kiedy my będziemy używać na wsi.

Denise uśmiechnęła się mimo swoich zmartwień.

Oddała zaraz panią Bourdelais w ręce jednej z panien i wróciła do braci odciągawszy ich

na bok; salon, na szczęście, powoli się opróżniał. Jej malcy, jak ich nazywała, wyrosli bardzo. Dwunastoletni Pepi, ubrany w mundurek uczniowski, był teraz i wyższy, i tęższy od niej, lecz pozostał małowówny, czuły na pieszczoty, łagodny i miły. Janek stał się barczystym chłopcem, wyższym o głowę od siostry, o kobiecej urodzie dzięki pięknym jasnym włosom, które nosił długie i rozwiane jak artyści. Denise, szczupła, takie chucherko, cieszyła się u braci matczynym autorytetem.

Traktowała ich jak małych chłopców, o których należy dbać; Jankowi zapięła guzik przy marynarce, aby nie wyglądał jak wisus, i zapytała, czy Pepi ma czystą chusteczkę do nosa. Widząc żalodne spojrzenie małego zgromiła go łagodnie:

– Bądź rozsądny, mój mały. Nie można przerwać twojej nauki. Zabiorę cię ze sobą na wakacje... Czy masz na coś ochotę? Przyznaj się. Wolisz może, żeby m ci dała parę groszy? – Potem zwróciła się do starszego. – A ty, mój drogi, po co mu nabijasz głowę tym, że będziemy się tam bawić!... Miejże nareszcie trochę rozumu!

Dała Jankowi na zagospodarowanie się cztery tysiące franków, co stanowiło połowę jej oszczędności. Szkoła młodszego brata kosztowała ją dużo pieniędzy, tak że wszystko, co zarabiała, szło, jak zawsze, na zaspokojenie potrzeb braci. Byli oni celem jej życia, dla nich pracowała przyrzekając sobie, że nie wyjdzie nigdy za mąż.

– Więc słuchaj – ciągnął Janek – w tej paczce jest palto koloru hawana, które Teresa...

Przerwał w pół zdania, a Denise obejrzała się, aby sprawdzić, co go tak nagle onieśmieliło. Za nim stał Mouret i od kilku minut przypatrywał się, jak dziewczyna zajmuje się po macierzyńsku tymi roslymi chłopcami, całując ich i napominając na przemian, poczynając sobie z nimi jak z małymi dziećmi, kiedy im się zmienia bieliznę. Bourdoncle trzymał się na uboczu, udawał, że jest bardzo zainteresowany przebiegiem sprzedaży, nie spuszczał jednak oczu z rozgrywającej się przed nim sceny.

– To pani bracia? – zapytał Mouret po chwili milczenia. Głos jego był chłodny, postawa sztywna jak zwykle w ostatnich czasach.

Denise zadawała sobie przymus, aby okazać mu taką samą rezerwę.

Uśmiech znikł z jej twarzy; odpowiedziała:

– Tak, panie dyrektorze... Ożeniłam starszego, jego żona przyszyła go właśnie po zakupy. Mouret w dalszym ciągu przypatrywał się całej trójce, wreszcie odezwał się:

– Młodszy bardzo urósł. Poznaję go, widziałem go przecież kiedyś wieczorem w ogrodzie Tuileryjskim razem z panią.

Mówił coraz ciszej i w pewnym momencie głos mu zadrżał. Denise zabrakło tchu w piersiach, nachyliła się udając, że poprawia pasek u mundurka Pepi. Obaj bracia zarumienili

się i uśmiechnęli do pryncypała siostry.

– Jacy oni są podobni do pani! – dorzucił Mouret.

– Och – zawołała – są o wiele ładniejsi ode mnie!

Przez chwilę Oktaw porównywał twarze. Ale był już u kresu sił. Jak ona ich kochała! Zrobił kilka kroków, potem zawrócił i szepnął jej do ucha:

– Proszę przyjść do mego gabinetu po zakończeniu sprzedaży. Chcę z panią pomówić przed pani wyjazdem.

Oddalił się i dalej prowadził inspekcję. Znow zmagał się wewnątrz, wyrzucał sobie gniewnie, że niepotrzebnie kazał jej przyjść wieczorem. Gdy zobaczył ją w towarzystwie braci, coś go do tego popchnęło. To było szaleństwo, bo w tej chwili zbyt był już wyczerpany, aby okazać silną wolę. Chyba, że ograniczy się do słów pożegnania. Bourdoncle, który podszedł do niego i obserwował go ciągle spod oka, wydawał się teraz mniej zaniepokojony.

Denise wróciła do pani Bourdelais:

– Czy ten płaszczyk podoba się pani?

– Tak, jest bardzo dobry... Na dzisiaj dosyć już chyba sprawunków. Te smyki to prawdziwa ruina!

Denise mogła teraz odejść i wysłuchać Janka. Poszła z nim następnie na wędrowkę po rozmaitych działach, ponieważ chłopiec straciłby sam głowę. Najpierw zajęła się płaszczem, który Teresa po namyśle chciała zamienić na biały wełniany tych samych rozmiarów i tego samego fasonu.

Młoda dziewczyna wzięła paczkę i udała się z braćmi do działu konfekcji.

Wystawiono tu okrycia damskie w jasnych kolorach, letnie żakiety i mantylki z lekkiego jedwabiu lub fantazyjnej wełny. Główny ruch skupiał się gdzie indziej, tak że tutaj klientki poruszały się jeszcze względnie swobodnie. Prawie wszystkie ekspedientki były nowe. Klara odeszła przed miesiącem; jedni mówili, że zabrał ją mąż jakiejś klientki, inni, że po prostu stoczyła się do rynsztoka. Małgorzata miała nareszcie powrócić do rodzinnego miasta, aby objąć kierownictwo małego magazynu w Grenoble, gdzie czekał na nią jej kuzyn. Pozostała jedynie pani Aurelia, jak zawsze wciśnięta w pancierz jedwabnej sukni, z twarzą podobną do maski Cezara, która zachowała żółtawy odcień starożytnego marmuru. Złe prowadzenie się Alberta rujnowało jej zdrowie i byłaby przeniosła się na wieś, gdyby nie to, że syn poważnie nadwreżył ich oszczędności. Jego rozrzutność zagrażała nawet posiadłości w Rigolles. Był to jakby odwet losu za zniszczenie ogniska domowego, matka powróciła bowiem do spędzania wolnego czasu w towarzystwie kobiet, ojciec zaś do gry na rogu.

Bourdoncle patrzył teraz na panią Aurelię krzywym okiem, mając jej za złe, że nie okazała

dość taktu i nie usunęła się sama z magazynu; była już za stara do handlu i niebawem miała wybić dla dynastii Lhomme'ów godzina zagłady.

– Ach, to ty – zwróciła się teraz do Denise z przesadną uprzejmością. Chcesz zamienić to palto? Zaraz się zrobi. To twoi bracia? Ależ to już prawdziwi mężczyźni. – Mimo swej dumy uklękłaby teraz chętnie, aby się tylko przypodobać. Podobnie jak w innych działach, toczyły się tutaj rozmowy na temat odejścia Denise; kierowniczka czuła się z tego powodu zupełnie chora, ponieważ liczyła na protekcję swej dawnej ekspedientki. Zniżyła głos: – Mówią, że nas opuszczasz, moja droga... To chyba niemożliwe?

– Tak, to prawda – odpowiedziała dziewczyna.

Małgorzata dosłyszała te słowa. Odkąd oznaczono datę jej ślubu, obnosiła po magazynie swoją twarz barwy skisłego mleka z miną jeszcze bardziej niż dawniej zgorzoną. Podeszła do rozmawiających mówiąc:

– Ma pani rację. Przede wszystkim należy szanować samą siebie... Żegnam panią serdecznie, moja droga.

Nadchodziły nowe klientki. Pani Aurelia zwróciła Małgorzacie ostro uwagę, aby pilnowała sprzedaży. Potem, gdy Denise chciała wziąć palto, aby dokonać zamiany w kasie, oburzyła się i zawołała pomocnicę. Była to innowacja wprowadzona do działów dzięki inicjatywie Denise, która podszeptała Mouretowi pomysł, aby w celu ulżenia pracy ekspedientkom przyjąć specjalne pracownice do noszenia sprzedanych artykułów.

– Proszę iść za panią – powiedziała kierowniczka oddając palto pomocnicy. Powracając zaś do Denise dodała: – Namysł się jeszcze, bardzo cię proszę... Wszyscy jesteśmy zmartwieni twoim odejściem.

Janek i Pepi, którzy z uśmiechem czekali na siostrę wśród tej wciąż przelewającej się fali kobiet, udali się za Denise. Trzeba było teraz iść do działu wyprawowego, aby dobrać sześć koszul podobnych do tych, które Teresa kupiła w sobotę. Lecz w dziale bielizny, gdzie na wielką skalę urządzono wystawę białych materiałów, opadających jak śnieg ze wszystkich półek, można było udusić się w tłoku. Z trudem więc posuwano się naprzód. Przy gorsetach zrobiło się zbiegowisko. Pani Boutarel przyjechała tym razem z południa Francji z mężem i córką; od samego rana przemierzała sale dobierając wyprawę dla córki, która miała niebawem wyjść za mąż. Pytano o radę ojca, zakupy nie miały końca. Cała rodzina wylądowała wreszcie w dziale bielizny; młoda panna zagłębiała się w studia nad najnowszym krojem majtek, matka zaś zniknęła, gdyż uległa pokusie sprawienia sobie nowego gorsetu. Tęgi i krwisty pan Boutarel zostawił córkę i puścił się przerażony na poszukiwanie małżonki, lecz gdy odnalazł ją w przymierzalni, poproszono go uprzejmie, aby usiadł i zaczekał. Przymierzalnie były to

małe kabiny, z matowo oszklonymi drzwiami gdzie na skutek zarządzeń dyrekcji przesadnie dbającej o dobre obyczaje, nie wolno było wchodzić mężczyznom, nawet mężom. Wchodziły do nich i wychodziły z nich ekspedientki, pozwalając za każdym razem dostrzec przy otwieraniu drzwi panie w koszulach i spódniczkach, z odkrytą szyją, z gołymi rękami, jedne tłuste, o białej karnacji, inne chude, o skórze barwy starej kości słoniowej. Mężczyźni siedzieli rzędem na krzesłach, ze znudzonymi minami. Pan Boutarel nie rozumiejąc, o co chodzi, wpadł w złość krzycząc, że chce zobaczyć swoją żonę, że chce wiedzieć, co z nią robią, że nie pozwoli jej się rozbierać bez niego. Na próżno starano go się uspokoić: uroił sobie zapewne, że w kabinie dzieją się jakieś nieprzystojne rzeczy. Pani Boutarel musiała wyjść, a ludzie naokoło rozprawiali żywo i śmiali się.

Wówczas dopiero Denise mogła iść dalej ze swoimi braćmi. W całym szeregu sal podzielonych na działy wystawiona była damska bielizna, szczegóły toalety, które zazwyczaj pozostają w ukryciu. Jeden dział zajęty był całkowicie przez tumiury i gorsety najrozmaitszych fasonów, jedne całe stebnowane, inne długie, sięgające poniżej bioder, jeszcze inne podobne do panczerzy; było tu zwłaszcza mnóstwo sznurówek z białego jedwabiu, haftowanych kolorową nicią w miejscach, gdzie zaczynały się lub kończyły fiszbiny; wystawiano je specjalnie dzisiaj i ubrano w nie manekiny bez głowy i nóg. które pod okrywającym je jedwabiem posiadały jedynie torsy, płaskie biusty lalek niepokojące w swej lubieżnej ułomności: obok nich pyszniły się zrobione z włosia i połyskującego muślinu tumiury. prezentujące ogromne i sterczące zady. których profile nabierały karykaturalnie bezwstydných kształtów. Dalej rozpoczynały się wytworne negliże, które zajmowały całą salę, jak gdyby grupa pięknych dziewcząt rozbierała się tutaj do jedwabistej nagości skóry, pozostawiając w różnych miejscach poszczególne części garderoby, aż do ostatniego łaszka: pojedyncze części cienkiej bielizny, białe mankieciki i zaboty, białe kołnierzyki i szale, całe nieskończone mnóstwo kobiecych drobiazgów, biała pianka wypływająca z pudeł i piętrząca się niby puch śnieżny: dalej kaftaniki, staniczki, peniuary, szlafroki uszyte z płótna, nansuku i koronek, długie, powłóczyste poranne toalety luźne i bardzo wytworne. budzące myśl o próżniaczych porankach następujących po pełnych pieszczot nocach I znowu dalej ujrzyć można było jakby zrzucane kolejno różne części bielizny: białe spódniczki rozmaitej długości, jedne obcisłe w kolanach, a inne bardzo długie, z trenem, tak że obszyte szczoteczką obrąbki wlokły się po podłodze, słowem, całe wzbierające morze spódnic, w których tonęły nogi: majtki z perkalu, z płótna, z piki, białe i do śmieszności szerokie. Koszule wreszcie: nocne, zapięte pod samą szyję; dzienne, głęboko wycięte, trzymające się jedynie na wąziutkich ramiączkach: jedne ze zwykłego perkalu, inne z irlandzkiego płótna lub z batystu

spływającego jak biały welon wzdłuż piersi i bioder. W całym dziale wyprawowym odbywał się na oczach klientów ten niedyskretny targ obnażający kobiety rozmaitych klas społecznych począwszy od drobnomieszczanek odzianych w zwykłe płótno, do bogatych dam otulających się w koronki. Była to niby otwarta na widok publiczny alkowa; pliski, hafty, walansjenki – cały ten tajony wykwint nasuwał myśl o jakimś zboczeniu zmysłów, tyle ujawniał fantazji w mnożeniu kosztownych szczegółów. Kobieta ubierała się teraz z powrotem, białe zwoje bielizny chowały się w tajemnicze fałdy spódnic; sztywna koszula, dopiero co wyjęta z rąk szwaczki, chłodne płótno majtek z widocznymi jeszcze załamaniem – bo leżały złożone w pudełkach – całe metry perkalu i batystu martwego jeszcze, rozrzuconego byle jak po kontuarze lub złożonego porządnie w stosy, miały się dopiero ożywić w zetknięciu z ciałem, miały nabrać zapachu i ciepła w atmosferze miłości. Był to jakiś skąpany w mrokach nocy biały obłok, który stać się miał świętością i którego najlżejsze uchYLENIE, pozwalające ujrzeć różowe kolano na tle tej bieli, zdolne było dokonać w świecie spustoszeń. Dalej znajdowała się jeszcze jedna sala mieszcząca dział wyprawek dziecięcych, gdzie ten sam biały kolor, tak drażniący zmysły w sąsiednim dziale bielizny damskiej, stawał się niewinną bielą dziecka: kaftaniczki z włochatej piki, flanelowe śliniaczki, koszulki i czapeczki jak zabawki, sukienki do chrztu i kaszmirowe kołderki, wszystko pokryte jakby puchem pierwszego dzieciństwa, podobnym do drobnego deszczu białych piórek.

– Wiesz, Teresa prosiła o te marszczone koszule – powiedział Janek, zachwycony widokiem neglizów, kobiecych drobiazgów, pośród których się znajdował.

W dziale bielizny Paulina spostrzegła Denise i przybiegła do niej natychmiast. Nie pytając nawet, w jakim interesie przychodzi, odezwała się do niej przyciszonym głosem, bardzo przejęta obiegającymi cały i magazyn pogłoskami. Dwie ekspedientki z jej działu pokłóciły się na temat odejścia Denise.

– Nie porzucisz nas przecie chyba, Denise. Co by się ze mną stało?

A gdy Denise odpowiedziała, że opuszcza magazyn nazajutrz. Paulina zawołała:

– Nie, nie, tobie się tylko tak wydaje, ale ja wiem coś innego... Słuchaj, teraz, gdy mam dziecko, musisz mnie koniecznie mianować zastępczynią kierowniczką. Baugé bardzo na to liczy, moja droga.

Uśmiechnęła się z ufnością. Podała następnie sześć żądanych koszul, a ponieważ Janek oznajmił, że muszą iść teraz po chustki do nosa, zawołała pomocnicę, aby wzięła koszule i palto przyniesione z działu konfekcji. Pomocnicą okazała się panna de Fontenailles, której ślub z Józefem odbył się parę dni temu. Niedawno otrzymała tę podrzędną funkcję, co uważała zresztą za wielkie wyróżnienie; miała na sobie czarny fartuch oznaczony na ramieniu

cyfrą z żółtej wełny.

– Proszę iść za panią – powiedziała do niej Paulina. Zbliżyła się jeszcze raz do przyjaciółki i dodała po cichu: – Pamiętaj, że muszę być zastępczynią kierowniczką.

Denise obiecała, śmiejąc się i traktując to jako żart, po czym zeszła z Pepi i Jankiem na dół. Panna de Fontenailles niosła za nimi paczki. Na parterze natknęli się zaraz na dział wełny, w którym cały kąt wybity był białym multonem i flanelą tegoż koloru. Liénard, którego ojciec na próżno wzywał do Angers, rozmawiał tam właśnie z pięknym Mignotem, który był teraz pośrednikiem handlowym i w bezczelny sposób ośmielał się pokazywać w magazynie „Wszystko dla Pań”. Rozmawiali z pewnością o Denise, bo na jej widok zamilkli natychmiast i śpiesznie złożyli jej ukłon. We wszystkich zresztą działach, przez które przechodziła, sprzedawcy zdradzali na jej widok pewne wzburzenie i kłaniali się jej nisko nie wiedząc, czym ta dziewczyna stanie się nazajutrz. Rozlegały się szepty, wnosząc z jej miny sądzono, że Denise jest pewna zwycięstwa. Na nowo rozgorzały zakłady, stawkę stanowiło wino z Argenteuil i rozmaitego rodzaju smakołyki. Denise skierowała się do sali z białymi materiałami, aby dostać się do sprzedawanych na samym końcu chusteczek. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, królował kolor biały: białe materiały bawełniane, dymki, madapolamy, piki, perkale; cieńsze tkaniny, nansuki, muśliny, tarlatany; potem szły ogromne stosy płótna ułożone w kostkę jak ciosowe kamienie, najpierw grube gatunki, dalej cienkie, rozmaitej szerokości, białe i kremowe, czysto lniane, bielone na łące; jeszcze dalej znajdowała się bielizna pościelowa, stołowa, kuchenna, całe ogromne sterty białych materiałów, prześcieradeł, poszewek, wielki wybór ręczników, obrusów, fartuchów i ścierek. Na widok Denise kłaniano się ze wszystkich stron i usuwano na bok robiąc jej miejsce, gdy przechodziła. Nadbiegł także z innego działu Baugé, aby uśmiechnąć się do niej jak do dobrej wieszczki firmy. Minąwszy dział kołder – wielką salę udekorowaną białymi sztandarami – Denise dostała się wreszcie do działu chustek, którego pomysłowa dekoracja wywołała zachwyt tłumu: wznosiły się tutaj białe kolumny, białe piramidy, białe pałace, cała skomplikowana architektura, złożona jedynie z chusteczek różnego gatunku: z cieniutkiego batystu, z angielskiego lub irlandzkiego płótna, z chińskiego jedwabiu, opatrzonych monogramami, ozdobionych koronką, azurami lub tkanym wzorkiem, słowem – całe miasto zbudowane z białych cegieł, wykonane nieskończenie pomysłowo, odcinające się jak miraż na tle rozgrzanego do białości wschodniego nieba.

– Mówisz, że jeszcze tuzin? – zapytała brata Denise. – Mają być z gatunku *cholet*, prawda?

– Tak mi się zdaje, mają być takie same jak te – odparł pokazując chusteczkę znajdującą się w paczce.

Janek i Pepi nie oddalali się na krok, tuląc się do siostry tak samo jak kiedyś, gdy zmęczeni podróżą znaleźli się po raz pierwszy na bruku Paryża. Ten olbrzymi magazyn, w którym ona czuła się jak u siebie w domu, wzbudzał w nich niepokój, toteż ukryli się w jej cieniu, instynktownie oddawali się znowu pod opiekę swej matczki, podobnie jak wówczas, gdy byli małymi dziećmi. Przyglądano im się, uśmiechano na widok dwóch dryblasów, którzy postępowali krok w krok za tą szczupłą i poważną dziewczyną. Okolona zarostem twarz Janka wyrażała oszołomienie, Pepi, w szkolnym mundurku, spoglądał wkoło z przestachem, wszyscy zaś troje mieli jednakowy jasny odcień włosów, co zwracało uwagę i wywoływało wokół szeptu biegnące od jednego kontuaru do drugiego:

– To są jej bracia... To są jej bracia...

Szukając wolnego subiekta, aby załatwić sprawunek, Denise niespodziewanie natknęła się znowu na Moureta. Wchodził właśnie w towarzystwie Bourdoncle'a do tej samej galerii; gdy zatrzymał się przed dziewczyną, nie mówiąc zresztą ani słowa, minęła ich pani Desforges z panią Gnihal. Henrietta siłą pohamowała drżenie, które wstrząsnęło nią całą.

Popatrzyła na Mourela, popatrzyła na Denise. Oni także spojrzeli na nią i te skrzyżowane ponad głowami tłumy spojrzenia były zwykłym niemym finałem wielkiego dramatu serc. Mouret oddalił się natychmiast. Denise zniknęła także w głębi działu wraz z braćmi, w poszukiwaniu wolnego ekspedienta. Poznając pannę de Fontenailles w posługaczce, która szła za nim, widząc żółtą cyfrę na jej ramieniu oraz zgrubiałą i ziemistą twarz, Henrietta wybuchnęła mówiąc zirytowanym tonem do pani Guibal:

– Czy pani widzi, co on zrobił z tej biedaczki?... Jak to ją musi boleć. Przecież ona jest markizą. Zmuszają, żeby nosiła pakunki za byle kim! – Starła się pohamować swoje wzburzenie i dodała już obojętnym na pozór głosem: – Chodźmy obejrzyć wystawę jedwabi.

Dział jedwabi przekształcono na wielką alkowę miłości, którą kaprys zakochanej kobiety ubrał w białą draperię chcąc, by rywalizowała z jej śnieżnej białości karnacją. Można tu było znaleźć wszystkie mleczne odcienie uwielbianego ciała, od aksamitu bioder aż do delikatnego jedwabiu ud i lśniącego atlasu piersi. Między kolumnami rozpościerały się sztuki aksamitu, na ich kremowym tle jedwabie i atłasy odcinały się bielą metalu i porcelany. Wisiały tam jeszcze, opadając półkolisto, matowo prążkowane jedwabie i gruboziarniste włoskie materiały, lekkie fulary i chesucze, od tonów mlecznych – jak karnacja norweskiej jasnowłosej dziewczyny – aż do przezroczystej białości nagrzanej słońcem cery rudych dziewcząt z Włoch czy Hiszpanii.

Favier mierzył właśnie biały fular dla „pięknej pani”, owej eleganckiej blondynki, stałej klientki działu jedwabi. Od kilku lat przychodziła po zakupy, ale nie wiedziano o niej nic

bliższego, nie znano jej życia, adresu ani nawet nazwiska. Żaden z subiektów nie usiłował dowiedzieć się tego, mimo że wszyscy za każdą jej bytnością gubili się w domysłach, aby tylko mieć temat do rozmowy. Wymieniali więc między sobą spostrzeżenia, że schudła, że utyla, że wygląda na wyspaną lub że musiała się poprzedniego dnia późno położyć; każdy najmniejszy szczegół jej nieznanego życia, domniemane wydarzenia czy dramaty domowe znajdowały w magazynie swój oddźwięk i nastęrczały tematu do obszernych komentarzy. Tego dnia wydawała się wesoła. Toteż kiedy Favier powrócił od kasy, gdzie ją odprowadzał, zaraz zakomunikował swoje spostrzeżenia Hutinowi.

– Może wychodzi za mąż po raz drugi?

– Czyżby była wdową?

– Nie wiem... Ale przypominasz sobie chyba, że kiedyś nosiła żałobę... A może powiodły się jej operacje giełdowe. – Zapanowało milczenie, potem Favier dodał jeszcze: – To są zresztą jej prywatne sprawy... Nie można przecież znać bliżej wszystkich kobiet, które tutaj przychodzą.

Hutin był zamyślony. Miał onegdaj nieprzyjemną rozmowę w dyrekcji i wiedział, że zapadł na niego wyrok. Był przekonany, że usuną go po dzisiejszej wielkiej sprzedaży. Stanowisko jego od dawna było zagrożone. Podczas ostatniego spisu inwentarza zarzucono mu, że nie dociągnął do sumy obrotu, jaki z góry ustalono. Niełaskę dyrekcji zawdzięczał jednak przede wszystkim wzrastającym apetytom kolegów. Teraz oni z kolei uwzięli się, żeby go wygryźć, i prowadzili podziemną walkę spychając go w tryby maszyny. Wyczuwał w tym rękę Faviera, jego krecią robotę. Favierowi obiecano już, że zostanie kierownikiem. Dowiedziawszy się o tym, Hutin – zamiast spoliczkować swego dawnego przyjaciela – zaczął się z nim teraz liczyć jak z człowiekiem silnym. Kto by przypuszczał, że ten spokojny chłopiec o potulnej minie, którym posłużył się dla wysadzenia z siodła Robineau i Bouthemonta, posunie się do tego! Zdziwienie jego było tak wielkie, że graniczyło z szacunkiem.

– Ale, ale – podjął znowu Favier – czy wiesz, że ona zostaje? Widziano, jak pryncypał robił do niej oko... Założę się o butelkę szampana.

Mówił o Denise. Od jednego działu do drugiego szeptano sobie plotki wśród ciągle wzrastającej tali klientek. Zwłaszcza jedwabie zdradzały wielkie wzburzenie, zakładano się tam o grube stawki.

– Do diabła! – wyrwało się Hutinowi, jakby obudził się ze snu. – Jaki ja byłem idiota, że z nią nie spałem... Miałbym się dzisiaj czym chwalić!

Zaczerwienił się po tym mimowolnym wyznaniu, widząc, że Favier się śmieje. Udał, że

śmieje się także, i dodał jako dopełnienie poprzednich słów, że to ta właśnie osóbką obsmarowała go przed dyrekcją. Chwytała go chęć wyładowania swego gniewu, uniósł się na subiektów, którzy tracili głowy w zamięcie sprzedaży. Lecz zaraz potem uśmiech powrócił na jego wargi: zauważył panią Destorges i panią Guibal mijające ich dział.

– Czym można pani służyć?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Henrietta. – Jak pan widzi, przechadzam się tylko, przyszedłam tu jedynie z ciekawości.

Zatrzymał ją i zaczął coś do niej mówić przyciszonym głosem. Cały plan powstał w jego głowie. Najpierw powiedział jej kilka pochlebstw, a potem zaczął oczerniać firmę: mówił, że ma już tego dosyć, woli odejść niż brać udział w podobnym bałaganie. Słuchała go zachwycona. Chcąc zrobić na złość magazynowi „Wszystko dla Pań” zaproponowała mu natychmiast, że zaprotęguje go u Bouthemonta na stanowisko kierownika działu jedwabi, jak tylko magazyn „Aux Quatre Saisons” zostanie ponownie otwarty. Cała sprawa została omówiona, oboje szeptali cicho, pani Guibal zaś oglądała przez ten czas wystawy wewnętrzne.

– Czy można pani ofiarować bukietek fiołków? – podjął znów normalnym głosem Hutin wskazując na leżące na ladzie trzy czy cztery premiowe bukietki, o które wystarał się w jednej z kas, aby obdarować nimi znajome klientki.

– Ach, nie, dziękuję! – zawołała Henrietta cofając się instynktownie. – Nie chcę brać udziału w weselu.

Zrozumieli się i rozstali ze śmiechem, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia.

Pani Desforges zaczęła szukać pani Guibal i głośno okazała zdziwienie widząc ją w towarzystwie pani Marty. Profesorowa wraz z córką Walentyną już od dwóch godzin chodziła po magazynie, opanowana niepokonaną pasją wydatków, z której otrząsała się zawsze z uczuciem zmęczenia i wstydu. Zwiedziła dział meblowy, który wystawa białych, lakierowanych mebli zmieniła w ogromny paniński pokój i gdzie dekoracje ze wstążek i szalików tworzyły ogromny namiot wsparty na białych kolumnach. Była w dziale norymberszczyzny i pasmanterii, gdzie w obramowaniu z białej frędzli zwieszały się, jak dziwaczne trofea, ozdoby pracowiciele ułożone z kartonów z guzikami i całych paczek igieł. Zaszła do trykotaży, gdzie duszono się po prostu, aby obejrzeć ogromną dekorację przedstawiającą nazwę magazynu „Wszystko dla Pań”, wypisaną trzymetrowej wysokości literami ułożonymi na czerwonym tle z białych skarpetek. Przede wszystkim jednak pasjonowały panią Marty nowe działy, przy których otwarciu zawsze asystowała. Zachłannie rzucała się w wir, bez przerwy robiąc zakupy. Całą godzinę spędziła w dziale modniarskim,

urządzonym w nowym salonie na pierwszym piętrze, każąc wypróżnić przed sobą szafy, zdejmując własnoręcznie kapelusze z palisandrowych podstawek, przymierzając wszystkie lub kładąc je na głowę córki – białe kapelusze, białe kapotki, białe toczki. Potem zeszła do nowo utworzonego działu obuwia mieszczącego się w głębi hali na parterze, za krawatami, i przewróciła do góry nogami witryny, ogarnięta chorobliwą zachłannością na widok białych rannych pantofelków ozdobionych łabędzim puszkim, wyciętych pantofli i wysokich zapinanych bucików z białego atłasu na spiczastych korkach w stylu Ludwika XV.

– Ach, moja droga, nawet sobie nie wyobrażasz, jaki mają cudowny wybór w kapeluszach! Wybrałam jeden dla siebie i jeden dla córki... A obuwie! No powiedz sama, Walentyno!

– Coś niesłychanego! – odpowiedziała młoda panna z tupetem dorosłej kobiety. – Są tam buciki po dwadzieścia franków pięćdziesiąt, ale co za buciki!

Za nimi szedł subiekt ciągnąc za sobą, jak zawsze, krzesło, na którym nagromadzona była cała góra przedmiotów.

– Jak się miewa pan Marty? – zapytała pani Desforges.

– Zdaje się, że nieźle – odpowiedziała pani Marty, nieco skonsternowana tym nagłym zapytaniem, które złośliwie wyrwało ją z transu. – Wuj miał dzisiaj rano go odwiedzić... – Nie dokończyła zaczętego zdania wołając w ekstazie: – Popatrzcie tylko, jakie to śliczne!

Panie znajdowały się przed nowym działem kwiatów i piór, mieszczącym się w hali centralnej, między działami jedwabi i rękawiczek. W jaskrawym świetle spływającym spod oszklonego stropu rozkwitał ogromny bukiet, biały snop kwiatów, wysoki i rozłożysty jak dąb. Podstawę zdobiły fiołki, konwalie, hiacynty, rumianki – wszystkie subtelne odmiany bieli spotykane na rabatach ogrodów. Pięły się wiązanki białych róż o lekko zaróżowionych płatkach, pełnych białych peonii ledwo tkniętych karminem, białych strzępiastych chryzantem żyłkowanych żółto. Spośród nich wystrzelały w górę smukłe, tajemnicze lilie, ukwiecone gałęzie jabłoni, kiście pachnącego bzu, a na poziomie pierwszego piętra drżały w powietrzu pęki białych strusich piór niby unoszące się nad tym rozkwitem tchnienie kwiatów. Cały jeden róg wystawy zajmowały bukiety i wianki z pomarańczowego kwiecica. Były tam też kwiaty z metalu, srebrne osty i srebrne kłosa zboża. Wśród tych liści i rozwiniętych kwiatowych kielichów z muślinu, jedwabiu i aksamitu, na których kropelki gumy arabskiej imitowały kropelki rosy, siedziały egzotyczne ptaki, przeznaczone do ozdoby kapeluszy, amerykańskie purpurowe wróble z czarnymi ogonkami i papużki o upierzeniu mieniącym się barwami tęczy.

– Kupię gałązkę jabłoni – podjęła pani Marty. – Prawda, jakie to śliczne?... A ten malutki ptaszek, popatrz tylko, Walentyno. Muszę go mieć!

Pani Guibal nudziła się stojąc beczynnie wśród falującej wciąż publiczności. Toteż powiedziała w końcu:

– Zostawimy panią chyba tutaj, a same pójdziemy na górę.

– Ależ co znowu, poczekajcie na mnie! – zawołała tamta. – Ja zaraz idę... Muszę wpaść na górę do perfumerii.

Był to dział, znajdujący się obok czytelnicy, otwarty dopiero poprzedniego dnia. Pani Desforges, obawiając się tłoku na schodach, podała projekt, aby pojechać windą, ale panie musiały odstąpić od tego zamiaru, ponieważ przy drzwiczkach windy utworzył się cały ogonek. Wreszcie dotarły na górę i przeszły obok bufetu, gdzie panował tak wielki ścisk, że jeden z inspektorów, stojący przy wejściu, musiał regulować napływ żarłocznych klientów. Już przy bufecie panie poczuły, że znajdują się blisko działu perfumerii, gdyż całą halę napępiał przejmujący zapach, podobny do zapachu perfumowanych saszetek, które kładzie się do szaf między bielizną. Rozchwytywano tam mydło, zwane mydłem „Bonheur”, a będące specjalnością firmy. W oszklonych szafach, na kryształowych półeczkach etażerek ustawione były szeregiem słoiki z pomadą i kremem, pudełeczka z pudrem i szminką, buteleczki z oliwą i wodą toaletową. Wykwintne szczotki, grzebienie, nożyczki, maleńkie kieszonkowe flakoniki perfum zajmowały specjalną szafę. Subiekci wpadli na pomysł udekorowania wystaw samymi tylko białymi porcelanowymi słoiczkami i różnego rodzaju fiolkami z białego szkła. Zwłaszcza wielki podziw budziła znajdująca się w samym środku srebrna fontanna, przedstawiająca pasterkę w powodzi kwiatów; spośród nich sączył się strumyczek wody kwiatowej o zapachu fiołków, srebrzystym echem odbijając się w metalowej misie, do której spływał. Wokoło roztaczała się przecudna woń i przechodzące panie perfumowały w fontannie swoje chusteczki.

– No już – powiedziała pani Marty zaopatrzywszy się obficie w najrozmaitsze wody do włosów i zębów oraz w inne kosmetyki. – Już na dzisiaj dosyć, jestem do waszej dyspozycji. Chodźmy teraz poszukać pani de Boves.

Na podeście głównych schodów zatrzymała ją jednak jeszcze wystawa japońskich drobiazgów. Dział ten bardzo się rozrósł, od czasu gdy Mouret, dla zabawy, zaryzykował w tym samym miejscu postawienie małego stoliczka z kilkoma sfatygowanymi bibelotami, nie przypuszczając nawet, że będą cieszyły się powodzeniem. Mało który dział miał tak skromne początki jak ten; obecnie prezentował on stare brązy, wyroby z kości słoniowej i z laki, jego obroty zaś wynosiły rocznie półtora miliona franków, a komisjonerzy przeszukiwali pałace i świątynie Dalekiego Wschodu, by mu dostarczyć towaru. Zresztą, nowe działy powstawały bez przerwy, dwa otwarto w grudniu, aby zapełnić luki powstałe na skutek martwego sezonu

zimowego: był to dział książek i dział zabawek, które obecnie miały wielkie widoki rozwoju i stanowiły poważną konkurencję dla sąsiednich sklepów. Wystarczył przecież okres czterech lat, aby handel artykułami japońskimi przyciągnął do magazynu Moureta całą artystyczną klientelę Paryża.

Tym razem nawet pani Desforges, mimo urazy, jaką żywiła do Oktawa, i solennego postanowienia, że nigdy tu nic nie kupi, uległa pokusie na widok statuetki z kości słoniowej o przedziwnie delikatnym rysunku.

– Proszę mi to odesłać do najbliższej kasy – powiedziała szybko. – Dziewięćdziesiąt franków, czy tak? – A widząc, że pani Marty z córką namyślały się głęboko nad wyborem tandetnej porcelany, powiedziała uprowadzając z sobą panią Guibal: – Znajdą nas panie w czytelni... Muszę naprawdę chwilę odpocząć.

W czytelni panie nie miały gdzie usiąść. Wszystkie krzeselka wokoło dużego, zarzuconego dziennikami stołu były zajęte. Tędy mężczyźni czytali gazety – rozparci wygodnie, wysuwając naprzód wielkie brzuchy – i do głowy im nie przyszło, aby ustąpić paniom miejsca. Kilka kobiet pisało z nosem spuszczone nad ćwiartką papieru, tak jakby chciały ukryć te listy pod kwiatami kapelusza. Nie znalazły tu pani de Boves i Henrietta poczęła się już niecierpliwić, gdy nagle zauważyła Pawła de Vallagnosc, który także szukał żony i teściowej. Ukłonił się i powiedział:

– Są z pewnością w dziale koronek, nie można ich stamtąd wyciągnąć... Pójdę zobaczyć.

Był na tyle uprzejmy, że wystarał się o dwa krzesła, zanim się oddalił.

Ścisk w dziale koronek wzrastał z minuty na minutę. Wielka wystawa białych materiałów świeciła tutaj triumf prezentując najdelikatniejsze i najkosztowniejsze odcienie bieli. Salon stanowił nieodpartą pokusę i rozpętał wśród kobiet szalę pożądania. Cały dział wyglądał jak biała kaplica. Z góry zwieszały się tiule i gipiury tworząc białe sklepienie, jakby z chmur utkany welon, pod którego delikatną siatką bledną promienie porannego słońca. Wijące się wokoło filarów szerokie falbany flandryjskich koronek i walansjenek opadały aż do ziemi jak białe spódniczki tancerek. Wszędzie, na wszystkich ladach, leżał śnieżny puch lekkich jak tchnienie koronek zwanych hiszpańskimi blondynami, aplikacji brukselskich o mięsistych kwiatach, wypukłych na tle cieniutkich tiulowych oczek koronek igielkowych i koronek weneckich, o grubszym nieco deseni, koronek francuskich i brukselskich, których przepych miał w sobie coś królewskiego i jakby kościelnego zarazem. Wydawało się, że jakiś bożek gatganków wybrał sobie ten zakątek na swą białą świątynię.

Pani de Boves po długiej przechadzce z córką wśród rozmaitych działów, odczuwając nieprzewyciężoną chęć zanurzenia rąk w zwojach jakiejś materii, kazała Deloche'owi

pokazać sobie koronki francuskie z Alencon. Początkowo subiekt wyjął z pudła i pokazał imitację, lecz klientka wyraziła ochotę obejrzenia prawdziwych koronek i nie zadowolila się wąskimi ich pasmami po trzysta franków metr, lecz kazała sobie pokazać szerokie falbany po tysiąc franków, chusteczki i wachlarze od siedmiuset do ośmiuset franków za sztukę. Wkrótce cała lada była pokryta koronkami o milionowej wartości. W jednym z kątów salonu stał inspektor Jouve, który nie wyrzekł się zamiaru pilnowania pani de Boves, pomimo że hrabina spacerowała po całym magazynie jakby bez celu. Stał nieruchomo, potrącany ze wszystkich stron, obojętny na pozór, nie spuszczać jednak oczu z klientki.

– Czy ma pan berty z koronek igielkowych? – zapytała hrabina Deloche’a. – Niech pan pokaże.

Subiekt, któremu zajmowała czas od dobrych dwudziestu minut, nie miał odwagi odmówić damie, tak onieśmiała go jej wyniosła mina i wielkopański ton. Zawahał się jednak, ponieważ dyrekcja zalecała sprzedawcom unikać gromadzenia na ladach kosztownych gatunków koronek, a zeszłego tygodnia ktoś skradł mu już dziesięć metrów koronki flandryjskiej. Ale pani de Boves wzbudzała w nim taki szacunek, że ustąpił i odwrócił się na chwilę, by wyjąć z szuflady berty, pozostawiając na ladzie cały stos koronki francuskiej.

– Popatrz, mammo – powiedziała po chwili Blanka grzebiąca w pudle pełnym tanich walansjenek – można by to kupić do poszewek.

Pani de Boves nie odpowiedziała. Wówczas córka odwróciła nalaną twarz i zobaczyła, jak matka, z rękami zanurzonymi w koronki, wpychała do rękawa płaszcza falbany koronki francuskiej. Blanka nie wydawała się tym zdziwiona i przysunęła się tylko instynktownie do matki, aby ją zasłonić, kiedy inspektor Jouve nagle stanął między nimi. Pochylił się do ucha hrabiny i powiedział grzecznym tonem:

– Pani będzie łaskawa pójść ze mną.

Hrabina uczyniła gest oburzenia.

– Ale dlaczego, proszę pana?

– Pani będzie łaskawa pójść ze mną – powtórzył inspektor nie podnosząc głosu.

Z twarzą wyrażającą największy niepokój hrabina rzuciła szybko okiem wokoło siebie. Potem zrezygnowana i przybrawszy zwykłą wyniosłą postawę, wyszła z inspektorem jak królowa, która łaskawie raczy przyjmować opiekę adiutanta. Ani jedna z licznie zgromadzonych klientek nie zauważyła rozgrywającej się sceny. Gdy Deloche powrócił przed ladę z koronką w ręku i zobaczył hrabinę w towarzystwie inspektora, otworzył szeroko usta ze zdziwienia: Jak to? I ona także? Ta dama o arystokratycznym wyglądzie? Więc wszystkie klientki należy podejrzewać? Blanka, której pozostawiono swobodę ruchów, szła w pewnej

odległości za matką, kryjąc się nieco w tłumie. Była blada i nie wiedziała, co ma zrobić; nie chciała opuszczać matki, z drugiej strony bała się śmiertelnie, aby jej także nie zatrzymano. Widząc, że matka wchodzi do gabinetu Bourdoncle'a, postanowiła krążyć niedaleko drzwi.

Bourdoncle, którego Mouret pozbył się przed chwilą, znajdował się w swoim gabinecie. On zazwyczaj załatwiał sprawy kradzieży, gdy chodziło o kobiety z towarzystwa. Od dawna już inspektor Jouve uprzedzał go o swoich podejrzeniach co do hrabiny, toteż nie okazał zdziwienia, gdy inspektor powiadomił go w kilku słowach o wypadku. Nie przejmował się zbytnio tymi niecodziennymi bądź co bądź sprawami, gdyż, jego zdaniem, każda kobieta była zdolna do wszystkiego, gdy opanowała ją pasja gałganków. Ponieważ wiedział o stosunkach towarzyskich, jakie łączyły złodziejkę z dyrektorem, zachował się uprzedzająco grzecznie.

– Łaskawa pani, rozumiemy dobrze, że zdarzają się chwile słabości... Proszę zważyć, do czego mogłoby panią doprowadzić podobne zapomnienie. Gdyby ktoś inny zauważył, że pani chowa te koronki do rękawa...

Ona jednak przerwała mu z oburzeniem. Czy bierze ją za złodziejkę? Ona jest hrabiną de Boves, jej mąż jest generalnym inspektorem stadniny cesarskiej i bywa na dworze.

– Wiem o tym, proszę pani – powiedział spokojnie Bourdoncle. – Mam zaszczyt panią znać... Zechce pani tylko zwrócić te koronki, które pani ma na sobie...

Hrabina zaczęła znowu protestować i nie pozwoliła mu dojść do słowa. Piękna w porywie gniewu, łkając, przybrała postawę obrażonej wielkiej damy. Ktokolwiek inny na miejscu Bourdoncle'a byłby się zachwiał w swoim podejrzeniu, obawiając się jakiejś godnej pożałowania omyłki, tak szczerze brzmiała jej groźba, że zaskarży go do sądu o oszczerstwo.

– Ostrzegam pana, mój mąż dotrze do samego ministra.

– Jest pani nierozsądna jak wszystkie kobiety – oświadczył Bourdoncle zniecierpliwiony. – Okazuje się, że nie ma innej rady, tylko trzeba będzie panią zrewidować.

Nie drgnęła nawet i odezwała się z wyniosłą pewnością siebie:

– Tak, proszę mnie zrewidować... Ale uprzedzam pana, że ryzykuje pan los firmy.

Jouve poszedł po dwie ekspedientki z działu gorsetów. Gdy wrócił, poinformował Bourdoncle'a, że córka tej damy, pozostawiona na swobodzie, nie opuszcza drzwi gabinetu i zapytał, czy należy ją zatrzymać, mimo że nie zauważył, by coś kradła. Bourdoncle, bardzo dbały o poprawność swego zachowania, zdecydował, że w imię moralności nie należy jej wpuszczać, aby matka nie potrzebowała rumienić się ze wstydu wobec córki. Dwaj mężczyźni usunęli się do sąsiedniego pokoju, a ekspedientki przystąpiły do zrewidowania hrabiny zdejmując z niej nawet suknię, aby sprawdzić, czy nie ukryła czegoś na biodrach i biuście. Oprócz dwunastu metrów falban z koronki *alencon* po tysiąc franków metr,

schowanej w głębi rękawa, znalazły ukryte za stanikiem rozgrzane od ciała i zmięte drobiazgi: chustkę, wachlarz i żabot – w sumie wartości około czternastu tysięcy franków. Już od roku pani de Boves systematycznie kradła, opanowana szaloną, niepoahamowaną namiętnością, silniejszą niż głos rozsądku; pokusy ogarniały ją coraz częściej, coraz potężniejsze, aż wreszcie występki stały się źródłem rozkoszy, bez której hrabina nie potrafiła już żyć, rozkoszy tym większej, że dla niej trzeba było ryzykować honor nazwiska, własną dumę i wysokie stanowisko męża. Teraz, gdy pan de Boves pozwolił jej czerpać ze swego portfela, hrabina mając pełne kieszenie pieniędzy kradła dla samej sztuki, kradła, aby kraść, podobnie jak kocha się, aby kochać, ogarnięta szaloną żądzą posiadania; była to choroba psychiczna, nabyta w owych czasach, gdy pani de Boves musiała wciąż odpierać natrętne i brutalne pokusy wielkich magazynów, nie mogąc zaspokoić swoich zachcianek.

– To jest pułapka! – zawołała, kiedy Bourdoncle i Jouve wrócili do gabinetu. – Te koronki zostały mi podrzucone, przysięgam przed Bogiem, przysięgam!

Osunęła się na krzesło, płacząc z wściekłości, dusząc się w źle zapiętej sukni. Bourdoncle odesłał ekspedientki i powiedział spokojnie:

– Proszę pani, postaramy się zatuszować tę brzydką sprawę ze względu na pani rodzinę. Ale musi pani podpisać dokument następującej treści: „Ukradłam koronki w magazynie «Wszystko dla Pań»”. Do tego doda się opis koronek i datę... Oddam pani ten papier wówczas, gdy przyniesie mi pani dwa tysiące franków na biednych.

Podniosła się z krzesła i zawołała z oburzeniem:

– Nigdy tego nie podpiszę. Wolę umrzeć!

– Nie umrze pani. Uprzedzam tylko, że w razie odmowy pošlę po komisarza policji.

Wówczas rozegrała się straszna scena. Hrabina zaczęła wymyślać, bełkotała, że to jest podłość ze strony mężczyzn torturować w ten sposób kobietę. Jej uroda Junony, jej wyniosła, pełna majestatu postawa znikła: wyglądała teraz jak przekupka z hali rybnej. Potem próbowała wzbudzić litość, błagała, zaklinała ich na pamięć matek, mówiła, że rzuci im się do nóg. Oni jednak, nauczeni długoletnim doświadczeniem, zachowali chłodną i niewzruszoną postawę. Wówczas hrabina usiadła nagle i zaczęła pisać drżącą ręką. Pióro zgrzytało, słowo „ukradłam”, napisane całą siłą gniewnej dłoni, o mało nie rozdarło cienkiego papieru. Powtarzała przy tym z wściekłością:

– Piszę, proszę pana, piszę... Ulegam przemocy...

Bourdoncle wziął arkusz papieru, złożył go starannie i zamknął w jej obecności w szufladzie mówiąc:

– Widzi pani, ten papier nie będzie osamotniony, gdyż panie, które zaklinają się, że raczej

umrą, niż zdecydują się na położenie swego podpisu, zazwyczaj zapominają o wycofaniu tych miłosnych bilecików... Zachowam go więc do pani dyspozycji. Namysli się pani, czy wart jest dwu tysięcy franków.

Zapięła suknię i odzyskała pewność siebie w przeświadczeniu, że zapłaciła za swój uczynek.

– Czy mogę już odejść? – zapytała krótko.

Bourdoncle zajęty był już czym innym. W związku z raportem inspektora zadecydował, że należy zwolnić z pracy Deloche'a. Ten subiekt był za głupi, pozwalał się okradać i nie umiał postępować z klientkami. Pani de Boves była zmuszona powtórzyć swoje pytanie, a gdy panowie znakiem ręki dali jej do zrozumienia, że może wyjść, obrzuciła ich zabójczym spojrzeniem. Powstrzymała falę ordynarnych słów, jakie cisnęły się jej na usta, i wyrzuciła z siebie melodramatyczny okrzyk:

– Nędznicy!

Po czym wyszła trzaskając drzwiami.

Tymczasem Blanka nie oddalała się od gabinetu. Niepokoiła ją nieświadomość tego, co się w nim dzieje, nie wiedziała, co oznacza odgłos kroków inspektora Jouve i dwóch ekspedientek, na myśl przychodzili jej żandarmi, sąd przysięgłych, więzienie. Nagle, ku wielkiemu przerażeniu, zobaczyła przed sobą męża; poślubiła go zaledwie przed miesiącem i wciąż jeszcze czuła pewne zawstydzenie, gdy zwracał się do niej poufale: „Ty”. Jej zmieszanie zdziwiło go.

– Gdzie jest matka?... Czyście się zgubiły?... Odpowiedz, bo niepokoisz mnie swoim wyglądem!

Żadne prawdopodobne kłamstwo nie przychodziło jej na myśl. Zgnębiona, wyznała mu wszystko cichym głosem:

– Mama... mama... ukradła...

– Jak to, ukradła? – Po chwili dopiero zrozumiał, o co chodzi. Podpuchnięte oczy żony, jej blada, wylękniona twarz przerażały go.

– Koronkę, ot tak, do rękawa... – jąkała.

– Więc widziałaś? Patrzyłaś na to? – zapytał szeptem, przejęty dreszczem na myśl, że ona jest współwinna.

Musieli zamilknąć, bo stojący w pobliżu ludzie odwracali w ich stronę głowy. Vallagnosc stał przez chwilę nieruchomo, pełen udręki, wahając się, co ma uczynić. Był już zdecydowany wejść do gabinetu Bourdoncle'a, gdy nagle zauważył Moureta przechodzącego przez galerię. Kazał żonie zaczekać i schwycił za ramię dawnego kolegę informując go urywanymi słowami

o całej sprawie. Dyrektor zaprowadził go spiesznie do swojego gabinetu, gdzie przede wszystkim uspokoił go co do następstw tego pożałowania godnego incydentu. Zapewnił, że interwencja jego jest najzupełniej zbędna, i wytłumaczył, jak prawdopodobnie rzecz zostanie załatwiona; nie przejmował się tą kradzieżą, tak jakby od dawna ją przewidywał. Ale Vallagnosc, choć nie obawiał się już aresztowania teściowej, nie mógł przyjąć tego faktu z równym spokojem jak jego przyjaciel. Usiadł w głębokim fotelu i odzyskując zdolność rozumowania zaczął się użalać nad własnym losem. Jak to? Stał się więc członkiem rodziny, w której są złodziejki! Zawarł najbardziej idiotyczne małżeństwo, aby przypodobać się ojcu. Zdziwiony tym atakiem rozpaczy, jaki zdarza się chorowitym dzieciom, Mouret patrzył na łzy przyjaciela, przypominając sobie jego dawną pozę pesymisty. Czyż nie słyszał, jak tamten opowiadał wielokrotnie o nicości życia, utrzymując, że jedynie występki bywa interesujący? Aby go rozerwać, zaczął mu prawić żartobliwe kazanie, zalecając obojętność na wszelkie przeciwności losu. Nagle Vallagnosc wpadł w gniew; nie mógł w żaden sposób zastosować w tym wypadku swoich poglądów filozoficznych; całe jego mieszczańskie wychowanie ujawniało się teraz w cnotliwym oburzeniu na teściową. Z chwilą gdy spadło na niego doświadczenie, gdy na samym sobie odczuwał skutki ułomności ludzkiej, z której lubił kpić, jego sceptycyzm walił się w gruzy. To, co zaszło, było obrzydliwe, honor jego rasy został splugawiony i zdawało mu się, że świat wali się z tego powodu.

– Uspokój się! – powiedział zdjęty litością Mouret. – Nie będę cię teraz przekonywał, że wszystko się zdarza i że nic się nie zdarza, bo to cię nie pocieszy w tej chwili. Myślę tylko, że powinienesz teraz iść i podać ramię pani de Boves, co będzie o wiele rozsądniejsze niż robienie skandalu... Co, u licha! Ty, który z całą flegmą wyznawałeś dawniej zasadę pogardy wobec powszechnej podłości!

– Widzisz – zawołał naiwnie Vallagnosc – ale to dotyczyło innych ludzi!

Podniósł się jednak z fotela i poszedł za radą dawnego kolegi. Obaj panowie powrócili do galerii akuratnie, kiedy pani de Boves wychodziła od Bourdoncle'a. Przyjęła z majestatyczną miną ramię zięcia, a gdy Mouret ukłonił jej się z całym szacunkiem, usłyszał, jak mówiła:

– Przeprosili mnie za pomyłkę. To wręcz niedopuszczalne takie nieporozumienia!

Blanka szła tuż za nimi. Powoli zginęli w tłumie.

Wówczas zamyślony Mouret przeszedł raz jeszcze samotnie przez cały magazyn. Rozterka, od której przeżyta scena oderwała na chwilę jego myśli, wracała teraz ze wzmożoną siłą; rozgorzała w nim ostateczna walka. W umyśle jego budziły się niewyraźnie pewne skojarzenia: popełniona przez tę nieszczęsną kobietę kradzież, będąca dowodem szaleństwa pokonanej klienteli leżącej u stóp kusiciela, wywołała w jego wyobraźni obraz dumnej

mścicielki Denise, której zwycięską stopę czuł na gardle. Zatrzymał się u szczytu głównych schodów i patrzył długo na wielką nawę, w której cisnął się poskromiony tłum kobiet.

Dochodziła szósta. Chylący się ku końcowi dzień nie docierał już do krytych, pogrążonych w mroku galerii i bładł powoli w zmierzchu wielkich oszklonych sal. Zanim jeszcze zapadł zupełny zmrok, zaczęły zapalać się jedna po drugiej elektryczne lampy, których matowej białości klosze – jak szereg księżyców o niezwykłej mocy – oświetlały najodleglejsze zakątki magazynu. Było to białe światło o oślepiającej sile, niby odbłask bezbarwnej gwiazdy rozpraszającej cienie szarej godziny. Gdy już zapalono wszystkie lampy, rozległ się szmer podziwu zgromadzonych tłumów: wystawa białych materiałów nabierała w tym nowym oświetleniu baśniowych blasków apoteozy. Wydawało się, że ten rozrzutny bezmiar bieli płonął i promieniował światłem. Symfonia białych tonów unosiła się w różowej bieli jutrzeńki. Białe światło tryskało z płócien i perkali w galerii Monsigny, podobne do jasnego pasma, które pierwsze pojawia się o świcie na niebie od strony wschodu: wzdłuż całej galerii Michodiére, wzdłuż działów towarów norymberskich, trykotaży i pasmanterii, galanterii paryskiej i wstążek – białe błyski guzików z perłowej masy, posrebrzanego brązu i pereł rzucały jakby refleksy odległych wzgórz. Zwłaszcza nowa centralna galeria lśniła bielą: bufiasto udrapowany muślin wijący się dokoła kolumn, dymka i biała pika opadająca w draperiach z poręczy schodów, białe pledy zwieszające się jak sztandary, gipiury i białe koronki fruujące w powietrzu otwierały jakby firmament z bajki, pozwalając dojrzeć olśniewającą jasność raj, gdzie świętowano zaślubiny nieznannej królowej. Namiot w hali jedwabi stanowił niby olbrzymią alkowę, a blask białych firanek, z białej gazy, białego tiulu bronił przed wzrokiem profanów białej nagości oblubienicy. Wszędzie to olśnienie, oślepiająca, świetlista jasność, w której roztopiały się wszystkie tony bieli. Zdawało się, że to pył gwiazdny prószy śniegiem pośród białego światła.

Mouret patrzył ciągle na tłum swych poddanek, snujący się pośród tych roziskrzonych blasków. Czarne cienie odcinały się z całą wyrazistością na jasnym tle. Idący pod prąd ludzie przecinali głębokimi brzdami zwarty tłum. gorączka wielkiej sprzedaży miotła wzburzonym morzem głów. Rozpoczął się odwrót. Resztki towarów leżały na kontuarach, złoto dźwięczało w kasach; obrabowana i zwyciężona klientela odpływała jakby w poczuciu poniesionej klęski, nasycona w swej chciwości, lecz jednocześnie nurtowana głuchym wstydem, jak gdyby zaspokoila swoje żądze w jakimś podejrzanym lokalu. To on właśnie przy pomocy stosów materiałów, niżki cen i systemu zwrotów, usłużności i reklamy trzymał w swym ręku te istoty zdane na jego łaskę. Zagarnął pod swoją władzę nawet matki, nad wszystkimi panował niby brutalny, despotyczny król, którego kaprys rujnuje całe rodziny.

Wraz z nowym systemem handlu dawał światu nową religię, gdy w dobie gasnącej wiary kościoły wyludniały się powoli, ich miejsce zajął jego bazar obejmując w swe posiadanie zbłąkane dusze. Kobieta spędzała u niego wolne od zajęć domowych godziny, godziny pełne drżenia i niepokoju, które dawniej przeżywała w kaplicy: było to jakby wyładowanie nerwowych pasji, wiecznie odradzająca się walka jakiegoś, boga przeciwko mężowi, ciągle odradzający się kult ciała i nieziemskiego uwielbienia piękna. Gdyby zamknął drzwi magazynu.

Przed jego sklepem wybuchłyby rozruchy, zabrzmiałyby przeraźliwy krzyk dewotek, którym odebrano prawo do konfesjonału i ołtarza. Mimo spóźnionej pory widział je w otoczeniu tego wzrosłego w ciągu dziesięciu lat przepychu, jak przedzierały się uparcie poprzez metalową konstrukcję, pięły się po wiszących schodach i przerzuconych mostach. Pani Marty z córką uniesione zostały najwyżej i błędziły wśród mebli. Zatrzymana przez swoją gromadkę, pani Bourdelais nie mogła oderwać się od wykwintnych drobiazgów paryskich. Dalej szła pani de Boves, prowadzona pod rękę przez Pawła de Vallagnosc, i Blanka; hrabina przystawała w każdym dziale i ośmielała się jeszcze patrzeć ze swoją wyniosłą miną na materiały. Lecz w tym tłumie klientów, pośród tego morza staników pulsujących życiem i dyszących pożądaniem piersi ozdobionych bukiecikami dołków, jakby na uroczystość zaślubin jakiejś władczyni. Mouret dojrzał jeden tylko – nie przystrojony żadnym kwiatem stanik pani Desforges, która zatrzymała się z panią Guibal w dziale rękawiczek. Mimo zawistnej urazy i ona także kupowała. Wówczas po raz ostatni Mouret poczuł się panem wszystkich; trzyma je wszystkie u swoich stóp, w oślepiającym blasku elektrycznych lamp, jak stado bydła, na którym dorobił się majątku.

Machinalnym krokiem przeszedł wzdłuż hali, tak zajęty swoimi myślami, że dał się unosić tłumowi. Gdy podniósł wreszcie głowę, spostrzegł, że znajduje się w nowo otwartym dziale mód, którego okna wychodziły na ulicę Dziesiątego Grudnia. Stał opierając czoło o szybę i patrzył na odpływającą publiczność. Zachodzące słońce złośliwie szczyty białych domów, błękitne niebo bladło wraz z kończącym się dniem, orzeźwione czystym tchnieniem wieczoru. W mroku, jaki zapadł już nad ulicą, lampy elektryczne magazynu „Wszystko dla Pań” rzucały silne światło, niby zapalone na horyzoncie pierwsze gwiazdy wieczorne. W kierunku Opery i Giełdy ciągnął się potrójny szereg oczekujących powozów: pojazdy pogrążone były w ciemności, tylko na sprzączkach uprząży, w szybach latarek lub w posrebrzanych wędzidłach odbijało się światło lamp. Co chwila rozbrzmiewało wołanie chłopca w liberii, zajeżdżała dorożka lub powóz zabierający klientkę i oddalały się dźwięcznym kłusem. Szeregi powozów malały, na ulicy między jednym a drugim chodnikiem mieściło się ich sześć, ruszały z

miejsca wśród hałasu zamykanych drzwiczek, klaskania z bata i rozgwaru pieszych, kręcących się między kołami. Magazyn opróżniał się z szumem, jakby otwarto służę na rzece, tłum wylewał się bez przerwy na ulicę i rozchodził promieniście na wszystkie strony miasta. Tymczasem dachy magazynu „Wszystko dla Pań”, wielkie złożone litery szyldów i wciągnięte aż pod niebo flagi płonęły w odblasku zachodu tak ogromne w tym oświetleniu, że przypominały potwora malowanego na reklamach, jakiegoś olbrzymiego ptaka, którego zwielokrotnione skrzydła pokrywały swym cieniem całe dzielnice aż do odległych lasów przedmieścia. Rozpostarta nad miastem dusza Paryża, tchnienie potężne i łagodne zarazem usypiało w ciszy wieczoru, ogarniało długą i tkliwą pieszczotą ostatnie pojazdy toczące się po ulicy prawie że uwolnionej od tłumu, który rozplynął się w ciemnościach nocy.

Mouret, zapatrzony gdzieś daleko, odczuł wyraźnie, że w jego duszy dzieje się coś wielkiego. W tym dreszczu triumfu, jaki wstrząsnął jego ciałem w obliczu zwyciężonego Paryża i ujarzmionej kobiety, odkrył akcent słabości, zaniku woli, który jego z kolei rzucał na ziemię pokonanego jakąś wyższą siłą. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi pragnął być zwyciężonym w pełni swojego zwycięstwa, niby zaprawiony w boju żołnierz, który nazajutrz po dokonanych podboju, z niewytłumaczonych przyczyn, dobrowolnie poddaje się kaprysowi dziecka. On, który walczył ze sobą od miesięcy, który jeszcze tego dnia rano przysięgał sobie, że stłumi dręczące go uczucie – ustępował nagle, szczęśliwy na myśl, że popełni to, co jeszcze przed godziną uważał za wielkie głupstwo. Ta nagła decyzja nabierała z każdą minutą coraz większej mocy, nic na świecie nie wydawało mu się bardziej pożyteczne i potrzebne.

Wieczorem, po ostatniej turze posiłku, Mouret czekał w swoim gabinecie. Drżąc jak młodzieniec, który całe swoje szczęście stawia na jedną kartę, nie mógł usiedzieć na miejscu, co chwila wracał pod drzwi nasłuchując hałasów dochodzących z magazynu, gdzie subiektci porządkowali towary. Każdy odgłos kroków powodował przyspieszone bicie jego serca. Przeżył chwilę silnego wzruszenia i rzucił się do drzwi usłyszawszy daleki stopniowo wzmagający się szmer.

Były to powolne kroki Lhomme'a niosącego pieniądze. Obrót był olbrzymi. W przyjętej do kasy gotówce było tak dużo miedzi i srebra, że kasjer musiał wziąć do pomocy dwóch posługaczy. Józef i jego kolega uginali się pod ciężarem wielkich worków zarzuconych na plecy jak wory z gipsem. Lhomme niósł banknoty i złoto: teczkę napakowaną papierowymi pieniędzmi oraz dwa skórzane, zawieszane na szyi worki, których ciężar przechylał całą jego postać na prawo, w kierunku okaleczanej ręki. Powoli, pocąc się i dysząc, szedł tak z głębi magazynu wśród wzrastającego wciąż poruszenia subiektów. Sprzedawcy z działu rękawiczek i jedwabi żartobliwie ofiarowywali mu swą pomoc, inni zaś, z działu wełny i

sukna, życzyli mu, aby się pośliznął i rozsiał złoto po całym magazynie. Musiał potem wejść jeszcze na schody, minąć wiszący pomost, znowu wejść na schody, skrócić pośród żelaznej konstrukcji, gdzie ścigał go pełen podziwu wzrok subiektów z działu materiałów białych, trykotaży i norymberszczyzny. Na pierwszym piętrze pracownicy z konfekcji, z perfumerii, z działu koronek i szali ustawili się szeregiem i spoglądali na kasjera z szacunkiem, jakby mijał ich ksiądz z Panem Bogiem. Stopniowo wrzawa wzmagala się, zmieniała się w jakiś chóralny hymn na cześć złotego cielca.

Mouret otworzył drzwi. Ukazał się w nich Lhomme, za nim szli uginający się pod ciężarem posługacze. Nie mogąc złapać tchu kasjer zdołał jeszcze wykrzyknąć:

– Milion dwieście czterdzieści siedem franków, dziewięćdziesiąt pięć centymów!

Nareszcie suma obrotu osiągnęła milion, milion zebrany w ciągu jednego dnia, suma, o której Mouret od tak dawna marzył! Teraz jednak uczynił gniewny gest i powiedział niecierpliwie, z miną człowieka, któremu natręci przeszkadzają w ważnej dla niego chwili:

– Milion? To dobrze, połóżcie go tutaj.

Lhomme wiedział, że pryncypał lubił przypatrzeć się rozłożonym na swoim biurku masom pieniędzy, zanim każe je odnieść do głównej kasy. Milion pokrył całe biurko, zgniótł leżące na nim papiery, o mało nie wyrócił kałamarza; złoto, srebro, miedź wysypywały się z worków, które pękały pod naciskiem metalu, i tworzyły wielki stos; to był dzisiejszy utarg, pieniądze odebrane wprost z rąk klienteli, ciepłe jeszcze i pełne życia.

W chwili gdy kasjer miał się oddalić, zgębiony obojętnością pryncypała, nadszedł Bourdoncle i zawołał wesoło:

– Mamy go nareszcie!... Zdobyliśmy milion! – zauważył jednak natychmiast gorączkowe podniecenie Moureta. Domyślił się, o co chodzi, i uspokoił się. Radość zabłysła w jego oczach. Po krótkiej chwili odezwał się: – Zdecydowałeś się, prawda? Mój Boże! Jestem zdania, że postępujesz słusznie.

Nagle Mouret stanął naprzeciwko niego i powiedział strasznym głosem, jakim przemawiał w momentach wielkiego gniewu:

– Słuchaj no, mój drogi! Jesteś zanadto wesoły... Uważasz pewno, że ze mną koniec, i ostrzysz sobie zęby! Strzeż się, ja nie jestem z tych, których można zjeść!

Zmieszany gwałtownym atakiem tego diabelskiego człowieka, który umiał go zawsze przejrzeć, Bourdoncle wybelkotał:

– Co znowu? Skąd te żarty? Wiesz przecież, że mam dla ciebie wiele podziwu!

– Nie kłam! – przerwał mu Mouret jeszcze gwałtowniejszym tonem. – Słuchaj, byliśmy ostatnimi głupcami wierząc w przesadę, że małżeństwo może nas pogrążyć. Ono jest w samej

swojej istocie zdrowiem, siłą i porządkiem życia!... Tak, mój drogi, żenię się z nią i uprzedzam, że wyrzucę was wszystkich za drzwi, jeśli tylko palcem ruszycie bez mojego pozwolenia! Bądź pewien, Bourdoncle, że poproszę cię o pofatygowanie się do kasy tak samo jak każdego innego!

Jednym ruchem ręki pożegnał go i Bourdoncle poczuł się skazany, zmieciony z powierzchni ziemi przez to zwycięstwo kobiety. Odszedł bez jednego słowa. We drzwiach ukazała się Denise. Ukłonił się jej nisko, czując zamęt w głowie.

– Jest pani nareszcie – powiedział cicho Mouret.

Denise była blada ze wzruszenia. Doznała przed chwilą jeszcze jednej przykrości: Deloche powiadomił ją o swoim zwolnieniu. Gdy próbowała go skłonić do pozostania, proponując, że porozmawia z dyrektorem w jego sprawie, uparł się narzekając na towarzyszący mu przez całe życie pech i powiedział, że woli opuścić magazyn. Po co miałby zostać? Czy po to, żeby przeszkadzać w szczęściu innym? Denise pożegnała go po siostrzanemu, nie mogąc sama powstrzymać się od płaczu. Czyż ona także nie tęskniła do tego, aby zapomnieć? Wszystko to i tak miało się zaraz skończyć i pragnęła tylko, aby nadwątlone siły pozwoliły jej znieść dzielnie mającą nastąpić rozłąkę. Za kilka minut, jeśli zdobędzie się na odwagę, aby zdeptać własne serce, będzie mogła odejść i płakać samotnie.

– Pan mnie wzywał? – powiedziała ze swym spokojnym wyrazem twarzy. – Byłabym i tak przyszła, żeby panu podziękować za tyle dobroci.

Wchodząc zauważyła leżący na biurku milion i widok tych wystawionych na pokaz pieniędzy niemile ją dotknął. Powyżej, na ścianie, pani Hédouin uśmiechała się, jak zawsze, malowanymi ustami i przypatrywała się całej scenie z portretu w złożonych ramach.

– Czy pani wciąż trwa w postanowieniu opuszczenia naszej firmy? – zapytał Mouret drżącym głosem.

– Tak. Muszę odejść.

Wówczas on ujął ją za ręce i odezwał się z wybuchem nagiej czułości po tak długim okresie narzuconej sobie rezerwy:

– A gdybym pani zaproponował małżeństwo, czy odeszłaby pani także? Wyrwała mu ręce i zaczęła się bronić, jakby przejęta jakimś wielkim bólem.

– Och! Panie Mouret, bardzo pana proszę, niech pan tego nie mówi!... Niech pan mi nie przysparza jeszcze większego zmartwienia!... Nie mogę!... Nie mogę!... Bóg mi świadkiem, że chciałam odejść, aby nie dopuścić do takiego nieszczęścia!

Broniła się dalej urywanymi słowami. Czyż nie dosyć już nacierpiała się z powodu plotek krążących po magazynie? Czy on chce, żeby uchodziła w oczach wszystkich ludzi i w swoich

własnych za łajdaczkę? Nie, nie, zdobędzie się jeszcze na tyle siły, żeby nie dopuścić do tego głupstwa. Mouret, pełen udręki, przysłuchiwał się jej słowom powtarzając namiętnie:

– Ale ja chcę... chcę...

– Nie, to niemożliwe... A moi bracia? Przyrzekłam sobie, że nie wyjdę za mąż, nie mogę przecież przynieść panu w wianie dwojga dzieci!

– Oni będą także i moimi braćmi... Powiedz: „Tak”, Denise!

– Nie, nie, niech mnie pan zostawi, sprawia mi pan tyle bólu!

Powoli siły opuszczały Moureta. Ten ostatni sprzeciw doprowadzał go do szaleństwa. Więc nawet za tę cenę nie chciała się zgodzić? W oddali słyszał wrzawę trzech tysięcy pracowników, których ręce przerzucały w tej chwili jego królewską fortunę. A ten idiotyczny milion, który jak na ironię leżał tutaj na biurku! Powiększał teraz jeszcze jego cierpienia. Z chęcią wyrzuciłby te wszystkie pieniądze na ulicę.

– Niech więc pani jedzie – zawołał z płaczem. – Niech pani jedzie i połączy się z tym, kogo pani kocha!... To jest powodem pani wyjazdu, prawda? Uprzedziła mnie pani o tym, powinienem był pamiętać i nie męczyć pani dłużej.

Denise stała zaskoczona gwałtownością tej rozpacz. Miała uczucie, że serce jej pęka. Z dziecinną porywcznością rzuciła mu się nagle na szyję mówiąc głosem przerywanym łzami:

– Panie Mouret! Przecież ja właśnie pana Kocham!

Ostatnie odgłosy wrzawy dochodziły z magazynu „Wszystko dla Pań” jak dalekie okrzyki tłumu. Pani Hédouin uśmiechała się wciąż z portretu malowanymi ustami. Mouret opadł na biurko, między spiętrzone pieniądze, których już nie widział. Nie wypuszczał z objęć Denise, przyciskał ją gwałtownie do piersi mówiąc, że teraz może odjechać, aby spędzić miesiąc w Valognes, a tym samym zamknąć usta ludziom; potem on sam po nią przyjedzie, aby wprowadzić ją tutaj, wspartą na jego ramieniu – wszechwładną panią.